

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK TRZYNASTY. — TOM LII.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1896.



KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1896.

OBRAZKI Z KRAKOWSKIEJ NĘDZY.

Nie częstszego w Krakowie, jak rozmowa o różnorodnego rodzaju materyalnych i moralnych biedach, które srodze trapiły i trapią podwawelską stolicę; o przelicznych instytucjach, które miałyby tej biedzie zapobiedz, a nie zawsze dostatecznie i dość roztropnie jej zapobiegają. Opowiadań, narzekań, najrozmaitszych projektów nie zliczyć; — nie zliczyć i różnych zdań, z którymi można się spotkać o rozmiarach krakowskiej biedy i lekarstwach, które trzeba by na nią zapisać.

Nie dalej jak wczoraj, właśnie gdy skończył porządkować kilkoletnie zapiski i notatki o krakowskiej biedzie, znalazłem się w towarzystwie pięciu czy sześciu panów, zajmujących w Krakowie poważne stanowiska, a że czego głowa i szuflada pełna, tam i usta mimowoli się zwracają, rozmowa wpadła jakoś niezadługo na tory nędzy, opuszczenia, niezaradności naszego proletaryatu. Pięciu czy sześciu siedziało panów; pięć też czy sześć wyłoniło się odrębnych zdań o istnieniu prawdziwej nędzy w Krakowie, jej źródłach, rozmiarach, pożądanych a możliwych do przeprowadzenia lekarstwach. Nie brakło skrajnego zdania: „Właściwie biedy niema“; drugi nie zaprzeczał w zasadzie jej istnieniu, ale zaręczał, że jeśli gdzie się znajduje, to jedyną jej przyczyną bezgraniczne próżniactwo; trzeci z lekka dał poznać, że wszelkie mówienie o biedzie jest tylko wodą na młyn socjalistycznej agitacyi; następny z kolei przedstawił szereg środków, niezbędnych do ujęcia w pewne koryto rozlewającego się bez planu, a więc bez odpowiedniej korzyści, krakowskiego miłosierdzia; wreszcie ostatni kategorycznie oświadczył: „Wszystko

to na nie się nie zda; jest źle, a gorzej będzie... o ile jeszcze gorzej być może!..."

Tak wczoraj mówiło mi kilku krakowskich panów. Gdyby zapytać się kilku wybitniejszych obywateli, w każdym z większych przynajmniej miast naszych: „Jak u was z biedą; jak się z nią borykacie; a jak borykać się, jak waleczyćby z nią trzeba?” — odpowiedzi równieby się prawdopodobnie pokrzyżowały we wszystkich możliwych kierunkach od skrajnie optymistycznych, do rozpaczliwie pesymistycznych. A jak jest w rzeczywistości; jak wygląda krakowska nędza? Krakowska — bo chcąc dać jakkolwiek dokładny, z życia zdjęty obraz nędzy i potrzeb najniższych, najbiedniejszych naszych warstw miejskich, nie chcąc w nie mówiących ogólnikach się zgubić, ściśnić trzeba koniecznie zakres swych studyów, ograniczyć je na jedno, o ile możliwa, typowe miasto, a takim, z bardzo wielu względów, jest z pewnością i przedewszystkiem Kraków. Co dzieje się w Krakowie, co ma tu swą rację, co tu wbrew wszelkiej racji się rozpanoszyło, to z pewnemi niezbyt licznemi i ważnemi zmianami dzieje się i rozpiera się we wszystkich naszych miastach i to bezwątpienia wcale nie wyłącznie w galicyjskich miastach: we wszystkich trochę obszerniejszych, kilkuulicowych miasteczkach.

Jak wygląda, jaką jest krakowska nędza? Warto i potrzeba temu obrazowi się przypatrzyć, choćby dlatego, aby się nie wydawało, że socyalistyczne pisemka i broszury nabyły monopol na zajmowanie się biedą; warto się przypatrzyć, bo pouczający to dla każdego, dający każdemu do myślenia obraz. A może z myślenia i czyny popłyną... może przyczynią się te wiernie, o ile mogłem i umiałem wszechstronnie, z bezpośredniej obserwacji, z życia skopiowane obrazki, do spełnienia dawnego, wielokrotnie napróżno przed oczy stawianego ideału, do uregulowania bystrych, głębokich ale za często kapryśnych, nie dość jednostajnie, w nie dość ściśle określonym korycie płynących, nagle wzbijających się w górę, to znów z równą szybkością opadających wód krakowskiego miłosierdzia...¹

¹ Obrazki te oparte przedewszystkiem na tem, co sam własnymi oczami widziałem lub słyszałem bądź od samychże biedaków, bądź od lu-

I.

Rzemieślnicy, robotnicy, wyrobnicy.

Chcesz zajrzeć w oczy biedzie, opuść na chwilę Plantami zakreślone granice starego Krakowa. I tu wprawdzie jej niemało; i tu każdy niemal dom, każda najwspanialej na zewnątrz przedstawiająca się kamienica opowiedziećby nam mogła różne niewesołe szczegóły o losie swych podstrychowych i suterenowych mieszkańców; ale bądź co bądź mniej tu bieda widoczna, wstydliwiej się ukrywa, z miesiąca na miesiąc emigruje na przedmieścia i przedprzedmieścia w pogoni za jeszcze ciasniejszym i brudniejszym, byle tańszym kącikiem. Za to na Zwierzyńcu, Czarnejwsi, Kleparzu, Grzegórkach, Kazimierzu rozpostarła wszechwładne swe królestwo. Zbocz np. z Krakowskiej ulicy na Miedzuch, przeceśnij się potem ulicą Bożego Ciała na ulicę Józefa, zawróć w ulicę Estery, Izaaka, przejdź się ulicą Kupa, ulicą Ubogich, a zapytać będziesz musiał, dlaczego jedna ulica przywłaszczyła sobie nazwę ulicy „Ubogich“, kiedy nazwa ta w równej przynajmniej mierze wszystkim jej sąsiadkom się należy.

Nad drzwiami, w oknach i nad oknami, w sieniach mnogie emblematy wszelkich form i barw, wyrażające naocznie, jakim narzędziem stali mieszkańcy zarabiają sobie na kawałek chleba: dratwą czy nożycami, balią czy kowalskim miechem. Ci, do których emblematy te się odnoszą, stanowią pewnego rodzaju plutonię i arystokrację w niskich kazimierskich, kleparskich, zwierzynieckich izdebkach: to ludzie przynajmniej z wyraźnem, ściśle określonym stanowiskiem. Obok nich, w tych samych często „klitkach“

dzi, którzy z urzędu, chrześcijańskiego miłosierdzia lub jakiegobądź innego powodu zajmują się ich losem. Odnosne informacye ściągnąłem w przeciągu lat blisko czterech, od około pięciuset osób wszelkiego stanu i położenia społecznego. Nadto miałem w ręku rękopiśmienne akta odnoszące się do działalności wielu miłosiernych stowarzyszeń; tudzież liczne dokumenty rzucające pewne światło na całą tę sprawę jak np. całe stosy memoriałów i listów z prośbami o zapomogę do rozmaitych instytucyj i osób. Oczywiście posługiwałem się również bardzo licznymi broszurami, sprawozdaniami, tudzież ogłaszaniami w dziennikach artykułami, które znajdowały się w bliższym związku z dziejami biedy w Krakowie.

gnieżdżą się mnogie jednostki i całe rodziny, które takim określonym stanowiskiem pochwalić się nie mogą: wyrobniicy, których jedynym narzędziem pracy mniej lub bardziej silne ramiona; dziewczęta czekające na służbę lub inny mniej honorowy zarobek; stare kobiety dzielące czas między drzemkę, kłótnię a żebranie. Prawie na wszystkich twarzach tych podlokatorów i podpodlokatorów wyryte znaki głodu, znużenia, złęczone czasem z bolesnymi znakami wyuzdania; te same znaki na twarzach przodującej arystokracji najlepszym dowodem, że i oni nie opływają ani w dostatki, ani w wygody.

Nie! — nie opływają. Przy zapobiegliwości i oszczędności mogą wprawdzie, ogólnie mówiąc, jakkolwiek wyżyć, mogą nawet jakiś grosz na czarną godzinę odłożyć; ale nieraz też tak okoliczności się składają, że wyżyć nie łatwo, choć do pracy się nie lenią, a do kubka nie zaglądają, ani za często, ani za głęboko. Murarz, choćby w letnim, budowlanym sezonie zarabiał dziennie do 2 złr., z trudnością może za te pieniądze utrzymać rodzinę, zwłaszcza liczniejszą, przez całą zimę i jeśli na zimę nie umie się postarać o poboczny jakiś zarobek, jeśli w dodatku w lecie, zbyt ufając fortunie, nie bardzo się z groszem rachował, przymiera głodem z żoną i dziećmi, dostaje się w dodatku bardzo łatwo w lichwiarskie szpony. A czyż wszyscy, czy wielu takich szczęśliwców, którzy z dumą mogą powiedzieć: „W czasie gorętszej pracy zarabiam przy murarce dziennie 2 złr.?” Czela-dnik machający w kuźni cały dzień młotem, dochodzi do 5 złr. miesięcznie i mniej lub więcej pożywnego i wystarczającego wikt. Szewcowi, krawcowi wrywają robotę wiedeńskie, peszteńskie i berneńskie składy i maszyny. Ceglarze urządzili przed paru latami wielki strejk dla polepszenia swej doli; jedynym rzeczywistym rezultatem trzecztygodniowego strejku było zmarnowanie szczupłych oszczędności z lat poprzednich i zadłużenie się u Żydów na lata następne. Robotnicy piekarscy zarabiają wyjątkowo do 12 złr. na tydzień; wielu zadowolnić się musi 3 lub 4 złr., bywa, a przynajmniej bywało, że i 2 złr., prawda, że z wiktem, ale złym i skapo odmierzanym. Co gorsza, pracowni piekarskie są nieraz tak ciasne, ciemne i brudne, że wie-

rzyć się nie chce, aby ludzie mogli w nich żyć, pracować, jeść, często i spać. Rannemi zwłaszcza godzinami, między piątą a siódmą spotkać można po ulicach blade i wychudłe postacie, ciągnące z całych sił wózki wyładowane chlebem i bułkami; raz po raz przystają i jakby się oglądali, czy który z przechodniów nie dopomoże im w ruszeniu ciężaru, któremu bezkrwisty, ze snem walczący ich organizm sprostać nie może. To piekarsey terminatorzy: na tydzień dostają oni, choć nie zawsze i nie wszędzie jeden reński; zjeść, mają jeszcze co zjeść, ale spać nie mają ani czasu, ani miejsca.

Jeden z najlepszych znawców rzemieślniczo-robotniczych stosunków w Krakowie tak je określa:

„Zarobki murarzy w lecie wynoszą od półtora reńskiego do dwóch reńskich. Piękna płaca, a przecież w zimie niema większej nędzy, jak między murarzami. Żyją wtedy z wyrabiania słomianek, obnoszenia szopek i t. p.; — lecz co to za życie! — i wrogowi takiego bym nie życzył! Jedną z głównych przyczyn ich nędzy było przez długie lata wypłacanie zarobku nie gotówką, lecz kartkami w szynku; czekali tam kilka godzin na wypłatę a tymczasem pili i zdarzało się, że ten co miał dostać 7 złr., przepił pięć, i zaledwie dwa, a bywało, że i ani jednego do domu nie doniósł. Sam znam Żyda, który sobie dwie kamieniczki zbudował, głównie za te pijatyki po tygodniowej wypłacie. — Między piekarzami choroby strasznie grasują; jeśli dieśiąty procent zdrów, to wiele. Przeciętna ich tygodniowa płaca 4 złr.; jeśli są na wikcie, półtora do dwóch reńskich. Bezwątpienia to za mało, tem bardziej, że właściciele piekarń nie mogą się na swój los skarżyć; mógłbym jednego wymienić, i to takiego, którego bynajmniej nie można oskarżać o nieludzkosć lub niesprawiedliwość, co zaczął z niczego, a dziś ma majątku około 50.000...”

„Chłopak znajomy mi — opowiada ktoś inny — terminuje piąty rok u majstra lakiernika. Dostaje pięć centów na śniadanie, pięć centów na obiad. Ubioru jakby nie miał; ma dwie koszule i niemożliwe łąchy. Co dla biedaka najgorsze, że o wyzwoleniu mowy niema?...“

Dwóch młodziutkich druciarzy, jeden piętnasto-, drugi trzynastoletni, przybyłych za chlebem do Krakowa z rodzinnego Trenczyna, maluje w dość poprawnej polszczyźnie dotychczasowe swe przygody i obecne położenie:

„Uciekliśmy przed półrokiem od gospodarza, bo nas bił; wsiedliśmy na kolej i przyjechali do Krakowa. Mieszkamy na Podgórzu, w jednej stancyi z dziewięciu innymi, głównie druciarzami; nas tu z Trenczyna dużo. Jeden starszy druciarz nauczył nas łapki na myszy robić i każe wieczorem łapki robić, a na cały dzień wysyła na ulicę, na sprzedaż. Na miesiąc dostaje każdy z nas po 30 ct. i co dzień rano 2 ct. Z tego trudno żyć. Ale czasem kucharka da co zjeść, jak garnek, albo talerz zdrutujemy. Wszędzie po domach idziemy; czasem wybija, czasem przygarną. Jeszcze kilka miesięcy tak tu pobędziemy, a potem może zostaniemy, może do domu wrócimy. Teraz w lecie chodzimy boso, ale na zimę, jeśli byśmy mieli zostać, musimy dostać buty...”

„Ośmioro nas w domu — opowiada ledwie od ziemi odrosły, strasznie licho wyglądający, w same dziury ubrany chłopaczek. Ojciec na robocie się przerwał i leży w szpitalu. Mama niema nic. Jeden z braci chodzi na kolej i pomaga nosić, dwie siostry także w szpitalu. Byłem u szewca, ojciec mię wziął. Poszedłem do krawca, nie szło. Chciałem do szewca wrócić, miejsca już nie było. Teraz idę do cieśli na wieś. Wczoraj dała matka barszcz z kartoflami; dziś kawałek chleba. Bardzo mi się jeść chce...”

Jak jeść się chciało, to można było najlepiej poznać po wilczym apetycie, z którym rzucił się na podany sobie kawałek chleba.

„Wogóle — dodaje inny informator, mocno, co prawda, socjalistycznymi ideami przesiąkły — wogóle byłoby niezbędnem zwrócić uwagę na los chłopców i różnych terminatorów, którzy często są poprostu głodni i nie mają się w co ubrać. A majstrowie lubią mieć, o ile można, samych terminatorów, bo z nich wygodniej żyć. Jeden np. majster ślusarski ma w warsztacie 16 uczniów i nikogo więcej; drugi, także ślusarz, kawaler, płaci uczniowi 12 ct. na całe utrzymanie...”

„Kto jest sam, bez rodziny, ten zarabiając na dzień guldena może wieść spokojne i przyzwoite życie. Dla rodziny, jak np. moja, złożonej z pięciu osób, potrzeba, jeśli ma utrzymać siły do pracy: na śniadanie: kwartę mleka i 10 bułek; na obiad: funt mięsa, kartofli za 6 ct., słoniny za 4 ct.; na kolację: chleba, masła, liczymy za 15 ct. Mieszkanie, opał wyniosą do 30 ct. A gdzież pranie, światło, bielizna, ubiór, buty i buciki? Policzmy to wszystko, a jasno wypadnie, że rzemieślnik, zecer, drobny urzędnik, obarczony rodziną, który nie zarabia do 2 reńskich dziennie, musi już walczyć z biedą... Jeśli zarabia półtora reńskiego, nie może sobie częściej pozwolić na mięso, jak trzy razy w tygodniu. A i tego mięsa, gdy się go między pięć osób podzieli, tyle wypadnie, co „wróbli łepiek“.

„A cóż dopiero niezawodowi robotnicy, którzy jedynie rachują na siłę swych rąk i ramion? Fabryki tak nieliczne i wogóle urządzone na tak drobne rozmiary, że człowiek, nie mający pewnego fachu w ręku, do nich się nie przedostanie. Jeśli niema ziemnych lub budowlanych robót, to nędzarze; jeśli na domiar nieszczęścia, niema w zimie śniegu, kładź się i umieraj! I ze śniegiem straszna konkurencya. Nadchodzą gromady chłopów z okolicznych wsi i obniżają ceny, bo pracują o suchym chlebie, czasem z kawałkiem sera, nigdy z masłem“.

„Węglarze biorą za przeniesienie cetnaru węgla z wozu do piwnicy dwa centy. Proletaryusze kazimierscy i tych dwóch centów nie oglądają; kontenci, że dostaną kieliszek wódki...“

Jeden z tych proletaryuszów, łachmanami obwiązany, z charakterystycznym grubym sznurem, przerzuconym przez plecy, dość wesoło, kto wie, czy nie pod wpływem ostatniego kieliszka, na świat spogląda.

„Ho, ho! ile ten sznur worków z kartoflami się dotknął, o ile cegieł się obtarł! — chciałbym tyle krajearów czuć w kieszeni! Źle mi — czemu ma być źle? We trzech sobie mieszkamy, zarobek jest, kartofle są. Czasem dużo kartofli i robota pilna, to i 40 centów się dostanie; czasem 30, czasem 20. Różnie bywa. To szkoda, że dla Żydów trzeba boki nadstawiać. Przed 200

laty były na Kazimierzu same chrześcijany — to lepiej było. A dziś co?...“

Nie mniej filozoficznie zapatruje się na świat i życie silny, wesół chłop na Stradomiu, równie w łachmanach, równie z nieodstępnym, z fantazją zwieszającym się sznurem. W czasie dłuższego, żywego opowiadania rozgląda się na wszystkie strony, nadśłuchuje wciąż uważnie, trochę nerwowo, czy go gdzie kto nie woła; parę razy nawet na prawo, na lewo się rzuca, ale wnet omyłkę spostrzega: „Nie! — mnie nie wołają!“ i wraca do przerwanej pogawędki.

„Przy szlifowaniu kamieni dawniej pracowałem; ciężko u Żydów w różnych brzydkich komórkach pracowałem. Na kilka zawodów byłem stróżem. Żona chorowała parę lat; wydałem na nią 27 reńskich. Tak, aż 27 reńskich, całych 27 reńskich. Żona umarła. Teraz sam jestem, mieszkam u stróża i nikt inny z nami nie mieszka, tylko on, ona i dzieci. Chodzę na kolej, wożę, przenoszę. Zarobek dzienny różny: bywa 20 ct., zdarzy się więcej, aż do 70 ct.; więcej, chyba strasznie rzadko się zdarza. To taki szczęśliwy wypadek! Tak np. raz za jedno przewiezienie na wózku worków z mąką z kolei na Podgórze dostałem 12 ct. Ale to raz tak dostałem...“

„Wszystkoby dobrze było, gdyby zawsze coś było do noszenia — skarży się inny biedak ze sznurem na plecach, wybladły, schorowany. — Nosilem węgle, ale mię wyrzucili. Prosiłem, żeby gdzieindziej przyjęli. Nie chcieli, mówią, żem za słaby!...“

Strasznym brak sił dla biednego wyrobnika; niemniej strasznym brak roboty. Przechadzając się w rannych zwłaszcza godzinach po rynku, spotkać można gromadki mężczyzn, którzy z niepokojem wyczekują, czy z której bramy nie odezwie się upragnione wezwanie: „Chodźcie no tutaj!...“

„Stałem dziś — opowiadał jeden z nich na pół ze łzami — do dziewiątej rano; nikt i palcem nie kiwnął. Dwóch moich chłopców na czczo poszło do szkoły; nie było za co chleba kupić. Jałmużny nie chcę, bo dzięki Panu Jezusowi, mam zdrowe i silne ręce, ale pracy chcę. Gdyby Pan Bóg dał nam śniegu,

dużo śniegu, jakby to dobrze było! Zaraz praca i chlebby się znalazł!...”

Taki, w najogólniejszych zarysach los, życie, zarobek rzemieślników i wyrobników; jaki zarobek, życie, los ich żon i córek?

II.

Szwaczki, wyrobnice, służące.

Przez parę tygodni figurował po ulicach następny „ważny dla wszystkich“ anons, który złotemi górami, jakie przed oczami malował, miał oczywiście na celu ściągnąć jak najliczniejsze gromady kompetentów, którym możnaby już później, wobec silnie rozwiniętej konkurencji, nieco ująć ze zbyt różowo wyglądających obiecanek:

„Ważne dla wszystkich! W fabryce stałek do gorsów przyjmuje się natychmiast kilkanaście dziewcząt i chłopców, którzy nigdy jeszcze nie byli przy podobnej pracy zatrudnieni i płaci im się odrazu 1 zhr. tygodniowo i więcej. Zarząd fabryki. Ulica Miodowa, 23.“

Chłopcy, jak chłopcy, ale dla dziewczyn, na robocie zupełnie się jeszcze nie znających, byłby to los prawdziwie do pozazdroszczenia i aż wierzyć się jakoś nie chce, aby zarząd fabryki z ulicy Miodowej miał im stawiać na seryo tak świetne propozycye. Zazwyczaj warunki pracy kobiecej są stosunkowo znacznie gorsze; gdyby w Krakowie urządzić ankietę o pracy, zarobkach, biedzie robotnic, podobną do ankiety, urządzonej niedawno temu we Wiedniu, podobny, równie z pewnością niewesoły otrzymalibyśmy obraz. Ankieta dotąd nie zwołana i pytanie, czy, kiedy i przez kogo będzie zwołana; niech ją tymczasowo zastąpią opowiadania i wynurzenia kilku osób, bądź robotnic, zatrudnionych w różnych fachach, a zasługujących ze wszęch miar na wiarę, bądź osób zostających, z samejże natury swego zajęcia i powołania, z licznemi robotnicami w ciągłych stosunkach.

„Mówić u nas o robocie kobiecej, — informuje mię poważna, długoletnia właścicielka szwalni — to oczywiście mówić na pierw-

szem miejscu o tych, co igłą, maszyną, szydełkiem sobie na chleb zarabiają. Nie setki ich, ale, bez przesady można powiedzieć, tysiące. Zwyczajna szwaczka zarobić może miesięcznie najwyżej 12 złr., ogólnie mówiąc zarabia 7 do 10 złr.; zdarza się, że zaledwie 5, że nawet tylko 4 lub 3 reńskie. Jeśli przyjdzie bezrobocie, jeśli żywić i leczyć trzeba ojca, matkę, kogo z rodziny — to z głodu giń! Oszczędności, jeśli jakie były, w mig topnieją, bez śladu się rozpluwają. Nie waham się powiedzieć: Żadna Karmelitanka nie prowadzi tak ostrego życia, jak uczciwa robotnica. Ot np. jedna, co na pamięć mi teraz przysła. Rodzice mieli przed powstaniem majątek; ojciec umarł, matka chora, bracia źle się pokierowali, córka dzień i noc igłą pracuje; długo nie może to potrwać, bo codzien słabsza i bledsza. Inna zarabia dziennie 15 ct.; — dziennie, to znaczy, szyjąc od 8 do 12 rano i od 2 do 7 po południu. Kto na tem się nie zna, nie rozumie, jak dziewczyna musi się spieszyć, żeby przez dzień uszyć koszulę; a za to dostaje 25 ct. lub, gdy koszula z zakładkami, 35 ct. W dodatku, dziewczyna, kierująca się na szwaczkę, uczy się, to znaczy, pracuje do trzech lat bezpłatnie; za naukę kroju osobno musi płacić 25 złr. Jeśli dobrze krój umie, biorą ją do prywatnych domów, a wtedy stoi istotnie świetnie; ma jedzenie i 50 ct. dziennie. „Stanieczarki” mogą również dojść na miesiąc do 15 złr. Ale to faworytki losu, a i im los nie zawsze jednakowo się uśmiecha. Zdarza się, że przez trzy tygodnie mają dobrą robotę; za to przez sześć rozbijają się za robotą, gdzie chcesz...”

„Po odtrąceniu czynszu — opowiada młoda, bardzo przyzwyczajona panienka, utrzymująca się z szycia — zostało mi na cały miesiąc 20 ct. Żyję bułką i herbata; dziś i na bułkę zabrakło...”

„Szwaczka, co przez dwa lata terminowała i krajać już niezgorzej umie, zarabia np. 20 ct. To na jedzenie z biedą mogłoby wystarczyć, ale dziewczynie więcej w głowie mantylka i kapelusz, niż zdrowie i chleb. Głodzi się, ledwie pięć centów odkłada na jedzenie, bierze na noc poboczne i jeszcze gorzej płatne roboty; za to koleżanek nie potrzebuje się wstydić, przychodzi do pracowni nie w chustec, lecz w kapeluszu...”

„Niewielka płaca w szwalniach — streszcza ktoś czwarty,

równie ze stosunkami obeznany, długoletnie swe spostrzeżenia — wielka i mozolna praca, wielkie nieraz moralne niebezpieczeństwo. Rozmowy, przykłady często najgorsze; zdarza się, że zakład nazywający się szwalnią, powinienby właściwie nosić zupełnie inne nazwisko. Raz, pamiętam, jak blakając się po kazimierskich zaułkach za jakimś antykiem, długo i mozolnie szukałem w najgłębszych czeluściach niekończącego się gmachu, gdzie ukryć się mógł jubiler, który, jeśli wierzyć trzeba było umieszczonemu nad bramą szyldowi, w gmachu tym miał swą pracownię. Wreszcie odnalazłem jubilera, ale w obszernym pokoju nie było śladu złota ni klejnotów; nikt nawet nie próbował bardziej na seryo udawać, że zna się na jubilerskiej sztuce; zamiast tego kilkanaście dziewcząt siedziało przy stole i żwawo, pod dozorem szpakowatego żyda szyło i krajało. Niewiele one na tem szyciu i krajananiu musiały dla siebie zyskiwać; może nic zupełnie — boć to praca poboczna, dla zajęcia czasu; może z jakie 10 ct. Ta cena praktykuje się przecież, jak mi zaręczono, nietylko w tego rodzaju pracowniach“.

„Tak! to nie do uwierzenia! — skarży się parę krakowskich pań, zajmujących się najżywiej i najszczerzej biedą i pracą kobiet. Zdawałoby się nie do uwierzenia, a jednak poddasza, suferyny naszych przedmieść zasiane są wziętymi przez Żydów warendę najemnicami, które w ciągłym półmroku ślęczą nad igłą za 10, ba! i za 8 ct. za całodzienną robotę. Żyd tanio sprzedawać musi krawatki, koszule, pończochy, aby móżdż rywalizować z zagraniczną konkurencją, zwłaszcza z Wiedniem, który zalewa swemi wyrobami nasze składy, bazy, nawet nasze „krajowe“ bazy. Na kimże Żyd się odbije, jeśli nie na robotnicach? Jeśli w dodatku, w czasie choroby, rodzinnego nieszczęścia pożyczył robotnicy parę reńskich, wtedy na całe życie zaprzędana w niewolę i o wydostaniu się z niej nie może ani zamarzyć. Nasze stowarzyszenia, taka np. „Praca kobiet“, mająca na celu dostarczyć kobietom uczciwego zarobku, nie może w żaden sposób sprostać tej strasznej konkurencji. My nawet początkującej szwaczce musimy płacić dziennie 25 ct.; mniej płacić, nie wiem, czy mogłybyśmy mieć serce i sumienie. Żyd płaci 8 ct. i dlatego pobija

nas na wszystkich licytacyach, zobowiązuje się do dostarczania koszul dla wojska po 50 ct.; zobowiązuje się do dostarczenia bluz dla kolejowej służby, za wiele niższą cenę, niż nam to, z największym wysiłkiem, jest możliwem“.

Łatwa, zdawałoby się, pociecha i odpowiedź na te żale. Po co tyle szwalni, które konkurencją przygniecione muszą ceny do ostatnich granic obniżać; czemu kobiety, potrzebujące pracy, tak się wpatrzyły w igłę i nici, jakby na nich świat się ograniczał?

Doskonała rada, i wiele, wiele z pewnością szwaczek, wiele może nawet „stanieczarek“, wiele modniarek, hafciarek chętnieby za nią poszły, gdyby naprawdę wiedziały, czego się chwycić poza niemi, włóczką i jedwabiem. Jest w Krakowie jedna jedyna, urządzona na większą skalę, fabryka tytoniu, która zatrudnia blisko tysiąc kobiet. Zarobki w niej stosunkowo idealne. Nawet pierwsze sześć tygodni próby i nauki nie są zupełnie bezpłatne; tygodniowo praktykantka dostaje w formie dziennego *adiutium* 25 ct. W przeciągu pierwszego półroku zaawansowawszy na „pupiarke“, dochodzi od 50 aż do 80 ct. dziennie; gdy z „pupiarke“ przemieni się w „robotnicę“ w ściślejszym tego słowa znaczeniu, zarobić może przy odpowiedniej zgrabności w palcach do 90 ct. dziennie, a nawet — co prawda, niesłychanie wyjątkowo, do 1 złr. 20 ct. Lecz cóż z tych pięknych cen, z idealnych warunków, kiedy tyle kandydatek fabrykę ciągle oblega, tyle próśb o przyjęcie ze wszech stron się sypie, że kto wreszcie przedrzeć się zdoła do tych zaczarowanych tytoniowych gmachów, mówić może o szczęśliwej gwieździe, pod którą się urodził. Ciągłe wdychanie tytoniowych wyziewów nie bardzo z pewnością zdrowe dla kobiecego organizmu; urzędowa statystyka podaje w tym kierunku bardzo wymowne, a niewesołe daty; lecz bądź co bądź chleb to pewny, praca do sił kobiecych zastosowana, a możliwie urozmaicona to rozmową, to pobożnym, to znów wesołym śpiewem.

Gdzieindziej napróżno za tak urozmaiconą pracę się oglądasz, tak wysokich zarobków szukasz. W jednej np. z fabryk guzików (na Podgórzu) — aby jeden przykład przytoczyć — pra-

cuje około 20 dziewcząt w zimie od 7-ej do 12-ej rano i od 1-ej do 7-ej po południu, w lecie od 6-ej do 12-ej rano i od 1-ej do 7-ej wieczór za nieprzekraczalną sumę 30 ct. dziennie.

Wynajęta przez większego przedsiębiorcę przekupka zadawalnia się nie kilkudziesięciu, ale kilkunastu centami; nie skarży się wcale, jeśli za sprzedaż bułek dostaje od piekarza wikt i dwa do trzech reńskich na miesiąc. Gorzej, gdy sama na własne ryzyko handel prowadzi, a niema odpowiedniego kapitału, aby zakupić towar w większej ilości i wywalczyć sobie dla mikroskopijnego straganika wygodniejsze, bardziej na oku będące miejsce. Jakież, dajmy na to, zyski zakarbować sobie może na wieczór ta pochylona ku ziemi babusia, która na ulicy Krzywej, rozłożyła przed sobą sześć, wyraźnie i dokładnie, sześć bułek. Albo tych kilka, co siadły naprzeciw siebie na ulicy — nie pamiętam dobrze — Piekarskiej czy Augustyańskiej, i zazdrośnym okiem rachują, ile na pół zgniłych jabłek, dziesięć, dwanaście, czy może aż piętnaście, ba! czyżby aż dwadzieścia, piętrzy się na straganach rywalek... Jakie zyski mieć może ta stara, zgarbiona Żydówka, rozglądająca się z niepokojem, czy kto z przechodniów nie rzuci okiem na jej makagigi; — a jakże niema się na wyżółklej twarzy malować niepokój, kiedy w domu ośmioro dzieci, wyżywić i ubrać je trzeba.

Dziewczyna, mająca uzasadnione lub nieuzasadnione pretensye do życia i która nie straciła otuchy, że będzie mogła zawsze w kapeluszu chodzić; uważa siebie i uważaną być pragnie za „coś lepszego“, garnie się, jak długo może, do igły, ogląda się za robotą w szwalni, fabryce, drukarni, za mniej więcej samoistnem, choćby nie bardzo rentującym się, stanowiskiem przy kramie i straganie. Dziewczyna, która z góry, lub po smutnem głodowem doświadczeniu, musi zrezygnować z tych ideałów, a nie chce zejść na prostą wyrobnicę, tem mniej na żebraczkę, zaciąga się w szeregi praczek lub zwiększa pokrewną armię służących. Szczęśliwa, jeśli spełnią się marzenia, które jedna z nich streściła w następnym, grubym ołówkiem na ścianie wyrytym dwuwierszu:

Pójdę za murarza, będę dobrze jadła,
Za centa kartofli, za dwa centy sadła.

Chodząc po ciasnych uliczkach, w których mieszkają najubożsi, po ciasnych, niemożliwie brudnych kurytarzykach kazimierskich lub podgórskich kamienic-ruin, dolatuje raz po raz duszący zapach parującej wody i ostrych, ługowych ingrediencyj, zmieszany z mniej jeszcze miłemi woniami wydzielającemi się z piętrzących się stosów brudnej bielizny. To królestwo praczek. Przed olbrzymią balią stoi kilka kobiet i mocuje się z nieposłusznem płótnem, kilkoro dzieci pod nogami się im kręci i bawi się obficie wkoło rozlatującemi się mydlinami; pod oknem młody chłopak siedzi na zydelku i nie zważając na krzyki dzieci, gniewy matek, rozpryskujące się barwnie mydliny, kartkę po kartce zapamiętałe przewraca i lekcycę powtarza. Ciasno tu, gorąco, duszno; w małej ciupce mieści się wokoło balii tyle łóżek i tapczanów, ile zmieścić się może: cztery, pięć, czasem więcej; ale byle roboty nie brakowało, fachowa praczka mniej skarży się na swój los, i rzeczywiście mniejsze ma do tego prawo, niż niejedna szwaczka, kwieciarka, magazynowa panna. Skromniejsze jej wymagania, niekonieczny kapelusz, rękawiczki i parasolka; za-robek, w ogóle mówiąc, większy i pewniejszy.

Kto chce mieć jakiegokolwiek wyobrażenie, jaka armia służących stoi w Krakowie załogą, niech w uroczystość św. Zyty, patronki służących, stanie sobie przed piątą rano koło kościółka św. Barbary, i obserwuje, jak ze wszech stron, z wszystkich placów i ulic płyną i płyną ku kościołowi barwne fale kobiet i dziewcząt. Zdawałoby się, że ten pochód się nie skończy, kościół wszystkich nie pomieści; a to przecież ledwie jeden oddziałek wielkiego wojska, wybrany z najporządniejszych i najpobożniejszych. I w tym oddziałku jak różne stroje, tak różne, wszystkiemi barwami — czarnej nie wykluczając — mieniające się losy. Cóż mówić o innych oddziałach: mamek kazimierskich, sług żydowskich, sług wynajmowanych przez stróżów, sług tak biednych, bosych, obdartych, że choćby chciały, wstydzą się do środka miasta zaglądać i stanąć w gronie sześcieliwszych, możniejszych koleżanek!? Służący lepiej zawsze stoi, łatwiej sobie

radę daje i jeśli dobrowolnie nie odda się w niewolę zgubnemu jakiemu nałogowi, może sobie zwyczajnie trochę grosza uciulać; służąca, nawet zupełnie bez własnej winy, nawet ciężko i pocziwie pracując, znaleźć się może, znajduje się raz po raz w formalnej nędzy — na bruku. Tyle jej nieraz przeróżnych niebezpieczeństw, pokus w oczy zagłada, że aby zwycięsko się im oprzeć i nie stracić ani cnoty, ani krwawo długoletnią pracą zarobionych kilkudziesięciu, kilkunastu reńskich, niemałego potrzebuje chrześcijańskiego hartu, niemałej roztropności.

Z jakimże, bywa, wyzyskiem, z ilu niebezpieczeństwami, połączone już samo poszukiwanie „obowiązku“, dostanie się do „obowiązku“! Na nieroztropne wiejskie dziewczyny, które szukając służby, znalazły się po raz pierwszy w większym mieście i na wszystko wielkie oczy robiąc, zupełnie w niem głowę straciły, czyha uprzejmy faktor-Żyd i chwyciwszy w swe szpony nieszczęśliwą ofiarę, oddaje w niewolę do — publicznych domów i koncesyonowanych i niekoncesyonowanych. Na różnych ulicach, w różnych czasach, ma miejsce oryginalna ta naganka, w której, nie wiedzieć co bardziej podziwiać: spryt i doświadczenie naganiaczy, czy naiwność pędzonej do jam zwierzyny? Na Siennej ulicy, w niedzielę rano formalny jarmark na dziewczęta, szukające służby, roboty; przychodzi Żydówka, Żyd, gospodyni, co żadnej służącej u siebie utrzymać nie może i dalej w targi, nawet nie w targi z samą dziewczyną, ale z Żydówką, która z pocziwego serca narzuciła jej się na faktorkę i opiekunkę. Podobne targi, z tą różnicą, że nie pod otwartem niebem, ale między czterema ścianami, odbywają się w dość licznych agencjach, kantorach, biurach. Znajdują się w nich, jak zapowiadają przymocowane do drzwi tablice i rozlepiane od czasu do czasu afisze, i zaraz są do umieszczenia: bony, mamki, pokojówki, kucharki, panny młodsze, panny starsze, rutynowane gospodynie, wiejskie dziewczki, parobki, masztalerze, lokaje, ekonomowie, rządcy... patrzysz — czy nie dojdiesz kolejno do dam dworu i ministeryalnych sekretarzów.

Przed małym stolikiem siedzi pani agentka, zajęta, zapracowana; przed nią stos papierów; wszystkie biurkowe przedziały

wypełnione listami, metrykami, książeczkami służbowemi. Niedaleko na krzesłach parę pań poszukujących dobrej dziewczyny „do wszystkiego“, idealnej kucharki, która w razie potrzeby mogłaby się też zająć Zosią lub Józiem i przyprowadzić nieco nadszarpaną i nablotnioną garderobę pana i pani, paniczów i panienek do odpowiedniego ładu i składu. Pod oknem, na dwóch ławkach zajęły miejsce dziewczyny sprowadzone przez agentkę na naznaczoną godzinę „do łaskawego wyboru“. To ta, to tamta pani, to ku tej, to ku innej kandydatce się zwraca, wypytuje głośno a szczegółowo o umiejętności jej i zdolności; zadaje — zawsze publicznie — tak czasem niedyskretne, „prosto z mostu“ stawiane pytania, że najmniej nawet wrażliwa dziewczyna pousem się oblewa i nie wie gdzie się ukryć przed ciekawem okiem i uchem obecnych; ogląda, opatruje czy ręce silne i zdrowe, czy w nogach niema defektu; przepisuje i reguluje przyszyły strój, wychody na miasto, zatrudnienie; wreszcie zatyka sobie uszy na postawione nieśmiałym głosem „śmieszne, niemożliwe, wygórowane pretensye“... Agentka do tych targów — które mimowoli nasuwają na myśl afrykańskie targi niewolników — zupełnie się nie miesza; wie dobrze, że zarumieniona, splakana dziewczyna musi na służbę się zgodzić; nie zgodzi się dziś na tę, zgodzi się jutro na inną, może jeszcze w gorszych warunkach; zgodzi się, bo głód despotyczny pan. Wie i o tem, że grymasna pani, w ostatnim kwartale trzy kucharki przepędziła, i że jeżeli dziś czwartej nie dostanie, będzie musiała sama własnymi swemi rączkami, do rondli i garnków się zabrać. Wszystko więc pięknie płynie; obie strony, choć czują ku sobie wzajemną nieufność, zapłacą należyty haracz agencyjnej kasie; obie po paru miesiącach a może i paru tygodniach zgłoszą się prawdopodobnie z gotowością złożenia nowego haraczu.

Dla sługi ciężki to haracz; wynosi on zazwyczaj całą miesięczną płacę, tak, że kto parę razy na rok zmienia służbę za pośrednictwem kantoru, pracuje i zarabia raczej dla niego, niż dla siebie. Może tu czasem trochę pomódz dobra wola kantrowej pani. Zdarzyło mi się spotkać jedną taką, co wyglądała raczej na opiekunkę, na matkę biednych istot chroniących się

pod jej skrzydła, niż na przezorną kupcową, na to jedynie spekulującą, aby sprzedać jak najwięcej towaru z możliwie najwyższym zyskiem. Cóż, kiedy właśnie z powodu może tej zbytnej, może nie zawsze dość roztropnej poczciwości interes nie szedł. „Nie mam serca — tłumaczyła się po prostu naczelną agentka — być zanadto ścisłą i wymagającą względem nieszczęśliwych dziewcząt; wiem, że to długo nie potrwa, będę musiała kantor zwinąć, ale jak odmówić kawałka chleba, a nawet przytulku na noc wygłodniałej, nie wiedzącej gdzie się obrócić biedaczce. Całe gromady zgłaszają się z prośbą o obowiązek; nieszczęściem nie mam im gdzie dostarczyć obowiązku odpowiedniego ich siłom i zdolnościom. Miałam panienkę bardzo porządną; jak ona prosiła o służbę, żeby nie być nikomu ciężarem, ale jakąż jej służbę było wyszukać, kiedy nie miała sił do froterowania i w ogóle do cięższej pracy. Druga, która kiedyś znajdowała się w zupełnie innem położeniu, zostawiła u mnie swe weale porządne sukienki, a sama kupiła sobie najprostsze i najęła się do kuchni. Wątpię, żeby mogła długo wytrzymać; ale jak nie wytrzyma, co dla niej zrobić, gdzie ją dać?...”

To wyjątkowy kantor. W innych panuje wszechwładnie prosty, zimny interes; w innym interes nie waha się obierać i dość ślizkich ścieżek, które niedoświadczoną dziewczynę mogą bardzo szybko sprowadzić na samo dno moralnego zepsucia. Jeden z mych znajomych spisał mi następny protokół z wizyty odbytej w jednym z kantorów, o którym różne mniej pochlebne pogłoski poprzednio mi już dochodziły:

„Pani agentka przyjęła mię grzecznie i z góry oświadczyła, że dostarczy chłopca do usług, pokojowej, gospodyni, jakiej zapragnę. Byłe zapłacić biurowego wstępnego podatku guldena, a w najgorszym razie koronę, reszta fraszka. Chłopak — zaręczała — zgodzi się miesięcznie na trzy, najwyżej cztery reńskie. Pokojowe, gospodynie w różnych są gatunkach i różnym wieku; różne też ceny. Pokojowe od 3 aż do 10 reńskich miesięcznie; gospodynie, wyborowe aż do 15 złr. Mam osoby „przyjemne“, osoby „fertyczne“; dostarczyć mogę, jeśli kto zażąda. Oczywiście to się mówi bez żadnego złego zamiaru; ale ponieważ nie-

k którzy takich się domagają, albo dla siebie, albo dla synów, żeby się za domem nie lampartowali, więc się naprzód uprzedza“...

Po długich, a jakże często niemiłych korowodach, z kantoru, za rekomendacją odchodzącej służącej lub znajomej pani, własnym sprytem i przemyśłem, dostaje się wreszcie Kaśka lub Magda do upragnionego portu, do „obowiązku“. Dokąd się dostała, co jej służba przyniesie, jaki wyciągnęła los? Kto los na loteryi ciągnie, nie wie jaki wyciągnie; i tu loterya, i tu dziewięć razy na dziesięć zupełna obopólna nieświadomość, złączona z obopólnem niezaufaniem. Dobrze, jeżeli nazajutrz, jeżeli po tygodniu nie będzie się pani skarżyć przed panem na Kaśkę, na jej nieumiejętność, lenistwo, hardość; jeżeli Kaśka nie będzie przed świeżą znajomą z drugich schodów, przed koleżanką z drugiej kamienicy wywodzić żalów na panine kaprysy, wymagania, skąpstwo.

Dużo oczywiście w tych obopólnych żalach przesady, nie-mało i prawdy. „Żał mi pań, ale żał mi i służących — informuje mnie jedna z pań, której ważna, o wiele ważniejsza i szersze zataczająca kręgi, niż czasem myślimy, kwestya domowej służby bardzo leży na sercu. — Panie skarżą się: służąca wymaga dużo, a nic nie umie. Prawda, że rozpacz, jak nic nie umie. Z kilkuset służących, które pod mojem okiem przeszły przez „Przytulisko“ ledwie sześć umiało porządnie prać; o delikatniejszych robotach, o wykwinniejszej kuchni już nie mówię. Istotne „szturmaki“, popychadła; co przez miesiąc zarobi, to przez drugi zjada, i tak w kółko. Ale z drugiej strony, jak zdarza się ciężka, nad siły praca, a jak skąpa płaca! Dziewczyna poświęcić musi najmniej godzinę na należyte wyfroterowanie pokoju. Jeśli ma cztery pokoje, dwie konewki wody na drugie piętro zanieść, jeśli jeszcze dostatecznie się nie odżywia, dostaje bólu głowy, chorować zaczyna na serce i nigdy już zupełnie do siebie przyjść nie może. Coraz słabsza, coraz bledsza, więc w tym i w tamtym domu jej nie chcą; szukać sobie musi coraz nowej służby, a każda z kolei gorzej płatna. Zwolna rozpływają się uskładane za lepszych czasów oszczędności. Znam dziewczyny, które, wyszedłszy

ze służby, przez trzy dni nie jadły; nie było centa na kupienie kawałka suchego chleba“...

„Są miejsca bardzo dobre, w których służący, czy służąca uważani są za członków rodziny, pielęgnowani w chorobie, w których pani pilnie uważa, aby dziewczyna nie wdawała się z podejrzanymi ludźmi, którzy pragną ją wyzyskać, a zarobiony grosz składała regularnie na książeczkę kasy oszczędności. Przy dobrej woli, przy odpowiednim kierunku i zachęcie może sobie nawet znaczniejszą sumkę uciulać. Moja np. służąca ma dopiero lat trzydzieści, u mnie jest lat siedm, a przez ten czas zebrała sobie i ma w kasie 300 złr. To też znana to już dziś, w swych sferach bardzo poważna partya; nachodzą ją faktorzy ze spisem kawalerów do wzięcia, proponują lokajów, dorożkarzów, ba! i krawców! Ale tak, niestety, nie wszędzie się dzieje; nie wszędzie, choćby przy heroicznym wysiłkach, można dojść do podobnych rezultatów. Bywa, że służące są wyzyskiwane, wprost głodzone. Przed północą nie mogła iść spać, bo państwo na wizycie, lub mieli gości; o piątej na nogach być musiała, posprzątać salon, wyfroterować, naczynie obmyć. Oczy się jej kleją, głodna jak lew, a pani przysłała do niej panienkę ze szklanką cienkiej herbatki i jedną bułeczką. Wieczorem znów herbata i bułeczka. Na obiad kazała pani na trzy osoby wziąć pół funta mięsa; co zostanie, może służąca-kucharka bez dalszego rachunku, obrócić dla siebie. Cóż ma robić? Głodzi się przez parę dni, później musi albo poprostu kraść, albo ze szczupłej swej pensyjki, ze swych pięciu, czterech, trzech guldenów miesięcznie, dokupywać dla siebie niezbędnego pożywienia“.

„A cóż mówić — dorzuca z oburzeniem ktoś inny — o tych nie ludziach, ale potworach, co umyślnie starają się zepsuć służącą u siebie dziewczynę, ponieważ potrzebują, lub obrachowują, że potrzebować będą mamki dla swych dzieci, a szukać innej kosztowałoby i więcej pieniędzy i zachodów. Wiem o takich wypadkach“...

„Moja służąca — rzuca jedna z pań charakterystyczny obrazek — nie ma nic, tylko to co na sobie, tę samą suknię i na zimę i na lato. A przepraszam! — ma zachowaną starannie, od

możliwego wypadku, suknię ślubną, welon, rękawiczki, różową chusteczkę, słoik z pudrem i drugi z gliceryną. Zresztą ani innej sukni, ani pościeli, słowem, nie a nie...”

„Obsługaczki“, które dochodzą na parę godzin zrobić w domu konieczne porządki, zamieść, podłogę umyć, robią stosunkowo lepsze interesa, niż służące, mordujące się i głodujące u Żydów, u stróżów, u biedniejszych rzemieślników, za trzy reńskie na miesiąc; przy znaczniejszej konkurencyi i za półtrzecia, za dwa reńskie.

„Chodzę po obsługach — opowiada z zadowoleniem pochyłona ku ziemi, lecz dość jeszcze krzepka staruszka. — Chodzę co dzień dwa razy z Podgórze na Kazimierz. Porządek robię; cztery podłogi, gdy trzeba, obmyję. Za to jeden Żydek płaci miesięcznie dwa reńskie, drugi reński i 70 ct.”

„Tak! — pochwytuje stróżka z poblizkiego domu, ona wielka pani; nam gorzej, a ciężiej musimy się napracować i broń Boże, krokiem z domu się poruszyć. Ani pieniędzy, ani wolności! Oj! dobrze że mi, dobrze u tych Żydów służyć; same Judy, Chaje, Izaaki, Pinkusy! Gdybym była wiedziała, jak mi będzie dobrze, tobym nigdy tu nie była przyszła!”...

Rodzina stróżów, dusząca się w ciasnej, ciemnej i brudnej izdebce, trzyma sobie znowu dla własnej powagi i dla obsługi dzieci kilkunastoletnią dziewczynę, zabraną wprost z bruku, świeżo ze wsi przybyłą. Co to za mieszkania, co w nich za zapachy, ilu ludzi w tej czarnej, suterynowej norze, tak łózkami, tapezanami zastawionej, że dwie osoby nie mają się w niej gdzie obrócić! Ciasno, duszno, a jednak mieszczą się tu: stróż, stróżowa, kilkoro dzieci różnego wieku i płci, często paru lokatorów, odnajmujących kącik na noc, wreszcie służąca dziewczyna, której siennik wędruje wokoło ścian, stosownie do tego, jeśli i gdzie koło ściany znajdzie się kawałeczek niezajętego miejsca; gdy się nie znajdzie, rozpościera się w centrum izdebki.

W dzień dość tu pusto; za to wieczorem gwarno, rojno. Schodzą się chwilowo lokatorzy: zmęczeni, zziębnięci wyrobnicy, stróż bez zajęcia, służące, oglądające się za obowiązkiem, zgłodniałe dziewczyny bez domu i pracy, które puściły się już na

lekki chleb, lub przemysliwają, czy się nań nie puścić, czy nie pójść za śladami tej, tej i tej towarzyszki. Gdyby poddać badaniu tych zafrasowanych o dzień jutrzejszy lokatorów, przekonalibyśmy się, że może połowa z nich znajduje się w stadium przejściowem: jeśli jutro, pojutrze znajdą stały obowiązek lub choćby chwilową robotę, będą dalej ucziwają pracą wedle sił z biedą walczyć; jeśli nie znajdą, obrócą się na drogę występku lub zaciągną się do olbrzymiego wojska żebraków. Młodej dziewczynie otwierają, ułatwiają usłudze faktorzy drogę występku, która ją z nieubłaganą koniecznością doprowadzi do żebraczego kija; stary stróż, dla każdego rządcy kamienicy za stary, musi chwycić za garnek i pukać do klasztornej furty o trochę gorącej strawy; starsza, w reumatyczne kleszcze pochwyciona praczka, służąca, która nie mogła lub nie umiała zebrać sobie na starość, na chorobę kilkudziesięciu guldenów, nie ma innej rady, jak zapisać się do żebraczego cechu. Inna ma trochę pieniędzy, ale pragnie ich jeszcze przysporzyć; inny lub inna mogliby od biedy pracować, ale uważają, że wbrew przysłowiu można i bez pracy dostać kołaczy; jeszcze inni zrobili sobie z żebraniny rodzaj formalnego rzemiosła. Różne rodzaje i oddziały żebraków, różne mundury ich i bronie, wszyscy razem tworzą bardzo poważną armię, co do której Kraków nie potrzebuje się obawiać rywalizacji z żadnem bodaj, innym równem sobie miastem.

(C. d. n.)

Ks. Jan Badeni.

LUDY TURAJSKIE I ICH POJĘCIA RELIGIJNE.

(Dokończenie).

W poszukiwaniach za ludami Turajskimi przychodzimy obecnie do krajów, w których pobyt tych ludów zaznaczony został tak licznymi i wybitnymi śladami, iż wszelka wątpliwość pod tym względem jest wykluczona — ludy Turajskie zajmowały w czasach przedhistorycznych Indye i Egipt.

W badaniach naszych nad religią Hindów zaznaczyliśmy¹, że pierwotna ludność Indyj była murzyńska, następnie od północnego zachodu i wschodu wkroczył lud, który dziś jest znany pod nazwą Drawida, wreszcie przybyli Aryowie.

Co się tyczy murzynów i Aryów, nie było żadnej trudności, lecz co do pochodzenia ludów Drawida. etnografowie nie godzili się na jedno: niektórzy uważali je za Mongołów, inni upatrywali w nich wychodźców z Babilonii, t. j. Chamitów: za tem ostatniem zdaniem poszliśmy w naszej poprzedzającej pracy. Obydwa zapatrywania miały za sobą poważne dowody, ale też zarazem i bardzo poważne zarzuty; dokładniejsze badania, wykazujące osiedlenie Indyj przez ludy Turajskie, usuwają wszelkie trudności.

I tak, musimy koniecznie przypuścić, że w czasach przedhistorycznych znaczny zastęp Chamitów wtargnął do Indyj, prawdopodobnie z Chaldei i tam zaszczerpił swe religijne pojęcia

¹ *Religie Aryów Wschodnich*, str. 367 i nast.

i kult ohydny. Nie uwzględniając tego czynnika, nie można żadnym sposobem zrozumieć działów, na jakie rozpadają się sekty religijne w Indyach.

Badania religijne Hindów wykazały stanowczo, że Siwaizm jest religią chamicą, co więcej, jak to staraliśmy się dowieść¹, że „pierwotni Siwaici byli Kuszytami“, otóż, wobec tych danych a nadto wobec innych dowodów, jakie dają historycy², można słusznie twierdzić, że w skład ludów półwyspu indyjskiego weszły niegdyś ludy chamicie. Typowi jednak Chamici nie istnieją dziś w Indyach, pomieszaali się z pra-mieszkańcami i nowymi przybyszami; przekazali obcym plemionom niektóre właściwości cielesne i psychologiczne, przedewszystkiem zaś swą religię. Otóż, ponieważ Drawidowie wyznają Siwaizm, wśród nich prawdopodobnie rozplynęły się ludy chamicie, a ślady, jakie tam po nich zostały, dały powód historykom do upatrywania w nich Chamitów. Jednakże znamiona cielesne i psychologiczne Drawidów wskazują, że oni nie są Chamitami, w samym nawet ich Siwaizmie odnajdują się cechy, które wskazują inne pochodzenie; nie są również Mongołami, jak to zobaczymy, choć z nimi blisko spokrewnieni.

Nie trzy tedy, lecz cztery warstwy różnych ludów składały się na utworzenie dzisiejszej ludności półwyspu hinduskiego (pomijamy tu późniejsze, całkiem historyczne wtargnięcie innych ludów); w niniejszej pracy postaramy się wykazać, że drugim z kolei ludem, który wtargnął do Indyj, był lud Turajski, znany obecnie pod nazwą Drawida.

Drawidowie zamieszkują obecnie część południowych Indyj, mianowicie Dekkan, lecz nie są jego pra-mieszkańcami³; ludność ich wynosi około 50 milionów.

¹ *Religie Aryów Wschodnich*, str. 356 i następ.

² Przedewszystkiem znakomite prace Fergusson'a, *Ind. and E. Arch.*, vol. I, pp. 12, 1074.

³ „Although they preceded the Aryan-speaking Hindus, the Dravida are not the true aborigines of the Deccan, for they were themselves preceded by dark peoples, probably of aberrant Negrito type“. Keane, *Ethnology*, p. 417.

Z powodu cielesnych znamion niektórzy etnografowie zaliczali ich do Mongołów¹, inni, a przede wszystkim Lassen², do rasy kaukazkiej. Otóż Drawidowie posiadają niezawodnie znamiona tak rasy białej, jak i żółtej, które w swych szczegółach są prawie identyczne ze znamionami ludów Turajskich³.

Język Drawidów jest aglutynacyjny i należy do rzędu języków Turajskich. Bunsen i Max Müller dzielą języki Turajskie na trzy klasy, mianowicie: drawidyjskie, kaukaskie i altajskie. Rask z Kopenhagi i dr. Caldwell utrzymują, że języki drawidyjskie są spokrewnione z językami scytyjskimi, turajskimi i altajskimi. Wreszcie Maury⁴ streszcza odnośne badania lingwistyczne i twierdzi ostatecznie, że język Drawidów jest w pełnem znaczeniu tego wyrażenia językiem Turyów.

Jakkolwiek znamiona cielesne przemawiają za przynależnością ludów Drawida do szczepu Turajskiego, co już było po-

¹ „They are usually regarded as a Mongoloid people, who entered India from the north west, leaving on the route the Brahuīs of Balu-chistan, whose language shows some remote resemblance to Dravidian. But at present the type cannot be called Mongolic“. Keane, *Ethnology*, p. 417.

² *Ind. Alterth.*, vol. I, p. 409.

³ Balfour w ten sposób streszcza wyniki badań Logan'a: „The cheek-bones are often much more prominent than in the Iranian, and less so than in the typical Turanian, the projection being frequently anterior more than lateral. The lips are full or turgid, and turned out, frequently with sharp edges. Slightly prognathous heads are not infrequent. The bridge of the nose is generally less prominent than in the Iranian, and much more so than in the Turanian... The eyes almond-shaped and slightly oblique, and the chin is short“. *Cyclop.*, vol. II, p. 1074.

Maury pisze: „La couleur foncée de la peau de la plupart de ces tribus les rapproches des Australiens; et en effet, il est à croire que les populations que subjuguèrent les Aryas, avaient d'abord soumis des tribus noires, congénères des Australiens, premiers indigènes de l'Hindoustan, auxquels elles se mêlèrent“. *La Terre et l'Homme*, p. 426.

⁴ „On peut donc admettre, que les diverses familles de langues ici examinées, (les dravidiennes, les caucasiennes et les altaïques), appartiennent à une souche commune, souche à laquelle le nom de touranienne, tiré du nom de Touran appliqué par les Iraniens à l'Asie central, convient assez bien. Il faut probablement chercher le prototype de toutes ces langues dans ce qu'on a appelé le médo-scythique, idiome parlé vraisemblablement par des tribus indigènes de la Médie et de la Susiane, de la même race que les Chaldéens primitifs qui, originaires des monts Carduques, en-

wodem, że tacy pisarze, jak Hodgson, Fergusson, Balfour zaliczali je do tego szczepu, właściwie jednak znamiona ich psychologiczne stwierdziły dopiero stanowczo, że domysły te należy uznać za prawdę historyczną.

Wśród Drawidów odnajdujemy dwa charakterystyczne znamiona ludów Turajskich, mianowicie Totemizm i Zoolatrię.

Znaną jest rzeczą, że Indye są jedynym krajem, gdzie kastowość przebrała wszelką miarę. Warstwy społeczne wyrabiały i wyrobiły się wszędzie, wśród wszystkich ras i szczepów, lecz liczba ich była i jest wszędzie nader ograniczona; w Indyach zaś, szczególnie w Indyach południowych, liczba kast jest nieprzeliczona; w samej prowincyi Madrasu liczba ich dochodzi do dwudziestu tysięcy. Otóż, jakkolwiek wiele powodów składało się na ostateczne ustalenie się tych kast, rzeczą jest pewną, że wśród Drawidów główną ich podwaliną był Totemizm.

Plemiona Drawidyjskie Gondowie, Oaranowie, Mundahowie, Kolarowie albo Kolowie dzielą się dotąd na klany, które noszą nazwę zwierząt, mianowicie: niedźwiedzia, sowy, sarny, węgorza, kruka, jastrzębia, czapli i t. p. Należący do klanu nie używają na pokarm zwierzęcia, które jest ich Totemem. W niektórych prowincyach plemiona noszą nazwy, w skład których wchodzi wyraz *nag*, *naga* t. j. wąż; plemiona Kolów dają sobie przydomek *Nagbhansi* t. j. „zrodzeni z węża“; wiele rodzin książęcych ma w swym herbie Nagę¹.

Aryowie przekroczwszy Himalaje spotkali się z plemionami, noszącymi nazwę swego Totemu; w Rig-wedzie² znajdujemy hymn, gdzie jest mowa o ludzie lub mężu, który miał na-

vahirent l'Assyrie, trois à quatre mille ans avant notre ère, et soumirent la population couschite qui l'occupait“. Maury, *La Terre et l'Homme*, p. 505.

Wreszcie przywodzimy tu świadectwo znakomitego lingwisty: „The Dravidian tongues have some peculiar phonetic elements, are richly polysyllabic, of general agglutinative structure, with prefixes only, and very soft and harmonious in their utterance. They are of a very high type of agglutination, like the Finnish and Hungarian“. *The Life and Growth of Language*, by Whitney, p. 244.

¹ Pisaliśmy o tem obszerniej w *Religii Aryów Wschodnich*, str. 128, 410.

² x, 86.

zwę *Wriszakapi*, dosłownie „Mąż-malpa“ i jego wrogach „Psach“. W późniejszym piśmiennictwie wzmianki takie są częstsze.

Aryowie prowadzą wojny z *Nagami*, t. j. „Wężami“. I tak, w *Maha-bharata*¹ czytamy, że król Dżanamedżaja, potomek wielkiego Ardżuny, wygubił całą rasę Nagów. Zapewne jest tu mowa o jednym lub kilku pokoleniach, szczep bowiem Nagów pozostał i nadal w Indyach. Za czasów Aleksandra W. w Magadha panował Nanda, król Nagów, zamordowany przez swego ministra Czandraguptę, z grecka Sandracottus. Według źródeł historycznych Nagowie przyczynili się do rozpowszechnienia buddyzmu w Indyach; słynny Asoka, wnuk Czandragupty uznał buddyzm za religię panującą. *Maha-bharata* podaje² całą genealogię rasy Nagów, jakkolwiek wiele szczegółów na karb wyobraźni trzeba zaliczyć, poważni jednak Indologowie uznają w poemacie zdarzenia historyczne.

Historycy przyjmują dziś, że przed wtargnięciem Chamitów i Aryów istniało niegdyś potężne państwo Nagów, które rozpadło się następnie; potomkowie ich, wyparci w niedostępne góry, żyją dotąd w Assamie i Burmie i noszą nazwę Nagów. Balfour pisze³: „Naga albo Takszak są wyrazami sanskryckimi, oznaczającymi kobrę albo węża. Rasy, które przebywały w Indyach przed wejściem Aryów nazywane są w starych księgach Naga, Rakszasza, Dasza, Asura. Cały szczep Scytów, według mitologicznych podań, pochodził od istoty, która była pół-wężem i pół-niewiastą, a która zrodziła Heraklesowi, jak podaje Herodot⁴, trzech synów. Rzeczą jest prawdopodobną, że to podanie oparte jest na fałszywym, mianowicie, że przodkowie ich należeli do dwu ras: ojciec był Nagą, matka pochodziła z innej rasy; potomkowie zachowali nazwę i Totem ojca. Podobne przykłady zdarzają się w Hindustanie; i tak, pokolenia Numri albo Lumri

¹ I, 1547—2197. „Naga, a Scythic race who appear to have occupied part of India prior to the appearance of the Aryans. In the mythology of India they are described as true snakes“. Balfour, *Cyclop.*, vol. II, p. 1041.

² I, 1500—1505; 5018—5035.

³ *Cyclop.*, vol. II, p. 1042.

⁴ IV, 9, 10.

Baludź wywodzą swój ród od „lisa“, od „żółwia“ zaś Radżpuci Kuczhuaha“. Hindowie inny podają rodowód Nagów, który, jakkolwiek ubarwiony i przesadny, potwierdza jednak mniemanie, że Nagowie należą do rasy mieszanej.

W drugim, słynnym na całe Indyje, poemacie Ramajana znajdujemy opowieść, która dowodzi również Totemizmu.

Rama, wielki wojownik i król w południowych Indyach, który prawdopodobnie nie był Aryem, lecz Chamitą¹, sprzymierzył się z Sugriwą, królem „Małp“ i przy pomocy zastępu „Małp“ i ich wodza Hanumana, zdobył Lankę (Cejlon) i odzyskał małżonkę swą Sita, uprowadzoną przez Rawana². Sir William Jones uznaje główne zdarzenie, opowiadane w Ramajanie jako dziejowe i naznacza nawet dokładnie czas, w którym Rama podbił Indyje Południowe, mianowicie rok 2018 przed Chr. Sprzymierzeńcy Ramy nie byli zwierzętami, lecz pokoleniem wojowniczym, które nosiło nazwę swego Totemu³.

Wobec świadectw historycznych, podań ludowych i praktyk wielu dzisiejszych pokoleń można stanowczo twierdzić, iż Totemizm musiał niegdyś istnieć w Indyach na szeroką skalę.

W Indyach, tak samo jak u ludów Turajskich, Totemizm idzie w parze z Zoolatrią: po dziś dzień wiele bardzo pokoleń czci dotąd po staremu zwierzęta.

W prowincjach, zwłaszcza południowych i wschodnio środkowych istnieje bardzo rozpowszechniony kult Węża i Małpy.

W poprzedniej naszej pracy⁴ podaliśmy obszernie stresz-

¹ *Religie Aryów Wschodnich*, str. 372.

² *Ramajana*, 1, 16.

³ „In point of fact, there can be little doubt that Hanuman was originally a mere poetical deification of some well-known leader of the wild aboriginal tribes, whose appearance (?) resembled that of apes, and who really rendered effective assistance to Rama in his battles with Ravana“. Sir Monier Monier-Williams, *Brahmanism and Hinduism*, p. 220.

Sir A. Lyall pisze: „Hanuman is now generally supposed to have been adopted into the Hindu heaven from non-Aryan or aboriginal idolators... Then there is the modern idea that the god was really a great chief of some such aboriginal tribe as those which to this day dwell almost like wild creatures in the remote forests of India“. *Asiatic Studies*, 13 sq.

⁴ *Religie Aryów Wschodnich*, str. 408 i następ.

czenie kultu węża w Indyach. Hindowie niższych kast, a więc nie-Aryowie, czczą nietylko węże w obrazach i posągach, lecz nadto węże żywe; po całych niemal Indyach rozsiane są gęsto osobne świątynie, w których kapłani utrzymują i wychowują te gady, którym lud okoliczny cześć najwyższą oddaje¹.

Tak samo rzecz się ma z małpami². Hanuman, bóg „Małp“ jest ogólnie czczony, osobne i liczne świątynie jemu są poświęcone. Bałwan Hanumana zajmuje w świątyni naczelne miejsce, drugorzędne dopiero miejsca zajmują posągi takich nawet słynnych bożków, jak Rama i Kryszna. Przy świątyni Hanumana kapłani zwyczajnie chowają na pół-oswojone małpy i żywią je ofiarami pobożnych czcicieli. Sir Monier zwiedził w Benares jedną z tych świątyń, która nosi nazwę „świątyni małp“ i dał w swem dziele³ jej opis.

Czy istnieją w Indyach specjalne świątynie, poświęcone innym zwierzętom, dotąd nie stwierdzono, lecz pewną jest rzeczą, iż w całych Indyach istnieje kult zwierząt, mniej więcej publi-

¹ „Snake worship — mówi dr. Balfour — is general throughout Peninsular India, both of the sculptured form and of the living creature. The sculpture is invariably of the form of the Nag or cobra, and almost every hamlet has its serpent deity. Sometimes this is a single snake, the hood of the cobra being spread open. Occasionally the sculptured figures are nine in number, and this form is called the Nao nag, and is intended to represent a parent and eight of its young; but the prevailing form is that of two snakes twining in the manner of the Esculapian rod... If there be a Naga temple in the village, every one goes there to perform worship. The women proceed to snakes'holes, circle round hand in hand, prostrate themselves, and pray for blessings. Offerings are then made to snakes of milk, grain, and other articles poured into holes... There are several in the town of Madras, and one of great extent at Vasarapad, where crowds of Brahman women come every Sunday morning to worship“. *Cyclop.*, vol. II, p. 1044.

² „The veneration in which apes and monkeys of every kind are held throughout India cannot fail to strike a stranger as remarkable... All monkeys are believed to be his (Hanuman) near relations, though they were probably objects of worship long before his time“. Monier-Williams, *Brahm. and Hind.*, p. 222.

„The ancient Egyptians are said to have worshipped monkeys. Some of them in India are still worshipped“. E. Balfour, *Op. cit.*, vol. II, p. 978.

³ *Brahm. and Hind.*, p. 327.

czny, więcej lub mniej otoczony zasłoną i zhinduzowany. Monier-Williams pisze ¹: „Ryba, żółw i dzik są czczone jako weielenia Wisznu. Ryby przechowywane są w sadzawkach i karmione ze względów religijnych. W Mathura, w pobliżu świątyni, zauważyłem święte żółwie i turkawki, które otrzymują pokarm od kapłanów i pątników. Krokodyl jest poświęcony Kama-deva: nie tak dawno jeszcze rzucano do Gangesu na ofiarę dzieci, które były pożerane przez krokodyle. Pliszka jest formą Wisznu. Kot poświęcony jest bogini Szashti. W zachodnich stronach Indyj pobożni są obowiązani do karmienia psów jeden dzień w każdym miesiącu. W innych miejscowościach ten przywilej mają kruki. Podczas uroczystości zwanych Dasa-hara konie przybierane są w girlandy z kwiatów“. Wogóle niema prawie stworzenia, któreby w Indyach nie było uznane za święte, a raczej za coś więcej, za istotę złączoną z bóstwem; krowa przedewszystkiem odbiera część osobliwą ².

Tę cześć dla zwierząt okazują głównie kasty niższe, niearyjskie, lecz i wyższe, Brahmani, z pochodzenia Chamici i Aryowie, nie są od niej wolni.

We wszystkich świątyniach Hindów, tak Siwaitów, jak i Wisznuitów, zwyczajnie obok posągu lub obrazu bożka stoi jakieś zwierzę; czasami bożek stoi lub siedzi na zwierzęciu, jak się zdarzało w Chaldei. Każdy bożek ma swoje specyalne zwierzę, tak iż czasami po zwierzęciu można dopiero rozpoznać, jakiego bożka przedstawia dany bałwan. I tak, Brahma ma gęś lub łabędzie, Siwa byka lub psa, Skanda pawia, Indra słonia, Jama bawołu, Kama papugę, Ganeza szczura, Agni barana, Waruna rybę, Durga tygrysa, Rudra konia, Wisznu orła (Garuda); wąż pojawia się często przy Wisznu, a szczególnie przy Siwie i jego symbolu Linga. Słowem, wszyscy bożkowie siwaiccy i wisznuiacy skojarzeni są na ołtarzach ze zwierzętami; jednakże ani Siwaici,

¹ *Op. cit.*, p. 328.

² *Religie Aryów Wschod.*, str. 198 i następ.

„At present the cow is worshipped amongst all Hindus“. F. Balfour, *Op. cit.*, vol. III, p. 832.

ani Wisznuici nie oddają wprost czci zwierzętom; kapłanami w „świątyniach zwierząt“ nie są nigdy Brahmani.

Fakt ten dowodzi, że ani Chamici, ani Aryowie nie znali dawniej kultu zwierząt; kult ten częściowo i zmodyfikowany wciśnał się z czasem do ich religii, jednakże nie zdołał jej ovladnąć.

I rzeczywiście. Chamici wkraczając do Indyj byli już prawdopodobnie bałwochwalcami, oni pierwsi wprowadzili do Panteonu boginie i sprośny kult Lingi. Siwaizm, płód chamicki, starał się i stara szerzyć głównie kult Lingi: od obcych mało co przyjął sam nawet symbol Siwy; „Byk“, jest tylko Lingą żyjącym.

Co do Aryów, rzecz przedstawia się jeszcze wybitniej; piśmiennictwo hinduskie poucza nas o przebiegu ich pojęć religijnych.

Najdawniejsze pomniki piśmienne Aryów hinduskich, jak to gdzieindziej widzieliśmy¹, przekonywują nas, że Prawedyzm był religią jednobożną, wzniosłą, mającą cechy pierwotnego Objawienia; późniejsze zaś piśmiennictwo wykazuje rozstrój ich pojęć religijnych².

Rzeczą jest prawdopodobną, że bałwochwalstwo Chamitów, z którymi zetknęli się w Indyach Aryowie, miało wielki wpływ na rozstrój pojęć religijnych tych ostatnich, kult też Lingi zdołał się wślizgnąć w ich praktyki, lecz kultu zwierząt, jaki się przebija w Wisznuizmie, należy szukać gdzieindziej.

Kult zwierząt musiał być obcym Aryom, skoro niema o nim śladu w ich najdawniejszem piśmiennictwie i nie zdołał ovladnąć Wisznuizmem, lecz wpływ jego musiał być wielkim, skoro skłonił Wisznuitów do postawienia na ołtarzu zwierząt obok bożków. Ażeby uzasadnić jako tako to skojarzenie, tak sprzeczne z pierwotnemi, wzniosłemi pojęciami Prawedyzmu, Brahmani zmuszeni byli wymyślić „Awatarę“, która, jak wiadomo, jest wytworem czasów późniejszych, czasów rozstroju religijnego. Kult zatem zwierząt musiał istnieć wśród pramieszkańców nie-aryjskich Indyj, prawdopodobnie wśród przodków dzisiejszych Drowidów, nale-

¹ *Religie Aryów Wschodnich*, str. 215 i następ.

² Tamże, str. 273.

zących do szczepu Turajskiego i stamtąd częściowo przynajmniej został zapożyczony przez Aryów.

Zoolatria obok Totemizmu opartą była na kulcie przodków; tak się działo wśród ludów Turajskich, to samo spostrzegamy w Indyach.

Poszukiwania archeologiczne wykazały nieprzeliczoną ilość kurhanów na półwyspie hinduskim, przedewszystkiem zaś w prowincjach środkowych i południowych¹.

Kurhany, o których tu mowa, nie są Topami i Czajtiami buddhyjskimi², są one daleko wcześniejsze, ludy okoliczne zatraciły o nich wszelkie podania³.

Archeologowie znajdowali w kurhanach urny z popiołem i kośćmi, szczątki naczyń glinianych, bogate ozdoby ze złota, innych kruszców, starą broń; kapitan Tayler napotkał nawet cały szkielet człowieka, dobrze jeszcze zachowany. Ponieważ te kurhany są zupełnie podobne do kurhanów sybirskich i amerykańskich, specjaliści tacy, jak Congreve, Harkness, Tayler utrzymują, że stare kurhany hinduskie były budowane przez ludy Turajskie⁴. W niektórych miejscowościach Bengalu puł-

¹ „They are met in almost every part of peninsular India, from Nagpur to Madura, in immense numbers on the Annam hills. — All around Hyderabad and Secunderabad, in the Dekhan are great numbers of cairns“. Balfour, *Cyclop.*, vol. I, p. 541.

² „From several passages in the Pali Buddhistical annals, it would appear that topes were in existence prior to Sakya's advent, and that they were objects of much reverence to the people. Sakya himself especially inculcated the maintenance of these ancient chaitya, and the continuance of the accustomed offerings and worship“. *The Cyclop. of India*, by Balfour, vol. III, p. 911.

³ „Neither the hill people, the Toda and Kurubara, nor any Hindus, know nothing about the race to which these remains belonged; and neither in Sanskrit literature, nor in that of the Dravidian languages, is there any tradition on the subject“. Balfour, *Op. cit.*, p. 541.

⁴ „Captain Congreve regarded these Neolithic remains to be those of Scythic races. Captain Tylor discusses the question whether of Scythic races, Aryan or Turanian. Over vast wildernesses in the northern regions of Asia, along the banks of the Irtysh, and beyond the remote Yenisei, innumerable tumuli are scattered, containing the remains of ancient art and long extinct races of men. Implements of silver, gold, and copper, girdles of the precious metals, bracelets decked with pearls, fragment of

kownik Jule¹ zauważył, że lud tamtejszy buduje jeszcze i dziś kurhany.

Kurhany, szczególnie uprzywilejowane, zwiedzane są tłumnie, pielgrzymi z dalekich nawet stron gromadzą się i modlą do zmarłych tam pogrzebionych, którzy w mniemaniu ludu stali się bożkami.

Liczba bożków w Indyach jest właściwie nieprzeliczona, w przybliżeniu wynosi około 330 milionów; otóż wszyscy ci bożkowie, o ile można sięgnąć do źródeł, żyli tu na ziemi, mianowicie w Indyach, i po śmierci zaliczeni zostali w poczet bożków. Rama, Kryszna, Hanuman byli słynnymi wodzami, kult ich rozpowszechniony jest w całych Indyach. Nie znamy rodowodu wszystkich bożków hinduskich, nie znamy ich nazwisk, ani nawet ich liczby, lecz znamy rodowód wielu z nich i to wystarczy². Każdy większy król, książę, wódz, Guru lub asceta został ubóstwiony, a nawet i słynni rozbójnicy. To ubóstwianie praktykuje się po dziś dzień, nawet Anglicy nie są wyłączeni, i tak, został bożkiem zmarły generał Nicholson, cesarzowa Wiktoria zaś jest boginią.

porcelain, have surprised the travellers who have seen a few of the tumuli opened". Balfour, *Op. cit.*, p. 542.

„The ancient edifices of Chichen, in Central America, bear a striking resemblance to the topes or dagobas of India". Balfour, *Op. cit.*, vol. I, p. 875.

„The dagoba is the descendant of the sepulchral tumulus of the Turanian races, whether found in Etruria, Lydia, or among the Scythians of the northern steppes". Balfour, *Op. cit.*, vol. I, p. 875.

¹ *Beng. As. Soc. Journ.*, vol. XIII, p. 619.

² Pisze o tem obszernie Monier-Williams w *Brahm. and Ind.*, p. 230 i nast.

Fulk. Meadows Taylor w *I. E. Soc.* 1896, mówi: „The worship of Grama Dewatas or village divinities, is universal all over the Dekhan, and indeed, I believe, throughout India. These divinities have no temples nor priests. Sacrifice and oblation are made to them at sowing time and harvest, for rain or fair weather, in time of cholera, malignant fever, or other disease or pestilence. The Nag is always one of the Grama Devatas, the rest being known by local names. The Grama Devatas are known as heaps of stones, generally in a grove or quiet spot near every village, and are smeared some with black and some with red colour". Fergusson, *Tree and Serpent Worship*, Append. D.

Wreszcie gusła, czary, obrzędy i praktyki religijne niższych kast, zwłaszcza ludów Drawida, są zupełnie podobne do praktyk ludów sybirskich. Balfour pisze ¹:

„Szamanizm istnieje całkiem publicznie między Szanarami w Cejlonie, między wielu mniej cywilizowanymi ludami w Indjach, pomieszany zaś z Hinduizmem, w każdej niemal wiosce. Szamanizm upowszechniony jest wśród rasy, pochodzącej od Scytów i Tatarów, którzy zajmowali Indye przed najściem Aryów hinduskich; obecnie Tamilowie, zamieszkujący południowe Indye praktykują obrządk szamańskie“.

Jeżeli teraz zbierzemy razem to wszystko, cośmy dotąd powiedzieli o ludach Drawida, mianowicie zaś, że ich cechy cielesne i psychologiczne, w szczególności tak wybitne jak Totemizm, Zoolatria, kult przodków i szamanizm, są identycznymi z charakterystycznymi cechami ludów Turajskich, wówczas słusznie zawnioskować możemy, że ludy drawidyjskie są potomkami dawniejszych ludów Turajskich.

Ludy Turajskie przed wkroczeniem Aryów do Indyj, mniej więcej w XV. w. przed Chr., zajmowały wybitne stanowisko w Indjach, tworzyły potężne państwa, stały na wysokim stopniu kultury ². Pokonani po długich walkach Turowie częściowo tylko zdołali się utrzymać w środkowo-południowych krajach półwyspu; wielka ich część musiała szukać schronienia dalej na wschód, na Malace, wyspach Oceanu Indyjskiego i Spokojnego, a zaszli nawet do Australii.

Malajczycy, mieszkańcy półwyspu Malakka, spotykają się na Borneo, Jawie, Sumatrze, Madagaskarze i wyspach Oceanu Spokojnego; rzeczą jest prawdopodobną, że są oni potomkami ludów Turajskich, które pod naciskiem Aryów wyemigrowały

¹ *Cyclop. of India*, vol. III, p. 593. „It is quite certain that all the allied Dravidian races, even those at a somewhat higher stage of culture than the Juangs, such as Kols, Kharwars and Cheros, firmly believe in witchcraft“. W. Crooke, *Introduc. to the popular religion and Folklore of North India*, p. 348.

² „At the time of the conquest the Dravidians were more enlightened than their conquerors. They were a race of industrious cultivators, mechanics and mariners“. Odczyt miany w Montréal 26 maja 1891 przez H. Hale.

z Indyj. Typy Malajczyków noszą wybitne ślady mongolskie¹. Gruzy starych pomników, jakie spotykają się na tych wyspach, na wyspie Wielkanocnej, dalej na wyspach Ponape i Tonga-Tabu, są, według etnologów, śladami dawniejszych ludów przed-historycznych, które tu niegdyś przebywały.

Australia była prawdopodobnie zaludnioną naprzód przez murzynów z Gwinei, a następnie przez ludy drawidyjskie wprost z Indyj i przez Malajczyków ze Wschodniego Archipelagu. Największa część etnologów zgadza się z tem zapatrywaniem, które oprócz innych uczonych, doskonale uzasadnił John Mathew w swej pracy².

Tak cielesne, jak i psychologiczne cechy Australczyków wskazują pochodzenie od ludów Turajskich z Indyj. Flower i Lydekker sądzą, że odnośnie do znamion cielesnych, typowi Australczycy stanowią rasę mieszaną, mianowicie Melanezianów i Melanochroi, czyli ludów, które dotąd zamieszkują środkowe i południowe Indye³.

Co do języka, pisze Cust⁴, „Australczycy należą do ludów Drawida, które przed wtargnięciem Aryów do Hindostanu zajmowały cały niemal półwysep, a które dotąd zamieszkują połu-

¹ „The Malay type, and its characters are such as enable it to be at once pronounced distinctly Mongoloid: one might almost say Mongolic without reservation, but for somewhat straight nose and large round and generally horizontal or but slightly oblique eyes“. Keane, *Ethnology*, p. 330.

² *Proc. R. Soc. N. S. Wales*, xxiii, Part 2.

³ „Australia may have been originally peopled with frizzly haired Mellanesians... but a strong infusion of some other race, probably a low form of Caucasian Melanochroi, such as that which still inhabits the interior of the southern part of India has spread throughout the land from north-west, and produced a modification of the physical characters, especially of the hair“. Flower and Lydekker, *Introduction to the Study of Mammals*, p. 290.

„Das einzige Volk ausserhalb Australiens, welches die Hauptcharaktere der Australier (= Schädel) in gut ausgesprochener Form darbietet, sind die sogenannten Hügelstämme, die hill-tribes, welche das Innere des Dekhan im Hindostan bewohnen. Ein gewöhnlicher Kuli, wie man sie unter dem Schiffsvolk jedes frisch zurückgekehrten Ostindienfahrers sehen kann, würde, bis auf die Haut entkleidet, sehr gut die Musterung als Australier passieren; immerhin sind der Schädel und der Unterkiefer gewöhnlich weniger grob“. Dr. J. Ranke, *Der Mensch*, II B., S. 269.

⁴ Ob. *The modern languages of the East Indies*, by R. N. Cust, p. 66.

dniowe jego części i dzielą się na dziesięć albo dwanaście głównych szczepów: Tamil, Telegu, Malayalam, Kanaris, Tula, Toda i t. d. i liczą około 50 milionów ludności¹, Niektórzy jednak lingwiści, jak Hovelacque nie podzielają tego zapatrywania.

Zwyczaje społeczne Australczyków zasługują na szczególną uwagę. Każda rodzina w Australii przybiera sobie nazwę, wziętą z fauny lub flory i to jest jej Totemem, jak tam zowią „kobong“. Australczyk ma dla swego kobonga niezwykle względy: jeżeli kobong jest zwierzęciem, nie zabija go nigdy i nie używa na pokarm, tak samo nie używa na pokarm kobonga roślinnego; nie stwierdzono jednak, żeby Australczycy posuwali się do oddawania czci kobongowi¹. Otóż ponieważ Totemizm jest charakterystyczną cechą ludów Turajskich, do tegoż szczepu zaliczyć należy Australczyków.

J. Mathew, opierając się głównie na zwyczajach społecznych Australczyków, między innemi wskazuje na ich szczególną broń, zwaną *boomerang*, która niezawodnie dostała się tam z Indyj, zalicza Australczyków do szczepu Drawida². Huxley idzie jeszcze dalej; sądzi on, że Indye zostały zaludnione emigrantami z Australii.

Słowem dzisiejsi etnolodzy nie wątpią, że ludy Turajskie zajmowały niegdyś nie tylko Indye, lecz i dalsze kraje, położone dalej na wschód.

Starzy Egipcjanie, z czasu Faraonów, byli Chamitami, a przybyli z Azji. Tę wiadomość czerpiemy z Pisma św.; badania naukowe całkowicie ją potwierdzają.

¹ Sir G. Grey, *Polynesian Mythology and ancient traditional history*.

² „Although the Australians are still in a state of savagery, and the Dravidians of India have been for many ages a people civilised in a great measure and possessed of a literature, the two peoples are affiliated by deeply-marked characteristics in their social system“. Rev. John Mathew, *Op. cit.*

H. Hale w odczycie swym w Montréal odpierał zarzuty, jakoby Australczycy stali na najniższym stopniu kultury; między innemi mówi: „Their present low condition — in which, however, the degradation is more apparent than real — is simply the result of hard surroundings“.

Niektórzy historycy, tak z powodu trudności, jakie się nastęrczają w tej hipotezie, a bardziej jeszcze z powodu wrogiego usposobienia względem Pisma św., usiłują dowieść, że Egipcyanie byli pramieszkańcami Afryki¹. Uczeń jednak takiej miary, jak Brugsch, Ebers, Lauth, Lenormant, Lieblein, Hommel, de Rougé, — pomijamy wielu innych — na podstawie długoletnich i ścisłych badań dochodzą do wniosku zupełnie zgodnego z Księgą Rodzaju.

Chamici przybywając do Egiptu, zastali już ten kraj zamieszkałym. Wszyscy niemal badacze godzą się na to, że ludność przed-chamicka Egiptu musiała w znacznej liczbie należeć do rasy czarnej, lecz czy w zajęciu Egiptu nie uprzedził Chamitów inny jaki szczepek nie-murzyński, tego jakkolwiek historycy nie twierdzili stanowczo², jednakże temu nie przeczyli, a nawet dawali do zrozumienia, że to przypuszczenie było prawdopodobne. Ostatnimi dopiero czasy, dzięki nowym odkryciom archeologicznym, przypuszczenie to nabrało większej wagi, dokładniejsza zaś znajomość ludów Turajskich i zestawienie ich cech charakterystycznych z wybitnymi znamionami ludów prachamickich w Egipcie doprowadza do przekonania, że przed wtargnięciem Chamitów do Egiptu przez długi czas panował tam lud, który stał na wysokim stopniu kultury, a tym ludem był szczepek Turajski.

Jenerał Pitt-Rivers w Dżebel-Assas, w pobliżu Teb, odnalazł epokę kamienną, sięgającą odległej starożytności.

Na posiedzeniu szkockiej „Royal Society“, w drugiej połowie kwietnia r. 1895, profesor Petrie zdawał sprawozdanie z najświeższych odkryć, dokonanych w Górnym Egipcie. Między Ballas i Negahdeh, trzydzieści mil na północ od Teb, znaleziono gruzы siedzib jakiegoś ludu, różnego całkiem od dawnych Egip-

¹ Tak utrzymują między innymi: Hartman, Morton, Maspero; Reinisch, wiedeński egiptolog idzie jeszcze dalej, twierdzi mianowicie, że kolebka całego rodu ludzkiego była w Afryce, około Wielkich Jezior.

² Maspero pisze: „Le gros de la population égyptienne présente les caractères des races blanches qu'on trouve installées de toute antiquité dans les parties du continent libyen qui bordent la Méditerranée“, a stąd wnosi: „il est originaire de l'Afrique même et se transporta en Égypte par l'ouest ou par sud-ouest“. *Hist. anc. des peuples de l'Orient classique*, p. 45.

cyan. Rozkopano tam 2000 kurhanów, skrzętnie zebrano wykopaliska i dokładnie zapisywano szczegóły, mogące służyć za wskazówkę. Godnem jest zastanowienia, że sposób grzebania umarłych różnił się zupełnie od sposobu egipskiego — wszystkie kościotrupy znajdowały się w pozycyi siedzącej, nigdy leżącej, kolana oparte były na ramionach. W grobach znaleziono bardzo wiele naczyń, narzędzi i wyrobów sztuki; otóż w największej części grobów nie spotkano ani jednego wyrobu egipskiego. Sztuka stała wysoko, szczególnie w wyrobach glinianych. Prof. Petrie przypuszcza, że lud jakiś, odmienny od egipskiego, zajmował tu obszary, mające sto mil szerokości, na wiele wieków przed naszą erą.

Starożytność sztuki egipskiej każe się domyślać, że przed najściem Chamitów, kultura w Egipcie stała już wysoko.

Najdawniejszym pomnikiem budowlanym w Egipcie jest świątynia, istniejąca obok Sfinksa, w pobliżu piramid Kheops'a i Khephren'a. Kiedy i przez kogo była budowana, niewiadomo; jednakże napis, jaki znaleziono, świadczy, iż była odrestaurowana przez Kheopsa, a ten Kheops zalicza się do IV dynastyi, która według Lenormanta, panowała w XLIII. w. przed Chr. Według archeologów i sam Sfinks nie jest o wiele późniejszym od tej świątyni.

Wysoki nastrój cywilizacyjny, jaki spotykamy za czasów już najstarszych dynastyi egipskich wprowadza w zadumę pisarzy. Gdzie była kolebka tej cywilizacji? Markiz de Nadaillac pisze: „Egipcianie nie mogli od razu, bez przejścia przez długą szkołę, dokonywać swych zadziwiających prac hydraulicznych, budować piramid, które wymagają znajomości umiejętności ścisłych, oddawać się astronomii i medycynie, wznieść się do tak wzniosłych pomysłów filozoficznych; żadnym sposobem nie mogli przejść od razu do tak godnego podziwu ciosania kamieni, do malarstwa, rzeźbiarstwa i snycerstwa, które wymagały nietylko rzeczywistego talentu artysty, ale nadto doskonałych wiadomości z anatomii ciała“¹.

¹ *Correspondant*, nr. 25, 1893, p. 492.

Nie mamy stanowczej odpowiedzi na te pytania. Niektórzy badacze, jak Lepsius, sądzą, że babilońska kultura urobiła się na wzór egipskiej; inni, zwłaszcza Hommel¹, uznają doliny Eufratu za kolebkę cywilizacji egipskiej. Otóż, rzeczą jest prawdopodobną, że prawda jest w pośrodku, tj., że tak kultura babilońska, jak i egipska wyrobiły się oddzielnie w odosnionych miejscowościach, lecz miały wspólne źródło, mianowicie kulturę przedchaldejską; za tą hipotezą przemawia Sayce i O. de Hummelauer². A ponieważ kultura przedchaldejska w Azji Mniejszej była, jak to widzieliśmy, dziełem ludu Turajskiego, stąd wniesć należy, że tenże sam lud położył pierwsze podwaliny cywilizacyjne również i w Egipcie³.

Jeżeli jest prawdą, że ludy Turajskie uprzedziły w Egipcie Chamitów, musiały tam po nich pozostać charakterystyczne ślady; rzeczywiście tak jest.

Egipcjanie rozróżniali cztery rasy: białą, żółtą, czarną i czerwoną; do tej ostatniej siebie samych zaliczali. Artyści egipscy z zadziwiającym talentem umieli przedstawić na pomnikach charakterystyczne rysy każdej rasy, tak że na pierwszy rzut oka można rozpoznać do jakiej rasy należy postać wyobrażona na pomniku. Rasa egipska musiała się wyrobić i ustalić

¹ *Der babylonische Ursprung aegyptischer Kultur*, Munich, 1892.

² „The Babylonian work is ruder than the Egyptian work, it is true; but if we place them side by side, it is hard to resist the conviction that both belong to the same school of sculpture, and that the one is but a less skilful imitation of the other“. A. H. Sayce, *Op. cit.*, p. 33.

„Comparatis igitur inter se Aegypti et Babyloniae tam aedificiis quam scripturis censuere, omnino explodendam esse R. Lepsius sententiam, artes ex Aegypto in Babyloniam immigrasse; neque seri simile esse, Aegyptiorum artes ex iis, quas novimus, Babyloniorum veu Protochaldaeorum artibus traxisse originem; sed utrasque probabilius ex eodem fonte derivari, quam artem appellaveris praechaldaicam, vel praeaegyptiam“. *Com. in Gen.*, de Hummelauer S. J., p. 292.

³ Takie też jest zdanie profesora z Lejdy: „Les Égyptiens pourraient être des représentants de cette race antérieure mêlée en Afrique avec les habitants primitifs de la vallée du Nil, dont le caractère propre, ne différant pas de celui des autres peuples les plus avancées de cette partie du monde, a laissé des traces profondes dans la civilisation égyptienne“. Tiele, *Hist. comp. des anc. religions*, p. 13.

w bardzo odległej starożytności, skoro typy, jakie znajdują się na pomnikach V. i VI. dynastyi¹, są uderzająco podobne do dzisiejszych Felahów. Otóż, ta rasa egipska jest rasą mieszaną. „Antropologicznie, pisze Lenormant², dawniejsi mieszkańcy Egiptu, których niezaprzeczalnymi potomkami są dzisiejsi Felahy, należą do rasy białej, zmieszanej ze szczepem etiopsko-berberyjskim“. Ze szczegółowego opisu, jaki daje Maspero w swem dziele³, wynika, że trzy główne rasy: biała, żółta i czarna składały się na utworzenie rasy egipskiej. Otóż, jakkolwiek nie wpływa stąd jeszcze wprost, że jednym z czynników, które weszły w skład rasy egipskiej był lud Turajski, jednakże ponieważ w czasach historycznych ludy Turajskie w znacznej liczbie i sile wtargnęły do Egiptu i zlały się tam przeważnie z rasą miejscową, nie naruszając w niczem jej znamion wybitnych, stąd wnosić można, że w samych początkach tworzenia się rasy egipskiej znamiona charakterystyczne ludów Turajskich w jej skład wejść już musiały.

Egipt, a właściwie dolny Egipt, był główną miejscowością, przez którą przelewały się ludy azyatyckie szukające nowych siedlisk w Afryce; jedne ludy przechodziły tylko tamtędy i zajmowały wybrzeża Morza Śródziemnego, inne stale tam się osiedlały; Hyksosi czyli Pasterze należeli do tych ostatnich.

Za czasów XIV. dynastyi egipskiej wkroczyły do Egiptu znaczne zastępy ludów azyatyckich, znanych pod nazwą Hyksosów; zapanowali z początku nad dolnym Egiptem, niebawem podbili pod swą władzę i górny Egipt i przez kilka wieków całym krajem władali. Otóż ci Hyksosi należeli do ludów Turajskich.

Do ostatnich prawie czasów etnologowie mało co wiedzieli o pochodzeniu Hyksosów, najnowsze dopiero badania wykazały, że, ich postacie typowe są mongolskie; dalej, że Hyksosi byli

¹ Pomniki te znajdują się obecnie w Bulaku.

² *Hist. anc. de l'Orient*, vol. II, p. 45.

³ *Hist. anc. des peuples de l'Orient clas.*, pp. 47, 48.

odłamem Hetejów, a wreszcie samych Hetejów zaliczyć należy przeważnie do ludów Turajskich.

Lenormant i Hamy zauważyli, że „typ antropologiczny pomników Pasterzy, odkrytych w Tanis, zupełnie zgodny z rysami twarzy mieszkańców jeziora Menzaleh, którzy są ich potomkami, jest typem ludów Turajskich z nad Tygru, tj. szczepu, w którym przeważała krew rasy żółtej; największa część ludów, które wkroczyły do Egiptu, należała do tego szczepu“¹.

Prof. Flower utrzymuje, że sfinksy z San, typ króla Hyksosów z Fajum dowodzą, iż Hyksosi należeli do ludów Turajskich².

Za czasów Abrahama Hetejowie znajdowali się u bram Egiptu w Hebronie, a ponieważ niebawem nastąpił wielki najazd ludów azyatyckich na Egipt, rzeczą jest prawdopodobną, że ci Hetejowie nie tylko wzięli udział w tym zajeździe, ale nadto byli przywódcami tego ruchu. Tak sądzi Lenormant³: „Istnieją bardzo wybitne wskazówki, że pokolenia kierujące tym ruchem i królowie Pasterzy w Egipcie, należeli do szczepu, który był ściśle spokrewniony z ludem Kheta, jak go nazywają dokumenty hieroglificzne, tj. z Hetejami biblijnymi: jedni i drudzy uznawali bożka Sutech“. — Mariette był również tego zdania; utrzymywał mianowicie, że jedna z dynastyj Hyksosów była Hetejska⁴.

¹ *Hist. anc. de l'Orient*, vol. II, p. 145.

² „The sphinx of San, which, has certain Mongolian characters, especially in the breadth and prominence of the cheek-bones, so much so as to suggest that the invasion and occupation of Egypt by the so-called Shepherds was one of the numerous instances in which some of the nomadic Tartar hordes of Central and Northern Asia have poured forth from their native lands and overrun and occupied for a longer or shorter period the countries lying to the west and south of them. If this view can be mentioned, the Hyksos invasion would have been only one of the series of which the conquests of Attila, Tchingis Khan, and Timur, and the more permanent settlement of the Finns, the Magyars, and the Turks in Europa, are well-known examples“. *Journ. Anthropol. Inst.*, vol. XVI, p. 377.

³ *Op. cit.*, vol. II, p. 145.

⁴ „And this view, is supported by Mariette Bey's theory, that one of the Hyksos dynasties was Hittite“. Wright, *Emp. of the Hit.*, p. 99.

Do jakiej rasy należeli Hetejowie?

Heth, według Biblii, był synem Chanaana, stąd Hetejczycy byli ludem chananejskim. Tak utrzymywano powszechnie, jednakże odkrycia dokonane na Wschodzie, nasuwały różne trudności, mianowicie zaś, wśród Hetejów spotykano się często z ludami, które nie miały nic wspólnego z Chamitami. De Lantscheere w swej pracy¹ wykazał, że ludy scytyjskie wtargnęły były do krajów, zajmowanych przez potomków Heta i tam się osiedliły; a jakkolwiek nie zwały się całkowicie z ludnością pierwotną, ludom tym, rzeczywiście Turajskim, dawano nazwę Hetejów. Tym sposobem Hetejowie byli częściowo Chamitami, częściowo Turyami.

To przypuszczenie otrzymuje potwierdzenie skąd inąd.

O ile z języka sądzić można, Hetejowie nie należeli do rodziny semicko-chamickiej, lecz spokrewnieni byli z Turyami. Nazwiska miast, jakie Tutmes III. (około r. 1600 przed Chr.) zdobył między Damaszkim i Alepem, nie są ani semickie, ani aryjskie. Nazwiska siedmnastu dowódców w północnej Syrii, za czasów Ramzesa II. są Turajskie. Z tego powodu major Conder sądzi, że Hetejowie byli spokrewnieni z Akadyjczykami².

Ubiór Hetejczyków, ich wysoka tyara, wysokie buty z zakrzywionym końcem, a również rodzaj halabardy, siekiera i młot, jakie dawali w rękę swym bożkom, wskazują ich pochodzenie Turajskie.

Typy ludów Kheta z pomników egipskich, są zupełnie podobne do typów dzisiejszych ludów Turajskich³. G. Tomkins

¹ *Revue des questions historiques*, Avril 1887.

² „It was through observation of these personal names that I first became convinced of the Turanian origin of the race, and of the affinity to the Akkadian“. *The early races of Western Asia*, by Major Conder, w *Journ. Anthropol. Inst.*, vol. XIX, p. 33.

³ „The authentic portraits of the Kheta on Egyptian monuments show a Mongolian type very similar to that of the Turkic and Mongol tribes of Central Asia in our own times; and that the hair is in many cases dressed in a pigtail like that of the Tatars, which was imposed on the Chinese at the time of the Tatar conquest. The general absence of beard is also an indication of importance, plainly indicating a Turanian type“. Major Conder, *Op. cit.*, p. 35.

w odczycie swym na posiedzeniu Londyńskiego Stowarzyszenia Antropologicznego utrzymywał, że pomniki z Karnaku wskazują, iż obok właściwego szczepu egipskiego i rasy czarnej istniały typy, które należy odnieść do ludów Turajskich¹. Sayce, opierając się na języku Hetejów, na rysach twarzy wyrażonych na pomnikach a również na ich odzieży, sądzi, że z pochodzenia należą do ludów Północy². Wreszcie pułkownik Sir Karol Wilson pisze³: „Zgadzam się zupełnie z prof. Sayce'm, że Hetejowie północnej Syrii i Palestyny wtargnęli tam ze wschodnich równin Anatolii... Ich typowe postacie, wyrażone na pomnikach, obuwie szczególnego kształtu, bezpalcowe rękawice, jakie jeszcze i dziś noszą tamtejsi włościanie, a które zwyczajnie używane są w krajach lodowatych, dowodzą ich północnego pochodzenia. Rzeźby pomnikowe wskazują, że oni nie należeli do rasy semickiej. Rysy ich twarzy przywodzą na pamięć ludy północne, a Hetejowie ze świątyni w Ibsambul mają wybitne znamiona scytyjskie: głowy ogolone z wyjątkiem długiego kosmyka, w kształcie warkocza, który z wierzchołka głowy spada im na plecy”⁴.

Otóż, jeżeli ludy Turajskie, które tak długi czas panowały w Egipcie, nie wpłynęły na zmianę cech charakterystycznych starych Egipcyan, rzeczą jest prawdopodobną, że ich znamiona wybitne znajdowały się już były we krwi starych Egipcyan.

Znamiona psychologiczne, przedewszystkiem zaś te, które stanowią charakterystyczną cechę ludów Turajskich, odnajdują się w Egipcie, mianowicie: cześć Przodków, Totemizm i Zoolatria.

Jeżeli gdzie, to głównie w Egipcie wybitnie uwydatnia się Kult Przodków: kult tam był powszechny i posunięty do osta-

¹ „I think there must have been red-haired blacks, and perhaps blonde-haired, in old Pharaonic days. As to blue eyes, in the painting, we have grey-eyed blacks, but non (I think) with red hair“. *Journ. Anthropol. Instit.*, vol. xviii, p. 215.

² *Transactions of Soc. Bib. Arch.*, vol. vii, p. 252.

³ *Quarterly Statement of Palestine Exp. Fund.*, Jan. 1884.

⁴ Zupełnie tak samo, do niedawna jeszcze, kozacy dworscy w ziemi podolskiej stroili swe głowy: nosili *osełedec*, przekazany im pewnie przez Tatarów.

tnich granic. „Kult umarłych, pisze ks. Vigouroux ¹, był, można powiedzieć, jednym z najważniejszych zadań żyjących“.

I rzeczywiście. Egipt słynał i słynie grobami. Z dawnych pomników pozostały gruzy kilku zaledwie pałaców, pozostałe zaś po nich groby są niezliczone, a nie tylko swą ilością lecz przede wszystkim swym ogromem zdumiewały i zdumiewają dotąd.

Groby zwyczajne, mastaby, syringi i piramidy służyły do schronienia zwłok zmarłych ², a nadto były rodzajem świątyń: rodzina a często i obcy, pielgrzymi nawet z dalekich stron, gromadzili się około grobowca, składali tam zmarłemu ofiary takie same, jakie składano bożkom w świątyniach, zanosili przytem modły do zmarłego. Mumie, tj. zwłoki zabalsamowane, umieszczano w świątyniach na ołtarzu, obok posągów bóstw i cześć boską im oddawano. Rzecz ta jest zresztą znana i powszechnie uznana w historii.

Nie można tego samego powiedzieć o drugim znamieniu charakterystycznym ludów Turajskich, mianowicie o Totemizmie: o ile wiemy, żaden dotąd z pisarzy nie podejrzewał o to Egipcyan, a jednakże Totemizm musiał istnieć w Egipcie, skoro to przypuszczenie tłumaczy nam doskonale niewytłumaczalną dotąd Zoolatrię Egipcyan.

Egipcyanie czcili zwierzęta, bądź w posagach, bądź też żywe w naturze. Świadcstwo takich historyków i świadków naczynych, jak Herodot i Strabon, wzmianki w papyrusach, wreszcie nader liczne pomniki kamienne stanowią niezaprzeczalne dowody.

Każdy bożek egipski miał swoje zwierzę, sobie wyłącznie poświęcone. Pierret pisze ³: „Sekket miał lwicę, Thoth małpę, Anubis szakala, Ta-uer hippopotama, Num barana, Apis byka,

¹ *La Bible et les découvertes modernes*, vol. II, p. 552.

² Pisaliśmy o tem obszerniej, zob. *Źródła historyczne Wschodu*, str. 36 i następ.

³ *Dictionnaire d'archéologie égyptienne*, p. 44. Oprócz wyżej wymienionych „zwierząt świętych“, bardzo wiele innych zwierząt było przedstawionych na pomnikach lub wspominanych w papyrusach, mianowicie: wilk, hyena, słoń, wieprz, koń, osiel, oryx, gazela, antylopa, struś, jeleń, owca,

Hathor krowę, Bast kocię, Horus jastrzębia, Maut sępa, Thot ibisa, Sebek krokodyla, Heke't żabę, Khepra chrząszcza, Selk skorpiona“ i t. d.

Co więcej, bożkowie byli przedstawiani często w postaci pół-ludzkiej i pół-zwierzęcej. Anubis przedstawiany był jako człowiek, lecz z głową szakala. Chnum również miał głowę koźła, Thoth głowę ibisa, Chons sokoła, Apis przedstawiany był jako byk, albo też jako młodzieniec o głowie byczej.

Wreszcie w papyrusach bożkowie identyfikowani są ze zwierzętami. I tak czytamy: „Przyjdź do mnie, Thoth, czeigodny ibisie, bożku ukochany w Hermopolis“¹. „Sobku, panie na Ombosie, bożku Sibn, ojcie bogów, wielki boże, panie na Naszycie, krokodylu świetny, który wyłaniasz się z wód Nu“...² „Wielki Kot, który się znajduje w An, jest to sam Ra“³. Poprzestajemy na tych kilku wyciągach, a jest ich mnóstwo. Te wyrażenia nie były prostemi przenośniami, jak sądzą niektórzy, zwierzęta nie były jakimiś nieokreślonymi symbolami, lecz uważane były rzeczywiście za bożków.

Egipcjanie czcili żywe zwierzęta w naturze: świadectwa starych naocznych pisarzy⁴ i badania nowoczesne stwierdziły zupełnie tę rzecz.

Każdy powiat miał swoje „święte zwierzę“; zwierzę uważane za święte w jednym powiecie, nie bywało uznawane za święte w innym, nawet sąsiednim. Mieszkańcy Teb i Fajum oddawali cześć krokodylom, mieszkańcy zaś Abu (Elephantine) bez

żyrafa, cielę, zając, pies, szczur, orzeł, sowa, jaskółka, żuraw, czapla, kaczka, jaszczurka, żółw, ryba *Latus* i *Rami*, mucha, szarańcza, pszczoła, żmija, robak i t. d. *Tamże* p. 43. Wszystkie te zwierzęta w swoich powiatach uważane były za święte.

¹ Grébaud, *Hymne à Ammon-Ra des papyrus du musée de Boulaq*, p. 65

² Champollion, *Monuments de l'Égypte*, t. 1, p. 233.

³ Pierret, *Livre des morts*, p. 62.

⁴ Herodot, Strabon i inni widzieli to własnymi oczyma i opowiadali w swych dziełach. Przytaczamy tu mniej znany wyjątek z Klemensa Aleksandryjskiego: „Przybytki świątyni zasłonięte są złotemi kotarami. Idziesz dalej, a oto niebawem zjawia się kapłan, odkrywa rąbek zasłony, by ci pokazać bożka. Cóż wówczas widzisz? Kota, krokodyla, węża lub inny jaki obmierzły gad. To jest bożek egipski“.

miłosierdzia je tępili. Niektóre tylko zwierzęta uważane były wyjątkowo w całym kraju za święte.

Jakkolwiek wszystkie osobniki, należące do gatunku „świętego zwierzęcia“ otaczano w całym powiecie wielkiem uszanowaniem, nie wolno było ich zabijać, ani nawet dręczyć w jakimkolwiek sposób, jednak jednemu tylko osobnikowi, a przynajmniej małej liczbie oddawano cześć. Taki osobnik przebywał obok świątyni, karmiony i chodowany był przez specjalnych kapłanów; temu osobnikowi pobożni składali dary i ofiary a nadto cześć najwyższą oddawali. Skoro zdechło takie zwierzę, balsamowano je i składano w umyślnie urządzonych na ten cel grobowcach¹; w tych katakumbach kości zwierzęce odbierały cześć boską.

Słowem, rzeczą jest pewną historycznie, godzą się na to egiptolodzy i historycy, że Egipcyanie czcili zwierzęta. Jak wytłumaczyć takie zboczenie umysłu ludzkiego? Ewolucyoniści, utrzymujący zwierzęce pochodzenie człowieka, twierdzą, że cała pierwotna ludzkość wyznawała zoolatrię, która miała być pierwszym stopniem rozwoju umysłu człowieka, a Egipcyanie, jakkolwiek postąpili wysoko w kulturze, nie zdołali się otrząsnąć ze zbyt zakorzenionych pojęć religijnych. Tak utrzymuje na czele innych Maspero.

Otóż ewolucyonizm sam ze sobą jest tu w sprzeczności, a historia nie tylko nie popiera mrzonek ewolucyonizmu, lecz wprost jest im przeciwną.

I tak, nie jest prawdą, żeby ludzkość pierwotna wyznawała Zoolatrię; tego z historyi wyprowadzić nie można, Objaśnienie zaś, które zjednało sobie nieuprzedzone, a krytyczne uznanie historyków, zadaje kłam apriorystycznym twierdzeniom ewolucyonistów. Dalej nie jest prawdą, żeby ludy, stojące naj-

¹ „Il y avait des catacombes d'animaux sacrés dont chacune renfermait une espèce particulière. Les chats, après avoir été embaumés, étaient transportés des autres villes d'Égypte à Pa-Bast (Bubastis), les éperviers à Pa-Ouats (Bouto), les ibis à Sesoun ou Khmounou (Hermopolis)“. Le-normant, *Hist. anc. de l'Orient*, vol. II, p. 214.

niżej w kulturze, oddawały cześć zwierzętom: rzecz ta znana jest dobrze antropologom.

Co więcej, gdyby wszystko miało ulegać ewolucyi, rzeczą byłoby niewytłumaczoną, dlaczego Egipcyanie, którzy tak wysoko posunęli się byli w cywilizacyi, po tylu wiekach nie mogli się byli otrząść z tak niskich pojęć umysłowych.

Wreszcie, jakim czołem taki Maspero, który zna doskonale stare piśmiennictwo egipskie, śmie twierdzić, że Egipcyanie nie zdołali otrząsnąć się z niskich, rzekomo pierwotnych pojęć religijnych, skoro właśnie ich piśmiennictwo stwierdza, że w ich umysłach i pamięci tkwiło wzniosłe pojęcie o Bogu¹.

Sam w końcu Maspero przyznaje się, że hipoteza ewolucyonizmu nie rozwiązuje i nie wyjaśnia wielu trudności, a wogóle wszyscy historycy, počawszy od starych Greków i Rzymian, aż do dni naszych zdumiewają się i wyznają, że Zoolatria Egipcyan jest niewytłumaczalną².

Otóż, hipoteza, skądinąd już przypuszczalna, mianowicie, że przed przybyciem Chamitów Egipt był zaludniony ludami Turajskimi, w szczególności zaś charakterystyczne ich znamię Totemizm, rozwiązuje wszelkie trudności.

Ludy Turajskie, podzielone na klany, z których każdy miał swój własny Totem i przedstawicielowi tego Totemu, jako wcieleniemi Przodkowi, cześć oddawał, przed najściem Chamitów, na kilka, co najmniej, wieków, zajęły doliny Nilu, wyrugowały stamtąd ludność murzyńską i na dobre tam się osiedliły i zagospodarowały. Z kolei wtargnęli Chamici i zajęli początkowo dolny tylko Egipt, z czasem posuwali się ku południowi. Ażeby się utrzymać w Egipcie należało albo wytępić mieczem lud już osiadły, albo go zasymilować; ponieważ lud był mnogi, drugi

¹ *Źródła historyczne Wschodu*, str. 54—75.

² Lenormant pisze: „Les details qu'on vient de lire montrent ce qu'était en réalité, à son âge le plus brillant et le plus philosophique, la religion du peuple égyptien: un mélange bizarre et presque inextricable de quelques vérités sublimes avec des conceptions métaphysiques et cosmogoniques souvent désordonnées et toujours grandioses, une morale épurée, un culte abject et des superstitions populaires de la dernière grossièreté“. *Hist. anc. de l'Orient*, vol. II. p. 218.

jedynie pozostawał środek. Asymilacya pod względem religii napotykała trudności. Lud Turajski wyznawał Zoolatrię, która była tak sprzeczna z pojęciami zdrowemi człowieka, a szczególnie z pojęciami blizkich potomków Noego.

Czy Chamici wszedłszy do Egiptu, wyznawali już wielobożność, tego stwierdzić nie można; rzeczą jednak jest pewną, że już w najdawniejszych pomnikach piśmiennych Egipcyan, obok wzniosłych i jednobożnych pojęć religijnych uwidocznia się wielobożność i pogański kult. Taki stan pojęć religijnych nadawał się i ułatwiał asymilacyę z Zoolatrią. W okręgu, gdzie lud Turajski czcił szakala, wystarczyło obok statuy Anubisa postawić w świątyni wyobrażenie szakala, albo też do postaci Anubisa przyczepić głowę szakala. Idea „wcielania“ była rozpowszechniona wśród Turyów, a nie była obcą Chamitom. Anubis, bożek Chamitów, wcielał się w szakala i z nim się jednoczył, tym sposobem stawał się bożkiem Turyów, a szakal, jako wcielony Anubis, czczony był tem samem przez Chamitów. Anubis ze szakalem zostali zidentyfikowani. Tak samo działo się z innymi bożkami i Totemami w innych okręgach. Zoolatria Turyów została przyjętą przez Chamitów, bożkowie chamiccy zostali uznani przez ludy Turajskie. Asymilacya pod względem religii zupełna ¹.

Ta asymilacya Chamitów z Turyami musiała się począć w nader odległej epoce: jeden z najdawniejszych pomników egipskich, enigmatyczny Sfinks, olbrzymi lew o głowie ludzkiej, był już prawdopodobnie zhamityzowanym Totemem Turyów.

Musimy tu zwrócić uwagę, że Zoolatria, jakkolwiek praktykowaną była przez wszystkich Egipcyan, nie stanowiła wybitnego tła ich religii. Chamici wprawdzie złali się z Turyami, zasymilowali ludy azyatyckie, które różnemi czasy wkraczały do Egiptu,

¹ Maspero przyznaje, że podobne asymilacje działy się w Egipcie: „Tous les peuples que les Pharaons soumirent à l'époque historique cédèrent quelques-unes de leurs principales divinités à leurs vainqueurs... Le pays se les assimila promptement, les travailla, les repêtrit, et tira d'eux des Egyptiens à peine distincts des dieux de vieille race“. *Hist. anc. de peuples de l'Or. clas.*, p. 85.

jednakże kasta kapłanów i wyższe warstwy pozostały w gruncie rzeczy Chamitami i przodowały w kraju. Ci Chanici przyjęli Zoolatrię, lecz ją dostroili do swych zasadniczych pojęć. Religia Chamitów pozostaje jeszcze do napisania, to jednak, co o niej wiemy i o czem gdzieindziej obszerniej mówiliśmy¹ dowodzi, że chociaż religia chamicka nie upadła tak nisko pod względem pojęć jak Zoolatria, pod względem jednak sprośności kultu stała daleko niżej.

Słynna magia egipska służy również za dowód pobytu ludów Turajskich w dolinach Nilu.

Wszzechstronne udowodnienie tego twierdzenia wymagałoby osobnego dzieła. Wielka liczba nowożytnych uczonych zajmowała się specjalnie tym przedmiotem; księgi tego działu stanowią już pokaźną bibliotekę. Ograniczymy się tutaj do nader krótkiego streszczenia.

Zestawienie magii egipskiej z chaldejską wykazuje bardzo wiele punktów wspólnych, z czego domyślać się wolno, że z jednego pochodziły źródła; a ponieważ, jak to widzieliśmy, magia chaldejska pochodzi od ludów Turajskich, mianowicie od Akkadyjczyków, stąd rzeczą jest nader prawdopodobną, że i magia egipska była spuścizną po ludności przed-chamickiej w Egipcie.

Pobyt ludów Turajskich w Egipcie otrzymuje jeszcze potwierdzenie skądinąd.

W krajach, leżących w pobliżu Egiptu, tak w Azji, jak i w Afryce, spotykają się stare pomniki, które zdają się wskazywać, że w dobie przed-historycznej kraje te zajęte były przez ludy kulturowe, całkiem różne od dzisiejszych ich mieszkańców.

W Arabii odnajdują się bardzo liczne pomniki; sam dr. Glaser zebrał 1031 napisów; Sayce utrzymuje, że w bardzo odległej starożytności kraj ten posiadał nader rozwiniętą kulturę i prowadził obszerny handel²; otóż rzeczą jest prawdopodobną że te pomniki i cała kultura nie jest dziełem koczujących Ara-

¹ *Religie Aryów Wschodnich*, str. 346 i następ.

² *Ancient Arabia w Contemp. Review*, nov. 1890.

bów, i należy je odnieść do ludu przedhistorycznego i przedsemickiego.

Na wybrzeżach Mozambiku, w pobliżu Sofali, trzy wieki temu, Portugalczycy w podróżach do swych posiadłości hinduskich, zauważyli już byli tamże rozległe gruzy starych pomników. Od tego czasu Livingstone, Andersen, Mauch, a zwłaszcza Bent, zwiedzali je i starannie opisywali. Kraj ten nazywają *Mashonaland*, a miejscowość, w której znajdują się pomniki, *Zim-baoc*, z angielska *Zimbabwe*, albo, jak tuziemcy wymawiają, *Zim-babioe*. Tutaj właśnie znajdują się gruzy świątyni, pałaców, pieców metalurgicznych, studzien i szybów złoto-dajnych. Według Benta¹ lud, który stawiał te gmachy i wydobywał złoto, żył tam w czasach przedhistorycznych, w czem podania tubylców całkiem się zgadzają. Rzeczą jest prawdopodobną, że tamtejsze kopalnie dostarczały złota Fenicyanom i Arabom. Gdzie leżało królestwo Saba i słynny Ofir, do którego Salomon wyprawiał swe floty po złoto i inne płody, dobrze niewiadomo. Niektórzy pisarze utrzymują, że Ofir leżał w Arabii południowej, inni, że w Indyach, albo w Etiopii. Stare szyby złotodajne odnajdują się w Nubii, skąd Egipcyanie dobywali złoto, lecz odkrycia w *Mashonaland* nasuwają myśl, że i ta miejscowość może się współubiegać o zaszczytną nazwę starego Ofiru².

Czy ludy Turajskie zajmowały jeszcze inne kraje?

W wielu miejscowościach Azji Mniejszej odnaleziono posagi skrzydlatych rycerzy, byków z głową ludzką, cherubionów z głową jastrzębia; inne posagi przedstawiają ludzkie postacie stojące na jeleniu, na lwie, koniu i króliku. Nie może ulegać wątpliwości, że te posagi przedstawiały symbolicznie bożków, a stąd religia tych ludów miała jakiś związek z Zoolatrią.

¹ *The ruined Cities of Mashonaland*. London 1891.

² „Certes, ce ne sont ni les Arabes nomades, ni les nègres abroutis du *Mashonaland*, ni les insulaires même les plus civilisés de la Malaisie ou de la Polynésie, qui sont capables d'édifier de semblables constructions, de comprendre même leur importance“. Mis. de Nadaillac, *Le Correspondant*, vol. CLXXXIII, p. 483.

Rzeczą jest znana, że w czasach przedhistorycznych Europa była zamieszkałą przez ludy różnych „okresów kamienia“. Do jakich ras zaliczyć należy te ludy, dotąd dowodnie nie stwierdzono, według danych archeologicznych nie można jednak uznać ich za Aryów. Co więcej, antropolodzy utrzymują, że ludy przed-aryjskie w Europie należały do Turyów. Wśród dzisiejszych ludów w Irlandyi¹, Szkocyi², Anglii³, we Francyi, w północnych Włoszech, w Sycylii odnajdują się znamiona cielesne, charakteryzujące ludy Fińsko-Tatarskie. Wielu etnologów mniema, że Pelasgowie, dawni mieszkańcy Etruryi, a również Baskowie należą do ludów Turajskich.

Major Conder tak kończy swój odczyt o rasach ludów w Zachodniej Azji⁴: „Widzieliśmy, że ślady pomnikowe w Mezopotamii, w Medyi, w Azji Mniejszej i Syryi wskazują, iż istniał tam potężny szczepek ludów Turajskich, w swych znamionach zbliżony do Turków i Ugrów bardziej, aniżeli do innych. Widzieliśmy, pomijając gdzie się znajdowało stare ognisko kultury, bądź na południu morza Kaspijskiego, jak wielu obecnie twierdzi, bądź w Azji Środkowej, jak inni sądzą, w każdym razie jest rzeczą stwierdzoną, że Tatarzy z Turkestanu należą do tego samego szczepek co ludy Kheta, Lydyjczycy, Karyjezycy, ludy z Kapadocyi i Etruryi czyli Tyriania włoscy... Na Zachodzie, w Pyreneach, resztki starego ludu Iberyjskiego, który pochodził z Azji, uelały wśród Basków. Ślady tego ludu pozostały w Tyrolu, w północnych Włoszech a również wśród Sabinów i Tuskanów. W Egipcie przebywał również tenże lud. Gdziekolwiek oni przybyli, budowali wielkie miasta z kamienia nieobrobionego i przyносили z sobą sztuki malowania, pisania, obrabiania kruszców, mianowicie złota, srebra i bronzu... Turyowie byli pierwszymi cywilizatorami Zachodniej Azji, pierwsi szerzyli sztuki i nauki starego świata w południowej Europie“.

¹ J. Beddoe, *The Kelts of Ireland*, 1870.

² H. Mac Lean, *On the comparative Anthropol. of Scotland*.

³ D. Wilson, *Journ. Anthropol. Inst.*, vol. VIII, p. 341; tenże autor nazywa tę rasę „fińską“.

⁴ *The early races of Western Asia*, *Journ. Anthropol. Inst.*, vol. XIX, p. 43.

Na tem kończymy naszą pracę o ludach Turajskich. Pozostałaby jeszcze jedna kwestya do omówienia, mianowicie, czyby nie dało się wynaleść w Piśmie św. rodowodu tego ludu, a tem samem, czyby nie udało się wykazać bliższego jego pokrewieństwa z dziećmi i potomkami Adama lub Noego. Otóż, pod tym względem nie mamy żadnych danych. Pismo św. wspomina w wielu miejscach plemiona, które zdają się należeć do tego szczepu, ale rodowodu tego ludu nie podaje, jak również, co jest godnem zastanowienia, nie podaje rodowodu ludów rasy czerwonej, żółtej i czarnej¹. Pozostają nam zatem przypuszczenia tylko. Turyowie, jak to widzieliśmy, nie są ani Chamitami, ani Semitami, ani Jafetami czyli Aryami; pod względem cech fizyologicznych nie należą ani do rasy białej, ani do żółtej, ani do czarnej, stanowią rasę mieszaną. Gdzie, a szczególnie kiedy ta rasa się wyrobiła — zupełnie nie wiadomo. Jeżeli jednak weźmiemy na uwagę, że ludy te stały wysoko w cywilizacyi w bardzo odległej dobie, że one wyprzedziły tak w osiedleniu jak i kulturze Chamitów w Chaldei, Indyach i Egipcie, że pod względem pojęć religijnych stały bardzo nisko, wówczas nasuwa się myśl, że ludy te nie należą do potomków Noego, a tem samem, byłby to jeden z dowodów więcej, przemawiający za etnologicznie częściowym potopem.

Ks. Władysław Zaborski.

¹ „Non omnes mundi gentes genealogia exprimi, hodie ab omnibus conceditur; desiderantur certe Americani, Sinenses, Mongoli, Melanesii, Nigritae et alii multi“. Cf. Brunengo 1, 216 sq.; Vigouroux, Manuel, 1, 482 sq. *Com. in Gen.*, de Hummelauer S. J., p. 29.

WRAŻENIA Z NAD MÄLARU.

Sztokholm, lipiec 1896.

Trzeba poznać Sztokholm i Szwecję, aby ocenić ofiarę, jaką uczynił Zygmunt III., poświęcając tę koronę dla wiary, aby przestać się dziwić i oburzać na jego synów, że się nie chcieli wyrzec swoich praw dziedzicznych. Wprawdzie stolica Szwecyi daleką była wówczas od swej dzisiejszej świetności; kto wie jednak, czy nie była bardziej jeszcze uroczą, gdy mniej budynków, a więcej dębów z ponad skał w modre wody patrzyło? Narody w naszym wieku zwykły się chlubić z wielkiego wzrostu swych miast; powtarzają z dumą milionowe liczby mieszkańców, tłoczących się w ich murach, nie bacząc, czy ta aglomeracya, to centralizowanie ludzkiej pracy, chorób, wysiłków, potrzeb, nędzy i namiętności jest istotną dla kraju korzyścią. W każdym razie, nawet dziś, Szwedzi nie potrzebują nad tem zagadnieniem łamać sobie głowy. Sztokholm jest dosyć wielkiem miastem, ale nie przedstawia ujemnych stron innych stolic; powietrze tam przezroczyste, technie równocześnie świeżością morza i gór, choć właściwie do gór daleko. Długa odnoga Bałtyku, wkraczająca głęboko w ląd, zamienia się w laguny i łącząc swe fale ze słodkimi wodami Mälaru, okrąża mnóstwo wysepek, na których się miasto wznosi. Niegdyś wszystkie te wyspy skaliste musiały być lasem dębowym pokryte; teraz jeszcze zostały znaczne jego części, używane do publicznych przechadzek. Drzewa wogóle

bardzo rozłożyste nie dosięgają wysokości naszych dębów i nie dziw: nieraz zdumienie chwyta na widok olbrzymiego grubością pnia, sterczącego na gołej skale, którą korzenie obejmują jak w kleszcze, wpinając się w każdą szczelinę. Cała północna dzielnica umajona temi gajami. Nawet Skepsholm (Szepsholm¹), zawierający szkołę dla majtków i inne budynki marynarki wojennej; nawet Kastelholm — fort broniący wejścia od morza — zielenią się od dębów. A wśród tych dębów wszędzie wre swoboda i życie: na skałach Kastelholmu, pod groźnemi paszczami dział, bawią się gromadki dzieci. Opodał nich rodziny mieszczańskie, roztrasowane na ziemi, zajądają podwieczorek lub obiad, jakoby na wycieczce. Ponad ich głowami powiewają liczne flagi o narodowych barwach — niebieskie z żółtemi; u ich stóp również flagami strojne snują się białe jak śnieg przewozowe parowce. Jest ich bez liku; wszelkich rozmiarów i kształtów, pędzących we wszelkich kierunkach, omijających zręcznie wysmukłe łodzie żaglowe; to też zewsząd dolatują ich sygnały, a głośny szmer maszyn, podobny oddechowi zdyszanych piersi ludzkich, tworzy tło, na którym się rozwijają tony wesołej włoskiej orkiestry. Muzykę (nie zawsze włoską) słyhać wszędzie, na każdym punkcie miasta i przedmieści, co obok trzepotania flag i wesołego ruchu na ulicy i wodzie, sprawia wrażenie, jakoby tu codzień obchodzono jakieś narodowe święto: nawet fale, rozkołysane ustawicznym biegiem łodzi, zdają się tańczyć w słonecznym blasku i tracą martwą, sztywną fizyonomię jeziora. Na statkach, w tramwajach, w pociągach elektrycznych lub parowych, po ogrodach i ogródkach, wszędzie pełno ludzi; śnać każdy chce użyć w całej pełni krótkiego lata, nieprzegrodzonego od zimy ani jesieni, ni wiosną. My posiadamy i wiosnę i jesień, ale prawdę mówiąc, czy nam mogą ludzie północy klimatu zazdrościć? Wprawdzie zima ich przeciąga się bardzo długo, zazwyczaj jednak jest śnieżna, mroźna i lśniąca, otwierająca pole

¹ Po szwedzku spółgłoski *sk* przed samogłoskami *i, eöu* wymawiają się jak po polsku *sz*. Mówi się np. *Nordenszjöld* (*Nordenskjöld*), litera *k* zaś przed temiż samogłoskami wymawia się jako *cz*, np. *Linczöping*, *Joncziping*. Również wymawia się *szj* a nie *ski*.

do różnych rodzajów sportu u nas; nieznanych. Długich dni dżdżystych, owych tygodni posepnych, gdzie się zapomina wreszcie o istnieniu słońca, pono nie znają w tych strefach lub przynajmniej widują je bardzo rzadko. W lecie zaś, dzień się podwaja, przedłużony przeźroczystym zmrokiem, mieniącym się w barwach perły i opalu, oświeconym gorącemi blaskami zachodu, które dopiero zorza zagasza na niebie. Kulminacyjnym punktem owych letnich zachwyków jest noc świętojańska, jak u nas, tak i w Szwecyi pozostałość starego pogańskiego święta. Na północy palą jeszcze sobótki, w Sztokholmie zwyczaju tego już niema. Za to cała ludność noc przepędza na dworze, wśród zabawy, śpiewów śmiechu. Przez dzień następny jeszcze ogromny ogród na Skansen roi się od przechodniów; wychodzą na jaw stroje narodowe, mundury z czasów Karola XII., malownicze ubrania kobiet a niekiedy i mężczyzn z różnych stron Dalekarlii — jedynej, wprawdzie obszernej, prowincyi, gdzie lud zachował w całej pełni stary obyczaj ojczysty. Na szerokiej platformie, przy muzyce chłopskiej, przypominającej wielce popisy naszych grajków karczemnych, odbywają się tańce bardzo ciekawe i bardzo ochocze po trzy, cztery, nawet sześć par razem, wykonywane z wielką zgrabnością i wdziękiem. Między tanecznicami wyszczególnia się młoda Laponka, służąca obecnie na Skansen, dziewczę jakoby stworzone do uśmiechów i tańca.

Ogród na Skansen jest rodzajem etnologicznego muzeum, założonego przed niewielu laty przez d-ra Hazelinsa, który na ten cel zaryzykował cały swój majątek. Koszta olbrzymie a wrastające co roku, gdyż gorący miłośnik narodowego obyczaju i pamiątek, coraz to coś nowego dodaje — wkrótce zapewne zostaną zwrócone ze samej opłaty wstępu. Każdy bowiem znajdzie tam właściwą dla siebie przyjemność: dziecko, bawiące się widokiem reniferów, wyłazących na skały lub niedźwiedzi, chłodzących się u źródłu; archeolog, zaciekawiony mnóstwem starożytnych żelaznych krzyżów cmentarnych, kamieni o napisach runicznych, prastarych wózków, pługów i innych narzędzi rolniczych; cudzoziemiec, zwiedzający domy wieśniacze, pozbierane ze wszystkich stron Szwecyi. Nakoniec ucieszy się i artysta, wyszedłszy na szczyt

drewnianej wieży, w kształcie dzwonnicy, wystawionej na wierzchołku wzgórza, zajętego przez ogród; tu na okół przedstawi mu się cały Sztokholm ze swą różnorodną a czarodziejską grą barw; tu wzrok sięga w nieskończoną dal srebrzystych wód Mälaru, upstrzonych zielonością rzuconej nań garści wysepek, to znów zwraca się na wschód i w ślad za żaglami okrętów goni ku przestrzeniom Bałtyku. W tej wieży na Skansen powinnyby postawić latarnię morską — świeciłaby na wiele mil wokoło. Zapewne kiedyś do tego przyjdzie, niema bowiem praktycznego konceptu, któregooby Szwedzi natychmiast nie wprowadzili w użycie.

Dziwnem jest, jak ten lud, odcięty od wszelkich spraw europejskich, umie sobie przyswoić wszelkie cudze wynalazki; rozpowszechnia je z szybkością w reszcie świata nieznaną, dodaje do nich własne odkrycia i nie opuszczając czysto narodowego gruntu, postępuje co najmniej na równi z najoświecenijszymi narodami zachodu. Oświata u ludu posunięta daleko, datuje się już od bardzo dawna i tłumaczy stanowisko polityczne, jakie ludność wiejska zajmowała w kraju, gdzie tworzyła jeden ze stanów, przedstawianych na sejmie. Nowoczesny podział na Izbę wyższą i niższą zatarł oficjalnie różnice kastowe a zarazem zniweczył rolę polityczną, którą chłop szwedzki, jako chłop, odgrywał; cywilizacya jednak dotąd na tem nie ucierpiała. Czytać i pisać umieją wszyscy, szkoła jest wszędzie najokazalszym we wsi budynkiem a biblia ogromna, starożytna, w ciemną skórę oprawna, oznacza zawsze miejsce honorowe, kędy głowa rodziny zasiada. Nietylko wioski, ale znaczniejsze pojedyncze *gardy* czyli z angielska *farmy*, połączone są siecią telefonów, współzawodniczących zwycięsko z pocztami i telegrafem. Chcąc zdać sobie sprawę z życia wiejskiego w Szwecyi, choćby na tyle, aby zrozumieć powieści Björnsona, trzeba zwiedzić, przynajmniej na Skansen, wnętrze domu wiejskiego, obejrzeć każdy szczegół, wykonany z naiwną wytwornością, a nieraz prawdziwym poczuciem piękna. Ściany zewnętrzne domu o architekturze osobliwej, przypominającej nieco szwajcarską, a jednak wielce od niej różnej, składają się zazwyczaj z gontów krótkich, prostopadłe jeden nad drugim przybitych, a zatem tworzących rodzaj

łuski, przeplatanej gdzieniegdzie gzymsem lub wystającym ganeckiem. Ogół domów, parkanów i stodół, słowem wszystko, co jest drewniane, bywa prawie zawsze pociągnięte czerwonym lakierem, wybora pono ochroną przeciw wilgoci i robactwu. Widocznie też nie budują nic ze świeżego drzewa, domy bowiem zupełnie nowe, jeszcze niepomalowane, wyglądają szaro, jakoby deski i bierwiona oddawna już wszelkie soki życia z siebie wysączyły. Drzwi albo powyrzynane oryginalnie po obu stronach albo od strony wewnętrznej pomalowane podobnie jak ściany izb; to, co u nas stanowią areydziała nabożnych częstochowskich artystów, zawieszone naokół alkierza, tam zastąpione jest biblijnemi scenami, nakreślonemi na ścianie, w formie medalionów lub kwadratowych obrazków. Jako ramy, naokoło — nieraz nawet aż na powale — wiją się różnobarwne arabeski i kwiaty. Łóżka są dziwnie krótkie, niemal kwadratowe, wzorzystemi kotarami zasłonięte; piece z kolorowych kafli; w kuchni naczynia, wyrabiane ozdobnie z cyny lub mosiądzu; wszystko wygodne, praktyczne i składne. Nieraz patrząc na tak wielkie przestrzenie kraju, niezdolne do uprawy, pięknym ale nieprocentującym się lasem odziane, budzi się zdziwienie, skąd mieszkańcy ich czerpią środki na to całe ochędóstwo, gdy nasz chłop na swej żyznej pszenicznej glebie żyje tak nędznie? Wprawdzie Skania i inne południowe części kraju dużo rodzą zboża, ale choćby go rozdziły najwięcej, trzeba zawsze pieniędzy, aby chleb z tego zboża upieczony zakupić. Gdy zaś mówimy o chlebie, warto nadmienić, że w Szwecyi o prawdziwy chleb z ośródką i skórka nieraz jest trudno; zazwyczaj zastępuje go rodzaj bardzo grubej macy z ciemnej, żytniej mąki, zaprawionej anyżem i kminkiem. Dobre to i bardzo strawne pożywienie świadczy w każdym razie o sile zębów u większości mieszkańców. Głównym pokarmem Szwedów są ryby; polów dozwolony każdemu i wszędzie, a że tak jeziora, jak laguny i kanały przepelnione są rybim narodem, przeto nawet najuboższy ma, zwłaszcza w lecie, zapewniony obiad. W Sztokholmie wzdłuż wszystkich nadbrzeżnych ulic, placów i pomostów widać rzędy ludzi z wędkami, a obok nich pełne wyłowionych rybek naczynia świadczą, że nie pracują na darmo.

Wolność łowienia wchodzi w skład wielkiej swobody, która tu wszystko cechuje; przyjeżdżając z innych krajów ma się wrażenie, że tu wszystko wolno, a przecież nikt nie nadużywa wolności. I znowu rodzi się pytanie: czy sumienność mieszkańców jest skutkiem owej swobody czyli też jej przyczyną? W Sztokholmie kupcy na noc nie zasuwiają okien wystawy, a nie zdarza się, aby kto wybił szybę i wdarł się do sklepu; mleczarze konwie z mlekiem zostawiają przed domami na ulicy, pewni, iż nikt krom tych, co zapłacili, mleka nie usączy. Za miastem, na przystankach okrętowych widać nieraz pakunki lub otwarte koszyki z żywnością, zostawione pod Boską opieką aż do nadejścia właściciela, skrzynki pocztowe otwarte (nie w samym mieście) pozwalają każdemu zajrzeć, czy list do niego nie nadszedł! Wzdłuż portu, wpośród najemników ładujących okręta, nie słysząc kłótni ani bójki nie widać; co najwyżej jaki pijany majtek zacznie burmistrzować i głośny śmiech budzi wokoło.

Toż samo zauważyć można w ubogich uliczkach na Södra czyli w t. zw. Starym Sztokholmie. Ten wznosi się o kilka pięter ponad innemi częściami miasta. Gdy bowiem brzegi wysp północnych nizkie są, acz skaliste, od południowej strony głównego portu piętrzą się skały na długiej przestrzeni zupełnie prostopadle ścięte, zakończone tunelem, z którego co chwila wypadają pociągi. Na szczyt zrębu wiodą podwójne drewniane schołki, używane głównie przez robotników, a wiodące w uboższą dzielnicę. Ulice tu dość szerokie, domki po większej części nizkie; niektóre dziwnej bardzo konstrukcyi: drewniane, uczepione na głazach niby na pięterku, z drabiniastymi schodkami wiodącemi z ulicy do wejścia. Naokół milczenie; ruch przechodniów, pociągów, tramwajów i welocypedów, został gdzieś daleko, nawet huk miejski zaledwie dolatuje. Na ulicach dzieci bawią się swobodnie, zresztą wszędzie spokój i cisza, a poza miastem las. Mylilby się jednak, toby sądził, iż wśród tej ciszy samą znajdzie cnotę i moralność: świat pod tym względem, niestety, wszędzie jednaki. Tylko że w Sztokholmie tak w bogatszych jak i uboższych dzielnicach, niemoralność pokrywa się pewnym pokostem przyzwoitości i ładu; chlebobawcy mówią o wykrocze-

niach tego rodzaju u służby jako o rzeczy zupełnie prostej: sługa któraby u nas, w przyzwoitym domu została wydaloną z dnia na dzień, — tu otrzymuje podwyższenie płacy. Za to zepsucie nie jest wyzywającym, nie bije w oczy jak w innych stolicach: co z dwójga jest gorszem — niech kto inny osądzi!

Nie cała część południowa zajęta jest przez ludzi ubogich. Ulice jej zachodnie zabudowane dostatnio a silnie, mieszczą stare pałace i kilka kościołów; wogóle bardziej jest podobną do zwykłych miast europejskich niż nowsze, kapryśno-eleganckie dzielnice północne. W zachodniej części portu, każdy ciężki dom nadbrzeżny przedzielony jest od sąsiedniego wązką, jak w Wenecyi, uliczką. Te wszystkie biegną w górę, ocienione częstokroć lukami zarzuconych nań u góry mostków, coś *à la ponte dei Sospiri*. W tej okolicy już, zwłaszcza o pewnych godzinach, panuje szalony ruch; wszelkie znane pod słońcem rodzaje wehikułów, od kolei elektrycznej do dwukołowych, kwadratowych wózeczków, krzyżują się z świstem, dzwonkami, trąbieniem i hukiem po niezwykle gładkim bruku, grożąc śmiercią nie dość uważnym przechodniom, tem bardziej, że prawy szwedzki woźnica wolałby dziesięciu bliźnich przejechać, niż raz przerwać swój olimpijski spokój, aby ich do ostrożności nawołać. Istnieje przepis, czy też zwyczaj nie dość wszakże uwzględniony, aby chodzić zawsze lewą stroną ulicy: w ten sposób idący chodzą jedną stroną a powracający drugą i unika się nieprzyjemnych zderzeń, bez których trudno w Krakowie na linii A-B się obejść. Jest to jeden z tysiącznych pomysłów praktycznych, z jakimi co krok spotyka się w Szwecyi.

Największy ruch jest może około królewskiego pałacu. Ten jednak na swych podwalinach ze skały i ciosanego kamienia zbyt wysoko się wznosi, aby uliczne hałasy dosięgnąć go mogły. Zbudowany u skraju wyspy Riddarholmu, na pochyłości tak ostrej, że gdy jedną bramą wchodzi się z ulicy wprost na dziedziniec, trzeba, aby dojść do drugiej, na wysokość dwóch pięter między murami się wspinać. Zamek przedstawia się wspaniale i silnie. Znać, że z okien jego panująca rodzina może ze spokojem i ufnością spoglądać na sterczące u jego stóp maszty okrę-

tów, na cudne wyspy pokryte zielenią i coraz to nowemi gmachami, na ten cały lud równie spokojny i ufny, który ją rozrzewniającą otacza miłością. Kochanym zwłaszcza jest król; piękny jeszcze bardzo i majestatyczny pod siwym włosem, umiejący nosić bez śmieszności koronę i płaszcz monarszy, w jakim obyczaj każe mu występować co roku przy otwarciu Izb. Trzej synowie jego wtedy muszą przywdziawać mitry książęce i płaszcze z niebieskiego aksamitu, haftowane złotem; czwarty z nich, a drugi z rzędu, Oskar, wyrzekł się, jak wiadomo, praw swoich i jako księżę Bernadotte zasiada między Serafinami tj. rycerzami najwyższego szwedzkiego orderu. Zawsze równie kochany w rodzinie — przy publicznych przyjęciach i obrzędach musi się od niej oddalać. Król pono lubi okazałość starego ceremoniału; jest to pozostałość z romantyzmu jego lat młodzieńczych, z czasów, w których jako księżę Ostrogocki, pisał pokryjomu poemat, uwieńczony później na narodowym konkursie. Wielkie było zdumienie sędziów, gdy otwierając kopertę zawierającą nazwisko autora, odkryli, że jest nim następca tronu! Obecnie, zda się, Oskar II. wierszy nie pisze, ale za to, już za życia otacza go legenda. Niezmiernie popularny, umie bez uszczerbku swojej godności zbliżać się do ludu; przez dziedziniec jego pałacu, pod oknami jego letnich rezydencyj każdemu przechodzić wolno. Na wysepce Mastrand (w pobliżu Götaborga), dokąd się co roku na kąpiele udaje, zna każdego po imieniu, wypytuje o rodzinne stosunki. Stąd tysiączne anegdoty powtarzane bez końca i oczywiście przekręcane do niepoznania; często w nich obok króla wymieniane jest nazwisko generała Lagerberga, głównodowodzącego wojsk szwedzkich. Jest to jedna z najbardziej znanych i najbardziej lubianych osobistości kraju. O samym królu każdy odzywa się z przywiązaniem najgłębszem: o tem co jego boli nie śmie się mówić ze Szwedami, aby nie dotknąć osobistej rany każdego. Stosunek ten atoli nie rozciąga się na Norwegię.

Królowa Zofia od pewnego czasu chora, mniej się udziela; cała oddana pietystycznym rozmowom i praktykom, uchodzi za filar luteranizmu. Ulubiony jej zamek Ulriksdal ma pomimo piękności swych nadbrzeżnych ogrodów, wygląd surowej, purytań-

skiej prostoty. Niemniej przeto ludność ogląda się z sympatją, gdy pod cieniem wielkich zamkowych alei, ukaże się kucyk niosący królowę, której dłuższe chodzenie piechotą jest przez lekarzy zupełnie wzbronione. Żona następcy tronu, chora na piersi, żyje w większym jeszcze zamknięciu, co sprawia, że brak żywiołu kobiecego czuć się daje u dworu. O dynastję jednak niema strachu: u *Kronprinsu* Gustawa wyrasta trzech ślicznych chłopców, a prócz tego są dwaj jego bracia jeszcze bezzenni: księżę Karol, postać na równi z ojcem wyniosła i piękna, otoczona ogólną sympatją, i księżę Eugeniusz, wesoly dyletant i opiekun sztuki. Dziwnie prędko rodzina Bernadottów, obca krwią, tradycją i stanowiskiem społecznem, zapuściła na tronie szwedzkim korzenie. Potomkowie najdostojniejszych rodów: Wrangel, Brahe, Rosen, Baner, Sparre, Oxenstierna, Horn, de la Gardie, Löwenhaupt i t. p. i ponad nimi górujący po dziś dzień królewski ród Bonde, wszyscy wliczając w ich poczet osiadłych w Szwecyi Douglasów i Hamiltonów, otoczyli jakoby drużyna rycerzy z Walhalli, szczęśliwego Napoleońskiego żołnierza. Posąg jego na koniu wznosi się wspaniale na rozgraniczu pomiędzy dwoma wodami Mälaru i morza i przy zachodnim świetle zda się olbrzymieć na rumieniejącem tle nieba. Pamiątki po nim zachowane z równym pietyzmem, jak po którym z Wazów; w rodzinie też, w pałacu królewskim pełno portretów z Napoleońskich czasów. Jest w tem niezacieraniu śladów niższego pochodzenia pewna godność osobista i szlachetność, która sama przez się taką dynastję stawia na równi z prastaremi królewskimi rodami.

Miłość dla obecnych królów nie zabija tu czci dla przeszłości. Zresztą w tym zamku zapomnieć o niej trudno. Stoi on przecież na Riddarholmie, to jest w punkcie centralnym, w sercu, z którego od kilku wieków bije życie dziejowe całego kraju. Na wyspie tej sławny Birger Jarl, szwedzki twórca królów, założył w XIII. w. kościół i klasztor Franciszkanów, skąd nazwa: Grämunkholm czyli wyspa szarych mnichów, którą dopiero w sto lat po wygnaniu zakonników przez Reformację, zastąpiono mianem wyspy rycerzy. Syn Birgera, król Magnus II., dokończył budowy kościoła już w początkach XIV.

stulecia, zastrzegając sobie tamże miejsce wiecznego spoczynku. Wkrótce w pobliżu kościoła stanął królewski zamek, parękróć odtąd zupełnie przebudowany; dalej piękny pałac Wranglów, dalej jeszcze w późniejszych czasach gmachy sądowe, główne państwowe archiwum, gimnazjum, gmach parlamentu i... łoża masonska. Najpiękniejszym może jest starożytny Riddarhus czyli pałac szlachty, nad którego bramą pod rzędem kolumn jest napis: *arte et Marte*, a w salach, z pod zdobnych freskami sufitów patrzą z ram oblicza bohaterów i mężów stanu, zasłużonych synów ojczyzny. Przed pałacem widać brązowy posąg Gustawa Wazy; w dziedzińcu zaś, przez obecnego króla wzniesiony, pomnik wielkiego kanclerza Oxenstierny; powinien był stanąć jeszcze bliżej, jakoby na straży grobu Gustawa Adolfa.

Jan III. przebudował dawny kościół Franciszkanów na Riddarholmie. Do jego czasów jednak mieścił on tylko dwa groby królewskie, dwa sarkofagi stojące wprost przed wielkim ołtarzem (jedynym, jaki w obdartej przez protestantyzm świątyni pozostał). Jeden zawiera kości Magnusa II., którego życzeniu, mimo ciężkich życia kolei, stało się zadość; drugi zaś króla Karola VIII., z rodziny Bonde, założyciela orderu Serafinów. Sam Jan III. pochowany jeszcze w Upsali; dopiero brat jego Karol IX., który walkę Szwecyi z Polską rozpoczął, rozpoczął też szereg monarchów szwedzkich mających leżeć na Riddarholmie. Tu w czerwcu 1634 r. przeniesiono ze łzami zwłoki Gustawa Adolfa i złożono w osobnej kaplicy na prawo od wielkiego ołtarza. Kaplica ta była restaurowaną za Karola XIV., który podwójną trumnę kazał wstawić w marmurowy sarkofag¹. Przy sposobności wtedy trumnę otwarto (1832 r.). Znalezione ciało dość dobrze zachowane, odziane w kaftan z emaliowanemi guzikami i owinięte w złotolity całun. Ręce były złożone, wąsy, broda i brwi całe, naturalnego jasnego koloru; na piersiach woreczek aksamitny zawierający puszkę złotą wagi czterech dukatów, z sercem królewskim. Puszkę tę wdowa Gustawa Adolfa, Marya Eleonora

¹ Sarkofag ten był pierwotnie przeznaczony dla Adolfa Fryderyka. Sprowadzony do Szwecyi przez Gustawa III., został jednak bez użytku.

przez lat kilka na sobie nosiła, aż panowie rady, widząc w tym dowodzie czułości bałwochwalstwo, odebrali jej drogą pamiątkę. Zaprawdę, jeżeli jest gdzie bałwochwalstwo, to w przesadnej czci oddawanej dotychczas pamięci Gustawa Adolfa nie tak w Szwecyi, jak w Niemczech. Szwedzi kochają go i chlubią się nim, ale bez wzniosłego liryzmu, w jaki wpadają pastrowie niemieccy na samą wzmiankę *an den Glaubenshelden*, którego sobie radziły zupełnie przywłaszczyć. Wszak jeden z nich miał w Sztokholmie kazanie na temat:

Unser Luther — ever Luther; Euer Gustav Adolf — unser Gustav Adolf!

Nie wiem czy Szwedzi z tej wspólności kontencji; w każdym razie umieją tu, jak zresztą wszędzie, unikać przesady i śmieszności. Niemniej przeto grób bohatera zawalony jest wieniecami i wstęgami; a 250-ta rocznica jego śmierci obchodzoną była w roku 1882 z największą uroczystością i zapalem. Główną ozdobą kaplicy są trofea rycerskie, piramida bębnow, stosy dzid i 306 zdobytych sztandarów. Jako wieniec chwały biegną wkoło kościoła kaplice z grobami wielkich wodzów szwedzkich z wojny trzydziestoletniej i tychże rodzin; po dwóch bokach ołtarza, poniżej grobu Gustawa Adolfa, w osobnych sklepach podziemnych mieszczą się trumny jego następców. Sklepy bezwarunkowo za małe, literalnie zawalone trumnami, dalekie od wspaniałości grobów Wawelu. Zresztą cały kościół ozdobiony dzidami i halabardami, obwieszony chorągwiami, po większej części austryackimi i rosyjskimi; muszą tam być, niestety, i polskie. Razem liczą ich 3106... Kościół na Riddarholmie nie służy już ku czci Bożej krom w dniu pogrzebu — jest to obecnie raczej panteon; pomnik nie chwały Boskiej ale, jak Szwedzi mówią — ich własnej chwały. Dzwony głoszą już tylko zgon członków rodziny królewskiej, osobny zaś dzwon Serafinów odzywa się przez godzinę po śmierci każdego rycerza zaszczyconego tym orderem; do Serafinów należał i prezydent Carnot.

Szwedzi wierni są pamięci swych królów. Nietylko że przechowują w zamkowej zbrojowni zakrwawione koszule i resztę odzienia Gustawa Adolfa i Karola XII. a nawet wypchane skóry

ich koni, ale co więcej, stawiają im posągi na wszystkich możliwych punktach stolicy. Zdaje się, że prócz Adolfa Fryderyka i dwóch ostatnich Bernadottów, postać każdego monarchy uwiecznioną jest w bronzie lub marmurze. Smutne to porównanie z nami, którzy się na jednego Mickiewicza zdobyć nie możemy. Niektóre z tych posągów są bardzo piękne. Oprócz nich są i liczne portrety, tak liczne, że ich aż nadto. W pałacach, zamkach, gmachach uniwersyteckich, akademiach wojskowych, każda niemal ściana jest niemi pokryta; z każdego kąta krużganku lub klatki schodowej ścigają przechodzących oczy jakiejś dawno zmarłej istoty. W samym Gripsholmie jest przeszło 2000 portretów: są między niemi dzieła mistrzów; większość jednak ma jedynie historyczną wartość, o ile — czego nie zawsze można sprawdzić — historyczną autentyczność posiada. Jest np. wielki portret Sobieskiego, malowany chyba z fantazyi lub też przedstawiający innego Polaka, a dla dokompletowania zbioru Sobieskim ochrzczony.

Zresztą nie Sobieskiego ma się na myśli wsiadając na statek, aby po trzygodzinnej żegludze dostać się do Gripsholmu. Zameczysko to o trzech ciężkich, obszernych wieżach wznosi się groźnie na jednej z 1200 wysp Mälaru i zdala już czerwienieje połyskiem swej gołej cegły, jakoby oblane krwią. Nazwa pochodząca od herbu założyciela, znaczy tyle, co wyspa Gryfa i wskazuje na skandynawskie stosunki dawnych książąt Pomorza. Dla Szwedów pełno tu historycznych wspomnień; pokazują łóżka z posłaniem i prześlicznej roboty tron Gustawa Wazy, pokój Gustawa III., kaplicę zamienioną przezeń na teatr, stół na którym Gustaw IV. podpisał swą abdykację; słowem, prócz królów, którzy sławę swoją zyskali na zewnątrz kraju, można powiedzieć, iż każdy monarcha szwedzki ślad po sobie zostawił w Gripsholmie, iż przez ten ponury gmach, pomiędzy temi na kilka metrów grubemi murami przepłynął wielki, burzliwy strumień szwedzkiej historii. Pięknie tu bardzo malowane albo belkowane sufity, niektóre zachowane z czasu pierwszego Gustawa; piękne miejscami opony na ścianach, piękniejsze jeszcze ozdobne sprzęty, po większej części z pewnością zdobyte, przywiezione z Pragi albo z Warszawy. Wszystko to jednak (krom jednego

nowszego apartamentu) śmiertelnie smutne, raczej na mieszkanie dla upiorów, niż dla ludzi stworzone; mimowoli na myśl przychodzi, iż możnaby się wielu dziwnych rzeczy napatrzeć, błędząc samemu w noc księżycową po tych krużgankach i salach.

Dla polskich serc Gripsholm to istna pielgrzymka! Niepodobna bez wzruszenia przestąpić progu pokoi, gdzie przez lat kilka piękna Katarzyna Jagiellonka trzymana była w więzieniu wraz z mężem księciem Finlandzkim; wyjrzeć przez okno wieży, przez które do uszu nieszczęsnych nowożeńców dochodziły jęki ich licznej, polskiej i szwedzkiej drużyny, wymordowanej pod ścianami zamku na rozkaz szalonego króla Eryka; dotknąć się w tej wieży stojącego, bladezieloną kotarą osłoniętego łóża, kędy się urodził Zygmunt III. i siostra jego Anna. W pokoju poprzędzającym wieżę, wówczas zajmowanym przez księcia Finlandyi, pokazują w murze jakoby szafkę z półkami; jest to wyjście tajemnych schodków wiodących na drugie piętro — jedna z licznych skrytek Gripsholmu, używana tu zapewne dla śledzenia królewskich więźniów. Trzymano ich w takim niedostatku, iż królowna nie mając czem owinać pierwszego dziecięcia, odpruła złoty haft z sukni, aby zań nieco szmat od strażników zakupić. Gdy wieść o tej nędzy rozeszła się między ludźmi, kupcy polscy bawiący w Sztokholmie poczęli Katarzynie posyłać kosze róż i naczynia z miodem; przyjęto je z radością w Gripsholmie; wdzięczność jednak zwiększyła się, gdy wyjmując róże i wylewając miód ujrzano sztuki złota ukryte na spodzie... Smutne było to więzienie; smutniejszą jednak jest myśl, że tenże sam książę Finlandyi, odzyskawszy wolność i brata straciwszy z trouu, zamknął go również w Gripsholmie, ale w stokroć gorszem więzieniu na trzeciem piętrze wieży, w okrągłej, niskiej izbie, której wąskie otwory wyglądają nie na dwór ale na krużganek, kędy dzień i noc chodziły straże. Tu, po długich latach niewoli, zmuszono nieszczęśliwego do spożycia zatrutej potrawy. Dziwnie pociągającą jest postać tego ukoronowanego szaleńca, pełnego w chwilach spokojnych miłości do piękna i sztuki, zdolnego do najszlachetniejszych porywów. W galerii sztokholmskiego muzeum, wielki obraz pendzla hr. Rosen, obecnego dyrektora Aka-

demii sztuk pięknych, przedstawia go siedzącego u stóp żony, pięknej Katarzyny Mansdotter, i zapatrzonego w akt abdykacyi, przyniesiony mu przez Görana Pehrsona od zbuntowanych braci. Eryk nie podpisał i zginął, ale na księciu Finlandyi pomściła się Nemezys dziejowa. Tenże sam brat, który mu dopomógł wydrzeć Erykowi koronę, jemu samemu wydarł następnie połowę rządów, a po śmierci jego wydarł tron Zygmuntowi III. Nie dziw więc, że Gripsholm robi nam wrażenie gniazda, z którego wylęła się stuletnia nienawiść między Szwecyą a Polską, skąd wyszły straszliwe walki, zdrada i p o t o p krwi. — Zamek utrzymany jest wybornie, podobnie jak otaczający go ogród; obecnie właśnie pracują nad naprawą ukruszonego w jednym miejscu olbrzymiego muru, a król osobiście dogląda roboty.

Mniej imponującym, ale miłszym, bardziej do mieszkania sposobnym jest zamek w Drottningholm (wyspa królowej), założonej pierwotnie przez Katarzynę Jagiellonkę, potem przebudowany na podobieństwo Wersalu przez żonę Karola Gustawa. I tu pełno portretów, ale więcej jeszcze sztukaterij, gobelinów i ozdobnych, sprzętów — o niektórych przyznają głośno, że są zdobyte. Prześliczny park o ogromnych, cienistych aleach, nęci bardziej może do zamku. Jest to jesienna rezydencya królestwa; gorące miesiące zazwyczaj spędzają w Sztokholmie, w letnim pałacyku Rosendal. Tego roku też król każe restaurować zamek w Kalmarze — będzie to jeden z najwspanialszych w Szwecyi, a położenie jego tak piękne, jakoby z dziedziny snów i baśni wyjęte.

Wspomnienie Katarzyny Jagiellonki odnajdujemy i poza okolicami Sztokholmu, w Upsali. Słynne to miasto każdemu przychodzi na usta, gdy mowa o Szwecyi. A jednak dojechawszy doń (niedaleko, bo tylko o dwie godziny koleją), doznaje się — przyznać trzeba — zawodu. Miasto nie wielkie, bez starożytnego charakteru; ulice proste o domach nie wszędzie piętrowych, słowem, dosyć banalne, gdyby nie katedra i zamek. Katedra w istocie wspaniała ze swemi niebotycznymi wieżami, zda się wołać do nieba o przywrócenie dawnej wiary i dawnego obrządku. Wnętrze opustoszałe, jakby mroźny wichur Reformacyi zwarzył tu

wszystko, co żyło, kochało i kwitło; piękne filary i ściany upstrzone raczej niż przystrojone, jaskrawo malowanemi herbami byłych i istniejących dziś Serafinów. Ambona ciemna, drewniana, z delikatnie narysowanemi wyrobami złotemi, przez siostrę Karola XII., Ulrykę Eleonorę, z Włoch sprowadzona; piękna jest, ale nie odpowiada ogółowi świątyni. Poza wielkim ołtarzem stoi za potrójną kratą srebrna trumna św. Eryka, nie wyrzucona dzięki jego królewskiej godności. Niedawno nawet obchodzono solennie którąś rocznicę jego śmierci¹; grobowiec przez parę dni żarzył się od światła, a co dziwniejsza, dozwolono doń dostępu i katolickim duchownym. Ziemskiej koronie również zawdzięcza poszanowanie, w jakim go zostawiono, grób św. Brygidy, oznaczony tylko wielką marmurową płytą w jednej z pobocznych kaplic. W skarbcu pełnym kielichów, paten i monstrancyj, pokazują jej pasek perłami szyty i inne pamiątki. Obecność tych świętych relikwii czyni, iż mniej opuszczonym się tu wydaje grobowiec królowej Katarzyny; posąg jej z białego marmuru, bardzo pięknej roboty, leży na również białym sarkofagu, u stóp którego wyryte herby Szwecyi, Polski i Litwy. Ponad jej głową malowane na drzewie herby wszystkich spokrewnionych z nią rodzin: jest więc i *Biscione* Sforzów i orzeł cesarski; małżeństwo z córką tak wielkiego domu było jeszcze wówczas wielkim dla Wazów zaszczytem. O parę kroków, w tej samej kaplicy stoi wielki a przepyszny grobowiec Jana III. przez Zygmunta III. ojcu stawiony. Postać króla bardzo poważna i piękna, leży bokiem, nieco podniesiona na łokciu. Twarz pełna wyrazu, zdaje się być żywą, prawa ręka dzierży berło złożone. Sąsiednia kaplica poświęcona Gustawowi Wazie. Na szerokim białym piedestale leży oswobodziciel Szwecyi z pod duńskiej przemocy, a po jego bokach dwie jego pierwsze małżonki: Katarzyna, księżniczka Luneburgska i Małgorzata Löwenhaupt; i tu również wszystkie trzy postacie trzymają złociste berła. Na białe posągi pada światło przez różnobarwne witraże; na jednym z nich figuruje obok poprzednich i trzecia żona Gustawa, Mał-

¹ Św. Eryk IX. zabity został w r. 1161.

gorzata Steenbock. Na ścianach dokoła odmalowane główne sceny z jego życia. Inne kaplice zawierają grobowce wielkich mężów i wielkich rodów Szwecyi; Linneusz, którym się tu bardzo szczyć, posiada osobną.

Z katedry idzie się oglądać gmach uniwersytetu zbudowany przed dziesięciu laty; stary już nie istnieje. Prześlicznie umiano wyzyskać barwne szwedzkie marmury; poręcze schodów są blado-zielone, kolumny też zielone ale ciemniejszej, mocno żyłowanej barwy. Główna aula wspaniała, mogłaby służyć do obrad sejmowych; w zimie studenci wyprawiają tu koncerta, na które amatorowie muzyki zjeżdżają się z całego kraju. Na piętrze sale różnych fakultetów, wykładane drzewem, z meblami sztywnymi, czarno obitemi, a wkoło ścian portrety i jeszcze portrety. Jak w akademii wojskowej w Karlbergu sami przyswieceją wodzowie w zbrojach lub długich poza kolana łosiowych kaftanach, tak tu widzimy w perukach, koronkach lub czarnych kapotach galeryę mężów uczonych. Jest i galerya portretów królewskich, pomiędzy którymi nie brakuje Zygmunta; wogóle imię jego często obija się o uszy; w zbrojowni królewskiej wisi na pierwszym planie jego błękitna, koronacyjna chorągiew. Ze starym uniwersytetem w Upsali współzawodniczy w Szwecyi tylko uniwersytet w Lundzie. Niedoszły doktorant Strindberg, pokłócony ze społeczeństwem za to, że sobie w nim miejsca nie umiał wyrobić, skarykaturował życie tutejszych studentów w książce, która dzięki swej koleczastej ironii rozeszła się w różnych przekładach po Europie. Poszczególne rysy tego obrazu mogą być i zapewne są prawdziwemi, jak słusznie zauważa poważny krytyk literatury szwedzkiej Heidenstam, stanowią jednak wyjątki, które podobnie na każdym innym uniwersytecie spotkaćby można, a którym przeciwstawić należy większość uczciwą i pracowitą młodzieży. Jak niektórzy malarze na obliczu modelu zauważają przedewszystkiem szpetną brodawkę, tak i niektórzy pisarze wybierają z upodobaniem kalectwa moralne ludzkości. Dzieje się to nie tylko w Upsali.

Z uniwersytetu idzie się do biblioteki Karolińskiej oglądać przez szyby gabelotek kilkadziesiąt cennych rękopisów, z których

najpiękniejsze a raczej najciekawsze są darem Gabryela Magnusa de la Gardie, owego Magnusa, który podczas najazdu Litwy akt poddania W. Księstwa z rąk Janusza Radziwiłła odebrał. Znaną jest ze sztychów Falka cudna twarz tego królewskiego szwagra; służył on wiernie Karolowi Gustawowi; za małoletności Karola XI. piastował rządy całego państwa a potem nagle popadłszy w niełaskę, umarł w nędzy, tułając się na wygnaniu. Dotąd każą naszej młodzieży oburzać się na wątpliwą niesprawiedliwość cesarza Justyniana wobec Belizaryusza: tu niesprawiedliwość była jawna, upadek jeszcze większy, ofiara stokroć szlachetniejsza, a mało kto wie o jej losie... Prócz tych, które pokazują, biblioteka Upsali posiada jeszcze tysiące manuskryptów — o tem w każdej geografii dowiedzieć się można. Za to geografie nie piszą nic o zamku wzniesionym na stromej wyżyźnie, ani o wielkim srebrnym dzwonie wiszącym jeszcze między staremi murami. Piękny ma widok z okien gubernator Upsali, wicher jednak pono wyje srogo z otaczającej doliny; wogóle klimat daleko zimniejszy aniżeli w Sztokholmie.

Nawet i bez wichru, w pogodne dni letnie miło jest z Upsali do Sztokholmu powrócić. Weselej tu, swobodniej i stokroć piękniej. Jeżeli zaś kto chce nauki, to znajdzie w wielkiem narodowem muzeum prawdziwe skarbnice wiedzy, wyrzeźbionych na delikatnie wyrzynanych sprzętach i broniach z wieku kamiennego, na cudnej roboty ozdobach złotych, wykopanych w starych mogiłach, w naczyniach i monetach rzymskich, świadczących o częstych stosunkach handlowych Skandynawców z „światowładną Romą“, w prostych a srogich mieczach Wikingów, o których marzy chyba każdy szwedzki młodzieniec. Muzeum to założył już w r. 1666 Magnus de la Gardie za dni swojej potęgi. Podniosło się szybko, dzięki nietylko ofiarności królewskiej i prywatnej, ale też i mądrymu prawu, nakazującemu każdemu znalazcy starożytnego przedmiotu oddawać go rządowi, który w zamian płaci $\frac{3}{4}$ lub nawet półtorej wartości kupieckiej. Wykopalisk też jest tu aż nazbyt wiele, zwłaszcza przedmiotami kamiennymi możnaby bez uszczerbku dla Sztokholmu kilka muzeów obdzielić. Po nich i po wyrobach złotych można wniosko-

wać o wykształceniu artystycznym tych nieznanych nam ludów, żyjących w nieznanych czasach. Szwedzkie klejnoty przypominają w ogólnych zarysach dzieła Castellaniego, bywają jednak powleczone jakby sznureczkiem złotym niesłychanej nieraz cienkości, układanym w przeróżne motywa. Nieraz trzeba by szkieł powiększających, aby całe bogactwo i różnorodność rysunku ocenić; nieraz też całe tło wraz z klamrami bywa dla większej trwałości wykute lub odlane z bledszego złota, ozdoby zaś wykonane z najczystszej metalu. O pochodzeniu domorosłem tych skarbów świadczy sam fakt, że robota choć wydoskonalona, jest mniej więcej ta sama, co na mieczach żelaznych i na narzędziach kamiennych. Przedmiotów z brązu bardzo niewiele, był to bowiem zbytek importowany z południa.

Z średnich wieków pozostały głównie przedmioty religijne. Całe ołtarze rzeźbione, nagrobki, krzyże, monstrance, kielichy setkami w muzeum zebrane — dziwna rzecz, że ich przy ogólnym rabunku kościołów nie przetopiono, jak w Anglii, na zwykłą monetę. Przepyszny jest posąg św. Jerzego na koniu, przeniesiony też z jakiejś świątyni, i nawet z artystycznego względu szkoda, że jest więziony w tak szczupłej przestrzeni. O przedmiotach z czasów po Reformacyi dużo byłoby mówić; porcelany, szafy, stoły, wyroby złotnicze, hafty i materye wzbudzają podziw znawców; epoka francuska czyli t. zw. Gustawiańska (od Gustawa III.) bardzo wybitne zajmuje miejsce. Szkoła francuska z tego i nieco poprzedniego czasu też silnie przedstawiona w galeryi obrazów — podobnie w literaturze jest okres francuskim nazwany. Dziwić się tylko przychodzi, iż wypadł stosunkowo tak późno. Francya przez dwa ostatnie wieki ścisłe stosunki polityczne zachowywała ze Szwecją; odkąd tylko rząd króla chrześcijańskiego zmiarkował, iż może protestantyzm Szwedów użyć za taran przeciw katolickiemu cesarstwu Habsburgów, natychmiast rozpoczęły się intrygi i umizgi w Sztokholmie. Ofiarą ich padła Polska, której, że się do wrogów cesarstwa przyłączyć nie chciała, narzucono wpierw niekorzystny traktat sztumski, a następnie wyszczuto na nią Karola Gustawa: wszakże król szwedzki w r. 1655 większą część pienię-

dzy na uzbrojenia przeciw Polsce otrzymał z Francyi a podczas kampanii jeszcze 600.000 i piękny kredens srebrny przysłano mu z nad Sekwany. Mówiono też głośno, iż układ pomiędzy nim a kurfirstem nie byłby przyszedł do skutku bez podszeptów francuskiego posła... Ze sfer dyplomatycznych stosunki z Francją przeniosły się do kół literacko-artystycznych, a wkrótce nastąpiła i wspólność spisku: wszak wieść o zamordowaniu Gustawa III. rozeszła się w Paryżu, z nim zbrodnia została dokonaną w Sztokholmie. Dziwnym zbiegiem okoliczności wpływ ten począł ustawać, odkąd Szwedzi powołali na tron dynastję francuską. Obecnie zdają się nie ciążyć ani w stronę Francyi ani Niemiec.

Marynarze szwedzcy znają dobrze wybrzeża Hiszpanii i Portugalii, atoli najżywszy handel prowadzony jest z Rosyą i Anglią: przez miesiąc lipiec b. roku 350 okrętów rosyjskich wpłynęło do portu w Sztokholmie; w Götaborgu konsulowie zagraniczni w lecie zjeżdżają do miasta tylko w dniu, gdy kuryer angielski przybywa. Okręta szwedzkie wiozą W. Brytanii drzewo i nadmiar żelaza, którego fabryki krajowe wyrobić nie są w stanie. Sławna jest wszakże stal z Eskilstuny i snąć musi się dobrze opłacać, skoro tego roku fabrykant Delaval nie wahał się za 700.000 szwedzkich koron (tj. mniej więcej 800.000 austriackich) zakupić część wodospadu w Trollhättan, aby tę olbrzymią siłę wody na motor do nowej odlewni obrócić¹. Do fabryki porcelany w Gustafsberg — o dwie godziny statkiem od Sztokholmu — okręty angielskie przywożą glinę, z której robotnicy szwedzcy tworzą piękne, oryginalne i dziwnie tanie wyroby. Być może, iż porcelana duńska piękniejsza, warto jednak być w Gustafsbergu choćby na to, aby się nauczyć, jak się właściciele fabryk mogą chronić od strejków. Cała ta wyspa — bo cóż tu nie jest na wyspie? — zajęta jest przez fabrykę oraz mieszka-

¹ Trollhättan (czarodziejska czapka) znajduje się o kilka mil od Götaborga. Wody spływające z jeziora Wener do morza, natrafiwszy tu na ogromne skaliste poroży, spadają z nich z niesłychaną gwałtownością po dość długiej przestrzeni. Widok dziki, ale przepyszny, zbliżony jest do krajo-
brazów Norwegii.

nia dla robotników; jest to szereg ślicznych szalaśów o dużych oknach, z których widnieją franki i kwiaty. Domy zbudowane w dość znacznych odstępach przeznaczone są według rozmiarów na jedną lub dwie rodziny; z tych każda posiada własny, oparzaniony ogródek. W pośrodku jest rodzaj *Kurhauzu*, miejsce zebrania dla muzykowania, tańców i pogadanki, opatrzone biblioteką i czytelnią. Lekarz i apteka są bezpłatne; prócz tego jest sklep, kędy za umiarkowaną cenę wszystkie można zaspokoić potrzeby, zyski zaś jakie przynosi, rozdzielane są między robotników. Ci rozpoczynawszy pracę o 6-tej z rana wolni są również o 6-tej po południu i mogą wieczór spędzać na świeżem powietrzu; wielu ich idzie ryby łowić, niektórzy łódkami wyjeżdżają na morze... Sam właściciel p. Ölenberg posiada nieco opodal piękną willę, niemal pałac nad wodą; przejeżdżając śle mu się z całego serca: „Szczęść Boże!“

Nie wiem, czy we wszystkich fabrykach jest tak pięknie, ale to fakt, że do tej chwili socjalizm niemal nie zajrzał do Szwecyi. Wprawdzie znają się tu na potrzebach ubogich, w Götaburgu pobudowano mnóstwo domów, urządzonych higienicznie, wśród zdrowego powietrza, a podzielonych na tanie mieszkania. W pobliżu Sztokholmu dostrzedz można wśród zieleni nad wodą, całe rzędy mikroskopicznych czerwonych domków, wynajmowanych za 10 lub 15 koron na całe lato i to wraz z kawałkiem ziemi do uprawy dowolnej! W ten sposób każdy niemal robotnik może rodzinę swoją umieścić w lecie na świeżem powietrzu i sam, dzięki bliskości, powracać do niej co wieczór. W Sztokholmie zebrać nie wolno; po ulicach też ani w porcie nie spotyka się nigdy z nędzą jawną, z łachmanami i brudem. Prawda, że z drugiej strony, ani zbytłownych zaprzęgów, ani kosztownych strojów nie widać: wszędzie prostota, nieuganiająca się za modą, a kierowana najlepszym instynktem. Powracając przez miasta niemieckie jest się zdziwionym, spotykając koczkodony, o których istnieniu było się zapomniało w Szwecyi. Toż samo i co do jedzenia: niema wykłintnych restauracyj, jak w Hamburgu lub w Nizzy, ale za to, gdziekolwiek się pójdzie, kuchnia smaczna i dobrze podana; obiad zawsze, podobnie jak u nas

jeszcze w Królestwie, poprzedzony mnóstwem zakąsek. Powiadają, że wiele rodzin, nawet należących do wyższych kół towarzyskich, nie jada mięsa, jak dwa razy na tydzień. A jednak... pomimo tej skromności, tego ładu, tej karności i sumienności, większość mieszkańców Sztokholmu pono tonie w długach. Deprymującym i demoralizującym jest wrażenie, gdy się człowiek przekona, że i te cnoty, których brak cały świat nam wymawia, w końcu nie są zdolne ochronić od biedy. Być może, iż ci ludzie zbyt wiele się bawią, że spacerzy, podwieczorki na skałach i pączyk, palonym cukrem zaprawny, zbyt wiele zabierają im czasu, że wille, mnożące się na Djursholm i w Saltsjöbaden, nowo założonych pseudo-morskich kąpielach, zbyt łatwo znajdują lokatorów albo nabywców... Bądź co bądź niema w Sztokholmie ludzi, bogacących się szybko, jak götaburscy mieszcianie; znaniem już jest w Europie nazwisko Olafa Renberga, który, zaczawszy bez grosza, dorobił się handlem drzewa wielkiej fortuny, trzech milionów, które umierając miastu rodzinnemu zapisał z klauzulą, aby procenta składano i dopiero, gdy pół miliona wyniosą, użyto je na pomnożenie dobrobytu lub ozdobę Götaborga. Tego jednak nie pisano w gazetach, iż ten człowiek zbierał majątek jedynie w tym celu, że dlań stał się skąpcem, zabierającym pokryjomu w klubie kawalki cukru, zostawione przez znajomych, aby sobie w domu kawę osłodzić...

Jeżeli w Szwecyi stosunki finansowe nie wszędzie wesole, nie można przynajmniej się żalić, aby tu „wojsko pożerało kraj“. W każdym razie obowiązki służby rezerwowej nie tamują tyle, co gdzieindziej, zwykłej zawodowej pracy: ochotnicy np. zamiast roku, tylko trzy miesiące muszą służyć. Za to aspiranci do oficerskiej służby czynnej mają całe lata nauki przed sobą. Każdy, przebywszy jako kadet półtora roku w ogólnej akademii w Karlsbergu, przechodzi do szkoły wydziałowej, osobnej dla kawalerji, artyleryji, inżynierji i piechoty, poczem dopiero bywa przydzielony do pułku. Zdaje się jednak, że tu praca nie jest zbyt uciążliwa, a co więcej, że wojskowość nie jest jak w Austrii i Prusiech uważaną za rodzaj świeckiego kapłaństwa, zdarza się bowiem, że oficerowie ubożsi obok swej służby oddają się różnym

rzemiosłom: jeden np. chodzi za pieniądze massować, drugi udziela lekcji konnej jazdy, trzeci daje przedstawienia publiczne jako... brzuchomowca! Cóżby na to powiedzieli żołnierze Gustawa Adolfa? Teraz nie podobna sobie zdać sprawy, iż ci uśmiechnięci, uprzejmi Szwedzi byli nie dawno jeszcze postrachem świata, że całe ich dzieje wewnętrzne są ciągiem krwawych zamieszek. A przecież ci sami ludzie, gdyby kto dotknął ich kraju, broniliby go zawzięcie i nie wahali się przed żadnem niebezpieczeństwem, jak obecnie nie zatrzymują się przed straszniejszymi od dział lodowcami północy.

Szczyściem dla Szwecyi żadna jej wojenna napaść nie grozi i tylko rozterki z Norwegią, odpychającą wszystkimi siłami poniewolną unię, mącą swobodę myśli sztokholmskich ministrów. Ale bywają różnego rodzaju napady. Od pewnego czasu spadała na ten piękny kraj plaga sekt pietystycznych, wobec których zagorzałość luterska ustępuje bezsilna. Błąd sam przez się jest nieszczęściem, ale błąd drugi zaszczipiony na błędzie dawnym, prowadzi wprost do szaleństwa. W Sztokholmie, gdzie wszystko się zdaje do słońca uśmiechać, zadziwiają rozmiary szpitalu dla obłąkanych. Lekarz, zapytywany w tym względzie, odrzekł, iż takich szpitali w kraju jest 7, i że w miarę rozszerzania się sekt wzrasta się liczba szaleńców; w Norwegii i Danii ma jeszcze być znacznie gorzej. Prym oczywiście trzyma Armia zbawienia, na czem przynajmniej zyskają ubodzy, choć dla względów estetycznych wolałoby się, aby jej nie było na świecie. Wolałoby się i dla innych względów. Mistycyzm tych sekt ugruntowany na przerażającej pysze, dziwnie się łączy ze zmysłem praktycznym ludności; samo ułatwienie każdej czynności życia zostawia więcej pola do duchowych wybryków. Człowiek na północy pono zawsze więcej do marzenia skłonny: długie noce zimowe, miesiące osamotnienia i przymusowej bezczynności wśród śniegów, w lecie znów dni bez końca i ciągle życie między wodą a niebem — wszystko pobudza nie tyle do myśli głębokiej a zdrowej, ile do mglistych a paradoksalnych mrzonek. Katolik miałby jako *antidotum* dogmata swej wiary, niewzruszoną naukę Kościoła, a wreszcie słodką pociechę i urozmaicenie swoich obrzędów.

U protestantów zaś droga jest wolna do domysłów, do absurdów i halucynacyi. Zdarza się, iż owieczki chcą nauczać swego pastusza. Toż Björson w jednej ze swych ludowych powieści przedstawia nam gromadkę chłopów norweskich, brnących po górach w głębokim śniegu, aby gremialnie zażądać od pastora, iżby tenże spalił swą jedyną pociechę — fortepian! „Muzyka świecka bowiem jest dziełem szatańskim, pobudzającym wszystkie złe chuci człowieka“... A nie trzeba na to Björsona, ani chłopów norweskich. Tej zimy zmarł nagle w Sztokholmie jeden z urzędników dworu na kilka godzin przed wielkim bale królewskim; natychmiast poszedł głos wśród jego znajomych, że ten zgon nagły jest karą niebios; nieboszczyk bowiem dopuścił się był tego dnia zbrodni straszliwej: zmuszony iść na bal, kupił sobie parę rękawiczek! Pewna dama słysząc od jakiejś Angielki, że ta ostatnia zaprzyjaźniła się z osobą, należącą do sekty: „Ciesz mnie bardzo — odrzekła — że pańi masz przyjaciółkę chrześcijankę“. W zebraniach ich uczestniczyć ma obecnością prawdziwą Duch św., stąd też wierzą, że wszystkie ich myśli i mowy są z góry natchnione... Prąd ten dziwny, wprawiający duszę w niewolę, jakiej nie zna żadna sformułowana religia, rozszerza się szybko, zagląda do chat i pałaców, ma nawet swych adeptów u dworu.

Najgorszym zaś jego skutkiem jest, obok napelniania domu waryatów, że tamuje postępy katolicyzmu. O tych postępach można w Szwecyi ledwie szeptać po cichu, aby nie zbudzić nieco uspionej czujności wroga. Czy wrogiem tym jest tylko protestantyzm, czy też i rozwielenione od dawien dawna wolnomurarstwo? Szwedzcy masoni istnienie swoje w tym kraju datują od początku XII. w., na pewno zaś mieli istnieć w Sztokholmie i Lundzie za panowania królowej Małgorzaty. O ile to jest prawdą, wiedzieć trudno; masoni lubią początki swoje ze starożytności wywodzić. Faktem jest, że z poręki wielkorządcy Sparre mogli w r. 1730 założyć w Sztokholmie lożę, obok której w przeciągu lat 20-tu już trzy inne wyrosły. Gdy w r. 1803 wszelkie stowarzyszenia tajne oddane zostały pod nadzór politycy, masonów wyraźnie wyłączono z ich liczby. Order Karola XIII,

założony 1811 r. ma być udzielany tylko masonom najwyższych stopni; noszonym bywa u szyi na czerwonej wstążce; strój uroczysty zaś jest biały, przypominający ubiór dawnych Templaryszów. Niektóre źródła współczesne przypisują masonom cały spisek przeciw Gustawowi III. i jego śmierć; pewien Polak, podróżujący naówczas po Szwecyi, napotkał tam ślady stosunków z tajnymi towarzystwami Włoch i Francyi. Karol XIII. zapewnie też nie bez ich pomocy osiągnął tron, a był niezaprzeczenie najnędniejszym królem, jakiego posiadała Szwecya. Już jako książę sudermański piastował on godność wielkiego mistrza, po nim Karol Jan Bernadotte, Oskar I. i Karol XV. odziedziczyli ten zaszczyt. Obecnie obok czterech łóż sztokholmskich i złączonych z niemi t. zw. braci Stewartów, masoni rozsiedli się i w innych miastach, jak Götaborg, Linköping, Jonköping, Carlserona, Carlstad i Christianstad. Musiały im być bardzo na rękę wszelkie tamy, stawiane katolicyzmowi w Szwecyi. Z czasem jednak pod ciągle z cicha uderzającą falą wszelka tama zużyć się musi: w r. 1781 nielicznym, istniejącym katolikom przyznano prawo bytu; protestantom jednak, przechodzącym na katolicyzm lub nawet obecnym, choćby przez ciekawość, na nabożeństwie katolickiem, groziło wydalenie z kraju. Nareszcie w r. 1838 dozwolono na postawienie katolickiego kościoła — to, czego Zygmunt III, ów ponury fanatyk nadaremnie żądał od stanów! Byłby na innych punktach ustąpił, byle na jeden kościół w każdym mieście przystano... Obecnie prawa są mniej surowe; podczas sumy kościół św. Eugenii na Norra Smedjegatan (ulica Kowalska) napęlnia się co niedziela protestantami, zmuszonymi, jeśli nie chcą tracić początku przepysnej muzyki, wysłuchać katolickiego kazania i siedzieć cicho podczas mszy św., której przebieg objaśniają im zostawione po ławkach książeczki. Od niedawna jest i drugi, śliczny kościółek św. Eryka, wzniesiony na Södra ze składek, dzięki staraniom ks. biskupa Bittera. Tuż obok jest jego mieszkanie. Trzy domy Sióstr św. Elżbiety służą wychowaniu dzieci, pielęgnowaniu chorych i milczącemu apostołstwu enoty. Dotąd jednak wszystko musi się dziać cicho; Sztokholm jest jeszcze policzonym do misyi i rzec można, że ks. bi-

skup jedynie swemu wielkiemu taktowi zawdzięcza nieco szerszą chwilowo tolerancję i poszanowanie, jakie otacza jego osobę, jaśniejącą rozumem i dobrocią: tego roku był raz proszonym oficjalnie u dworu. Podobny fakt chyba od odjazdu Zygmunta III. nie zaszedł! Grunt do tej tolerancji przygotowała dotąd przez katolików oplakiwana żona Karola XV., królowa Józefina. Teraźniejsza monarchini, jak wspomnieliśmy, więcej ku protestanckiemu petyznowi się skłania, zakłada szpitale, obsługiwane przez dyakoniski, dba o gorliwe wykonywanie przepisów swej wiary.

Zaprawdę, wykonywanie jednego z tych przepisów, wspólnego wszystkim chrześcijanom, moglibyśmy się od mieszkańców Sztokholmu nauczyć, t. j. święcenia niedzieli. Niema tam wprowadzie przesady Anglików, dla których, jak ktoś dobrze powiedział, niedziela staje się dniem nie wypoczynku, ale lenistwa, sklepy jednak pozamykane od rana, w restauracjach tylko lokatorowie przynależnych hotelów pożywić się mogą; o targu ani mowy niema. Od rana zato odzywa się głos dzwonów, po większej części starych, katolickich dzwonów, zmuszonych zwoływać na luterskie kazanie do zabranych katolikom kościołów. Prócz dzwonów pozostały im organy, nazwy ich świętych patronów i stare po kaplicach groby. Trudno się otrząsnąć z wrażenia smutku i osamotnienia, jakie sprawiają te biedne groby, pozostawione w kaplicach, z których wydarto ołtarze. Lepiej już stokroć leżeć na katolickim cmentarzyku, drzemiącym za miastem, pod cieniem dębów i świerków. Opodał wprowadzie jest cmentarz ogólny, a tuż obok budynek umyślny z piecem do palenia ciał. Dobrze jednak mieć, choć w takim sąsiedztwie, kącik poświęconej ziemi. Powstanie zaś tego cmentarza jest dość ciekawe: katolicy szwedzcy zawdzięczają go... Portugalczykom. Przed kilkunastu laty zmarła na epidemiczną chorobę pewna liczba marynarzy szwedzkich u portugalskich wybrzeży. Gdy, jako dla lutrów, eheiano dla nich zakupić osobne miejsce spoczynku, rząd portugalski zażądał jako zapłaty odpowiedniej przestrzeni gruntu na cmentarz katolicki w Sztokholmie; gdy zaś z czasem nieboszczyków szwedzkich w Portugalii przybyło i musiano ich cmentarz po-

większyć, rozszerzono w tej mierze i cmentarz sztokholmski. Tak dziwne czasem drogi obiera Opatrzność!... Otóż chciałoby się tu przenieść tych biednych zmarłych, opuszczonych wśród zlu-trzałych kościołów, kędy groby ich służą tylko podsyceniu dumy potomnych, a nikt za nich modlitwy nie zmówi. Tak im tam musi być pusto i zimno! A jednak któż wie? Może i lepiej, że tam pozostali, jakoby w zakład lepszej przyszłości, jak straż wierna, czekająca powrotu swego Pana. Któż wie? Niema nic niepodobnego u Boga.

T. W.

KSIĄDZ TOMASZ MŁODZIANOWSKI I JEGO KAZANIA.

(Ciąg dalszy).

II.

Przystępując do rozbioru kazań Młodzianowskiego¹, nie możemy spuszczać z oka tej okoliczności, że epoka, w której przemawiał, była epoką poczynającego się upadku literatury. Jak inne gałęzie piśmiennictwa, tak też i kaznodziejstwo paczyć się na dobre poczynало, a zły smak coraz bardziej się szerzył.

Młodzianowski, jak wiadomo, pod wieloma względami dał się unieść ówczesnym prądom. Bez wątpienia żałować tego należy, zarzutu jednak czynić mu z tego nie można, owszem, policzyć mu trzeba za zasługę, że mimo wszelkich trudności wzbicie się zdołał ponad współczesny poziom i potrafił być lepszym, niż inni.

O poglądach Młodzianowskiego na kaznodziejstwo można powziąć pewne wyobrażenie z własnych jego dorywczych zdań, tu i ówdzie po kazaniach rozrzuconych. Poglądy te, choć nam ostatecznie nic nowego nie przynoszą, charakteryzują jednak kaznodzieję, a są wogóle zdrowe i trafne. Domagał się przede-

¹ Kaznodziejska spuścizna po Młodzianowskim obejmuje 73 homilie i 179 kazań, między którymi jest 5 pogrzebowych, tj.: kazanie na pogrzebie Stanisława Przyjemskiego, marszałkowica koronnego nadwornego; Kazimierza Tuczyńskiego, podkomorzycia inowrocławskiego; Teresy z Buina Opalińskiej, wojewodziny poznańskiej; Ludwika z Buina Opalińskiej, starościny międzyrzeckiej i Jadwigi Wolfowej Felińskiej.

wszystkiem od kaznodziei należytego przygotowania, gdyż, jak powiada: „Szkoda na kazanie iść nie gotowawszy się; trzeba wprzód napisać, dopieroż mówić“ (IV., 64). Sam gotował się starannie: raz, kiedy tylko trzy dni czasu dano mu przed kazaniem, tłumaczy się z tego i usprawiedliwia przed słuchaczami (IV., 273). Podnosi z naciskiem, że kaznodzieja powinien być świeżym i oryginalnym, „i nie wszystko zażywać ze starych szpargałów, ale się starać, aby zawsze co nowego się powiedziało“ (II., 411).

Zaleca żywszą akcyę, wyraźne i dobitne wygłoszenie, przystem jasność w wysłowieniu. Nie ma stać kaznodzieja na ambonie jak trup (IV., 282), nie ma „trzepać“, ale mówić (IV., 44), „ma mieć swoją akcyę, ma mieć swoje gesta i sprawy, według tego, jako naucza... a trzeba mu się barzo niewyrozumiałości strzedz, aby nie mówiono: nie wiedzieć co mówi“ (IV., 282). Prawdę winien śmiało głosić, jednak roztropnie, by zamiast naprawić, nie uraził słuchacza, zwłaszcza, że „panowie też i mierne upomnienie za obelgę mają, a wysokość miejsca rozumie, że błądzić nie może“ (II., 327). Sam nie obawiał się mówić prawdy, nieraz bardzo ostro. „Widzicie mnie mizernego człowieka... niemasz króla, niemasz trybunału, któremubym się nie odważył mówić: *Non licet tibi*“ (IV., 53). Zarazem jednak polecał kaznodziejom umiarkowanie i miłość, bez niej bowiem zraża się ludzi zamiast nawracać. „Kazanie — powiada — ma być jako gorczyca, uszczypnie — nie ukąsi, zadraśnie — nie rani, poświerzbi — nie poszarpa; kazanie ni twoja musztarda, w którym gorzkość z słodkością zmieszana“ (II., 385, 416).

Co drugim radził, tego sam przestrzegał i nieraz osładza przyganę, uciekając się do sztuczek oratorskich, jakie wówczas były w użyciu.

O metodzie własnych kazań i ich układzie wewnętrznym mówi w przedmowie do I. tomu. Każde kazanie dzieli na dwie części i w tem powołuje się na Skargę. „Wielkiż to był w Koronie Prawdzic, Skarga, nasz to Chryzostom, a tak kazywał“ (IV., 543). W pierwszej części rozbiera rzecz ze stanowiska moralnego, ka-

techetycznego, historycznego, w drugiej na poprawę obyczajów nastaje¹.

Część pierwsza czasem się łączy organicznie z drugą, czasem zewnętrznie tylko z nią jest związana. Część druga prawie zawsze się udaje, podczas gdy pierwsza po większej części źle wypada. Przyczyną tego zbyt obszerne, jak na ambonę, traktowanie Pisma św. Młodzianowski za wiele starał się o część egzegetyczną, podczas gdy stronę dogmatyczną często pomijał. Postawił sobie za zadanie wyklądać teologię pozytywną, jak sam powiada w przedmowie, a zamiar ten, a raczej nieumiejętne jego przeprowadzenie było powodem, że z pierwszej części słuchacze prawie żadnej nie mogli odnieść korzyści.

Przytoczywszy tekst Pisma św., dołącza rozmaite jego rozumienia z Ojców Kościoła i egzegetów, parafrazuje je, podsuwa niekiedy własne domysły i czyni aluzje do słuchaczy. Wywody te i objaśnienia są zwykle krótkie i narzucone, niepowiązane żadnym wewnętrznym węzłem. Mówił, co mu na myśl przychodziło, wynotowawszy poprzednio kilka tekstów z Ojców, jak też wykład glossy i egzegetów, zwłaszcza Lyranusa, Tostata, Rabana, Haymona, Eutymiusa, Maldonata i innych. Tu i ówdzie przytacza wykład rabinów i talmudzystów, a czasem hebraiką i greką się posługuje. Sam szcharakteryzował tę metodę w jednym z kazań: „W pierwszej części — mówi — będę przytaczał domysły (wy je konceptami nazywacie), domysły mówię, tak Ojców świętych, jako i inne, lub czytane, lub słyszane, lub przychodzące“ (III., 177). Słowa te *mutatis mutandis* zastosować się dadzą prawie do wszystkich kazań, w których *theologium positivum* — jak mówił — wyklądał. Czasem jeden oderwany wyraz daje mu okazję do rozmaitych parafraz. Naprzykład słowo *natus* powtarza kolejno 20 razy (IV., 406), *vidimus* 30 razy (IV., 412), *turbatus* 28 razy (IV., 417), *apertum* 32 razy (IV., 64), *neque* 11 razy (IV., 167) etc. Czasem za temat całego kazania bierze jeden

¹ „Moralia aut catechistica aut historica tracto in prima parte contentionis meae, in secunda parte fungor ascetae officio, correctioni morum insisto. interdumque secundam contentionis partem apto primae, interdum dico... quod circumstantiae exigebant“.

wyraz, np. *anno* (II, 506) lub *erat* (I, 375) i tłumaczy się, że „jedno to słowo dostateczne jest do nawrócenia człowieka grzesznego“. Rozumie się, że słuchacze nie mogli tych tłumaczeń zapamiętać; wykształceńszym utkwiała jedna, druga zgrabna aluzyja do obyczajów i stosunków polskich, a lud niewiele nawet rozumiał pierwszej części. Odczuwał to niekiedy sam Młodzianowski: „Boję się was prostacy... będziecie mówili: tak my też chodzimy do kościoła, jako i ichmość, ludzieśmy jak i panowie, a ksiądz kaznodzieja pierwszą część kazania zawsze uczyni niby dla państwa, a dla nas tylko wtóra częśćka“ (I, 95). I rzeczywiście skarżyli się ludzie na to, jak sam kaznodzieja przyznaje: „Skarżą się na mnie prości, że pierwszej się im też części mego kazania nie dostaje“ (I, 184; II, 53). Być może, że nie wszystkie kazania tak wygłaszał, jak je wydrukował — może liczniejsze objaśnienia tekstu dołączył dla pożytku następnych kaznodziejów, jak zdaje się nadmieniać w przedmowie¹, ale bądź co bądź był w pierwszej części ciemny i niezrozumiały.

Na każdą niedzielę są trzy kazania i jedna homilia. Pierwsza serya kazań pochodzi z r. 1667—68 i była wygłoszona w Lublinie przed trybunałem. Czas powstania innych kazań możnaby także w przybliżeniu nieraz oznaczyć; tyle w nich wskazówek i odnośni do okoliczności, w jakich były wygłoszone.

Homilie zaczął mówić od końca Jubileuszu, ogłoszonego 5 listopada 1672 r.; przedtem, jak powiada, tego sposobu nigdy nie zażył (II, 288; IV, 556). Homilie, pomimo że przypadają na ostatni okres jego życia nie wypadły dobrze, bo więcej, jak w innych kazaniach rozwodzi się w nich nad Pismem św., prócz tego są zazwyczaj urwane, bez należytego zaokrąglenia i epilogu.

¹ „Accipiendo unam evangelii phrasim sensusque a Patribus inventos plures formabit contiones“...

Niektóre homilie tak są długie, że z pewnością nie były tak wygłoszone, jak są w druku. Np. homilia o Męce Pańskiej (III, 347—509) wymagałaby co najmniej 10 godzin na wygłoszenie. Homilia na Trzech Króli (IV, 406—437), na Boże Narodzenie (351—376), na Narodzenie Matki Boskiej (302—339), na św. Jana Chrzciciela (53—79) wymagałyby mniej więcej trzech godzin na wygłoszenie.

W kazaniach pogrzebowych trudniej mu było ustrzedz się wad epoki, dlatego także wypadły nie szczególnie.

Najlepiej wypadły kazania dogmatyczne i te, w których kwestye teologii moralnej rozbiera, jak też wszystkie wtóre części kazań, zachęcające do poprawy obyczajów. Niema tu zawilosci, niepotrzebnego powtarzania się i zbytniej teologicznej erudycyi, niema sztuczek krasomówczych, ale jasny i przystępny dla słuchacza wykład nauki wiary i obyczajów. Najładniejsze są zakończenia kazań. Są to modlitwy i zwroty podniosłe do Boga, Świętych polskich i Boga-rodzicy, ożywione gorącą wiarą i ufnością, serdeczną a rzewną pobożnością.

Stylowa strona kazań Młodzianowskiego różni się znacznie od kazań współczesnych, chociaż posiada niektóre wspólne cechy kaznodziejstwa ówczesnego. Młodzianowski posługiwał się także sztuczkami oratorskimi, starał się zaimponować niekiedy słuchaczom i zająć ich uwagę, czy to dowcipną aluzją, czy oryginalnym pomysłem. Spostrzega się to zwłaszcza we wstępach do kazań.

Zaprasza np. słuchaczy na pogrzeb niecnoty i szubienicznika, a jednak kochanka wszystkich — świata (I, 70). Za rok obchodzi rocznicę tego pogrzebu (I, 76), Wyprowadza słuchaczów na procesję nie Bożego Ciała, ale ewangeliczną (I, 255). Rozdaje szkaplerze rozmaitym stanom (I, 334). Opowiada o zbiegu, co uciekł w nocy mimo zamkniętych bram miasta t. j. o roku 1672 i rozbiera cztery jego herby: pogoń, koło, pajęczynę, drogę (IV, 391). Dysputuje z śmiercią, czy młodzi powinni umierać, czy nie (IV, 569). Żali się, że wakuje trybunał koronny od Batorego nakręcony, wskutek czego robotnicy winnicy ewangelicznej nie mają dokąd wnieść skargi na gospodarza o nierówną wypłatę (III, 76) i t. d.

Czasem taki wstęp, mimo swej nienaturalności, służy za przejście do wcale ładnego kazania. Np. przy pierwszym występie w Lublinie, opowiada jako gość nowiny: „Wojna turecka przytłumi się, zawojowania moskiewskie ustąpią, duma kozacka stęchnie, domowe różności porównają się. Ale skąd to wiem? Wiem pewnie, bo to od samej pewności i powagi, od Chrystusa

Pana wyszło: *Pax vobis*, pokój wam“ (I, 1), i udowadnia, że sprawiedliwy trybunał przyczynia się do pokoju ojczyzny.

Do figlików oratorskich należą rozmaite łamigłówki słowne, wywody filologiczne i gra wyrazów.

W słowie *avaritia* spotykamy trzy *a*, niema *b*, *c*, *d*, bo skąpemu trudno wymówić bierz, częstować nie myśli, nie rad mówi: daję“ (I, 164). Wyraz *ave*, przy zwiastowaniu, wyrzeczony od anioła, wybawił ród ludzki od przekleństwa (*a vae*); przywrócił życie, które Ewa (na wspak czytane *ave*) utraciła (IV, 496). Czart w postaci psa rzucił się na św. Stanisława Kostkę, „lecz ta kostka nie jemu dostać się miała“ (IV, 289). Wyraz satrapa wyprowadza od szarpania, *sat rapit* (I, 37); Lizaniasz to lizacz (I, 383), *publicanus* to *publica anus* (I, 255); Belzebub to człowiek much, wichrowaty, ma muchy we łbie (III, 261); Wojciech, wojsko cieszy (IV, 4), a Krywe, to pop pogański, krzywe drzewo na spalenie przeznaczone, bo krzywdę Wojciechowi wyrządził (IV, 5). Pokusa, *tentatio*, powstaje, jeżeli ten i ta patrzą na siebie (I, 174); Doktor z Akwinu nazwany Tomaszem, bo miał wiele tomów wydać i t. d.

Czasem tekst Pisma nasuwa mu podobne pomysły. Tłumacząc słowa psalmu: *primam vocem emisi plorans*, utrzymuje, że każde niemowlę rodzaju męskiego zaczyna płakać od *a a a*, narzekając na Adama, córka zaczyna lamentować od *e e e*, wyrzekając na matkę Ewę (II, 58).

Do tekstu: *Diminutae sunt veritates a filiis hominum* daje takie wyjaśnienie: jeżeli ktoś obowiązany do mówienia prawdy nie powie jej całej, czy to z bojaźni, czy to z przekupstwa, wtedy z trzech sylab, *ve-ri-tas* zostanie tylko pierwsza *vae* — biada; z prawdy (= prawo da) zostanie *daj*, a prawa zostaną podeptane. Niekiedy taki wywód wygląda na prawdziwą szaradę np. o dwu *m* w wyrazie *consummo* (I, 509) lub o pięciu głoskach w imieniu Piotra (I, 530). Napis rzymski *S. P. Q. R.* stosuje do Polski: *Servit Populus Qui Regnavit* — bo płaci haracz Turkom; nie trzeba jednak tracić ducha, bo ten sam napis może znaczyć, *Sobieski Poloniam Quassatam Restituet* (II, 320). Na innem miejscu roz-

biera imiona królów polskich z zastosowaniem do okoliczności. wśród których rządili (IV, 324).

Tak zwane koncepta kaznodziejskie spotykają się u Młodzianowskiego dość często. Jak inni kaznodzieje, uznaje i on czasem ich niestosowność; zapowiada raz nawet poprawę: „koncepty precz! teologia święta plac otrzymuje na dzisiejszem kazaniu“ (I, 397), ale mimo to do nich wraca. W ostatniem kazaniu w Lublinie mówi, że gdyby mu przyszło zdać sprawę przed Bogiem z czynionych kazań, „nie miałbym o to sumnienia, żem nie mówił prawdy, mówiłem; ale miałbym o to sumnienie, żem ją podobno nazbyt przyprawował, cukrował“ (II, 101), a jednak i w późniejszych kazaniach cukrowania nie zaniechał.

Spotykamy w kazaniach Młodzianowskiego deklinacje i konjugacje retoryczne, natrafiamy na zabawne aluzye przy wykładzie Pisma św., i znajdujemy kwestyjki drobne, niekiedy błahe, ale nasuwające sposobność do przytyku i zgrabnego podania morału słuchaczowi.

Tak naprzykład komponuje deklinację politycznej gramatyki i przedstawia w niej stopniowy upadek fortuny szlacheckiej: „Będzie panie, co go to wszyscy chwala: panes ty, nie z chudych pacholków... każdy się przy nim wiąże, u niego zjeść, pić, myśli dobrej zażyć... Służy temu panieciu *casus nominativus*. *Casus* bo ten *nominativus* spycha go z dostatku, z mienia dobrego. Zechce się stanowić, następuje *casus genetivus*; łoży na upomiunki, robi zapisy małżonce, płaci, by dostać się na urząd, *casus dativus*; wpada w dług, najeżdża sąsiadów, granice przeorywa i ściąga na siebie skargi: *accusativus*. Przychodzi do pozwu, wytoczą sprawę przed trybunał, *casus vocativus*; sąd każe zwrócić rzeczy zabrane, temu majątność, temu włość i następuje *casus ablativus*, aż on z pana chudy pacholek... i deklinacya, spadanie szczęścia na Niemaszu kończy się“ (I, 75: IV, 285). Spotykamy się u niego z *infinitivem* i *imperativem* (II, 311), z wytłumaczeniem, dlaczego *singularis* od ludzie nie jest ludź, ale człowiek (II, 255) i t. d.

Proces myśli i sądu ludzkiego, według filozofii scholastycznej, objaśnia przykładem Pilata: apprehendował Pilat prawdę,

Chrystusa Pana — *in apprehensione nulla adest falsitas*; nastąpiło *iudicium divisivum* — obnażenie z szat; *iudicium compositivum* — biczowanie, *illatio* — droga z krzyżem na Kalwaryę, konkluzya — *consummatum est*“ (III, 240).

Gdzieindziej zestawia abecadło świata z abecadłem Chrystusowem (I, 155), odmawia pacierz świata (I, 271), Boga Ojca nazywa pierwszym oratorem, bo „Słowo przedwieczne wydaje“ (I, 171). W niebie jest biblioteka, bo w Bogu są wszystkie skarby mądrości (IV, 14). Matka Boska uprawiała scholastykę, bo zachowała w sercu to wszystko, czego Syn nauczał (III, 29).

Jak współcześni, tak i Młodzianowski zastanawia się niekiedy nad kwestyami drobiazgowemi, błahemi; dlaczego np. o doktorach mówi Pismo: jesteście solą ziemi, a nie cukrem, nie miodem (IV, 506), pyta się studentów, czy święcono kiedy biez (II, 405), tłumaczy, dlaczego człowiek ulepiony z gliny, a nie z kruszcu; Ewy nie stworzył P. Bóg z czaszki Adama, boby chciała rządzić, nie z rąk, bo mąż nie pracowałby na utrzymanie, wymawiając się osłabieniem; nie z piszczeli, bo byłaby nazbyt taneczna i t. d.

Koncepty retoryczne nawiązuje często do tekstu Pisma św. Powiada np., że w Piśmie św. nie jest powiedziane wyraźnie, czy kobieta jest stworzona na obraz boży, „bo się miały rade malować, bielidł, piekszydeł zażywać, obrazu bożego i ręki bożej poprawować“ (I, 173).

W niebie niema szlachty, tylko żołnierze, *militia coelestis*, mieszczanie, *cives sanctorum*, domatorowie, *domestici Dei*. Szlachta stoi za bramą, bo powiedziano *nobilis in portis vir eius* (IV, 460).

Z osobami, występującemi w Piśmie św., prowadzi rozmowy, udziela im rad i wskazówek, pyta się, dlaczego tak, a nie inaczej postąpili, czyni im wyrzuty i wymówki. Wybiera się w odwiedziny na zamek do Dawida: „Królu panie, dzień dobry; jakoś spał?“ Jeftemu wyrzuca, że niebacznie po zwycięstwie związał się ślubem, iż zaofiaruje Bogu pierwszą rzecz, jaka mu się w domu nawinie: „a gdyć miły hetmanie wyżeł twój zabieży, gdyć mucha z domu wyleciawszy na nosie usiedzie, tymże na ofiarę Boga odbędziesz?“ (IV, 571).

Dziwi się, że syn marnotrawny, pasący gwardyę wieprzów nie zabił którego i nie oprowadził dla zaspokojenia głodu (III, 40).

Powiada, że Ewa, gdyby poszła za Polaka, skosztowałaby miasto jabłka — gałęzi (II, 328).

Podobnie jak u współczesnych, razi także u Młodzianowskiego zbytnie spoufalenie się ze świętymi i osobnego rodzaju realizm w przedstawianiu szczegółów z ich życia. O Tomaszu Apostole mówi, że był wolowaty; chciał, by mu wszystko jak łopatą do głowy kładziono (I, 30). Filipowi zarzuca, że miałki ma dowcip i niepojętny (III, 289), Piotrowi, że się mięsza do nie swoich rzeczy i zamiast do wiosła do szabli się bierze: „Dobrzeż tobie Pietrze było do wiosła albo tam do kamyka jakiego, którembyś ryby straszył, aby z sieci nie wypadły“ (III, 2). Wyrzuca mu, że nie morytykat, ledwie trochę okrzepł, a trzeba mu komina, trzeba pieca (I, 15, II, 114).

Spoufalony z Apostołami posuwa się do udzielania przestróg Chrystusowi Panu. Przestrzega, że za ostro na faryzeuszów następuje: „Niedyszkretes (odpuść co mówię) Panie nasz, czemuś tak bardzo wytknął tych farużów“ (II, 126).

Radzi ostrożność w słowach, bo jak posłyszają farużowie, że się sam chwali, krzyż sobie i prześladowanie nowe sprowadzi (I, 60); przestrzega, by nie narażał się na języki ludzkie, że miejsca nigdzie nie zagrzeje (I, 102); dziwi się, że Chrystus kuszącego biesa, by przemienił kamienie w chleb, kamieniem tym nie pokolał (III, 39).

Zarzuty te sam później zbija i posługuje się nimi dla lepszego wyłożenia swej myśli, ale bądź co bądź pomysł to był niefortunny i niesmaczny.

Nietylko osoby, występujące w Piśmie św., ale i tło, na jakim występują, maluje w swój sposób. Ubiera wszystko w polską szatę i na wszystko patrzy z polskiego stanowiska.

Adam w raju komponuje wielkiego Knapiusza albo Kalepina, bo nadaje nazwy zwierzętom (IV, 387). Do Abrahama przychodzi uniwersał od Pana Zastępów (II, 295). Józef sprawia chrzciny swemu synowi (IV, 550). Mojżesz hetmani pospolitemu ruszeniu, a zmuszony oddalić się z obozu, zdaje komendę Aaro-

nowi, bojąc się, aby mu kto wojsk nie spraktykował (IV, 1). Bóg wzywa Mojżesza na sejm sześćcioniedzielny (I, 239), a na górze Moria odprawia Mojżesz czterdziestodniowe rekolekcyje (I, 120). Cała ziemia żydowska to korona, podzielona na 12 województw (III, 139) i rządząca się takimi prawami jak Polska.

Przy obiorze Saula na króla, odbył się sejm *convocationis* i *electionis* (II, 141), a nowoobрани elekt wydaje wici na pospolite ruszenie. Joab miał swoich atamanów, assaulów, starszyne (I, 315). Na dworze Heroda służyli dragoni, których wysyłał z listami (IV, 186). Chrystus Pan zakłada rzeczpospolitą; ma swój senat, czterech kanclerzów: Mateusza, Jana, Marka, Łukasza, a Piotr mężny kawaler piastuje buławę (III, 1). Paweł św. jest pokojowym (I, 308), a Jan Chrzeciiciel pierwszym woźnym w chrześcijaństwie (II, 490). Zacheusz uczy się teologii i słucha traktatów *de fide, incarnatione, iustitia* (IV., 365).

Podobny sposób przedstawiania osobistości występujących w Piśmie św. był używany przez kaznodziejów ówczesnych; zwłaszcza w aluzyach do osób wysoko położonych posługiwano się nim, by w ten sposób zabezpieczyć się od ich napadci¹.

W kazaniach Młodzianowskiego napotykalmy także na liczne, nieraz satyryczne alluzyje do stosunków polskich. Zastanawia się np., czy czart kuszący Chrystusa Pana pokazał mu także koronę polską — i twierdzi że nie, bo bies pokazywał królestwa a Polska to nie królestwo „ale tylko swarów wolność“, zresztą „tak to jest ciężka korona polska, że gdyby ją był miał czart Chry-

¹ Zdarzało się jednak, że aluzyja była zbyt widoczna, lub niezgrabnie przeprowadzona i ściągała burze na kaznodzieję. Tak np. ks. Adryan Pikarski, krewny Paska, kapelan wojska Czarnieckiego i kaznodzieja królewski, w kazaniu o włodarzu ewangelicznym nazwał owego włodarza prefektem domu królewskiego. Marszałek koronny, Jerzy Lubomirski, dopatrzył się w tem tłumaczeniu aluzyi do siebie, a zwłaszcza, czuł się urażonym aluzyą tekstu *non poteris amplius villicare*. Rozgniewany Lubomirski, pisze ostry list do prowincyała Jezuitów, żąda ukarania ks. Pikarskiego, wspominając, że miał zamiar „*exemplarem vindictam* na bezecnej gęmbie i języku wyuzdanym sobie uczynić“. Pikarski dowiedziawszy się o tem, pisze długi list do prowincyała w własnej obronie, i powołuje się na łacińskich i greckich Ojców, nazywających Judasza podskarbin, Annasza marszałkiem, Lucypera hetmanem, Pilata starostą, Kaifasza prymasem i t. d.

stusowi pokazać, nietylko by był nią Chrystusa nie złudził, aleby był jeszcze nią Pana naszego odstraszył“ (III, 218). Między paniami ewangelicznymi były także Polki — te mianowicie co dopiero po szkodzie zmańdżały (IV, 529). Pospolite ruszenie przyrównywa do tych panien, co oleju nie wzięły. „Otrąbią wojnę, wici wynidą, aż tu idzie ten do szabli, szabla bez pióra; idzie do zbroi, zbroja zardzewiała; w szyszaku gołębnie się niosły“ (IV, 527).

Anegdota mało spotyka się u Młodzianowskiego. Tylko w kazaniu o błędach mowy próbuje mówić w przypowieściach, i całą pierwszą część w przypowiastkach wykłada. Rozprowadza obszernie anegdotę o kucharzu, który na jednym półmisku podaje najlepszą i najgorszą potrawę — język; o chorym małżonku, któremu doktor przepisał rybę od ogona, „bo ogon w rybie jest jako żagiel... nie ostoi się na miejscu i dla częstszej agitacji jest zdrowszy“ — na co odpowiada pacjent, wchodząc w myśl doktora: „duszek, nagotowałby język mojej żony, boć nigdy nie przestanie gadać“ (I, 97).

Gdzieindziej opowiada anegdotę o Rusince: „Umierał jeden Rusin, człowiek wiejski, i mówi żenie: proszę cię, sprzedajże tego wołu; co weźmiesz za niego daj świąszczenikowi na cerkiew. Umarł, pogrzebła go. Przyszedł dzień targu; kazała przyprowadzić wołu naznaczonego i przy sobie go trzymać, a sama wzięła tłustego kapłona i siedziała z nim na targu. Jaki taki przyszedł, pyta się, co za tego wołu? Odpowiada ona Ruska, że go nie przeda, chyba że kto kupi i tego kapłona. Jaki taki poszedł; aż się odważył jeden kupić oboje i pyta: co za tego kapłona, co za tego wołu? Za wołu — prawi — ostatnim słowem, ani targuj dalej, trzeba dać dziewięć groszy, a za kapłona trzydzieści złotych. Chłopu się i śmieszna rzecz zdała i nie droga; sprzedaż stanęła; a Ruska idzie do świąszczenika i daje mu dziewięć groszy, to jest co wzięła za wołu, tak jako mąż był rozkazał“ (II, 56). Ładna jest przypowiatka o proboszczu i komarach na kazaniu, wlatujących przez powybijane szyby, których parafianie nie chcieli zaszkląć.

Niekiedy przytacza legendy, które wyczytał w starej księdze *Lavacrum animae*, „wertując żywoty świętych od Długosza drukiem

aptekarskim napisane¹, jak np. legendę o biskupie magdeburskim Udonie (I, 99), o jakimś kanoniku padewskim (I, 183) i ładną legendę o przeniesieniu relikwii św. Floryana z Rzymu do Krakowa (II, 191). Od roku 1673 opowiada przy końcu kazania krótkie przykłady z żywotów świętych na następny tydzień przypadających, lub przykłady o Matce Boskiej (I, 39; III, 258).

W kazaniach Młodzianowskiego nie brak trafnych i dobrze przeprowadzonych porównań, zwrotów pełnych siły i dosadności, chociaż tu i ówdzie spotyka się porównania rażące brakiem poczucia estetycznego, zwłaszcza w kazaniach pogrzebowych przy opisach marności rzeczy doczesnych (IV, 576. 604; I, 472). W kazaniach o grzechu dobiera nieraz barw zbyt jaskrawych i wyrażeń trywialnych (II, 113. 203. 341. 445. 447; I, 151. 226 i t. d.). W opisach męki Pańskiej, chcąc wzbudzić współczucie słuchaczy, używa porównań i rysów tak grubo realistycznych, że niektórych miejsc niepodobna przytoczyć (III, 206).

Przeszliśmy wszystkie mniej więcej ujemne strony wymowy Młodzianowskiego. Główną wadą jego kazań jest brak układu i systematycznego obrobienia tematu, zbytne nagromadzenie cytatów w pierwszej części i zbyt liczne parafrazy tekstów niczem ze sobą nie powiązane, wskutek czego pierwsza część przeważnie jest ciemna i nużąca; — do wad drobniejszych należą te naleciałości epoki, o których wspomnieliśmy. Innych wad, panujących wówczas, potrafił się ustrzedz. Nie spotykamy np. u niego bombastu i napuszystości, nie natrafiamy na cytaty klasyków łacińskich i popisywania się erudycją klasyczną. Czasem przytoczy jakiś szczegół z dziedziny nauki ówczesnej, ale nie opowiada takich dziwactw jak inni. Nie jest zwolennikiem systemu Kopernika (IV, 199; II, 79. 436). Utrzymuje, że „za ziemią jest woda, za wodą powietrze, za powietrzem ogień, za ogniem niebios, za niebiosami nie albo *spatia imaginaria*“ (II,

¹ Wzmiankę tę należy odnieść prawdopodobnie do dzieła: *Vita b. Stanislai, Cracoviensis Episcopi nec non legende Sanctorum...* wydanego w Krakowie 1511 (Ed. Hal.). Egzemplarz, jaki miał Młodzianowski pod ręką, był zapewne razem poprawiony z *Lavacrum animae*.

297). Wyliczył, że świat miał stać po Chrystusie dwa tysiące lat. Zdanie starych teologów, że jeszcze 20.000 lat stać będzie i wielkiego jednego teologa w Polsce, że świat będzie stał jeszcze stami, tysiącami lat, nie podoba mu się (II, 458). Mówi, że ciało ludzkie jest *virtualiter* złożone z ziemi, wody, powietrza i ognia — to są „czterej grabarze, co nas do śmierci niosą“ (II, 471). Łaciną posługuje się bardzo umiarkowanie i to tylko w cytatach Pisma św. i Ojców, które zresztą tłumaczy na język polski. Makaronizmów wystrzega się, nie dziwi się jednak, „gdy ci, co języki umieją... makaronizmem zatną“ (I., 436). Sam stara się o czystość i poprawność języka ojczystego, bo jak mówi: „każdemu swój język miły, słodziej i prawda ewangelii w uszy wchodzi ojczystą mową“ (IV, 158). W tym celu często powołuje się na słownik Knapskiego, a przy wyrazie „pleciuch“, dodaje w nawiasie, że słowo to jest księdza Skargi. Sam tworzy wiele wyrazów zdrobniałych lub zgrubiałych, które niekiedy bardzo dobrze mu się udają¹. Nie jest to jednak styl wygładzony i nie znać starania się o zaokrągloną budowę okresów. Mówił „bez obłazu“, przed niczem się nie cofa a wszystkie wyrazy mają tu prawo obywatelstwa czy to przyswojone, czy własne, stare czy nowoutworzone². Śmiałość ta wyrażen i zwrotów, nie krępowanie się żadnymi regułkami retoryki, chociaż prowadziła często na manowce, posiada jednak jakąś zamaszystość i wdzięk, nadający jego wymowie piętno swojskości i życia i jakieś oryginalne zabarwienie, które łatwiej odczuć jak określić.

¹ Bezpiecznostka, górnostka, godnostka, kazauiszcze, krążyisko, wczesnostka, rodowitostka, zawisnostka, namiętnostka, testamencisko, kazauiszezko, monecisko, latorostka, porywczostki, okrutnostka, boleстка i t. d.

² Uprzedzacz, znajomek, pogębek, półtynek, prowad, ście, żmindak, rodowie, łącza, opecinki, pomazanka, cnotkoś, okrywadło, zmarliny, walina, obaliny, domak, jawia, roztarga, uszczypek, ugryzek, powojnik, chyza, pogorszyny, skalubina, szemrak, ostawa, isczuwa, namiastek, waszyniec, kupia, drzeń, korbacz, jedza, trzecia, zgadza, włokita, kuczma, wiąź, ukrzepczenie, mańka; — Chrystusować, dukwieć, nałabudać, chybotać, wyskipać się, przebarszczać, wyszypląć, wyszpocić, odkaraskać, zbuzować, landykować, pokawić, oplonąć, bożyć się, naperciać, osobkować się, kuklać, zataślować; — ociętny, pobokowy, gembaty, oblomisty, zniebiesiony, wykroczny, doszabelny, najpotempieńszy, najprzeklętszy, papinkowy i t. d.

Język Młodzianowskiego jest potoczny, obfituje w obrazy z codziennego życia, w zwroty dosadne i jędrne, nie pozbawione dowcipu, lekkiej ironii lub ciętej satyry.

Stąd też spotykamy w tych kazaniach mnóstwo przysłów i utartych w codziennem użyciu zwrotów¹; nie brak też krótkich obrazków rodzajowych, zaczerpniętych z codziennego życia, czy to odnoszących się do strojów, sprzętów, pożywienia, czy też malujących stosunki sąsiedzkie lub szersze polityczne.

Prócz tego używa zwrotów krótkich a zwięzłych, zaczerpniętych z potocznej mowy np.: mieć wątróbkę na kogo, ciosać koły na cudzej cierpliwości, nie dać sobie na gębie grać, lada-jako mówą pluskać, dziekić się, targanego chodzić, nie dosolić w mowie, mówi jakby drwa gryzł i t. d. Przytacza stare pieśni kościelne np.: O duszo jakżeś droga (IV, 596), i nowsze np.: Twoja cześć chwała (IV, 46) i pieśń za Polskę: „Bądź pozdrowiona Panienko Marya“, ułożoną koło roku 1672 (II, 70).

O wszystkim, co go uderzało, musiał mówić bez względu na to, czy łączyło się z tematem, czy nie; stąd też w kazaniach Młodzianowskiego można napotkać drobne rysy obyczajowe lub historyczne, na które gdzie indziej trudniej natrafić. Z obowiązku kaznodziei powstawał dość często na nadużycia w strojach, a przy okazji wyszydzał krój sukien: „Dość teraz się bajecznych narodziło szat; — jak owe suknie z węgierska jako wór, tylko że mają rękawy. Raz tak, drugi raz owak, chodzi ni on chłop, ni on pop. Bajeczna suknia, kiedy owo z sukni, jako ślimak nieokryty a czasem i w trzaskający mróz drugi wygląda. Bajeczna

¹ Prócz przysłów bardziej znanych są i takie, które już wyszły w części z użycia, np.: *Pisces et aves destruunt scholares* — Ryby i ptaki popsują żaki (iv, 450); Kto ma żytko ma wszystko (ii, 275); Wyższy Wawel niż Wawelnica (297); Skora rada, skora zemsta nie chwalna (36); Lepsza jedna świeczka za żywota niż dwie po śmierci (469); Aksamit nic nie waży (iii, 229); Jedna nędza nie dokuczy (493); Wiele złego dwaj na jednego (136); Jeżeliś pan, nie chodź sam (iv, 152); Z każdego urzędu kapie (166); Łacno o kij (168); Oglądaj się na ostatnie koła (218); Z dworem jak z ogniem (435); Nie trzeba głupich siać, sami się rodzą (i, 148); Tak mi miły, jak sól w oku (iv, 506); Przy kościele ma dyabeł swoją kapliczkę (514); Udał się na przemyskie starostwo (539).

suknia: kołnierz soboli, grzbiet lisi a caetera de baranis albo de niedźwiadki“ (IV, 469; II, 2). Chłop chodził w siermiędze, mieszczanin w kraszonej sukni, szlacheć w sztybuchu albo pakłaku, pan w falendyszu, senator w bławacie (III, 146). Po wojnie kozackiej miejsce bławatów i soboli zajęła „barania opuszka i kontusz albo czukaj birkami podolskimi, wschowskiemi podszyty“ (IV, 613). Zwyczaj podgalańia głów zaczął się rozpowszechniać między młodzieżą dopiero po wojnie szwedzkiej: „Panowie studenci dopiero po wojnie szwedzkiej wolnostkę sobie uczynili golić się“ (II, 384).

Chętnie obwieszano się zegarkami: „ledwieć teraz u panów nie co kieszenia to zegarek“, podczas gdy dawniej panowie mieszkali nosili (I, 23). U pań były w modzie suknie z długim ogonem, wycięte pod szyją, niekiedy bogato tkane (II, 42; IV, 28). Miejsce dawnych łańcuszków zajęły wstążki, „tak wiele ich nawieszają, że się zda suknia ni pstry kobierzec perski“ (I, 336. 442). Były także w użyciu czapki, zwłaszcza krymki: „u nas białogłowy czapkami, krymkami, bodaj nie rozumem mężczyznom się równają“ (IV, 613). Dla nabrania przejrzystości cery jadły białogłowy glinę i krupy surowe (I, 18; II, 68), używano nadto proszków żółtych i czarnych (II, 497; III, 521. 528). „Jest teraz dosyć bielidl, które mogą i sadze pobiałkować, jest dosyć rumienidl, przeto też i ludzi malowanych dosyć“ (III, 77). Znajdowali się i między mężczyznami zwolennicy pudrów (I, 173). Zwierciadła kieszonkowe były w częstem użyciu, nawet w kościele przegłądano się w nich (III, 101. 219).

Z naczyń stołowych przeważała u mieszczan cyna, miedź, pstre tace, u panów srebro (IV, 106). Pijano cekulatę — jak mówi — i zażywano jakichś proszków wiperowych (IV, 459). Na dworach pańskich trąbiono do stołu, a czeladź podawała wodę do mycia rąk (IV, 276. 578).

Ze wzmianek obyczajowych napotykamy kilka razy aluzye do egzorcystów, odbywających egzorcyzmy nie wedle agendy kościelnej, ale w wannie egzorcyzmujących, których nazywa łaźnienikami (IV, 11. 34) albo zamawiaczami, „na palce patrzą, coś tam na nich licząc lub na księgi czarnoksięskie“ (I, 474). Po-

wiada, że „w Polsce niemal w każdym kościele gdzie odpust, opętani krzyczą, beczą“ (IV, 35), ale jak na innem miejscu nadmienia, „żeby ich miało być tak wiele, jako ludzie zmyślają, byłoby to głupstwo temu wiare dawać“ (I, 19).

Mówi, że za jego czasów dziady miejskie musiały mieć cechę od miasta i wpisać się do rejestru (III, 170), że przy pogrzebach zabitego woźny mordercę obwoływał i na sąd boski pozywał (III, 327).

Narzeka na nieporządek i brud w domach zajezdnych. „W Polsce gospody, karczmy, gościńce są ni twoje chlewy albo stajnie — z końmi się pospołu przespać trzeba albo między prosięty“ (I, 456).

Wspominając o zubożeniu kraju nadmienia, że czerwone złote przeniosły się do Węgier, Włoch, Śląska, nawet w Arabii je widział (I, 93), podczas gdy w kraju „nie znajdziesz monety tylko szeląg a tynf; nie pytaj o szóstaku albo potrójnym“ (II, 241). Wymienia nadto talary i orty (IV, 433), cekiny z św. Markiem i dukaty węgierskie K. B. z Matką Boską (I, 4).

Tu i ówdzie natrafia się na jakąś wzmiankę historyczną, którą zasłyszał z tradycyi lub sam zapamiętał. O Jagiellie wspomina rzecz skądinąd znaną, że „podczas podniesienia klęcząc, brał słomkę jaką albo tam źdźbło i one w drobne kawałki, w proch tarł, nie dla zabobonu, ale wyznając, że jest prochem przed Bogiem“ (II, 206).

Powiada, że chleb zimowy albo stacye, „zaczęły się za Batorego od trzech złotych, poszło do sześciu, chleb Kazimierzowski do złotych trzydziestu“ (III, 220). O współczesnych sobie królach tak się wyraża: „Bywają panowie, co gdy gryzą wargi, nie nawijaj mu się, jaki był Jan Kazimierz..., gdy pendent wezmą, szkoda z nim żartować — jaki był Zygmunt III.; do Władysława IV., ani chodź, kiedy kapelusza poprawował“ (IV, 137).

Od Jeremiego Wiśniowieckiego słyszał, że w wojnie kozackiej do dwu milionów ludzi zginęło (II, 456), a w niewole, od tej wojny począwszy poszło z milion ludu polskiego (I, 319).

Opowiada o wotach ofiarowanych do kościołów za odnie-

sione zwycięstwa. Jan Kazimierz za Beresteczko ofiarował złotą sukienkę do ołtarza św. Stanisława Kostki w Lublinie (II, 278), a Stanisław Koniecpolski po zwycięstwie chocimskim srebrną tablicę do ołtarza tegoż świętego we Lwowie (IV, 270). Wspomina nadto o darach ofiarowanych do grobu św. Stanisława na Wawelu (IV, 20). Nadmieniam, że za jego czasów utworzyło się jezioro we wsi Szkle, a w Tatrach na pograniczu Polski zapadła się w początkach panowania Sobieskiego góra Ostrza (III, 215). Ciekawe szczegóły o postach w Polsce i o niezwykłych dziś dyspensach, otrzymywanych podówczas z Rzymu można znaleźć w jego kazaniu o poście (III, 280).

(Dok. nast.).

Ks. Józef Sus.



O OSCYLACYACH KLIMATU.

W 1890 roku wyszła książka Brücknera: *Klimaschwankungen seit 1740*. Pisać o książce, która wyszła przed sześciu laty, może nieco za późno, ale przedstawia ona tak znaczny interes, że i teraz jeszcze warto z nią poznać czytelników *Przeglądu*. Kwestya, poruszona w tej książce, jest wciąż na porządku dziennym. Prace, dalej rozwijające ten sam temat, pojawiają się prawie codziennie.

Artykuł niniejszy nie będzie zawierać krytycznej oceny, krytyka bowiem takiego dzieła, jak dzieło Brücknera, musiałaby być z natury rzeczy czysto specjalną, — byłaby więc nie na miejscu w takim jak *Przegląd* wydawnictwie. Postaramy się natomiast wyłożyć treść książki.

Niema na ziemi takiego miejsca, którego klimat byłby absolutnie stałym. Wszędzie przytrafiają się raz suchsze, drugi raz wilgotniejsze, raz cieplejsze, to znów zimniejsze lata. Niekiedy przytrafiają się całe szeregi lat cieplejszych, to znowu bardziej zimnych i t. d. Zmiany klimatu są na pozór bardzo nieregularne, niemniej jednak od dawna starano się rozpoznać, czy pod pozorną nieprawidłowością nie ukrywa się pewna prawidłowość. Tak np. sądzono, że w zmianach temperatury, ciśnienia i t. d. musi istnieć pewien okres jedenastoletni, odpowiadający jedenastoletniemu okresowi plam słonecznych. Ścisłe badania rzeczywiście wykazały istnienie jedenastoletniego okresu w zmianach meteorolo-

gicznych elementów, ale, co godne uwagi, jednocześnie okazało się (badania Köppena), że tylko od 1816 do 1860 r. krzywe temperatury są podobne do krzywych, wyrażających ilość plam słonecznych. Przed 1816 i po 1860 r. podobieństwo zaciera się: są pewne okresy, w których podobieństwo występuje dość wyraźnie oraz inne, w których zupełnie go nie ma i t. d.¹. Prócz tego od dawna w całym szeregu prac wyrażano mniemanie, że klimatyczne warunki czy to na całej ziemi, czy to w pewnych krajach, ulegają peryodycznym zmianom o peryodach innych, aniżeli ów jedenastoletni peryod plam słonecznych. Niektóre z tych prac, jako oparte albo na niedostatecznym, albo na jednostronnie i nieumiejętnie wyzyskanym materyale, nie mają żadnego rzeczywistego naukowego znaczenia. Lecz jednocześnie mamy liczne inne prace, oparte na niezbitym i umiejętnie wyzyskanym naukowym materyale, które niewątpliwie dowodzą, że klimat podlega pewnym na pozór nieregularnym, a jednak peryodycznym wieloletnim oscylacyom. Najwybitniejsze bodaj miejsce wśród tych prac zajmują te, które opierają się na spostrzeżeniach nad spuszczeniem się i cofaniem alpejskich lodowców.

Lecz żadna z tych prac nie wyzyskiwała całego nadającego się do podobnych badań materyału. Zaslugą Brücknera było przedewszystkiem to, że zestawił najrozmaitsze dane, po części już opracowane przez innych autorów, po części wcale nie opracowane, dzięki czemu mógł oprzeć swe wnioski na bardzo obfitym i różnorodnym materyale, mógł wyniki badań nad jednym elementem meteorologicznym kontrolować przez wyniki badań nad innym elementem, dalej mógł wszechstronnie zbadać charakter owych oscylacyj klimatu tj. rozpoznać czy polegają one przedewszystkiem na zmianach temperatury, czy też na zmianach ciśnienia atmosferycznego, czy też na zmianach jakiego innego

¹ Pochodzi to stąd, że tylko w ciągu tych kilkudziesięciu lat jedenastoletnie oscylacje temperatury nie są zneutralizowane przez inne oscylacje temperatury (o których będziemy mówić nieco dalej). Przed 1816 i po 1860 r. *maxima* oscylacji o jedenastoletnim peryodzie przytrafiają się często właśnie wtedy, gdy mają miejsce *minima* innych oscylacji, dzięki czemu są naturalnie zneutralizowane.

elementu meteorologicznego. Wreszcie dzięki obfitości materyałów, dzięki temu, że materyał ten odnosił się nietylko do europejskich, ale i do innych krajów, można było otrzymać wyniki, odnoszące się do klimatu całej ziemi.

Brückner rozważa najpierw oscylacje poziomu Kaspijskiego morza, dla nowszych czasów na podstawie bezpośrednich spostrzeżeń, zaś dla dawniejszych ¹ — na podstawie niektórych historycznych danych i znajduje, że najwyższy stan poziomu miał miejsce w latach: 1743, potem między 1780 i 1809, dalej w 1847 i w 1879, najniższy stan w 1715, 1766, 1845 i między 1856 i 1860 r.; dalej Brückner dowodzi, że oscylacje poziomu Kaspijskiego morza idą równolegle do oscylacyj w ilości opadów atmosferycznych, wypadających co roku w dorzeczu Wolgi,—wreszcie okazuje, że oscylacje ilości opadów atmosferycznych (a zatem i poziomu Kaspijskiego morza) są prawdopodobnie równoległe do pewnych oscylacyj temperatury. Mianowicie z pracy Rykaczowa widać, że terminy zamarzania i rozmarzania rosyjskich rzek podlegają peryodycznym zmianom, przyczem widoczną jest pewna równoległość z peryodycznymi zmianami ilości opadów. Następnie rozważa Brückner oscylacje poziomu wody w niemających odpływu jeziorach ² europejskich, azjatyckich, australskich, afrykańskich i amerykańskich i wykazuje, że poziom wody w tych jeziorach podnosi się i opada, choć niezupełnie jednocześnie, ale równoległe ³. Ponieważ oscylacje poziomu w jeziorach nieposiadających odpływu oczywiście bezpośrednio zależą od klimatycznych warunków, mianowicie od ilości deszczów, wypadających w basenie jeziora i od temperatury, tedy owa równoległość oscylacyj poziomu jezior dowodzi, że klimat podlega pewnym peryodycznym oscylacyom, prawdopodobnie jednoczesnym dla całej kuli ziemskiej. Następnie Brückner bada peryodyczne oscy-

¹ Poczynając od X. stulecia.

² Głównie na podstawie prac Siegera, Gilberta, I. C. Russella i H. C. Russella.

³ To znaczy, że jeżeli najprzód podnosi się poziom jeziora *A* potem *B* a potem *C*, to wzajemnie najpierw opada poziom jeziora *A*, potem *B*, potem *C* i t. d.

lacye poziomu wody w rzekach i rzecznych jeziorach (tj. jeziorach mających odpływ) i znów pokazuje, że na wszystkich lądach mają miejsce równoległe i prawie jednoczesne oscylacye poziomu wody w rzekach i jeziorach rzecznych, co znów jawnie dowodzi, że klimat wszystkich lądów podlega jednoczesnym oscylacyom. W rozdziale poświęconym rzekom, Brückner konstatuje oscylacye klimatu aż do początku bieżącego stulecia.

Powstaje teraz pytanie, skąd się biorą te oscylacye klimatu i na czym polegają. Aby odpowiedzieć na te pytania, trzeba zbadać już nie zjawiska, zależne od meteorologicznych elementów, ale wprost same elementy. Brückner rozpoczyna od badania zmian w ilości corocznych opadów atmosferycznych, przyczem posługuje się spostrzeżeniami na 321 stacyach, porozrzucanych po całej kuli ziemskiej z ogólną sumą lat 13.500. Badanie opadów atmosferycznych dało bardzo interesujący wynik, okazało się mianowicie, że podczas, gdy w większej części miejscowości *maxima* opadów (jak również *minima*) zdarzają się prawie jednocześnie, albo przynajmniej w latach mało od siebie oddległych, to z drugiej strony są pewne kraje, w których *maxima* opadów przypadają właśnie wtedy, gdy większość ma *minimum* i na odwrót. Takimi krajami są: Irlandya, wyspy na Atlantyckim Oceanie, kraj Przylądkowy (kapska kolonia), Tasmania, angielska Birmania i step kirgizki. Prócz tego są niektóre kraje, w których *maxima* i *minima* opadów zdarzają się to jednocześnie z *maximami* i *minimami* we większości krajów, to znowu w innych epokach. Zatem w tych ostatnich krajach oscylacye w ilości opadów odbywają się w sposób nieprawidłowy i nieokreślony. Do tej ostatniej grupy należą: południowa i środkowa Hiszpania, Portugalia, południowa część Francyi nad Śródziemnem Morzem, zachodnia Anglia, Szkocya, pustynia nad Indusem, Pendżab, Indostańska równina, Bengalia, dalej atlantyckie wybrzeże Stanów Zjednoczonych, wreszcie Meksyk. Mamy tedy trzy typy: pierwszy, do którego należy większość krajów i który Brückner nazywa typem o prawidłowej oscylacyi w ilości opadów; drugi, do którego należy kilka krajów nadmorskich, gdzie oscylacya odbywa się we wprost odwrotny sposób; kraje zatem, należące

do tej drugiej grupy stanowią stały wyjątek. Wreszcie mamy trzecią grupę: kraje, gdzie oscylacje odbywają się w sposób zgoła nieprawidłowy, t. j. kraje, stanowiące czasowe wyjątki. Ostatecznie Brückner przychodzi do wniosku, że na wszystkich lądach kuli ziemskiej od r. 1830 miały miejsce oscylacje ilości opadów atmosferycznych, *maxima* których przypadały między 1840 i 1855, następnie zaś między 1870 i 1885 latami. Tylko w niektórych, nielicznych krajach (druga grupa) *maxima* opadów przytrafiły się przed 1840 r., następnie zaś między 1855 i 1870. Różnica ilości opadów między najwilgotniejszym i najsuchszym pięcioleciem wynosi około $\frac{1}{5}$ do $\frac{1}{4}$ średniego pięcioletniego opadu. Ponieważ kraje, należące do typu o prawidłowej oscylacji, zajmują o wiele większą przestrzeń niż kraje, stanowiące stałe i czasowe wyjątki, przeto wszystkie lądy razem wzięte w ciągu suchych pięcioleci (1831—1835 i 1861—1865) otrzymały tylko $\frac{7}{8}$ tej ilości opadów, która spadła na te same kraje w ciągu wilgotnych pięcioleci (1846—1850 i 1876—1880). Okazuje się tedy, że na przestrzeni lądów niema kompensacji. Za to bardzo być może, że kompensacja miałaby miejsce, gdyby wziąć pod uwagę prócz lądów jeszcze oceany; sprawdzić tego jednak nie możemy, albowiem nie posiadamy odpowiednich danych dla oceanów. Warto wszakże zaznaczyć, że prócz kirgizskich stepów wszystkie kraje, stanowiące stałe lub czasowe wyjątki, znajdują się nad brzegami oceanów i mórz, co naprowadza na myśl, że właśnie w tych latach, które dla lądów okazują się suchymi, oceany otrzymują większą ilość opadów. Warto również zaznaczyć, że amplituda oscylacji powiększa się w miarę tego, jak posuwamy się w głąb lądów. We wschodniej Anglii suma opadów w ciągu najwilgotniejszego pięciolecia wynosi tylko 1,18 sumy opadów w ciągu najsuchszego pięciolecia, lecz w południowo-zachodnich guberniach europejskiej Rosyi ten sam stosunek już wynosi 1,26, w południowo-wschodnich powiększa się do 1,4, a w zachodniej Syberyi dochodzi do 2,31. Dalej ku wschodowi amplituda oscylacji staje się znowu mniejszą. Pomieniony wyżej stosunek wynosi we wschodniej Syberyi 1,59. Ile wynosi na azyatyckich wybrzeżach Spokojnego Oceanu, oraz w Japonii,

niewiadomo (z powodu braku dostatecznie długich seryj spostrzeżeń), wiemy atoli, że ten stosunek zmniejsza się też od wnętrza azyatyckiego lądu ku południowi, tak np. na przedgangesowym półwyspie wynosi on tylko 1,24. Zupełnie to samo widzimy w północnej Ameryce, z tą tylko różnicą, że tu jako na mniejszym lądzie przeciwieństwo między wybrzeżami i wnętrzem lądów nie jest tak rażąco wybitne, jak w Eurazji. I tak, chociaż wszędzie i zawsze absolutna ilość opadów atmosferycznych zmniejsza się w kierunku od wybrzeży ku wnętrzu lądów, jednakże w latach wilgotnych to zmniejszanie się jest o wiele mniej wydatne, aniżeli w latach suchych. Wygląda to tak, jak gdyby wilgoć, która w latach (na lądzie) suchych spada na morza, w latach (na lądzie) wilgotnych po części przenosiła się na lądy. Można to najlepiej uwidocznić przez porównanie izohyetów w latach suchych z izohyetami w latach wilgotnych. Izohyety w latach mokrych są o kilkaset i więcej kilometrów przesunięte w głąb lądu w porównaniu z izohyetami w latach suchych. Biorąc pod uwagę spostrzeżenia przed 1830 r.¹, Brückner przychodzi do wniosku, że wilgotne okresy trwały od 1691 do 1715, od 1736 do 1755, od 1771 do 1780, od 1806 do 1825, dalej zaś od 1841 do 1855 i od 1871—1885. Przerwy pomiędzy niemi wypełniają suche okresy.

Lecz oscylacje w ilości opadów muszą być w związku z oscylacjami w wielkości i rozkładzie atmosferycznego ciśnienia. Należało tedy zbadać dane, odnoszące się do tego ostatniego czynnika meteorologicznego. Niestety dane, odnoszące się do ciśnienia są mniej liczne, aniżeli dane, odnoszące się do ilości opadów. Długoletnie seryje dobrych spostrzeżeń nad ciśnieniem są stosunkowo nieliczne i ograniczają się głównie do europejskich stacyj. Tem niemniej z porównania rozkładu ciśnienia w latach suchych z rozkładem w latach wilgotnych okazało się, że pierwsze odznaczają się przez:

¹ Brückner rozważał spostrzeżenia przed 1830 r. osobno, albowiem dla dawniejszych lat mamy dokładne zapisy opadów tylko dla niewielu stosunkowo stacyj, a zatem otrzymane z tych zapisów rezultaty są mniej pewne i doniosłe, niż rezultaty otrzymane z zapisów po 1830 r.

1) Pogłębienie niskiego ciśnienia na północno-Atlantyckim Oceanie.

2) Wywyższenie grzbietu o wysokiem ciśnieniu, ciągnącego się od wysp Azorskich ku środkowej Rosyi.

3) Pogłębienie niskiego ciśnienia nad północnym Indyjskim Oceanem i Oceanem Spokojnym u chińskich wybrzeży.

4) Zmniejszenie wysokiego ciśnienia w Syberyi.

5) Powiększenie amplitudy corocznej oscylacyi ciśnienia we wszystkich krajach, dzięki czemu

6) W suchych okresach mamy w zimie na północno-Atlantyckim Oceanie stosunkowo niskie ciśnienie, zaś w Europie i Syberyi wysokie.

7) W lecie, w czasie suchych okresów mamy na północno-Atlantyckim Oceanie i w środkowej Europie stosunkowo wysokie, a w europejskiej Rosyi i w Syberyi stosunkowo niskie ciśnienie.

Innemi słowy, w czasie suchych okresów różnice ciśnienia między różnemi okolicami i różnemi porami roku są stosunkowo większe, niż w czasie wilgotnych okresów.

Ale rozkład ciśnienia zależy znów od temperatur; należy tedy zbadać, czy te suche i wilgotne okresy nie różnią się między sobą temperaturami. Brückner zajmuje się z kolei i tą kwestyą, przyczem dochodzi do wniosku, że prócz 11-letnich oscylacyi temperatury (stojących w związku z peryodem plam na słońcu) istnieją jeszcze wyraźne oscylacye temperatury o znacznie dłuższym peryodzie (około 35 lat). W ciągu mniej więcej siedemnastu lat temperatury są średnio na całej ziemi nieco wyższe od średnich temperatur całego trzydziestopięcioletniego peryodu i wzajemnie w ciągu innych 17 lat temperatury są nieco niższe od średnich. Całkowita amplituda tych oscylacyi temperatury wynosi $0,75^{\circ}$ C. do 1° C. Okresy cieplejsze są jednocześnie bardziej suche, zaś okresy chłodne bardziej wilgotne.

Tak tedy mamy rzeczywiście przed sobą oscylacye klimatu, albowiem poczynając od najgłówniejszego t. j. od temperatury, wszystkie czynniki meteorologiczne podlegają peryodycznym

zmianom. Co do oscylacji temperatury to należy zauważyć, że te ostatnie mogą być skonstatowane nietylko na podstawie bezpośrednich spostrzeżeń, poczynionych przy pomocy termometru, ale także na podstawie spostrzeżeń nad niektórymi zjawiskami przyrody, zależnymi od temperatury. Chodzi więc tylko o to, aby mieć odpowiednie, mniej więcej dokładne zapisy. Brückner skorzystał z zapisów, odnoszących się do terminów zamarzania i rozmarzania rzek, dalej ze zapisów, odnoszących się do terminów rozpoczęcia winobrania¹ we Francyi, Szwajcaryi i południowych Niemczech, wreszcie z rozsiaanych po starych kronikach wzmianek o niezwykle ostrych zimach. Na podstawie wymienionych danych, Brückner zdołał skonstatować oscylacje klimatu nietylko w ciągu ostatnich dwóch stuleci, ale też dla dawniejszych czasów, poczynając prawie od tysiącznego roku naszej ery, przyczem okazało się, że średnia długość peryodu klimatycznych oscylacji wynosi $34,8 \pm 0,7$ lat.

W osobnym rozdziale rozważa Brückner wpływ oscylacji klimatu na przyrodę i człowieka. Pomijając inne szczegóły przytoczymy następujące rezultaty. Przedewszystkiem wydaje się, że szerzenie się pewnych epidemij np. tyfusu nie pozostaje bez związku z oscylacjami klimatu, dalej okazuje się, że oscylacje klimatu wywierają wpływ na handel, mianowicie w ten sposób, że w latach wilgotno-zimnych przewóz towarów i pasażerów na rzekach jest w lecie łatwiejszy z powodu wyższego stanu wody, natomiast w krajach, gdzie rzeki, względnie porty zamarzają, sam okres nawigacyi jest krótszy i t. d. i t. d. Przytoczymy też interesującą uwagę, że oscylacje klimatu odbijają się nawet w charakterze literatury klimatologicznej. Brückner z cyframi w rękę okazuje, że w czasie, osobliwie zaś ku końcowi suchych okresów pojawiają się liczne dzieła, broszury i artykuły, dowodzące, że klimat staje się suchszym, natomiast w czasie wilgot-

¹ We wielu okolicach istnieją przepisy, na mocy których nie wolno rozpoczynać winobrania dopóty, dopóki burmistrz (lub wójt) nie ogłosi, że już nastał właściwy po temu czas. Burmistrz zaś naznacza termin na mocy orzeczenia ekspertów. Protokół orzeczenia ekspertów zapisuje się do miejskich aktów.

tnych okresów przeważają pisma dowodzące, że klimat staje się bardziej wilgotnym i zimnym. W osobnej pracy¹ Brückner wykazuje, że, jak to było do przewidzenia, oscylacje klimatu odbijają się na urodzajach i na cenach zboża. W latach wilgotno-zimnych urodzaje są lepsze w stepowych krajach np. w południowej i wschodniej Rosyi, zaś w środkowej Europie wskutek nadmiaru wilgoci urodzaje bywają gorsze. W latach gorąco-suchych dzieje się wprost przeciwnie. Dzięki temu i zbiory i ceny zboża też podlegają peryodycznym oscylacyom, zależnym od oscylacyj klimatu. Brückner wykazuje, że niektóre zmiany w angielskiej polityce handlowej były spowodowane przez oscylacje klimatu.

Dodajmy wreszcie, że niektóre dane zdają się wskazywać, że prócz oscylacyj o trzydziestopięcioletnim peryodzie istnieją jeszcze inne o znacznie dłuższym, kilkaset lat wynoszącym peryodzie.

Jakie jest *primum mobile* wykazanych przez Brücknera oscylacyj klimatu — nie wiemy. Wiemy tylko, że nie mogą one pochodzić z czysto ziemskich przyczyn, choćby tylko dlatego, że są zanedo ogólnie t. j. obejmują całą kulę ziemską. Wiemy też, że nie pochodzą ze żadnej ze znanych astronomicznych przyczyn, albowiem w ruchach ziemi niema żadnego 35-letniego peryodu. Brückner stawia hipotezę, że oscylacje klimatu prawdopodobnie pochodzą z jakiejś nieznanej nam dotąd peryodycznej zmiany w działalności słońca (o peryodzie 35-letnim). Ale naturalnie jest to hipoteza, którą należy dopiero sprawdzić.

Dzieło Brücknera rzuca jeszcze wielkie światło na pewną ważną naukową kwestyę, mianowicie na kwestyę tak zwanej epoki lodowej. Klimatyczne oscylacje Brücknera są przedewszystkiem oscylacyami temperatury, inne meteorologiczne czynniki zmieniają się już w zależności od oscylacji temperatury. Ampli-

¹ *Einfluss der Klimaschwankungen auf Ernteerträge und Getreidepreise, Geographische Zeitschrift*, 1896 r. 1 i 2 zeszyt.

tuda tej oscylacji wynosi obecnie prawdopodobnie nie więcej jak $\frac{3}{4}$ stopnia C. a przed 1850 rokiem może jeden stopień C. W okresie ciepłym różnice ciśnienia w różnych porach roku i w różnych miejscach są większe, wskutek czego na oceany spada większa niż średnia ilość deszczów, zaś na lądy mniejsza. Innemi słowy klimat jest w okresie ciepłym jednocześnie suchszym na lądzie. Na odwrót w latach chłodnych, gdy średnia roczna temperatura jest niższa od średniej temperatury całego peryodu — różnice ciśnień są mniejsze, lądy otrzymują więcej wilgoci, ich klimat staje się nie tylko bardziej zimnym, ale też jednocześnie bardziej wilgotnym. Wyobraźmy sobie teraz podobną do Brücknerowskiej oscylację temperatury — o okresie znacznie dłuższym np. wynoszącym kilka lub kilkanaście tysięcy lat i o amplitudzie kilka lub kilkanaście razy większej niż amplituda Brücknerowskiej oscylacji. Cóż się wtedy okaże? W okresie wilgotno-zimnym będziemy mieli wszelkie warunki, sprzyjające powiększeniu się lodowców. Przecie krótkim kilkunastoletnim Brücknerowskim wilgotno-zimnym okresem o tak małej amplitudzie oscylacji temperatury towarzyszy znaczne powiększenie alpejskich lodowców. Byleby tedy wilgotno-zimny okres był dostatecznie długi i intensywny, to z pewnością otrzymamy powiększenie lodowców takie, jakie miało miejsce w czasie epoki lodowej i którego ślady widzimy wszędzie w umiarkowanej strefie obu półkuli. Co więcej, pamiętajmy o tem, że właściwie była nie jedna, a co najmniej trzy lodowe epoki, w przerwach między którymi tj. w tak zwanych interglacialnych epokach klimat był niewątpliwie o wiele suchszy i cieplejszy (prawdopodobnie nawet cieplejszy i suchszy, niż obecnie). Ta troistość lodowej epoki doskonale zgadza się z wyżej wyłożonem zapatrywaniem; trzy lodowe epoki odpowiadają trzem wielkim oscylacjom klimatu o peryodzie trwającym jakie kilkanaście tysięcy lat. Jeżeli będziemy liczyć oscylacje, poczynając od zimnego okresu, to okaże się, że żyjemy w drugiej połowie trzeciej oscylacji tj. w ciepłym okresie trzeciej oscylacji. w przyszłości zaś być może nastąpi czwarta oscylacja, a z nią nowa epoka lodowa. Rzeczywiście to, że miały miejsce co najmniej trzy epoki lodowe, jest

faktem nie ulegającym wątpliwości. Ale, jeżeli miały miejsce trzy takie epoki, to może nastąpić czwarta, piąta i t. d. Twierdzić, że szanse powrotu lodowej epoki są żadne, moglibyśmy tylko w takim razie, gdyby czas, który upłynął od ostatniej epoki lodowej aż do dni dzisiejszych, był znacznie dłuższy od całkowitego peryodu tych wielkich oscylacyj klimatu, które spowodowały epoki lodowe. Rzeczywiście, jeżeli epoki lodowe są rezultatem klimatycznych oscylacyj, to powinny powtarzać się w odstępach czasu mało między sobą różnych. Gdyby więc po pewnej oscylacji upłynął czas równy np. kilku peryodom oscylacji, a sama oscylacja się nie powtórzyła, to byłoby znakiem, że przyczyny, sprawiające oscylacje przestały działać, zaś sama oscylacja zapewne znikła. Lecz czas, który upłynął od ostatniej lodowej epoki, jest z pewnością znacznie krótszy od peryodu jednej takiej wielkiej oscylacji, albowiem nagromadzone po ostatniej epoce lodowej nowe pokłady rzeczne, jeziorowe, eoliczne i t. d., są o wiele cieńsze, aniżeli podobne pokłady nagromadzone w którejkolwiek z epok interglacialnych. Żyjemy więc prawdopodobnie w nowej epoce interglacialnej (tj. w ciepłym okresie wielkiej klimatycznej oscylacji). Co więcej, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, klimat ziemi jeszcze nie doszedł do tego *maximum* ciepłoty i suchości, który odpowiada samemu środkowi interglacialnej epoki. Prawdopodobnie tedy klimat ziemi stanie się w przyszłości nieco suchszym i cieplejszym niż obecnie, dojdzie do pewnego *maximum* suchości i gorąca, poczem rozpoczną się zmiany w odwrotnym kierunku. Rzecz prosta, że obok tych głównych oscylacyj będą miały miejsce i mniejsze oscylacje o krótkich peryodach. Krzywą rocznych temperatur jakiegokolwiek miejsca na kuli ziemskiej należy sobie przedstawiać jako pewną linię falistą z drobnymi ząbieniami.

Wyłożone tu zapatrywania zgadzają się z faktami świadczącymi, że klimat lądów od czasu epoki lodowej stał się suchszym i cieplejszym. W Środkowej Azji morze Kaspijskie i Aralskie, jezioro Lop-Nor, Baskasz, jeziora Tybetu i setki innych jezior są tylko szczątkami o wiele obszerniejszych niegdyś jezior. Tak samo w Północnej Ameryce z ogromnych jezior La-

hontan i Bonneville zostały tylko małe jeziora jak np. Słone jezioro, Winnemucca, jezioro Humboldta, Carson i inne. W górach poznikały ogromne lodowce, wobec których współczesne są marnemi szczątkami.

Ponieważ mówiliśmy o lodowej epoce, więc poruszmy za przykładem Brücknera jeszcze jedną kwestyę, mianowicie kwestyę, o ile klimat tej epoki był zimniejszy od współczesnego. Różnicę temperatur można w przybliżeniu obliczyć z wysokości linii śnieżnej, albowiem położenie tej linii zależy przedewszystkiem od temperatury. Inne czynniki, okazujące wpływ na jej położenie, mają charakter miejscowy, a zatem w czasie epoki lodowej musiały sprawiać mniej więcej ten sam wpływ, co obecnie. Ze śladów lodowej epoki można z wielkiem przybliżeniem określić wysokość ówczesnej linii śnieżnej. Podajemy tu w skróceniu tablicę, ułożoną przez Pencka. Naturalnie zamieszczone tu dane są najpewniejsze dla europejskich gór, dla innych są mniej pewne i nie wykluczają pomyłki o jakie paręset metrów:

	Obeena wysokość linii śnieżnej	Wysokość linii śnieżnej w czasie lodowej epoki	Różnica tj. zniżenie linii śnieżnej
W Bawarskich Alpach.	2500 metr.	1300 metr.	1200 metr.
Salcburskich	2500 —	1200 —	1300 —
Wschodnie Alpy	2800 —	1500 —	1300 —
Tatry	2200—2300 —	1500 —	7—800 —
Pyreneje	2700 —	1700 —	1000 —
Sierra Nevada (hiszpańska).	3100 —	2600 —	500 —
Tian-Szan	3750 —	2300 —	1450 —
Sierra Nevada (kalifornijska).	3500—4000 —	2600 —	około 1000 —
Naga Hills (Indostan)	4800 —	3000 —	1800 —
Sierra Nevada de Santa Marta (Venezuela).	4500 —	4000 —	500 —
Nowo Zelandzkie Alpy	2300 —	10—1200 —	11—1300 —

Widzimy tedy, że w epoce lodowej linia śnieżna znajdowała się średnio o jakie 1000—1100 metrów niżej, niż obecnie. Ponieważ w niższych warstwach atmosfery temperatura zniża się średnio o $0,5^{\circ}\text{C}$. na każde 100 metrów wzniesienia, przeto możemy wyprowadzić stąd wniosek, że średnie temperatury epoki lodowej w czasie największego rozprzestrzenienia się lodowców były prawdopodobnie o 5 do $5\frac{1}{2}$ stopni C. niższe niż obecne.

Opierając się na pewnych danych, których tu przytaczać nie możemy, albowiem musielibyśmy zbyt daleko zapuścić się w dyskusję niektórych faktów, — Brückner dochodzi do ostatecznego wyniku, że temperatury epok lodowych były nie o 5 do 5 $\frac{1}{2}$, lecz tylko o 3 do 4 stopni Celsyusza niższe od współczesnych. Widzimy tedy, że nie potrzeba było żadnego olbrzymiegoniżenia temperatur, aby wywołać epokę lodową, że mogła na to łącznie wystarczyć oscylacja temperatur o amplitudzie kilku stopni C., byleby tylko peryod tej oscylacji był dostatecznie długi.

M. P. R.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Unia brzeska (r. 1596). Opowiedziana przez ks. biskupa Edwarda Likowskiego, sufragana poznańskiego. Poznań, 1896 (w 8ce, str. 424).

Trzechwiekowy jubileusz Unii brzeskiej, przez którą schyzmatycka Ruś pod berłem królów polskich wróciła do jedności z Kościołem rzymskokatolickim, uświetnić należało historycznem, pomnikowem dziełem. Dokazał tej pracy biskup, który przed dwudziestu laty dzieje Rusi unickiej opracował w głównych zarysach p. t. „Historja Unii Kościoła ruskiego z rzymskim“, a przed kilkunastu laty dwom ostatnim stuleciom tych dziejów poświęcił najbardziej szczegółowe i dokładne, jakie dotąd posiadamy, dzieło: „Dzieje Unii Kościoła ruskiego z rzymskim w XVII. i XVIII. wieku“.

Dawne swe studia wzbogacił dostojny autor nowemi, gruntownemi poszukiwaniami w archiwach rzymskich: watykańskiem i kongregacyi *de Propaganda Fide*, w archiwach ruskiej metropolii we Lwowie, w muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie, wreszcie w bibliotece Przyjaciół nauk w Poznaniu.

Rękopiśmienne te źródła uzupełnił drukowanemi dokumentami, które ogłosiła w Petersburgu komisya archeograficzna i dla rozbioru dawnych aktów, tudzież 12 publikacyami ruskimi i rosyjskimi: Harasiewiczza, Hołubiewa, Milkowicza, Sapunowa. Nie wspominam o dokumentach Rosyi, Polski i Litwy, ogłoszonych przez Theinera, o „Archiwum domu Sapiehow“, wydanem przez Prochaskę i o 70 dziełach hi-

storycznych, opracowanych przez rosyjskich, ruskich, polskich i innych jeszcze narodowości autorów, a odnoszących się do epoki Unii brzeskiej.

Źródłową więc co się zowie jest „Unia brzeska“ ks. biskupa Likowskiego, a że jest bezstronna, tego sam autor raz po raz składa dowody. Dość wspomnieć, co pisze w przedmowie: „Książka moja... nie tai win naszych (tj. Polaków), owszem błędy rządu polskiego, episkopatu łacińskiego i społeczeństwa naszego względem Unii, otwarcie wyznaje i odsłania i daje przy każdej sposobności dowody życzliwego względem Unii usposobienia. Oby ją po stronie ruskiej z tą przychylnością przyjęto, z jaką ku nim się zwraca“ (str. VIII.).

Niemalą zasługą ks. biskupa, a poniekąd i nowością jest to, że wyzyskał w swej pracy rosyjskie, bardzo mało u nas znane, a przecież cenne publikacye, niemniej jak ruskie, odnoszące się do Rusi i Cerkwi ruskiej. Nowość to względna, ale nowość, bo, o ile wiem, nikt dotąd z Polaków, piszących o Unii brzeskiej, temi dokumentami nie posługiwał się w tej pełni i mierze, co nasz autor. Powtóre, z doświadczenia wiem, jak trudny przystęp do archiwów rzymskiej Propagandy; autor dotarł do tych 22 tomów *in folio*, zawierających korespondencye Bazylianów i biskupów ruskich z kardynałem prefektem Propagandy, i przewertował z nich pilnie tomy III., IV., X., XII. i XVII., odnoszące się do epoki Unii. Dzięki tym i innym źródłowym badaniom, był on w stanie podać w swej książce wiele nowych poglądów na dzieje powstania Unii, a ludzi i wypadki tego okresu w innem nieraz, niż dotąd przedstawić oświeceniu. Dość wspomnieć metropolitę Rahożę. Uważaliśmy go dotąd za głównego sprawcę Unii, tymczasem w książce ks. biskupa Likowskiego pokazuje się, że był to prałat chwiejny, dwulicowy, prawie nigdy szczerze o Unii niemyślący, wciągnięty tylko do niej względami na króla Zygmunta, na Zamoyskiego, na swych kolegów, Terleckiego i Pocięja, a równocześnie kokietujący z patriarchą carogrodzkim, z wrogiem Unii, księciem Ostrogskim i z innymi panami schyzmatyckimi, których wpływu i potęgi się lękał. Dotąd powszechnie twierdzono, że patriarcha carogrodzki, Jeremiasz II., domagał się od Rahoży 15.000 asprów za udzieloną mu sakrę, tymczasem dowiadujemy się, że to nie on, ale dawny jego sekretarz i towarzysz w podróży przez Ruś i Litwę do Moskwy, arcybiskup Dionizy, który podrobiwszy listy patriarchy, zjawił się na Rusi 1590 r. jako jego pełnomocnik, w gruncie zaś rzeczy był pospolitym oszustem (str. 97). Dotąd od Bandtkiego liczni historycy nasi, ruscy i rosyjscy (wyjątek stanowią: Bartoszewicz, Kalinka, Dzieduszycki, Pelesz) twierdzili, że Unia

brzeska była dziełem wyłącznie Jezuitów, że narzuconą została przez ich wychowanka Zygmunta III., biskupom ruskim, a siłą i mocą przeprowadzona, stała się jedną z przyczyn buntów i wojen kozackich i nieszczęść, które z tych wojen spadły na Polskę. Książka o „Unii brzeskiej“ wykazuje dokumentami, stwierdza powagą rosyjskich historyków, że Unia wyszła z łona episkopatu Rusi, a głównym jej powodem był opłakany stan Cerkwi greckiej wogóle, a ruskiej w szczególności. Patriarchowie greccy tak nisko upadli, że kupowali sobie za drogie pieniądze względy nie tylko wielkiego wezyra, ale nawet haremu i podkupywali się nawet wzajemnie tak, iż ich nieraz po trzech i czterech naraz stawało do tego wstrętnego handlu; zapłacone sumy odbijali i wyciskali na podległych sobie biskupach, ci zaś na klerze niższym, tak iż obok nieuctwa symonia stała się plagą powszechną greckiej Cerkwi.

Opłakańszy jeszcze był stan Cerkwi ruskiej. Bo naprzód patriarchowie i ich wysłańcy tylko jałmużn i opłat domagać się umieli od ruskiego Kościoła; z tej cheiwości grosza nadali bractwom cerkiewnym władzę nad klerem i biskupami przywilejem stauropigialnym. Nadto sami biskupi ruscy, jak lwowski Bałaban, grabieżą i wszelką niecnotą się wstawiali; mnichy przedzierzgnęli się w biegunów i obieźyswiatów, a kler świecki nieuctwem i gburowatością nie wiele różnił się od ciemnego chłopca. Nic też dziwnego, że wskutek tego wewnętrznego rozkładu i upadku Cerkiew ruska poszła w pogardę taką, iż nie tylko magnat, ale każdy szlachcic nią poniewierał i w rządy się jej mieszał, a kilkadziesiąt rodzin ruskich jeszcze przed Unią brzeską i przed Jezuitami przeszło na wiarę rzymsko-katolicką, inne zaś, liczniejsze jeszcze przystały do Lutrów, Kalwinów i Aryanów.

Gwałtowną potrzebę dźwignięcia Cerkwi z tej niemocy, potrzebę ratunku czuł przedewszystkiem stary książę Konstanty Ostrogski, pan 35 miast i 1.000 wsi, mogący każdej chwili postawić 15—20.000 wojska nadwornego; czuli ją inni znaczniejsi Rusini jak: Teodor Skumin Tyszkiewicz, wojewoda nowogrodzki, Pociiej, kasztelan brzeski; odczuwała ją i oświeceńska szlachta ruska. Ale u kogo ratunku było szukać? U patriarchów? Ależ oni sami w niewoli, żebrzą o protekcję haremu. W łonie własnej Cerkwi? ależ ona ani szkół, ani kleru światłego, ani biskupów godnych tej nazwy niema; w ciężkiej niemocy jakoż się sama podźwignie? Nie pozostawało więc nic, jak szukać ratunku w Unii z Rzymem, a tradycje Unii we Florencyi zawartej nie zatarły się jeszcze do szczytu. Więc już r. 1583 zgłasza się osobiście książę Ostrogski do Jezuity Possewina, legata papieskiego do króla polskiego,

i naradza się z nim o ratunku Cerkwi, prosząc między innymi o przysłanie z Rzymu i Włoch profesorów do nowej szkoły, którą książę w Ostrogu założył. W kilka lat potem tenże książę nad tem samem radzi z Pociem, podówczas jeszcze kasztelanem-senatorem, nakłania go ustną prośbą i listami, aby dał się postrzyżz na mnicha i przyjął biskupstwo włodzimirskie i dźwignął Cerkiew ruską (str. 115—120). Słowem nie kto inny, jeno biskupi ruscy i książę Ostrogski dają pierwszy impuls do unii z Rzymem.

A Jezuici? „Udział ich nie przechodził ani na chwilę granic dozwolonych; ograniczył się na podniesieniu myśli o Unii, na wykazaniu pożytków kościelnych i politycznych, mogących z niej na naród polski i ruski spłynąć, na religijnem pouczeniu i oświecaniu Rusinów, mianowicie na rozpraszaniu uprzedzeń wśród ludności ruskiej przeciwko Kościołowi katolickiemu; wreszcie na pobudzaniu wpływowych osobistości w narodzie do zajęcia się przygotowaniem Unii. W samych rokowaniach o Unię, Jezuici już albo wcale nie biorą udziału, albo udział bardzo pośredni i nieznaczny, a w praktycznem przeprowadzeniu Unii wcale ich nie widzimy (str. 1, 2). Tezy tej dowodzi autor na str. 76—87 i kończy: „Jezuici, za przewodem ks. Skargi, słusznie pragnęli, aby konwersya Rusinów nie inaczej się dokonała, jak na drodze oświecenia, przekonania i dobrowolnej decyzji, i nikt im nie zdoła wykazać, aby kiedykolwiek pchali rząd polski do używania środków, zadających gwałt sumieniom“ (str. 87).

A Zygmunt III.? „Był niewątpliwie, jako głęboko wierzący katolik, przyjacielem, zwolennikiem i opiekunem Unii; ale ani z niego myśl Unii nie wyszła, ani gdy jej potrzebę zrozumiał, biskupom jej nie narzucał, i narzucać zresztą nie potrzebował, ponieważ oni sami do niej pobudkę dali“ i na nią się zgodzili na zjeździe w Bełzie i Brześciu 1590, 1591, 1592 r. „To zgodzenie się zaś całego episkopatu na Unię dojrzało samo w sobie, w łonie jego, albowiem episkopat z taką swobodą i niezależnością od rządu omawiał i układał kwestyę Unii, że mamy prawo wątpić, czyby którykolwiek inny rząd Europy w owym czasie lub po dziś dzień tyle wolności w tak wielkiej wagi sprawie, obchodzącej zarówno Kościół jak państwo, episkopatowi swemu zostawił, z jaką narady biskupów ruskich przed Unią brzeską się odbywały (str. 2, 3). Zdrowy zresztą zmysł polityczny nakazywał Zygmuntowi powzięty przez episkopat ruski zamiar Unii poprzeć całą powagą królewską, w czem go utwierdzał kanclerz Zamojski. Rusini schyzmatycy ciałem należeli do Polski, duszą lgnęli do Moskwy. Popychali

ich do tej zdrady względem Polski patryarchowie carogrodzcy, jak Cyryl Lukaris i ich wysłannicy, jak Nicefor, podburzającymi odezwami, tłoczonymi w drukarni ostrogskiej i w tysiącach egzemplarzy rozrzucającymi po Rusi i Litwie. Odkąd zwłaszcza car Iwan erygował w Moskwie patryarchat od Carogrodu niezależny (1589 r.), a pierwszy zaraz patryarcha moskiewski Job, przybrał nazwę patryarchy nie tylko Moskwy, ale i „Włodzimierza i wszystkiej Rusi i wszystkich krajów Północy“, to już byłoby najwyższym nierozumem politycznym, nie poprzec całą siłą Unii przez episkopat ruski podjętej.

Jeżeli już o co Zygmunta i rząd polski winić w tej sprawie koniecznie chce się, to chyba o to, że popierał Unię słabo, niedołężnie; że pozwolił księciu Ostrogskiemu podczas Unii brzeskiej i po niej wicherzyć, odgrażać się, lekceważyć komisarzy królewskich, zabierać połowę dóbr biskupstwa łuckiego, łączyć się z heretykami w Toruniu, konszachty utrzymywać z emisaryuszami patryarchy, drukować u siebie i przez swych ludzi rozrzucać podburzające odezwy; że emisaryuszów tych, krom jednego Nicefora, nie kazał od razu więzić, sądzić i karać; że schyzmatyckich biskupów-intruzów, których samowolnie poświęcił Teofan, patryarcha jerozolimski, tolerował, starostom surowego uakazu pojmania ich i oddania sądom nie wydał; wreszcie że nie zamknął i nie rozpuścił bractw stauropigialnych: było ich 14, a wszystkie, zwłaszcza lwowskie i wileńskie, wystąpiły w roli formalnych podszczuwaczy i burzycieli, posunęły się aż do wywoływania zamachów na życie metropolity ruskiego Pocięja, i arcybiskupa Józafata. Te były nie tyle winy ile błędy, owoc słabości rządu polskiego, bezsilności władzy królewskiej, ale nie ucisk schyzmy albo przymus do Unii. Ani król, ani rząd polski wobec takiego księcia Ostrogskiego i licznych jeszcze schyzmatyckich panów, wobec 60.000 Kozactwa Konaszewicza, sfanatyzowanych przez patryarchę Carogrodu i Boreckiego, nie miał możliwości, choćby szczerze chciał „prześladować“ kogobądź za jego grecką wiarę i „zmuszać“ do Unii. Tylko ignorant albo rozmyślny fałszerz historyi może twierdzić przeciwnie.

I właśnie te wicherzenia bractw stauropigialnych (str. 157—163, 228—238), te intrygi księcia Ostrogskiego (str. 141—152, 204—226), to sfanatyzowanie Kozactwa przez Boreckiego i Teofana, który pod eskortą 1.500 Kozaków przewędrował wzdłuż i wszerz całe Zadnieprze i Ukrainę (str. 239—258), to najpiękniejsze karty tej pięknej książki; rzucają bardzo wiele nowego światła na zbiorową akcję przeciwników Unii, znaną urywkowo tylko, a nigdy w całości, i tłumaczą poniekąd

Zygmunta i rząd polski, nie z zarzutu „przymusu“, bo tego nie było nigdy, ale „niedołęztwa“ w obronie Unii. A ten hetman kozacki Kona-szewicz bijący pokłony wraz ze starszyzną przed Teofanem u wrót ławy kijowskiej, gotowy pechnąć 40.000 Kozaków do Turka przeciw Polsce, niszczący w pochodzie pod Chocim „gorzej od Tatar“ do-bra swych braci Rusinów Unii życzliwych lub Unitów, odgrażający się królowi na sejmie 1621 r. buntem formalnym i rzezią szlachty, — jakże odmiennie on wygląda od tej postaci współwzycięsycy z pod Chocima, jaką nam tylokrotnie w ponętnych barwach i blaskach przedstawiano?! Kozak to był zwyczajny, bitny, zuchwały, ale każdej chwili do zdrady, buntu i rzezi gotowy. Wiele, bardzo wiele nowych rzeczy doczytujemy się w tych kartach.

Również nowiną są motywa, dla których książę Ostrogski, gor-liwy zrazu inicjator Unii, stał się jej przez lat 13, aż do swej śmierci (umarł 1608 r. przeszło stuletnim starcem) prześladowcą zawziętym? Nietylko obrażona duma magnata, który znieść nie mógł, że bez niego episkopat ruski o Unii radził i nie według jego planu ją przeprowa-dził, była tego dziwnego zwrotu przyczyną — ale też przesiąknięcie na wskrós błędami kalwińskimi, aryańskimi i nienawiścią heretycką do Rzymu, która z wiekiem rozcietrzewiała księcia coraz więcej. Od założenia „akademii“ w Ostrogu 1580 r. otoczył się mistrzami tej aka-demii, heretykami lub herezyą zarażonymi Grekami (jak Cyryl Lukaris), ufał im, rad ich słuchał, a płacił hojnie. Oni też go tą nienawiścią do papizmu napoili, a grecką jego wiarę popsuli do tyła, że gdy książę odpowiedź swą na dzieło Skargi „O jedności Kościoła Bożego pod jednym pasterzem“, napisaną przez jego mistrza akademii ostrogskiej, arianina Motowilę, przesłał w darze księciu Kurbskiemu, to ten gorliwy wyznawca greckiej wiary przeczytawszy ją, odpisał księciu z przera-żeniem: „Pojąć nie mogę, skąd Waszej Wysokości przyszła myśl przy-słać mi książkę, napisaną przez syna dyabelskiego, jawnego wroga Chrystusa, lepiej mówiąc, pomocnika antychrysta“ (str. 223—225). Stary książę, patron greckiej wiary, ani wiedział, że w duszy stał się arianinem.

Innego znów rodzaju nowością jest to, co dostojny autor w przed-mowie pisze o Jezuitach: „W praktycznem przeprowadzeniu Unii cał-kiem ich nie widzimy. Przeciwnie właśnie wtenczas, kiedy ich pomoc dla wzmocnienia i utwierdzenia Unii byłaby najbardziej pożądaną, oni pier-wotnej myśli swojej, przez Possewina i Skargę głoszonej, zjedno-czenia obu obrządków, ruskiego i łacińskiego pod jedną głową, sprze-

niewierzącą się i przeciągając w szkołach młodzież szlachecką ruską do obrządku łacińskiego, Unii szkodzą“ (str. 2).

Wobec tak doniosłego zarzutu, uczynionego bez żadnego zastrzeżenia całemu zakonowi w Polsce, chciałoby się widzieć bardzo stanowcze dowody. Tem bardziej, że przytoczone przez samego autora nazwiska Jezuitów, którzy „Atanazego Unii“, nieśmiertelnej pamięci i zasług Welamina Rutskiego do wytrwania w obrządku greckim skłonili i w ten sposób dla Unii uratowali (str. 293 i 294); którzy Jozafata przez lat kilka uczyli łaciny i greki na to, aby mógł zostać Bazylianinem (str. 335); którzy temuż Jozafatowi (o czym jednak autor nie wspomina), gdy już był archimandrytą monasteru św. Trójcy w Wilnie, dopomagali kształcić pierwszych nowicyuszów duchowo i naukowo, naprzód w Wilnie od 1609—1617 r., a potem od 1617—1636 r., kiedy objęli dyrekcję bazylińskiego nowicyatu i studyów w Żyrowicach; którzy Rutskiemu plan reformy podali i dopomogli zreorganizować cały zakon bazyliński na synodzie w Rucie 1617 (str. 297) — wszystko to, mówię, dowodzi aż nadto, że Jezuici po Possewinie i Skardze aż do połowy prawie XVII. wieku stale pracowali dla dobra Unii i niezaprzeczone względem niej położyli zasługi. Owszem i wtenczas i później wielu uczniów jezuickich, Polaków i łacinników wstępowało do zakonu bazylińskiego, zasilając go prawie w połowie, a Jezuici wcale temu nie przeszkadzali.

Jakież więc są dowody, że mimo to wszystko Jezuici sprzeniewierzyli się swemu posłannictwu względem Unii, że jej szkodzili?

Oto te: Mimo zaprowadzenia Unii szlachta ruska przechodziła dość licznie na obrządek łaciński, zwłaszcza młodzież szlachecka. Biskupi ruscy, widząc w tem (całkiem słusznie) wielkie dla Unii niebezpieczeństwo i pragnąc je zażegnać, zwrócili się do Stolicy św. z prośbą o pomoc i poparcie, przy czem twierdzą, że najbardziej się obawiać należy wpływu szkół jezuickich. Stolica św., ulegając prośbom biskupów ruskich, a także i generał zakonu wydają do polskich Jezuitów polecenia, aby młodzieży ruskiej nie nakłaniali do przejścia na obrządek łaciński, ale owszem, by zachęcali ją do wytrwania w swoim obrządku. To jest wszystko, co przeciw Jezuitom autor „Unii“ mógł powiedzieć.

Czy z tych danych da się wysnuć dowód, że Jezuici sprzeniewierzyli się posłannictwu swemu względem Unii, że młodzież ruską do łacińskiego obrządku stale i jakby z zasady „przeciągali“?

Stanowczo nie. Bo naprzód nie ulega wątpliwości, że szkolna młodzież ruska w wielkiej części przechodziła na obrządek łaciński nie

z Unii, ale ze schyzmy i herezy; to zaś było wówczas zupełnie dozwolonem, nawet wedle zdań samych pisarzy ruskich. Nadto równie wiadomem jest, że przejścia na obrządek łaciński dokonywały się w wielkiej liczbie bez żadnych presyj i „przeciągania“. Grawitacya inteligentnych Rusinów ku łacińskiemu obrządkowi była w tych czasach powszechną, łatwo zrozumiałą, a choć dla Unii była bezwątpienia szkodliwą, nie można jej było powstrzymać. Wreszcie nie przeczymy, że na podstawie przytoczonych przez ks. biskupa Likowskiego dokumentów przypuścić trzeba, iż ze strony Jezuitów zdarzały się jakieś uchybienia, iż ten lub ów z nich przekroczyć musiał granice; żeby jednak tego rodzaju taktyka miała być stałą i rozpowszechnioną do tego stopnia, aby ją słusznie imputować można zakonowi — to chyba za wiele; na takie przypuszczenie nie pozwalają ani wspomniane wyżej dokumenty, ani wreszcie sam charakter zakonu, który poszanowanie obrządków miał zawsze w swoich tradycjach i nietylko koło Unii w Polsce, ale też koło Unii Rusinów węgierskich, koło Unii Ormian i t. d. bardzo wybitne i niezaprzeczone położył zasługi.

Trudno też przypuścić (zwłaszcza gdy niema na to dowodów), żeby rozporządzeniom Stolicy św. i jenerałów zakonnych Jezuici byli systematycznie nieposłuszni. Sam więc fakt tego zakazu, przytoczony na poparcie zarzutu, czyni tenże zarzut w rozciągłości, w jakiej go stawia autor, co najmniej nieprawdopodobnym¹.

Za to wielkim błędem a zarazem i wielką winą rządu i episkopatu polskiego było, iż wbrew obietnicom Zygmunta III., wbrew żądaniam i napomnieniom Klemensa VIII., Grzegorza XV. i Urbana VIII., biskupom unickim nie dano krzesła w senacie. Król chciał szczerze dotrzymać obietnicy zupełnego zrównania biskupów obu obrządków, ale episkopat łaciński i słyszeć o tem nie chciał i pomiał ruskim episkopatem do tyła, że na jakimś uroczystym obchodzie biskup sufragana poznański nie chciał ustąpić pierwszeństwa metropolicie Rusi, Rutskieną; że na pogrzebie Zygmunta III. kanonicy krakowscy pierwsze

¹ Zanotować tu warto, że w czasie najbardziej zaognionych sporów o przechodzenie na obrządek łaciński z greckiego, nie kto inny, tylko Jezuita de la Marche wydał komentarz, w którym (przeciwko opinii, wyznawanej podówczas przez wielu) dowodzi, że przejście do łacińskiego obrządku nietylko duchownym, ale i świeckim Rusinom jest wzbronione. Komentarz ten przesłał autor Bazyljanom ruskim. Życzliwa jakaś ręka wypisała na rękopisie ks. de la Marche te godne uwagi słowa: „Niech wiedzą Rusini, że całość swych praw i przywilejów... Tow. Jezusowemu zawdzięczać winni“.

przed unickim episkopatem zająć chcieli miejsce. Była to niesprawiedliwość i błąd polityczny wielki, który nasz autor na kilku miejscach dosadnie piętnuje. Ani wątpić, że biskupi, lwowski i przemyski, Bałaban i Kopestyński, mając senatorską godność w perspektywie nie byłiby się opierali Unii, a bez nich, wicherzoniom księcia Ostrońskiego brakłoby było podstawy kościelnej i biskupiej sankcyi. Niestety senatorowie i posłowie katolicy nie chcieli zrozumieć politycznej doniosłości Unii; — nie tylko nie popierali jej w sejmach i trybunałach, do których książę Ostroński zapożywał biskupów unickich, ale gdy on a później Konaszewicz sam i przez schyzmatycznych i heretycznych posłów niesprawiedliwe skargi na Unitów przed sejmem wytaczali i zniesienia Unii zuchwale się domagali, to oni, katolicy, przeciw unickim biskupom i przeciw Unii, jako zarzewiu niezgody domowej głośno sarkali, a niektórzy skrycie dyzunitom pomagali. Jedynie stałość Zygmunta III., odwaga Pocięja i Rutkiego ratowała Unię. Zuchwalstwo i zaciekłość schyzmy, która od r. 1620 miała sześciu biskupów i metropolitę przez Teofana wyświęconych a po śmierci Ostrońskiego w Konaszewiczu i Kozakach znalazła swych opiekunów, wzrosła do tego stopnia, że jakich 100 unickich księży i mnichów ubitych zostało bezkarnie przez Kozaków i inne hultajstwo ukraińskie; że 70 nastawionych zbirów czyhało na życie Rutkiego; że jakiś szaleniec, Trepka, przez pseudo-arcybiskupa połockiego, Smotrzyńskiego i bractwo wileńskie nasadzony, w biały dzień w środku Wilna ciałą siekierą metropolitę Pocięja i palce dwa u ręki, którą się starzec zasłaniał odciął, że wreszcie 1633 r. Witebszczanie arcybiskupa swego Jozafata rano, po jutrzni, w jego własnym mieszkaniu zamordowali i nad zwłokami jego pastwili się. Dopiero ta krew męczeńska opamiętała i z szału ocuciła jednych, wyrwała z bezczynności drugich, zagrzała męstwem i żarliwością biskupów unickich, stała się posiewem gorliwych Unitów Bazylianów, którzy dostarczyli Unii zastępu prawdziwie kościelnych biskupów, pobożnych a świątłych kapłanów i mistrzów szkół ruskich wypróbowanych.

Dwa ostatnie rozdziały książki (IV. i V.) poświęcone dwom szermierzom z przeciwnych obozów: św. Jozafatowi i Melecemu Smotrzyńskiemu. Po znakomitej biografii św. Jozafata napisanej przez Guépin'a (a właściwie O. Kalinkę), nie mógł ks. biskup Likowski nowych, nieznanych rzeczy o męczenniku Unii powiedzieć. Dowodniej tylko i bardziej wyczerpująco wykazał niesłuszność zarzutów, które tego odnowiciela Cerkwi ruskiej od zacnego skądinąd kanclerza w. l. Lwa Sapiehy spotkały (str. 362—374). Smotrzyński zaś, ten istny Szawel

wobec św. Jozafata, oprócz wielu ciężkich ran, które w ciągu przeszło 20 lat piórem, słowem, agitacją zadał Unii, był moralnym sprawcą zabójstwa Jozafata; jego też krwią i modlitwą nawrócony, od r. 1628 staje się głównym rzecznikiem Unii i na tem chlubnem stanowisku zostawia go nasz autor.

Oto treść, oto zalety cennej książki „o Unii brzeskiej“ ks. biskupa Likowskiego. Ma ona wartość nie tylko naukową, ale i aktualną. Odczytywanie jej będzie dla Polaków pobudką do naprawienia — o ile to dziś możliwe — nie tylko błędów przeszłości, ale i krzywd prawdziwych, jakich się ojcowie nasi względem Unii dopuścili; dla Rusinów znowu powinno stać się zachętą do wiernego i pełnego otuchy wytrwania przy Unii, do mężnej jej obrony, do przechowywania w życiu i czynie wielkich tradycji przekazanych przez Pocięjów, Rutskich, Jozafatów, którzy pomimo piętrzących się zewsząd trudności i ataków potężnych nieprzyjaciół, mimo zawodów i przykrości doznanych nie od króla wprawdzie i Jezuitów, ale od senatu duchownego, od rządu i społeczeństwa polskiego, do Unii się nie zrazili, ale stali przy niej wiernie i bronili jej z nadludzkim wysileniem, aż do krwi rozlewu.

To byli ludzie wedle miary wielkich Ojców Kościoła. Cześć nie-wygasła ich pamięci!

Ks. Stanisław Załęski.

Episkopat und Presbyterat in den ersten christlichen Jahrhunderten.

Von *Dr. theol. Ludwig Sobkowski*, Priester der Erzdiözesen Gnesen und Posen. Würzburg 1893 (8^o, str. XII, 98).

Jest to praca konkursowa, którą nagrodził teologiczny Wydział na Uniwersytecie wüzburgskim jeszcze w r. 1887. Autor opracował rzecz gruntownie i naukowo. Że odnośną literaturę wyzyskał, dowodzi spis bibliograficzny od str. VII—XI. Pisma Hammersteina zacytowane w tym spisie, niewiele zapewne pomogły autorowi; są to bowiem dzieła nie naukowe, lecz popularne.

Autor broni tezy, że urząd biskupi już od czasów apostolskich przedstawia się jako instytucja boska, różna od urzędu kapłańskiego i wyższa. Tezy tej dowodzi w dwóch rozdziałach naprzód z Pisma św. (str. 17—34), potem z tradycji (str. 34—98); część dowodową poprzedza obszerniejsza introdukcja (str. 1—16), która zaznajamia czytelnika z przedmiotem rozprawy.

Kontrowersję, która jest treścią pracy ks. Sobkowskiego, wywołali heretycy już w IV. wieku. Pierwszy Aferius (przedtem Arianin)

zaczął uczyć, że niema różnicy między biskupem a kapłanem. Podobną naukę głosił Kolluthos w Egipcie. Wznowili ją Wiklefici i Waldensi, wreszcie gorliwych obrońców znalazła w reformatorach XVI. wieku. Nowsi protestanci jak: Neander, Ritschl, Richter, Weizsäcker, Bergschlag, Holtzman, Pfeleiderer i inni, usiłowali błędne twierdzenia dogmatyczne starych reformatorów uzasadnić historycznie. Ich to głównie wywodom przeciwstawia ks. Sobkowski rezultaty katolickiej nauki, a błędne ich twierdzenia zbija nader szczęśliwie.

Nie ulega wątpliwości, że w wielu miejscach Pisma św. słowo presbyter tak jest użyte, iż obejmuje i biskupów; równocześnie jednak już w *Dziejach Ap.* (VI, 1—6) widzimy wyraźny podział biskupiego i kapłańskiego urzędu. Jaśniej jeszcze mówi o kapłanach w przeciwstawieniu do biskupów św. Paweł (1. Tym. V, 19). Zdaje się też, że „starsi“, wymienieni obok biskupa jerozolimskiego, świętego Jakóba, (*Dz. Ap.* XXI, 18), jako też presbyterowie, o których św. Jakób w liście swoim (V, 14) wspomina, byli kapłanami drugiego rzędu.

Że urząd biskupi jest boskiego pochodzenia, jasno się wywodzi z Pisma św. Wprawdzie za życia Apostołów biskupia władza ulegała pewnym ograniczeniom, to jednak nie robi trudności. Nazwy, które św. Paweł pewnym zwierzchnikom kościelnym daje, wskazują niedwuznacznie, że ich od reszty duchowieństwa odróżnia i za kolegów niejako w urzędzie uznaje. Wogóle wątpić nie można, że Kościół Apostolski znał trzy stopnie duchowne: dyakonów, kapłanów i biskupów.

Przechodząc do tradycyi rozberra autor przedewszystkiem: „*Naukę 12-tu Apostołów*“ (*Didache*). Jest w niej mowa o Apostołach, prorokach, biskupach, nauczycielach i dyakonach. Harnack wystawia sobie, że ważny ten dokument starożytności chrześcijańskiej mieści w sobie pierwowzór protestantyzmu. Niestety, stronnicze to i bezpodstawne złudzenia. Ks. dr. Sobkowski na podstawie listów św. Pawła objaśnia, co oznaczają wyliczone powyżej nazwy i urzędy, przyczem uważa za prawdopodobne, że w *Didache* nazwa dyakona obejmuje też i kapłanów. W dalszym ciągu przechodzi pisma Klemensa rzymskiego, Ignacego z Antyochii, Hermasa, Polikarpa, Justyna, Ireneusa i Hipolita, Klemensa z Aleksandryi, Orygenesza, Tertuliana, Cypryana, zbierając wszędzie dowody na poparcie katolickiej nauki. Warto wspomnieć bardzo wyraźne świadectwo św. Ignacego męczennika: „Wszyscy mają czcić dyakonów w Jezusie Chrystusie i biskupa jako syna Ojca (niebieskiego) i kapłanów jako senat Boży i apostolskie zgromadzenie. Bez nich o Kościele i mowy być nie może“. (List do Tral. III, 1).

Obejmując w całości książkę ks. d-ra Sobkowskiego, przyznać trzeba, że rzucił wiele światła na kwestyę teologiczną dziś jeszcze ważną i aktualną, a chociaż pewne strony tej kwestyi pozostają i nadal nierozstrzygnięte, i dopuszczają dyskusyę, to jednak wyrównał on teren i ułatwił przez to dalsze badania przyszłym pracownikom.

Nadmiaru prac teologicznych, zwłaszcza oryginalnych, polska literatura bieżąca nie posiada z pewnością; tem chętniej zwracamy uwagę na pracę d-ra Sobkowskiego, żywiąc zarazem nadzieję, że nie będzie ona ostatnią.

Ks. Augustyn Arndt.

Pamiętniki niedoli Antoniego Langiego z lat 1849—1856. Kraków 1896. (W 8-ce, str. 144).

Ostatnie dziesiątki lat bieżącego wieku tak zmieniły stosunek Polaków do monarchii austriackiej, iż o wypadkach ery przedkonstytucyjnej mówimy niemal ze spokojem historyków, roztrzásając zdarzenia dawnej przeszłości. Rany już zabliźnione, urazy i krzywdy wynagrodzone i zapomniane, ich więc przypomnienie, chociażby tak spokojnie i płynnie opowiedziane jak „Pamiętniki“, z których sprawę zdajemy, inne już dzisiaj niż przed laty obudzi wrażenie.

Autor „Pamiętników“ urodzony w Dukli w roku 1829¹, zmarły w Tenczynku 29 marca 1866, spisał wspomnienia swojej „niedoli“ dopiero na kilka lat przed śmiercią. Wydał je bratanek zmarłego Kazimierz w roku bieżącym, uzupełniając tekst książki odpowiedniami przypiskami (str. 132—138), do których dołączony jest na końcu spis więźniów politycznych w Galicyi z lat 1833—1851.

Przyczyną bolesnych przeżyć w życiu ś. p. Antoniego Langiego był nie tyle udział w powstaniu węgierskiem r. 1848, ile raczej bliższe stosunki przyjaźni z rodziną Ludwika Kossutha. W r. 1849 Langie usiłował z matką Kossutha, trzema jego siostrami i dwoma szwagrami przedostać się do Turcyi. Orszak ten dostał się jednak w Groswardein w ręce Moskali, którzy jeńców wydali Austryakom. Rodak nasz odzyskał wolność dopiero w r. 1850, a z siostrami Kossutha, paniami Meszlenyi i Ruttkaj prowadził dalej ożywioną korespondencyę. Tymczasem pani Meszlenyi wraz z pułkownikiem May'em poczęła pracować nad planem nowego powstania na Węgrzech. Langie nic nie wie-

¹ Co do dnia urodzenia A. Langiego, przeoczono błąd (zapewne drukarski); dzień 7 maja podano na początku książki, 4 zaś maja na str. 61.

dział o tej zamierzonej konspiracji, ponieważ jednak policja znalazła w domu pani M. listy Langiego, posądzono go o współudział w pracy May'a i osadzono w więzieniu w twierdzy ołomuńskiej. Opuścił więzienie dopiero w r. 1856. Opisowi tego pobytu w twierdzy poświęcił przeważną część pamiętników. Pamiętniki te choć nie mają wartości historycznych dokumentów, są jednak cennym przyczynkiem do charakterystyki ludzi i usiłowań owej epoki, w której działał ś. p. Antoni Langie. Czyta się je mile i z zajęciem, gdyż są pisane z ciepłem a przytem żywo i barwnie. Sam autor wysilenia garstki Polaków na Węgrzech nazywa „efemerycznemi“ (str. 2). Dzisiejszemu czytelnikowi jego książki trudno się oprzeć uczuciu jakiegoś żalu i smutnej refleksyi na myśl, ile to sił zginęło dla kraju przez to, że ludzie takiej miłości ojczyzny i poświęcenia jak ś. p. Langie, nie mogli pracować dla swego narodu, lecz ginęli albo marnieli cierpiąc za obcych. Szlachetne te, ale zarazem bezowocne wysiłki, na których wspomnienie przejmuję nas dzisiaj dziwne uczucie, złożone równocześnie z dumy i z żalu, różnie były oceniane przez ludzi nam obcych. Warto tu zanotować epizod z pamiętników ś. p. Langiego: ... „Areopag sędziów moich — pisze on na str. 62 — podczas całej indagacji zachowywał się zupełnie biernie; jedni słuchali, drudzy przeglądali gazety, niektórzy nawet drzemali; jeden raz tylko, kiedy audytor wypytywał mnie o powody, dla jakich wstąpiłem do legionów, stary pułkownik prezydujący temu sądowi, odezwał się, kiwając smutnie głową: „Osobliwszy to naród, ci Polacy — ręczę, że gdyby w Chinach rewolucya wybuchła, to byśmy za kilka tygodni usłyszeli o legii polskiej w Chinach“.

Słowa to charakterystyczne.

Leszek Dziama.

Lysistrata czyli Wojna i Pokój. Komedya w 4 aktach, podług *Arystofanesa*. Ułożył dla sceny krakowskiej *St. Koźmian*. 1896.

Zdanie Redakcyi *Przeglądu* o tym utworze wypowiedzianem zostało w N-rze marcowym przeszłego roku.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Biblische Studien. Herausgegeben von Prof. Dr. O. Bardenhewer in München. Erster Band. Freiburg im Breisgau. Herder 1896. (8^o).

Pismo św. i tradycya to dwa źródła wiary katolickiej; w nich ona cała zawarta. Wielka reformacya XVI. wieku odrzuciła wszelką tradycyę, uznając tylko Pismo św. źródłem wiary chrześcijańskiej. W naszych czasach rozkwitu nauk pozytywnych z natury rzeczy ludzie wierze nieprzychylni zwrócili wzrok swój na Pismo św., na te może najbardziej po całym świecie rozpowszechnione księgi, celem przekonania się, czy wytrzymuje ścisłą krytykę naukową, czy pewne zdobyte nauki nie zadadzą kłamu temu w oczach wierzących nieomylnemu źródłu prawdy. Stąd też między katolikami nieco zaniedbane w zeszłym i w pierwszej połowie tego stulecia studium Pisma św. na nowo się podniosło. Kwestyi biblijnej przedewszystkiem we Francyi coraz więcej uczonych katolickich się oddaje. Nietylko trudniejsze części św. ksiąg, ale też zasadnicza kwestya o inspiracyi stała się przedmiotem żywych nawet między katolikami dyskusyj; powstały nowe prądy, uczyniono wielki krok naprzód w ewolucyi umiejętności biblijnej. By doniosły ten ruch poprzeć i zbyt może śmiałych od błędów powstrzymać, Leon XIII. wydał 18 listopada 1893 r. wspaniałą swą encyklikę *Providentissimus Deus*, szeroko w czasopismach katolickich omówioną, z entuzjazmem nawet przez wierzący Kościół anglikański przyjętą. Jednym z owoców tej encykliki są „Studia biblijne“, wydane przez profesora uniwersytetu monachijskiego, d-ra Bardenhewera. Jest to nowy organ dla nauk biblijnych, który ma za cel podniesienie studium Pisma św. w katolickich Niemczech. Szerokie sobie ten organ zakreślił pole działania, nie chcąc się ograniczyć na ścisłej egzegezie, ale obejmując też wszystkie nauki pomocnicze do tłumaczenia św. ksiąg, jako to: filologię, historię: geologię i t. d. Siedmiu profesorów uniwersytetu obiecało wydawcy swój współudział. Prace ich wychodzą w zeszytach bez pewnego oznaczonego terminu, 4—6 zeszytów tworzy jeden tom. Pierwszy tom dopiero co wyszedł i zawiera następujące prace: *Der Name Maria*, przez prof. d-ra O. Bardenhewera; *Das Alter des Menschengeschlechts*, przez prof. dr-a P. Schanza; *Die Selbstvertheidigung des hl. Paulus im Galaterbriefe* (1, 11 bis 2, 21), przez prof. d-ra J. Belsera; *Die prophetische Inspiration*, przez dra F. Leitnera.

Nie mamy zamiaru podawać tutaj szczegółowego sprawozdania

i oceniać każdej z tych prac; ograniczymy się tylko na kilku uwagach o drugiej pracy d-ra Schanza, „O dawności rodzaju ludzkiego“, zdaje nam się bowiem, że ta praca najwięcej ma interesu dla szerszych kół i pod niejednym względem nam katolikom służyć może za wzór, jakie stanowisko zająć powinniśmy w kwestyach napozór sprzecznych między nauką i wiarą. Temat wybrany przez prof. Schanza jest nietylko zajmujący, ale także wielkiej doniosłości nawet dla zasadniczych prawd nauki biblijnej. Dopóki Pismo św. rozprawia o Bogu i naszych względem Niego obowiązkach, o kolizyi między niem a nauką mowy być nie może. Atoli kwestya o starożytności rodu ludzkiego, z nią związane zagadnienie o potopie, jakoteż inne pozytywne fakta, bezwątpienia najzupełniej wchodzą w zakres nauk, a nauki nietylko mają prawo zajmowania się nimi, ale sprzeniewierzyłyby się swojemu wielkiemu zadaniu, gdyby nie starały się przyczynić do zupełnego ich wyjaśnienia. Jeżeli więc Pismo św. i o takich kwestyach pewne wiadomości podaje, wtenczas wiara i nauka bezpośrednio się stykają i stąd wynika niepomierne dla wierzącego ważność tych kwestyj. Niektórzy, chcąc jednym zamachem pozbyć się wszystkich trudności, ograniczyli dogmat o nieomyślności Pisma św. do prawd, dotyczących się ściśle wiary i obyczajów. Inni znów, zamykając się w ciasnem kółku przyjętych przez niektórych katolickich egzegetów tłumaczeń, uparczywie ich się trzymają, a zarzuty nowożytnej nauki albo ignorują, albo je zbywają pewną pogardą. Liczba tych ostatnich niestety była aż dotąd dość znaczną. Taki sposób postępowania, choćby na pozór mógł wydawać się arcykatolickim, w rzeczywistości wprost się duchowi prawdy naszej św. wiary sprzeciwia, sprzeciwia się wielkim przykładom Ojców św. i Doktorów Kościoła wszystkich wieków od św. Augustyna do św. Tomasza, aż do św. Alfonsa Ligourego, a sprawie Kościoła znaczne przynosi szkody. Dlatego z radością powitać trzeba nowych, coraz liczniej pojawiających się pracowników katolickich, przejętych duchem prawdziwej wolności. Nie odstępować ani na krok od prawd wiary, a zarazem korzystać z wyników nauki, aby wiarę utwierdzić i wyjaśnić, choćby te wyniki sprzeciwiały się prywatnym tłumaczeniom, do którychśmy przywykli, oto główna zasada d-ra Schanza w jego pracy biblijnej. Jest i tu bezwątpienia pewne niebezpieczeństwo, by katolicki badacz, olśniony blaskiem nauk, nie posunął się w ustępstwach za daleko. Dr. Schanz zdaje sobie z tego jasną sprawę, ale sądzi, że to niebezpieczeństwo nie jest większem od szkody, jaką wyrządza sprawie katolickiej zbyttna ciasnota.

Całą pracę autor podzielił na trzy części: w pierwszej bada dane

Pisma św. o starożytności człowieka, w drugiej zestawia rezultaty, do których historia w tej kwestyi doszła, w trzeciej podaje wyniki badań przedhistorycznych.

Wszędzie widzimy sumiennosc i wielką trzeźwość w sądach. Skutkiem zbytniego nagromadzenia faktów — trzeba było koniecznie opracować ten temat przez kilka przynajmniej zeszytów — praca ta jest nieco ciężką, miejscami niedosyć jasną. Niektóre ważniejsze wyniki badań d-ra Schanza zasługują na osobną wzmiankę. Między innemi doszedł on do przekonania, że Pismo św. nie podaje żadnej pewnej chronologii. Przedewszystkiem liczby lat, napotykanne w Piśmie św. są niepewne a nadto można przypuścić, że w szeregach chronologicznych Pisma św. zdarzają się nieraz wielkie luki. Uzasadnia autor to zdanie szczegółowo dowodami, wziętemi z samego Pisma św. Trafnie stosuje zdanie św. Augustyna o boskiej interwencji przy zmianie liczb w LXX. do swojej tezy. Jeżeli P. Bóg — powiada — zezwolił na tak znaczne zmiany chronologiczne w LXX., tłumaczeniu tak powszechnej powagi w całym Kościele, to dał nam przez to wskazówkę, że chronologii naukowej w Piśmie św. szukać nie należy. Nie mając więc w księgach św. wystarczających danych co do starożytności rodu ludzkiego, musimy szukać ostatecznego rozwiązania tej kwestyi w nauce. Nauka zaś wymaga, byśmy początek rodu ludzkiego, jakoteż czas potopu w późniejszą przeszłość posunęli, aniżeli to zwykli czynić autorowie katoliccy. To jest rezultat, do którego dr. Schanz dochodzi. Nie jest to żadnem ustępstwem wiary na rzecz nauki. Niech tylko katoliccy badacze nie powołują się zbyt łatwo — jak się to często dzieje — na powagę Pisma św. w rzeczach, o których nas Duch św. całkiem pouczyć nie chciał, aby się potem mniej oświeconym nie zdawało, że zmieniając swe zdanie, powagę boską Pisma św. umniejszają. Już św. Tomasz surowo takich katolickich autorów gani¹.

Nareszcie czujemy się zobowiązani podnieść poważną wątpliwość, która nam się nasunęła przy czytaniu końcowego ustępu pierwszej części pracy d-ra Schanza (str. 37). Autor przyjmuje jako prawdopodobne zdanie, że „natchnieni autorowie Pisma w rzeczach historii świeckiej i nauk przyrodniczych często się spuszczały na źródła“ (*die Gewähr häufig ihren Quellen überliessen*). Zdaje nam się, że to zbyt ogólnikowe wyrażenie „*die Gewähr häufig überlassen*“ łatwo czytelnikowi nasunąć może myśl, iż w Piśmie św. dopuszczalną jest możliwość błędu

¹ *Sum. theolog.* p. I, q. 68. a. 1.

w rzeczach nie ściśle związanych z prawdami religijnymi. Wiemy dobrze, że wybitni nawet uczeni katoliccy przed encykliką *Providentissimus Deus* tego zdania z pewnemi zastrzeżeniami bronili, sądzymy jednak, że pogodzić go nie można z jednomyślną nauką Ojców św., a że szczególnie po tej encyklice pisarz katolicki obstawać za niem nie powinien.

Inne prace tego tomu oznaczają się również gruntownem opracowaniem swego tematu z uwzględnieniem odnośnej literatury. Dla teologa szczególnie zajmującą jest trzecia praca o sporze między św. Piotrem i Pawłem co do zachowania prawa mojżeszowego. O ile z tego pierwszego tomu sądzić można, nie wątpimy, że „*Studia biblijne*“ pod tak umiejętnem kierownictwem wydane, cel swój osiągną, do rozjaśnienia trudnych kwestyj biblijnych się przyczynią i szereg sumiennych i światłych badaczy katolickich powiększą.

Ks. Włodzimierz Ledóchowski.

Podróż naokoło świata. Skreślił *Józef Kořensky*. Część I. Ameryka i wyspy Hawajskie. Praga 1896. (Cesta kolem světa. Díl I. Amerika a Hawaji. Praha 1896).

Rozległy plan podróży nakreślił sobie p. Kořensky, znany już od dawna w Czechach z wycieczek do wszystkich niemal zakątków Europy i malowniczych ich opisów. Jak młody orzeł, któremu urosły skrzydła, coraz dalej próbuje szybować, tak też i on, podług własnego swego wyrażenia, uległ pokusie przerzucania się ze starego do nowego świata przez fale Atlantyku. Poznaawszy zaś amerykańską „ziemię wolności“, skierował lot do czarownego Wschodu, gdzie się piętrzy ku niebu wspaniała Fusijama, napoił pierś wonią podzwrotnikowej roślinności na wulkanicznym archipelagu Hawajskim, szmaragdowej Jawie i rubinowym Cejlonie, dotarł do niebotycznych Himalajów, uchylił czoła przed arcydziełami staro-indyjskiej sztuki, ucałował ze czcią ziemię, która nam dała wiarę i ideały, a wreszcie własnemi oczyma ujrzał zwaliska i pomniki zamierchłej sławy pod etiopskiem niebem.

Wynikiem tej śmiało pomyślanej i szczęśliwie wykonanej wyprawy jest wymienione powyżej dzieło, wychodzące obecnie w dwuarkusowych zeszytach, nakładem zasłużonego czeskiego wydawcy, p. J. Otty w Pradze. Pierwszą część swej pracy, którą właśnie mamy przed sobą, poświęcił autor Ameryce, a raczej właściwie mówiąc Stanom Zjednoczonym, zakończył zaś krótką charakterystyką Hawajskiego archipelagu. Podzieliwszy się z czytelnikiem wrażeniami siedmiodniowej, bardzo przyjemnej i wygodnej, lecz zarazem bardzo kosztownej (około 1000 mrk.)

żeglugi z Bremy do Nowego Yorku, na jednym z najwykwintniejszych parowców Lloyd, p. Kořensky zatrzymuje się dłużej nieco w stolicy wielkiej amerykańskiej rzeczypospolitej, zwanej pierwotnie Nieuwe-Amsterdam, zaznaczając, że jednym z pierwszych pionierów na ziemi odkrytej przez Kolumba, był pewien jego rodak, Czech, August Hermann. Z zachwytem opisuje następnie najnowsze wynalazki wiedzy, zastosowane w Ameryce do przemysłu i potrzeb codziennego życia, które napotyka kolejno w Bostonie, Filadelfii, Baltimore i Waszyngtonie; jako pedagog zaś, jest bowiem nauczycielem szkoły na Smichowie w Pradze, kładzie także silny nacisk na ogniska oświaty publicznej, uniwersytety i inne zakłady naukowe. Wystawę w Chicago, główną atrakcyę, która go zwabiła za morze, pomija prawie milczeniem, podnosząc tylko ówczesny kongres, czyli jak go zowie, parlament wszech religij. Nader zajmujące są natomiast opisy tytanicznych prawdziwie, bo kilkunasto-, dwudziesto- lub trzydziestopiętrowych gmachów w Chicago, oraz sposobu ich budowania, różniącego się całkowicie od europejskiego. Najpiękniejsze arcydzieła północno-amerykańskiej przyrody, jak na przykład wodospad niagarski, wspaniałe gaje leśnych olbrzymów Wellingtonij, hesperyjskie ogrody nad zatoką San-Francisco i t. p., znalazły w panu Kořensky'm wytrawnego i biegłego malarza. Do najciekawszych także ustępów jego pracy należy opis Yellowstone'skiego parku czyli 13.620 kilometrowego obszaru pomiędzy Stanami Montana, Idaho i Wyoming, pokrytego niezliczonemi geyszerami i poczytywanego przez przyrodników za ósmy cud świata. Wolelibyśmy tylko mniej obszerną charakterystykę hoteli i kolei żelaznych, która psuje nieco artystyczne wrażenie, przypominając zanadto Baedekera. Niemile nas także uderza widoczna predylekcyja, okazywana w „Podróży naokoło świata“ rozmaitym sekciarzom: Smithson'owi, Brigham Youngowi, Pennowi, Braciom morawskim i t. d., tembardziej uderzająca, że stosunki religijne katolików są po macoszemu prawie traktowane. O Polakach p. Kořensky mówi nam niewiele, nadmieniając jedynie, że w trzeciej klasie parowca, którym płynął do Nowego Yorku, mieścili się jak śledzie w beczce *poľsti vyetěhoralci*, oraz że w Chicago mieszka dużo Polaków, w nawiasie zaś dodaje: Żydów. Czyżby identyfikował jednych z drugimi? Nie sądzimy, musi to być chyba omyłka druku.

Tyle o Ameryce w dziele p. Kořensky'ego. Następujący, niezbyt długi, lecz wdzięczny obrazek Hawajskiego archipelagu, wypadł pod każdym względem bardzo udatnie. Na uwagę zasługuje zwłaszcza historia tych wysp i szczegóły dotyczące pierwotnych religijnych wie-

rzeń ich mieszkańców, u których tradycja o pierwszych dwojgu ludziach i grzechu pierworodnym dość wiernie się przechowała. Opisy hawajskich wulkanów i tamtejszego roślinnego królestwa również pouczające i ciekawe. Jeżeli zaś nawet nie na wszystkie poglądy autora zgodzićbyśmy się mogli, niepodobna mu wszakże odmówić niezaprzeczonego talentu w żywym, barwnym i wielce zajmującym kreśleniu obrazów. Widać z nich, że się dostały na papier pod wpływem świeżego wrażenia, może nawet pomiędzy opuszczonym przed chwilą parowcem i czekającym już pociągami, świeżość zaś ta wiele dodaje im uroku. Godną także uznania jest wielka sumienność w opracowaniu przedmiotu, wszelkie bowiem naukowe lub statystyczne dane opiera autor na poważnych, angielskich przeważnie źródłach, które w znacznej przytacza ilości.

Bogaty i urozmaicony dział ilustracyjny *Cesty kolem světa*, nie pod względem artystycznym nie pozostawia do życzenia; chromotypie zaś zwłaszcza, dodawane po jednej do każdego zeszytu, są po większej części tak piękne, że najwytworniejsze nawet *Prachtwerki* mogłyby się nimi poszczycić.

Sopodźko.

Z literatury historycznej rosyjskiej.

I.

Kapitulacya Warszawy w r. 1794. — Stanowisko cara Mikołaja I. wobec kwestyi polskiej przed rokiem 1830. — Z życia rosyjskiego w Warszawie pomiędzy rokiem 1831—1864. — Wspomnienia Pieskowskiego pod tytułem: „Na pograniczu dwóch epok“. — „Język i narodowość“ przez Potebnię. — W. Diedłowa: „Wokoło Rosyi: Polska, Besarabia, Krym, Ural, Finlandya, Niżnij-Nowogród“.

Nie masz stosunkowo nie trudniejszego, jak w kraju naszym piływać sprawozdania o ruchu naukowo-literackim rosyjskim. Kto zna trudność dostania u nas książki rosyjskiej, ten się wcale nie zdziwi, jeżeli w naszych artykułach sprawozdawczych za rok miniony znajdzie się wzmianka o pracach ściśle historycznych, lub mających pewien związek z historią, mniej ważnych, a dostrzeże pominięcie wydawnictw źródłowych czy opracowań daleko ważniejszych. Sądję, że i niniejsze niedokładne sprawozdanie może się przecież na coś przydać naszym pracownikom na niwie dziejowej, a przynajmniej tym, co się interesują literaturą historyczną rosyjską.

W miesięczniku *Istoriczeskij Wiestnik* znajdujemy opowieść o ka-

pitulacyi Warszawy w r. 1794, opartą na opowiadaniu Zbyszewskiego w języku polskim. Opowieść ta — jak zapewnia redakcja — pojawia się po raz pierwszy w druku, w tłumaczeniu z rękopisu polskiego. Z tego opowiadania wyjmuję charakterystyczny ustęp, odnoszący się do kapitulacyi Warszawy. Po zdobyciu i rzezi Pragi, kiedy dla Warszawy niemożliwość dalszego oporu stała się aż nadto widoczną, magistrat wysłał do Suworowa trzech deputatów: Makarewicza, Borowskiego i Strzałkiewicza. Deputatom pozwolono przenocować na Pradze, a drugiego dnia rano wezwano ich do Suworowa. Feldmarszałek rosyjski, przeprosiwszy deputatów miejskich, iż z powodu choroby nóg wstać z łóżka nie może, prosił ich siadać, a następnie spytał: w jakim celu przybyli? W odpowiedzi przedłożyli mu listy wierzytelne od króla i Najwyższej Rady Narodowej. Po odczytaniu tych listów, Suworow okazał się niezwykle zadowolonym i zawołał: „Wiwat! wivat! Pokój wieczysty z walecznym narodem polskim. Myśmy nie na to zrodzeni, aby walczyć ze sobą. Pochodzenie nasze jest wspólne. Już nie będę broczył naszej broni we krwi narodu, który zasługuje istotnie na cześć i poszanowanie!”

Rzekłszy te słowa, Suworow odpaśał szablę i rzucił ją w kąt pokoju. Następnie kazał dać wódki. Uderzywszy kieliszkiem o kieliszki deputatów, wypił; wypili i deputaci warszawscy. Następnie przelamawszy kromkę chleba na kilka części, ofiarował każdemu z nich po kawałku mówiąc: „Dzielmy się ze sobą ostatnim kawałkiem chleba, a walce dajmy pokój!”

Następnie, uściśnawszy każdego z deputatów, spytał: jakie są warunki Warszawy? Deputaci odrzekli, iż wymieniono je w listach od króla i magistratu, a dotyczą one głównie bezpieczeństwa ludności warszawskiej i jej mienia.

„Kiedy wasze warunki są takie — rzekł Suworow — posłuchajcie teraz moich“.

Wówczas podano mu kartkę, zapisaną po rosyjsku.

1. Broń miejska będzie złożona natychmiast poza miastem, w miejscu oznaczonem po zobopólnem porozumieniu.

2. Ręczę imieniem imperatorowej, że wszyscy wojskowi, bez wyjątku, mogą pozostać w kraju i zachować swe dobra, albo udać się, gdzie zechcą, poszukując dalszego szczęścia.

3. Od tej chwili ręczy solemnie imperatorowa, iż puszcza w niepamięć wszelkie krzywdy jej wyrządzone i zabezpiecza nietykalność

życia i mienia nietylko wszystkich mieszkańców Warszawy, lecz i wszystkich tych osób, które się w niej przypadkowo będą znachodzić.

4. Most należy odbudować w ciągu 24 godzin. Wojska jej cesarskiej mości wejdą do miasta jutro, to jest we środę.

5. Cześć i należne uszanowanie królowi, jako głowie koronowanej, mają być zachowane.

Podpisawszy powyższe punkta kapitulacyi, Suworow oddał je wysłańcom miasta Warszawy. Ci poprosili go, aby kazał takowe przetłumaczyć na język polski. Suworow na to się zgodził, a zanim dokonano tłumaczenia, wypytywał o zdrowie króla i o to, czy się znajdują w Warszawie: Ignacy Potocki, Zakrzewski, Kochanowski i inni. Gdy deputaci dali odpowiedź twierdzącą, rzekł: „Uczciwi ludzie, kiedy swych współbraci nie opuścili w niebezpieczeństwie. A Kollataj odjechał?” — „Dziś rano” — odrzekli deputaci. — „Po tym człowieku zawsze czegoś podobnego oczekiwałem” — odrzekł feldmarszałek.

Kiedy przyniesiono powyższe punkta w tłumaczeniu polskiem, Suworow je podpisał i spytał deputatów, czy się na nie zgadzają. Oni odpowiedzieli, że nie mają na to pełnomocnictwa i muszą po odpowiedź udać się do magistratu.

Suworow na to się zgodził, wyrażając tylko życzenie, aby dano odpowiedź w ciągu 24 godzin.

Niektórzy generałowie moskiewscy radzili mu, aby dwóch deputatów zatrzymał jako zakładników, a trzeciego posłał po odpowiedź. Lecz Suworow, obrażony tą propozycją, rzekł głośno: „Znam charakter szlachetnego narodu polskiego i podobne ostrożności nie są mi potrzebne. Polacy umieją dotrzymywać słowa”.

Niedawno w miesięczniku *Russkij Wiestnik* wydrukował N. K. Schilder własnoręczny zapisek cara Mikołaja I., odnoszący się do kwestyi polskiej i poglądów na nią tego monarchy w roku 1830, a więc przed samym wybuchem powstania listopadowego. Zapisek ten ukazał się w druku po raz pierwszy. Z niego widać, iż car Mikołaj wówczas nie był jeszcze zdecydowany co do kierunku, jakiego trzymać się należy w kwestyi polskiej, ani też nie miał wyrobionych opinii o korzyściach tego lub owego stosunku cesarstwa do Królestwa Polskiego. Obecnie czasopismo *Russkaja Starina* ogłosiło drukiem zapiski hr. A. Benken-dorfa, osoby nadzwyczaj wpływowej na dworze Mikołaja I., w których chwiejność ta i niepewność kierunku w sprawie polskiej, zaledwie uwydatnione we własnoręcznym zapisku cara, znajdują dostateczne potwierdzenie. Zapiski hr. Benkendorfa przejrzał, jak wiadomo, sam car

Mikołaj I., a więc najzupełniej treść ich aprobował. Car Mikołaj — pisze hr. Benkendorf — jasno pojmował niedogodności takiego stanu rzeczy, to jest istnienia odrębnego, prawie niezależnego Królestwa Polskiego, lecz zarazem pojmował zbyt dobrze wszystkie trudności wyjścia z tego położenia. Jedną z pierwszych byłaby konieczność zmiany osobistego stanowiska starszego brata, rozmiłowanego w powierzonych jego pieczy wojskach, a sprzyjającego pragnieniu Polaków przyłączenia do Królestwa Polskiego innych gubernij, mających jednoplemienną z nimi ludność, a już od tak dawna pozostających pod panowaniem Rosyi. Druga trudność polegała na obaleniu dzieła, dokonanego przez cara Aleksandra I. Następca jego czynem tym zrzekłby się dziedzicznego miana oswobodziciela i dobroczyńcy Polski, oburzyłby na siebie miliony Polaków, nastraszyłby jeszcze bardziej Europę, już i tak przestraszoną jego potęgą, a nareszcie srodzeby dotknął carewicza, który, posiadając tę władzę z woli zmarłego monarchy, poczytałby za krzyżącą względem siebie niesprawiedliwość odjęcie takowej przez brata, na rzecz którego zrzekł się swych praw do tronu. Car przez czas długi z dojrzałą rozważą kombinował i roztrząsał wszystkie trudności swego położenia (jeszcze przed wybuchem powstania!) w stosunku do carewicza, do licznych swych polskich poddanych, do swych obowiązków monarchy rosyjskiego i nareszcie do tego obowiązku pietyzmu, jaki nań wkładała pamięć dla swego poprzednika. Nareszcie postanowił zbadać osobiście na miejscu stan rzeczy i, korzystając z jednego artykułu karty konstytucyjnej, pojechać do Warszawy, w celu odbycia tamże koronacyi na króla polskiego.

W dalszym ciągu swych zapisków notuje hr. Benkendorf dobre stosunki, jakie panowały pomiędzy carem Mikołajem a w. ks. Konstantym za pierwszego pobytu monarchy rosyjskiego w Warszawie. Zarazem zaznacza ponownie trudności stworzonego przez cara Aleksandra I. położenia; pośrednia droga była — powiada dalej autor zapisków — niemożliwą: trzeba było albo poróżnić się z bratem, którego sam był uznał w chwili śmierci Aleksandra I. monarchą, a który odstąpił mu tron dobrowolnie; albo, oddając pierwszeństwo stosunkom braterskim przed dobrem ojczyzny, upaść w mniemaniu swych własnych poddanych. Carowi Mikołajowi tylko do czasu udawało się wymijać trudności położenia, uchylając niektóre żądania swego brata, a poświęcając całą swą uwagę finansom i administracyi Królestwa Polskiego. Tak np. car postanowił, aby w przyszłości do korpusu litewskiego przyjmowano rekrutów i z gubernij wewnętrznych, a carewicz starał

się wszelkimi sposobami wyjednać cofnięcie tego postanowienia, a przywrócenie tego stanu rzeczy, jaki istniał za Aleksandra I., to jest aby korpus litewski kompletowano wyłącznie z rekrutów gubernij, zabranych dawnej Polsce. Zarówno carewicz Konstanty osobiście, jak i osoby z jego otoczenia używały wszelkich środków, aby dopiąć swego celu, ale car trwał przy swem postanowieniu i carewicz musiał dać za wygraną, ukrywając swe niezadowolenie. Na stwierdzenie zaś, iż oba kraje zostają pod jednym rządem, car kazał przywieść na koronację do Warszawy koronę cesarską z Petersburga.

Koronacja — jak zapewnia hr. Benkendorf — odbyła się wspaniale, wśród objawów entuzjazmu ze strony Polaków, patrzących jakoby „nie bez uczucia pewnego zadowolenia, iż potomek Piotra W. włożył na swą głowę koronę królów polskich“.

Wróciwszy do wewnętrznych komnat pałacu — pisze dalej hr. Benkendorf — car posłał po mnie. Na widok mego duchowego przynębienia, car nie ukrywał i swego. Przysięgę złożył jednak z czystymi zamiarami i mocnem postanowieniem święcie dochować takowej. „Serce jego rycerskie było obcem wszelkiej myśli ukrytej“ zapewnia autor „Zapisków“.

Powstanie roku 1830—1831 — kończy uwagę — nadało inny bieg sprawom polskim i zmieniło dalsze losy tego kraju...

Jakim był bieg spraw polskich po roku 1831, rzecz to powszechnie znana; mniej natomiast znanym jest stopniowy wzrost życia towarzyskiego i umysłowego rosyjskiego w Warszawie po powstaniu listopadowem, na co zwraca szczególniejszą uwagę p. A. Sidorow, w paru fejetonach urzędowego *Warszaw. Dniwnika*. W pierwszym z nich z r. 1895 (nr. 253) dał krótki rys życia Rosyan w Warszawie od roku 1815—1830, pod tytułem: „Z przeszłości życia rosyjskiego w Warszawie“. Zbyt zajmujących szczegółów tam nie znaleźliśmy; Rosyanie zachowywali się wówczas w stolicy naszej skromnie i potulnie (z wyjątkiem oczywiście wybryków w. ks. Konstantego), a w domach polskich nie odmawiano im gościnności. Inną natomiast postać przybierają stosunki polsko-rosyjskie pomiędzy rokiem 1831—1864, o ile sądzić można z dalszego ciągu opowiadania pana Sidorowa (fejetony z r. 1896). Rosyanie występują już w roli panów i zdobywców kraju, naśladując w tem przykład księcia Paskiewicza, ówczesnego namiestnika kraju, a uczciwe i szczerze polskie domy przed nimi się zamykają. Ustają związki małżeńskie pomiędzy Rosyanami a Polkami; wprawdzie młodzi oficerowie i niższych rang urzędnicy — jak się wyraża autor

„Ostatniego rokoszu polskiego“, drukowanego w czasopiśmie *Russkaja Starina* — „opróżniając kawiarnie, cukiernie i restauracje warszawskie, biorąc stamtąd swe żony“, ale uczciwa Polka za Rosyanina już nie wyjdzie. Autor rosyjski opowiada z tego powodu zabawną anegdotę. Niejakiś Roman Sergiejewicz Cz., wyższy urzędnik rosyjski w Warszawie, a wielki faworyt księcia Paskiewicza, pojął za żonę służącą z głośniejszej w owych czasach restauracji Oma. Wkrótce potem przybył do Warszawy car Mikołaj I. wraz ze swą małżonką. Księżę Paskiewicz nie omieszkiał donieść parze carskiej o tym mezaliansie swego faworyta. Podczas urzędowego przedstawienia carowa zwróciła się do Romana Sergiejewicza Cz. z następującymi słowami w języku francuskim, którego *nota bene* wyższy urzędnik wcale nie znał: *J'ai entendu de votre roman*, na co zagadnięty odpowiedział po rosyjsku z głębokim ukłonem: „Tak jest, wasza cesarska mość, *Roman* Sergiejewicz!“

W roku 1834 pojawił się w Warszawie pierwszy duchowny przedstawiciel Kościoła urzędowego, władca Antoniusz, a w r. 1837 nastąpiło poświęcenie soboru Świętej Trójcy. W roku 1832 dyrektorem komisji spraw wewnętrznych, wyznań i oświaty został E. A. Gołowin, który zaprowadził naukę języka rosyjskiego w szkołach Królestwa Polskiego i sprowadził do nich pierwszych nauczycieli Rosyan. W roku 1838 zorganizowano okręg naukowy warszawski, którego pierwszy kurator, generał Okuniew, zaprowadził wykład geografii i historii w języku rosyjskim w szkołach średnich, co znowu spowodowało wyjście w Warszawie pierwszych podręczników w tym języku. P. Dubrowskij, nauczyciel języka rosyjskiego w Warszawie, zaczął wydawać w roku 1842 czasopismo *Dennicę* w językach: polskim i rosyjskim, które istniało przez dwa lata. Jego zaś współpracownik, N. J. Pawliszczew, autor kilku prac z dziejów Polski, drukowanych po rosyjsku w Warszawie, był w roku 1864 założycielem rosyjskiego *Warszawskiego Dniwnika*, istniejącego do dziś dnia pod różnemi redakcyami.

Pierwszym artystą rosyjskim, który przebywał dłuższy czas w Warszawie, był znany kompozytor M. J. Glinka. Glinka często obcował z naszym kompozytorem Kurpińskim i ułożył muzykę do znanego wiersza Mickiewicza „Rozmowa“. Zresztą M. Glinka mieszkał w Warszawie jako człowiek prywatny, a z koncertami publicznymi nie występował. Pierwszy raz na deskach teatralnych w Warszawie wystąpiła sztuka rosyjska w r. 1856, w osobie baleryny Bogdanowej. W roku zaś 1862 miało miejsce pierwsze amatorskie przedstawienie rosyjskie, w którym występowali adjutanci i bratanice namiestnika Lüdersa.

W roku 1859 Rosyanie, mieszkający w Warszawie, postanowili założyć „klub rosyjski“. Rzeczą poszła do decyzji namiestnika, M. D. Gorczakowa. Tenże zezwolił wprowadzić na otwarcie klubu, lecz nie chcąc „drażnić Polaków“, polecił nazwać się „Warszawskiem zgromadzeniem towarzyskiem“.

Takimi były początki życia rosyjskiego w Warszawie pod względem towarzyskim, społecznym i intelektualnym. Do roku 1864 objawy tego życia były nieznaczne. Od roku zaś 1864 zaczął się, niestety, już trzeci, najsmutniejszy dla nas jego okres... Jakaż to ogromna różnica pomiędzy czasy obecnymi a tem, co było choćby przed trzydziestu jeszcze laty!

Jeszcze większy przełom zaszedł w dziejach ziem zabranych po katastrofie roku 1863. Charakteru polskiego Królestwu Polskiemu nie przeczy nawet najskrajniejszy szowinista rosyjski; w najdalej nawet idącym zapędzie rasyfikatorskim ultra-narodowe organa rosyjskie nie odmawiają Polakom przywiślańskim prawa używania języka polskiego w życiu prywatnem, przy ognisku domowem. Gorzej rzecz się ma atoli z ludnością polską w prowincjach zabranych, której eksterminację głosi się z całym cynizmem, bez najmniejszych skrupułów. A jednak i tam przed kilku dziesiątkami lat było całkiem inaczej! Właśnie obraz tych odmiennych stosunków kreśli p. Pieskowski w swych wspomnieniach, zatytułowanych: „Na pograniczu dwóch epok“, a drukowanych w czasopiśmie *Russkaja Starina*, którego roczniki zawierają bardzo obfity materiał do dziejów ostatniego powstania i czasów je poprzedzających. P. Pieskowski najwięcej się wprowadzić zajmuje położeniem duchowieństwa prawosławnego na Wołyniu, Podolu i Ukrainie przed rokiem 1863, ale podaje także wiele zajmujących szczegółów z życia i stosunków polsko-rosyjskich. Według jego, przesadnego oczywiście twierdzenia, polonizm w „kraju południowo-zachodnim“ był wówczas „w całej sile“, przed którym ugięły się i władze miejscowe i kler prawosławny; p. Pieskowski wyraża się, iż „oficyalnym językiem“ wszystkich instytucyj rządowych był wówczas język polski, czem oczywiście składa dowód, iż albo nie pojmuje znaczenia słowa „oficyalny“, albo pisze o stosunkach i wypadkach, których dobrze nie zna, a tylko coś o nich zasłyszał z opowiadań cioci lub babci. Jeżeli urzędnik z gubernij wewnętrznych — czytamy dalej — dostał się na służbę do „kraju południowo-zachodniego“, to musiał uczyć się czemprędzej po polsku „pod grozą strasznego prześladowania ze strony wszechwładnych Polaków“. Tego, kto się odważył walczyć z „intrygą

polską“, dotykała zwykle ciężka kara, wobec której nie było sprawiedliwości ani w sądach, ani w administracji, „albo przekupionych, albo steroryzowanych przez Polaków, a w każdym razie chcących uchodzić za gorliwszych Polaków (*polakujuszczych*), jak sami Polacy“. Z własnych wspomnień rodzinnych przytacza autor fakt następujący, o którego prawdziwości przekonać się nie jesteśmy dziś w stanie. Ojca jego, popa prawosławnego, przysłała wyższa władza duchowna do „kraju południowo-zachodniego“ w charakterze misyonarza, dla walki z unią kościelną. Szlachcic polski, oburzony widocznie jego zbyt dużą gorliwością misyonarską, kazał chłopom zburzyć dom parocha, co też chłopci najskrupulatniej wykonali. Pokrzywdzony w ten sposób, szukał w sądach sprawiedliwości, ale jej znaleźć nie mógł. Ojciec autora wspomnień musiał widocznie dobrze przekroczyć miarę żarliwości, dozwolonej w stopniu wysokim krzewicielom prawosławia wśród unitów, jeżeli nawet sądy rosyjskie za rządów Mikołaja I. oświadczyły się przeciwko niemu!

Nader piekając w Rosyi kwestyi dotknął niedawno zmarły uczony, Potebnia, profesor uniwersytetu charkowskiego. W końcu roku przeszłego umieścił *Wiestnik Jewropy* ostatnią jego pracę pod tytułem: „Język i narodowość“, pracę, niestety, nieskończoną i nieopracowaną należycie przez samego autora, z powodu choroby i przedwczesnego zgonu.

Znającym choć najpobieżniej stosunki rosyjskie dobrze wiadomo, przez jakie koleje przechodziła myśl rosyjska w ostatnim półstuleciu naszego wieku. Od ślepego naśladownictwa obcych wzorów i bałwochwalczej prawie czci dla wszystkiego, co przychodziło z zachodu, rzucano się w drugą ostateczność — w nadmierną admirację przeszłości staro-rosyjskiej, czasów przed-Piotrowych, nietkniętych jeszcze wpływami cywilizacji zachodniej. Wyrazem tej reakcyi, rzekomo rdzennie rosyjskiej, stał się obóz słowianofilski, obejmujący wspólną sympatyą nie tylko przeszłość staro-rosyjską, ale i staro-słowiańską. Na tem stanowisku utrzymywała się tylko stara szkoła słowianofilów. Młodsze ich pokolenie zaczęło z wolna przedzierać się w panslawistów, a panslawizm stał się ostatecznie synonimem panrusycyzmu. Panrusycyzm zaś doszedł do skrajnego szowinizmu, uwielbiał czasy Iwana Groźnego (Lubimow), idealizował postać tego najkrwawszego tyrana w dziejach Rosyi, domagał się zamknięcia i odosobnienia Rosyi przed wpływem „zgnilego zachodu“, a wytworzenia własnej, odrębnej cywilizacji. Ten ostatni prąd (samobytników) wpłynął znacznie na kierunek polityki wewnętrznej rosyjskiej, pociągnął za sobą srogi ucisk wiary i narodo-

wości ludów nieprawosławnych i nierosyjskich, a doszedł swego apogeum za ostatnich lat panowania Aleksandra III.

Ta jednostronność i ekskluzywność wywołać musiała naturalnym biegiem rzeczy odpór żywiołów umiarkowańszych i rozsądniejszych w społeczeństwie rosyjskiem. Zwrot w kierunku przeciwnym coraz widoczniejszy, a z tych oscylacyj pomiędzy dwoma skrajnymi kierunkami myśli rosyjskiej wyrobić się w końcu musi kierunek pośredni, jedynie zdrowy, który pierwiej lub później oddziaływać zacznie i na stosunek społeczeństwa i rządu rosyjskiego do innowierców i innoplemieńców. Jednym z wybitniejszych przedstawicieli tej reakcyi przeciwko aberracyom kierunku ultra-narodowego był właśnie uczony Potebnia, a której najwymowniejszym wyrazem jest praca jego wyżej wymieniona.

P. Potebnia, który zdobył sobie rozgłos szeregiem studyów filozoficzno-historycznych w dziedzinie filologii, wniósł światło myśli badawczej i prawd ściśle naukowych do tego chaosu marzeń i rojeń ultra-narodowych, a podzielał na nie otrzeźwiająco. W swej pracy: „Język i narodowość“ udowodnił w sposób gruntowny, iż naród postępuje, rozwija się, wytwarza samoistną kulturę nie w skutek chińskiego odosobnienia, zasklepienia się przed obcemi wpływami, wierzgania na ogólno-ludzką cywilizację, lecz przez najszersze, najwszechstronnejsze stosunki z obcemi narodami, przez przyswojenie sobie tego, co one dobrego posiadają w dziedzinie języka, sztuki, literatury i wiedzy.

Samoistność i oryginalność w życiu danego narodu uważa Potebnia tylko za wyższy szczebel rozwoju cywilizacyjnego: natomiast nie-samoistność i naśladownictwo są mniej więcej niższemi szczeblami rozwoju samoistności, czyli raczej pewnej oryginalności w myślach i czynach. Wzajemny wpływ narodów jest raczej wzajemnym bodźcem, a „wpływ kultury jednego narodu na drugi, choćby nawet był najsilniejszym, może się wydawać wynarodowieniem tylko w dziedzinie abstrakeyi“. Autor rosyjski twierdzi: im wyższym jest stopień oświaty jakiegoś narodu, tem mniejszą może być obawa jego wynarodowienia. Tylko narody pierwotne, pozbawione swej indywidualności, mało się od siebie różniły w obyczajach i objawach duchowego życia, a więc łatwiej się wynarodawiały.

W pracach zwolenników samoistności cywilizacyjnej rosyjskiej (samobytników) podnoszono z wielkim naciskiem, iż szczerze rosyjskim jest tylko lud wiejski, trzymający się ojczystych zwyczajów i obyczajów, pielęgnujący z pietyzmem dawną tradycję narodową, a inteligencya jakoby wynarodowiła się i skosmopoliciła duchowo. Po-

tebnia jest innego zdania. Człowiek inteligentny ma w tym względzie niezaprzeczoną wyższość nad prostaczkiem, albowiem na tego ostatniego działa tylko pewna część tradycyji narodowych, jakieś ustne tradycye lokalne, podczas gdy pierwszy żyje całą ich pełnią, całą spuścizną wielowiekową, o ile ona znalazła wyraz w jego piśmiennictwie. Człowiek niewykształcony, znalazłszy się wśród obcego otoczenia, częstokroć nie nauczy się dobrze obcego języka, ale własny zapomni. Na dowód przytacza przykład żołnierzy-Polaków w wojsku rosyjskiem, z nadzwyczajną szybkością zapominających swój własny język.

Nareszcie prof. Potebnia nie wierzy, aby kiedyś możliwa była fuzya języków; aby mógł powstać jeden język uniwersalny, o jakim marzą fantaści. Uważając język każdego narodu za odrębną formę jego odrębnego myślenia, mniema, iż ubytek każdego języka byłby wielką szkodą dla cywilizacyi, a wytworzenie uniwersalnego języka pociągnęłoby niechybnie za sobą obniżenie poziomu myśli. Dobrzeby było, aby żarliwsi zwolennicy rusyfikacyi odczytali uważnie artykuł ś. p. Potebni.

Rzadko się zdarza, aby Rosyanin odbywał podróże po ziemiach kresowych dzisiejszej Rosyi, bądź to w charakterze turysty, bądź w charakterze uczzonego badacza. W czasopismach rosyjskich spotykamy się częstokroć z korespondencyami lub szkicami z podróży po krajach nierosyjskich państwa rosyjskiego, lecz zwykle pochodzą one z pod pióra przygodnych korespondentów, najczęściej ze sfery urzędniczej, patrzących zwykle na kraj z większą lub mniejszą dozą niechęci, z wysokości swej misyi cywilizatorsko-narodowej. Pan W. Diedłow natomiast odbywał podróże wokoło Rosyi: po Polsce, Besarabii, Krymie, Uralu, Finlandyi i Niżnim-Nowogrodzie w celu obznajomienia się i obznajomienia czytelników rosyjskich z mało znanymi miejscowościami ich ojczyzny, a zwłaszcza krajami kresowymi. Wynikiem odbytych podróży był dość obszerny ich opis, w książce wydanej w roku minionym w Petersburgu.

P. Diedłow z góry zapowiada, iż będzie na ziemie kresowe spoglądał „ze stanowiska rosyjskiego“, co w dzisiejszej terminologii dziennikarsko-literackiej ma swe odrębne znaczenie. Dla autorów innych narodów takie zastrzeżenie jest całkiem zbyteczne, albowiem nikt nie może przypuszczać, aby turysta Francuz stał się w Niemczech Niemcem, albo Anglik we Francyi Francuzem. Spoglądać na kraje czy stosunki kresowe „ze stanowiska rosyjskiego“, znaczy dziś spoglądać na nie ze stanowiska wyłączności narodowej rosyjskiej, stosować do nich tak popularną tam formułkę: „Rosya dla Rosyan“. P. Diedłow dotrzy-

muje swej obietnicy w pełnej mierze w ziemiach polskich. Wobec innych prowincyj nierosyjskich umie być obiektywniejszym, ale nie wobec ziem polskich, które radby widzieć naciągnięte i przerobione całkowicie na kopyto rosyjskie. Tem większe zaś budzi w czytelniku zdziwienie, że stara się go przekonać o swej obiektywności.

Styl p. Diedłowa lekki, a sposób opowiadania zajmujący. Humoru i dowcipu wiele, których nawet nadużywa, mówiąc o stosunkach towarzysko-społecznych w Polsce. Ze stanowiska moralnego byłoby może nierównie piękniej, gdyby podróżnik rosyjski, znając ciężkie położenie naszego narodu, traktował wyrozumialej pewne objawy i właściwości naszego społeczeństwa, a nie puszczał swobodnie cugli swemu dobremu humorowi. Ponieważ nieprzyjaciół dostrzedz częstokroć może daleko lepiej, a trafniej ocenić słabe strony naszego charakteru narodowego, przeto opis podróży p. Diedłowa odczyta i Polak nie bez pewnej korzyści dla siebie.

Aloizy Szarłowski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Uchwały na wiecach i zjazdach katolickich. — Kościół pod zaborem rosyjskim. — Walka o pojedynek.

UCHWAŁY NA
WIECACH I ZJA-
ZDACH KATO-
LICKICH.

Kilka ostatnich tygodni przedstawiało bardzo ożywiony widok ruchu katolickiego. Od Apenin po Beskidy, od Dunaju po Ren i Wogezy, raz po raz stawały taborem różne zastępy katolików radzić o walkach pod godłem krzyżowem. Duchowieństwo polskie w Przemyśle, a francuskie w Reims, jakby ożywione jednym duchem, prawie jakby zmówione ze sobą, współcześnie uchwalało wnioski, któremi okazało, że szczerze pamięta o szczytnem posłannictwie swoim i nie tylko w sercu żywi gorące chęci i dobrą wolę, ale rozumnie obmyśla środki, aby szlachetnym zamiarom odpowiadał czyn. Na zewnątrz inaczej wyglądał zjazd francuskich księży, inaczej polskich. Francuskie duchowieństwo, przez rząd wciągnięte już dawno do walk w obronie Kościoła, przywykło już przed oczyma świata wyciągać w pole zapasów z jawnymi wrogami, więc także teraz wyruszyło z daleka i z bliska do Reims, niby oddziały wojska, zwolowane głośnemi dźwiękami trąb i prowadzone do bitwy z rozwiniętymi chorągwiami. Polskie duchowieństwo, pod rządami katolickich mężów stanu, nie dążyło do Przemyśla na

bitwę przeciw pogańskim ustawodawcom: umyśliło odbyć jakby rodzinną naradę o własnych potrzebach i obowiązkach, więc bez rozgłosu i zewnętrznej wystawy zasiadło w braterskiem gronie i w poufnej rozmowie uchwalało wnioski, o których nie wiedziałby nikt zupełnie, gdyby przebiegły dziennik żydowski, wydawany w Krakowie, nie był tych uchwał tajemniczym sposobem wydostał i światu ogłosił. Niemilo to dostać od Żydów przemycną własność duchowieństwa, ale kiedy teraz zaszedł przecie taki wypadek niepożądany, tedy już nie pozostaje więcej nie tajemnego w zdradzonych uchwałach, i przyznać im trzeba, że oddają chlubne świadectwo duchowi, który zgromadził stu kilkudziesięciu duchowieństwa polskiego w Przemyśle. Duch to potężny i dziwnie świadomy wspólnych potrzeb całego duchowieństwa, bo natchnął je nad Wogezami i nad Sanem równocześnie wnioskami takimi, że zdumiony czytelnik uchwał ledwo wierzy oczom, kiedy w niektórych szczegółach widzi te same myśli a czasem prawie te same słowa, i to nie w ogólnych tylko poglądach, w których oczywiście całe duchowieństwo katolickie wyznaje te same zasady, ale w bardzo także uchwytnych i bardzo pożądanym wskazówkach dla codziennej pracy kapłańskiej, w których przecie Polak od Francuza mógł stać dalej, niż Reims od Przemyśla. Duch widać Ten powiał, Który zapełnia okrąg ziemi.

I pod Wawelem początek września widział zgromadzone liczne duchowieństwo w naradzie o sprawach, ściśle związanych z jego posłannictwem: ale o wyniku obrad nie wyszło ze źródła wiarygodnego nie na jaw poza koło zgromadzonych.

Więc pozostają dziennikarskie opisy innych obrad, odbywanych jawnie po różnych krajach i państwach Europy. Może najlepszą otuchą przejmować serca wiernych widok energicznych katolików węgierskich, którzy sprawę wieców katolickich urządzili tak szczęśliwie, jak przedtem jej nie prowadził żaden naród w Europie. U Węgrów można powiedzieć jak kto chce: albo że wieców niema, albo że jeden wiec prawie ustawicznie trwa od lat kilku i coraz straszniejszą burzę ściąga nad głowami wolnomyślnych rządowców. Kto chce, niech mówi, że wiecu

niema, bo żadnego nie zapowiadają dzienniki, nigdzie nie widać przygotowanych sal na obrady, znikąd nie spieszą osobne pociągi, zapelnione setkami uczestników wiecu katolickiego. Ale rządowe stronnictwo węgierskie ciągle obelgami sypie na jakiś wiec katolicki; ale dzienniki wolnomyślne ciągle donoszą o jakiejś „zdradzie stanu“ zawartej w uchwałach wiecowych; ale kto przejeżdża w podróży przez Węgry albo choćby tylko w Treneczynie przebył kilka tygodni na kąpieli, widzi i opowiada, jak co kilka mil raz tu, raz tam tysiące ludu skwapliwie spieszy na „wiecyk“ okręgowy. I duchowieństwo, i szlachta, i co w okręgu mieszka urzędników albo innych ludzi oświeconych, choćby w kilkunastu albo w kilkudziesięciu stają na czele ludu, odczytują przed nim referaty o kwestyach najważniejszych, ale obrobionych jak najprzystępniej, wzywają do rozprawy, stawiają wnioski, słuchają uwag, zbierają głosy i obwieszczają uchwały, aby panowie poplecznicy Wekerlych i Banfych widzieli i rozumieli, że nie kilkudziesięciu księży czy magnatów, ale milion jeden za drugim obywateli węgierskich podnosi głos w obronie wiary i praw Kościoła przeciwko ustawom żydowskim. A kiedy ten długi ciąg wieców kolejną obszedł znaczną część królestwa św. Stefana, tedy już ludzie zawodowi znowu zjeżdżają się na naradę o sprawie katolickiej w zakresie poszczególnym. Więc do stolicy zdażyło okragły tysiąc nauczycieli ludowych, aby oświadczyć wobec świata, że i sami katolikami być chcą, i chcą na krzesłach ministrów widzieć takich mężów, którzyby popierali szkołę wyznaniową i stawiali zaporę wpływowi zasad wolnomyślnych. Nakoniec jubileuszowe uroczystości peszteńskie dały podniętę do zjazdu wszystkich kółek i związków katolickich na Węgrzech. Zagrzmiała jedna z największych sal wystawy okrzykami, któremi zgromadzeni witali książąt Kościoła węgierskiego i przedstawicieli najszlachetniejszych rodów, albo uczonych mężów czy zasłużonych w kraju na polach pracy przeróżnej: obrady trwały nie dłużej niż zwykle, parę dni; ale serca niezwykle płonęły ogniem i uczestnicy wiecu już nie obwijali w bawelnę, co zamierzają począć, aby obalić cały rząd wolnomyślny wraz z jego ustawami, wrogimi dla Kościoła.

Nie przebrzmiały oklaski w Budapeszcie, nim stanęli katolicy do narad w Dortmundzie, w Salzburgu, w Neutitschein, w Budweis, nim poza granicami Austrii i Niemiec zjechali się w Hiszpanii, zebrali już jeden wiec we Włoszech, drugi zapowiedzieli przeciw masonom, trzeci układają w Orwieto i t. d.

I po cóż Niemcy północni jechali do Dortmundu na wiec katolicki, już czterdziesty trzeci z rzędu? Czy zamierzali odbyć swój przegląd, w rodzaju socjalistycznego pochodu na pierwszym dniu maja, aby policzyć siły? Innego zamiaru dzienniki wolnomysłne nie przypisywały uczestnikom narad dortmundzkich i zamierzały nad ich uchwałami przejść do porządku dziennego. Ale nadzieje ich zawiodły: nie mogli mileżeć, bo oprócz tego, że liczba uczestników doszła niebywałych rozmiarów, także sam tok ich obrad objął tak szeroki zakres, że podobno żadna strona życia katolickiego, społecznego, nawet rodzinnego nie została pominięta i niezaopatrzona dobrze przeciw niebezpieczeństwom, któremi chcą Kościołowi grozić zwolennicy przewrotu i inni fanatycy w napaściach na Boga.

Za Niemcami północnymi w tyle nie chcieli pozostać, owszem, może nawet ich prześcignęli austriacy Niemcy na wiecu w Salzburgu. Tak śmiało kroczyły ich setki na dawną aulę uniwersytecką, gdzie mieli zasiąść do obrad, tak gorącym słowem zostali przywitani przez namiestnika, tak stanowczo podnieśli głos, aby żądać zmiany w szkolnictwie niższem i średniem i w wykładach uniwersyteckich, tak wyraźnie wypowiedzieli wojnę wszelkim zdobyczom rządów wolnomysłnych, że na całej linii liberalnego piśmiennictwa podniósł się głos alarmu. Jedni mruzczeni: co ma przedstawiciel rządu do katolików? Drudzy utyskiwali, że napróżno oczekiwali jakiejś niezgody pomiędzy różnymi stronnictwami parlamentarnymi: wszystkie zgodnie uchwalały wnioski, według wskazówek nadesłanych do wiecu w zbiorowym liście biskupów austriackich; nawet Lueger z całym stronnictwem chrześcijańsko-socyalnem stał najprzychylniej teraz przy tych stronnictwach katolickich, przeciw którym walczy w parlamencie politycznym. Kiedy skargi nie pomogły, umyślili wrogowie

użyć pięści i jednego z wybitniejszych uczestników wieców opadli wieczorem na ulicy i po prostaku obili.

A kiedy w kilka dni potem czescy katolicy odbyli wiec na Taborze, kiedy nawet najmłodsza garstka katolicka na Morawie zaczęła toczyć poważne obrady, wtedy już przebrała się miarka żalu w organach liberalnych i posypały się wykrzykniki na temat wstecznicstwa, przestrogi przed zmorą odnowionego konkordatu w Austrii, okrzyki zgrozy przed widmem belgijskich stosunków, do których prowadzi rząd Badeniego i t. d.

Nietylko w Austrii klęska grozi liberałom; niepożądaną dla nich nowinę zwiastuje zjazd nauczycieli katolickich w Bawaryi. Przewodniczący w powitalnej mowie zapewnił zgromadzonych o przychylnych chęciach obecnego ministra oświaty, a w końcu obrad nadszedł przyjaźny telegram od księcia rejenta. Chrześcijański wpływ wychowawczy na społeczeństwo, popularny wykład szkolny o nieśmiertelności duszy, zamiary związku katolickich nauczycieli stanowiły treść rozpraw. Jeszcze raz w toku obrad nadszedł do wiecu telegram od ministra oświaty, który otworzył oczy wolnym myślicielom na smutną dla nich prawdę, że rządy już szanują obudzonego ducha katolickiego i chcą z nim zgodnie pracować przeciw stronnictwom przewrotu.

Wiec antymasoński, za pochwałą Leona XIII., zapowiedziany na ostatnie dni września, zamyśla przedsięwziąć środki obronne przeciw znanym, choć ukrytym wrogom Kościoła Chrystusowego. Masoni nie opuszczają rąk w pracy: na Węgrzech zamierzają znowu wciągnąć Wekerlego w swoje szeregi i ofiarują mu stanowisko naczelnika wszystkich łóż węgierskich, opróżnione przez śmierć wielkiego mistrza Irenki; także w Austrii masoni pootwierali nowe loże, do których pozaciągali w Wiedniu najskrajniejsze żywioły i tuszą sobie, że zdobędą dla tych łóż prawa związków, uznanych przez państwo. Wobec tych kroków masoneryi, coraz śmielszych, wypada życzyć powodzenia zamiarom wiecu antymasońskiego, którego komitet obrał swoim prezesem d-ra Porzera, adwokata i członka miejskiej rady wiedeńskiej, zasłużonego ze swojej działalności w katolickiem stowarzyszeniu szkolnem.

KOŚCIÓŁ
POD ZABOREM
ROSYJSKIM.

Kościół pod zaborem rosyjskim przechodzi dobie, która od pewnego czasu służy za tło do różnych domysłów dziennikarskich. Słusznie gani *Vaterland* te umysły porywcze, które budują zamki na lodzie. Każdy chciałby coś szczególnego powiedzieć o stosunku Watykanu do Petersburga, każdy nadmienia tajemniczo, że nie mówi wszystkiego co wie, a im mniej może twierdzić na pewno, tem więcej zgaduje i puszcza w świat szumne zapowiedzi wypadków, o których ani myśli kardynał Rampolla. Do liczby tych plotek należy pogłoska, którą monachijska *Allgemeine Zeitung* otrzymała od wiedeńskiego korespondenta swojego, że ważne zmiany mają nastąć w tych czasach dla Kościoła pod zaborem rosyjskim, albowiem od kilku tygodni przebywa w Petersburgu wysłannik papieski, Mgr. Tarnassi. A jakie zmiany nastąć mają, o tem umiała *Allgm. Ztg.* ułożyć bardzo szumne okresy, którym treści brakło wszelkiej. Mimo to taka pusta zapowiedź ważnych zmian zaniepokoiła paryską redakcyę *Nord'a*: więc w kilka dni po korespondencyi monachijskiej *Nord* z wielkim hałasem zaprzeczył wieści o ważnych zmianach, ale swojemu zaprzeczeniu nie umiał nadać zręcznego obrotu, bo przyznał, że Mgr. Tarnassi ma układać ważne sprawy, ale zaprzeczył, żeby co ważnego miał o tych sprawach uradzić. Na to dalej robi *Vaterland* uwagę, że stąd możnaby najściślejszą logiką wyprowadzić ten wniosek: odbywają się układy o drobiazgi małej wagi, i w tym zamiarze nad Nową pozostaje od kilku tygodni osobny pełnomocnik papieski, chociaż przecie każdy mógłby przypuszczać, że o te drobiazgi małej wagi mógłby w Rzymie ułożyć się kardynał Rampolla z ministrem Izwolskim.

Następnie *Vaterland* konstatuje, co dotychczas pozytywnego można wiedzieć o obecnych stosunkach Stolicy Apostolskiej z cesarskim rządem w Petersburgu: po pierwsze istnieją normalne stosunki między Rzymem a Petersburgiem, po wtóre te stosunki za rządów Leona XIII. stają się coraz lepszymi. Dalej *Vaterland* dowodzi, że obecne układy dążą do tego, aby na podstawie umów poprzednich doprowadzić do całkowitego porozumienia między Watykanem a Petersburgiem: może poprzednie umowy

zostaną bez żadnych zmian jeszcze raz zatwierdzone wraz z nowymi, albo zmienione poprzednie z nowymi stanowić mają jedną całość, albo poprzednie zostaną zastąpione przez obecne. Dlatego może być pożytecznem przypomnieć, do czego ostatecznie doprowadziły dawne rokowania. Znajdują się w czterech punktach ugody, podpisanej na dniu 24-ym stycznia r. 1882 przez kardynała sekretarza stanu Jacobiniego i rosyjskiego pełnomocnika Michała Buteniewa. Czytać je można w tegorocznym zeszycie na luty czasopisma *Analecta Ecclesiastica*, znakomicie wydawanego w Rzymie pod redakcją papieskiego prałata Feliksa Cadène. Czasopismo to, ukazem z 1-go stycznia r. b. zostało załączonem do pism, którym cenzura rządowa pozwala na odbyty we wszystkich księgarniach pod berłem rosyjskiem. Przytem jeszcze trzeba nadmienić, że taki ukaz sam już stanowi objaw bardzo pożądaný w stosunkach rządu cesarskiego z Rzymem, tem bardziej, że to czasopismo zawiera prawdziwą skarbnicę wiadomości z teologii i prawa kanonicznego, więc może zaspokoić najpilniejsze potrzeby duchowieństwa katolickiego.

Pierwszy punkt ugody dotyczy zarządu dyecezyami: mińską, kamieniecką i podlaską, zniesionemi dawniej przez samowolne rozporządzenia bez wiedzy Stolicy Apostolskiej. Ojciec św. przystał na prośbę rządu, aby tymczasem dyecezyą mińską zawiadywał arcybiskup mohylewski, kamieniecką biskup łucko-żytomierski, podlaską biskup lubelski.

Drugi punkt dotyczy seminaryum i stanowi, że podpisani zostali przez swoje dwory upoważnieni do wyjaśnienia sprawy rzymsko-katolickich seminaryów w krajach podległych berłu rosyjskiemu: na podstawie tego pełnomocnictwa mają zaszczyt, stosownie do omówionych między sobą zasad, niniejszem pismem ogłosić, że dyecezyalne seminarya mają pozostawać pod zarządem biskupów. W szczególności zachowane być mają punkta następne: 1. Ordynaryat wybiera i mianuje przełożonych, ale rektora, inspektora i profesorów rząd ma zatwierdzić. 2. Ordynaryat może ze słusznych powodów rektora, inspektora, profesorów i innych przełożonych z posad usunąć, i innych na ich miejsce mianować, a jeżeli nie zaraz zamianuje następców, o tem

ma donieść rządowi. 3. Od biskupa zależy porządek seminarium, co do organizacyi, zarządu i gospodarstwa, co do praw i obowiązków przełożonych, co do programu nauki i rozkładu godzin; co do wykładów rosyjskiej gramatyki, literatury i historyi biskup ma zawczasu porozumieć się z rządem i tych nauczycieli mianować, których rząd zatwierdzi. Zresztą biskup zostaje wolnym w nadzorze nad wykładami, w wyznaczaniu przedmiotów naukowych i strzeżeniu karności domowej. Do tego punktu dodał p. Buteniew zdradliwą uwagę, że „cesarski rząd ma obowiązek strzedz praw państwowych, z których nie może się zrzec“.

Trzeci punkt stanowi, że arcybiskup metropolita mohylewski pozostaje sam rządcą i najwyższym kierownikiem akademii duchownej w Petersburgu i posiada nad niem tę władzę, jaka przysługuje biskupom nad dyecezyalnemi seminarjami. Ma prawo zażądać pomocy dyecezyalnych biskupów przy układzie porządku dla akademii.

Czwarty punkt wyraża, że rząd rosyjski czuje się gotowym usunąć szczególne rozporządzenia, które obciążają katolickie duchowieństwo w Królestwie Polskiem i prowincyach zabranych.

Daj Boże, aby obecne układy trochę posunęły sprawę.

WALKA
O POJEDYNEK Walka o pojedynek nie ustaje. Mimo uchwały Izby poselskiej przeciw pojedyńkom w Niemczech, wojskowe pismo *Das militärische Wochenblatt*, otwarcie broni pojedyneków. Na to zwróciła uwagę nie sama *Germania*, pismo katolickiego *Centrum*, ale także w innym obozie wydawana *Die költnische Volkszeitung* i podniosła domysł, że tygodnik wojskowy musi poza sobą czuć silne plecy w wyższych władzach wojskowych, iż walczy przeciw uchwale Izby sejmowej niemieckiego państwa. Wtedy zabrały głos bismarkowskie *Hamb. Nachrichten*, aby podziwiać „klerykalną zarozumiałość, z jaką można żądać, aby z powodu uchwały sejmu rząd zmieniał swój pogląd na pojedynek“, i dalej zapewniają *Nachrichten*, że niemieccy władcy wprowadzie zabraniają odbywać pojedyunki, jednak zostawili je na poczetnem miejscu między bohaterskimi czynami.

Tymczasem za głosem katolików i uchwałą sejmu powstał

przeciw pojedynkom nowy szermierz, zwykle skłonniejszy służyć rządowi, niż popierać zasady katolickie. Protestancki zjazd w Hirschburgu jednogłośnie uchwalił wniosek następujący:

„Synod okręgowy potępia pojedynkę na broń śmiertelną jako występki, któremu trzeba przeciwstawić wszelkie środki możebne, którego ścierpieć nie może nauka ekrześcijańska, który obraża zdrowe pojęcia prawa w narodzie oświeconym. Aby przecie już raz skończyć i wykorzenić zwyczaj i przymus pojedynkowy, synod wzywa pastorów, aby do samego władcy kraju, jako najwyższego zwierzchnika siły zbrojnej i przedstawiciela najwyższej sprawiedliwości, wystosowali prośbę, w którejby z należytą cześcią i ufnością prosili władcę o jego słowo zbawienne w tej sprawie, i tą drogą ulżyli sumieniu chrześcijańskiego narodu i przeschodzili zgorszeniom, które płyną z przymusu pojedynkowego“.

Ks. Konstanty Cząłkowski.

Wiece i wiecyki.

Socyalistyczne zebranie we Lwowie.— Jasielski występ ks. Stojałowskiego.— Haczowski wiec stronnictwa ludowego. — Początki narodowo-katolickiej reakcyi.

Kto i gdzie dziś nie wiecuje? Otwórzmy dziennik: na pierwszej, na drugiej, na trzeciej kolumnie wiadomości o wiecach: wiec katolicki, wiec masoński, wiec antymasoński, ogólny wiec socyalistyczny, wiec lekarzów, wiec złotników. Rozglądnijmy się po murach pierwszego lepszego, większego miasta: czerwone, żółte, zielone, pstre afisze zapowiadają walne zebranie partyi socyalistycznej, miesięczne zebranie kółka naukowego, zawodowego, nadzwyczajne zebranie cieśli i stolarzy, kelnerów i kucharzy. Jedni się gniewają: To choroba, zaraza, arcyniepotrzebne rozpolitykowanie ludzi, którzyby lepiej po staremu pracowali w cichości na kawałek chleba. Drudzy pocieszają: Zawsze na takich zebraniach można się czegoś nauczyć; zawsze jakaś jasna, grzejąca iskra z dyskusyi tryśnie. A tymczasem, o sądy te nie pytając, na gniewy nie dbając, rzeka wiecowa płynie coraz szerszem, głębszem ko-

rytem i ostatecznie w wir swój porywa i tych, co jeszcze wczoraj, przedwczoraj najgłośniejsz nad nią biadali.

Co długo szukać? Ileż to w ostatnich paru letnich miesiącach odbyło się, nie gdzieś daleko, ale u nas w Galicyi, wieców i wiecyków! Wszystkie ważniejsze prądy, które w kraju nurtują, na wiecach tych jak w zwierciadle się odbiły; wszystkie donioślejsze zapytania, które nas dziś w Galicyi to cieszą, to straszą, to irytują, stanęły na nich jedno po drugim, wywołując najróżniejsze, ale zawsze ciekawe, symptomatyczne, choć nieraz bardzo niesympatyczne, odpowiedzi. Na wszystkich tych wiecach, zebraniach nie sposób być; nie sposób i nie na wieleby się przydało o wszystkich pisać. Parę obrazków z kilku bardzo różnych zebrań z ostatnich paru miesięcy, odmalowanych nie z cudzych relacyj, lecz z własnego widzenia i słyszenia, rzuci może pewne światło na niektóre zwłaszcza społeczne kwestye, będące u nas na porządku dziennym; na różne, wzajemnie ze sobą walczące, o wpływ dobijające się stronnictwa, na socyalne ich idee, programy, taktykę.

I.

Ruchliwi socyalistyczni przewodcy zwołują wiec po wiecu, zebranie po zebraniu, naradę po naradzie. Zebranie jedno, drugie, trzecie w Krakowie, zebranie w Tarnowie, Stanisławowie, Przemyśle, we lwowskim domu robotniczym. Wszystkie one do siebie podobne; tematy, anegdotki, rzucane podejrzenia, nawet gesta te same; jedna różnica, że w Krakowie np. przemawia Daszyński i Serkowski, we Lwowie Kozakiewicz i Hudec. Pójdźmy na lwowskie zebranie, tem bardziej, że wielkie czerwone plakaty, po całym mieście gęsto rozlepione, zapowiadają: „Wzywamy przeciwników naszych, aby się stawili do walki na słowo“.

Zebranie, socyalistycznym zwyczajem, zapowiedziane na niedzielę, na 10 godzinę przed południem, tj. na czas, w którym katolik zwykł iść do kościoła na nabożeństwo i kazanie. Ale o dobrych katolików przewodcom nie chodzi, oni i tak dla sprawy straceni, a nawet mogliby być niewygodni, gdyby przyszła im fantazya w większej ilości zjawić się na sali. Dziś tembardziej byliby niewygodni, bo naczelny wódz lwowskiego socjalizmu, szewc Kozakiewicz, wystąpić ma z całą siłą przeciw zapowiedzianemu na najbliższe dni wiecowi katolickiemu i przeciw „niegodziwym“ Jezuitom, którym przyszło do głowy nawoływać do zakładania katolickich stowarzyszeń robotniczych, do popierania

i rozrzucania przeznaczonych dla robotników, a szczerze katolickich pisemek i broszurek.

Zasadą wszystkich sławniejszych socjalistycznych mówców, nie wyjmując i najslawniejszego, p. Daszyńskiego, podawać słuchaczom pasztet z najróżnorodniejszych kwestyj, kwestyjek, rekriminacyj, aspiracyj, oskarżeń, wyrzeknięć. Jednemu to, drugiemu tamto do gustu przypadnie. Jeden ma żal do pana, drugi do księdza, trzeci do kupca, a czwarty do oficera; niechże każdy żalowi pofolguje, niech się pierwszy ucieszy ściśnięciem pięści na szlachcica, drugi pikantnem opowiadaniem o proboszczowskiem skapstwie, trzeci i czwarty to smętnemi, to zabawnemi anegdotkami, ośmieszającemi oficerów i kupców. Ale dziś, stosownie do programu, najcięższe ciosy spaść miały na nietolerantnych katolików, na księży, na Jezuitów.

„Co to księża, co to Jezuici? — pyta pan Kozakiewicz, przytłumionym, półgrobowym głosem. — Czy wy to wiecie towarzysze, czy wiecie, czy się domyślacie?

„Jezuici wierzą w jednego Boga, pieniądź. Jezuici w Krakowie jedzą na złotych półmiskach i złotych talerzach. Jezuici kupczą, handlują i stąd na złocie jedzą. Jezuici takini są zbrodniarzami, że papież Klemens XIV. w rok po założeniu (*sic!*) chciał ich rozpędzić...”

Ciężkie zarzuty, a co gorsza, rozglądając się po zgromadzonych, którzy wypełnili każdy kącik dość obszernej sali, nie podobna na chwilę wątpić, że zarzuty te u największej części znajdują absolutną wiarę. Bądź co bądź jednak rozprawić się z nimi trzeba. Więc poprośmy o głos i dalej w imię Boże!

Trudno długo się rozwodzić o rozsypanych po całej Galicyi handlowych składach; jak tu dowieść, że Jezuici nawet na srebrze, a cóż dopiero na złocie nie jadają?! Najlepiej, niechże sam p. Kozakiewicz zechce się kiedyś niespodziewanie, ale to zupełnie niespodziewanie, nie czekając na poprzednie zaproszenie, zjawić na obiad lub na kolację u Jezuitów bądź lwowskich, bądź krakowskich; liczyć może z pewnością na dobre przyjęcie, a w danym razie będzie mu przyjemnie na złocie coś przegryźć. Co do Klemensa XIV., to chyba wiedziećby powinni nie sami wyłącznie profesorowie uniwersytetu, że między panowaniem tego papieża a założeniem zakonu Jezuitów upłynęło paręset lat. Kto zresztą ciekawy, co sądzić o innych wywodach p. Kozakiewicza i jego towarzyszków, niech przeczyta parę świeżo wyszłych broszurek: „Czy katolik może być socjalistą?” i „Socjalista nie może być katolikiem”, niech zaprenumeruje katolicko-robotnicze pismo *Grzmot*; — znaj-

dzie tam wyjaśnienie i tych i wielu innych spraw i pytań interesujących robotników.

Zebrani, przyznać trzeba, słuchali tej odpowiedzi dość spokojnie; inna, przyzwoitsza we Lwowie atmosfera, niż w Krakowie, gdzie na znak dany przez p. Daszyńskiego podnoszą się w górę zaciśnięte pięści, odzywa się ze stu gardzieli grzmiące „Hańba!” i nie pozwala dojść do słowa mowcy, któryby miał czelność wynajdywać plamy na socjalistycznym słońcu. I tu naturalnie znane klasyczne „hańba!”, ale przynajmniej w takiej mierze szafowane, że po niedługiej chwili dalej można ciągnąć rozpoczęty frazes. Kto zna i bywał na krakowskich socjalistycznych zebraniach, przyzna, że to bardziej ucywilizowane postępowanie wyrzucić musi stosunkowo miłe wrażenie.

Kilku jeszcze mówców występowało i ciskało gromy to na lwowskich proboszczów, to na Unię, to na antysemitizm. Znane piosenki, powtarzane sto razy, ale mogące zawsze rachować na powodzenie, na oklaski. To taka „heca” posłuchać jakiegoś oszczerstwa na księdza, jakiejś skargi na łacińską, na polską, na szlachecką nietolerancję. Byłe krzyczeć, byłe bić, mniejsza na kogo i kogo.

II.

Wązki, coraz węższy graniczny pasek odgradzał od lat kilku chrześcijański socjalizm ks. Stojałowskiego od demokratycznego socjalizmu Daszyńskiego i Kozakiewicza. W ostatnich tygodniach granica prawie zupełnie się zatarła; wyklęty kapłan, nie mając gdzieindziej oparcia, zdał się uroczyście w swych piśmiennych, w telegramach wysyłanych na czysto socjalistyczne zjazdy, na łaskę i nienasikę żydowsko-kosmopolitycznego socjalizmu, przyjął wszystkie podyktowane przezeń warunki. W pierwszych dniach lipca zdawać się jeszcze mogło ludziom mniej bacznie śledzącym, metamorfozy, które przechodził niefortunny agitator: kto wie, może on sam jeszcze w siebie wmawiał, że występuje w obronie nie lassalowskich, marksowskich ideałów, lecz wzniosłych chrześcijańskich programów Manningów i Kettelerów. Głównym terenem, na którym wtedy od pewnego czasu „ksiądz redaktor” się obracał, były polskie okolice austriackiego Śląska, ale swoją drogą nie spuszczał z oka i Galicyi. Gdzie był jaki wiec, jakie większe zebranie, tam można było Stojałowskiego na pewno się spodziewać. Rzecz prosta, że kiedy poseł Data ogłosił, że będzie w Jaśle zdawał sprawozdanie poselskie, a ze sprawozdaniem tem złączony będzie formalny wiec, nikt na chwilę nie wątpił: Stojałowski się zjawi.

Istotnie zjawił się, przybrany w prałackie odznaki, choć przed przeszło dwoma latami wykreślony został z listy papieskich prałatów. Lecz ludowi imponują fioletowe obszywki, ludowi zrozumieć trudno, żeby ksiądz bezprawnie mógł je nosić; trzeba więc korzystać z pocziwości i naiwności polskiego chłopu. Mniejsza zresztą o strój: ciekawsze były dwie mowy, w których ks. Stojałowski bronić niby miał swego chrześcijańsko-socjalnego programu, a w gruncie rzeczy bronił wciąż siebie, mówił wciąż o sobie. Co dawno wiadomem było z pisemek, z odezw, z innych przemów głośnego agitatora, to tutaj w całej jasności wystąpiło na jaw: „Treścią, istotą i programem idącego za Stojałowskim stronnictwa jest sam Stojałowski, jego obrona, jego interes“. Nie było czasu na zastanowienie się, jakieby prawa były ludowi potrzebne, jak zmienić ustawę łowiecką, drogową... Nie było czasu na choćby pobieżny rozbiór, co jasielski poseł w sejmie zrobił, o co w przyszłym sejmie ma się starać. Ks. Stojałowski nie na to przybył do Jasła, ale na to, aby wygłosić własną swą apologię, długo i szeroko rozwieść się o swych zasługach dla ludu; starać się wreszcie lutrowi ślady przekonać i tak do zbytku już obalamucony lud, że jemu, że ks. Stojałowskiemu wolno być nieposłusznym i biskupom i papieżowi. Nie słuchajcie księży, nie słuchajcie biskupów, nie słuchajcie papieża; mnie słuchajcie!...

Trzeba było koniecznie odpowiedzieć zbuntowanemu księdzu, tem bardziej, że jego trujące, ale zręczne, z pewną jakby dobroduszością wypowiedziane słowa, trafiały widocznie do przekonania niejednego, przedtem już przez *Wieniec*, *Dzwony*, *Pszczółki* obalamuconego słuchacza. Czy o sprawę ludową troszczy się dziś jeden Stojałowski; czy on może jeden dąży do materyalnego, moralnego podniesienia ludu? Broń Boże! W dążeniu tem łączą się dziś wszyscy ludzie dobrej woli; wszyscy rozumieją — i sami chłopci, i panowie, i księża — że wiele pozostaje jeszcze do naprawy i zrobienia. Ale sprawa ta, jeśli ma iść naprzód, musi iść po bożemu. Komu o nią prawdziwie chodzi, ten nie będzie wydierał ze serca ludzi ani religii, ani miłości ojczyzny, nie będzie siał nienawiści między różnymi stanami. Kto tak robi, kto dla podrażnionej swej ambicji wszystkich waśni, wszystkich szkaluje, tego trzeba się stanowczo wyprzeć. Czas już dziś pożegnać się ze zdradliwymi, pełnymi pychy i ambicji wodzami, którzy sprawę ludową prowadzą na manowce. Czas odłączyć złoto od rdzy. Czas, aby wszyscy ludzie dobrej woli podali sobie ręce. Precz z tymi, co różnią; co strojąc się w nienależne sobie odznaki kościelnych godności, zwodzą naiwnych

i do walki z Kościołem podżegają! Na prawdziwym, ludowym, polskim, katolickim sztandarze błyszczeć musi: Wiara, posłuszeństwo dla Kościoła, wzajemna miłość. W tym znaku i jedynie w tym znaku zwycięstwo nasze!...

Daszyński, gdy mu słowa którego z mówców do smaku nie przypadają, daje znak ręką i nieludzkim rykiem nakazuje go zagłuszyć. Stojalowski nie ma dość karnych, wyćwiczonych bufców do użycia tego rodzaju taktyki. Więc gdy widzi, że naprawdę po prostu odpowiedzieć nie jest w stanie, puszcza się na głębokie teologiczne wody: gdy zwracają mu uwagę, że nie tu czas i miejsce do teologicznych dysput, udaje obrażonego i chwytą się dawnej metody niesfornych sejmikujących szlachciców: gdy górą być nie mogę, to sejm, to wiec zerwać!

„Nie mamy tu co robić! Wychodźmy!“ — krzyknął z gniewem ks. Stojalowski, do oporu nieprzyzwyczajony, nie chcący nikogo słuchać, ale domagający się dla siebie ślepej uległości...

Komenda rozbrzmiała, lecz tym razem niewielu usłuchało komendy. Nawet ci, co opuścili salę, wrócili za chwilę, ciekawi, co dalej będzie. A dalej potoczyły się obrady równo, spokojnie, praktycznie, bo już nie było człowieka, coby je ciągle mieszał i ciągle sam siebie, swe gniewy, zawiści, ambicję na pierwszy plan wysuwał.

III.

Na jasielskim wiecu zjawił się współredaktor *Przyjaciela Ludu* i *Kuryera Lwowskiego*, głośny agitator, niezmordowany wiecownik, pan Stapiński. Sam raz tylko i to krótko przemówił; natomiast po wiecu nie tań, że go jego przebieg bynajmniej nie zadowolił:

„Nieszczęście nasze to ciągle mieszanie agitacji ludowej z religią. Ks. Stojalowski sprowadził sprawę na bardzo niebezpieczną drogę publicznej walki z Kościołem. My tego nie chcemy; jeśli jaki ksiądz przeciw nam wystąpi, to mu potrafimy dać się we znaki, ale nigdy kwestyj religijnych nie wciągamy w nasze dyskusye, wciągać z zasady nie chcemy. Proszę przyjechać na który z naszych wieców, to się ksiądz przekona. Ja o najbliższym osobne uwiadomienie przysię...”

Obiecanego uwiadomienia, co prawda, się nie doczekałem, i dziwić ani gniewać się o to nie mogę, wiedząc ile p. Stapiński przez ten czas musiał napisać artykułów do *Kuryera*, ile korespondencyj z różnych zjazdów powysyłać, ile odbyć większych i mniejszych podróży. Ale przed kilku tygodniami ktoś mi powiedział: Lewakowski i Stapiński

w Haczowie wiec zwołują. Kiedy mię pan Stapiński na najbliższy wiec zapraszał, to może i na haczowskim, choć dalszym z rzędu, nie będę zbyt niepożądanym gościem.

Ludzi dużo, bez porównania więcej, niż zmieścić się może w stosunkowo bardzo obszernej izbie jednego ze stronników *Przyjaciela Ludu*; kto nie może się do środka docisnąć stoi przed oknami, choć deszcz dzień cały pokrapia. Najlepszy dowód, jak dziś lud żądny takich zgromadzeń i jak koniecznie trzebaby się o to starać, aby nie sami Stapińscy, Stojalowscy, Trylowscy je zwoływali i na nich przemawiali. A jak słuchają, z jakim niezmiernem zainteresowaniem! Lewakowskiego i gdzieindziej prawdopodobnie w skupieniuby wysłuchano, bo mówi o ruchu ludowym pierwszy i niedługo; ale proszę mi pokazać sejm, parlament, inny jaki zjazd, któryby nie dał jednego znaku niezadowolenia lub znudzenia w czasie trzechgodzinnej przemowy Stapińskiego! Wyłuszczał on i tłumaczył z kolei punkt po punkcie cały program stronnictwa demokratyczno-ludowego. Jaka dzisiejsza ustawa drogowa, jaka łowiecka; jakie szkoły i kto do nich może się dostać; czemu do nauczycielskich seminariów nie przyjmuje się tylu kandydatów i kandydatek, ile potrzeba; czemu na nic zwykłemu śmiertelnikowi niepożrebny grecki język wciąż po gimnazyach pokutuje, co się dzieje z regulacją rzek, którą przecież sam cesarz nam przyobiecał? Czy, jak rząd broni biednego chłopą przed lichwiarzem; jaką daje opiekę rodzinnemu przemysłowi; co się dzieje z tak ważną dla chłopą kwestyą przymusowej asekuracji? Sypią się pytania; następują długie odpowiedzi, przeplatane to anegdotą, to ironicznym, to patetycznym zwrotem; sypią się nieraz oklaski rozochoconych słuchaczów, słysząc wołania: „Tak dobrzeby było!...“

Czy i tu co odpowiedzieć, czy z tymi wywodami się sprzeczać? Polityk, redaktor politycznego pisma, kandydat na posła miałby obszerne pole do dyskusyi; wykazałby mógł i powinien, co z postawionych postulatów w danej chwili jest możliwem, co wręcz jest niemożliwem lub odłożonem być musi na dalszą metę. To powinien był polityk powiedzieć i szkoda, że nie znalazł się ktoś w Haczowie, kto by spokojnie, bezstronnie dał w tym względzie potrzebne wyjaśnienia. Ksiądz występujący i przemawiający jako ksiądz, w tego rodzaju wywody nie potrzebował się zapuszczać. I owszem — powiedział — niech lud o słuszne swe prawa się dobija; niech stara się wszelkiemi siłami polepszyć swą dolę moralną i materyalną. W tem żądaniu i w tym programie godzą się chyba wszyscy ludzie dobrej woli, prawdziwie i rozumnie

swój kraj miłujący. Z czem godzić się nie mogą i co samemuż ruchowi ludowemu najbardziej szkodzi, to jawne lub tajne podkopywanie religii, nieposłuszeństwo władzy kościelnej. I p. Lewakowski i p. Stapiński złożyli głośne zaręczenie, że są dobrymi i prawdziwymi katolikami i pozostać nimi pragną. Niechże więc postępują logicznie i usuną co prędzej zgorszenie, które obecnie się dzieje przez protegowanie i rozszerzanie zakazanego przez biskupów *Przyjaciela Ludu*, do którego redakcyi sam p. Stapiński należy. Jeżeli — jak sami zaręczają i wszyscy z tego zaręczenia się cieszymy — redaktor *Przyjaciela Ludu* dobrym jest katolikiem; jeżeli niemniej dobrym katolikiem jest prezes demokratycznego stronnictwa ludowego, niechże udadzą się do biskupa diecezji, w której się znajdujemy, niech mu przedłożą ostatnie numeru swego pisma i przyjąwszy na siebie odpowiednie zobowiązania, uproszą cofnięcie wydanego zakazu. W ten sposób najlepszy złożą dowód, że są prawdziwymi katolikami, prawdziwymi przyjaciółmi ludu.

Zdawałoby się istotnie, że prawdziwy przyjaciel ludu powinienby się oburzyć uchwycić takiej propozycji. Tymczasem p. Stapińskiemu najzupełniej się ona nie spodobała.

„Co to, to nie! Małym palcem nie ruszę, niech się dzieje co chce, niech dalej trwa zaniepokojenie sumień, niech dalej waśń się szerzy!... Naszemu stronnictwu to nic nie szkodzi!...“

Stronnictwu jako takiemu, dajmy na to, nie szkodzi; ale krajowi, ale ludowi? P. Lewakowski zrozumiał, że Polak, że człowiek, będący katolikiem, lub chcący za katolika uchodzić, nie może podpisać takiej odpowiedzi. Stanął też na wręcz przeciwnem stanowisku:

„Zrobię, co będę mógł, zwrócę się do władzy duchownej, starać się będę o usunięcie istniejącego sporu!...“

Tak zaręczył p. Lewakowski, a zrobilibyśmy mu krzywdę, wątpiąc na chwilę, że spełni publicznie złożone obowiązanie¹. I tak już,

¹ Ciekawem i prawdziwie charakterystycznym jest stanowisko, które galicyjska prasa zajęła odnośnie do bądź co bądź ważnego oświadczenia p. Lewakowskiego i wogóle co do całego haczowskiego wiecu. Dzienniki konserwatywne umieściły o nim krótsze lub dłuższe wzmianki, w których nie przesadzając sprawy, nie mogły się wstrzymać od wyrażenia lekkiej wątpliwości, czy p. Lewakowski, wyjechawszy z Haczowa, inaczej się nie namyślił i nie osądził, że wygodniej będzie drogę do Przemyśla odłożyć na czas nieograniczony. Dzienniki radykalne w niemałym znalazły się kłopotie: jedne przemilczały o wystąpieniu swego przewodźcy, drugie w ostrych wyrazach przeciw niemu się zwróciły. Tak np. *Kuryer Lwowski* i *Przyjaciel Ludu* w bardzo zresztą obszernem sprawozdaniu o wiecu haczowskim nie

odmowa, która padła z ust współredaktora *Przyjaciela Ludu*, jednego z głównych filarów stronnictwa demokratyczno-ludowego, charakterystyczne, a bardzo smutne rzuciła światło i na pismo i na stronnictwo. Trzeba co prędzej czynami dowieść, że to było osobiste zapatrywanie się p. Stapińskiego, nie mające nic wspólnego z programem całego stronnictwa, które przecież ludowem się nazywa, a wie dobrze, że lud polski jest szczerze i gorąco katolicki¹.

IV.

Socjaliści po miastach i miasteczkach agituja, zwołują jawne i poufne zebrania. Ks. Stojalowski jeździ po wiecach, agituje, broni siebie i czcić się każe, jako męczennika sprawy ludowej. Przewodzący ludowego stronnictwa: Lewakowski, Stapiński jeżdżą po wsiach, gromadzą ludzi po stodółach i chałupach i w jasnych kolorach malują im szczęśliwą przyszłość, która nastanie w Galicyi, gdy stronnictwo ludowe złamie upór szlachty i księży i program swój w życie wprowadzi. A cóż na to liberali starej szkoły, cóż na to konserwatywne, katolickie żywioły?

O liberałach niema co wspominać. Nawet w swych gazetach rzadko i ostrożnie wspominają o socjalistycznym, o ludowym ruchu; ktoby np. czytał wyłącznie tylko *Nową Reformę*, ten o całym tym ruchu, który dziś stanowi bezwątpienia najbardziej piekącą galicyjską kwestyę, nie miałby najmniejszego, ale zgoła najmniejszego wyobrażenia. A cóż dopiero mówić o czynnej kontrakcyi przeciw skrajnym żywiołom, o wie-

wspomniały ani jednym słowem o zapewnieniu, złożonem przez jego prezesa; socjalistyczny *Naprzód* nazwał Lewakowskiego „zwyczajnym, słabym frazesowiczem“, z którym ludzie z charakterem wiązać się nie powinni, aby się nie kompromitować; *Dziennik Krakowski* skonstatował, że poseł Lewakowski jest „słabym, chwiejnym charakterem“. I *Naprzód* i *Dziennik Krakowski*, udając, że nie chcą dać wiary prawdziwości oświadczenia p. Lewakowskiego, wzywają go, aby mu zaprzeczył. A organa liberalne — a np. *Nowa Reforma*? I tym razem uznały za stosowne pielegnować w dalszym ciągu politykę strusia i udawać, że o niczem nie wiedzą.

¹ Cały ten ustęp nakreśliłszy przed listem p. Lewakowskiego w *Czasie* i przed uchwałą tarnowską rady naczelnej stronnictwa ludowego, która niestety! zbyt optymistycznym naszym zapatrywaniom kłam zadała. Swoją drogą niezmiernie trudno wiedzieć, w jakim tonie zapadła ta uchwała. Zupełnie inaczej i o niej i o całym toku obrad pisze w *Czasie* p. Lewakowski, inaczej *Kurier Lwowski*, a jeszcze inaczej *Przyjaciel Ludu*. Czyżby p. Lewakowski, *Kurier Lwowski* i *Przyjaciel Ludu* do trzech różnych obozów należeli? Czy to nieporozumienie, czy komedia?

cach, zebraniach, o kupieniu robotników, chłopów w pewne związki, stowarzyszenia? Rzecz prosta, umierający rozeznąć nie mogą, co w około nich się dzieje; choćby rozeznawali, nie mają do czynu, do koniecznych zapasów, ani woli, ani sił żywotnych.

Prasa konserwatywna rozpoczęła od pewnego, niezbyt dawnego czasu, żywiej całym tym ruchem się zajmować. Czytamy już w niej o potrzebie wieców, zebrań, stowarzyszeń.

Pisma w ściślejszym tego słowa znaczeniu katolickie oddawna i z naciskiem wykazują tę potrzebę. Lwowski wiec katolicki uchwalił w tym kierunku szereg rezolucyj, a wykonawczy komitet wiecu zabrał się, o ile wiemy, zupełnie na seryo do wprowadzenia powziętych uchwał w wykonanie. Księża z diecezji przemyskiej, zebrani w liczbie blisko dwustu, bardziej jeszcze rezolucye te pogłębili, wszechstronniej je omówili. W najbliższej przyszłości mają się nad nimi zastanawiać księża powtórnie i osobno w tym celu zwołani do Krakowa przez redakcyjny komitet ludowego pisma *Prawda*. Niepodobna, aby tyle najlepszych chęci, tyle szlachetnych, nie rachujących się z żadnemi trudnościami, usiłowań, pójść miało na marne.

Niepodobna, tem bardziej, że jak w ostatnich paru miesiącach mogliśmy się przekonać, wiece zwoływane w imię szczerze katolickich zasad, w imię szczerze polskich uczuć, liczyć mogą, byle dobrej woli i pewnej dozy energii nie zabrakło, na najzupełniejsze powodzenie. Kto wszedł do sali krakowskiej rady miejskiej w czasie walnych zebrań robotniczych stowarzyszeń „Przyjaźń“, temu serce rośnie, gdy słuchał wybornych, przez krakowskich, sądeckich robotników wygłaszanych przemów; gdy widział, z jakim zainteresowaniem obecni tych przemów słuchają i jak gorąco łączą się z postawionemi wnioskami. Trzy dotąd odbyły się takie zebrania, a trudno osądzić, które z nich było ciekawsze, liczniejsze, ważniejsze. W Tarnowie — jak się o tem sam mogłem przekonać — zebrania katolickich robotników budzą również bardzo wielkie zainteresowanie, entuzjazm. Nowy Sącz — jak znów zapewniają mi naoczni, a bardzo poważni świadkowie — wyprzedził nie tylko Tarnów, ale nawet Kraków. „Przyjaźń“ sądecka święci tryumfy i wznieca w gasnącej socjalistycznej „Sile“ bezsilne gniewy; „Związek chłopski“ idzie z nią o lepsze...

Zatem pole otwarte, początek zrobiony. Prawda, że dopiero początek, ale kiedy już pierwsze te próby obudziły z jednej strony tyle zainteresowania, a taki z drugiej strony błady strach wywołały, cóż byćby mogło, cóż będzie, gdy ludzie, którym dobro wiary i kraju

prawdziwie na sercu leży, staną do walki już nie na ochotnika, ale w zorganizowanych szeregach, z jasnym, śmiałym, z potrzebami i wymaganiem dzisiejszego czasu liczącym się programem? Stojałowski tłumy ludu poruszył; Stapiński objeżdża wsie i miasteczka, nie żałuje czasu ni gardła, aby zdobyć zwolenników dla swych idei; Daszyński zwołuje wiec po wiecu, zbiera na fundusz agitacyjny, jeździ na zagraniczne i krajowe zjazdy i kongresy, wszędzie, gdzie może, przemawia, porusza, zakłada stowarzyszenia, wysyła swe pisma i pisemka. Czasby i dla narodowej, katolickiej sprawy pozyskać, czy wyrobić sobie choć jednego takiego Stojałowskiego, Stapińskiego, Daszyńskiego — czas — mówiąc krótko — przystąpić na seryo do wykonania rezolucyj katolickich naszych wieców i zacząć społeczno-katolicką akcyę na wielką skalę, jak po wsiach tak po miasteczkach.

Dziś jeszcze czas, ale czy to już nie ostatni czas?

Ks. Jan Badeni.

Kronika angielska.

Zanim te kartki znajdą się w ręku czytelnika, bawiący tu jeszcze wicekról chiński, Li Hung Czang, wróci do Pekinu i zda osobiście relacyą władcy lub władcom niebieskiego cesarstwa z długiej i doniosłej podróży swej po świecie zachodnim. Słusznie on nas zaciekawia wszystkich: jako pierwszy w dziejach ludzkości urzędowy reprezentant chińskiego rządu i narodu, zwiedzający Europę z celem poznania tych jej instytucyj i ukształceń, któreby mogły, na grunt chiński przeniesione, oddać Chinom najkorzystniejsze przysługi; jako dygnitarz z donnie-mywaną na Europę i Amerykę plenipotencyą nieograniczoną; wreszcie, jako okaz tego olbrzymiego odłamu ludzkości, który trzyma się tak uparcie swojej starożytnej kultury, tak wyłącznie opartej na studyach abstrakcyjnych, tak skrzętnie wykluczającej oświatę i naukę życia praktyczną — i dlatego tak rozpaczliwie opacznej i odrębnej od naszej cywilizacji. Są tu w Anglii ludzie, którzy myślą, że o Li Hung Czangu i o rezultatach jego podróży tego się jednego dowiemy, w październiku, że... cesarz pozwolił mu przedsięwziąć podróż jeszcze dalszą i dłuższą, z której nie będzie relacji. Mówią bowiem, że ten — nie wiadomo, czy aktualny, czy były — wicekról, mający bardzo potężnych i zawziętych w Pekinie przeciwników, a nie mający dziś już za sobą obrony i wpływów

zmarłej cesarzowej matki, wróci do Chin z nazbyt olśniewającym urokiem, z aureolą, która gotowa zaćmić samo Nieustające Słońce niebieskiego państwa. Mówią także, że wicekról nadużył i urlopu i dobrej wiary europejskich rządów; że co najmniej, postąpił sobie nierozważnie i niemądrze, przyjmując hołdy, owacye i przyjęcia niemal monarsze w tym pochodzie swoimi przez kraje europejskie. Tak mówią jedni — i dodają, że śmiesznem jest obiecywać sobie coniebądź po tej podróży, boć ani Li Hung Czang, zgrzybiały starzec, nie przestał patrzeć na rzeczy europejskie chińskiemu oczyma, ani — choćby doprawdy zostawił był wszystką swoją chińszczyznę i wszelkie jej idyosynkrazye w Mongolii, lub choćby w Moskwie — nie zdoła on sam i do końca najdłuższego życia nie zdąży zmienić poglądów 300 czy 400 milionów Chińczyków.

Drudzy jednakże (a mam na myśli Anglików przedewszystkiem) wyglądają rezultatów podróży najświetniejszych — dla siebie, no... i dla Chin. Czy wicekról dobił był w Moskwie jakiego targu politycznego, czy nie dobił; czy w Pekinie górę wezmą dyplomatyczne wpływy Rosyi czy nie wezmą, faktem zdaje się być wyraźnym, że w Berlinie i w Friedriehsruhe nie wskórano niczego na wicekrólu i on tam niczego nie potrzebował. Paryż go zajął i zabawił, ale z Paryżem rozmawiać mogą Chiny tylko przez petersburski telefon. Tu zaś w Anglii Li Hung Czang był zachwycony, nie skąpił przemówień i odpowiedzi, bardzo schlebających tutejszej miłości własnej i tutejszym widokom. Niemcy są dziś najgroźniejszym Anglii współzawodnikiem w ogólno-światowym handlu, w przemyśle fabrycznym, w rękodzielnictwie. Słusznie się obawiano, by Li Hung Czang nie zostawił między Berlinem i Hamburgiem wszystkich obstalunków tych, jakich się w zanadrzu wicekróla domyśla cała Europa. Ale nie! Różne powody i zbieg różnych okoliczności tak sprawiły, że wielki komiwojażer Niebieskiego Słońca i 300—400 milionów ludzkości pobyl w Niemczech tylko dni kilka, że mało co tam oglądał, że o mało co rozpytywał się — a tylko wyrывał się na oględziny ks. Bismarcka. Obejrzawszy go sobie... Li Hung Czang wydał się Niemcom bardzo wzruszonym. Przypuśćmy, że nim był. Obstalunki jednak przywiózł nietknięte do Anglii.

Kawaler Żółtego Kaftana i Pawiego Pióra bardzo się tu podobał. Panie narzekały, co prawda, na brzydki jego nałóg palenia olbrzymiej fajki przy stole — i to zaraz po zupie lub rybnie, lecz z drugiej strony zachwyciły się ciekawością starca — bardzo niekonwencyjonalną. Tak np. będąc przez margrabię Salisburi przedstawionym jego żonie, zapytał ją natychmiast: „ileż lady masz lat?“ Margrabina zaspokoila tę

ciekawość odważnie. W rozmowie z inną panią, młodą wdową, zasko- czył ją obcesowem pytaniem, czemu nie wchodzi w powtórny związek małżeński? Wdowa odparła z uśmiechem, że nie spotkała dotychczas konkurentów. Wiadomo, że Li Hung Czang posługuje się wszędzie tłumaczem; tenże, nazwiskiem Lo Fen, wzbudza ogromny podziw, bo nie tylko jest tłumaczem myśli wicekróla i słów, ale i niecierpliwości, a nieraz niegrzeczności nawet. Będąc w arsenale w Woolwich dygnitarz rozpytywał się przez Lo Fen'a o najdrobniejsze szczegóły broni i jej użytku, rozkazywał wyprowadzić działa rozmaite, strzelać z nich, przynosić sobie ładunki i prochy, a gdy czego nie spełniono natychmiast, spoglądał tylko na tłumacza: tenże powtórzył rozkaz ostro, głośno, dobitnie. I tak było wszędzie, przy rewii morskiej pod Portsmouth, w banku Anglii, w generalnej administracji poczt i telegrafów, w Barrow, gdzie księżę Devonshire założył lejarnie, z których wychodzą żelazne i stalowe ściany dla największych pancerników morskich. Ale ta bezustanna, niecierpliwa i w najmniejsze szczegóły wglądająca ciekawość stanowiła największą w opinii tutejszej zaletę wicekróla, boć zapowiadała obstalunki... Nie zajął Li Hung Czang do Liverpoolu, ani do Manchesteru, bo czasu mu nie starczyło, choć się tu zatrzymał aż trzy tygodnie. Ale eksporterzy i fabrykanci są w dobrym humorze: Li Hung Czang dokonał przecież jednego obstalunku: zamówił Chinom kapitana marynarki Tracey'a, na głównodowodzącego admirała. Znaczy to, że za admirałem pójdą statki wojenne, działa, broń i wszelakie ryszunki, za temi odzież praktyczna dla chińskiej marynarki... a już za nią łatwo będzie zaopatrywać 300—400 milionów Chińczyków w korthy, szyrtyngi i wzorzyste perkale, w garnki żelazne i w maszyny rolnicze!

Przecież bo ten Li Hung Czang odzywał się tu bardzo rozumnie. W Barrow up., przypatrzwszy się kilku pancernym potworom morskim, wygłosił mowę, w której powiedział, że i Chiny teraz zbroić się muszą (oklaski!), aby sobie zabezpieczyć pokój. Naród chiński jest narodem literatów i filozofów, dlatego lubi spokój, tenże zaś jest matką trzech przepięknych cór: rolnictwa, przemysłu i handlu (znów już ci oklaski). Dalej oznajmił mówca Lo Fen, że podróże wicekróla po Europie mają stać się ogniwem między cesarstwem dalekiego Wschodu i ludami Europy; że Li Hung Czang jest wielbicielem Szekspira, Darwina, Huxley'a i Spencera... których przeto dzieła widocznie znalazły tłumaczów i nakładców w Chinach. Nakoniec obiecał za powrotem do Chin powiedzieć swemu literacko-filozoficznemu narodowi, że praktyczni mędrco- wie angielscy przyszli do akurata tych samych konkluzyj, co Liocz

i Konfucyusz, choć zasady swe wyprowadzili z nauk doświadczalnych; że nie wystarcza w życiu literatura i filozofia: przyszedł czas, iż Chiny muszą zapożyczyć wiedzę praktyczną z Anglii (przeciągle grzmoty oklasków), a już i tak doskonale stosunki z Anglią doprowadzić do serdeczności — zarówno w dyplomacyi i w handlu.

Jednem słowem, ani w Moskwie, ani w Berlinie i Paryżu nie zostawił Li Hung Czang tyle, co tutaj, ślicznych słów, pochwał i obietnic. W Stanach Zjednoczonych ma zabawić tylko cztery dni, obejrzeć Kapitol waszyngtoński tylko i Niagarę, i znów być gościem Anglii — w Kanadzie. Stamtąd dopiero, przez brytyjską Kolumbię, zawróci do domu. Wątpi się, by w Ameryce północnej przyjmowano go równie nadskakująco, jak w starym świecie, bo Amerykanie o jedno tylko gotowi są nadskakiwać chińskiemu dygnitarzowi, by w jakiś sposób położył koniec tłumnemu zajazdowi Stanów przez swoich współziomków, przeciw którym wszystkie dotychczasowe ustawy prohibicyjne okazały się daremnymi. I otóż nasuwa się pytanie: Czy Europa, czy Anglia nadewszystko, oblicza się z kosztami, jakie przyjdzie opłacić kiedyś za wszystkie, dzisiejsze obstalunki arcy-ciekawego, arcy-przebiegłego, a i arcy-nieeuropejskiego Chińczyka? Chodzi dzisiaj Europie o to, by 300—400 milionów żółtej rasy ubierało się w Chemnitz i w Elberfeldzie, w Roubaix, Lille i Lugdunie, w Manchesterze i Nottinghamie; by je Europa zbroiła i jak najdoskonalej wychodziła na swoich kontraktach; by — jak wicekról wyraził się w Edynburgu — „sieci kolejowe, telegraficzne i policyjne były tak gęste i czynne w Chinach, jak są w Anglii“: ażeby na koniec górnicy, inżynierzy i spekulanci europejscy mogli eksploatować nieznane zasoby Chin tak samo, jak eksploatują zasoby Australii.

Wszystko to przedstawia „szanse“ kolosalne; nęci ogromnie! Chiny otwarte handlowi i spekulacyjnej inicjatywie europejskiej — to dla Europy koniec i rozwiązanie najkłopotliwszych problemów społecznych: napływ pracy nieustanny, szeroko otwarta droga do krain niewysłowienie bogatych, zaludnionych przez rasę najmniej zdolną do oporu... droga otwarta krajom Europy przeludnionym, ludom, gotowym i z nazbyt wielu przyczyn usposobionym do szukania przebojem pól nowych, nowych sposobności... dziejów nowych. Ani porównać współczesnego wychodźstwa do Stanów, Brazylii, Afryki i Australii — z wychodźstwem przyszłości! Wychodzą dziś przeważnie najsłabsi, wychodzić będą najtężsi. Wychodźcy dzisiejsi zostawiają w domu szersze pole odważniejszemu i silniejszemu; wychodźcy późniejsi zostawiają za sobą,

w domu, tchórzliwych i mniej przedsiębiorczych, mniej zdolnych i gnuśniejszych. Wychodzący dzisiejsi, częścią wracają, po części giną — przywaleni ciężarem nędzy lub zdolniejszych żywiołów — a w ostatniej części zlewają się i asymilują z innymi społecznościami. Wychodzący do Chin... wracać nie będą mieli po co, znajdą ziemię, uprawiane od setek wieków, znajdą ludy... fizycznie bezbronne, umysłowo tak odrębne i moralnie tak wstrętne europejskiej kulturze i cywilizacji, że obok nich tylko, lecz nie z nimi żyć będą.

I jakież być mogą następstwa? Jeżeli dziś szczytem jest marzenia więcej niż połowy Chińczyków przenieść się czemrychlej w życie między obce społeczeństwa i w obcych krajach zarabiać; jeżeli nie odstrasza ich od tego celu ani prawodawstwo owych krajów, ani doznawane w nich poniżenie, nawet prześladowanie¹ — to cóż będzie, gdy chińsko-europejskie traktaty, gdy chińsko-brytańskie ugody otworzą im na rozcięg Europę i brytańskie kolonie? Ekonomiczna (w pierwszym miejscu) groza napływu Chińczyków do Europy w tem zdaje się leżeć, że, z postępem czasu, ta nadmiernie liczna i nadmiernie szybko się mnożąca rasa zabierze dla siebie całą i wszystką zarobkowość drobną — pracę najcięższą i pracę najłżejszą, pracę wymagającą sił fizycznych wielkich i takowe szybko niszczącą, oraz pracę wymagającą zwinności palców kobiecej, prawie dziecięcej — w każdym razie pracę najniżej opłacaną. Wszakże w tej chwili, pomimo wszystkich środków odpornych, używanych przez Stany Zjednoczone i kolonialne rządy Australii i N. Zelandyi, Chińczycy zaczynają stawać się naprawdę niezbędnymi w tych krajach: w krajach Oceanii (i podobno już w południowej Afryce i na Madagaskarze) oni to dostarczają robotnika w kopalniach (*coolies*), do karczowania lasów i uprawy ziemi; oni na wszystkich morzach i w służbie prawie wszystkich ludów pełnią obowiązki cieśli, krawców, kucharzy i tragarzy. W Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza na dalekim zachodzie pełne ich są miasta, a nawet w Nowym Yorku mają już — jak w N. Orleanie, w Chicago i w San Francisco — własną, odrębną dzielnicę. Już cię, jeśli wierzyć wypada (ku czemu są zresztą wszelkie powody) powieściopisarzom amerykańskim — jak Bret Harte, Nathaniel Hawthorne, Marek Twain i inni — aż zdumiewać się przychodzi, do jakiego stopnia chińscy mężczyźni zabrali dla siebie zajęcia czysto kobiece: piorą i prasują bieliznę grubą i najdelikatniejsze ko-

¹ *The Social Life of the Chinese*, by the Rev. Justus Doolittle, 2 tomy w tomie II, rozdz. IX—X.

ronki, obsługują dzieci po domach i czuwają nad nimi po skwerach i parkach, wynajmują się do posług takich, jakie robią posługaczki, pomocnice kuchenne i piastunki — jednym słowem biorą stopniowo w monopol wyłączny wszystek zarobek tani.

A jeżeli chce kto zrozumieć, co to znaczy, gdy tani zarobek — zarówno ciężki, jak lekki — przejdzie w kraju danym do rąk obcokrajowych, obcych gwara, religią, obyczajnością... to niech się przypatrzy współczesnej Anglii, a w pierwszym miejscu współczesnemu Londynowi. Wszakże tu właśnie, nad Tamizą, niema już zgoła ani miejsca, ani chleba dla angielskich, irlandzkich i szkockich najbiedniejszych. Nie wytrzymali oni poprostu konkurencyi z przybyłymi i wciąż i bezustannie napływającymi obcokrajowcami: Żydami i Niemcami. Dziś Anglia, dzięki szeroko rozwartym swoim portom dla wszystkich narodowości, przysłała do tego, że wiele gałęzi rękodzielnictwa straciła u siebie najzupełniej — tych zwłaszcza gałęzi, jakie dają zarobek najłatwiejszy i najmniejszej wymagający wprawy. Żydzi i Niemcy wzięli w swe ręce całe krajowe i całe eksportowe krawiectwo, szewstwo i rymarstwo; czego zaś sami nie robią na miejscu, to sprowadzają z Niemiec. Niema w Anglii ani jednej fabryki zabawek dziecinnych — a jednak, nie wiem, czy jest drugi kraj, któryby potrzebował ich tyle rok rocznie: wszystkie przychodzą z Niemiec. Nad tym, specyficznie angielskim problemem nie zatrzymuję się dziś¹ dłużej, tylko, by zaznaczyć bezpośrednie skutki. Temiż zaś są: chroniczne i bezustannie wzrastające bezrobocie ludności swojskiej, wypieranie jej zdrowszej części do zamorskich krajów przez ludność obcą — a spychanie jej części słabszej do okropnej kloaki alkoholizmu, zbrodni, występków nieludzkich. Czy na tem koniec? Bynajmniej, gdyż nowi przybysze organizują się chyżo i tworzą społeczeństwo w społeczeństwie: przyjmują kraju obywatelstwo, wybierają — o ile możliwości z pomiędzy siebie — reprezentantów do parlamentu, do rady hrabstwa, do rad szkolnych i do izb handlowych... usiłuje jednak pracując nad zachowaniem swej plemiennej odrębności: więc zakładając swoje własne, niemieckie i żydowskie szkoły, dzienniki, stowarzyszenia, budując kościoły i synagogi, ochronki swoje i swoje szpitale.

Nie wiem, ilu jest Żydów na świecie (czy jest kto, komu to wiadomo?) — w Londynie jest ich 372.564. Niemców wszystkich w świe-

¹ W *Gazecie Polskiej* z 21 sierpnia (nr. 191) znajdzie czytelnik dość szczegółowe sprawozdanie z niedawno wyszłego dzieła E. E. Williamsa p. t.: *Made in Germany*. Autor dowodzi urzędowymi cyframi prawie zupełnego już upadku handlowego Anglii, a wzrostu Niemiec.

cie będzie do 50-ciu milionów — w samym tylko Londynie jest ich blisko 600.000!¹ I gwoili tego obcego żywiołu są w Londynie dzielnice ogromne, handlowe, prawie wyłącznie niemieckie (Soho i Finsbury), są niemieckie dzielnice mieszkalne, zarówno na przedmieściach ubogich, jak na bogatych (Forest Hill i Uxbridge). Są olbrzymie sieci żydowskich zaułków (Whitechapel, Houndsditch, czyli „psia dziura“ i Bethnal Green), gdzie w sobotę każdą pozamykaue są kramy, a w każdą niedzielę... mimo policyjnych i krajowych przepisów, akurat tak tłumno, gwarno, krzykliwie prowadzi się handel, jak na Kazimierzu, na Zarwanicy i za Żelazną Bramą! A są też pyszne dzielnice willi, pałacików i ogrodów (Westbourne, Hampstead i Kilburn), zamieszkałe najprzeważniej przez zbogaconych Żydów. Któż jest najbogatszym poddanym królowej Wiktorii? Barney Barnato, Żyd śląski, który do 18-go roku życia (ma dziś lat 41) handlował w Psiej dziurze! — Ale, poprzestańmy na tem: chodziło mi o przedstawienie w miniaturze — prawdopodobnych, jeśli nie niezawodnych już, następstw immigracyi rasy żółtej do starej Europy. Pamiętając zawsze, iż Chińczyków doliczają się 400 milionów i że rasa to... królikowo się mnożąca — zapytajmy: cóż się w Europie ostoi przed tą i taką nawałnicą? Niech odpowie — kto potrafi. Mnie ten problemat przyszłości zajmował bezustannie podczas pobytu tutaj Li Hung Czanga — i dlatego narysowałem tu jego główne strony.

* * *

Ze spraw wewnętrznych Anglii, żadna nie jest więcej naglącą, jak rewizya i reforma systemu edukacyjnego. Pod tym względem istnieją tu jednak trudności olbrzymie, dające się sprowadzić do dwóch naczelných kategorii: wynikających z olbrzymiej różnicy zasobów materialnych w społeczeństwie — i powstałych z powodu nadmiernej liczby wyznań religijnych. Przed r. 1870, Anglia nie miała zgoła żadnego systemu oświaty: kształcił dzieci kto chciał, jak i gdzie chciał, a to znaczy, że kształciła się tylko nieznaczna stosunkowo częśćka narodu, najwyżej jedna dziesiąta całej ludności królestwa. Były wtedy te same, co dziś są prywatne zakłady dla bardzo zamożnych: w Eton, Harrow, Rugby, Winchester i Westminster; były, jak są dziś prywatne instytucye dla bogatych i średnio-zamożnych, prywatne szkoły i szkółki

¹ Według spisu ludności z r. 1895. ludność całego Londynu z przedmieściami przenosi sześć milionów.

dla biednych, lecz ambitnych dzieci, których rodzice gotowi przymierać głodem, by tylko synom i córkom dać stopień wykształcenia najlepszy — były wreszcie wtedy, jak są dziś zupełnie od rządu niezależne wszechnice, a w nich wzajem od siebie niezależne, starożytnie kolegia, przystępne tylko dla młodzieży majątnej. Dla największej części ludności nie istniał obowiązek kształcenia dzieci. W kraju zaś tak ruchliwym i tak rozlegle zestosunkowanym ze swojemi koloniami, z Indyami, Kanadą i całym światem, bardzo drobny tylko procent wielkiej masy narodu troszczył się o choćby elementarną edukację dzieci, bo i sposobności nie brakło nigdy do umieszczenia zaledwie podrastających chłopczków i dziewcząt na dorobku i zarobku — i była, jak jest zawsze, nędza materyjalna, która dzieci wypychała z domu czempredzej... do fabryki lub na żebry. Lecz miała ta masa narodu zawsze, co ma i dziś — instytucye, szkoły i szkółki, t. zw. „ochotnicze“ (*Voluntary Schools*), zakładane i kierowane przeważnie przez duchownych wszystkich wyznań, utrzymywane ze składek kościelnych i zapisów. Prozelityzm dużo gorliwszym tu był i jest czynnikiem, aniżeli dbałość o wzrost oświaty *per se*. Anglikański Kościół, państwowy, rozporządzający ogromnemi funduszami, posiada więc gęstą w całym królestwie sieć swoich zakładów i parafialnych szkółek; niema zaś w kraju jednej parafijki anglikańskiej, w której nie byłoby paru, jeżeli nie kilku, jeżeli nie kilkunastu i wyżej świątyni, domów modlitwy lub choć „domów zebrań niedzielnych“ — sekciarskich. Już zaś, gdzie tylko stanął by najbiedniejszy kościółek, tam też, w jak najbliższem sąsiedztwie postawiono i szkółkę. Robili tak samo i robią dziś katolicy. Lecz jakichże trzeba było zabiegów, by zwabić dziatwę na naukę! jakich ofiar, by zapewnić szkole zdolnych nauczycieli, jakich wreszcie starań, by rodzice płacili cotygodniowo nędznych parę miedziaków!

W r. 1870 parlament uchwalił zaprowadzenie przymusowej oświaty w kraju. Uchwała spowodowała ustanowienie rządowej komisji edukacyjnej, ta zaś rozporządzać miała, jako środkami: 1) zasilkiem rocznym, rządowym; 2) funduszem z corocznych podatków szkolnych, płaconych przez właścicieli domów i czynszowników; 3) (do r. 1892) funduszem, nagromadzonym z cotygodniowych opłat, wnoszonych przez dzieci, a stopniowanych według wieku ucznia i pobieranych przezeń naukowych przedmiotów. Szkoły te, znane pod nazwą „komisyjnych“ (*Board Schools*), rozwinęły się świetnie, uczęszczane są bardzo ogólnie i pilnie, zwłaszcza od r. 1892, w którym parlament zniósł obowiązek wnoszenia opłat w klasach najniższych, dzieci najbiedniejszych. Jakież

nie miały się rozwinąć, gdy olbrzymie zasoby komisji¹ pozwalają na wysoko płatnych nauczycieli, nauczycielki, na profesorów nawet i na specjalnych prelegentów — na szkoły, prawdziwe pałace, zbudowane i urządzone prawie ze zbytkiem — na program nauk, nominalnie 8-mio klasowy, faktycznie zaś (po trzech klasach najniższych) zupełnie dowolny, tak iż dzieci i rodzice wybierać sobie mogą przedmioty i kursa najodpowiedniejsze ich uzdolnieniom i planom — jakżeż nie mają zresztą wzrastać i mnożyć się te szkoły w sposób zdumiewający, kiedy ich uczniom, wychowanym i wykształconym zupełnie nieznacznym kosztem rodziców, a olbrzymim kosztem płacących podatki... przysługuje to samo prawo do współubiegania się konkursowo o posady rządowe, z jakiego starają się korzystać dla swoich synów i córek rodzice biedni, lecz ambitni i religijni — niechęący posyłać dzieci do tych szkół komisyjnych dlatego, bo niema tam innej nauki religijnej, prócz bardzo powierzchownej i to anglikańskiej — a jest tam przecież towarzystwo najgorsze, z najnędnějších pod każdym względem załków!

Dzieje się, skutkiem tego systemu, najwyraźniejsza krzywda tej, więcej niż połowie całego społeczeństwa, którą składają rodziny przyzwyczajone, wykształcone, lecz podupadłe lub żyjące z dnia na dzień — z pensji, czy z niewystarczającej renty. One to właśnie opłacają szkolne podatki, z których korzystać nie mogą, a nadto opłacać muszą podatek od liczby biednych (pauprów) w swoim obwodzie i tyle innych ponosić ciężarów państwowych i municypalnych. Gdzież mają kształcić własne dzieci? Tylko, oczywiście, w szkołach ochotniczych — wyprzedzonych pod każdym względem przez szkoły komisyjne. Biorę przykład ze stosunków domowych dobrze mi znanej tutaj rodziny: małżeństwo ma dwóch synków i trzy córeczki, ojciec jest urzędnikiem bankowym, zarabia 300 f. st. = 3.400 zlr. rocznie. Rodzina zamieszkuje maleńką kamieniczkę przedmiejską, płacąc czynsz i wszystkie podatki, co razem wynosi 65 f. st. Utrzymanie najskromniejsze, nie dopuszczające chyba bardzo rzadko, tanich nawet zabaw i rozrywek, ani zbyt częstych odwiedzin znajomych i krewnych, mieszkających w dalszych dzielnicach, kosztuje tę rodzinę 182 f. st. rocznie; odzież, leki, opłata miejsce w kościele (tak konieczna w Londynie, jak opłata chleba codziennego) zabierają najmniej 30 f. st. Pozostaje więc najwyżej 23 f. st.

¹ Wynoszą one w samym Londynie z przedmieściami (z ludnością blisko sześciomilionową) dwa miliony funt. szterl. (24 miliony zlr. rocznie), z której to sumy na rząd przypada pół miliona funt. szterl., około 300.000 wpływa z opłat szkolnych, a reszta z podatków. (*Whitaker's Almanack*, 1895).

(około 250 zlr.) rocznie na edukację pięciorga dzieci. W rodzinie, o której mowa, wykształcona matka zajmuje się naukami dwóch córeczek, trzecia jest niemowlęciem. Starszy syn, 14 letni, chodzi do dziennej szkoły katolickiej, oddalonej od domu dobre pół mili polskiej i płaci tygodniowo pół szylinga = 30 centów. Licząc 40 tygodni naukowych w roku, wypada ojcu płacić 12 zlr. rocznie, za książki i materiały piśmienne drugie tyle. Syn młodszy, 9 letni, kosztuje ojca w tej samej szkole około 18 zlr. Więc obaj razem 42 zlr. Wszakże bardzo tanio, bo jeżeli dodamy składkę roczną na utrzymanie i rozwinięcie szkoły, wysokości choć 8 zlr., cały koszt roczny wynosi tylko 50 zlr. — i rodzina może odłożyć zostającą resztę, 200 zlr., na ubezpieczenie życia, na posażki dla córek... na późniejsze czasy i potrzeby.

I właśnie w tym, jedynie możliwym rozkładzie powyższego budżetu tkwi cała ironia położenia! Szczęściem jest, że edukacja córek nie wymaga nakładu. Gdyby matka kształcić ich nie mogła, zostałaby im alternatywa: albo uczęszczać ze zmieszonym motłochem załkowych dzieci do szkół komisyjnych, lub... zgoła żadnych nie pobierać lekcji i nauk! Bo dla dziewcząt ochotnicze szkoły nawet należące do anglikanów, lub sekt zamożnych, mają oddziały bardzo jeszcze niewystarczające i... bardzo niestósowne dla dzieci z warstw wyższych, choć stosunkowo biednych. Katolickie zaś szkolki, prowadzone i utrzymywane z największymi trudnościami, nie zdobyły się dotąd na oddziały dziewczęce — a gdy się zdobędą, to, ponieważ katolicy w Anglii są albo bardzo bogaci, lub bardzo ubodzy, znów nie będzie do życzenia, by panienki, przyzwyczajone w domu chowane, musiały obcować poza domem z dziećmi z załków irlandzkich. Klasztory żeńskie, zwłaszcza w Belgii i Francji, przystępne są dziewczętom tej kategorii — lecz pozostająca, w danym przykładzie, suma roczna 200 zlr. marzyć nie pozwala o klasztornej edukacji choćby dla jednej z córek. Biedni rodzice chcieliby więc obrócić tę sumę, oszczędzoną z wielkim trudem, na lepszą edukację synów: lecz i to jest zupełnie niemożliwem, bo... między szkolką ochotniczą, dającą najelementarniejsze nauki, w budynku najlichszym, z jednym, lub dwoma nauczycielami, źle płatnymi, a zakładem dla uczniów zamożnych, nie ma w Anglii dla katolików, nie ma często dla innych, żadnej zgoła szkoły wyższej! Dla katolików — być jej nie może!

Mają OO. Jezuici słynne i pod względem naukowym wysoko stojące i zasłużone kolegia — jak np. w Stonyhurst, które, jeśli się nie mylę, posłużyło za wzór zakładowi w Chyrowie; lecz w tym kraju

ogromnej drożyzny i przy rozwiniętym przepysznym systemie wychowania fizycznego (wymagającym przecież, dla rozmaitych sportów, dodatkowych i dość grubych nakładów), gdzież marzyć rodzinie naszej o utrzymywaniu choć jednego syna w takim kolegium? Zdaje mi się, że w Chyrowie 300 złr. stanowi przeciętny koszt utrzymania i nauk dla jednego chłopca; w Stonyhurst potrzeba na ten sam cel przeciętnie 65 fst., czyli przeszło 700 złr., a dodać musimy przynajmniej 150 złr. na sportowe wkładki, ubrania, utensylia i t. d. Chcąc zaradzić w jakiś sposób temu brakowi szkół przyzwoitych, o jakim mowa, Jezuita starają się urządzić w rozmaitych stronach Londynu szkoły dzienne. Lecz dziś jest ich zaledwie kilka: najbliższe zaś (by uprzytomnić czytelnikowi wszystkie strony trudności), od mojego mieszkania istnieje — w jednym kierunku, o milę polską odległości (Kingsland Road), w drugim... o dobre półtrzeciej (Wimbledon)! Opłata roczna wynosi przeciętnie w tych zakładach do 150 złr., a dodajcie... akurat drugie tyle na codzienne koleje żelazne, lub tramwaje!

Jakżeż więc nie zazdrościć prostemu wyrobnikowi! Mieszka z rodziną we „wzorowych domach mieszkalnych“ (*Model Lodging-houses*), karawanserajach, budowanych specjalnie po całym Londynie dla jego sfery społecznej; nie będąc przeto kamienicznikiem, żadnych zgoła nie płaci podatków. Pomijam wszystkie inne różnice jego wymagań od wymagań danej rodziny w sferze... przymusowo wyższej. Robotnik ten kształci dzieci najmłodsze, od 7—12-go roku życia zupełnie bezpłatnie, w instytucjach wspianiałych, wzorowo urządzonych i prowadzonych, a dzieci (obojej płci) starsze kształcić może do progu wszechnicy lub do konkursowych, wysoko płatnych posad rządowych w Anglii i koloniach, za opłatą... najwyżej sześciu złr. rocznie od dziecka. I staje się w rezultacie, że posługaczka dzienna, której żona urzędnika bankowego używa raz w tydzień do robót najgrubszych w domu — może litować się nad przyszłością panienek tego domu, chowanych, co prawda, bardzo starannie, lecz kształconych i niedostatecznie i niepraktycznie, by mogły zdobyć sobie przyszłość niezależną i dlatego szczęśliwą... podczas kiedy jej własna córka, wykształcona w szkole komisyjnej, kosztem pani urzędniczej w znacznej części¹, tam się nauczyłszy stenografii i operacji telegraficznej, złożyła egzamin państwowy i otrzymała posadę, dającą jej w 18-tym roku życia 80 fst.,

¹ Płacę podatku szkolnego rocznie 22 szylingi = 13 złr., a prócz tego proboszcz parafii katolickiej oczekuje raz w rok daniny dla swej szkółki.

(blisko 1.000 zlr.) rocznej pensyi! A przytem ta córka nauczyła się może w tej samej szkole (jeśli chciała i miała talent), gry na fortepianie, malowania, śpiewu i podobnych doskonałości — bardzo kosztownych dla zwykłych rodzin niezamożnych. Synowie tej posługaczki będą może urzędnikami w ministeryach, w wydziałach celnych, może w służbie rządowej w Indyach, lub koloniach, może nawet konsulami — a synom owej rodziny z wyższemi tradycjami pozostanie chyba magazyn, ochotnicza służba w armii lub marynarce na niższych stopniach — lub wychódźtwo.

Cały ten kompleks problemów, związany z istnjącami systemami, potrzebami i wymaganiami postępowej oświaty w Anglii, stał się dziś bezsprzecznie najtrudniejszą kwestyą kolejnych gabinetów ministeryalnych. Każdy z nich obiecywał... podczas wyborów, zająć się tą kwestyą i załatwić ją ku zadowoleniu wszystkich. W praktyce jednak, załatwienie okazuje się niemożliwem — jak widzieliśmy w ciągu sesyi tegorocznej — tak długo, dopóty kolejne rządy uważają za swój obowiązek gospodarzyć w kraju i groszem publicznym szafować na korzyść bezpośrednio wyłączną najniższego proletaryatu — na korzyść mas wyborczych. W istocie rzeczy chodzi bowiem o to, by szkoły ochotnicze, kształcące dziś blisko połowę tyłu dzieci, ile uczęszcza do komisyjnych¹, otrzymywały pod odpowiednimi warunkami (inspekeji i egzaminów), przynależną im część subwencji państwowej i narodowych podatków szkolnych — a zarazem, ażeby rodzice, płacący dziś te podatki szkolne, mieli przecież jakieś w zamian *quid pro quo*. Stanowisko, zajęte w tej całej sprawie przez hierarchią katolicką, jest to samo, jakie zajmują w Anglii zwierzchnicy wszystkich innych wyznań chrześcijańskich².

Tu miejsce zapisać, iż bezustannie wzrastająca liczba katolickiej ludności w Anglii i Szkocyi³ czyni z tej kwestyi elementarnej i średniej edukacyi — kwestyę narodową, najpilniejszą i najwyraźniej nagłą z tego również powodu, iż papież Leon XIII. zezwolił przed rokiem na uczęszczanie młodzieży katolickiej na uniwersytety w Oxfordzie, Cambridge, w Edynburgu i Aberdeen — tj. te wszechnice, które

¹ W r. 1893 do szkół komisyjnych w Londynie uczęszczało uczniów 448.749, a do ochotniczych — 222.418 (*Hazell's Annual*, 1895).

² Żydzi mają swoją własną komisję szkolną.

³ W Anglii i Szkocyi było w końcu r. 1894 katolików 1.700.000; w Irlandyi 3.550.000. Ludność zjednoczonego królestwa dochodziła do 40 milionów. (*Hazell's Annual*, 1895).

wydają stopnie naukowe najwyższe i mają zasoby naukowe najbogatsze. Jeżeli więc otwarta jest i dla katolików droga do współubiegania się na równi z kolegami innych wyznań o najwyższe odznaczenia i najlepsze owoce naukowej pracy, to tem większa zachodzi konieczność zaprowadzenia i rozwinięcia średnich zakładów wzdłuż tej drogi. Już nawet postarali się katolicy angielscy o założenie swego własnego kolegium w Oxfordzie — pierwszego po reformacyi — a książę Norfolk u wydał z własnej szkatuły 13.000 fst. na kupno odpowiednich gruntów. Jezuici równocześnie zamierzają otworzyć w Oxfordzie zakład mieszkalny dla uczniów przybywających z ich własnych kolegiów — naśladując w tem przykład innych wyznań nie-anglikańskich¹. Zanim też kronika ta znajdzie się w ręku czytelnika, biskupi angielscy i szkoccy mają wydać okólnik z instrukcjami, wyjaśniającemi doniosłość papieskiego zezwolenia i zawierającemi wskazówki dla uczniów, zarządu kolegiального, wreszcie i dla rodziców. Postanowiono już, by przy każdej wszechnicy był stały kapelan katolicki. W Oxfordzie gospodarz jezuickiego zakładu, O. Clarke — dobrze znany pisarz dzieł treści polemicznej — będzie od października t. r. pierwszym kapelanem.

* *

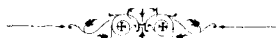
Rozpisałem się zbyt może szczegółowo o zagadnieniu edukacyjnem — mało zostaje mi miejsca na choć pobieżne sprawozdanie z ruchu umysłowego i artystycznego. Nie mogę atoli nie wspomnieć o dość osobliwym zderzeniu się dwóch umysłów: kiedy Sienkiewicz pisał pierwsze rozdziały *Quo Vadis*, tu w Londynie artysta i pisarz dramatyczny, Wilson Barrett, układał przepyszny swój dramat, grany obecnie w teatrze Lirycznym, p. t.: *The Sign of the Cross* („Znak Krzyża”) — a będący scenicznym przedstawieniem głównych chwil Sienkiewiczowskiej powieści! Te same w nim dni Nerona i te same główne postacie — z Winicyuszem i Lygią — choć pod innemi, oczywiście, imionami. Zresztą

¹ W Oxfordzie obok 21 kolegiów jest 6 podobnych do kolegiów zakładów, zwanych „halami” (*Hall*), zamieszkałych przez studentów przybyłych na wszechnicę z wyższych instytucyj sekiarskich, specjalnych. I tak w St. Edmund’s Hall mieszkają przyszli teologowie liberalno-anglikańscy (*Low Church*): prezbiterianie mają St. Mary’s Hall; metodyści Turret’s Hall i t. p. Zakład katolicki, ogólny, ma mieć nazwę: „Kolegium św. Pawła” lub „św. Jerzego” — to jeszcze niezdecydowane; halla Jezuitów będzie pod wezwaniem patrona katedry (anglikańskiej) Oxfordu, św. Egidjusza, po angielsku nazywać się będzie: St. Giles’s Hall.

rozwiązanie to samo, kończące się na scenie w chwili, kiedy Lygia gotuje się do śmierci męczeńskiej w arenie, Winicyusz postanawia jej towarzyszyć. Dramat doznaje ogromnego powodzenia.

Z książek nowych najwięcej znajduje czytelników dokonany przez Kegan Paul'a przekład francuskiej powieści Huysman'a: *En Route*. Dzieje bohatera, od dni najzupełniejszego dekadentyzmu jego w Paryżu do klasztoru Trapistów są wszędzie przedmiotem rozmowy i dyskusyi, bo czytają je najliczniej ci, którymby książka powinna być (tak się zdawało), najwięcej obojętną, jeśli niewstrętą nawet — materyaliści i racjonaliści protestancey. Sam sędziwy Gładstone napisał o niej do tłumacza te słowa: „Zasługuje ona na bezporównania wyższe uznanie, aniżeli którekolwiek inne dzieło mi znane: z tego powodu nakłada na każdego krytyka z góry obowiązek zachowania skromnej rezerwy“.

Edmund S. Naganowski.



NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

Ruch dziejopisarski w Polsce rozwija się świetnie; uznali to już dawno cudzoziemcy. Daleko nam wprawdzie jeszcze do tego, żeby osiąść w tym kierunku wszystko, co być powinno i dotkliwie różne luki znamy sami najlepiej. Ale uwzględnić trzeba, że w Polsce naukowej pracy w zakresie dziejów nic nie sprzyja. Katedr historii polskiej tylko dwie, uniwersytety warszawski, kijowski, wileński nie istnieją całkiem lub przynajmniej nie dla nas; w Warszawie cenzura zakazuje najniewinniejszych nawet pod względem politycznym książek, jeżeli tylko w nich mowa np. o Unii, o Rusi i t. p. W Poznaniu Towarzystwo Przyjaciół Nauk bez funduszków. W obydwóch zaś tych zaborach nikt z historii nie może mieć kawałka chleba, bo Polak nie dostanie tam żadnej posady ani przy bibliotece, ani przy archiwum: nie pozwolą mu nawet żakom szkolnym udzielać elementów historii. Galicya może ofiarować najwięcej — suplentur. Posał w archiwach krajowych jest wszystkiego dwie; rządowe niezorganizowane. Poza tem jest tylko jedna instytucya publiczna — Ossolineum. I na tem koniec. Nikt tu przez dziejopisarską pracę naukową nie dochodzi do urzędów i zaszczytów, bo kraj niemi nie rozporządza; wszystkie warunki składają się na to, żeby w Polsce historii całkiem nie uprawiano, bo niema ani za co, ani po co. *E pur si muove!* W takich warunkach wolno nam z dumą nazwać świetnem dzisiejsze polskie piśmiennictwo historyczne.

Uprawia się u nas historję nie tylko z amatorstwa, nie tylko

jako „sztukę dla sztuki“. Uprawia się ją, jak każdą naukę w tej myśli, że ruch naukowy dodaje żywotności podbitemu narodowi. Ale nauka historii podwójnie potrzebna. Ona nam musi wyjaśnić przeszłość, żebyśmy łacniej poznali drogę do przyszłości; ona jest dla nas rachunkiem narodowego sumienia, przed którego surowością nigdy się nie cofamy; ona ma sprawić, żebyśmy dojrżeli. Historyografia jest u nas publiczną służbą obywatelską i dlatego to żyje ona i rozwija się pomimo wszystkiego. I gdyby dziś nastać miały w Krakowie i Lwowie stosunki warszawskie i wileńskie, nie wytraciłoby to nikomu pióra z ręki, bo (dotychczas przynajmniej) nikt dziejopisarского pióra nie poczytał u nas za środek do karyery. Ta gałąź literatury jest jeszcze czysta.

Świetny rozwój dziejopisarstwa polskiego ma jednakowoż jedną wielką wadę. Oto nowe rezultaty spoczywają sobie w ciasnem gronie specjalistów, z publiczności nikt o nich nie wie. Popularyzowana tylko nauka może mieć doniosłość społeczną! O tem u nas zapomina się, a skutek z tego taki, że publiczność jest w swych sądach historycznych niesłychanie zacołana, a nieporozumienie między historykami a ogółem polskiej inteligencji — coraz większe.

W ostatnich latach wyszło kilkanaście dzieł, posiadających trwale i zasadnicze znaczenie dla historycznego sądu o przeszłości polskiej i kilkadziesiąt prac, rzucających nowe światło na niejeden szczegół dziejowy; nadto obfita moc drobnych przyczynków w literaturze historycznej, nie tylko polskiej, ale ruskiej, rosyjskiej, węgierskiej, niemieckiej i francuskiej. Gdyby z tego nowego plonu złożyć wszystko, co może wytrzymać krytykę naukową, otrzymalibyśmy nowy całokształt historii polskiej, któryby się w wielu miejscach różnił znacznie od treści podręczników, znajdujących się w ręku czytającej publiczności. Szesnaście to już lat minęło od wydania ostatniego takiego podręcznika: Szujskiego „Ksiąg Dwunastu“; rzecz prosta, że wobec ożywionego ruchu historyograficznego to i owo przestarzało się. O rok starsza książka Bobrzyńskiego, nie będąca wcale podręcznikiem w właściwym tego słowa znaczeniu, przestarzała się zaś zupełnie; dok-

tryny, które ją podyktowały, nie pozyskały nigdy uznania historyków zawodowych, a nowsze badania poczyniły w nich dotkliwe wylomy.

Zanim się pojawi nowy podręcznik historyi polskiej, spełniający wymagania najnowszej nauki, dobrze byłoby, żeby kiedy niekiedy zaznajamiać publiczność przynajmniej częściowo z postępami historycznych badań, podając jej, bez pretensyj do dokładnego naukowego opracowania przedmiotu, przynajmniej ważniejsze rezultaty źródłowych specjalnych dociekań; żeby po prostu dawać ogółowi wiadomość o nowinach z zakresu historyografii polskiej. Niniejszy artykuł, którego się podjąłem na prośbę Redakcyi *Przeglądu Powszechnego*, niech będzie próbką tego rodzaju służby informacyjnej. Zamierzam dotknąć tylko ważniejszych zdarzeń dziejowych, takich, o których musiałaby być wzmianka nawet w najkrótszym podręczniku; pomnę milczeniem wszystko, co wkraczałoby już w zakres jakiegoś obszerniejszego opracowania przedmiotu, obojętne dla ogólnego obrazu dziejowego. Pragnę streścić rezultaty najważniejszych prac, jakie się ukazały w ostatnich latach i to nie szesnastu, lecz tylko sześciu, rzadko tylko przekraczając tę granicę; najdonioślejsze bowiem dzieła pojawiły się rzeczywiście dopiero w ostatnim sześcioleciu; ważniejsze zaś kwestye, poruszane w pracach wydanych poprzednio, doczekały się po większej części ponownej dyskusyi w najnowszych latach, lub też rezultaty ich uwzględniono należycie w późniejszych dziełach. Ograniczenie się tedy do ostatniego sześciolecia wystarczy zupełnie do celu niniejszego artykułu, którym jest prosta informacya o nowych wynikach dziejopisarstwa polskiego.

Porzucam też formę recenzyj z każdego dzieła z osobna, bo ta forma jest dla niehistoryków stanowczo niestosowną, a dla wielu nudną. Wolę spróbować formy opowiadania w chronologicznym toku, od Piasta do Kościuszki.

Dynastyja Popielidów nie jest bajeczną, ale zupełnie historyczną; panowali oni rzeczywiście w Wielkopolsce, mieli stolicę

w Kruszwicy, a przeto i zameczysko na ostrowie Gopła prawdopodobnie jest historyczną ich rezydencją. Ostatni z Popielów panował około r. 830. Stosunki ówczesne nie były już tak bardzo prymitywne, skoro ksiązę miał zorganizowany dwór, którego dygnitarze byli zarazem publicznymi urzędnikami państwa. Najwyższym z pośród nich był dygnitarz zwany piastem, od tego, że do niego należała opieka dzieci książęcych; do niego należało polityczne piastunstwo dziedziców tronu, jego obowiązkiem było strzedz ich praw w razie przedwczesnej śmierci ojca. Dostojeństwo to wymagało przeto największego zaufania; na kim ono spoczęło, ten był pierwszą po księciu osobą, a gdy ksiązę był słaby, wychodziło na to, że piast był właściwym rządcą kraju. Jest to w zasadzie zupełnie ten sam urząd, jak frankońskiego majordoma (*bajulus*); zresztą spotykamy się z nim w całej Europie i to pod nazwami, mającemi w sam raz takie samo znaczenie, jak polski wyraz: piast. Późniejsi książęta rozdzielali następnie olbrzymią pierwotnie władzę piasta na kilka urzędów: powstał potem *comes palatii*, jeszcze później wojewoda, a piast-nutritor coraz mniejszy posiadając zakres władzy, istniał wprawdzie jeszcze w XIII. wieku, ale był wtenczas już tylko wcale podrzędną figurą na książęcym dworze.

Na dworze ostatniego „Popiela“, imieniem Leszka, był potężnym piastem Chościsław (Chościszek), i on to, zostawszy następcą Popiela, stał się założycielem nowej dynastji. W jaki to stało się sposób? prawdopodobnie ostatni Popiel nie miał męskiego potomstwa, a Chościsław ożenił się z jego córką; być jednak może, że piast przemocą usunął swego pana z tronu, podobnie jak Pipin w r. 751 Merowingów; za pewne przyjąć można, że Popiel zginął nienaturalną śmiercią, czy jednak piast był tego przyczyną, na to dowodu niema.

Synem piasta Chościsława jest Ziemowit (pan ziemi), którego samo imię wskazuje, że się już rodził do rządów; panował mniej więcej w latach 870—890. Ten swojego syna nazwał Leszkiem, przejąwszy to imię od poprzedniej dynastji; Leszka zaś synem był Ziemomysł, o którym do niedawna ma-

wiało się, że jest dopiero pierwszą historyczną osobą w dziejach Polski¹.

Ziemonysł umarł przed r. 963, pozostawiając sześcioro dzieci. Z tych najstarszy, Mieszko, po dzisiejszemu Mieczysław, ożenił się z Dubrawką czeską w r. 965, a chrzest św. przyjął w r. 966. Po r. 980 uczynił akt darowizny na rzecz stolicy św. Piotra, t. j. oddał się w opiekę stolicy apostolskiej. Brat jego, Prokuj, sprawował rządy na Słowaczynie zakarpackiej².

Państwo Mieczysława I. obejmowało pierwotnie tylko Wielkopolskę i Ślązk³; książę ten rozszerzył je jednak zaraz na początku panowania, zagarnawszy ziemię Krakowską i Słowacyznę i lechickie również grody czerwieńskie; te ostatnie utracił atoli w r. 981⁴. Siostrę swą, Adelajdę, wydał za męża za księcia węgierskiego Gejzę, przed r. 973; ta Adelajda, zwana też Białą-kniąhini, nawróciła męża i była matką św. Szczepana. A zatem nowa dynastia, ledwie sama nawrócona, szerzy już dalej światło ewangelii; Polska jest apostołką Węgier.

Bolesław Chrobry, dzieckiem jeszcze będąc, miał sposobność poznać dwór cesarski; gdy miał zaledwie sześć lat, oddał go ojciec w r. 973 w Kwedlinburgu za zakładnika Ottonowi I.; jak długo tam przebywał, nie wiadomo. Balzer mniema, że tym zakładnikiem nie mógł być Bolesław z powodu zbyt młodego wieku i dlatego twierdzi, że Mieczysław miał przed Bolesławem jednego syna, że Bolesław był dopiero drugim z rządu. Niepotrzebnie dodał Balzer Bolesławowi starszego brata, dawanie bowiem dzieci nieletnich na zakładników zdarzało się częściej.

¹ Tadeusz Wojciechowski, „O Piaście i piastie“. Kraków 1895. Odbitka z xxxii tomu Rozpraw Akademii Umiejętności, Wydziału historyczno-filozoficznego.

² Balzer, „Genealogia Piastów“. Kraków 1895. Nakł. Akad. Umiej.

³ Twierdzenie autora.

⁴ Wojciech Kętrzyński, „Granice Polski w X. w.“, udowodnił, że granice panowania Mieczysława sięgały na południu do Dunaju, na wschodzie po Bug i Styr. Skoro zaś Albekri wyraźnie stwierdza, że Kraków należy do Czech, a zatem Mieczysław musiał go na Czechach zdobyć. — Odrzucam natomiast twierdzenie Kętrzyńskiego, jakoby także Mazowsze i Pomorze należały do Mieszka I. Następne szczegóły z dzieła Balzera, „Genealogia Piastów“.

Miał panować wspólnie z braćmi przyrodnimi, ale wypędził ich do Niemiec; syn jednego z tych braci, Dytryk, urodzony w Niemczech, otrzymał potem dział w Polsce w r. 1032 z łaski Konrada II., gdy się przed nim korzył w Merseburgu nieszczęśliwy Mieszko II. (po śmierci Bespryma).

Mieczysław I. dążył do ściślejszego związania się z Miśnią, żeniąc Bolesława w r. 984 z margrabią miśniąską; gdy te plany jednak nie powiodły się, swata syna z królewną węgierską a potem po raz trzeci z Emnildą, córką jakiegoś księcia Słowiańszczyzny północno-zachodniej. Pod koniec panowania uwaga Mieszka zwróconą była głównie ku północy; córkę swoją Sygrydę Storradę wydaje za mąż za króla szwedzkiego i duńskiego. Bolesław Chrobry, gdy w ostatnich latach życia (1018) po raz czwarty szukał żony, zwrócił się znnowu do Miśni¹.

Rozwiała się legenda o Szezerbcu Bolesława Chrobrego: miecz koronacyjny królów polskich nie był mieczem Chrobrego; pochodzenie jego późniejsze. Miecz ten, mający znaczną wartość artystyczną, jest wyrobem artystycznej szkoły niemieckiej z początku XIII. w.; zrobiony był między 1214 a 1219. Był to pierwotnie miecz krzyżacki, który następnie nabył książę Konrad Mazowiecki. Ten książę, marzący o zespoleniu wszystkich ziem polskich, przekazuje tę politykę swym potomkom, a oddając wspaniały i kosztowny miecz synowi swemu Bolesławowi, każe wyryć charakterystyczny napis, mieniający tego Bolesława księciem i dziedzicem całej Polski. Było to pomiędzy r. 1242 a 1247. Bolesław nie mógł wypełnić ojcowskich marzeń, zmarł bowiem już w dwa lata po Konradzie, w r. 1249. Spadkobiercy jednak jego postępowali w myśl programu, wyrytego na dziedzicznym mieczu, a kiedy Władysław Łokietek spełnił nareszcie rodzinne marzenie, na uroczystość koronacyjną ten właśnie miecz przypasał, a po koronacji złożył go w skarbcu królewskim, jako miecz koronacyjny swych następców. Miecz ten stał się w jego rodzie niejako symbolem jedności Polski i jako taki symbol złożył go w skarbcu państwa.

¹ Balzer, „Genealogia Piastów“.

Starzy kronikarze opowiadają wprawdzie o Szczerbcu Chrobrego, ale żaden z nich nie twierdzi, jakoby był mieczem koronacyjnym. Niema też dawniej żadnej wzmianki o jakimkolwiek wogóle mieczu w skarbcu, gdyż skarbiec ten aż do Łokietka żadnego wogóle miecza nie posiadał¹.

Bolesław Chrobry miał dziewięcioro dzieci. Z tych najstarsza córka, niewiadomego imienia wyszła za księcia pomorskiego, również nieznanego imienia, który nawrócony przez nią na chrześcijaństwo, ochrzcił się w r. 996 lub 997. Drugi z kolei, syn, był mnichem w zakonie Kamedułów w Pons Petri koło Rawnenny. Trzeci z kolei Besprym, antagonistą Mieczysława II., nie miał wcale drugiego imienia Otton. Otton jest osobną osobą², ósmym dziecięciem Chrobrego; jemu to powierzył ojciec delikatną misję sprowadzenia dla siebie czwartej żony, Ody, córki miśnijskiego margrabi Ekkeharda, którą posłubił w roku 1018, w cztery dni po zawarciu pokoju Budziszyńskiego. Niemieckie imię nosił na cześć Ottona III., bo chrzest jego odbył się w r. 1000 właśnie podczas pobytu tego cesarza w Gnieźnie.

Mieczysław II. miał nadto drugie imię Lamberta. Jest już zapewne powszechnie wiadomem, że nie był bynajmniej gnuśnym i koronował się. Miał z żony Ryksy dwóch synów: Bolesława i Kazimierza; starszego Bolesława przeznaczając na swego następcę, oddał młodszego Kazimierza do klasztoru. Ten Bolesław, wstąpiwszy po ojcu na tron, (przybywa nam tedy nowy król polski) rządził źle i „źle skończył“, a kronikarze nie wpisywali go w rejestr panujących „za niegodziwość jego“ (*propter nequitiam*). Jakiej dopuścił się niegodziwości, nie wiemy jeszcze. W rok po jego śmierci (1037) nastąpił straszny najazd Brzetysława czeskiego.

Tymczasem młodszy Kazimierz, zwany zakonem imieniem Karola, przebywał w jakimś polskim klasztorze; miał już święcenia i sprawdza się podanie, że potrzebował potem papieskiej

¹ Jan N. Sadowski, „Miecz koronacyjny polski Szczerbcem zwany“. Kraków 1892. Odbitka z xxx tomu Rozpr. Akad. Um. hist.-fil.

² Anatol Lewicki, „Mieszko II.“.

dyspenzy¹. W r. 1034 porzuca klasztor i występuje, jako pretendent do tronu, ale Bolesław wygania go z kraju wraz z matką. Przebywając w Niemczech i na Węgrzech, uprawia rzemiosło wojenne. Po śmierci Bolesława chce wrócić do Polski, ale Stefan Węgierski przytrzymuje go na Węgrzech na żądanie Brzetysława, który gotował się do najazdu na Polskę na rok 1038; w sierpniu jednak umarł Stefan, a Kazimierz wkrótce przybył do Polski i stał się Odnowicielem.

O Bolesławie Śmiałym i Władysławie Hermanie niema nowego do zanotowania, nie takiego przynajmniej, coby zająć mogło nie-specyalistę. Balzer powątpiewa o pobycie wygnanego króla w Ossyaku, ale w tym wypadku legenda pozostanie, zdaje się, górą². Imię: Władysław, brzmiało pierwotnie: Włodzisław. Zamiast: Zbigniew, należy mówić i pisać: Zbygniew (zbyć się gniewu — tak sądzi prof. Brückner w Berlinie, Polak, najlepszy dziś obok Jagiśa sławista).

Zbygniew, po urodzeniu Bolesława (Krzywoustego), oddany był do klasztoru w Kwedlinburgu, potem jednakże uznany przez ojca formalnie za syna w r. 1093. Osłepiony potem przez Krzywoustego, spędził resztę życia na wygnaniu. Przypuszczenia, jakoby szczęśliwszy brat kazał go podstępnie zamordować, są mylne. Bolesław Krzywousty miał dzieci siedmnaście. Najstarszym był Władysław II.; potem jeden syn, zmarły młodo i jedna córka (za Wsewołodem muromskim), nieznani z imienia; tych troje ze Zbysławy, córki Świętopelka kijowskiego. Z drugiej zaś żony, Salomei, hrabianki Bergu: Adelajda, zamężna za Albrechtem II. Pobożnym, margrabią austriackim; Leszko, zmarły przed r. 1138; Ryksa, żona Magnusa szwedzkiego, następnie Włodzimierza Nowogrodzkiego, potem jeszcze Swerkera I. szwedzkiego; córka nieznanego imienia, zamężna za Konradem Sachsenblume, margrabią Marchii Północnej; Zofia, zmarła w r. 1136; Kazimierz, zmarły r. 1131, w dziesiątym roku życia; Gertruda, mniszka

¹ Tadeusz Wojciechowski, „O Kazimierzu Mnichu“.

² Praca Smólskiego. „Grób Bolesława Śmiałego“ nie przynosi nic nowego; przedtem już wyszły prace traktujące ten sam przedmiot znacznie gruntowniej i bardziej wyczerpująco.

w Zwiefalten; Bolesław Kędzierzawy; Mieszko Stary; Henryk sandomierski; Dobronega Ludgarda, za Dytrykiem, margrabią dolno-łużyckim; Judyta, za Ottonem I., margrabią brandenburskim; Agnieszka, za Mściławem włodzimiersko-kijowskim; Kazimierz Sprawiedliwy, urodzony 1138, tuż przed śmiercią Bolesława Krzywoustego, która nastąpiła tegoż r. 1138 (a nie 1139). Różnica wieku między najstarszym Władysławem, a najmłodszym Kazimierzem (drugim tego imienia synem) wynosiła lat 33.

Władysław II., założyciel linii śląskiej, był raz tylko żonaty, z Agnieszką, córką Leopolda III., margrabi austriackiego; powszechne dotychczas mniemanie, jakoby był wstąpił w powtórne związki małżeńskie z Krystyną, córką Albrechta Niedźwiedzia, ks. saskiego i margrabi brandenburskiego, okazało się mylnem przypuszczeniem.

Walnem zwycięstwem krytyki historyograficznej jest, że nareszcie znamy genezę księstwa Gdańskiego. Ani o początku gdańskiego Pomorza, ani o początkach panującej tam rodziny nic pewnego nie wiedziano. Przypuszczenia były różne. Powtarzano długo za Długoszem, że to polski ród Gryfitów; za naszych czasów różnie sobie genezę tego rodu tłumaczono, aż rozwikłał i tę zagadkę (jak tyle innych) Balzer w swem pomnikowym zaiste dziele: „Genealogia Piastów“. Ród książąt gdańskich wywodzi się od możnowładczego rodu we wschodniem Pomorzu, wyniesionego do godności namiestniczej w marchii gdańskiej. Pierwszym, znanym imiennie z tego rodu, jest Subisław, który w r. 1170 fundował sławny klasztor oliwski w swoich dobrach. Ożenił się z siostrą Żyrona, palatyna mazowieckiego; z małżeństwa tego miał dwóch synów: Sambora i Mszczuja. Sambor został rządcą marchii gdańskiej z ramienia Kazimierza Sprawiedliwego, podczas gdy Mszczuj był nadzorcą poborów Mieszka Starego na Pomorzu. Po śmierci Sambora powierzył Mieczysław Mszczujowi rządy gdańskiej prefektury. Mieczysław Stary w r. 1177 utracił tron wielkoksiążęcy, a wkrótce potem nadto własny jego syn, Odon, wygnał go z Wielkopolski. Mieczysław Stary czynił natenczas zabiegi u cesarza Fryderyka I., ale napróżno. Poradził sobie tedy inaczej. Około r. 1181 wydał

swą córkę Zwinisławę, za swego dawnego pomorskiego poborcę. Mszczuja, i zapewnił sobie przez to pomoc potężnego możnowładcy, dzięki której odzyskał Gniezno. Kazimierz Sprawiedliwy, niemający nic przeciw temu, żeby Mieszko rządził w swej wielkopolskiej dzielnicy, „patrzył przez palce, kiedy z podwładnej mu marchii gdańskiej dawano Mieszkowi pomoc, a może nawet do tej pomocy skrycie nakłaniał i zachęcał“ (tak twierdzi nawet Kadłubek). Małżeństwo to zjednało też Mieszkowi przyjaźń i popularność ludu pomorskiego. Synowie Mszczuja i Zwinisławy byli już książętami: Świętopełk I. i Sambor, który zwał się II., jakkolwiek stryj jego księciem wcale jeszcze nie był.

Z czasów walk różnych linii Piastowskich o tron wielkoksiążęcy w Krakowie, przybyło kilka odkryć, zmieniających znacznie poglądy dotychczasowe na te sprawy. Tak np. okazuje się, że po śmierci Mieszka Starego (13 marca 1202) Władysław Laskonogi panował zaledwie kilka miesięcy, poczem tegoż samego jeszcze roku nastąpił Leszek Biały. Laskonogi utracił Kraków wcale nie przez spór z arcybiskupem Kietliczem, ale ustąpił przed rokoszem możnowładztwa małopolskiego. Z Kietliczem miał on do czynienia tylko, jako księżę Wielkopolski, w r. 1206, kiedy krakowskim księciem wcale nie był.

W r. 1210 Mieszko Raciborski, syn Władysława II., pomny senioratu swego ojca, czynił zabiegi o odzyskanie Krakowa i pannał tam pomiędzy 29 lipca 1210 a 16 maja 1211 (data śmierci Mieszka). „Rządy te były tylko przejściowym epizodem bez głębszego znaczenia i dalej sięgających skutków, ale sam fakt jest charakterystyczny przez to, iż wskazuje, że usiłowania śląskich Władysławowiców o odzyskanie senioratu krakowskiego, datowane dotąd powszechnie dopiero od Henryka Brodatego, są początkiem swoim wcześniejsze o jedną generację“. Pozytycja Leszka Białego była zagrożona w r. 1210 i dlatego to wydał Leszek wraz z Konradem Mazowieckim i Władysławem Odoniczem wtenczas przywilej arcybiskupowi Kietliczowi w sprawie *iur. spoli*¹.

¹ Oswald Balzer, „Walka o tron krakowski w latach 1202 i 1210—1211“.

Sprawą tego przywileju, jak wogóle całego sporu z Kietliczem, zajął się specjalnie prof. Władysław Abraham w pracy p. t.: „Pierwszy spór kościelno-polityczny w Polsce“.

Aż do końca XII. wieku Kościół polski był (zdaniem autora) zależny najzupełniej od władzy książęcej. Henryk Kietlicz¹ pierwszy dopiero rozpoczyna walkę o emancypację Kościoła, dążąc zarazem do zreformowania duchowieństwa. W r. 1206 rzuca klątwę na księcia, który za to wygania go z kraju. Arcybiskup wyjeżdża do Rzymu, gdzie się przejmuje ideami Innocentego III. Wraca z kuryi z programem obejmującym wzmocnienie karności kościelnej, wyłączenie Kościoła od jurysdykcyi świeckiej, zapewnienie Kościołowi dowolnego rozrządzania stolicami biskupimi i beneficjami i nieograniczonej władzy nad dobrami kościelnymi, tudzież uwolnienia od świadczeń ciężarów prawa krajowego na rzecz państwa. — Książę apelował od klątwy biskupiej do papieża. Innocenty III. porucił rozpatrzyć całą sprawę byłemu biskupowi Halbersztadzkemu, Konradowi, naonczas mnichowi w klasztorze Sychem w Turyngii i opatowi tegoż klasztoru. Proces się przewlekał, a sędziowie dali się zmylić drobnymi ustępstwami. Tymczasem zebrała się liga książąt przeciw Laskonogiemu: wystąpili przeciw niemu Leszek Biały, Konrad Mazowiecki i Władysław Odonicz. Z nimi łączy się też arcybiskup. Podczas ustawicznych walk o tron krakowski, udaje się znów dwa razy do Rzymu, w r. 1210 i 1215; (w tym ostatnim roku bierze udział w soborze powszechnym), starając się zjednać papieża dla sprawy ligi. W r. 1214 zostaje legatem. Laskonogi nie uległ wprawdzie sojuszowi książąt, ale tymczasem arcybiskup otrzymał daleko idące przywileje na rzecz Kościoła od tych książąt, z którymi się zjednoczył. Są to trzy przywileje z r. 1210, 1215 i 1217, które stanowią podstawę swobód Kościoła w Polsce. Udało się też Kietliczowi przeprowadzić reformę duchowieństwa, zwłaszcza celibat.

Sam Laskonogi nie ustąpił wprawdzie i prerogatyw władzy

¹ Ród Kietliczów pochodzi z Czech; z końcem XII. wieku przenoszą się do Górnych Łużyc, a jedna gałąź do Polski.

książęcej wobec Kościoła się nie zrzekł; ale przywileje innych książąt zrobiły już wyłom w zasadzie i zadecydowały, jakim torem dalej będzie się rozwijać w Polsce stosunek Kościoła do państwa. Wkrótce potem zresztą Odonicz wygnał Laskonogiego, a przywileje kościelne zaczęły obowiązywać także w Wielkopolsce.

W r. 1227, po śmierci Leszka Białego, nastaje znowu walka o tron krakowski, którą zajmowano się już kilkakrotnie; obecnie Kazimierz Krotoski w pracy p. t.: *Walka o Kraków w r. 1228*¹. Zdaniem autora w Księstwie Krakowskim już w końcu XII. wieku utrzymała się praktyka elekcji. „Tronem tu, jak w Czechach, faktycznie rozporządza możnowładztwo, wybierając na książąt bez względu na sprzeczne pretensje Piastowiczów, najdogodniejszych kandydatów z ich rzeszy“, a więc bez względu na zasadę czy to senioratu, czy to dziedziczności. Pozostawił po sobie Leszek Biały syna, Bolesława (Wstydliwego), który nie skończył jeszcze drugiego roku życia. Rozpoczęła się tedy walka o opiekę. Dotychczas przyjmowano, że Konrad Mazowiecki objął od razu opiekę nad synowcem. Krotoski wykazuje, że możnowładztwo powołało jednak Władysława Laskonogiego; ten rządy przyjął, lecz sam zajęty ustawiczną walką w Wielkopolsce, nie rezyduje w Krakowie, lecz mianuje swym zastępcą Kazimierza Opolskiego. Przeciw nim łączy się Konrad Mazowiecki z książętami wołyńskimi, Romanowiczami; obydwie obozy szykują się do walki, gdy wtem w sierpniu 1228, wdowa po Leszku Białym oddała się w opiekę Henrykowi Brodatemu. Konrad zajął jednak Małopolskę z wyjątkiem samego Krakowa. — Henryk przybył dopiero we wrześniu na miejsce. Rozgromił atoli zupełnie Konrada, który z końcem 1228 opuścił Małopolskę¹.

Cytowana już tylekroć „Genealogia Piastów“ rozstrzyga też wątpliwości co do pochodzenia Ludgardy, żony króla Przemysława (pierwotne brzmienie imienia: Przemyśl). Była ona córką

¹ W rozprawie tej nazywa autor Władysława Laskonogiego „Starym“, sądząc, że przydomek „Laskonogi“ powstał tylko przez pomyłkę w źródłach. Restytuował jednak autentyczność tego przydomka Balzer w „Genealogii Piastów“, str. 553.

Henryka I. Pielgrzyma, księcia wyszomierskiego (Wisnar). Zapamiętać warto, że w owych czasach Meklemburgię zowią źródła często Kaszubami. Z margrabiami brandenburskimi, zabójcami Przemysława, Ludgarda wcale nie była spokrewnioną.

Czy Ludgarda zginęła nienaturalną śmiercią i czy Przemysław był sprawcą morderstwa? W r. 1884 wydał Bolesław Ulanowski rozprawę p. t.: „Kilka słów o małżonkach Przemysława II.“¹, gdzie poczytuje podania o rodzaju śmierci Ludgardy za fantazyje ludowe, i twierdzi, że Ludgarda umarła ze zmar-twienia z powodu swej bezpłodności, ze zgryzoty, że mąż źle się z nią z tego powodu obchodzi i o tyle też Przemysław przy-czynił się pośrednio do skrócenia jej życia. Ale zaraz potem w r. 1887 Aleksander Semkowicz w dziele: „Krytyczny rozbiór dziejów polskich Jana Długosza“, zastanawiając się nad poda-niem Długosza o zgonie Ludgardy, jakkolwiek przyznaje, że szczegóły mogą być zmyślane i pochodzić z fantazyi, dochodzi jednak do przekonania, że „sam fakt jednak“ jest prawdziwy. Obecnie Balzer zwraca znowu uwagę, że źródła podające wia-domość o uduszeniu Ludgardy z polecenia Przemysława, są od siebie wzajemnie niezależne, co podnosi wielce wartość ich in-formacyj. Plama ta nie da się tedy zmyć z Przemysława. Po-święcił żonę i skalał się zbrodnią dla ambicyi, a celu i tak nie osiągnął; z drugą żoną miał córkę, a z trzecią znowu nie miał całkiem potomstwa.

Do panowania Łokietka nie pojawił się żaden nowy przy-czynek ogólniejszego znaczenia; te czasy wogóle bardzo są za-niedbane. Za to do czasów Kazimierza Wielkiego mamy ciekawe i pierwszorzędne znaczenia odkrycia, jakkolwiek mieszczą się one w niepozornych rozprawkach.

W ostatnim czasie zajęto się sprawą przyłączenia Rusi Czerwonej do Korony polskiej przez Kazimierza Wielkiego. Jeszcze w r. 1892 (*Kwartalnik Historyczny* VI, 1) ogłosił A. Pro-chaska rozprawkę: „W sprawie zajęcia Rusi przez Kazimierza Wielkiego“. W źródłach historyograficznych rzecz ta przedsta-

¹ Rozprawy Akademii Umiejętności, Wydziału hist.-filoz., t. xvii.

wia się bardzo bałamutnie i pełno jest sprzeczności. Autor odrzuca też wszystkie źródła nie współczesne, wszystkie podania kronikarzy i historyków późniejszych, ażeby „o ile możliwości konstruować przebieg faktów na zapiskach annalistów współczesnych, tudzież autentycznych źródłach dyplomatycznych“. Okazuje się z badań Prochaski, że Bolesław Trojdenowicz popierał na Rusi Czerwonej z całych sił rozwój katolicyzmu, co wywołało nawet powstanie bojarów; ksiązę Bolesław szukał natenzas pomocy u obydwóch sąsiednich monarchów, w Polsce i na Węgrzech. Za jego też jeszcze życia, a prawdopodobnie w r. 1339¹, więc równocześnie z traktatem wyszehradzkim zawarł Karol Robert z Kazimierzem W. jakąś umowę co do Rusi: „Istniał dokument, w którym Karol Robert dwa zobowiązania na się przyjął wobec Kazimierza: 1) pomocy przeciwko Krzyżakom, 2) pomocy przeciwko wszelkim innym wrogom, jednakowoż wyłącznie tylko w sprawach królestwa Rusi“. Od śmierci zaś Trojdenowicza w r. 1340 Polska i Węgry walczyły wspólnie o Ruś. Nadto rozstrzygnął autor wątpliwą dotychczas sprawę dokumentu króla Ludwika co do Rusi z r. 1350; oznaczył dokładnie jego datę i ustalił tekst. Z dokumentu tego wynika, że Ruś Czerwoną uznaje się za własność Korony węgierskiej, nad którą sprawuje rządy król Kazimierz dożywotnio, z darowizny króla węgierskiego; po jego śmierci Ruś wraca do Ludwika; jeżeliby zaś król polski miał syna, wolno będzie Ludwikowi wykupić Ruś dla Węgier za 100.000 florenów. To są rezultaty nowe, a niewątpliwe.

Rozehodzi się jednak o interpretację tego faktu. Prochaska tłumaczy cały układ przykrem położeniem Kazimierza wobec przemożnego sąsiada węgierskiego; z konieczności uznał tedy król polski historyczne prawa Węgier do Rusi Czerwonej, tak, że wobec Rusi występował jakoby w roli „wykonawcy woli królów węgierskich“.

Przeciw temu protestuje słusznie A. Lewicki w artykule w *Kwartalniku historycznym* IX, 3: „Jeszcze w kwestyi zajęcia

¹ Przez pomyłkę wydrukowano w tekście Prochaski 1338.

Rusi Czerwonej przez Kazimierza“. Nie zgadza się to „z pojęciem niezawisłości i z charakterem Kazimierza, jak go znamy, iżby dawał się używać sąsiadom za narzędzie i dwadzieścia sześć lat z największym wysiłkiem i krwią swoich poddanych walczył na to, aby zdobyć kraj nie swojemu lecz obcemu państwu i zadowalniać się tem, że jemu samemu wolno będzie w tym kraju rządzić do końca życia? Bo bądź jak bądź, Węgry były tutaj tylko państwem posiłkującym, a Polska właściwie cały ciężar wojny ponosiła“. Zdaniem Lewickiego można interpretować tę sprawę tylko równorzędnie z innymi układami zjazdu wyszehradzkiego. Kazimierz uznał tam najstarszego syna Karola Roberta, Ludwika, swym następcą na polskim tronie; dla związku państwowego polsko-węgierskiego sprawa ruska miała doniosłość pierwszorzędną, zwłaszcza, że tam było ognisko schyzmy, łączącej się z Tatarami przeciw usiłowaniom katolickiego księcia. „Postanowiono zatem na razie pomagać wspólnie katolickiemu księciu ruskiemu, szamocącemu się ze schyzmą i pogaństwem; a na wypadek... (jego śmierci) postanowiono Ruś wspólnymi siłami zdobyć dla tego przyszłego państwa węgiersko-polskiego i nie dopuścić, aby ten klin, wdzierający się między Węgry a Polskę, dostał się poganom, czy Tatarom czy Litwinom. Ten związek węgiersko-polski otrzymuje w ten sposób wyższą sankcję cywilizacyjną“. Powołano się na prawa Korony węgierskiej do Rusi, ponieważ one były chronologicznie bliższe i były jeszcze w pamięci ludzi, podczas gdy o prawach polskich, aczkolwiek większych, ludzka pamięć już zaginęła. Było to zresztą pod względem politycznym obojętne „wobec tego, że sprawę tę uznano za wspólną tj. za sprawę przyszłego wspólnego państwa węgiersko-polskiego“. Dlatego też Kazimierz mógł przystać, żeby jego rządy na Rusi miały formę węgierskiej darowizny. — Interpretacja ta Lewickiego jest zupełnie zadowalniającą.

W końcu artykułu zwraca jeszcze autor uwagę, że później Kazimierz W. przyjął tytuł „Pana i Dziedzica Rusi“, a Ludwik przyznawał Polsce prawa pewne do tego kraju. Zachęca tedy, żeby przyszłe badania poprowadzić w tym kierunku.

Inna „nowina“ historyograficzna tyczy się pokoju kaliskiego.

Wyrzeka się często na Kazimierza Wielkiego, że się zrzekł Śląska i Pomorza. Co do Śląska, wiadomo jednak już dawno, że całe to „zrzeczenie się“ ograniczało się do tego, że książęta Śląscy mieli mieć swobodę w wyborze zwierzchnictwa Korony polskiej lub czeskiej. Kazimierz zrzekał się tylko władzy zwierzchniej nad tymi z książąt śląskich, którzyby chcieli złożyć hołd królowi czeskiemu; jakoż byli tacy, którzy przy polskiej Koronie pozostali. Zrzekał się tedy tylko tego, co chyba przemocą dopiero przytrzymać trzeba było; a na tyle sił nie miał. Umowa ta nie uwłaczała w niczem przyszłości; każde z księstw śląskich mogło powrócić do związku z Koroną polską i niektóre wróciły. Za wojen husyckich i potem za wojny trzydziestoletniej była dwa razy sposobność odzyskania Śląska, zawsze zaniedbana.

Co do zrzeczenia się Pomorza w pokoju kaliskim, już Naruszewicz był tego zdania, że „Zakon dostał Pomorze w pokoju kaliskim w posiadanie lenne i płacił za nie daninę“; tegoż zdania byli Helcel i Szujski; przeciwnie Voigt i Caro twierdzili, że darowizna Pomorza była bezwarunkową. Sprawa ta opiera się o proces kanoniczny, wytoczony przez Jagiellę w r. 1422 Krzyżakom o to (między innemi), że Zakon stracił prawo do Pomorza, skoro nie płaci trybutu ani nie daje zbrojnych posiłków Koronie. K. J. Gorzycki w rozprawie: „Kwestya lennego zwierzchnictwa Polski do Pomorza za rządów Kazimierza W.“, rozpatruje ten proces ponownie, nadto zaś opiera się na kilku dokumentach i jednym zapisku rocznika świętokrzyskiego. Po tej rozprawie można już sprawę uważać za załatwioną stanowczo; nie powinno już ulegać wątpliwości, że stary Naruszewicz miał zupełną rację.

Zagadnienie, dlaczego Polacy dopiero w r. 1422 sprawę tę podnieśli, jakkolwiek Zakon już od śmierci Ludwika nie uiszczał się z daniny pomorskiej, rozwiązuje autor śladem Szujskiego: celowe milczenie dyplomacyi polskiej z powodu zagubienia dyplomów kaliskich. Tym utraconym dyplomom poświęca ostatni ustęp swej pracy: przypuszcza, że ukradł je za pieniądze dla Krzyżaków książę Władysław Opoleczyk, kiedy był namiestnikiem króla Ludwika w Polsce. Nie ulega wątpliwości, że ten

książę do wszystkiego był zdolny; pod względem stosunku moralności do polityki wyprzedził przecieź znacznie swe czasy i wygląda w XV. wieku, jakby żywcem tam przeniesiony (nieprzymierzając) z XIX-go.

Rodzinne życie Kazimierza W. opracowane jest wyczerpująco w Balzera „Genealogii Piastów“. Mającego lat dwanaście (a może jeszcze mniej), zaręczył ojciec Łokietek z siedmioletnią Juttą (Judytą) Dobrotliwą, córką Jana I., króla czeskiego. Księżniczka ta miała jeszcze potem czterech narzeczonych, aż wyszła wreszcie za mąż za Jana II., króla francuskiego. Nasz Kazimierz zaś, mając lat 15, ożenił się w r. 1325 z Aldoną Anną Gedyminówną; ta zmarła w r. 1339. Z tego małżeństwa były dwie córki: Elżbieta, zaręczona z Ludwikiem VI. Rzymskim, księciem bawarskim i elektorem brandenburskim i z Janem, księciem dolno-bawarskim, a wydana za mąż w r. 1343 za Bogusława V., księcia szczecińskiego i słupskiego. Druga córka, Kunegunda, wyszła za mąż za tegoż Ludwika Rzymskiego w r. 1343. W dwa lata po śmierci Aldony zaręczył się Kazimierz W. z Małgorzatą, córką Jana I., króla czeskiego, a wdową po Henryku II. dolno-bawarskim; małżeństwo jednak nie doszło do skutku z powodu śmierci Małgorzaty. Teraz też nastaje przykry okres w domowym życiu królewskim. Kazimierz, krewki nadzwyczaj, szalał już przedtem nieraz. W r. 1330, już żonaty z Aldoną, bawiąc w stolicy Węgier, uwiódł Klarę Zachównę, o co ojciec jej, Felicyan Zach, napadł na króla Karola Roberta i żonę jego Elżbietę, siostrę Kazimierza. W napadzie tym Elżbieta odniosła krwawą ranę i omal życia nie postradała. Za to wytępiono całą rodzinę Zachów¹. Krwawe to wspomnienie zrobiło króla ostrożniejszym, ale nie poprawiło go wcale. W r. 1341 żeni się Kazimierz z Adelajdą, córką Henryka II. Żelaznego, landgrafa heskiego. Wiadomo, że z nią nie żył i trzymał z dala od siebie na zamku

¹ Do zdarzenia tego przywiązanych jest sporo ubocznych wiadomości, których autentyczność wątpliwa, sam fakt jednak nie ulega wątpliwości. — Co o tem pisał Świeżawski w książce: „Esterka i inne kobiety Kazimierza Wielkiego“, niema żadnej wartości. Ostatnie słowo w tej materji zabierał Semkowicz w „Rozbiorze Długosza“.

w Żarnowcu. Tymczasem zaś nawiązał stosunek z Cudką, kasztelanką sieciechowską, żoną Niemierzy Goleckiego. Z tej miał trzech synów: Niemierzę z Gołczy, Pelkę z Gałowa i Jana z Gołczy. Od nich pochodzą rodziny szlacheckie Goleckich, Gałowskich i Bydlińskich herbu Mądrostki. W r. 1354 pragnie król wstąpić w stalsze jednak związki i (żeby mieć prawego potomka) szuka prawej żony, nie dbając o to, że Adelajda żyje. W r. 1354, mianowicie pisze Wierzynek do rajców wrocławskich, a ci donoszą o tem cesarzowi Karolowi IV., że Kazimierz pragnie poślubić „*aliam reginam, prout dicitur, a Tartaris fore exortam*“¹. Oczywiście żadna dynastia nie byłaby dała Kazimierzowi córki, póki żyła Adelajda. W r. 1356 decyduje się Kazimierz na poślubienie mieszczki. Bawiąc w Pradze, żeni się z Krystyną Rokiczańską, wdową po rajcy Mikłuszu Rokiczańskim; ślub ten, dany w Pradze, był oczywiście nie ważny ze stanowiska prawa kanonicznego. Król nie dba o to i przywozi do Polski Krystynę, jako swą żonę; na to Adelajda, dotychczas znosząca wszystkie upokorzenia biernie, wyjeżdża z Polski. Związek z Krystyną nie dał jednak królowi potomka; był to zresztą związek nietrwały, bo Kazimierz Krystynę wnet porzucił. W r. 1364 stara się Kazimierz o rękę Jadwigi, córki Henryka V. głogowskiego; drobne książątko zdecydowało się oddać córkę w wątpliwe małżeństwo na wielkim tronie i ślub odbył się w r. 1365. Ale dopiero w r. 1368 unieważniła kurya poprzednie małżeństwo z Adelajdą, gdy Jadwiga była już matką trzeciego dziecka¹. Miała trzy córki: Annę, Kunegundę i Jadwigę. — Co do Esterki, uważać ją należy swoją drogą za osobę zupełnie historyczną².

Do spraw wewnętrznych w okresie piastowskim pojawiło się również kilka cennych prac, których treść obraca się około trzech głównych zagadnień tego okresu; a mianowicie około

¹ Balzer oznacza datę pomiędzy lipcem 1366 a majem 1368. Z tego, że papież legitymuje potem osobno jeszcze jej dzieci, należy wnosić, że dzieci te były splodzone przed legitymacją małżeństwa, a zatem uprawnienie małżeństwa nastąpiło w r. 1368.

² Przeczy temu wprawdzie Świeżawski, ale dla niego nawet Rokiczańska jest mytem.

pochodzenia szlachty polskiej, wolności ludności włościańskiej i stosunku Kościoła do państwa.

Sprawa o pochodzenie szlachty polskiej rozstrzygniętą jeszcze nie jest. Piekosiński w znanym swem dziele: „O dynastycznym pochodzeniu szlachty polskiej“, wykazał niewątpliwie, że herby polskie rysunkiem swym opierają się na runicznych znakach. Niemniej przeto są względy poważne, które przemawiają za rodzimem tej szlachty pochodzeniem, za wspólnością pnia polskiego chłopą i szlachcicą. Dzieło Małeckiego: „Studia heraldyczne“, nie dozwala wywodzić szlachty piastowskiej ryczałtem od północno-nadlabskich dynastów-zaborców; ale też niema ono na tyle argumentów, żeby wywody tamte zupełnie obalić i usunąć. W szczegółach ma widoczną racyę to ten, to ów; na ostateczny ogólny sąd jeszcze zawczasu; trzeba te studia jeszcze rozszerzyć i jeszcze bardziej pogłębić.

Natomiast można już uważać za rozstrzygniętą drugą sprawę: o lud wiejski w pierwszym okresie piastowskiej dynastyi.

Jest w historyografii polskiej źródło nieocenionej doniosłości: *Liber fundationis claustris S. Mariae Virginis in Heinrichov* (Henryków pod Ziembicami na Ślązku Górnym), gdzie wymieniono nie tylko całą ludność na przestrzeni przeszło mili kwadratowej imiennie, ale też podano historię niemal każdego człowieka z osobna. A. Małecki, nestor historyków polskich, w rozprawie: „Ludność wolna w księdze Henrykowskiej“, wykazał dowodnie, że osoby nazwane *rustici proprii ducis*, nie tylko zmieniały dowolnie miejsce pobytu, ale też sprzedawały dowolnie swe dziedziczne posiadłości. Jeszcze w połowie XIII. wieku włościanstwo wolne stanowiło rdzeń zaludnienia. Zdaniem autora książęta byli właśnie opiekunami tej wolności, zmierzali do tego, „żeby im prerogatywę osobistej niezawisłości nawet w takich włościach zachować, które Kościołowi lub rycerstwu były nadane; przeciwnie zaś ze strony hierarchii i rycerstwa była walka z wytrwałością godną lepszego celu, ku temu wyteżona, żeby i ten odcień włościaństwa równo z innymi pod własną wzięć jurysdykcyę, a potem i dalsze z tego następstwa krok za krokiem na swoją wyzyskać korzyść“. Pozostaje wprawdzie do udo-

wodnienia, że Kościół życzył sobie przykuć do gleby chłopów w swych dobrach; ale udowodnionem jest bądź co bądź, że chłopci byli. A zatem *rusticus ducalis*, nie znaczy chłopca poddanego księcia, lecz chłopca wolnego, osiadłego na ziemi, nad którą jurydyceyi nie posiadał jeszcze ani Kościół, ani szlachcie; chłopca, który nie uznawał nad sobą żadnej innej zwierzchności, jak tylko władzę książęcą, równy pod tym względem szlachcicowi. Jest on zobowiązany do pewnych prestacyj na rzecz księcia czyli państwa zupełnie z tej samej zasady, jak szlachcic jest obowiązany służyć wojskowo. Jeżeli książę te prestacye odstąpi komu innemu, natenczas *rusticus ducalis* staje się prywatnym, np. *rusticus monasterii*, ale nie traci przez to w zasadzie nic a nic ze swej osobistej wolności.

Tego samego przedmiotu dotyka Małecki w innej także rozprawie: „Studjum nad bullą Innocentego II. z r. 1136, wydaną dla areybiskupstwa gnieźnieńskiego“. Wymieniono tam imiennie ludność 24 wsi, a nazwani są *possessores*. Uważano ich powszechnie za poddanych areybiskupa, przypisanych do gleby. Małecki jednakże twierdzi, że to ludność zupełnie tego samego stanu, jak *heredes* księgi henrykowskiej i uważa ich stanowczo za ludzi wolnych. Zbija też autor powszechnie dotychczas mniemanie, jakoby jeszcze w XI. w. były w Polsce obwody, w których nie istniała zgoła własność prywatna, lecz które całe były wyłączną własnością książęcą, a zaludnione niewolnikami. Zdaniem Małeckiego, „na to tak zasadniczo o ustroju naszym społecznym w tamtych wiekach przesądzające zapatrywanie trzeźwa i nieuprzedzona krytyka nie może się zgodzić“. Z bulli wynika, że już w najdawniejszych czasach obejmowała w sobie ta kasztelania (żnińska) wszelkie możliwe rodzaje posiadania, i wsi rycerstwa i osady zaludnione niewolną warstwą i ojcowizny dziedziców, których tu *possessores* nazwano“.

Nie wynika z tego wcale, żeby obok ludności wolnej nie miało być ludności niewolnej; spór toczy się o to, czy ludność wieśniacza wolna wogóle istniała? Nikt nie wątpi, że swoją drogą była ludność niewolna, pochodząca przeważnie z jeńców wojennych.

Zdanie Małeckiego poparte jest takimi dowodami, że powszechna zgoda na jego opinię jest już tylko kwestyą czasu.

Trzecia kwestya dotyczy stosunku państwa do Kościoła w okresie piastowskim. Władysław Abraham twierdzi, że Kościół był w Polsce aż do czasów arcybiskupa Kietlicza (o którym była rzecz wyżej) zupełnie zawisłym od państwa, a więc od księcia; uczony ten mniema, że „dziesięcina“ nie była też wówczas niczem innem, jak dziesiątą częścią dochodów tylko państwowych (zapasów gromadzonych na grodach), które książę przeznaczał na utrzymanie Kościoła. Małecki jednak obstaje przy zwykłym rozumieniu tej sprawy, że Kościół brał dziesięcinę „od wszystkich i od wszystkiego“. W cytowanej wyżej pracy o bulli Innocentego II. wywodzi też, że wyrażenia bulli: *saecularis iuriditio* nie należy wcale poprawiać konjekturą na *iurisdictio*; bulla bowiem przysądza arcybiskupom prawo zwierzchnicze wynikające z prawa publicznego nad wymienionemi w bulli wsiami.

I pod tym względem ma Małecki rację. Jeżeli bowiem Kościół był tak zależnym od władzy książęcej, jeżeli dopiero Kietlicz rozpoczął emancypację Kościoła, jakżeż wytłumaczymy historię Bolesława Śmiałego; ona sama jedna starczy na dowód, że Kościół był w Polsce potęgą nie tylko moralną, ale też silne miał ramię i od księcia bynajmniej nie zawisł.

W chwili obecnej jest na porządku badań sprawa t. zw. Kroniki Wielkopolskiej, najzawilszego źródła, jakie tylko być może. Sprawa ta obchodzi tylko specjalistów; jeden jednakże szczegół ma interes dla całej czytającej publiczności. Oto na samym początku tej Kroniki jest ustęp, w którym po raz pierwszy w polskiem kronikarstwie jest mowa o Lechu i Lechitach. Małecki w pracy p. t.: „Kronika Baszka, czyli t. zw. Kronika Wielkopolska“¹, zalicza ten ustęp do późniejszych wtretów; jego zdaniem, Lech i Lechici — to wymysł dopiero (co najwcześniej) drugiej połowy XIV. wieku. Na to zdanie czcigodnego Nestora

¹ Wszystkie trzy cytowane tu prace Małeckiego wyszły też w dwutomowym zbiorze p. t.: „Z przeszłości dziejowej. Pomniejsze pisma“. Kraków 1897 (*sic!* data o rok wysunięta, choć książka już od kwartału jest w handlu księgarskim).

zgody jednak nie będzie; w Lechu i Lechitach przecież „coś być musi“, a spór o nich ma związek z Tacytowskimi Lygiami i z madjarskiem nazwaniem Polaków „Lengyel“, nie mówiąc już o ruskiem „Lach“ — co wszystko nie z Kroniki Wielkopolskiej przecież pochodzi.

(C. d. n.).

Dr. Feliks Koneczny.



OBRAZKI Z KRAKOWSKIEJ NĘDZY.

III.

Żebracy.

Wyliczyć wszystkie oddziały żebraków, chcieć rozróżnić wszystkie, nieraz bardzo do siebie zbliżone mundury, wcale nie łatwo i za dalekoby nas zaprowadziło. Mówiąc o najważniejszych kategoriach, mamy: żebraków urzędowych, półurzędowych, prywatnych; żebraków ulicznych i domowych; dziadów kościelnych i odpustowych; żebraków-patryotów; żebraków, zbierających za pomocą listów i próśb, t. zw. „pańskich dziadów“; żebraków z nędzy i żebraków-oszustów. Wreszcie żebracy żydowscy tworzą odrębny, osobnego regulaminu trzymający się korpus.

Komu wolno, komu nie wolno ręki po jałmużnę wyciągnąć? Istniejące dziś austriackie ustawy są, zdaniem powszechnem prawników, sędziów, ludzi zajmujących się od wielu lat kwestyą miłosierdzia, niezmiernie chaotyczne¹. Teoretyczny chaos po-

¹ Por. „O żebractwie i włóczęgostwie“ ze stanowiska historycznego, socjalno-ekonomicznego i prawnego, napisał Aleks. Męciński, c. k. sędzia powiatowy w Jaworowie. Lwów. 1893. Książka to obszerna. obejmuje 310 str. ścisłego druku i dużo nagromadzonych w niej ciekawych materiałów. Szkoda, że także trochę chaotycznie napisana, stylem ciężkim, urzędowym, z którym zwykły profan-czytelnik niemało się musi nabiedzić; jeszcze większa szkoda, że autor, zbyt łatwo wierząc bardzo różnym źródłom, na których się opierał, wypisuje na ich wiarę zdania i sądy, które i same w sobie nie wytrzymują krytyki, i nieraz nawet wzajemnie sobie się sprzeciwiają.

większa się jeszcze w praktyce. Władze policyjne i polityczne, widząc, że przedsiębrane przez nich środki: aresztowanie natrętnych, półpijanych żebraków, karanie ich więzieniem, odszupasowywanie do miejsc rodzinnych żebraków, nieprzynależących do gminy krakowskiej, bardzo nieznaczne przynoszą rezultaty, muszą radę nieradę przymrużać oczy i występować tylko wtedy, gdy już koniecznie wystąpić potrzeba. Cóż np. za pożytek i za pociecha z osadzenia w miejskich aresztach pięciu, dziesięciu, choćby dwudziestu pięciu najróżniejszych dziadów i dziadówek, kiedy po kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu godzinach, gdy już dość nagawędzili się, wzajemnie się w przerwach naprzeklinali i do syta się wypali, trzeba ich wypuścić? Policja przeprowadza indagację pierwszą, zużywa odpowiednią dozę atramentu i papieru i odstawia do magistratu; urzędnik magistracki przeprowadza indagację drugą, ale nie ma już gdzie wyżej odstawić, więc po prostu — na wolność puszcza. I tak idzie w kółko kilkanaście, kilkadziesiąt razy. Nie wiele większa pociecha, gdy pokaże się, że natrętny ów dziad lub baba nie przynależą do krakowskiej gminy, lecz do Bochni, Wiśnicza, Branice lub Kościelnik. Następuje urzędowe „odszipasowanie“, co mówiąc nawiasem kosztuje Galicyę rocznie około 35.000 złr. Rano szupasuje się dziada, babę, czasem starych, skureczonych we dwoje, kaszlących, czasem dość młodych, rwiących się aż za gwałtownie do życia i jego uciech; południowe godziny spędzają odszipasowani w gronie znajomych i przyjaciół: wieczorem przechodzą znów najspokojniej w świecie krakowskie rogatki i ciągną dalej, może z trochę większą ostrożnością, żebraczy proceder.

Jeden z typowych żebraków, kulawy, w łachmanach, z wyglądającą z bocznej kieszeni fłaszczką ze spirytusowym kordyalem, tak mi proceder ów opisywał, z nadziejami i obawami swemi się zwierzał:

„W szpitalu dwa razy mię cięli i odtąd siłę do pracy straciłem. W tygodniu robię szczotki, z tego coś kapnie, ale nie wystarcza; więc w niedzielę i święto pod murem sobie stoję i proszę pocziwych ludzi, żeby się zlitowali. Niema się co skarżyć, nieźli ludzie. Dziś zebrałem 50 centów, a do wieczora jeszcze

kilka godzin i coś przecie kapnie. Jak tak pójdzie, z ogrzewalni się wyniosę, bo mię tam wszy strasznie jedzą, i wynajmę gdzie mieszkanie za dwa reńskie na kwartał. To bieda, że ciągle muszę patrzeć, czy policyant nie idzie; to tu, to tam patrzeć, bo jak policyant złapie, trzeba potem z tydzień „w dziurze“ siedzieć i „do urodzenia“. W dziurze źle, mięso przez cztery rąk przechodzi: co tam zostanie? Byle w dziurze nie trzymali, niechby odsyłali „do urodzenia“. Przyjdę, dzień zostanie, wójt da 10 centów i znowu do Krakowa; — bo i co wójt ma ze mną robić?“...

Ilu tych żebraków wyciągających rękę na ulicy, proszących „o grosik litościwej osoby“? Ktoś nieznajomy lub znajomy z twardego serca, uznany powszechnie za złego i nielitościwego, myślełby mógł, że ich ledwie kilkunastu, nieśmiało przytulonych do kamienicznych bram, szepejących pacierze przed kościołami i klasztorami. Niech taki „twardy“ wybierze się dla pozbycia się illuzji na spacer w towarzystwie „miększego“ filantropa, używającego pewnej popularności w żebraczych kołach! Niech popatrzy się, co się dzieje, gdy jedna z trzech lub czterech pań, o których nierachującej się dobroczynności cały Kraków mówi, próbuje pieszo przejść parę ulic...

„Nie wiem, co robić? — skarży się jedna z nich. — Będę chyba musiała odmówić sobie w Krakowie wszelkiej pieszej przechadzki, takie tłumy wszędzie za mną urządzają łowy i na chwilę nie dają pokoju... Znajomych panów muszę prosić, żeby mię odprowadzali, bo samej nie sposób uwolnić się od natrętów.“

„Kiedyś — opowiada któryś z panów — wychodząc z końca Wolskiej na Rynek, przyszło mi na myśl: „Ciekawa rzecz, ilu też prosić dziś będzie o wsparcie?“ Dzień był dość zimny, przechodniów niewiele się przesuwalo, moja fizyonomia widocznie bardziej jakoś znajoma; bądź co bądź, faktem jest, iż nie przeszedł ani jeden, któryby się ku mnie nie zwrócił i nie przedstawił swych mniej lub bardziej skromnych postulatów. Z początku mię to irytowało; później zacząłem się śmiać...“

Cieęższa sprawa z petentami, którzy nie zadawalniając się wystawianiem po ulicach i zwracaniem na siebie uwagi słowem, gestem i westchnieniem, zapuszczają się do wnętrza domów. Kto

raz wyrobił sobie opinię człowieka bogatego a litościwego, o kim stugębna, zdradliwa wieść rozeszła się po Krakowie, po wszystkich jego przedmieściach, przysiółkach i przynależnościach: „Można do niego wejść, pogadać, przekonać, popłakać się, gdy inaczej nie idzie, ale ostatecznie bez groszy się nie odejdzie“; ten niech się pożegna ze spokojem domowego ogniska, niech nie marzy o popołudniowej drzemce, niech zaprawi ucho do nieustającej o żadnej porze dnia muzyki skrzeczącego dzwonka.

„Grubo zapłaciłem — żali się poważny kapłan, przez którego ręce płynęły znaczne sumy dla krakowskich ubogich — nieraz porządnie się sparzyłem, zanim nauczyłem się oryentować w tym tłumie, który dzień w dzień całą procesją przez te schody sunie i zagląda do mej izdebki. Od szóstej do dziewiątej wieczorem drzwi się nie zamykają. Przychodzą szewcy, krawcy, różni rzemieślnicy, często młodzi ludzie, a wszyscy się skarżą; niema zarobku i proszą o centy. Niemilo słuchać, jak jeden z drugim, a częściej jedna z drugą się sprzeczają i prawie że bierze do pięści: „Ty nie potrzebujesz!... A ty jak żyjesz... Ty włóczęga... Tyś już dostała!...“ Napastują potem po ulicach, że nie można przejść spokojnie. Taka „kapeluszowa“, tu u mnie rano w domu się składa, po rękach chce całować, zaklina się, że matka ciężko chora, siostra dogorywa, brat się myśli wieszać; a po południu na ulicy przechodzi koło mnie z hrabiowską miną i odwraca się, żeby nie poznać rannego dobrodzieja“.

„W pierwszych dniach mego pobytu w Krakowie — opowiada inny ksiądz — dawałem każdemu, co do drzwi za prośbą zapukał. Ale wnet przekonałem się, że to niemożliwe; co parę minut nowy dziad, nowa baba się zgłaszała, tak, że literalnie nie nie robiłem, tylko przyjmowałem dziadów i baby. Musiałem się inaczej urządzić, ale pomimo tego mam jeszcze dziennie pięć do siedmiu wizyt z prośbami. Czasem wszczyna się dyskusya: „Co? — to ksiądz dobrodziej głupich pięciu centów nie ma, żeby nieszczęśliwego poratować! Ciepłutko tu, milutko — a pięciu centów nie ma!...“ Przyznaję, choć to nie bardzo pięknie świadczy o spartańskim mym charakterze, że nieraz pięć centów się znaj-

dzie, byle za nie położyć koniec tego rodzaju przewlekającej się w nieskończoność dyskusji...“

Sprytniejszy, bardziej cywilizowany żebrak-domokrażca nie prosi o parę centów jałmużny na chleb, na surduty; ani miło, ani wygodnie drapać się na tysiące schodów, stukać do setek drzwi, tysięcy mniej miłych komplementów się nasłuchać i za to wszystko przynieść wieczorem do domu ledwie jedną, dwie, trzy korony. Dla biednego pogorzańca; dla nieszczęśliwego ojca któremu właśnie dziecko umarło, a nie ma za co trumienki obstarlować; dla podróżującego za chlebem biedaka, któremu w środku drogi zabrakło pieniędzy na kolej, serca bywają czulsze, portmonetki łatwiej i głębiej się otwierają. Oczywiście zdarzają się prawdziwi pogorzańcy, prawdziwie nieszczęśliwi ojcowie i biedni podróżni, którzy zmuszeni istotną koniecznością uciekają się do chrześcijańskiego miłosierdzia; ale obok tej prawdziwej biedy i potrzeby nie brak fałszu i komedyi. Na innym miejscu obszerniej jeszcze wrócimy do tej komedyi wstrętnej a niestety zbyt częstej.

Pokrewnym typem, w części już znikającym, są żebracy-patryoci, ekspowstańcy. Trudno zawsze dociekać, czy i w czym taki ekspowstaniec, ekswygnaniec się zasłużył, co zrobił, gdzie był i czy istotnie kiedy proch wąchał; to papiery się zapodziały, to Moskale je wydarli i zniszczyli, to zostały u kolegi, który na Sybirze bez śladu przepadł. Nie dasz nic — jesteś zdrajcą, okruszyny miłości ojczyzny nie masz w sercu. Dasz 10 lub 20 centów — spotkasz się z wymówką: „Jako! mnie 20 centów, jakby jakimś ulicznemu żebrakowi, mnie, com krew dla ojczyzny przelewał!“... Czasem z wymówką groźba się łączy: „Przyjdą jeszcze czasy, w których gorzko dnia dzisiejszego pożałujesz. Wobec takiego braku patryotyzmu nic nie pozostaje, jak w łeb sobie palnąć; jak na pierwszym drzewie się powiesić!“ Na to doświadczona i jedyna odpowiedź: „Idź i wieszaj się, a jeśli sznurka nie masz, to ci go pożyczę!“

Dziady i baby, zajmujący stałe stanowisko przy pewnych kościołach i kaplicach, mają, wogóle mówiąc, wcale niegorsze dochody; niektórzy, co potrafili sobie wyrobić miejsce przy paru

najbardziej uczęszczanych kościołach, zaliczają się do dziadowskiej arystokracji i to arystokracji, która łączy w sobie dumę i przywileje arystokracji i rodowej i pieniężnej. Najwyższa arystokracja nigdy swych siedzib nie opuszcza i nie goni za innym mniej pewnym zyskiem. Inni, mniej szczęśliwi, stają pod kamienicami, siadają na kawałku drzewa, na progu, na kamieniu; wciskają się w długie szeregi, które w pewne szczególne uroczystości, w dni odpustowe zajmują przedSIONKI i dziedzińce kościelne; dowiadują się pilnie, gdzie i kiedy, w którym klasztorze, na którym probostwie, w którym domu, którego dnia i godziny odbywa się rozdzielanie stałych jałmużn i skrupulatnie tam podążają. W letnich miesiącach pozwalają sobie na zamiastowe wycieczki do okolicznych dworów i probostw, przynoszące najlepszy zarobek, największą sumę przyjemności, bliższe, dalsze, czasem bardzo stosunkowo dalekie wycieczki i podróże na odpustowe miejsca... To ich majówki, wakacje, kapiele, wyprawy po złote runo.

Zbliżył się do tego dość młodego mężczyzny, co do kamienicznej bramy się przytulił, zdjął czapkę, oczy przymrużył i machinalnie „Zdrowaś Maryo“ powtarza.

„Młody jestem? Tak, młody dosyć, ale miałem tyfus i dźwigać dla Żydów nie mogę. A jak Żyd zarobku nie da, kto da, gdzie się przytulić? Mówią: Do Brata Alberta! A jakże! głupim pójść do Brata Alberta! On nam piwa dużo naważył! Dawniej w magistracie dawali, były magistrackie przytulki. Szło się i do Żydów na Kleparz, za dwa, trzy centy. Teraz 10 centów trzeba a 40 ct. za wódkę, przekąskę, bo Żyd bestya inaczej przepędzi. I papiery trzeba mieć, bo znowu policja przepędzi. Ot, ledwie się żyje i gdyby nie ta wódka, co się jej człowiek rano dla humoru napije, nie starczyłoby sił do życia. Chociaż, Boże przepuść, jakie to życie!...“

Klasycznie brudny i obdarty kazimierski żebrak opowiada nie bez dumy swe *curriculum vitae* i na zapieczętowanie prawdziwości podanych szczegółów miesza raz po raz do rozmowy przekręcone do niepoznania łacińskie wyrazy:

„Byłem na Wawelu przez długie lata klerykiem; ludzie

zwykle „palkami“ nas nazywali. Potem skasowali nas na Wawelu; do kotlarstwa się wziąłem. Byłem w Warszawie, szło niezgorzej. Głupstwo wielkie, żem to miasto opuścił. A teraz co? Od czterech lat właściwego zatrudnienia nie mam. Rękę wyciągaj, do Brata Alberta idź na noc i spij z tą hołotą, co porządnego człowieka z legowiska spycha!...”

Podobne dzieje innych; podobne, czasem słuszne, częściej arcyniesłuszne ich żale. Smutno słuchać, jak skarżą się właśnie na tych, którzy im z chrześcijańską miłością, z najwyższem poświęceniem pomocną dłoń podają; ale i niema się co bardzo dziwić. Dusze przegorzknięte wyrzucają gorycz; ciągle skargi, fachowe niejako narzekania kolegów i koleżanek wbijają się w pamięć i usposabiają do podobnych narzekań; życie na ulicy pędzone, bądź co bądź niezajęte, próżniacze hoduje niskie instynkta, z którymi wdzięczność żadnej nie ma wspólności. Powtórzmy jeszcze — naturalnie zupełnie na chybił trafił — żale, relacje paru żebraczek:

„Stara jestem, mam 50 lat. W ośmnastym roku poszłam do służby; potem 18 lat byłam praczką. We Wiśle się stało; w zimie na lodzie się stało, siedziało, prało, to i choroba przyszła. Teraz już około 10 lat żyję z jałmużny. Niedaleko stąd jestem, parę mil od Krakowa, ale na wsi, u swoich od czterech lat nie byłam. Bo i po co? Oni także nic nie mają...”

„Stara jestem — zawodzi druga podobną zwrotkę na tę samą nutę. — Zięć był kucharzem, póki mógł trochę centów przysyłał, ale potem we Lwowie służbę stracił i sam nie ma. Córka obsługuje za półtrzecia reńskiego miesięcznie. A ja muszę o cencika prosić, bo za same komorne winnam dziewięć reńskich“.

„Po cencika“ suną w oznaczone dni, zwykle w piątek lub sobotę, całe tłumy mężczyzn i kobiet do klasztornych furt, do pewnych sklepów i domów, w których tradycyjnym zwyczajem nikt, kto na czas w dniu tym się wstawił, bez centa lub dwóch, trzech centów nie odchodzi. Pospolite to ruszenie urzędowych krakowskich żebraków; formalna procesya, lub raczej wyścigi, bo każdy pragnie co prędzej swego centa dostać, aby bez straty czasu podążyć na następną stację. Jednej soboty,

na podwórzu i w przedsionku jednego tylko klasztoru narachowałem przeszło stu petentów; swoją drogą, po tych stu, po przejściu wyznaczonej godziny, zgłaszał się przez parę jeszcze godzin cały legion maruderów, z których każdy umiał w najwymowniejszych, najbardziej przekonujących wyrazach wytłumaczyć niezmiernie ważne przyczyny wyjątkowego swego opóźnienia. Każdy też, a mówiąc ściślej każda bez wyjątku gotowa była przysiąc, że jest ze wszystkich najbiedniejsza i że gdyby sprawiedliwość na świecie panowała, dostaćby powinna nie jednego, nie dwa, ale najmniej pięć centów.

„Zmiłuj się Dobrodzieju! — zaklina zgrzybiała babka — Mam 94 lat. Na różnych służbach bywałam, na dobrych i na złych, oj — na złych! Potem poszłam w żydowskie miasto. Męża dostałam. Wojskowy był, pił, bił. Z prania żyłam, póki sił starczyło. Teraz kości dla Żydów zbieram. Za to zarobię 3 albo 4 ct. na dzień. A ot tu wnuczka troje. Jeść chcą niebożęta“.

„Ja mam lat 64. Alem chora na rękę, byłam w szpitalu. Nie robić nie mogę“.

„Syna mam w krawieckim warsztacie, pójdzie do wojska; gdyby nie syn, dawnobym Pana Jezusa o śmierć prosiła, ale cóż syn bezemnieby zrobił? Noga mi spuchła. Do służby wziąć nie chcą. Gospodarz mieszkanie wypowiedział. A nie mam nic. Choćby mi kto gwóźdź za pazur wbił, to nie mam dwóch centów“.

Prośby, opowiadania potrwiają, zdawałoby się, bez końca, gdy wtem niespodzianie jakiś szmer przytłumiony przebiega szeregi, niedokończone prośby w pół słowa się urywają i w jednej chwili następuje ogólna rejterada. To baba postawiona na przednich czatach dała znak, że wróg, niebezpieczny wróg się zbliża: inspektor z czterema policyantami. Niestety! ostrzegające hasło wydano za późno. Straż bezpieczeństwa publicznego zajęła jedyną bramę, wiodącą na ulicę i każdego z kolei pyta arcy-niedyskretnie o nazwisko, mieszkanie, dokumenta. Co tu robić? Między półtora setką zgromadzonych ledwie pewna część nie ma na sumieniu: temu grozi areszt, tamten cztery razy odszupasowywany, po raz piąty powrócił do Krakowa; ten i ta poznali się już poprzednio z panami policyantami w paru niemi-

łych okolicznościach, wymienili z nimi mniej dyplomatyczne noty i obecnie nie mają najmniejszej ochoty pielęgnować w dalszym ciągu tę znajomość. Niema sposobu; jedynie odwaga, przytomność umysłu ocalić może. Kilkudziesięciu rzuca się przebojem i w najbliższych dwóch kościołach znajduje pożądane *asylum*; kilku podąża ku otwartym drzwiom piwnicy i niknie w jej ciemnościach; inni na schody się tłoczą; dwie baby pochwyciły za studzienną pompę i pompują z energią, zaręczając, choć nikt ich jeszcze o to nie spytał: „Jesteśmy najęte do pompowania“. To bieda, że i policyanci w ciemną nie bici: pompa im nie imponuje, ciemności piwniczne i nietylko piwniczne nie odstraszą. Chcą kilku znanych ptaszków wylapać, znaczną liczbę odstawić — mniejsza o to na jak długo — „do urodzenia“; chcą z innymi zawrzeć lub odnowić znajomość, posortować ich sobie na pewne kategorie, o adresach się wywiedzieć. Niema sposobu, gdyś się dał ptaszku złapać, to do klatki idź! Ale zbyt się nie troskaj, jutro, pojutrze, najdalej za jaki tydzień powleciesz się znów starym zwyczajem od klasztoru do probostwa, od sklepu do sklepiku; i dalej zbierać będziesz centy, bułki, pajdy chleba. Przecież policyjne „księżyce“ nie zechcą codziennie takich łowów urządzać; przecież uda się lepiej na przyszłość po nabytem doświadczeniu czujność myśliwych omylić...

Uda się lub się nie uda. Na jednej „oblawie“ odprowadzono do aresztów 150 żebraków; a i po za urzędową oblawą również niejeden rad nie rad musi się do kaźni przespacerować. Koło Panny Maryi skurczona żebraczka rękę wyciąga i żali się, że już dwa razy do aresztu ją zaciągnęli, a wtem, jak piorun z pogodnego nieba, spada tajny policyant i trzeci raz ciągnie. Lepiej wyszła druga, przezorniejsza, co z daleka poznała policyanta i ani jednym słowem, ani jednym drgnięciem nie dała poznać, że również chętnie przyjąłaby parę centów. „Zresztą pierwszej — zaręcza policyjny agent — niema co żałować. To gałganica! Mojej żonie wróżyła. Jakiejś dziewczynie, co miała krostę na rękę, zamawiała, kąpała ją niewiedzieć w czym, a dla siebie wyduszała pieniądze. Dobrze jej, niech w ciupie odpokutuje!...“

Centy przyjmowane są prawie zawsze z radością i wdzięcz-

nością. Trzeba już na to pierwszej wody arystokraty-żebraka, aby rzucił z pogardą ofiarowaną sobie monetę, dlatego, że przedstawia za drobną wartość; robią tak czasem „pańskie dziady“, zgłaszające się na osobistą, prywatną audyencyę; robią czasem „eleganckie panie“, które przekonawszy się, że otrzymały centa lub pięć centów zamiast spodziewanego guldena, ciskają cenci-kiem z całym impetem pod nogi, nawet w głowę nieznanego się na żebraczej godności dobrodzieja i dodać gotowe: „Masz sobie na świeczkę, na trumnę“. Zwykle „piątkowe“, „sobotnie“ dziady, obdzielani na publicznych audyencyach nie dopuszczają się takich fanaberyj. Raczej niejeden po drugi raz po centaby się zgłosił; w jednym sklepie doszło tego, że wszystkie centy przeznaczone dla „sobotnich dziadów“ zanurzano poprzednio w czerwonej farbie, aby każdy, kto raz jałmużnę dostał, nosił na ręce świadczące o tem czerwone piętno. O wiele mniej przez ogół są pożądane: bułki, chleby, rozlewane do garnuszków zupy i przeróżne inne, dość, co prawda, dziwnie ze sobą pomieszane spożywcze ingredyencye. Prawdziwie biedny i głodny chwytą z rozkoszą za garnuszek ciepłej strawy i serdecznie dziękuje Bogu i dobrym ludziom. Kto choć biedny, ale na razie nie głodny, kto u Kapucynów się już dostatecznie posilił, potem popędził do Bernardynów, a wreszcie zaszedł do Franciszkanek lub Urszulanek, aby się przekonać, jakie dziś u nich *menu*, ten naturalnie większe mieć może i miewa pretensye. Bułki twarde, chleb się przejadł; tu za słono, tam za kwaśno, to przepieprzone, to niedopieprzone; to dla smaku, to dla węgchu, a to dla wyglądu swego niemożliwe.

„Jak dajecie chleba — woła młody, tęgi chłop, któremu najwłaściwiej byłoby cepy do ręki włożyć — to dodajcie i co do chleba, bo wam przecież suchego gryść nie będę“.

„Patrzaj pani — mówi żebraczka, wskazując koleżance świeżo napełniony przy klasztornej furcie garnuszek — co za paskudztwo! A! i paniny nie lepszy. Wylejmy to i chodźmy na Smoleńsk do Felicyanek; może tam będzie co smaczniejszego!“

Inna, energiczniejsza, obrzuciła błotem drzwi od mieszkania, w którem dostała jedzenie, a nie spodziewane centy. Inna, na

znak swego niezadowolenia, pokruszyła w kawałki świeżo otrzymaną bułkę i rzuciła ją pod drzwi. Jeszcze inna wręcz zarzucała klasztornej służącej, wydzielającej jej jedzenie do garnuszka:

„Co! — wy nam takie rzeczy dajecie, a same chowacie pieniądze, co macie dla nas od hrabiny!“...

„Od jakiej hrabiny?“ — zapytała zdziwiona służąca, ale na to otrzymała kategoryczną, nie dopuszczającą dalszej dysputy, odpowiedź:

„Ty jesteś posługaczka i nie masz nic do gadania, ani pytan, a tylko masz nam jeść dawać!“...

Kompromitujące to narzekania i spory, które sunącym w procesyi po mieście „sobotnim“ czy „piątkowym“ dziadom wyrobiły wogóle nie najlepszą opinię. Pobożny i poważny brat zakonny, który będąc od wielu lat furtyanem jednego z krakowskich klasztorów, miał najlepszą sposobność poznać osobście cały tłum żebraków tej kategorii, wydał mi o nich bardzo ostry sąd:

„Mówiąc wogóle, jest to najgorszy, najbardziej zepsuty rodzaj ubogich. Znam każdego przychodzącego tu dziada, każdą babę. Dużo oszustw, dużo kłamstw — aż brzydko! Gdyby zebrać wszystkie „sobotnie“ baby na jeden wóz i potopić, nie byłoby wiele szkody. Znaczna część, zwłaszcza z młodszych, rekrutuje się z ladcach, które dawniej nie pracowały uczciwie, a później także nie chciało im się robić, więc puściły się na chleb żebraczy. Nie daj nic, głupstwa gada; gdy mogę, daję centa na odczepnego. Niejedna przyzwoitsza biedaczka woli nie dostać jałmużny, choć prawdziwie potrzebuje, niż znaleźć się w takim towarzystwie. To bardzo smutne!“

Jednej soboty do 200 żebraków ciśnie się do klasztornej furty; następnej soboty połowy brakuje. Gdzie reszta? Czy w arestach miejskich odpoczywa, czy zapomniała o tygodniowej wypłacie; czy dżuma przeszła przez dziadowskie siedziby? Nie! ale w Mogile odpust, na Skalce odpust, na Bielanych odpust; ale zbliża się jeden z wielkich, kalwaryjskich odpustów; więc kto mógł i jak mógł, podążył na odpustowe miejsce z rozkoszną na-

dzieją, że zleje się na niego deszcz miedziaków, kto wie, może i srebrniaków.

Ciągną parę dni naprzód tłumy kalek, ślepych, chromych, głuchych, młodych i starych, bab i dziadów; ciągną, jak kto może: piechotą, furką, koleją, wózkiem ludzkimi rękami popychanym; nie z samego Krakowa ciągną, ale z całej, na kilka, na kilkanaście mil, okolicy. Spieszyć się trzeba, bo kto później przybędzie, ten wszystkie lepsze stanowiska znajdzie zajęte; lepiej przez parę pierwszych dni żyć w Mogile, Kalwaryi, Leżajsku, pod Skalką na własnym koscie, niż narazić się na to, aby w czasie najgorętszego rozwoju odpustu pielgrzymie procesye z daleka cię mijały i nie dosłyszały nawet twych błagalnych przemów i śpiewów. Ludzie po wsiach i miasteczkach przypatrują się ciekawie tej przedniej straży pielgrzymek odpustowych; po liczbie ciągnących dziadów wnioskują niechybnie o mniejszej lub większej liczbie samychże pobożnych pątników. Już dziady się na tem znają, już oni wywają, czy opłaci się, czy nie opłaci podjąć daleką podróż.

Odpust się rozpoczął. Kalwaryjskimi drózkami płyną niekończące się barwne szeregi Ślązaków, Słowaków, Mazurów, Górali, Rusinów; wszystkie po lesistych wzgórzach rozrzucone kaplice, kościoły tak napelnione ludem, że w nich szpilki nie zmieścisz; a pod każdą kaplicą, pod każdym co piątem, co dziesiątem drzewem siedzi, leży żebrak, żebraczka i smętnym tonem zawodzi swe lamentsy. Wielu tu naszych starych znajomych z Podgórza, z Krakowa; witamy się przyjaźnie i między dwoma strofkami o Łazarzu i bogaczu, zawiera się rozmowa o tegorocznym, oczywiście „kiepskim“ odpuscie i świetnych odpustach, jakie dawniej bywały.

„Oj! upadek, upadek, i nam dziadom i księżom upadek. Dawniej, pamiętam dobrze, było huk państwa, leciały jak grad srebrniaki; teraz państwa niema wcale. Zamiast państwa przyszli złodzieje z krakowskimi kompaniami“.

Ślepy z Podgórza się żali: „Kiepsko idzie, zwłaszcza mnie, co nie dojrzę, czy jaka porządniejsza osoba nie nadchodzi. Dziś

reńskiego zarobiłem, ale kolej opłacić trzeba, ośm szóstek; niewiele co zostanie“.

Kulawy się żali: „Niema kto ze mną chodzić; a ścieżki ślizkie, ciężko na czas z drużki na drużkę procesyi zabiegać. Zdrowy to i kilkadziesiąt razy zabiegnie i centów mu narzucają; kalece zawsze wiatr w oczy. Przed piętnastu latami nogę mi u Barucha urwało; przed trzema latami oczy zawiało. Przykładali w szpitalu lapis, ale nie pomogło!“

Naprzeciw, między dwoma wspaniałemi drzewami, stary dziad rozłożył dwie sakwy pełne kawałków chleba, bułek, nie-dojezonych precli. Gdy nikogo nie widzi w pobliżu, przymyka oczy i wpada w półsenną zadumę; gdy spostrzeże nadciągającą gromadkę, zaczyna jęczeć jakby z grobu wydobywającym się głosem:

„O, Boże Najśłodszy, ofiaruję Ci za wszystkie duszyczki!“

„Wybawże te duszyczki!“

„Moje paniusie łaskawe, moje duszyczki przechodzące, prosi was też biedny kaleka o cząsteczkę jałmużny świętej!“

Z pod piątego drzewa wtóruje piskliwym głosem inny kaleka:

„Ja też sierotka uboga, kulawy żebraczek, upraszam ja też, kiedy idziecie do tego Pana Jezusa. Upraszam ja też i za duszyczkami“.

Dalej jeszcze żałośniejsze wezwanie:

„Moje litościwe osobusie przechodzące, prosi, prosi też ciemny kaleka niewidomy. Bo ja też ciemny kaleka niewidomy. Żeby wam też zdrowia, szczęścia, błogosławieństwa. Moje duszyczki łaskawe, moje szanowne paniusie, prosi też ciemny kaleka o cząsteczkę jałmużny, za braci, za siostry!“

„Moi łaskawi ludkowie, prosi też ciemny kaleka... Babusie moje, niech Pan Jezus wam błogosławi... Prosi kaleka, sierota, żebrak. O bo ja też nie zapracuję na kawałeczek chleba. O mój Jezu serdeczny! O moja Matko Boska!“

I znowu, od początku każdy swą zwrotkę powtarza: „Ja też sierotka uboga“... „Moje litościwe osobusie“... „Moi łaskawi ludkowie!“... Grosze spadają, sakwy, kosze napełniają się obrzynkami chleba, nadłamanymi preclami...

Na małym wzgórku, koło którego tłumy kolejno się prze-walają, siedzi może dziesięcioletnia ślepa dziewczynka i co sil cienkim głosikiem wyśpiewuje to pieśń o Męce Pańskiej, to „pieśń nową o sierotach w nędzy narzekających“:

Niechaj wie o tem wszelaka dusza:
Wzgardzisz sierotę, wypchniesz Jezusa;
Bóg to uczyni po twoich dzieciach,
Będą się tulać po cudzych śmieciach.

Obok dziewczynki klęczy z bardzo pobożną miną starsza kobieta, nie wiedzieć matka, krewna, czy poprostu przemyślna impressaria, i zbiera hojnie biednej śpiewaczce wkładane do rączek bułki i centy.

Stary dziad z drugiego wzgórka ma także przed sobą małą, sześciioletnią dziewczynkę, ale ta śpiewać się jeszcze nie nau-czyła, a może niemuzyczne ma ucho; za to rączki to w górę podnosi, to składa i wskazuje gestami, że nie słyszy i nie mówi. Swoją drogą, po paru sprytniejszych pytaniach, pokazało się, że głuchoniema Franusia zupełnie dobrze słyszy i równie dobrze mówi; ale to odkrycie nie wyprowadziło bynajmniej dziada z równowagi. Minęły dawne, lepsze czasy, kiedy to można było obkładać sobie nogi lub piersi surowem mięsem i tak pobudzać pielgrzymów do litości; nawet wywracanie białek do góry, na-wet wskazywanie na sparaliżowaną rękę, kryjącą się w pewnego rodzaju oryginalnym worku, nie zawsze znajduje wiarę u nie-poczeiwych, niepotrzebnie się wszędzie kręcących żandarmów; jeszcze tego brakowało, żeby dziewczynie nie wolno było rączek do woli składać i rozkładać.

Ten młody śpiewak z harmonijką w ręku, z trochę ochry-płym od ciągłego krzyczenia głosem, ślepego nie udaje. Śpiewa i śpiewa, o Matce Boskiej Kalwaryjskiej, o Męce Pańskiej, o Ła-zarzu, o czyscowych duszyczkach. Śpiewa, harmonijkę rozciąga i kureczy, a coraz gęściejsze koło słuchaczów ślepego pieśniarza otacza i półgłosem mu wtóruje. Wtem padł cent do kapelusza; stara, stojąca nad śpiewakiem kobieta, lekko jednym palcem głowy jego dotknęła, a na ten znak pieśń wpół słowa się urwała, rozbrzmiewa zawsze jednakowe podziękowanie: „Panie Boże,

stokrotnie zapłać stokrotną zapłatą!“ — „Matko Boska Kalwaryjska, stokrotnie zapłać stokrotną zapłatą!“ — i dalej pieśń płynie, póki nowy cent jej nie przerwie.

A centy gęsto spadają, często przerywają. „Taki biedak — zwraca się jakaś rozczulona baba z przemową do całego koła słuchaczy — tak pięknie śpiewa, że choćby kto z kamienia był, to musi się wzruszyć!“

„Oj! namęczy się on, namęczy — konstatuje druga — nie żał centusia dać!“...

Ślepy śpiewak niemało „centusiów“ schowa do kieszeni za jednym posiedzeniem. Ile przez cały ośmiodniowy odpust zbierze, ile zebrać potrafią jego koledzy śpiewający i nieśpiewający, ślepi, chromi, głusi, na wózkach wożeni, zajmujący stałe stanowiska, zabiegający procesyom z družki na družkę? Odpowiedź niełatwa, bo naturalnie dziady nie myślą z nabytych skarbów się chwalić. Jeden szukając drobnych dla zmienienia z reńskiego, wydobył z za pazuchy przeszło 60 złr., lecz natychmiast, bardzo sam niekontent ze swej nieprzezorności, energicznie zaczął się tłumaczyć, że te pieniądze nie z odpustowej jałmużny, ale za świeżo sprzedaną krowę. Istotnie być może, że na jednym odpuscie dojść trudno do takiej kwoty; na to sam przemysł, systemby chyba nie wystarczył, trzebaby jeszcze wyjątkowego szczęścia. W każdym razie, wielki kalwaryjski odpust przynieść może żebrakowi obeznanemu dobrze z sytuacją, który zawczasu zdążył zająć odpowiednie stanowisko i umie je odpowiednio wyzyskać, najmniej 20 do 30 złr. czystego dochodu, nie licząc w to jeszcze pełnych worków najróżnorodniejszego pieczywa, które Żydom sprzedane, również parę złotych przyniesie. Odpust na Skałce, w Mogile, Alwerni mniej jest rentownym; zawsze jednak opłaci się i grubo może się opłacić na nie się pofatygować. Jeden z odpustowych przekupniów na Skałce zaręczał mi, że pewien znany mu żebrak „utargował“ — aby użyć własnego jego wyrażenia — jednego tylko dnia 8 złr., drugi doszedł aż do 12 złr.

Wszak niezłe zyski i dziwić się zaudadto nie można, że zadowolone z nich baby i dziady, pragną się wieczorem, po

całodziennej żmudnej pracy, trochę rozerwać w wesołym towarzyszów kole, że nawet nie bardzo przy tej rozrywce na wydatki się oglądają. Różne, w wysokim stopniu „pikantne“ opowiadania krążą o tych dziadowskich balach. Jeśliś ciekawy, pokażą ci chałupy, karczmy, w których dziady na noc się schodzą i pozbywszy się na poczekaniu niejednego kalectwa, bawią się kieliszkiem, opowiadaniem dykteryjek i doznanych przygód, a przy wyjątkowym humorze, tanami.

Nie brak takich specjalnie dziadowskich szynków w Krakowie; jeden zwłaszcza na Kazimierzu tak znany ze zwykłej swej klienteli, że żaden pracujący robotnik, stolarz, murarz do niego nie pójdzie, bo ubliżałby swej godności. Żyd-szynkarz wcale się zresztą o to gniewać nie myśli; wie, że stali klienci go nie zawiodą. Już rano, po czwartej wstąpi niejeden „na blachę“ (półkwaterek); za dnia raz, drugi, trzeci przypadkiem się zabłąka; wieczorem podąży niechybnie na „towarzyskie zebranie“. Huczno tu, wesoło, „blacha“ z rąk do rąk krąży; dziadowski krakowiak rozbrzmiewa:

Patrzcie ino, moi ludzie,
Lekko przyszło, lekko pójdzie!

Spróbuj przemówić dziadowi do sumienia, mów mu o potrzebie oszczędności, otrzymasz rymami osłodzoną, ale niemniej wyraźną odpowiedź:

Gdzie się nie daje,
Tam się nie łaje!...

Daj parę centów, jeszcze do łajania nie nabyłeś prawa:

Chociaż się daje,
Niech się nie łaje!

Tak źle i tak nie dobrze!

Nie zawsze kieszeń pełna, nie zawsze, nie każdy może sobie na bal pozwolić, nie każdy podróżujący dziad, niemający stałego kąta żebrak, wyrobnik zamówić sobie może względnie porządny siennik i porządną wieszakę, w którejś z kleparskich lub podgórskich gospód. Potrzeba zmusza wtedy do oglądnięcia się za czemś innym, tańszem.

Wejdźmy, pod przewodnictwem doświadczonego badacza

i znawcy kazimiersko-żydowskich stosunków, do jednego z domów, nad którego bramą wisi często w dzielnicach żydowskich spotykany napis polski, niemiecki, hebrajsko-niemiecki: „Dom gościnny“. Żydówka głowę z poza drzwi wychyla i ostrzega z góry: „To nie dla panów, to dla takich biednych Żydków, co im gdzieindziej za drogo!“ Nie nie szkodzi, a nuż i dla nas gdzieindziej za drogo, nuż się nam spodobają te apartamenta, nuż zainstalujemy w nich jakiegoś Żydka ze wsi, nad którym rozciągnęliśmy opiekę. Sień ciemna i brudna; za sienią coś nakształt podwórza, nakształt kanału i to nie paryskiego, bo z pewnością paryskie kanały wyglądają jak pałace w porównaniu do tego podwórza. Na samym krańcu podwórza drzwi się otwierają: jedna ciemna ciupka, za nią druga, wreszcie trzecia z paru oknami; to są właśnie gościnne pokoje. Podłoga błotem zasłana; parę kanapek, niegdyś ceratą obitych, parę łóżek-barłogów wyrzuca ze siebie straszne wonie; kołdry czarne od brudu; prześcieradła, poduszka, jeśli możliwe, jeszcze tłustsze, brudniejsze, wstrętniejsze.

„Tu — objaśnia Żydówka — płaci się za nocleg 20 ct. Kto miejsca nie znajdzie na łóżku lub na kanapce, płaci taniej. U nas wogóle bardzo tanio. W innych gościnnych domach, takich jak nasz, trzeba dać za łóżko z pościelą i 40 ct.“

Żydówka łże, jakby zdawała egzamin na redaktorkę anarchistyczno-żydowskiego pisma; kto ma w kieszeni 40 lub i 20 ct., ten z pewnością nie zdecyduje się spędzić nocy w tej norze. Zresztą sama obawia się, czy zbyt nie naciągnęła struny, i z dobrej woli, nie pytana i nie proszona ofiaruje się spuścić „zwyczajną“ cenę. Niepotrzebna fatyga! Zaraz w następnym gościńcu cena noclegu spadła do 10 ct.; w trzecim dostanie sofkę za 5, nawet przy mniejszym natłoku za 4 ct. Zapach, błoto, brud wszędzie jednakowy.

Teraz, w południowych godzinach pusto i głucho w „gościnny dom“; w jednej tylko izdebce jakaś Heród-dziewka, udaje, że do zamykania się zabiera; w innej blisko czy przeszło stuletnia skurczona Żydówka przygląda się struelom przygotowanym na zbliżającą się szabasową ucztę. Wieczorem zapanuje

tu gwar i życie. Goście wszelkiej płci i wieku ściagać zaczęli jeden po drugim; przeglądając przy niepewnym świetle zakopconej lampki rozlatujące się łachmany; klócić się, kto w kącie, kto pod oknem zająć ma legowisko. Coraz pełniej, wszystkie barłogi zajęte, a jeszcze nowi przybysze się wciskają. Ciało przy ciebie; przejść już trudno. Jedni, jak przyszli, na słomę się rzucili i w jednej chwili, nie zważając na gwar, zasnęli snem twardym. Inni, może chorzy, może wygodnisie, próbują surduta w poduszkę zamienić; żalą się, że już ani na łóżku miejsca nie ma, ani na ziemi słomy dosyć, i niespokojnie, z przytłumionym jękiem, przewracają się z boku na bok. Przezorna matka ułożyła pod ścianą młodą córkę, a sama z drugiej strony zajęła miejsce. Dwaj młodzieńcy, wynędzniali chłopacy, rozrzućeni między starszymi; jeden na pół nagi, w kabłak się zwinął, jakby mu, mimo parnego, zabijająco-dusznego powietrza, zimno było; drugi niespokojne ma sny, może ma gorączkę, wciąż nogą grzebie, rękę to z lekka podnosi, to spuszcza, i przez sen niewyraźne słowa szepece.

Na chwilę uciszyło się. Nagle kilkomiesięczne dziecko, śpiące przy matczynej piersi, wszczęło głośny lament; utulić go nie można. Z przeciwległego kąta odpowiedziało płaczem drugie dziecko; jakaś kobieta gwałtownie się rozkaszała; kilku gości zbudziło się i dorzucają polskie, żydowskie przekleństwa do tego koncertu.

I znowu cicho i ciemno, bo lampa dawno dla oszczędności zgaszona. Bije północ, bije pierwsza; wtem przed oknem błysło światelko, silne pięści uderzają w drzwi i słychać niecierpiący zwłoki rozkaz: Otworzyć! To policyjna inspekcya. Dwóch żołnierzy przy drzwiach stanęło; policyjni urzędnicy między ludzkiemi ciałami się przesuwają i rzucają z latarki pęk promieni w wystraszone twarze leżących, bacznie śledząc, czy nie znajdują której znajomej, poszukiwanej; niechętny niewczesnym odwiedzinom gospodarz zerwał się z łóżka i stara się swych klientów obronić przed podejrzeniami. Nie zawsze pomyślny skutek wieńczy podjęte usiłowania; napróżno poczuwający się do świeżej

kradzieży notoryczny złodziej, rękami twarz zakrywa i zawzięcie udaje śpiącego.

— „Aha! mamy cię ptaszku! Ubieraj się i chodź z nami!“

Jeszcze kilka lakonicznych zapytań, wylekniionych odpowiedzi — i burza inspekcyjna przeszła. Teraz dopiero wszystkie oczy się roztwierają, śpiący się budzą; rozpoczyna się krótka, ale jędrna dyskusja nad zaszłymi wypadkami. Obszerniej i głębiej będzie ona prowadzona jutro i pojutrze w okolicznych szynkach; teraz czasu niema, trzeba odbić złożone z góry pięć krajcarów za nocleg, spać trzeba.

Mają biedni, mają między biednymi najbiedniejsi swe hotele; mają i swoje restauracye.

Niektóre z tych restauracyj większe, porządniejsze zowią się z pańska: „restauracyami“ lub ze staropolska: „jadłodajniami“, „garkuchniami“, inne, spekulujące na najbardziej obdartych kaziemiersko-podgórskich lazaronów, przybrały skromniejszą nazwę „tanieh kuchni“. Bardzo źle ich właścicielom dziać się nie musi, kiedy na jednym tylko placu „Wolnica“ wdzięczą się do przechodniów różnobarwne szyldy paru żydowskich „tanieh kuchni“ i aż trzech chrześcijańskich.

Czysta pokusa! Już same nazwy właścielek „garkuchni“ do siebie wabia; jedna nosi gastronomiczne miano: „Maślak“; druga królewskie na francusko-niemiecką modłę wypisane: Leszcinska. A cóż same szyldy dopiero, szyldy niewiele co mniejsze od waziutkich i niziutkich drzwiczek, któremi przedostać się można do jadłodajnych przybytków. Tu malarz przedstawił rozkrajany salceson, tak tłusty, soczysty, że aż tłuszcz z niego kapie i ślinkę w ustach wywołuje; tam potężna, dwułokciowa kielbasa się dymi, a obok w olbrzymiej wazie-szklenicy, wrze, kipi i przez brzegi się przewala jakaś ciecz brunatna, co równie dobrze, stosownie do smaku i imaginacyi wyobrażać może: kawę, poncz, herbatę, barszczyk. Staję przed szyldem i wpatruję się w wymalowane smakołyki. Nie mija minuta a przed szyldem stoi i również pilnie się weń wpatruje cała gromadka lazaronów, którzy nagle, nie wiedzieć skąd, rzekłbyś, z pod ziemi wyrosli. Przez chwilę żywo ze sobą dyskutują o ludzkim zdzier-

stwie, braku sił i roboty, niegodziwości policyantów. Po tej teoretycznej, ogólnej dyskusyi, która zostawać musiała w pewnym stosunku z wyidealizowanym nad drzwiami salcesonem; jeden śmielszej natury z grupy się wydziela — i stawia praktyczną interpelację:

— „Proszę Pana Ojca Dobrodzieja, a czyby mi też Pan Ojciec Dobrodziej nie zafundował barszczyku?”

Chodźmy na barszczyk! W maleńkiej izdebce siedzi już za stołem paru równie brudnych i obdartych gości, jak ich koledzy na ulicy. Naprzeciw stołu gospodarskie łóżko; obok piec kuchenny, od którego, a raczej od rozstawionych na nim dwóch garnków i jednego kotła płyną wokoło zabijające wonie. Tłusty salceson, dymiąca się kielbasa, istnieją, niestety, tylko na zdradzieckim szyldzie. W jednym garnku gotują się jałowe kartofle; w drugim nie mięso, ale smrodliwe mięsne ochłapy, kości i żyły; w kociołku barszczyk. Porcja kartofli kosztuje 4 ct.; porcja barszczu 2 ct., wielka porcja 4 ct.; mała porcja mięsa 5 ct., wielka 10 ct. Ostatnie te dania są dla sakiewki największej części gości wręcz nieprzystępne.

Gospodyni, zgarbiona babka, żwawo się zwija i nalewa memu towarzyszowi gorącego barszczu. Największa to jego zaleta, że gorący; zresztą smakiem, wonią i kolorem żywo przypomina pomyje, na których dnie walają się pozostałe z wczorajszego dnia kości. Gość, dla dodania smaku stojącemu przed sobą płynowi, chwytą w dwa palce potężną dozę soli, potem jeszcze potężniejszą dozę pieprzu, dolewa ze stojącej na stole flaszki parę łyżeczek octu, miesza, próbuje, jeszcze raz octu dolewa i teraz dopiero zabiera się do jedzenia z nie zrównanym apetytem. Jak ten biedak musiał być głodnym, jak mu było potrzeba coś ciepłego przełknąć!

Zwolna koło stołu tworzy się galerya ciekawych widzów. Wszyscy poglądają z wyrazem widocznej zazdrości na szczęśliwego biesiadnika; paru oprzeć się nie może pokusie i każe sobie również podać barszczu za 2 ct. Młody, może dwudziestoletni chłopak w łachmanach patrzy również z wyteżonym, pełnem pożądliwości okiem na brunatny napój; maca się po kie-

szeniach, cóż kiedy w kieszeniach samo płótno i dziury. Nawet towarzysz mój, acz silnie zajęty jedzeniem, spostrzega ten wzrok pożądlivo-błagalny i litość go zbiera.

— „Bierz łyżkę Franek i zwijaj się!”

Zwijają się obydwaj przy pierwszej porcyi barszczyku; zwijają się, choć już w trochę wolniejszym tempie, przy drugiej z kolei.

— „A gdyby Panie Ojczy Dobrodzieju, jeszcze tak porcyjkę mięsa!”

Mdło się robi na sam widok tego mięsa, tych starych żył, tych brudów, w których pływają. Ale nasi znajomi inne w tym względzie mają zapatrywania. Z pewnością żaden smakosz nie brał się z takim przejęciem, z takim uczuciem lubości do sztrasburskich pasztetów; żyły znikają w jednej chwili, brudna polewka znika, dziw, że kości zostają!... Gdybyż można tym zgłodniałym ludziom dać porządny kawał chleba, miskę kaszy, miskę dobrze omaszczonych klusek!...

Ks. Jan Badeni.

KSIĄDZ TOMASZ MŁODZIANOWSKI I JEGO KAZANIA.

(Dokończenie).

III.

Miedzy kaznodziejami polskimi nie brak było takich, co z ambony omawiali potrzeby kraju; kaznodziejów jednakże tak gorąco kochających ojczyznę jak Młodzianowski, tak głęboko odczuwających nieszczęścia krajowe, tak odważnie wytykających narodowe błędy, niewielu można naliczyć. Miła ojczyzna, to dla Młodzianowskiego „pierwsza po Bogu, po Bogarodnicy Pannie, po Kościele miła matka“ (I, 150), której dobro leży mu na sercu i dlatego ją upomina. Do miłości tej „kochanej ojczyzny, by jedno już nie oplakanej“ (I, 292), zachęca nie raz słuchaczy.

Ponieważ przemawiał w czasach wojen i klęsk ojezystych, kazania jego są przepełnione utyskiwaniem na grzechy społeczeństwa polskiego, za które Bóg karze wojnami, powietrzem i głodem.

„Złupił cię Szwed Korono, spalił Węgrzyn, zubożył Moskwiczin, obrał Tatarzyn, splondrował Kozak, ogołocił żołnierz; jako porośniesz, jako do dawnego przyjdiesz szczęścia?“ (I, 113).

„Przeszła strzała tatarska od morza Czarnego aż do morza Bałtyckiego. Przeszła szpada szwedzka od przeprawy Ujskiej i aż się omyła w rzece Sanie. Przeszedł samopał kosański, począwszy od Dzikich Pól aż prawie kilkanaście mil za Wisłę. Przeplukala nas potencya węgierska i aż o Kraków się oparła. Moskiewska wojna od Siewierza aż za Lublin przeszła. A po-

prawiłaś się Korono miła?... Rozumiem to, że w sprawiedliwości boskiej nie masz już inszego na Polskę sposobu, tylko zniesienie i zguba ostatnia“ (II, 232).

Gdzieindziej porównuje Polskę do chorego młodzieńca z Kafarnaum (II, 190) i do podróżnego w drodze do Jerycha, złupionego przez zbójców. „I napadła Korona na rozbójców, naprzód miecz kozacki, łuk tatarski. Wspomnijmy na Pilawce: wyjechaliście tam, panowie moi, na tę wojnę ni do ślubu, aż po ślubie taniec gonionego i uciezki. Nie dość było na tych rozbójstwach. Nastąpił lud szwedzki, moskiewski, brandenburski, węgierski... i złupili Koronę“ (I, 442).

Na wielu miejscach wylicza straty terytoryalne Polski: stratę Inflant, Ukrainy, ziem ustąpionych księciu brandenburskiemu i Moskwie; „ów orzeł wielkich skrzydeł coraz mniejszeje i z onego orła już tylko orlik“ (I, 427).

Najboleśniej dotknęła go utrata Kamieńca. Na wieść o postęпах tureckich, obawia się o jego losy. „Kamieńcu Podolski, forteco Korony, baszto chrześcijaństwa, pogładasz na sąsiedzki Chocim już Turkom zadany, a ty czy nie będziesz pod tymże zawojem. Zadnieprczyżno... kogo pana mieć będziesz?“ (II, 24. 69).

Po upadku Kamieńca wzywa wszystkich, by wołali do Boga o pomoc i ratunek. Czyni niemal wyrzuty Panu Bogu, że Kamieńca nie ocalił: „Cości po tym, sprawiedliwości boska, tak nad nami dokazować... Wždyć to ci pohańcy będą się z Chrystusa naszego natrzásali, że lepiej Mahometowi, niż Chrystusowi służyć; wždyć miesiąc swój nad krzyż twój przekładać będą“ (II, 100). A gdzieindziej: „Jużeści się sprawiedliwości boska krwi tej polskiej nasyciła, podobnoć więcej w samej hordzie ludu polskiego zostaje niż Tatarów; napelniły się Polakami więzienia Konstantynopolskie, galery tureckie, Egipt, Persyá, India! A kiedyż choć ci na złe, ale przedcię na chrześcijańskie, przedcię na Twoje, przedcię na Najświętszej Pannie poddane królestwo wejrzysz“ (I, 200). „Cóż będziesz miał, Panie, z tego za pociechę, kiedy te świątynie twoje w meczety się obróca, kiedy miasto Chrystusa Mahometa chwalić będą“ (I, 169).

Los zabranych z Kamieńca jeńców przejmuje go obawa

i żalem. „O wieleż tam jest oczu, co jak z Kamieńca ich wyprowadzono, jeszcze i razu nie oschły!... Panny zakonne, drobiazgu młodzi jako się tam masz? Ciesz ich miłościwy Boże, ciesz ich Ucieczko utrapionych, Bogarodzico. A ja was bracia nasi i siostry żegnam. Już więcej wiele z was kraju waszego nie oglądacie... już więcej dzwonów chrześcijańskich nie usłyszycie, już więcej Boga na spowiedzi nie przeprosicie. Żegna was i miła ojczyzna, ale i przeprasza, ach! przeprasza, że przez niezgodę swoją was i z Kamieńcem zgubiła“.

Utraty Kamieńca nie może przeboleć — kilkanaście razy o niej wspomina¹, wątpi czy kiedy powróci jeszcze do Polski (IV, 208), ale mimo to woła do Boga: „Zbaw, Panie, lud twój, *Salvum fac Camenecum tuum Domine...* Policz Bogarodzico Panno wszystkie po Polsce wystawione monstrancje, policz wszystkie hostye i komunikanty, weź je wszystkie w ręce swoje Panieńskie a pobłogosław Koronie, pobłogosław Kamieńcowi“ (IV, 47).

Przyczynę i źródło wszystkich nieszczęść krajowych upatruje w grzechach Korony, mianowicie: w małym dbaniu o wiarę, w częstych krzywoprzysięstwach, ciemieniu ludzi ubogich i w cielesnościach, „z których każdy zasługuje u P. Boga naszego, żeby dla niego całe Królestwo zniósł i stratą Korony ukarał“ (II, 324).

Nie dziw więc, że kaznodzieja, ile razy nadarzała się sposobność, na występki te uderzał, i gromił rozmaite w tym względzie wykroczenia.

Niereligijności wogóle słuchaczom nie wyrzuca, ale wytyka opieszałość, brak żarliwości i dość częste mijanie się z religią lub nie dość energiczne jej poparcie w sejmach.

„My Polacy naródeśmy nabożny, ale nie żarliwy... Byłeś na tak wielu sejmach, wieleżes też razy przy kościele stanął? Ginie w Podolu, w Pokuciu, w Naddniestrzu wiara św. katolicka. jakążes jej obronę, ile z ciebie, opatrzył?“ (IV, 603).

Narzeka, że na sejmikach, w Izbie poselskiej i w Senacie pełno ubliżenia wolności katolickiej (I, 105); że żadne inne pań-

¹ I, 123. 125. 200. 226; II, 190. 320. 326; III, 6. 61. 220. 222. 257. 258; IV, 47. 271. 427. 544.

stwo niema tylu heretyków, co Polska, dająca schronienie men-nistom, arianom, eutychemianom, kalwinom, lutrom, schyzmatykom i mahometanom, mieszkającym koło Wilna i Ostroga, o których nawrócenie nikt się nie stara (I, 318).

Szlachcie wyrzuca nie dość gruntowną znajomość nauki katolickiej: „pospolicie mędrszy w swym błędzie jest heretyk niż katolik“, bo katolicy mając wkorzenioną pewność o prawdzie swej wiary, głębiej w niej nie szperają, podczas gdy heretyk „chodzi mocno koło tego, aby sumnieniu gębę zatkał i onego wierzyśka swego, jako pensów się na pamięć uczy“ (I, 189).

Przeciw innowiercom nie występuje gwałtownie, nie wyzywa ich; raz tylko nazywa heretyków dziekiarzami piekielnymi (II, 1), i powtarza skargi miast katolickich, „iż heretycy domy wykupują, do rynku się pną, w kwadrat około-ratuszny wchodzą“ (III, 87).

Katolikom wymawia, że katolictwo ich złe, dla ciężkich grzechów strędownaciale (II, 317), że zaniedbują postów dla lada bagateli: „lekarstweczko weźmie, katarek napadnie, ba, i inne bardziej płonne przyczyny gwałcą post“ (I, 298).

Przeciwstawia pobożność Turków nabożeństwu Polaków; żali się, że procesye w Polsce, z wyjątkiem Bożego Ciała, są opierzone, bezładne i że „katolik, zajedzieli między heretyki, tak się sprawuje jakby nigdy katolikiem nie był“ (I, 298).

Wypomina złe zachowanie się w kościele, mianowicie, że pogadywają, kartują sobie włosy, rozwalają się na ławach (II, 206), że poseł moskiewski zapytany, jakby mu się katolickie nabożeństwo podobało, odpowiedział: „Was Lachów nabożeństwo, czupryną trząsnąć, wasy pogłodzić, siebie posadzić“ (III, 180).

Brak nabożeństwa wyrzuca przeważnie mężczyznom: „w kościołach pełne ławki białychgłów, a mężczyzn gdzieindziej“ (III, 487). Gani jednakże i „nabożnice, co pędzą od jednego kościoła do drugiego i odprawiają przenosiny od spowiednika do spowiednika“ (III, 522).

Zachęca do naśladowania w pobożności mężów zasłużonych krajowi a gorliwych katolików: kanclerza Jerzego Ossolińskiego i podskarbiego Mikołaja Daniłowicza, którzy pętka na sobie

nosili; Wołuckiego, wojewody rawskiego. „u którego po obiedzie, by i heretycy śpiewać musieli: O Marya cna dziewica“ (I, 299).

W kazaniu o poście w Polsee, stawia za wzór posty na dworze Zygmunta I., Kazimierza Jagiellończyka, nawet Zygmunta Augusta. Wspomina o Feliksie Srzeńskim, wojewodzie płockim, „który miał sto czterdzieści lat, a niepochybnie posty zachowywał“ (II, 281). Wspomina, że sam znał „taką szlachtę, co w piątek, aby był domowych nie gorszył, na osobności tylko kawałek chleba zjadł“ (I, 427).

Za wzór zachowania się w kościele, stawia Kazanowskiego, hetmana polnego koronnego (III, 180).

Pragnąłby wskrzesić dawny zwyczaj, sięgający, jak utrzymuje, czasów Bolesława Chrobrego, by Polacy podczas Ewangelii szabel dobywali. „Pochowaliście, panowie Polacy, szable, a Bóg też pokrył przed wami miłosierdzie swoje“ (III, 221).

Drugi grzech Korony: „częste i jawne krzywoprzysięstwa, a nie tylko krzywoprzysięstwa, ale potrzeby i przymuszania krzywoprzysięgania. Jakie przymuszenie, gdy trzeba przysięgać *metseptimus*; jakie krzywoprzysięstwa, że się nie starał o to, aby był deputatem... że nie będzie brał upominków; jakie krzywoprzysięstwa w akcyzach, taksach, w wybieraniu podatków! Cóż rzekę o owych sławnych całego niemal Królestwa krzywoprzysięgach. Pierwsza po abdykacyi Kazimierzowej na elekeyi Michała króla, wiecie materyą¹; druga krzywoprzysięga pod Gołębkiem... Nie wiem, i w pogaństwie, aby tak często cała pospolitość krzywoprzysięgać miała“ (325).

Proponuje wniosek na sejm *Errorbitantiarum*, „żeby na przysięgi tak wiele nie składano, z których żadnej pociechy nie może mieć Rzeczpospolita... a Bóg dla złamanej przysięgi Achana całe wojsko Izraelskie ukarał“.

Zniesienia albo przynajmniej ograniczenia przysięg domaga się także na innem miejscu. „Poskromić dla Boga tych częstych przysięg, albo raczej potrzeby przysięgania, że nie rzekę krzywo-

¹ „Aby każdy, który w elekeyi głos miał, przysięgał, że ani podarunków brał, ani o Panie przedtem traktował“ (I, 231).

przysięgania“ (II, 231). Albo gdzieindziej: „Dalekoby lepiej Korona uczyniła, gdyby pod winą i karaniem niżeli pod przysięgą takie rzeczy tamowała“ (I, 248; IV, 74).

Że sąd kaznodziei w tym względzie był bardzo trafny, i że wymuszane częste przysięgi, jak nie dawały rękojmi prawdomowności przysięgającego, tak były częstą okazyą do krzywo-przysięstwa — tego nie można zaprzeczyć.

O przysięgach w trybunale miał osobne kazanie na żądanie marszałka trybunału, Jana Leszczyńskiego (I, 283), w którym udowadnia, że nie można przysięgać na cudze sumienie i że praktyka ówczesna, wymagająca przysięgi samosiódm — *metseptimus*, jest grzeszną i niema sensu. Nadużycia w tym względzie doszły do tego, że w Lublinie pod ratuszem siadywali „gotownicy, gotowi na przysięgę, a czekający tylko, aby im zapłacono“ (I, 286).

Trzeci grzech Korony, o którym na kilkunastu miejscach przemawia, to ucisk poddanych i nieczułość na nędzę biednych ludzi. Nędza ubogich, nieludzkie często obchodzenie się z poddanymi, czy to ze strony panów czy ze strony przechodów wojskowych, musiała widocznie najbardziej Młodzianowskiemu w oczy wpadać, bo najczęściej o niej mówi, karę bożą przepowiada i nie żałuje barw na odmalowanie jej, by poruszyć serca panów i przemówić do sumień rządców Korony.

„Trzeci grzech, ludzi ubogich ciemnienie tak wydzierstw, jako i chlebami, przechodami wedle upodobania pańskiego, żołnierskiego a czasem urzędniczego. Rozumiem, że gdyby Pan Bóg wszystkie łzy ludzi ubogich, po Polsce dla uciemnienia i niesprawiedliwości wylane w kupę zebrał, mógłby człowiek w nich utonąć. Miła Ukraino, czymżeś utonęła? Łzami ubogich! Miły Kamieńcu, czymżeś przepadł? Na łzach ubogich wpłynął do ciebie zawój turecki. Ojczyzna miła, czemużeś się z królestwa obróciła w księstwo, co mówię w księstwo — w dziedzinę pustą, na poły dziką? Potop cię łez ubogich zalał“.

Przypomina panom, że wieśniak nie jest materyałem do wyzysku. „Poddany w Koronie nie jest niewolnik; tę roboczną te czynsze, te składki tylko czynić powinien, na które się przed-

kwie jego zmówili, chyba żeby z dóbr pańskich więcej zażywał“ (I, 106).

Powstaje na to, że szlachta nawet w niedzielę i święta chłopom spoczynku nie dopuszcza: „Co rzekę, kiedy szlachta umyślnie, bez potrzeby na targi, do młynów z furą ubogich poddanych wyprawuje, a i w święto ani im, ani bydłu ich wypocząć nie da“ (II, 229, podobnie I, 250, 36).

Zwraca uwagę tych, co nieludzko z chłopem się obchodzą, że na nich samych to się odbije. „Kiedy pan często każe pokładać poddanego, obuchem bić, ciemnić... nowe robocizny, zaciągi, podwoły wyciąga... gdy podupadnie chłop, pan odprawi go z niszczeniem i jeszcze pofuka... nie będzie miał tej possessyi. Chłop spadnie, spustoszeje, uciecze, aż ty stracisz majątność“ (IV, 239; II, 118, 149).

Raz po raz uderza na prawodawstwo polskie, że swej opieki nie rozciągnęło nad ludem, i na urzędy, u których wieśniak nie znajduje obrony i sprawiedliwości: „Krwii ubogich... marnie wylana, w co bym cię zebrał? Kto się za tę krew ujął, kto pozwał, kto ukarał? Świątobliwy Statucie, miałeś wielkie polityczne respekty, żeś zamileczał o krwi poddanego, od pana wylanej, o ukrzywdzeniu poddaństwa!... Ale podobnobyś teraz potrzebował w tej materii przydatku jakiego“ (II, 230).

A na innem miejscu z niezwykłą siłą i odwagą stawia pytanie: „Rządzie, który ma stan szlachecki nad swymi poddanymi, iżaliś ty rząd ludzki? Każe szlachcie poddanego kijmi zbić, cherleje, skaleczeje, umrze poddany, cóż o to za kara?... Zaweźmie się urząd na ubogiego, w niwecz go obróci, oprzec się niema za co, pozywać trudno; i to nie ludzki rząd!... Nastąpi nowy dziedzic, aż każe sobie przywileje pokazywać, one zatrzymuje, kasować je chce i odjąć“ i t. d. (II, 227, I, 36).

Tłumacząc znaczenie statuy, jaka przysniła się Nabuchodonozorowi (Daniel 2. 32), mówi, że złota głowa posągu, to król polski. srebrne ręce senatorzy, miedź stan szlachecki, żelazne nogi to stan rycerski. „Część nóg z skoropy znaczy poddanych t an. Toć to są lepianki, na których cały się słup panowania wspiera. Skąd akcyzy, podatki, podymne?—Z tych lepianek! A bę-

dzień słup ten panowania długo trwał?⁴ (IV, 582). Boi się złe wróżyć, i prosi Boga: Niech wiekuję, Panie — ale daje do zrozumienia słuchaczom, że może się stać z Polską, co się stało z owym posagiem.

O tem, co tu tylko narzucił, mówi wyraźniej w innem kazaniu. Między prośbami, jakie Polacy powinni do Boga zasylać, niech się modlą także o to, by Bóg „skwierku, płaczu, przeklinania ubogich ludzi nie wysłuchiwał... Takie uciemżenie ludzi ubogich, że śmierci się to równa... Groza o tem pomyśleć, jako Boga proszą, by ręki pogańskiej nie uszli. — Jeżeli to się uciemżenie ludzi ubogich nie uśmierzy, stan ten Rzeczypospolitej straciecie, straciecie panowie Polacy“ (I, 124).

Na innych miejscach mówi o zubożeniu ludu, o przeciążeniu go podatkami (II, 107; III, 106); o łupiestwach, przechodach wojsk, stanowiskach. „Ubogi chłopek, jako drugiego sądneho dnia, tak się przyjazdu żołnierza boi“ (II, 232, 151; III, 353, 41), wspomina też o nadużyciach po rogatkach miejskich (III, 457).

Nadmiernemu ciemżeniu ludu przypisuje wyludnienie wsi, ucieczki Kozaków, ich bunt y i oderwanie się od Korony (I, 258; II, 154, 211, 512).

Boli go także nędza ludzi ubogich po miastach, zaniedbanie ich, brak szpitali i schronisk dla nędzarzy.

„W Polsce, mianowicie w miastach głównych, ulicy prawie nie masz, gdzieby tylko jeden ubogi leżał...“

„Przez wszystek żywot mój w Polsce nie doczekałem się tego, aby gdzie miano budować znamienity szpital“¹ (II, 348). Uznaje wprawdzie, że Polska biedniejsza jest od innych państw, ale jeżeli panów stać na bankiety, powinno stać także na opatrzenie żywności ubogim. „Powiadano mi o jednym czasów Zygmuntowych, ba, już i Władysławowskich, panie, że na każdy rok na wina i korzenie dawał czterdzieści tysięcy. Wiem, że przez wszystek żywot nie dał na szpital 40.000... Więcej Polacy łożą na wielość koni, cugów, jazdy i na myśliwstwo, i stanie Polski na te zbytki, a kiedy przyjdzie szpitale budować, ubogim

¹ Opaliński, „Na szpitale w Polsce i rzadkie i nieporządne“. Satyry, str. 24.

stałe opatrzenia czynić, to Polska uboga, to Polski nie stanie na to“ (II, 348).

A trochę niżej mówi: „Gdyby panowie to tylko dali na jałmużny, co na psyłożą, co na niepotrzebne szkapy wydają! Chart kochany przy kominie, ubogi na mrozie, — brytan pański na niedźwiedziu, ubogi Chrystusów na gnoju, — szkapa pod kocami, pod derką, a ubogiego koszula ciała mu nie okryje. Czemuż na psy, na szkapy nie skąpimy, a na Chrystusaśmy w ubogich nie łaskawi!“

Miejsce takich możnaby przytoczyć więcej¹. Mino że słowa były ostre, nie obrażano się, ale też, jak się zdaje, nie brano sobie zbyt głęboko przestrogi kaznodziei do serca.

O czwartym grzechu Korony, cielesnościach, nie rozводи się szeroko, ale na dość wielu miejscach czyni o nim wzmiankę. „Zagęściły się między nami tureckie, tatarskie grzechy i dlatego też tatarską, turecką ręką giniemy... Przez co kto grzeszy przez to i ukarany bywa“².

Gdzieindziej mówi o grzechach jawnych przeciw wierze małżeńskej i wspomina, że się separacye i rozdziały w Polsce zagęściły (III, 34. 36); maluje rozpustną młodzież, „która hula po śmierci pana ojca... i wchodzi w przyjaźnie bezślubne“ (IV, 386); wspomina „o włóczęgach po karczmach, ogrodach i domach dobrej myśli z pominięciem Kościoła“ (II, 230); a w jednym miejscu czyni wzmiankę o „grzesznych niewieściskach“ wypędzonych z Lublina (I, 390).

Powstając na wykroczenia społeczeństwa polskiego, nie mógł Młodzianowski zamilczeć o częstych nadużyciach w bankietach, pijatykach i trwonieniu majątku. Są to rzeczy znane, ale przy ocenie kierunku kaznodziejskiego u Młodzianowskiego trzeba i o nich wspomnieć³.

„Weźmy cudzoziemski bankiet, weźmy polski. Prawda, że cudzoziemcy więcej cukrów i konfitur pojedzą niż my, ale gdyby

¹ IV, 603; II, 157. 225. 229. 152 i t. d.

² II, 325; I, 37. 200. 350; II, 69, 145.

³ Porówn. W. Kochowskiego, *Liryk polskich ks. III, XXVIII*. „Na nieporównany zbytek bankietów polskich“.

rachować przyszło, coby u nich kosztowały mięsa, zwierzyzny, i gdyby tak opłacali zaprawy i wina, jako my ich płacimy, pewnieby na to więcej wyszło niż tam na cukry“ (II, 348).

„Wiem o jednym, stoi już na sądzie Pańskim, co na swoje swobody corocznie siedmdziesiąt tysięcy wydawał, uchowaj Panie, aby się tym nie dokupił piekła“ (II, 77).

Wspomina o panach, u których kuchnia nigdy nie wygaszona, u których nigdy nie ochłódnie ognisko (IV, 11); wytyka szlachcie, że w Polsce ten jest w poważaniu, kto dużo pije a nie prędko upija się (III, 59. 265), że we wszystkich stanach zagęściło się „lej rozlej“ (IV, 587).

„Panowie Polacy, panowie Lachowie — woła gdzieindziej — wam *phiała* albo czasza nazbyt miła... między pochwałami to macie, by i samych dopijać się przyjaźni“ (IV, 386).

Polski zwyczaj „trąmbić jak na wojnę do stołu“, stąd poszedł, „że tam przyjaźni się dopijają, chciałem mówić dobijają; co szklenica, to oręż, co wilkom, to strzelba“ (IV, 578).

By pobudzić słuchacza do strzeżenia się wykroczeń w tym względzie, stawia mu przed oczy ruinę majątkową, jako najbliższe ich następstwo. „Czemu dom upadł? czemu majątności, miasteczka do inszych się domów przeniosły? Bankiety winne! Na karpiniowych językach i wątróbkach miętusowych obaliła się familia“ (IV, 11. 202. 587; III, 50. 111; I, 215).

Mówi, że sam znał domy, dawniej bogate, bo skarby jeszcze dziadowskie były, teraz wszystko sfantowane, jeszcze długi zostały. Z majątności tak bogatych jak księstwa, szedł klucz po kluczu, „aż przyszło na kilku tylko folwarkach nędzy się oganiać“ (II, 244).

Przypomina też słuchaczowi, że animusz wioski zjada (II, 515), że ci co na karoce wsi zastawiają, na woźniki majątności sprzedają, jadą jak Eliasza na wozie ognistym — „co cug to paliwioska“ (I, 202).

Dla tej też przyczyny powstaje często na życie nad stan: „Mówi przypowieść polska: buczno, szumno a w pięty zimno. Apparencyja wielka, wątek szczupły, a przedeię wesół, muzyka gra, dodają łasztem. Ale kiedy przyjdzie w Wielkiej polsce św.

Jan, św. Pryszka w Małej Polsce, Trzej Królowie na Rusi, a przyjdzie kredytorom płacić, iść się, jakoby gdy kamień między zęby wpadnie, zgrzytać muszą“ (I, 143). A gdzieindziej:

„Widać było na owej jejmości łańcuszki, pierścionki, wstążki, aż to jakoś zgasło. Ów jegomość przyjachawszy był sobolno, ryśno; nalewki, lichtarze, kufle, czasze, wszystko to było od srebra i jakoś zgasło... bo jejmość i jegomość świecić chcieli pożyczanym olejem“ (IV, 531).

Radzi więc dać pokój wspaniałostkom. „Jeździłeś przedtem kilka cugów, kontentuj się jednym. Hałastrą precz! myśliwstwo nad zamiar precz, materye na przepych precz, bankiety precz... bo bez tego wszystkiego może kto stanu swego dochować“ (II, 230).

Prócz wspomnianych tu błędów i wad społeczeństwa polskiego uderza Młodzianowski na inne także nadużycia, które nazywa grzechami przeciw Rzeczypospolitej. Mówi o nich w kazaniu drugim na niedzielę wtórą po Trzech Królach (II, 43) i ciężkość tych grzechów wyraźnie i dosadnie określa: „Nie wiem, Panie mój, wielu też widzisz, którzy oko mają na te grzechy, któremi grzeszą przeciwko dobru Rzeczypospolitej. Osiwieli drudzy spowiednicy, drugich pleśń już w grobie zjadła, a penitenta nie mieli, którzyby się takich grzechów spowiadał. A pewna, że oprócz grzechów, które są przeciwko wierze i... biją przeciwko honorowi i czci imienia Pana Boga naszego, większych nad te grzechów nie masz; bo więcej złego, to jest całemu dobru pospolitemu szkodę przynoszą. Większy jest grzech źle myśleć ojezyźnie, niż upić się, domowe niesnaski fomentować, niżeli piątek przełamać, pana z poddanymi, poddanych z panem waśnić, niżeli rozbijać“.

Szerzej rozwodzi się nad temi wykroczeniami w kazaniu o niebezpieczeństwach koronnych (II, 69), w kazaniu na tekst: *modicum et non ridebitis me* (I, 93), w mowie o przemianach Polski (III, 220), w kazaniu na temat „Pokój wam“ (I, 36) i na innych miejscach (I, 123; II, 23).

Niepodobna wszystkich jego w tej mierze poglądów i napomnień przytaczać, — trzeba się ograniczyć na kilku przynajmniej wyjątkach i krótkich streszczeniach.

Najszerzej rozwodzi się nad niezgodą stanów w homilii na niedzielę pierwszą po Wielkiejnocy (I, 36), wygłoszonej „dla słuchacza przed sejmnikiem“.

Zaczyna od pokrzywdzenia wieśniaków i wyrzuca panom, że wbrew ustawom statutu koronnego wymagają od kmieci robocizny przez cały tydzień, a nawet w niedzielę od fur, podroża i podwód ich nie zwalniają.

Stan miejski nieukontentowany, bo „wtenczas tylko mu się kłaniają, gdy od nich pieniędzy pożyczają, a potem nakarmią obelgami“.

Stan szlachecki, począwszy od króla Batorego, „wszystko się niechęci z panem. Żółkiewskiemu zadawano, że z Turkami ma porozumienie, i wołał na Cecorze umrzeć, niżeli pod takiego mniemania jarzmem żyć. Jan Zamojski, choć zaszczyt wolności koronnych, począł za swoim ożenieniem z Batorzanką tracić u szlachty konfidencyę... Nie będę liczył innych świeżych niechęci, to tylko namienię, że ludzie rozumni z ciężkością się senatorskiego stolka podejmują, bojąc się inwidy i niechęci“.

Stan senatorski na szlachtę się skarży, „że ich pomawiają, nie szanują, niemilość ojczyzny zarzucają“.

Królowie niezadowoleni ze stanu państwa. „Batory, gdyby nie wsparty swoją wojennością i buławą hetmańską, na tronie by nie siedział. Henryk, prawda żeć i przynecony sukcesją francuską ale i niestworą naszych przerażony, królować nie chciał. Zygmunt III. z rokoszem cichym i jawnym długo się biedził. Władysław IV. dla zabronienia wojny długo żyć nie mógł. Tego, co się działo za Jana Kazimierza, i przypominać nie trzeba... a o tem, co się teraz dzieje (za Korybuta), myśleć się nie godzi, mówić niebezpieczna. Jakoż w Polsce ma być pokój, gdy stany świeckie nie są z sobą złączone!“

Następnie mówi o przebraniu miary w wolności. „Pana Boga proszę, aby wolne ‚nie pozwalam‘ w Polsce wiekowało... ale też proszę, aby to ‚nie pozwalam‘ nie obrzydziło się, odmiany stanu nie przyniosło. I trzeba przestrzedz, aby na Boga i sumnienie był wzgląd, bo gdy kto zrywa bez przyczyny słuszej, albo nie dobrze poważanej sejm potrzebny, grzeszy śmier-

telnie“ (I, 37; IV, 241). W kazaniu na sejmiku *electionis* mówi, że jeżeli ktoś przyjechał, by sejmik rozerwał, nie może być rozgrzeszony — i musi pod grzechem nagrodzić wszystkie krzywdy, jakie wskutek zerwania sejmiku nastąpią. W zasadzie nie jest przeciwny *liberum veto*. „niech zostaje wolny głos, ale nie hu-czek...“ (I, 172) może nawet zbyt idealnie je pojmuje, podobnie jak wolną elekcyę, ale przynajmniej do sumień się odzywa i radzi Polakom „aby, gdy dobro pospolite wyciąga, ustępowali swego, nie pozwalam“ (III, 302; I, 443; IV, 68). Niestety, był to półśrodek, który nie mógł się przydać na wiele.

Gdzieindziej mówi, że w Polsce nie tylko od Żółtych Wód nikt pokoju zewnętrznego nie pamięta, ale też ani wewnętrznego spokoju i ukojenia niesnasek trudno się doczekać, bo „zawezmą się domy przeciwko domom i będą takie rozjątrzenia, że... tę zajadłość czasem aż do trumny niosą“... Wątpi, czy jest choćby jeden dom, w którymby zajątrzenia, poswarków, niechęci nie było. „U nas wszystko wet za wet, za jedno dziesięć“ (II, 333. 119; I, 93. 123. 172. 368).

O hydzeniu króla przed poddanymi, krytykowaniu rozporządzeń, wzajemnie rzucanych podejrzeniach nie brak licznych wzmianek. Jak trafnie na przykład charakteryzuje usposobienie polskie.

„Geniusz polski, jak źle, wodzów i królów lajać“ (IV, 425. 221).

„Pamiętam ja hetmana Koniecpolskiego, ale pamiętam i wiele mów przeciwko niemu; pamiętam Chmieleckiego i jaką miał ządzność! pamiętam rodzica króla Jego Mości (księcia Jeremiego), deszcz cały języków na niego lał. Ale i to słyzałem: niemasz Koniecpolskiego, niemasz Chmieleckiego, niemasz Wiśniowieckiego. Tak to wspominają ludzie, gdy już ich niemasz“ (I, 123).

Albo czy nie zgodne z prawdą określenie stanowiska króla polskiego. „U nas królowie są bezgniewni, namówią im na sejmie, nie przepuszczą na sejmikach, ba, i lada posiedzenie nie obejdzie się bez króla; a przedeię: nie gniewaj się królu, tak się sprawuj, jakbyś tego nie widział, nie słyzał“ (II, 221; IV, 500).

Przyczynę waśni między królem a poddanymi, a zwłaszcza odstręczenie umysłów od Jana Kazimierza, upatruje w zausznikach, co gdy „z panem albo z dworskimi gadają, nie umieją

tylko szlachtę hydzić, a kiedy gadają z szlachtą, nie nie umieją tylko pana i dworskich udawać“ (II, 23), „sprawy jego szpocą, na złe by i jedzenie jego tłumaczą“ (IV, 221).

Oburzony temi waśniami woła: „Królaś i poddanych zwaśnił? wielki grzech! Rzecze penitent: Cóż czynić? Odwołać, odwołać, by i odszczekać! Ale mię wstyd? Przełam wstyd! abys siebie zbawił, abyś zbawił ojczyznę“ (II, 20).

Wynikiem niezadowolenia stanów były konfederacye i związki wojskowe. Młodzianowski miał sposobność przypatrzeć się ich rozwojowi i skutkom; jakże się na nie zapatruje?

Najobszerniej wyklada swe pod tym względem zdanie w kazaniu I. na dwudziestą pierwszą niedzielę po Świątkach (II, 219).

„To pewna, że godzi się i może wojsko zasług się swoich u Rzeczypospolitej dopominać; Rzeczpospolita obowiązana jest nie tylko ją opatrywać, ale i skutecznie wyliczać, i mają w tem ciężki skrupuł ci, do których to należy, bo swoją zwłoką są przyczyną tych szkód, które Rzeczpospolita ponosi, gdy potem wojsko sposobami nieprawnymi zasług swoich dochodzi“... „Nie godzi się jednak wojsku przez konfederacye, przez związki po staropolsku, przez bunty dochodzić zasług“, bo *non sunt facienda mala, ut eveniant bona*, a bunt zawsze jest grzechem śmiertelnym.

Nadto „wojsko jest obowiązane pod grzechem śmiertelnym ustąpić zapłaty, gdyby tego ustąpienia dobro pospolite potrzebowało, bo dobro pospolite jest większe, niżeli dobro prywatne“. Przy tej okazji żali się na tego, kto pierwszy w Polsce wymyślił pieniężne wojsko, bo wyjął Polakom szablę z ręki. „Nie pieniężnem wojskiem przodkowie nasi wojowali, a granice od morza do morza rozprzestrzenili, któreśmy przy pieniężnem wojsku stracili“.

Rzeczpospolita takie związki karać powinna, jako grzechy jawne; amnestya wymuszona sumienia związkowych nie oczyszcza, a jeżeli Rzeczpospolita „dla większych jeszcze mieszanin“ karać takich występków nie jest w stanie, to grzech i odpowiedzialność spada na tych, którzy do takich okoliczności Rzeczpospolitą przywiedli.

W innem kazaniu powstaje na związki z niezmierną siłą,

a boleść gwałtowna unosi go do ostatnich granic, do jakich kiedykolwiek dochodzili kaznodzieje... „Rozbój wielki — związki przeklęte i konfederacye, gdy niesłuszne. Panie! tego, który ich pierwszym był początkiem, duszę zbaw! Ale dom jego, rodzinę, potomstwo... upokorz Panie, aby tym przykładem cała się korona od grzechu odwodziła“...

Dziwi się, że Bóg nie karze sprawców i przywódców konfederacyi; w uniesieniu stawia Panu Bogu pytanie, azali nie widzi tego, który wznowi to „rozbójstwo“ ojczyzny. „Jeżeli go widzisz Panie, zgładź go! Ale jest podobno w grzechu śmiertelnym? Daj mu Panie łaskę do upamiętania!“

„Panowie związkowi — mówi dalej — pod grzechem śmiertelnym jesteście obowiązani miliony szkód nagrodzić... Pierwszy związek liczył się, że go było trzydzieści tysięcy. Porachujcież, co też oni wydarli z łańców, z miast, z cel, z żup wybrali... Wiedzieć panowie związkowi, żeście wszyscy są obowiązani nagrodzić to, jeżeli możecie“ (I, 442).

O tem, cośmy dotychczas rozbierali, mówił Młodzianowski dość często, korzystając z nadarzających się okazji. Mówił jednakże i o innych rzeczach, dotyczących się państwa, podsuwał rady, ganił zakorzenione złe zwyczaje, ośmieszał nadużycia. Czynił to zwykle przy wykładzie jakiegoś tekstu z Pisma św.

Wspomina np. o przewlekłych dla prywaty lub przekupna sejmach (III, 370); o okradaniu skarbu koronnego, do którego ledwo trzecia część podatków dochodzi, a reszta grzeźnie gdzieś po drodze (II, 69); o posiedzeniach sejmowych w późną noc, o włóczęgach i krążyłkach wojsk, zwłaszcza woluntaryuszów, co po Koronie wężykiem chodzą, by uchronić się potyczki (IV, 316; II, 296); o leniwem słuchaniu wici (II, 66) i t. d.

Wyrzuca Polakom, że niechętnie wychodzą za granicę przeciw nieprzyjacielowi (III, 374), że szable im ciążyą i każą je chłopcom za sobą nosić, że ugrzęźli w roli i kupiectwie (II, 168). Mówi o ślepych hufcach w wojsku polskiem i próżnych chorągwiach (III, 386); pospolite ruszenie porównuje ze zgrają Żydów, źle uzbrojoną, idącą do Ogrojca (III, 375).

O szlachcie mówi, że wszystkie dni uczynili sobie niedzielą,

bo się próżnowaniem bawia, stąd też mówią cudzoziemcy o Polakach: *Nobiles Poloni, equites boni, Gens bellicosa, sed otiosa* (I, 250).

Mówi, że w Polsce animuszów dosyć, pieniędzy mało (II, 221. 124; IV, 275), gani niepotrzebne peregrynacye do obcych krajów i ubieganie się za tytułami (II, 155; IV, 275). W stosunkach międzynarodowych z ościennemi państwami wyrzuca niesłowność, „my Polacy prędko słowo narodom damy, prędko go umknjemy“ (I, 170). Podatkom nie jest przeciwny, ale żąda równomiernego ich rozkładu. Godzi się, by i duchowni podatki płacili (III, 119), ale nie więcej od drugich; skarży się natomiast, że podatki, ściągane z majątków duchownych idą na marne, że obraca się je na zbytki: „Płacimy pobory, podymne, jako i drudzy, ale dajemy i *stater*, co teraz chlebem nazywają, a chlebem cudownym, bo z tego chleba, ni z manny, i zwierzyny, i cukry, i bławaty idą“ (IV, 89).

Zwraca uwagę na potrzebę fortyfikacyi i czujnego strzeżenia granic (I, 24; III, 78, 357), radzi Polakom, by z morza dochodów szukali... (IV, 89) radby, żeby na sejmie poruszono sprawę żeglugi: „Dla Boga, morze mamy, a okrętów nie mamy... Bogata Hiszpania, Francya, Luzytania, Anglia, Holandya, bo morzem pożytkuje. Polska nie ma *navem*... Póki kozackie czajki na morze chodziły, i kozacy i panowie ukraińscy bogaci byli“ (IV, 597); słowem, niema prawie rzeczy, któraby uwagi Młodzianowskiego nie zwróciła i którejby nie wytknął przy danej sposobności.

Podczas pobytu w Lublinie, jako kaznodzieja trybunalski, musiał z natury rzeczy i o sądownictwie mówić.

Jak się zapatrywał na przysięgi, widzieliśmy wyżej. O sumienności w wyrokach mówił w pierwszym kazaniu przed trybunałem (I, 1), gdzie udowadnia, że sprawiedliwe sądy zapewniają pokój ojezyźnie; upomina sędziów, żeby nie dali nigdy takiej kreski, którąby Bóg potępił; by nie brali podarków i nie dali się przekupić. Gdzieindziej żąda, by z trybunału nieukowie poszli precz, jak też ci, co się radzi z prawdą mijają (II, 4).

Pragnąłby, by na sędziów obierano ludzi zamożnych, „bo do ubogiego łatwiej przemówi beczka wina, łańcuch, dukacik

nalewka“ (IV, 252). Przestrzega deputatów, by pamiętali na koszty i omieszkania tych, co sądów czekają, by nie zmieniali rejestru, „bo ta odmiana zaciąga szkodę tych, co na ten się już byli rejestr upewnili“ (I, 156). Żali się, że u sądów żydowska sprawa ma czasem prędszą ekspedycyę (I, 436). Mówi, że trybunał wielkie grzywny bierze, że izba często wakuje, częstują się długo, krótko sądzą (I, 412).

„W Polsce o północy się sądy kończą, najadszy się, napiwszy się, rady się zaczynają“ (III, 406).

Powstaje na przewłoki sądowe. „Będzie sprawa, przed sąd sejmowy, trybunałski, asesorski, sprawy przypuścić nie chcą. Czemu? Czasby się ozwać, oczyścić! Dopiero kiedy ten a ten, do sądu należący umrze, ten a ten sędzia albo deputat nie zjedzie, albo z urzędu ustąpi, sprawę prowadzą (IV, 445).

Dosadny i charakterystyczny jest obrazek wyboru deputata. „Jadą panowie szlachta na sejmik deputacki. Trzeba przysiądz, że się nie starał, aby go obrano. Cóż on przecie czyni? Szlachty braci z sobą nazciąga, bankiet sprawi... Aż tu półmisek mówi: dobrzeby Jego Mości za deputata obrać, aż tu misa dobrze napelniona powtóre szepce: trzebaby Jegomości za deputata obrać. Aż jaki taki mówi: nie wymawiaj się Waszmość Ichmościom z pracy, będzie to z honorem województw naszych, odważ się na to... I tak on stół był *mensa responsorum*, głosy mu i kreski obiecano — ogółem mówiąc: pospolicie stoły, bankiety, uczyty domowe lub sejmowe proponują: dobrzeby to uradzić, obwarować i swego dokazują“ (IV, 551. 531; I, 54).

O kaptowaniu braci szlachty na lep serdeczności, o łamanych słówkach: mój kochanku, mój braciszku, mój bracisieńku, mój kochaneczku, wspomina na innem miejscu (I, 142).

Dotykał tu i ówdzie prawodawstwa. Domagał się, jak to już wspomniałem wyżej, by do statutu dodano ustawę, zabraniającą panu poddanych na gardle karać (II, 230), powstawał na to, że mnogo praw na karcie, a mało w używaniu (I, 449), na konstytucyę, z których jedna będzie mówila, białe to, a druga czarne to (II, 46). Wspominając o Mojżeszu, kruszącym tablice przykazań, mówi: „Jeżeliś dwie tylko tablice połamał, dopieroż-

byś poszarpał one szkaradne konstytucyj polskich szpargały“ (III, 74).

Z przytoczonych tu wyjątków pokazuje się, że Młodzianowski na swoją miłą ojczyznę trzeźwo się zapatrywał i że słowa „nie masz króla, nie masz trybunału, któremubym się nie odważył mówić: nie wolno tobie“, nie były czezą przechwałką.

Jaki był skutek tych kazań, trudno osądzić. Kronikarz kolegium krakowskiego mówi w wzmiance pośmiertnej o Młodzianowskim: *cum insigni animarum fructu et frequentissimo concursu concionatus est*. Nie wątpimy, że skutek być musiał, że część przynajmniej słuchaczy wchodziła w myśl kaznodziei i poprawiała się; ogół jednakże pozostał takim, jakim był. Zwady i niesnaski nie ustawały; dola ludu, mimo ślubu Jana Kazimierza, nie poprawiała się; marnotrawstwo, samolubstwo, prywata, niemoralność i nadużycia stołowe zwiększały się coraz bardziej. Nie była to wina kaznodziei — on spełnił swoją powinność. Jeżeli gorzkie prawdy, głoszone tak często przez Skargę przed przedstawicielami narodu, nie skutkowały, tem mniej można się było spodziewać skutku po upominaniach i przestrobach Młodzianowskiego. Tylko, że słuchacze Skargi nie odczuwali jeszcze tak namacalnie skutków nierządu, podczas kiedy słuchacze Młodzianowskiego patrzyli na wezbraną powódź nieszczęść, zalewających ojczyznę, a rysy pękających ścian Rzeczypospolitej, na które za czasów Skargi nie każdy zwracał uwagę: oni mogli już widzieć wyraźnie. Młodzianowski czuł to dobrze i wobec tak lekko-myślnego usposobienia narodu rozpaczał o przyszłości i przepowiadał zgubę ojczyzny z siłą i grozą, równą nieomal Skardze. Zatrwały go przepowiednie o upadku Polski Jana Kapistrana (II, 190), widzenie Daniela Bonikowskiego, publikowane na synodzie piotrkowskim 1628 (IV, 270), ale więcej jeszcze i najwięcej przejmowało go trwogą, „że ludzie, choć o arcyzłych nowinach słyszą, w życiu się arcyzłem nie poprawują“. Wyliczywszy plagi boże, wojny i nieszczęścia na Polskę zewsząd się walące, woła: „Poprawiłaż się Korono miła? Snadź mówi o tobie sprawiedliwość boska: zakamiałaś Polsko, zakamiała! Użyłam na cię tak wiele plag, ludemci przeredziła, krwią pola twoje oblała,

miasta zrujnowała... a cóż za poprawa! Rozumiem to, że w sprawiedliwości boskiej nie masz już innego na Polskę sposobu, tylko zniesienie i zguba ostatnia“ (II, 232).

Na innem miejscu słowa Pisma św.: „Maluczko a nie oglądacie mię“ wkłada w usta Korony. Wskazuje na upadek imperyum rzymskiego, na ruinę innych królestw i wróży podobny los swej ojczyźnie. „Kędyż są owi przodkowie nasi, co ich Bastarnami zwano, owi Maxobii, owi Jazwingowie, owi Polowcy, co i imion ich już nie wiecie? Toż bodaj nie będzie i z miłą ojczyzną; przyjdą lata, w których zapomnią, co to Polska, co król polski. Nakłaniamy się już do tego, bo się musi pełnić Pismo: wszelkie królestwo w sobie rozdzielone spustoszeje“ (I, 94).

Na wiadomość o zbliżającej się burzy od strony Turcyi r. 1672 te same rzuca pogrózki, twierdząc, że niczego innego spodziewać się nie może, tylko kary bożej. „Bóg wyda nas narodowi, którego życiem złem naśladujemy“ (II, 69).

Podobnie się odzywa po sejmie pacyfikacyjnym 1673 r. „Nie trzeba mi dowodzić z racyj jakich politycznych, że nam teraz do kupy i zgody potrzeba... Była niezgoda między Władysławem i stanami, spustoszało królestwo; pod Żółtymi Wodami zniesiono wojsko; niechęciły się stany z Kazimierzem, Szwedzi, Moskwa przyszli; temi czasami nie masz poufalego porozumienia między stanami, Kamienieceśmy stracili... Każde królestwo w sobie rozdzielone, będzie spustoszone. Musiałby Bóg fałować (mylić się) w słowach swoich, gdybyśmy mieli królestwo zatrzymać... Ale Panie, Polska jest to kraj, który jest zaszczytem całego chrześcijaństwa? *Desolabitur*, upadnie! Ale Panie, jest rozumienie całego w Europie świata, że nie masz nic nad jazdę polską? *Desolabitur*, spustoszeje!“ i t. d. (I, 123; IV, 544).

O możliwości ratunku przed upadkiem nie wątpi — ale zwątpił o poprawie Polaków. „Gdyby była² w domu zupełna zgoda, poprawa obyczajów, moglibyśmy się pokrzepczyć, ale nie zanosi się na to; już i nowinki latają, jeżeli się powinie Polakom noga, że pójdziem obcym na podział“ (I, 427; II, 67).

„Starości nasza, czego czekasz? Czy nie przyjdzie by i panom za granicę uciekać, chleba łandykować, na pośmiech na-

rodów przyjść, aby o nas wszystkich świat mówił: rządu nie mają, boskiej obrony nad sobą niegodni“ (III, 44).

Na te nieszczęścia pozostaje jedna rada, błagać miłosierdzie boże o zmiłowanie. Modli się też z słuchaczami do Ducha św. o zgodę, o męstwo i bitność dla żołnierza (I, 168); strofuje słuchaczy, że podczas dotlewiającej wojny szwedzkiej na Chrystusa nie wołają (II, 117); z niezwykle natchnieniem i polotem chciałby wszystkie hostye święte i komunikanty z całej Polski długim łożyć rzędem na wschodnich kresach Rzeczypospolitej, jako wał obronny przeciw pohancom, albo niemi jako tarczą orła polskiego ochronić (I, 169).

Po sejmie pacyfikacyjnym zaleca nabożeństwo do ran Chrystusowych o zgodę domową, o szczęśliwość poznania się na dobrej radzie, o pokój, ale zwycięski, nie taki jak pakta o Inflanty jak pokój z Brandenburczykiem, z Turkami o Ukrainę, i z Moskwą o Smoleńsk i Kijów.

Wzywa pomocy patronów polskich. „Zakrzyknijcie święci Polacy w niebie: kraju nasz nie zginiessz, niezgubionas ojeczyzno, bo cię Chrystus darował Najświętszej Pannie!“ (II, 70).

Odzywa się w ślicznych apostrofach do św. Stanisława biskupa, by jak jego rozsiekanie ciało zrosły się rozdwojone członki ojeczyzny (I, 93. 125).

Prosi św. Stanisława Kostkę z niezrównaną poetyczną prostotą i z całym rozbolełą duszą wylaniem: „Piastunie Jezusów przytulaj, jako najpilniej możesz P. Jezusa do piersi twoich, niech się z tobą bawi, niech na grzechy nasze nie patrzy... na grzechy wojska... na grzechy całej Korony“ (II, 326). Gdzieindziej prosi go, aby dzieciątkiem jako monstrancją pobłogosławił krajowi (II, 263), by piastując Jezusa zrobił memento za kraj i króla, by wyprosił domową zgodę (IV, 256). Wysła św. Stanisława przed tron boży w poselstwie od Polski (IV, 272), prosi, by płaszczem, którego samopał kozacki nie przestrzeli, strzała tatarska nie przeszyje, działo ani granat nie przebiję, otoczył ojeczyznę, a zwłaszcza Lwów, wówczas oblężony (II, 168).

Zaklina Królowę Polską, by nie opuszczała swego ludu — zaklina przez nabożeństwo, kwitnące w Polsce; jak długa i sze-

roka, przez Jej obrazy czczone w kościołach, zamkach, dworach, lepiankach (II, 70; III, 118; IV, 198. 204).

Przypomina śluby Jana Kazimierza we Lwowie i prosi, by jak wówczas świeca gasnąca przy ołtarzu (słyszał to od dworzanina, który porwał się ją zaświecić) zapaliła się, tak teraz świeca Korony za Jej przyczyną zajaśniała (I, 14).

Jaśniej zaczął patrzeć w przeszłość dopiero za Sobieskiego, jak się pokazuje z kazania, wypowiedzianego przed królem podczas sejmiku koronacyjnego. Zwycięstwa pod Komarnem, Narołem, Niemierowem, Kałuszem, Chocimem, napełniły mu serce otuchą, że może Bóg wysłucha prośb i okaże zmiłowanie. „Wszyscy jesteśmy w oczekiwaniu przemienienia Korony naszej albo na złe, że zginiemy, albo na dobre, że kraje odpadłe do nas przyjdą, pograniczni nieprzyjaciele kłaniać się nam będą, zawita pożądanym pokój, i cena u świata. Po Bogu i świętych w kim nadzieja? W Tobie Miłościwy Najjaśniejszy Królu! Dał ci Bóg serce i męstwo wielkie, dał radę nad radami, dał szczęście i postrach na pogaństwo. A my co do wojny chyba modlić się pomożemy; radbym abyśmy modlitwę czynili podobną tej, którą lud izraelski za Dawida czyniwał“ (III, 222) i kończy ładną parafrazą psalmu dziewiętnastego.

„Niech cię Bóg wysłucha w dzień utrapienia“... Wielkież to utrapienie: Kamieniec zgubiony, Ukraina zawojowana, lud ubogi w gębę co włożyć niemający a podatkami nałożony... *Mittat tibi Dominus auxilium de sancto*. Nie trzeba się spodziewać posiłków moskiewskich, ligi chrześcijańskiej; ale niech ci pomoc pośle z świątnice albo od świętego. Od któregoż? Któregoś sobie W. K. Mość za patrona obrał, już trzy okazyje za jego modlitwą szczęśliwieś odprawił, to jest bł. Stanisława Kostki.

„A z Syonu niech cię broni“. Któryż to polski Syon? Ta góra Wawel, ten sam dom boży, który W. K. Mości Stanisław biskup z kościołami swymi oddaje...

„Niech Bóg pamięta wszystkie ofiary twoje“. Miałeś W. K. Mość przedtem od braci a teraz już poddanych urazy swoje; jeżeliby się jeszcze jakiekolwiek znajdowały, daruj je Panu Za-

stępów, a Bóg to W. K. Mości albo odebraniem Kamieńca albo chwalebnem upokojeniem ojczyzny nagrodzi...

Hi in curribus et hi in equis. Będą liczyli tak wiele wozów tureckich, do każdego wozu tak wiele janczarów, będą liczyli tak wiele jazdy tatarskiej, tureckiej... a kiedy król pan nasz rzecze (jako pode Lwowem wsiadając na koń mówił): *In Nomine Dei nostri...* zwyciężymy.

Domine salvum fac regem. Zbaw, Panie, zbawieniem wiecznem monarchę naszego. A kiedy będzie sto tysięcy i kilkadziesiąt ordy, kiedy będą mówili, że kilkakroćstotysięcy Turków wtargnęło — *exaudi nos in die, qua invocaverimus Te...*

Nie dożył Młodzianowski spełnienia swych przepowiedni o upadku Polski — natomiast doczekał się spełnienia ostatniej przepowiedni zwycięstwa: trzy lata przed śmiercią przyjmował mową powitalną zwycięzcę z pod Wiednia, gdy ten w kościele św. Piotra za pogrom Turków Bogu dziękował.

Zapał i gorliwość prawdziwie apostołska, a obok niej gorąca miłość ojczyzny, połączona z głęboką znajomością społeczeństwa, dla którego dobra pracował, zjednały Młodzianowskiemu sympatyę i zapewniły mu pierwsze miejsce między kaznodziejami drugiej połowy XVII. wieku. Należy mu się ono rzeczywiście. Mocą słowa, siłą uczucia i talentem oratorskim przewyższa i współczesnych sobie mowców i wielu późniejszych. Z poprzedników swych nie ustępuje Birkowskiemu (chyba tylko co do siły języka i obrazowania) a w kazaniach, gdzie mowa o wadach narodowych, gdzie uderza na niezgody i waśnie, gdzie piętnuje zbytek, bierze lud w obronę i zapowiada upadek ojczyzny, bardzo widoczne występuje pokrewieństwo duchowe między nim a Skargą. Głęboka boleść nad nieszczęściami Polski, a zwłaszcza nad brakiem poprawy wewnętrznej objawia się u niego nieraz z siłą uczucia, która w pewnych ustępach, bodaj czy nie przewyższa klasycznego Skargi. Mimo że poruszał prawie wszystkie dodatnie myśli, jakie podnosili przed nim pisarze

polityczni, w politykę się nie wdaje, nie stawia żadnego programu poprawy Rzeczypospolitej, ale odzywa się do sumienia słuchaczy i zachowaniem przykazań bożych chce położyć tamę złemu ¹. Ze względu na te jego niezwykle zalety i przymioty, trzeba mu wybaczyć naleciałości epoki, z których się otrząsnąć nie zdołał.

Ks. Józef Sas.

¹ Czyni to przedewszystkiem w następujących wtórych częściach kazań: I, 14. Czy jest Pan Bóg z Polską? 36. Co za okazyja niepokojów w Polsce? 168. W czym Korona i dusze Polaków przyjsia Ducha św. potrzebują? 427. Co za przyczyna lamentu i wzdychania Koronie? 441. O rozbitej Koronie. II, 167. Jako nas Polaków Bóg wezwał na wesele; 190. Syn chorujący znaczy Polskę; 219. W czym w Polsce większej surowości potrzeba? 230. O długach Korony Polskiej; 324. Grzechy ojczyzny. III, 74. Rozpamiętywanie dobrodziejstw boskich Polsce danych; 220. Co za przemiany ojczyzny naszej? 257. Jako względem stanu Rzeczypospolitej polskiej wielom się rzeczom dziwować trzeba. IV, 270. Czy będzie nas bronił bł. Kostka w terażniejszej straży Korony polskiej?

SPRAWA KS. BOGUŃSKIEGO.

Wątpić należy, czy w naszych szamotaniach porozbiorowych było kiedykolwiek bądź lekkomyślniejsze przedsięwzięcie nad wyprawę Zaliwskiego w r. 1833. Nie mam zamiaru kreślić w tem miejscu dziejów tej szalonej wyprawy, ale ponieważ uległa ona prawie zupełnemu zapomnieniu, a sprawa ks. Boguńskiego stoi z nią w bezpośrednim związku, muszę przeto choć kilkadziesiąt wierszy jej poświęcić¹.

Po upadku powstania 1831 roku garść emigracyi nie mogła się zgodzić z faktem zaprzestania orężnej walki. Na czele tej garstki stał J. Zaliwski, były porucznik wojska polskiego, człowiek w średnim wieku, bo urodzony w r. 1798. Podczas powstania próbował on już partyzantki, a ponieważ jako tako mu się w niej powodziło, uznał przeto, iż ten rodzaj prowadzenia walki jest najlepszy. Musiał mieć posłuch pomiędzy młodzieżą emigracyjną, kiedy coraz bardziej (wprawdzie w szczupłym, zdaje się, kole)

¹ O wyprawie Zaliwskiego wyszła wprawdzie cała książka Karola Borkowskiego, oficera artylerji polskiej, p. t. „Pamiętnik historyczny o wyprawie partyzanckiej do Polski w r. 1833“ (Lipsk 1862), ale Borkowski kreśli tylko swoje własne wspomnienia z pobytu w Galicyi (jako aresztowany nie był na placu boju); polemizuje z „Czartoryszczykami“, udowadnia możliwość prowadzenia partyzantki, broni całej wyprawy przed zarzutami i t. d. O przebiegu samej wyprawy nie można sobie z jego książki wyrobić najmniejszego pojęcia.

utrzymywała się myśl rozrzucenia po całej Polsce kongresowej, po Litwie i „prowincjach zabranych“ partyzanckich oddziałów. Młodzi zapaleńcy dowodzili, że rok 1831 nie udał się jedynie dlatego, iż lud w nim zbrojnie nie wystąpił. Postanowili przeto poruszyć masy, ulegając dziwnemu złudzeniu, że wystarczy tylko do nich przemówić, a rzucają się one na wroga. Dla tych mas, twierdzili, partyzantka jest najodpowiedniejszą, bo w niej „różnica klas i przywilejów upada“, bo każdy inteligentny powstaniec w czasie między jedną a drugą potyczką „może się zajmować propagandą zasad“. Kiedy doświadczeni zwracali uwagę na teren Królestwa, nieodpowiedni do prowadzenia partyzantki, Zaliwski i jego przyjaciele dowodzili przeciwnie, iż partyzantka „nigdzie tak dobrze, jak w Polsce“ udać się nie może¹.

Rozpoczęto się przeto do niej przygotowywać. Całą Polskę w najdawniejszych jej granicach podzielono na obwody, każdy obwód składał się z dwóch politycznych powiatów i miał swego naczelnika². Wysyłani z Paryża emisariusze przeprowadzili tę sieć organizacyjną i podobno wprowadzili w błąd Zaliwskiego przesadzonemi wieściami „o tysiącach gotowych do boju“. Partya Czarторыskich, dowiedziawszy się o zamierzonej wyprawie, usiłowała jej przeszkodzić i wysyłała ze swej strony agentów, ażeby zapobiedz nowym nieszczęściom. Mówiono nawet, że Czarторыscy donosili władzom niemieckim o dążących do Polski emigrantach, wskutek czego wielu z nich aresztowano.

Wybuch powstania naznaczono na dzień 15 marca 1833 r. W dniu tym „wszystkie okręgi miały dać znać czynem o sobie“, na dzień ten przygotowywane również wkroczenie do Kongresówki oddziałów powstańczych z Galicyi i Poznańskiego.

I rzeczywiście w połowie marca w kilku naraz miejscowościach Królestwa pojawiły się małe oddziały powstańcze, żaden z nich jednak nie przekroczył liczby 25 do 30 ludzi, a były takie, które składały się z sześciu a nawet czterech powstańców. O ile widzimy z urzędowych sprawozdań rosyjskich, którym nie

¹ Michał Chodźko, „Wyprawa do Polski w roku 1833“. Paryż 1835 (mała broszura).

² *Usque ad finem*. „Żywoty narodowe z ostatnich lat stu“. Paryż 1859.

zaprzeczają źródła emigracyjne, wszystkie „bandy“ przez czas całego powstania nie liczyły więcej nad dwustu ludzi.

Z taką siłą wystąpiono do boju; nie więc dziwnego, że nie był to bój, lecz raczej była to gonitwa kozaków i części wojsk regularnych za szlachetnymi szaleńcami. Gonitwa ta trwała przez dwa miesiące. Połowa zginęła od kuli na polach i w lasach. Rannych nie szczędzono, lecz domordowywano. Dziewicki (dowódca oddziału), nazywany Bayardem rewolucyjnym, przeszyty 5 kulami, zażył truciznę, aby nie dostać się do niewoli. Czwarta część zaledwie uciekła za granicę, a resztę schwytano. Feldmarszałek Paszkiewicz, otrzymawszy od cara Mikołaja pełną władzę sądzenia i karania, nie powodował się litością względem schwytanych. Każdy, kto wpadł w ręce rządu, został powieszony, rozstrzelany, albo skazany „w drodze łaski“ na karę cielesną i ciężkie roboty. Egzekucye odbywały się w Warszawie (dwukrotnie), w Lublinie, w Grodnie, w Szadku, we wsi Borowie i t. d. Pomiedzy powieszonymi był Artur Zawisza, między rozstrzelanymi Michał Wołłowicz¹. Niektórzy skazani na karę cielesną, jak Berni i Raczynski, padli pod kijami.

Na wieść, otrzymaną w Paryżu o pierwszych niepowodzeniach wyprawy (jeszcze przed jej ostatecznym upadkiem), generał Dwernicki, jako prezes komitetu emigracji polskiej, wydał do niej 17 maja odezwę, aby „nie pogarszała stanu“ i czekała „na gruntowniejszą podstawę“², natomiast zapaleńcy głosili, że powstanie rozwija się na Podolu i Wołyniu, że Moskale do miast uciekają — a jeszcze w rok później utrzymywali, że „wyprawa nie skończyła się jeszcze; jest ona dziś pod władzą i opieką ludu polskiego“³. Nie zdjęła im nawet bielma z oczu łaska Paszkiewicza, który, nie mając już kogo chwycić i wieszać, dnia

¹ Bliższe szczegóły dotyczące się egzekucyi i wyroki znajdzie czytelnik w warszawskiej *Gazecie Codziennej* w Nrach 477, 489, 495, 629, 672. Według źródeł rosyjskich rozstrzelano i powieszono 18, według polskich 26, w tem jednak znajdują się dobici pod kijami.

² *Pielgrzym Polski*, pismo polit. i literackie, wychodzące w Paryżu w r. 1833 (brał w redakcyi jego udział Mickiewicz). Odezwa.

³ M. Chodźko, „Wyprawa do Polski“. Rzecz pisana w r. 1834 „na ojczyстей ziemi w okolicach Karpat“.

18 grudnia 1833, jako w dzień imienin cara Mikołaja, „przebaczył“ 50 osobom, „które okazały się winnymi uczestnictwa w zamiarach zbrodniarzy, usiłujących wzniecić nowy rokosz“. Jakiego rodzaju było to uczestnictwo, akt łaski nie wspomina, podaje tylko spis nazwisk, których połowa należała do właścicieli ziemskich, a połowa do oficyalistów, smolarzy, leśników, kobiet i pięciu włościan ze wsi Dzbankie. Prawdopodobnie winą ich było ukrywanie powstańców i dostarczanie im żywności¹.

Tak się skończyła wyprawa Zaliwskiego, który sam w niej udziału nie brał, gdyż w początkach jej został aresztowany w Galicyi i skazany przez rząd austriacki na 20 lat kajdan².

Zaznaczyłem już, iż powodem tego lekkomyślnego przedsięwzięcia, które tak strasznie się zakończyło, była wiara w możliwość prowadzenia partyzantki, a jeszcze większa wiara w utajony patryotyzm ludu polskiego, który na nieszczęście nawet wówczas nie przeczuwał, jak wielką rolę do odegrania przeznaczali mu młodzi zapaleńcy i doktrynerzy. Bo z wyjątkiem Zaliwskiego byli to rzeczywiście wszystko ludzie młodzi, nawet bardzo młodzi, jak się przekonywamy z tekstu wyroków. To jedno też ich tłumaczy i usprawiedliwia. Fantazje swoje brali za rzeczywistość -- wierzyli w swe „piorunowe ramię“ i zdawało im się, że dość zapалу i ofiary, aby dźwignąć z posad bryłę świata.

Historya drukowana nie podaje, jakich środków używano przed wyprawą i podczas wyprawy Zaliwskiego, ażeby ruszyć z posad bryłę... ludową. Na poruszeniu jej jednak, jak wiemy, miano się przedewszystkiem opierać, a więc musiano w tym celu czynić pewne starania. Jedyńy ich ślad dotąd pozostał w sprawie

¹ *Pielgrzym Polski* donosił, że za dostarczanie żywności powstańcom rozstrzelano w Lublinie 18-letnią p. Kawecką — o tym fakcie jednak nie znalazłem wzmianki w urzędowych sprawozdaniach rosyjskich, umieszczonych w dziennikach warszawskich z r. 1833.

² Szwagier Zaliwskiego, Edward Szpek, naczelnik okręgu obwodowego stanisławowskiego, „przy pomocy Jerzego i Wincentego Tyszkiewiczów, Tomki-Horodyńskich, (?) Horocha i młodego Tetmajera“, sformował mały oddziałik powstańczy i wszedł do Królestwa. Schwytany w Warszawie, został rozstrzelany 26 listopada 1833. *Gaz. Codz.* nr. 672.

księdza Boguńskiego, którą według akt urzędowych rosyjskich i konsystoryalnych opowiemy.

Ksiądz Jan Boguński był świeżo wyświęconym kapłanem. Jeszcze w r. 1829 umieszczono jego nazwisko w rubryce sandomierskiej, w spisie *Theologi I. anni*. Zaraz po wyświęceniu otrzymał wikaryat przy kościele parafialnym w Radomiu. Z dokumentów urzędowych, o ile im można wierzyć, niektórzy mieszkańcy Radomia nie byli zadowoleni z młodego wikaryusza. Miedzy innymi kasyer miejski Majewski miał mu zarzucać, „że nie umie być dogodnym dla obywateli“. Tenże sam Majewski miał z namowy ks. Koberskiego, wikaryusza, podać do konsystorza skargę na Boguńskiego, iż „tenże jest niezdolnym i nie umiejącym mawiać kazania“².

Zarzuty te miały mocno dotknąć młodego wikaryusza, który też postanowił „zjednać sobie opinię u ludzi nieprzychylnych rządowi i tym sposobem byt swój zabezpieczyć“. W tym celu ułożył kazanie na poniedziałek wielkanocny, w którym „zastosował słowa Jeremiasza proroka do obecnego położenia kraju“.

Święta wielkanocne w r. 1833 wypadały dnia 7 i 8 kwietnia, to jest w czasie, kiedy oddziały partyzanckie wyprawy Zaliwskiego już od trzech tygodni pojawiały się w rozmaitych stronach kraju³. Chwila więc, wybrana przez ks. Boguńskiego na kazanie, odpowiadała najzupełniej intencjom wyprawy Zaliwskiego.

Wszedł więc na mównicę kościelną ks. Boguński dnia 8 kwietnia i oto w jaki sposób dokonał zamierzonego przedsięwzięcia.

Rozpoczął od słów św. Łukasza: „Myśmy się spodziewali że On miał być odkupić Izraela“. Jest to płonna nadzieją (mówił

¹ *Directorium officii divini dioecesis Sandomiriensis*, 1830.

² Pismo Dyrektora Głównego Prezydującego w Komisji Rządowej spraw wewnętrznych, duchownych i oświecenia publicznego do administratora dyecezyi warszawskiej, ks. Paszkowicza, z dnia 26 czerwca 1833.

³ Do województwa sandomierskiego wszedł 19 marca z Galicyi oddział 8 powstańców. W temże województwie miał pod sobą Dziewicki 25 ludzi. Z urzędowych dokumentów rosyjskich dowiadujemy się, iż rozproszeni przez Kozaków, chronili się w lasach ilżeckich o 5 mil na południe Radomia.

kaznodzieja) ludzie serca nasze pomyslnym skutkiem obietnic Pańskich, jeżeli nie chcemy cierpieć z Chrystusem i własną pracą przyłożyć się do jego zamiarów“. W tem leżał błąd owych „uczniów powątpiewających“. My chrześcijanie nie mamy przyczyn do powątpiewania, bo wiemy, że „zmartwychwstanie Pańskie jest dowodem, zasadą i fundamentem naszej wiary, że jest zaręczeniem i zadatkem, że wiara i chrześcijaństwo nigdy nie zginie“. Powinniśmy się więc cieszyć i radować. W tem miejscu mówca rozwiódł się szerzej nad występками ludzkimi i nad łaską bożą. Zachęcał do poprawy, do odwalenia kamienia, który przeszkadza do powstania z grzechów. Na tem kończyła się pierwsza część kazania.

W części drugiej (o którą nam tu właściwie idzie), rozpoczął kaznodzieja od złożenia swoim słuchaczom życzeń „szczęśliwości wszelkich w tym powszechniej nieszczęśliwości czasie“. Życzył „odmiany tych wszystkich klęsk źródeł, któremi na nas tak straszliwa burza spłynęła“. Ale do tego potrzeba otrzymania miłosierdzia i odpuszczenia Pańskiego, a do którego najspóźniejszym czasem są dni tryumfu, zwycięstwa, chwały i uwielbienia Chrystusowego“. Jeżeli łotrowi przebaczył Chrystus do krzyża przybity, to jakże ten Chrystus już zmartwychwstały nie ma się ulitować na całym nieszczęśliwym narodem.

Koniec kazania podajemy w całości:

„Ta myśl uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego w dniach powszechnej radości tak serca Ojców śś. przenikała pociechą szczęśliwości, że mówiąc oni do swych słuchaczy, nie tylko im życzyli wszelkich szczęśliwości, ale im nawet nadzieję czynili i pewność, że ze zmartwychwstałym Chrystusem powstanie ich razem sława, szczęście ich, obfitość kraju, że powstanie ich sumienia spokojność, ich pasyj zniszczenie, ich pokus zwyciężenie, ich grzechów wykorzenienie, ich nałogów poprawa: że powstanie ich radość i pociecha, na koniec ich szczęśliwość, zdrowie, świątobliwość i zbawienie. — Postępowali oni dalej w swych nadziejach i życzeniach, chlubiąc się w te słowa — mówi z nich jeden: „W Chrystusie jest ciało nasze, krew nasza, cząstka nasza. Jeżeli krew nasza jest więc dzisiaj w tak wielkiem szczęściu,

czemuż my się nie mamy spodziewać skutków najszcześniejszych? Jeżeli ciało nasze jest wyniesione w Chrystusie aż do uwielbienia nieśmiertelnego, czemuż nie mamy ufać, iż możemy być szczęśliwymi na wieki?" — Na tym i ja fundamencie, o! z jaką serca mojego pociechą pragnąłbym was dziś mieć powstałych w Chrystusie zmartwychwstałym nie tylko z waszych grzechów, ale też z waszych nieszczęśliwości, z waszych ucisków i przykrości. O! jakbym z duszy mej pragnął, aby to zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa było dla was początkiem wszelkich pomyślności, czerstwego zdrowia, i miłej w domach waszych spokojności. Obyście wyszli z tego grobu utrapień waszych i ucisków, z bojaźni ustawicznej i niebezpieczeństw, z tego grobu niewoli, uciemnienia i gwałtów od własnych namiętności. Ale cóż są moje życzenia dla was Najmilsi Bracia, jeżeli ręka zmartwychwstałego Chrystusa nie przyłoży się do ich uskutecznienia? Ach! gdybym wiedział jaką modlitwą mógłbym uprosić u Boga dla was skutek mych życzeń, całogobym siebie z chęcią obrócił na to, abym tym sposobem mógł się do waszego zupełnego szczęścia przyłożyć. Jeremiasz Prorok z życzliwości ludowi swojemu nie mógł inaczej czynić o ich pomyślność modlitwy, jak tylko przywołując na pamięć przed Bogiem całą nędzę i ucisk, jaki naród jego cierpiał od wojsk Egiptu i Assyryi. Wołał on z płaczem: Wspomnij, Panie, co cierpimy i obejrzyj się nad niesławą naszą. Oto, mówi, dziedzictwo nasze obróciło się do obcych, fortuny nasze poszły do krajów cudzych, bogactwa nasze rozeszły się po obcej ziemi. Oto, mówi, za swoją własną wodę dla posiłku płacić musimy; naszych rąk pracy krwawej owoce musimy opłacać, naszego własnego zbioru używaniem musimy się dzielić z nieprzyjaciółmi naszymi. Przy tem wszystkim jeszcze miecz groźny trzymają nad karkami naszymi. Oto, mówi dalej do Boga w modlitwie swojej, niewolnicy i nikiemnicy są już panami naszymi. Niewiasty i panny nasze stały się ofiarą nieprzyjacielskiej swawoli. Młodzież naszą, ozdobę kraju naszego, nadzieję obrony naszej, zgubili swawolą i mieczem. Starców naszych sędziwych uprzętnęli z pomiędzy Rady i ludu. I wyraziwszy ten prorok przed Bogiem całe ludu swego

nieszczęście, rzekł: „Jednakże Boże! Ty jesteś Panem naszym łaskawym, Ty na wieki królować będziesz, Panie!”

„Nie będę ja podobnej za wami czynił modlitwy dzisiaj do Boga, nie będę wspominał tych nieszczęśliwości, które nas otoczyły. Dość jest dla was, Najmilsi Słuchacze, rzucić uwagę na stan nasz, a już ze łzami właśnie potrzebaby prosić zmartwychwstałego Chrystusa o miłosierdzie. O! zwycięzco śmierci, Chryste Jezu! czyliż zapomnisz o nas w tym czasie największego tryumfu? Kiedy odnawiasz wszystko w tym czasie zmartwychwstania, odnowź dni nasze przeszłe, przywróć zdrowe w kraju powietrze, daj, o! Panie, żyzność i hojność plonom naszym, zeslij postrach i hańbę na dawnych nieprzyjaciół. — Te są moje dzisiaj dla was życzenia, ale od was zawisło zażyć środków najmocniejszych na ich uskutecznienie, aby jako Chrystus powstał od umarłych, tak i wy w nowości życia chodzili (św. Paweł). Nakoniec w tem wszystkiem dopełnijmy Chrystusowej chwały i godnymi stańmy się, śpiewając wiecznej radości pienia: Ciesz się wszelkie stworzenie, albowiem Pan nasz króluje!”

Treść kazania ks. Boguńskiego doszła do wiadomości władzy rosyjskiej, ale zdaje się, że nie zaraz, tak przynajmniej sądzić można z przytoczonego już pisma Dyrektora Komisji spraw wewnętrznych, duchownych i oświecenia, w którym jeden ustęp zaznacza, że ks. Boguński, którego już chciano przenieść gdzieś indziej, po kazaniu rzeczonem pozostał w Radomiu. Dość, że go wkrótce aresztowano i zapewne przy rewizyi znaleziono rękopis kazania, kiedy kopię jego, z której korzystaliśmy, przesłano przy wspomnianej już powyżej odezwie administratorowi archidiecezji warszawskiej. Dyrektor główny prezydujący w Komisji i t. d. i t. d. a raczej jego zastępca, radca stanu Wojda, zawiadomił ks. Paszkowicza o tem kazaniu, „napęłnionem myślami dążącemi wyraźnie do wzniecenia w słuchaczach ducha rokoszańskiego“, podawał pierwotne (znane nam już) tłumaczenie się ks. Boguńskiego, zawiadamiał w końcu, iż JO. Księżę Namiestnik Królestwa (Paszkiewicz), „znajdując być winnym ks. Boguńskiego za chęć nakłaniania z ambony mieszkańców tutejszych do postępowania przeciwko rządowi, jako też za zamiar za-

chwiania spokojności ogólności, rozkazał oddać go pod sąd wojenny“. Na brzegu tego pisma, ks. Paszkowicz zanotował: „NB. zrobić użycie tego i upomnieć duchowieństwo, aby w naukach swoich nie używało żadnych porównań i przystosowań do obecnego kraju położenia“. Wskutek tej adnotacyi ogłoszono okólnik do duchowieństwa dnia 5 września 1833¹.

Oddany więc został ks. Boguński pod sąd wojenny. Cofnął widocznie swoje pierwotne zeznanie, albo też mu nie uwierzono, kiedy w piśmie Audytoryatu Polowego do feldmarszałka Paszkiewicza, zupełnie inaczej przedstawione jest jego tłumaczenie się. Miał on mianowicie mówić², że kiedy w wigilię Zmartwychwstania Pańskiego (6 kwietnia), po dopełnieniu obowiązków, powracał o północy do domu, spotkał nieznanego mu człowieka, należącego „do bandy wiehrzycieli“, która wkroczywszy z Galicyi, „ukrywała się w lasach ilżowskich“ (? ma być ilżeckich). Ów nieznajomy, którego później ks. Boguński nazwał Maksymilianem Trzebińskim, miał go namawiać do wypowiedzenia kazania w duchu rewolucyjnym, ofiarując mu za to 50 złp. Ks. Boguński „przychylił się do projektu tego bandyty“, który mu obiecał nadto za każde podobne kazanie płacić po 10 dukatów i uszczęśliwić go wraz z rodziną, z warunkiem, aby stale miewał podburzające kazania i raczej przyjął truciznę, niżby wyjawiał komukolwiek nazwisko Trzebińskiego³.

Dalej Audytoryat Polowy armii czynnej zawiadamia Paszkiewicza, iż w drugi dzień Wielkiejnocy wygłosił ks. Boguński zamówione przez Trzebińskiego kazanie wobec ludu, wśród którego znajdowało się „kilku z bandy wiehrzycieli“, z których

¹ Odezwa Dyrektora Prezydującego z datą 26 czerwca doszła do ks. Paszkowicza dopiero 19 sierpnia.

² Właściwie trudno odróżnić w piśmie audytoryatu, do czego sam ks. Boguński się przyznał, a co miało wykryć śledztwo.

³ Z tenoru przedstawienia Audytoryatu Polowego wydaje się jakoby przytoczone szczegóły były przez śledztwo stwierdzone. Rzucają się jednak w oczy zbyt rażąco nielogicznością, aby uwierzyć temu było można. Trzebiński np. obiecywał „uszczęśliwić“ Boguńskiego i mówił mu, aby w danym wypadku zażył truciznę. Ciekawe zaiste uszczęśliwienie! Tak samo podanie co do owych nagród pieniężnych nie ma logicznej podstawy. Jeżeli ks. Bo-

jeden po ukończeniu kazania przybył do zakrystyi, dziękował ks. Boguńskiemu i również jak Trzebiński obiecał mu płacić po 10 dukatów za każde podobne przemówienie z ambony. Wkońcu Audytoryat poczytuje ks. Boguńskiemu za winę, iż „w czasie indagacyi czynił rozmaite fałszywe i wykrętne zeznania, dla ukrycia istotnej prawdy“. Za takie przestępstwa Komisya Sądu Wojskowego, ustanowiona przy kwaterze głównej armii, na mocy ustawy (tu następuje cały szereg „tytułów“ i artykułów, a między innemi nawet „ustawy morskiej“), zasądziła ks. Boguńskiego na karę śmierci. Audytoryat Polowy znajdując taką decyzję sprawiedliwą i zgodną z prawem, zaopiniował, „aby Boguńskiego jako wichrzyciela jawnego i współuczestnika zło-czyńców usiłujących powtórnie wzniecić bunt dla obalenia wła-dzy prawej, na mocy 137 artykułu wojskowego powiesić na miejscu dokonanego czynu w Radomiu przez kata i takowy jego czyn opublikować w gazetach w Królestwie Polskiem“. Zresztą ostateczną decyzję w tej sprawie pozostawił Audytoryat księciu feldmarszałkowi. Na autentyku tego „przedstawienia“ znajdo-wało się siedm podpisów: pełniącego obowiązek prezesa jenerała-majora Kinrysa (?), pełniącego obowiązek jenerała audytora polowego klasy piątej, Hryhorejewa i t. d. Feldmarszałek Pa-szkiewicz uniósł się łaskawością i na autentyku kazał napisać: „O przestępstwie ks. Jana Boguńskiego zawiadomić biskupa dyecezyi tutejszej (?), aby zdjął z niego sakrę, poczem odesłać go do Syberyi do robót katorżnych“. Podpisano: „Jeneral-feld-marszałek książę warszawski hrabia Paszkiewicz Erywański. 20 października 1833 w Warszawie“. Nieco niżej: „Za zgodność — pełniący obowiązki jenerała armii czynnej jeneral-major Wil-liński“.

guński wiedział, na co się naraża (a wzmianka o truciznie najwyraźniejby tego dowodziła), to mógł to czynić jedynie z przekonania, a nie w chęci zysku nie będącego w żadnym stosunku do grożącej odpowiedzialności. Traktując tę rzecz wreszcie, że tak powiem, ze stanowiska interesu finan-sowego, zabawnie wygląda, iż dalsze kazania miały być płacone po 200 złp. a pierwsze 50 złp. W układach tego rodzaju chyba zawsze i wszędzie pa-nuje stosunek odwrotny.

Ks. Boguński, jak widzimy z dekretu konsystorza sandomierskiego, znajdował się wówczas w cytadeli warszawskiej; z tego zapewne powodu kazał Paszkiewicz udać się z żądaniem zdjęcia z niego sakry do biskupa „tutejszego“. Ks. Adam Paszkowicz¹, administrator archidiecezyi warszawskiej, oświadczył jednak, że to nie należy do niego, lecz do biskupa dyecezyi, do której zapisany jest ks. Boguński. Przesłano więc żądanie feldmarszałka kapitule sandomierskiej, której imieniem po śmierci biskupa Adama Prospera Burzyńskiego († 1830) i sufragana Aleksandra Dobrzańskiego, biskupa laontopolskiego († 1831) rządził dyecezyą późniejszy biskup-nominat sandomierski (1840—1842), wówczas archidyakon katedralny, ks. Klemens Bąkiewicz, *sede vacante Episcopatus ac Dioecesis Sandomiriensis Administrator Generalis*².

Ks. Bąkiewicz wspólnie z członkami kapituły: księżmi Gabryelem Białobrzeskim, Kazimierzem Stokowskim, Mateuszem Moszczyńskim, Janem Ratyńskim i Franciszkiem Szalapskim, mając sobie przedstawiony wyrok sądu wojennego na ks. Boguńskiego z „najlaskawszą zmianą“ (*gratiosissima modificatio*) kary śmierci na *graves labores in Siberia*, zastosował się do polecenia księcia namiestnika i powtórzywszy w swym dekrete całą relację Audytoryatu Polowego, powoławszy się na postanowienie koncylium trydenckiego i na liczne dzieła i przepisy, usunął *in perpetuum* ks. Boguńskiego od ołtarza i od wszelkich funkeyj kapłańskich, a do zdjęcia z niego sakry wydelegował ks. Mateusza Jasińskiego, kanonika honorowego warszawskiego, regensa seminaryum św. Jana w Warszawie. Dekret ten zapadł na sesyi konsystorza sandomierskiego d. 25 października 1833 r.

Co się dalej stało z ks. Janem Boguńskim, jak długo cier-

¹ Ks. Adam Paszkowicz rządził archidiecezyą warszawską po ks. Edwardzie Czarneckim († 1831), który był administratorem po śmierci Woronicza († 1828). Po Paszkowiczu rządy objął w r. 1837 arcybiskup Stanisław Kostka Choromański.

² Ks. Bąkiewicz był poprzednio profesorem teologii pastoralnej, regensem seminaryum, egzaminatorem *concurrentium ad beneficia*, pierwszym sędzią kapituły i t. d. i t. d. *Directorium officii Divini dioecesis sandomiriensis*, 1830.

piał na Sybirze za to, iż „zastosował Jeremiasza proroka do obecnego stanu kraju tutejszego“, czy wogóle danem mu było powrócić z czasem do kraju, którego obywatelom życzył „wszelkich szczęśliwości w tym powszechnej nieszczęśliwości czasie“—nie jest nam wiadomo. Nigdzie nie znalazłem o nim najmniejszej wzmianki, a i cała jego sprawa wychodzi obecnie po raz pierwszy na światło dzienne, bo we współczesnych pismach warszawskich głucho o niej całkiem, lubo według wyroku Audytorjatu Polowego miał być czyn jego „opublikowany“. Również i we współczesnych pismach emigracyjnych o sprawie i losie ks. Boguńskiego panuje cisza zupełna.

W każdym razie do dziejów martyrologii narodu i Kościoła polskiego przybywa fakt, zdaje mi się, ciekawy: za jedno kazanie „z porównaniami i przystosowaniami do położenia kraju“ groziła kaznodziei kara śmierci przez powieszenie!

Kazimierz Bartoszewicz.

KARTKA Z DZIEJÓW RUSYFIKACYI ŻMUDZI.

I.

Upłynął już wiek od chwili upadku N. Rzeczypospolitej i wcielenia b. Wielkiego Ks. Litewskiego do dzierżaw carskich; odbyła się już koronacya siódmego następcy ostatniego w. księcia i króla, Stanisława Augusta; zmieniali się ludzie, ale system pozostał zawsze w gruncie rzeczy ten sam, lubo od czasu do czasu łagodzone go, niekiedy nawet bardzo, — system zupełnego wynarodowienia i sprawosławnienia Litwy, Żmudzi i Rusi Białej.

Początek dała mu Katarzyna II; ona też wskazała główne kierunki, w jakich ma rozwijać się ów proces historyczny; jej następcy konsekwentnie rozwijali go, pracując mniej lub więcej gorliwie. Na razie szło tylko o uniemożliwienie oderwania się zabranego kraju, tudzież o jego jak najściślejsze zjednoczenie z carstwem moskiewskiem, potem zaś — o zupełne wynarodowienie i sprawosławnienie ludności miejscowej. Możnaby skreślić wszystkie szczeble dziejowe i cały przebieg tego procesu, ale ze względów praktycznych ograniczę ramki swego zadania; zamierzam tylko w rysach ogólnych skreślić usiłowania wytepienia czy zruszczenia i sprawosławnienia Żmudzi, bo to na jedno wychodzi.

Już Katarzyna myślała o rozpowszechnieniu prawosławia i ustanowieniu rosyjskiej własności ziemskiej na Żmudzi: jednym pociągnięciem pióra Ekonomia Szawelska, zajmująca prawie trzecią część kraju całego, oddaną została hr. Platonowi Zubowowi,

który dużo drobnej szlachty, „ludzi wolnych“ i mieszczan zamienił w swoich poddanych¹. Lubo w swym manifeste carowa uroczyście zapewniała, że na zawsze będzie zachowana nieograniczona swoboda wyznania i równouprawnienia wyznań chrześcijańskich oraz niewzruszalność praw publicznych i osobistych, mimo to jednak W. Księstwo zostało podzielone na gubernie; wprowadzono administrację rosyjską, sądownictwo i język; uchylono Statut Litewski; skonfiskowano dużo ziemi patryotów, którą rozdano dygnitarzom wojskowym i świeckim; skasowano dużo szkół i klasztorów oraz przystąpiono do zupełnego zniesienia unii religijnej; to ostatnie nie miało prawie znaczenia praktycznego dla Żmudzi, bo Unitów u nas nigdy nie było, acz istniał klasztor Bazylianów w Podubisiu. Rychła jednak śmierć carowej uniemożliwiła te plany; jej syn i następca, Paweł I., uważał za swój najświętszy obowiązek odrabiać to wszystko, co matka zrobiła. Uwolnił on wszystkich więźniów z r. 1794, zwrócił majątki skonfiskowane, przywrócił język polski we wszystkich czynnościach życia publicznego, statut litewski i prawo magdeburskie, dawne sądownictwo w zakresie spraw cywilnych, pousuwał uprzednich urzędników-złodziejów, otoczył szczególną opieką katolicyzm i unię...

Wogóle zrobił dużo, by złagodzić przykry stan rzeczy. Panowanie jego pamiętne jest wprowadzeniem na Litwie starego stylu, na co przystało duchowieństwo katolickie, chcąc w ten sposób zyskać łaskę cesarza; niestety, było to panowanie bardzo krótkie. Bądź co bądź był to jedyny cesarz, który stale ku nam żywił dobre i sprawiedliwe uczucia. Jego następca, liberalny Aleksander I., wychowaniec Laharpe'a, w początkach swego panowania zdradzał dobre chęci i rzeczywiście dużo zrobił dobrego, ale po r. 1818 nastąpiła reakcja gwałtowna, rządy Arakcejewy, panowanie mistycyzmu, powrót do starych tradycji despotycznych i prześladowania wolnej myśli i słowa, godności ludzkiej

¹ Nawet mieszczan-miasteczka Janiszek, posiadającego niegdyś prawo magdeburskie, zamienił on w swoich poddanych, przywłaszczając prawo propinacyi; dopiero wyrok senatu z r. 1841 wrócił im wolność osobistą i prawo propinacyi.

i poczucia prawa. Ks. Adam Czartoryski, który posiadał wielkie wpływy i znaczenie w Petersburgu, wypracował wraz z innymi mężami czeigodnymi znakomitą ustawę szkolną, która 30 (18) maja 1803 r. stała się prawem obowiązującym; osnuto ją na zasadach ustawy wiekopomnej pamięci Komisji edukacyjnej. Całe zabory z lat 1772, 1793 i 1795 utworzyły szkolną jednostkę administracyjną pod nazwą wileńskiego okręgu naukowego, którego kuratorem został sam książę. Wszystkie szkoły oddano pod nadzór Wszechnicy wileńskiej; utworzono osobną komisję szkolną, której zwrócono wszystkie fundusze edukacyjne. Gimnazya zawiadywały szkołami powiatowymi, po jednej na powiat; te ostatnie zaś, parafialnemi i ludowemi. Gorliwe starania ks. kuratora, dobór nauczycieli i profesorów, zapal uczących się, znaczne fundusze i ofiarność ogółu, pozwoliły podnieść szkolnictwo na wysokość poziomu nieznanego przedtem. Wykształcenie i wychowanie odbywało się w duchu i języku polskim, tylko na Żmudzi posługiwano się w szkołach niższych litewskim; wprowadzcie w poczet przedmiotów obowiązujących wprowadzono język rosyjski, ale jeszcze o rusyfikacyi szkół nie było mowy, acz już w dniu 26 maja starego stylu 1814 r. minister rozkazał, by nauczycielami tego przedmiotu byli prawdziwi Rosyanie. Nieco później, bo 17 (5) sierpnia 1824 r. rozkazano, by odtąd władze szkolne prowadziły korespondencyę w języku rosyjskim; był to pierwszy krok na drodze rusyfikacyi szkół. W obrębie dzisiejszej gubernii kowieńskiej istniały gimnazya: w Krożach świeckie, w Kiejdanach ewangelicko-reformowane, w Poniewieżu ks. Pijarów oraz w Chwałojniach Karmelitów; oprócz tego mieliśmy 11 szkół powiatowych, odpowiadających dzisiejszym progimnazjom. Wspominam o tem, bo szkoły te później albo skasowano albo przekształcono na rosyjskie. Rozgrom Wszechnicy wileńskiej spowodował znaczne obniżenie się poziomu szkolnictwa, ale nawet Mikołaj I. nie myślał jeszcze o rusyfikacyi szkół: tylko 10 marca (26 lutego) 1827 r. rozkazał on mianować do wszystkich szkół duchownych osobnych dyrektorów, Rosyan. Wogóle za rządów Aleksandra I. odbywały się tylko słabe próbki rusyfikacyi kraju, acz jego zjednoczenie administracyjne z cesarstwem postępowało

powoli. Dopiero za rządów Mikołaja I. rozpoczyna się ona na dobre, nawet przed powstaniem listopadowem: wówczas zrobiono pierwsze kroki do zupełnego zniesienia unii, zakładając w Petersburgu osobne kolegium grecko-unickie, oraz znosząc dużo klasztorów bazylianских i urządzając sławne seminaryum w Żyrowicach, w którym kształcono alumnów w duchu prawosławno-rosyjskim; wówczas to zniesiono klasztor unicki w Podubisiu.

Nastał rok 1831. Żmudź cała porwała się do broni; pamięć ówczesnej walki zaciętej żyje dotąd w pieśniach i podaniach ludowych. Powstanie upadło. Mikołaj postanowił uniemożliwić podobne wypadki raz na zawsze, zacierając wszelki ślad przeszłości, wszelką pamięć o niej, mając nadzieję, iż cały szereg przedsięwziętych środków da mu w przyszłości poddanych ślepo i niewolniczo uległych, lubo zachowujących jeszcze wiarę osobną i język domowy. Głównemi czynnikami powstania uznano Kościół katolicki, szkoły narodowe i wogóle umysłowość polską, przeto najgłówniejsze ciosy spadły na nie. Już w lutym 1832 r. wydano nowe prawo, pozbawiające Kościół katolicki pewnego równouprawnienia z Kościołem wschodnim, stanowiąc, że małżeństwa mieszane są ważne wówczas tylko, jeśli ślub będzie dany w cerkwi, oraz że dzieci, z nich zrodzone, muszą być wychowane w wierze prawosławnej; jednocześnie też zniesiono dużo klasztorów męskich¹, tu i ówdzie kościoły przerobiono na cerkwie, oddano duchowieństwo pod nadzór policyjny; w r. 1840 skonfiskowano dobra kościelne², wyznaczając bardzo szczupłe odszkodowanie; w tymże roku nakazano prowadzić księgi kościelne i korespondencję z władzami po rosyjsku; rozciągnięto surowy nadzór nad wychowaniem przyszłych księży: teologiczny

¹ Nie mogłem dowiedzieć się, ile ich zniesiono; zdaje się 10—12, bo klasztor Bazylianów w Podubisiu zniesiono w r. 1828 czy 1829.

² Do biskupów żmudzkich należały następne dobra ziemskie: Wornie, Janopol, Olsiady, Kalwarya, Masiady, Lepławka, Kołtyniany, Widukle, Erżwilki, Girtakole, Ejragoła, Surwiliszki i Poszwityń, w których liczono 4.500 poddanych mężczyzn i przeszło 50.000 des. ziemi; roczny dochód wynosił około 35.000 rubli i prócz tego należało do nich 12 miasteczek oraz kilkadziesiąt młynów i karczem. Wogóle około r. 1840 biskup żmudzki miał dochodu rocznego około 75.000 rubli.

wydział Wszechnicy wileńskiej przekształcono na r. k. Akademię duchowną, którą w r. 1840 przeniesiono do Petersburga. Rozumie się, wszystko to obniżyło znacznie poziom wykształcenia umysłowego księży, ale to leżało w interesach rządu. O zniesieniu unii wspominam pobieżnie tylko, bo w obrębie dzisiejszej gubernii kowieńskiej tylko 3 parafie unickie w powiecie nowo-aleksandrowskim „nawrócono“ na prawosławie. Równolegle z tem usilnie starano się o jego rozkrzewienie... Po upadku Rzeczypospolitej w dzisiejszej gub. kowieńskiej były tylko 2 cerkwie: w Kiejdanach, założona w r. 1650 przez ks. Janusza Radziwiłła, dla jego żony Maryi, oraz w klasztorze prawosławnym w Surdegach, zbudowana w r. 1625 przez Annę Szyszanek Stawiecką, zamężną Bilewiczową; za Aleksandra I. generał Bezobrazow kosztem swoim odnowił cerkiewkę w Kiejdanach. W r. 1839 cerkwie unickie w Kozaczyźnie, Wiesiołowie, Wenusowie (b. zbór kalwiński) i Podubisiu zamieniono na prawosławne; zbudowano zaś nowe w Nowo-Aleksandrowsku, Widzach, Rosieniach i Szawlach, oraz klasztor Kamedułów w Pożajściu pod Kownem przekształcono na monaster. Nowy pochop dało utworzenie kowieńskiego wikaryatu arcybiskupstwa litewskiego, którego inicjatorem był głośny apostata, Józef Siemaszko; dzięki jego staraniom przerobiono na cerkwie kościoły: popijarski w Poniewieżu i pofranciszkański w Kownie oraz kosztem rządu wzniesiono nową w tem samem mieście; postarano się wszelkimi możliwymi środkami zabezpieczyć dobrobyt duchowieństwu prawosławnemu. Starania w tym kierunku nie ustawały nigdy...

Teraz zwróćmy uwagę na szkoły, których reforma lub zniesienie wywarły wpływ nader ujemny na rozwój naszego kraju. Już 16 kwietnia 1831 r. Mikołaj I. rozkazał, aby minister oświaty oraz kurator białoruskiego okręgu naukowego — tak od r. 1827 do 1856 nazywał się wileński — stopniowo zamykałoby szkoły, utrzymywane przez duchowieństwo katolickie i obmyśliliby środki, prowadzące do zastąpienia języka polskiego rosyjskim, jako wykładowym; 28 (16) lutego 1832 r. Wszechnica wileńska została zniesioną; pozostawiono tylko wydziały: teologiczny i lekarski, jako osobną akademię; 19 (7) lipca 1832 r. ogłoszono prawo, roz-

ciągające ogólną ustawę szkolną na nasz kraj wraz z rosyjskim językiem wykładowym, którego nauczyciele uznani zostali za starszych; rychło też, bo w r. 1833, minister oświaty rozkazał, by tylko ci gimnazjaliści byli przyjmowani do uniwersytetów lub otrzymywali rangę, którzy udowodnili dokładne „posiadanie języka i literatury rosyjskiej“. Wszystkie szkoły średnie zostały przekształcone; gimnazya w Poniewieżu, Kiejdanach i Chwałojniach zniesiono; w zamian zniesionych szkół powiatowych otwarto t. zw. pięcioklasowe szkoły szlacheckie w Kownie, Wilkomierzu, Poniewieżu, Szawlach i Kiejdanach, które nie posiadały żadnej łączności z gimnazjami. Najdłużej utrzymała się, bo aż do r. 1843, szkoła powiatowa w Telszach, utrzymywana przez OO. Bernardynów. W tym czasie nasłano do szkół nauczycieli Rosyan: rozumie się, zwierzchnikami byli tylko wyłącznie najgorliwsi prawosławni. Ciało nauczycielskie było czemś niemożliwem, nie tylko pod względem pedagogicznym, ale nawet etycznym: wówczas to rozpoczął się peryod łapówek, które brano, nie krępując się niczem; wówczas też zaczęto systematycznie demoralizować i ogłupiać młodzież; wówczas też zapanowały w szkołach wszechwładnie różgi, ta alfa i omega ówczesnych pedagogów wschodnich. Dotąd zachowało się podanie następne: W szkole poniewieźkiej dyrektor zwykł był mawiać uczniom, że Pan Bóg zestarzał się, przeto cesarz Mikołaj zastąpi jego miejsce. Wszystkie przedmioty wykładano po rosyjsku, tylko religię ks. kapelan wykladał po polsku. Wszakże nie zabraniano uczniom posługiwać się mową ojczystą lub nawet uczyć się jej prywatnie. Nowa ustawa szkolna z dnia 1 listopada (20 października) 1843 r., wydana specjalnie dla gubernij: wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i mińskiej, znacznie pogorszyła stan rzeczy, zaostrzając środki, skierowane przeciwko polskości; na mocy tego prawa jedyne gimnazjum w Krożach zostało przeniesione do Kowna, szkoła zaś powiatowa kowieńska do Rosień, telszewską uświeczono i przekształcono na szkołę powiatową, wedle wzoru ogólnego; część jednak funduszków gimnazyalnych pozostała. Nawet w gimnazjum w Szawlach, do którego otwarcia przyczyniła się znacznym darem szlachta żmudzka, nie pozwolono wykładać

języka polskiego, pomimo prośby o to; gimnazjum w Szawlach, było to stare gimnazjum w Swisłoczy, które 23 (11) września 1845 r. Mikołaj kazał przenieść do Szawel, miejscową zaś szkołę szlachecką, do Swisłoczy. Gorliwie pracując nad wychowaniem w duchu rządowym, nie zapomniano zwrócić uwagi na wychowanie dzieci klas niższych i ludu, w celu przeciwdziałania szkołom parafialnym. W r. 1843 otwarto 8 szkółek początkowych z wykładem w języku rosyjskim, wedle ustawy ogólnej z r. 1828. Oprócz tego na mocy prawa z dnia 3 sierpnia (22 lipca) 1842 r. oraz okólnika ministra dóbr państwa z dnia 1 kwietnia (20 marca) 1843 r. otwarto kilkanaście szkół ludowych w dobrach państwowych; miało w nich nauczać duchowieństwo prawosławne, ale ponieważ to okazało się niemożliwem, nauczali w nich wyrzutki profesyj wyzwolonych. Nauczanie odbywało się po rosyjsku przy pomocy osobnego rosyjsko-żmudzkiego elementarza; była to pierwsza książka, mająca nauczać Żmudzinów języka urzędowego, co nazwano „zadaniem bardzo trudnem“, jak wyraziły się władze okręgu naukowego.

W tym też czasie rozpoczęły się pierwsze usiłowania, których celem jest stopniowe zruszczenie Żydów: prawo z dnia 31 (19) grudnia 1844 r. zniosło kahały i przykahałki, przekazując stanowe i inne sprawy żydowskie urzędom miejskim. Niebawem też Mikołaj I. pomyślał o zniesieniu odrębnego stroju żydowskiego: jakoż 13 (1) maja 1850 r. wzbroniono Żydom nosić strój zwyczajowy oraz pejsy, acz Żydzi starsi od lat 60 zachowywali to prawo za osobną opłatą z pozwolenia generał-gubernatora; oprócz tego N. Pan 24 (12) kwietnia 1851 r. najmiłościwiej rozkazał zabronić Żydówkom golić głowy... Gwałtem też checiano koniecznie oduczyć Żydów od handlu, szwarcownictwa, szynkowania i podobnych procederów, zmuszając natomiast do uprawy ziemi... Ale o wiekowe instynkta rozbiła się nawet wola Mikołaja I.: wszystko pozostało po staremu. Wówczas też wystąpiła jawnie tendencja zgniecenia niższych warstw polskich, zwłaszcza wiejskich; już w r. 1832 nakazano spis szlachty... Każdy, kto nie mógł udowodnić swego pochodzenia szlacheckiego z całą ścisłością, tracił swe stanowisko uprzywilejowane, które poniekąd

ochroniało jego godność osobistą i ludzką; łatwo wyobrazić, co wówczas powstało w kraju, jeśli zważymy, że kilkadziesiąt tysięcy drobnej szlachty z różnych powodów zatraciło odnośne dokumenty. Pomimo wszelkich starań i zabiegów, pomimo szczerzej pomocy szlachty wyższej i takich magnatów jak książę Ogiński, kilkadziesiąt tysięcy drobnych braci szaraków straciło stanowisko uprzywilejowane; nie zaliczono ich wprawdzie do stanu włościańskiego, ale stworzono osobną komórkę stanową „jednodworców“; zachowali oni wolność osobistą i własność prywatną ziemską, ale tylko do czasu: w r. 1841 N. Pan rozkazał jednodworców, zamieszkałych w dobrach państwowych, uznać za t. zw. włościan państwowych, tj. stanowiących własność państwa, jak zwykli poddani stanowili własność osób prywatnych; 26 (14) lutego 1846 r. rozciągnięto na nich kompetencję miejscowych instytucyj ministerstwa dóbr państwa, oddając ich z duszą i ciałem kaprysom i samowoli urzędników; ostatecznie urządzono ich w r. 1855¹. Niemniej rząd troszczył się o zniesienie t. zw. „ludzi wolnych“. Byli to chłopci wolni, nieposiadający ziemi, podlegający juryzdykeyi patrymonialnej, ale z wolną apelacją do grodu lub ziemstwa, znani dobrze pod nazwami *pochożych*, „wolnych“ lub *wolnych ludzicj Icho Koroleurskiej Miłosti* i t. d.; w r. 1792 liczone ich w b. ks. Żmudzkim przeszło 30.000. Po zajęciu kraju przez Rosyan, kazano ich zapisać w tych majątkach, w których mieszkali wówczas, ale wolność osobistą zachowano im... Przeważna część ludzi wolnych posługiwała się mową polską, tworzyła coś pośredniego pomiędzy szlachtą szaraczkową a włościanami... Bardzo to niepodobało się; w r. 1840 nakazano wolnych ludzi, zamieszkałych w miastach, zapisać w poczet mieszczan osiadłych w dobrach państwowych uznać za włościan państwowych; pozostałych oddano prawie zupełnie właścicielom ziemskim, pozwalając im tylko za pozwoleniem władzy porzucić swego pana. W tym to czasie dużo wolnych ludzi szlachta zamieniła w poddanych. W r. 1843 „jednodworców“ naracho-

¹ Prawa z dnia 12 stycznia 1866 r. i 3 marca 1867 r. zwały ich zupełnie z włościanami.

wano 22.704 mężczyzn, ludzi zaś wolnych, osiadłych w dobrach państwowych, było 3.562 osób płci męskiej.

Do tych wszystkich środków wyłącznych należy dodać ogólne rysy polityki Mikołaja, polityki duszącej wszelkie życie, wszelkie objawy myśli i krytyki; rozumie się, nie można zapominać o samowoli całej hordy urzędniczej, o przekupstwie i sprzedajności sądów, o demoralizujących wpływach szkolnictwa i literatury urzędniczej... W tych warunkach proces demoralizacji klas wyższej i średniej odbywał się w drodze naturalnej: nasza szlachta w znacznej części pogodziła się nawet z rządami Mikołaja I., obniżyła niesłychanie poczucie narodowościowe i państwotyczne... Dobrze jej się działo materyalnie, zapominała niemal o wszystkim... Słusznie popularna wówczas piosenka głosiła:

Byle zboża był dostatek,
A w gorzelnii był wydatek,
By wycisnąć sok z poddaństwa,
A mieć przywilej dworzaństwa,
Mieć w szkatule gotowiznę —
Pał ją dyabli tę ojczyznę!

Źle się działo: sen ciężki, martwy ogarniał wszystkich, gdy grom armat sprzymierzeńców pod Sebastopolem i śmierć Mikołaja przebudziła sennych... Poczuto świeży przewiew powietrza, jednocześnie też powstały nadzieje lepszej przyszłości. Stary system, system Mikołaja I. runął zdyskredytowany do ostatka; zmiany były konieczne, a na tronie zasiadł człowiek światły, o niewątpliwie dobrych chęciach. Natychmiast nastąpił cały szereg ulg drobnych, które czas niejakiś zdawały się zapowiadać zmianę systemu, powrót do czasów Pawła I. Złudzenie to jednak, któremu ulegli ludzie bardzo wybitni, trwało niedługo; już sprawa dzierżońska udowodniła, że o zmianie systemu mowy być chyba nie może... Wszakże nastąpiło bardzo znaczne złagodzenie systemu rusyfikacji i tępienia narodowości polskiej; do Wilna mianowano wielkorządcą Nazimowa, człowieka dobrego i ludzkiego, przywrócono hierarchię kościelną, usunięto nadzór policyjny nad duchowieństwem katolickim, wprowadzono do szkół wykłady języka polskiego, powołano szlachtę litewską do rozwiązania pa-

lającej kwestyi poddaństwa, osłabiono surowość cenzury i t. d. W gubernii kowieńskiej zamianowano gubernatorem Stanisława Chomińskiego, prawdziwego Polaka i dobrego patriotę; faktycznie wówczas język polski stał się urzędowym, bo w nim załatwiano wszelkie czynności, spisując tylko w języku rosyjskim protokoły, wyroki sądowe i t. d., sam nawet gubernator przemawiał na sejmiku gubernialnym po polsku. Ówczesna administracya bardzo życzliwie zachowywała się w kwestyi oświaty ludowej, nie krępując w niczem działalności duchowieństwa i osób prywatnych; nie tylko nie kładła ona tamy, ale nawet gorliwie popierała rozwój parafialnych towarzystw wstrzemięźliwości, które w tym czasie, dzięki gorliwości biskupa i jego podwładnych, ogarnęły kraj cały; dość powiedzieć, że tylko w 3 powiatach: szawelskim, rosieńskim i telszewskim przeszło 100.000 włościan należało doń. Paląca kwestya zniesienia poddaństwa, dzięki przyjaznym okolicznościom, znalazła się w naszym ręku. Głośny reskrypt N. Pana z dnia 2 grudnia (20 listopada) 1857 r., na imię wielkorządcy wileńskiego, nakazywał w każdej z 3 gubernij litewskich zwołać osobną komisję, złożoną z osób wybranych przez szlachtę każdego powiatu, pod prezydencyą marszałków gubernialnych; do nich też należeli właściciele ziemscy, mianowani przez gubernatorów miejscowych. Komisye winne były wypracować projekt reformy, uwzględniając przeszłość historyczną i warunki miejscowe. Oprócz gubernialnych, miała być zwołaną w Wilnie komisya ogólnolitewska, złożona z wybranych przedstawicieli szlachty oraz przedstawiciela, mianowanego przez wielkorządcę wileńskiego. Komisya kowieńska otwarta została 17 (5) marca 1858 r. mową wielkorządcy wileńskiego. Bardzo długie i zacięte spory wywołała w niej kwestya nadania włościanom ziemi, uprawianej przez nich, oraz forma przyszłej własności ziemskiej, chłopskiej. Chciano wyzyskać położenie rzeczy na naszą korzyść, chciano reformę zwrócić przeciwko rządowi, obdarzając włościan ziemią i wolnością w imieniu szlachty. Wychodząc z niezaprzeczonego prawa własności szlachty do ziemi i poddanych, Jakób Giejsztor wniósł, by szlachta darowała włościanom wolność oraz ziemię uprawianą przez nich. Ten patrio-

teczny wniosek upadł; interes osobisty wziął górę nad publicznym, ale okazało się później, że szlachta źle na tem wyszła, albowiem reforma została przeprowadzoną z góry, wbrew jej interesom ekonomicznym, a z wielką krzywdą naszego społeczeństwa.

Trudno odpowiedzieć na to pytanie, czy ustawa, znosząca poddaństwo, a obdzielająca włościan ziemią, była wykonaną słusznie i sprawiedliwie przez instytucje włościańskie, składające się wyłącznie ze szlachty miejscowej? Zdaje się, że w wypadkach poszczególnych włościanie zostali skrzywdzeni na korzyść swych dziedziców, co później dało możność do ustanowienia osławionych komisji weryfikacyjnych.

Dziś już nie ulega wątpliwości, że w każdym razie oddanie rządowi tej reformy czyli inaczej odrzucenie wniosku Giejsztora było dla nas ciężkim ciosem społecznym, bo nie zyskałszy ludu, choć mieliśmy po temu sposobność. Kilka lat gorliwej propagandy przed wypadkami 1863 r. nie mogły go usposobić przychylnie do powstania, pomimo największych wysiłków. Jednym ze środków propagandy była szkoła... Szkoły wtedy wyrastały, jak grzyby po deszczu: w lipcu 1862 r. liczono ich przeszło 510 oprócz ochronek. Władza na to wszystko patrzyła bardzo pobłażliwie, niekiedy nawet przyklaskując usiłowaniom szerzenia oświaty ludowej. Wskutek starań szlachty miejscowej t. zw. „szkoły szlacheckie“ w Poniewieżu i Kiejdanach 21 (9) czerwca 1858 r. przekształcono na gimnazya, w których wykład faktycznie odbywał się w językach polskim i rosyjskim. Niezadługo, bo 5 marca (22 lutego) 1860 r. zapadła uchwała o otwarciu w Telszach niższego gimnazjum. W tym też czasie została założona pierwsza żeńska szkoła rządowa, mianowicie gimnazjum w Kownie na mocy prawa z dnia 15 (3) stycznia 1859 r. Kuratorem został wielkorządca wileński, Nazimow.

W nowo otwartych szkołach, jak i w uprzednio istniejących, w teorii rusyfikacja stała na pierwszym planie; wykłady języka polskiego i religii po polsku uważano za złe konieczne, ale faktycznie działo się zupełnie inaczej. Zakłady naukowe były posterunkami polskości, dzięki patryotycznej gorliwości

nauczycieli. Zauważono to; ówczesny kurator wileńskiego okręgu naukowego wystarał się o to, by na przyszłość stypendya naukowe były dawane tylko prawosławnym, oraz by nie mianowano nauczycieli Polaków, stypendystów rządowych, do szkół w Litwie, Białej Rusi i na Żmudzi. W tym też czasie gorliwie opracowywano ustawę dla szkół ludowych. 4 kwietnia (23 marca) 1863 r. N. Pan zatwierdził „Czasową ustawę dla szkół ludowych północno-zachodniego kraju“. Ta ustawa po raz pierwszy do wszystkich bez wyjątku szkół ludowych wprowadziła wykłady w języku rosyjskim, usuwając zupełnie polski, a pozostawiając litewski tylko jako pomocniczy, ale burza rewolucyjna uniemożliwiła wprowadzenie tego prawa w życie, tylko po upadku powstania dokonano to.

W powstaniu z bronią w rękę, lubo zrażony i nieufający szlachcie, lud żmudzki przyjął bardzo czynny udział. A cóżby to było, gdyby szlachta wyprzedziła rząd, sama znosząc poddaństwo i obdarzając włościan ziemią?

II.

W marcu 1862 r. z bronią w rękę powstała Żmudź. Powstanie zaczęło się odczytaniem w kościołach i zborach kalwińskich manifestów Rządu Narodowego po polsku i po litewsku. 18 (6) tegoż miesiąca ks. Mackiewicz z Podbrzezia (pow. poniebieski) rozwinął chorągiew powstania. Dzieje tej walki są dobrze znane. W jesieni 1864 r. już zbrojnych oddziałów nie było w polu. Powstanie tzymało się na Żmudzi aż do ostatniej kuli, aż do ostatniego kęsa chleba; lud walczył do ostatka pod dowództwem ludzi, wyszłych z jego łona, jak np. Gugas, Łukaszunas, Diekwis i Smajlis.

Zemsta caratu była straszną, acz Żmudź ucierpiała stosunkowo mniej, niż Litwa... z różnych powodów. Postanowiono raz na zawsze uniemożliwić nowe powstania. W tym celu postanowiono bądź co bądź kraj zrusyfikować w szerokim znaczeniu tego wyrazu. Uznano za konieczne zgnieść żywioł i kulturę polską oraz uniemożliwić wszelki rozwój litewskiej, utrzymując lud na poziomie niemowlęcym, oraz zaszczerpić kulturę rosyjską

w zamian polskiej, osłabiając wszelkimi sposobami lud litewski. W Wilnie głównymi czynnikami kultury polskiej uznano katolicyzm i umysłowość, którą przedstawiają szlachta wogóle i inteligencya. Zdawało się możliwem sprawę katolicyzmu zupełnie wyodrębnić od innych, uniezależnić od podścieliska narodowościowego, słowem — stworzyć katolicyzm rosyjski. Kościół katolicki był, jest i będzie Kościołem wszechludzkim, ogarniającym wszelkie narodowości bez żadnej różnicy, kosmopolitycznym w najlepszem znaczeniu tego wyrazu; jest to jego wielką zasługą cywilizacyjną. Nigdy nie może on ani uznać przewagi władzy świeckiej, ani poświęcić interesów narodowościowych, jeżeli są one ściśle zjednoczone z kościelnymi; tak w naszych stosunkach było i jest i z tym faktem trzeba stanowczo rachować się. Katolicyzm w szatach rosyjskich, zależny zupełnie od carów, a sprowadzony do poziomu stanowiska prawosławia lub protestantyzmu, to rzecz najzupełniej niemożliwa. Zrozumiano to dobrze w Rzymie ówczesnym i w Petersburgu, przeto pierwsze i najgłówniejsze ciosy spadły na Kościół katolicki. Przedewszystkiem postarano się osłabić jego znaczenie w życiu publicznem i prywatnem, oraz wyzwolić z pod jego wpływów, jeżeli nie całą ludność miejscową, to przynajmniej jej warstwy wyższe, ufając, że wszelkie osłabienie katolicyzmu wyjdzie na korzyść prawosławia, które otoczono jak najtroskliwszą opieką i jak największymi przywilejami. Nie udało się to, bo i udać się nie mogło. Państwo rosyjskie nie może oddzielić Kościoła od państwa, nie może stworzyć instytucyj, któreby mogły zapewnić istnienie cywilne milionów innowierców, których nie można przecież pozbawić najelementarniejszych praw cywilnych np. uprawnienia związków małżeńskich. Zresztą państwo współczesne nie może istnieć bez cywilnej registracyi ludności. Projekty rządowego zniesienia katolicyzmu i kalwinizmu upadły stanowczo, albowiem okazało się rzeczą niemożliwą miliony innowierców postawić w takie położenie, w jakim się znajdowali sekciarze Kościoła wschodniego, którzy do r. 1874 nie mogli nawet zawrzeć małżeństwa prawnego. Pozostało więc tylko osłabić katolicyzm, ujarzmić, zdemoralizowawszy uprzednio, a potem skierować jego działalność w kierunku po-

żadnym. Częściowo udało się to, ale tylko częściowo, bo rezultaty polityki rządowej okazały się nieco inne, niż się spodziewano. Katolicyzm osłabiono, ale wygrało na tem nie prawosławie, lecz wolnomysłność zupełna lub obojętność religijna. Wyższe warstwy społeczne i inteligencya wyzwoliły się z pod wpływów katolickich. Na katolicyzm spadły wówczas bardzo ciężkie ciosy. Przedewszystkiem sprowadzono do *minimum* prawo publiczności nabożeństwa, zakazując procesy kościelne, modły publiczne, uroczyste grzebanie zmarłych, stawianie kościołów, krzyżów przydrożnych i t. d. Zniesiono prawie wszystkie klasztory, oddano duchowieństwo pod nadzór policyi, ograniczono do *minimum* jego prawa, szykanowano je na każdym kroku i t. d. i t. d. Rozluźniono węzły karności kościelnej, osłabiając władzę biskupią z jednej strony, z drugiej zaś, protegując różnych odstępców i renegatów; uniemożliwiono biskupom zamianowanie najgodniejszych ludzi na proboszczów, czyniąc je zależnem od władzy świeckiej. Postarano się, by poziom umysłowy i moralny duchowieństwa katolickiego obniżył się znacznie, usuwając z seminariów wykłady języka polskiego, literatury i historii, oraz innych przedmiotów ogólnie kształcących, wprowadzając natomiast obszerne kursy języka rosyjskiego, historii i literatury; utrudniono najzdolniejszym uczniom, przeważnie pochodzącym z klas wyższych, wstęp do seminarium. Usunięto zupełnie duchowieństwo ze szkół, poruczając mu tylko wykład religii, który miał się odbywać w języku rosyjskim; wyjątek stanowią tylko najniższe szkoły ludowe, w których religia wyklada się w macierzystym języku uczących się, nim nie posiadają dostatecznie rosyjskiego. Miano wówczas za złe księdzu biskupowi, że przystał na to; nawet dziś bardzo wielu duchownych mniema, że biskupowi należy zakazać księżom wykladać religię w języku urzędowym, bo to po prostu zohydza ją w oczach uczących się, zabija w nich wszelkie poczucie religijne i niewątpliwie źle oddziaływa na ich moralne usposobienie. Inni natomiast twierdzą, że tej omyłki poprawić już nie można. Faktem jest, jak mówią, że urzędowe wykłady religii w znacznym stopniu wpłynęły na obniżenie poziomu uczuć religijnych. W każdym razie rząd

uważał wykłady religii w języku rosyjskim za bardzo ważne, bo w ten sposób, mniemano, zapobiegnie się rozpowszechnieniu polskości. Nie wspominam tu o próbach wprowadzenia języka rosyjskiego do nabożeństwa dodatkowego, bo na całej Żmudzi nie znalazł się ani jeden kapłan, któryby chciał iść w ślady Żylińskich, Tupalskich i t. d. Ś. p. ks. biskup Wołoncewski, umiał nawet w tych czasach utrzymać karność kościelną i powagę należną; rozprzeżenie się nastąpiło dopiero znacznie później.

Starano się bardzo gorliwie osłabić nawet pośrednie wpływy katolicyzmu, jeśli oddziaływały one na lud dodatnio. Przytaczam fakt bardzo jaskrawy: Z inicjatywy ks. biskupa duchowieństwo zaczęło zakładać wszędzie około 1857 r. „parafialne towarzystwa wstrzemięźliwości“. Ruch ten ogarnął cały lud; towarzystwa liczyły przeszło 200.000 członków, opłaty od trunków gorących zmniejszyły się przeszło o połowę; zmniejszyła się nawet ilość przestępstw... wedle sprawozdań ówczesnego gubernatora. Ale na czele tego ruchu stało duchowieństwo katolickie, przeto w 1864 roku wszystkie towarzystwa wstrzemięźliwości zostały rozwiązane. Postanowiono też nawet zakłady dobroczynności publicznej usunąć z pod wszelkiego wpływu duchowieństwa. W całej gubernii istniał tylko jeden zakład, mianowicie przytułek miejski w Kownie obsługiwany przez Szarytki, a założony w 1633 roku. Dopiero Zofia Róża Dąbrowska zwróciła się do władzy z podaniem o założenie Towarzystwa Dobroczynności. Ustawa została zaraz zatwierdzoną. Dzięki energicznej działalności prezydentki i ofiarności ogółu już w r. 1864 istniały przytulki dla starców obojga płci oraz ochronki dla dzieci w Kownie, Szawlach i Rosieniach, ale znajdowały się one w pewnej zależności od miejscowego duchowieństwa katolickiego, przeto Murawiew w roku 1864 skasował je, fundusze kazał zabrać na skarb, starców odesłać proboszczom tych parafij, z których oni pochodzili, dzieci zaś oddać rodzicom lub do ochronki prawosławnej, tudzież Dąbrowską wysłać do Syberyi jako zbrodniczkę stanu. Od tego czasu mamy tylko urzędowo-prawosławną filantropię, podtrzymowaną niemal wyłącznie przez urzędników rosyjskich, jako środek rusyfikacyjny. Prawie jednocześnie zniesiono wszelkie

ograniczenia, które krępowały handel w święta katolickie, nawet nakazywano otwierać szynki i magazyny w dni św. Jana Chrzciciela i Kazimierza. To ostatnie święto jest stale negowane, pomimo protestów, przez zarząd naukowy; nie wolno go nawet wymieniać w kalendarzach.

Nie mniej dotkliwe ciosy spadły wówczas na miejscowe szkolnictwo: już 21 (7) lipca wszyscy nauczyciele Polacy ryczałtowo zostali usunięci od swoich obowiązków; nieco później ten sam los spotkał nauczycieli kalwinów. W lipcu 1863 r. usunięto wykłady języka polskiego ze wszystkich szkół rządowych, zniesiono wszystkie prywatne szkoły polskie. W kilka miesięcy potem nakazano wykładać religię po rosyjsku, zakazując uczącym się rozmawiać po polsku pod groźbą nałożenia grzywny na rodziców. W gubernii kowieńskiej wszystkie szkoły były faktycznie zamknięte od marca 1863 r. Jednocześnie też w Wilnie pracowano gorliwie w kwestyi szkolnej. Poglądy rządu zmieniły się gruntownie: „Ówczesny kurator wileńskiego okręgu naukowego, książę Szyrynskij Szychmatow — mówi urzędowa „Księga jubileuszowa gub. kowieńskiej“ — przyszedł do tego wniosku, że ze średniami szkołami północno-zachodniego kraju, przepelnionemi szlachtą polską, nie można zrobić; że miejscowe gimnazya i t. zw. szkoły szlacheckie, trzeba uznać za zle konieczne, którego trudno uniknąć zupełnie, ale które trzeba wszelkimi siłami osłabiać. Mniemał on, że dla szlachty polskiej dość pozostawić tylko gimnazya gubernialne, resztę zaś szkół średnich należy zwinąć, by sumy, jakie rząd na ich utrzymanie wydawał, na przyszłość były łożone na szkoły ludowe. Pogląd ten w zupełności podzielał.. Murawiew“. Rzeczywiście — prawo z dnia 27 (15) czerwca 1865 r. zniosło gimnazyum w Poniewieżu i Kiejdanach oraz t. zw. szkoły szlacheckie w Wilkomierzu i Rosieniach. Nie dość tego: kurator naukowego okręgu uznał za konieczne skasować progimnazyum (gimnazyum niższe) w Telszach, albowiem „powiat telszewski jest wyłącznie zamieszkały przez ludność katolicką tak, że element prawosławny chyba bardzo nieprędko mógłby otrzymać w niem przewagę“. Stało się zadość temu żądaniu: na mocy rozkazu N. Pana z dnia 20 (8) lipca 1868 gimnazyum zniesiono.

Do pozostałych szkół średnich utrudniono dostęp dla Polaków, w niektórych razach nawet uniemożliwiając go; szkoła polska, ucząca się w szkołach rosyjskich, została z góry skazaną na systematyczne oglupianie i demoralizację, systematyczne poniewieranie i prześladowanie, zwłaszcza, że pedagodzy rosyjscy z małemi wyjątkami, okazali się ludźmi bez czci i sumienia, wyrzutkami swego społeczeństwa; najlepsi z nich, dzięki „szerokiej ruskiej naturze“, zapili się, zmarnieli... Ale nam nie było od tego lżej, chociaż czuliśmy pewnego rodzaju zadowolenie, gdy setki *diejatieliej* zmarniały, gdy setki ich wysyłał Potapow nazad do Rosyi, gdy lubowano się *diejatielami*, ryjącymi nosem w ulicznych ściekach wileńskich. Z pośród tych *diejatieliej* rekrutowali się też nauczyciele w nowych szkołach ludowych, albowiem uprzednie, polskie i litewskie, znikły doszczętnie, krom parafialnych, posiadających własne fundusze; te ostatnie przekształcono na szkoły rosyjskie. Jednocześnie prawie w drodze rozporządzenia administracyjnego, Murawiew zakazał posługiwać się językiem polskim w stosunkach publicznych; wskutek tego znikł nasz język z napisów publicznych, szyldów, aptek, hotelów i t. d.; wzbroniono używać go w miejscach publicznych, a zwłaszcza w stosunkach z urzędnikami; wszędzie powywieszano ogłoszenia: „wzbrania się mówić po polsku“. Usunięto nasz język z publicznych, teatralnych przedstawień, odczytów i t. d., zwinięto wszystkie czytelnie i wypożyczalnie książek polskich, zamknięto księgarnie polskie, nawet zakazano sprzedawać druki polskie, ale te zakazy ostatnie nie utrzymały się długo; zniesiono biblioteki polskie publiczne. Wówczas też padła ofiarą biblioteka publiczna w Szawlach; sędzia powiatowy szawelski legował w r. 1859 znaczny księgozbiór oraz dom murowany w Szawlach i niejaki fundusze na założenie i utrzymanie biblioteki publicznej w tem mieście; wyznaczając jej kuratorem na zawsze sąd miejscowy. Ustawę zatwierdzono, bibliotekę otwarto do użytku publicznego w 1860 r.; była ona przeważnie polską. Murawiew w r. 1864 kazał ją zwinąć, dom i kapitały zabrał na rzecz skarbu. Po długich korowodach i procesach siostrzenica zmarłego otrzymała nareszcie dom, ale kapitały i część książek

ułatwiły się, druga zaś dostała się bibliotece gimnazjum miejscowego; sprawiedliwości, choć częściowo, stało się zadość, dzięki wyrokom nowych sądów, niezależnych. Jednocześnie też, zgniatając polskość, pomyślano o uniemożliwieniu rozwoju litewskości: na wniosek niecnej pamięci Mikuckiego rozkazano wprowadzić do języka litewskiego „grażdankę“, zakazując na przyszłość druków litewskich czcionkami łacińskimi; ten zakaz uniemożliwił istnienie legalnej literatury litewskiej... Celu swego nie osiągnął on, bo nim było stworzenie litewsko-rosyjskiej literatury ludowej, szczerze oddanej rządowi. W tym czasie nie marzono jeszcze o zupełnem zruszczeniu Litwinów; chciano tylko to plemię utrzymać na poziomie kulturalnym ludków fińskich z nad średniej Wołgi, zabezpieczając masie pewny stopień dobrobytu, by zapewnić sobie jej wdzięczność. Zdawało się, że koniecznym warunkiem powodzenia musi być administracya i sądownictwo czysto rosyjskie, bo one mogą tylko zapewnić urzeczywistnienie zamiarów rządowych, tak sprawiedliwych i wzniosłych! Już w dniu 22 maja 1863 r. oraz 6 czerwca tegoż roku wszyscy urzędnicy i oficyaliści, nie wyłączając pisarzy gminnych, zostali usunięci; wkrótce ten los spotkał wszystkich prawie urzędników administracyjnych, skarbowych, pocztowych i t. d.; usunięto nawet kancelistów i pisarzy, o ile było można; wogóle nakazano bezwarunkowo usunąć żywioł polski z administracyi i sądownictwa, ale tego rozkazu nie można było na razie wykonać ściśle; dopiero znacznie później ideał Murawiewowski urzeczywistnił się. Wogóle wszelki wstęp Polakom na służbę państwową został wzbroniony; setki ludzi wraz z rodzinami pozostały bez kawałka chleba. Nie dość tego: postanowiono ekonomicznie zrujnować szlachtę, gnębiąc ją ogromnemi grzywnami, podatkami wyłącznemi i obdarzaniem szczodrem z jej mienia włościan, których przychylność starano się uzyskać. O wysokości grzywien, nakładanych przez byle dowódcę wojskowego i naczelników wojennych, sposobie ich ściągania oraz ogólnej sumie w ten sposób zebranej, niema dokładnych wiadomości; mówiono mi jednak, że w pow. poniewieżkim w ciągu 2 lat wydarto od szlachty przeszło 200.000 rubli! Już w czerwcu 1863 r. na wszystkich

właścicieli ziemskich Polaków, pochodzenia szlacheckiego, nałożył Murawiew kontrybucyę wynoszącą 10⁰/₀ czystego dochodu, „na opędzenie kosztów wojennych“. W r. 1868 podatek ten niżono do połowy; istnieje on dotąd... Stokroć jednak dotkliwszem było głośnie prawo z dnia 22 (10) lipca 1865 r. zabraniające Polakom nabywania ziemi i nieruchomości poza obrębem miast; dalszym jego ciągiem służą: zakaz zastawu dóbr ziemskich oraz przekazywania dożywocia. Rozumie się, interpretacya późniejsza znacznie rozciągnęła zakres tych praw ograniczających. Naturalnie mienie nieruchome uczestników powstania uległo konfiskacie, którą ustanowiono *ad hoc* dla 9 gubernij zachodnich. Osoby skompromitowane w powstaniu a wysłane drogą administracyjną, musiały w ciągu lat 3 sprzedać swe nieruchomości i wynosić się z kraju na zawsze.

Wówczas prawo z dnia 22 (10) lipca 1865 r. wzbroniło Żydom nabywanie ziemi, co w okolicznościach ówczesnych pogorszyło znacznie stan rzeczy; wkrótce im nawet wzbroniono dzierżawić majątki ziemskie. W drodze rozporządzenia administracyjnego usunięto Polaków od dzierżaw skarbowych, starając się zrujnować dzierżawców wymaganiami bezprawnymi i niesłusznymi; jednym słowem, zrobiono wszystko, co można było zrobić, by żywioł polski pozbawić ostatniego kęska chleba. Nie omieszkało wyzyskać w tym celu niezłatwionej jeszcze sprawy włościańskiej, postanowiono przedłużać ją, by siać waśń socyalną pomiędzy dworem a wsią, o ile można zrujnować właścicieli ziemskich oraz stworzyć dla włościan takie warunki władania ziemią, które, utrzymując pewien stopień dobrobytu, uniemożliwiłyby powstanie i rozwój warstwy chłopów zamożnych, składających się chętnie ku polskości i zachodowi.

Dnia 1 marca 1863 r. wybuchło powstanie; jednocześnie ogłoszono manifest Rządu Narodowego, znoszący pańszczyznę, którą włościanie mieli odrabiać u nas do 5 maja (23 kwietnia) 1870 r., ale wskutek wspomnianego manifestu, w lutym już ona ustała zupełnie; pozostało tylko rządowi usankcjonować faktyczny stan rzeczy i rzeczywiście 13 (1) marca 1863 r. prawo ogłosiło wykup przymusowym i zniosło pańszczyznę; 13 (1) kwietnia osobne

prawo ustanowiło osławione komisye weryfikacyjne; w końcu maja wszyscy marszałkowie szlachty¹ oraz komisarze do spraw włościańskich i inni urzędnicy z wyborów podali się do dymisyi, którą im natychmiast udzielono. Wszelkie instytucye włościańskie czasowo zostały zwinięte; rozpoczęły one swą czynność u nas dopiero pod koniec 1864 r., gdy już zbrojne powstanie upadło zupełnie. Wedle prawa z dnia 13 (1) marca 1863 r. pańszczyzna miała ustać z dniem 13 (1) maja; włościanie byli zobowiązani wnosić opłaty indemnizacyjne, ale wnieśli tylko mniejszą połowę, bo w wielu miejscach domagali się gruntów darmo, opierając się na podstawach manifestu Rządu Narodowego; doszło do tego, że w lipcu 1864 r. znaczna część włościan pow. telszewskiego odmówiła wszelkich wypłat; sam p. gubernator na czele znacznego oddziału wojska z armatami musiał przekonywać ich... i naturalnie przekonał. Władze rosyjskie takie zajścia przypisywały „głupocie żmudzkiej“... Mimo to jednak energicznie pracowano nad rozwiązaniem kwestyi włościańskiej w duchu rządowym. W tym czasie zapadły bardzo ważne postanowienia N. Pana: 13 (1) maja 1863 r. o rozgraniczeniu gruntów włościańskich i dworskich oraz o nadaniu ziemi „jednosielcom“; 19 (7) sierpnia o zastosowaniu prawa z dnia 13 (1) marca 1863 r. do majątności drobnej szlachty; 30 (18) kwietnia 1864 r. o nadaniu ziemi leśnikom oraz 6 sierpnia (25 lipca) 1864 r. o podziale ludzi wolnych na dwie kategorie, z których pierwsza miała odzyskać grunta posiadane przed 1 grudnia 1857 r., druga zaś zyskała prawo do zawarcia 12-letnich umów dzierżawnych przymusowych a regulowanych przez rząd. Wielkorządca wileński, w gruncie rzeczy dyktator, stanowił też swoje prawa: na mocy jego okólników z dnia 17 czerwca 1863 r., 31 stycznia 1864 r. i 7 maja 1865 r., starowiercy, dzierżawiący ziemię szlachty polskiej, zyskali niewzruszalność władania; 24 lipca kazał samowolnie ocenić sadyby kątników i pokosy leśne; 17 sierpnia i 13 października obdarzył gruntami włościan, pozbawio-

¹ Oprócz S. Karpia, marszałka pow. poniewieżkiego, który w zastępstwie pełnił obowiązki marszałka gubernialnego.

nych osad przez właścicieli ziemskich; 15 lutego 1864 r. przyznał włościanom prawo pasania bydła w lasach pańskich; 15 maja obdarzył włościan prawem polowania i połowu ryb; 8 czerwca obdarzył t. zw. kątników, zagrodników i dziesięcinników gruntami dworskimi; oprócz tego włościan pozbawionych ziemi do 1857 r., zwolnił od podatków na lat 6; 20 sierpnia 1865 r. pozwolił chłopom bezrolnym, ale zamieszkałym we wsi, paść bydło w lasach pańskich i t. d., bo pomijam tu cały szereg postanowień drobnych. Wszystkie te uchwały Murawiewowskie były zupełnie bezprawne, nawet wedle państwowego prawa rosyjskiego, ale wykonano je. Oprócz tego w majątkach konfiskowanych każda chata otrzymała na własność diesiatynę lasu. Jednocześnie też organizowano t. zw. instytucye włościańskie; miejscowych komisarzy do spraw włościańskich zastąpili urzędnicy Rosyanie, nawet posady geometrów przy ich zjazdach powiatowych objęli wyłącznie Rosyanie.

Czynność tych instytucyj odbywała się gorączkowo, gwałtownie, bez oglądania się na prawo lub słuszość, ale z widoczną chęcią zrujnowania właścicieli ziemskich i zaszczerpienia wiecznej niezgody pomiędzy dworem a chatą; w tym celu pozostawiono pastwiska wspólne, szachownice i t. d.; w tym celu sprawa uwłaszczenia włościan szła żółwim krokiem; dość tu przytoczyć kwestyę rozgraniczenia. Komisye weryfikacyjne zrobiły swoje tj. wyzyskały w sposób możliwy stan rzeczy na korzyść włościan. Zwinięto je dopiero pod koniec 1866 r. W tym roku jednak na mocy prawa z dnia 30 (18) stycznia została zniesioną odrębność t. zw. włościan państwowych; zostali oni zupełnie zrównani z włościanami wolnymi. Ta okoliczność była powodem nowego napływu urzędników rosyjskich. Sprawa jednak poszła rażno; w kilka lat zatwierdzono 4447 aktów lustracyjnych, nadawczych. Nie skończyło się jednak na tem; kwestya agrarna rozwijała się w kierunku, nadanym z góry, kierunku zgnięcia polskiej własności ziemskiej. W dniu 9 czerwca (28 maja) 1876 r. uchwalono prawo „o urządzeniu własności ziemskiej jednowierców i starowierców, mieszkających na ziemiach szlacheckich“. Na mocy tego prawa dzierżawcy, osiedli przed 13 (1) stycznia

1863 r., zyskali prawo wykupienia swych dzierżaw na zasadach ogólnych. Kwestya ta dotąd nie jest jeszcze załatwioną. Nie dość tego: 14 (2) czerwca 1882 r. stanęło prawo, które zobowiązało t. zw. wolnych ludzi bądź wykupić grunta, bądź wydzierżawić je na 6 lat na warunkach uprzednich. Słuszność każe uznać, iż to prawo było konieczne i sprawiedliwe; inicjatywę dała sama szlachta, zwłaszcza książę Ogiński; ziemię oceniono słusznie. W kilka lat potem, bo 3 kwietnia (21 marca) 1888 r. rozciągnięto je na tych wolnych ludzi, którzy przed upływem 12-letniego terminu zawarli dobrowolne umowy z właścicielami ziemskimi, zrzekając się swych praw. Obie te uchwały prawne były konieczne i słuszne, ale tego nie można powiedzieć o prawie z dnia 21 (9) czerwca 1886 r. o urządzeniu t. zw. czynszowników wieczystych, które zastosowane zostało do gubernii kowieńskiej. Wieczystych czynszowników wiejskich znalazło się tylko kilkudziesięciu, miejskich zaś mamy bardzo dużo, bo prawie wszyscy właściciele miejscy siedzą na „wieczystem miejskiem prawie czynszowym“, ale do nich to prawo nie stosuje się. Rezultat był ujemny: prawie trzecia część dzierżawców złożyła podania z prośbą o przyznanie im praw czynszowych, które jako bezpodstawne były prawie zawsze odrzucane przez urzędy do spraw czynszowych; nastąpiły spory sądowe, eksmisye, często połączone z oporem władzy i gwałtami, nieskończone procesowanie się, znaczne straty materialne i zagmatwanie stosunków społecznych. Były przykłady nawet palenia wsi całych, by rzekomi czynszownicy, raz wyeksmitowani, nie zamieszkali ich powtórnie; były też przykłady znośzenia wsi, oporów zbrojnych i t. d.; wogóle z tego powodu sądy karne miały dużo kłopotu. Ostateczne rezultaty działalności rządu w tym kierunku można poniekąd streścić w sposób następujący:

a) w 1610 majątkach na mocy 2030 aktów nadawczych 49166 chat włościańskich otrzymało 801351 dies. gruntów oprócz 57842 dies. pastwisk wspólnych za 1147695·96 rubli opłat indemnizacyjnych czyli o 18859 chat i 246444 dies. ziemi więcej oraz o 406728·62 rubli opłat indemnizacyjnych mniej, niż się należało według prawa o uwłaszczeniu, czyli inaczej, komisye

weryfikacyjne i późniejsze prawa i rozporządzenia Murawiewowskie uwłaszczyły 18859 chat, nadając 246444 dies. ziemi;

b) dotąd nie załatwiono sprawy uwłaszczenia chłopów w 9 majątnościach.

c) byli włościanie państwowi na mocy 4447 aktów nadawczych otrzymali 748820 dies. ziemi;

d) żołnierzom dymisyonowanym nadano 61000 dies. ziemi;

e) jednowiercom i starowiercom w liczbie 166 chat nadano 4524 dies. gruntów oprócz 106 dies. pastwisk wspólnych;

f) 3448 chat wolnych ludzi zgodziło się wykupić swe grunta przy pomocy rządu, 131 bez pomocy, 4 zrzekły się, reszta nie mogła dojść do zgody z właścicielami ziemskimi i prawuje się, oraz

g) na mocy prawa z dnia 21 (9) lipca 1886 r. 4027 osób zażądało przyznania im praw czynszowych, ale przyznano je tylko 58 osobom.

Widzimy, że idea *diejatielej* zaopatrzenia w ziemię całej ludności, pracującej na roli, nie urzeczywistniała się... pomimo wszelkich usiłowań; starania ich, których celem było utrzymanie masy ludowej na pewnym poziomie dobrobytu, chroniącym od nędzy, ale uniemożliwiającym dalszy rozwój, rozwiały się... Życie okazało się silniejszym niż przepisy prawne: różniczkowanie masy włościańskiej odbywa się szybko, rozpada się ona widocznie na 2 warstwy: zamożniejszych włościan, *gospodarisów* i proletaryat małorolny lub bezrolny. Pierwsi są głusi na podszepty wschodnie, drudzy zaś nadstawiają im ucho — lędząc się nadzieją nowego *nadziału*. Stworzono u nas niemal anarchię, bo rząd faktycznie nie chce jej usunięcia, przewlekając do nieskończoności ostateczne rozwiązanie kwestyj agrarnych.

(Dok. nast.).

Jan Witort.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Miasto Lwów w okresie samorządu 1870—1895. We Lwowie. Nakładem gminy król. stol. miasta Lwowa. 1896. (W 4ce, str. LXXXIV. i 719).

Rada miasta Lwowa, pragnąc uczcić ćwierćwiekową rocznicę autonomicznych rządów w stolicy Rusi Czerwonej, powzięła w dniu szóstym czerwca 1895 r. uchwałę w sprawie podjęcia pamiątkowego wydawnictwa, które obecnie oddała do użytku czytającego ogółu. Urzeczywistnieniem projektu owej publikacji, niezwyklej pod względem rozmiarów, gdyż obejmującej dziewięćdziesiąt arkuszy druku, a obfitej treścią, zajął się osobny komitet redakcyjny, z łona rady wybrany, pod przewodnictwem czcigodnego rektora Małeckiego, który w krótkim stosunkowo czasie dokonał tego pomnikowego, że się tak wyrazimy, dzieła. Celem pamiątkowej księgi, jak to słusznie zauważył w przedmowie były prezydent miasta, p. Edmund Mochuński, było podanie czytelnikowi wiernego obrazu działalności gminy miasta Lwowa w okresie autonomicznym. aby skreślić porównawczo z poprzednią epoką, tudzież ze stanem obecnym rozwój Lwowa i postęp w każdej dziedzinie jego administracji.

Bo też Lwów od chwili rewindykacji (1772 r.) rozmaite przechodził koleje pod względem administracji majątku gminnego. I tak, do dnia pierwszego grudnia 1787 r. urzędowały w mieście tem władze zorganizowane jeszcze na zasadzie miast królewskich w Rzeczypospolitej i dopiero ogłoszony w sierpniu roku poprzedniego dekret Józefiński zniósł dawniejsze urzędy, przepisując nową organizację lwow-

skiego magistratu. Kodeksy austriackie zastąpiły odwieczne „Zwierciadło saskie“; nowe ustawy i przepisy określiły sposób gospodarki miejskiej, jakoteż zasady ordynacyi wyborczej do tak zwanego Wydziału miejskiego. Liberalna ta reforma, zostawiająca miastu faktyczny samorząd, a zarazem dająca rękojmię, że do spraw wewnętrznych gminy nikt obcy mieszać się nie będzie, nie przetrwała zbyt długo. Władze rządowe za długoletniego panowania cesarza Franciszka I. uznały, iż zakres działania magistratu jest zbyt rozległy oraz samostanny, więc też szeregiem rozporządzeń i zarządzeń, od czasu do czasu ogłaszanych, odjęły miastu prawo wyboru burmistrza oraz członków magistratu, zastępując ich mianowanymi z ramienia rządu funkcyjnymi. Tak więc ster władzy miejskiej pozostał w ręku biurokratycznie zorganizowanego magistratu, podczas gdy wydział, złożony przeważnie z obcokrajowców, zszedł do podrzędnej roli ciała doradczego, którego rady wszakże nigdy nie żądano, a tem mniej jej słuchano... Ten stan rzeczy z nieznacznymi stosunkowo zmianami, istniał we Lwowie aż do roku 1848, kiedy to pod wpływem współczesnych wypadków politycznych ustąpić musieli miejsca samowładczy rządcy wydziałowi miejskiemu, powstałemu z wolnych wyborów, a wyrazem tej zmiany panujących prądów była Ustawa prowizoryczna do reorganizacyi wydziału miejskiego, uchwalona ostatecznie w dniu 20 lipca 1848 roku. Wbrew swej nazwie prowizoryczna owa ustawa, która w gruncie rzeczy nie była niczem innem, jak ordynacją wyborczą, tworzyła przez całe lat dziesiątki zasadniczą podstawę wyboru reprezentacyi miejskiej, a w dalszem następstwie i stosunku tejże do magistratu. Prowizoryczna ustawa, uzupełniona późniejszymi dodatkami, obowiązywała we Lwowie aż do r. 1870, gdyż projekt statutowy, przedłożony sejmowi przez radę miejską — tej nazwy począł używać wydział miejski od 1861 — w roku 1866 i uchwalony ostatecznie przez to ciało w marcu t. r., nie uzyskał niestety sankcyi monarszej. Dopiero po czterech latach, w dniu 14 października 1870 r., po skutecznieniu zmian odnośnych, statut miasta Lwowa, złożony z ustawy gminnej oraz z ordynacyi wyborczej, otrzymał zatwierdzenie rządowe; od tej też chwili datuje się doba autonomicznych rządów w Lwim grodzie, a statut wówczas wprowadzony przetrwał całe ćwierćwiecze, jakkolwiek już w roku 1876 ś. p. Marcei Madeyski, jeden z twórców tej ustawy, doradzał zmianę okresu wyborczego z lat trzech na sześć. Wówczas sprawa ta, odesłana do specjalnej komisyi, poszła w zapomnienie i dopiero w roku zeszłym podjęto ponownie obrady nad zmianą statutu w kierunku wniosku ś. p.

Madeyskiego. Główny referat w tej sprawie powierzono d-rowsi Godzimirowi Małachowskiemu, wybranemu w dniu 7 lipca r. b. prezydentem m. Lwowa, którego projekt, uchwalony w listopadzie roku zeszłego przez radę miejską, uzyskał w dniu 15 kwietnia r. b. zatwierdzenie monarsze. Tak przedstawia się w ogólnym zarysie ustroj władzy gminnej we Lwowie w ciągu ostatniego stulecia.

Dzieje przeto miasta od najdawniejszych czasów, tudzież obraz działalności poszczególnych ustrojów, rządzących we Lwowie, zwłaszcza podczas ostatnich lat dwudziestu pięciu, złożyły się na treść szesnastu rozdziałów, tworzących, prócz wstępu, całość książki omawianej.

Dwa pierwsze ustępy teje wyszły z pod pióra d-ra Aleksandra Czołowskiego, naczelnika archiwum miejskiego, który w „obrazie dziejowym Lwowa“ zapoznaje czytelnika z ważniejszymi wypadkami historycznymi, jakich widownią było to miasto w ciągu sześciowiekowego istnienia. Ostatni okres dziejów Lwowa, datujący się od połowy ubiegłego wieku, opowiedział szanowny autor może nazbyt pobieżnie, skutkiem czego w tej części jego pracy wkradły się pewne niedokładności. I tak: Załoga rosyjska usadowiła się pod wodzą Kreczetnikowa we Lwowie już w roku 1768, nie zaś po napadzie Barszczan na miasto w r. 1769. Pomiął też autor milczeniem powtórny napad konfederacki na Lwów, w lipcu 1770 r., a datę fundacji uniwersytetu ozna-
czył mylnie rokiem 1787, podczas gdy otwarcie tego instytutu nastąpiło już w dniu 16 listopada 1784 r. Niedokładnie też wyraził się dr. Czołowski o kontraktach lwowskich, które po Trzech Królach odbywały się tylko do roku 1808, następnie zaś przeniesione zostały na dzień 24 maja. Dzieje 1809 roku zbyte zostały również wzmianką kilkowerszową, jakkolwiek zasłużyły na obszerniejsze wspomnienie, choćby ze względu na działalność ówczesnego burmistrza, Koberweina, który pierwszy przybrał w swych odezwach tytuł prezydenta miasta. Podobnie

obraz Lwowa w latach: trzydziestym i trzydziestym pierwszym nie doczekał się w rozprawie d-ra Czołowskiego, choćby najogólniejszego zaznaczenia, a twierdzenie szanownego autora, jakoby „ciągle zaczepki między gwardyą narodową a wojskiem“ doprowadziły w listopadzie roku 1848 do krwawego dramatu — nie zdaje się nam dostatecznie uzasadnione, gdyż wyzywająca postawa armii datowała się już od maja t. r. to jest od chwili pojawienia się znanej odezwy załogi lwowskiej, wymierzonej przeciw wyuzdanej samowoli rządu młodzieży lub jakiegoś rządu prowizorycznego“... Zresztą jest rzeczą dostatecznie wiadomą, że

fakt bombardowania Lwowa pozostawał w bezpośrednim związku z przebiegiem wypadków wiedeńskich.

O wiele dokładniej przedstawił dr. Czołowski w następnym rozdziale (Pogląd na organizację i działalność dawnych władz miejskich do r. 1848), całokształt organizacji oraz zakres działalności dawnych władz miejskich. Mówi w tym ustępie o obowiązkach i o prawach, służących burmistrzowi, rajcom, tudzież wójtowi i ławnikom, o organizacji cechowej, o instytucji „czterdziestu mężów“ z rejentem na czele, wreszcie o odrębnych gminach: ormiańskiej i ruskiej. Następnie wyjaśnia autor cel oraz znaczenie istnienia „lonheryj“, tudzież urzędów pomocniczych, jakoto: pisarzów, syndyków, instygatorów, tłumaczy i landwójtów, a nadmieniwszy pokrótce o organach wykonawczych władzy miejskiej, opisuje w sposób wielce interesujący przebieg wyborów miejskich w starym Lwowie oraz dzieje gmachu ratuszowego. Niemniej wyczerpująco przedstawione zostały w opracowaniu d-ra Czołowskiego organizacja władz magistratualnych i działalność wydziału miejskiego w latach 1787—1848, których dalsze dzieje znajdujemy w rozprawie d-ra K. Ostaszewskiego-Barańskiego, kontynuowane z wszelką dokładnością na podstawie urzędowych dokumentów (Ustawa prowizoryczna).

Pióra tego autora jest również nader obszerny rozdział piąty (Pogląd na działalność reprezentacji król. stoł. miasta Lwowa 1871—1895.), złożony z dwóch części. W pierwszej autor omawia ogólnie: sprawy organizacyjne, finanse, handel i przemysł, oświatę i dobroczynność publiczną, o ile takowe dotyczyły zakresu działalności władzy miejskiej. Mimo wszakże wszelkiej skrupulatności w wyzyskaniu obfitego materiału, który miał pod ręką, zdarzyło się pisaćemu przeoczyć kilka tak ważnych kwestyj, jakimi były: organizacja korpusu straży pożarnej, poczynszy od roku 1850, tudzież niektóre szczegóły, dotyczące dziejów handlu tutejszego. Mamy tu mianowicie na myśli: jarmarki wełniane, odbywające się we Lwowie w latach 1837—1855, próby wznowienia jarmarku świętej Agnieszki, czynione na większe rozmiary w latach 1855—1856, wreszcie ruch kontraktowy, z którego dokładne relacye pod względem finansowym podaje *Gazeta Lwowska*, poczynszy od roku 1837. Zarysowany w tej części rozprawy d-ra Ostaszewskiego-Barańskiego obraz Lwowa w pierwszej połowie bieżącego wieku zasługuje niemniej na zarzut ogólnikowości. Widocznie szanownemu autorowi niebyły znane odnośne relacye Thullie'go, Krattera, Rohrera, lub choćby artykuły Pindtera, ogłaszane w niemieckiej *Gazecie Lwowskiej* z r. 1863.

Natomiast na zupełne uznanie zasługuje ścisłość, z jaką dr. Ostaszewski-Barański zestawił wyniki działalności ośmiu rad miejskich, kolejno urzędujących we Lwowie w okresie lat 1871—1895, omawiając nader obszernie i przedmiotowo rezultaty podjętych przez nie usiłowań. Ta sama zaleta znamionuje i czternasty rozdział książki, pióra tego autora (Lwów w cyfrach), opracowany na podstawie ostatniego spisu ludności z roku 1890. Ilość mieszkańców Lwowa wynosiła w owym czasie 119.352 głów (53·4% kobiet i 46·6 mężczyzn). Niepodobna bez narażania się na zarzut rozwlekłości w niniejszem sprawozdaniu podać choćby najważniejszych wyników zestawień statystycznych z zakresu stosunków mieszkalnych, oświaty oraz innych działów. Nadmienimy więc tylko, że pod względem zaludnienia i rozległości zajmuje Lwów czwarte miejsce w rzędzie większych miast monarchii austriackiej. Pod względem zaludnienia przewyższają Lwów miasta: Wiedeń, Praga i Tryest, zaś pod względem rozległości stoi Lwów na czwartem miejscu po Tryeście, Czerniowcach i Wiedniu. Pod względem zdrowotności przypadło stolicy Rusi Czerwonej trzecie z kolei miejsce w rzędzie znaczących miast monarchii. Wyższość nad Lwowem posiadają pod tym względem Zadar i Stanisławów, gdzie stosunki śmiertelności po odtrąceniu zmarłych obcych przedstawiały się w cyfrach 15·8 i 17·5, podczas gdy we Lwowie stosunek ten wyrażała cyfra 23·1%. W tym samym czasie (w roku 1893) stosunek śmiertelności w Krakowie przedstawiał się w cyfrze 26·2%.

Stosunki zdrowotne Lwowa omawia również w rozdziale szóstym sprawozdanie d-ra A. Pawlikowskiego, fizyka miejskiego, który po krótkim wstępie historycznym wylicza nabytki asanacyjne, poczynione w latach 1871—1895, zaznajamia czytelnika w sposób jasny a treściwy z stanem szpitali, zakładów leczniczych i dobroczynnych, wreszcie opowiada nam o szerzeniu się chorób zakaźnych w obrębie miasta podczas ostatnich lat dwulziestu, ilustrując swe wywody odnośną tabelą. Pouczającym niemniej dla sfer zawodowych jest sprawozdanie chemika miejskiego d-ra Mieczysława Dunin Wąsowicza o założonem w r. 1887 miejskiem laboratorium chemicznem oraz o działalności tegoż, zaś w następnym rozdziale (Rozwój terytoryalny miasta) podaje p. M. Kowalczyk wyrazisty pogląd na położenie Lwowa, tudzież na stosunki klimatyczne, oro- i hydrograficzne, istniejące w okolicy tego miasta. W oddzielnym ustępie mówi szanowny autor o obszarze miasta, o powstawaniu placów, ogrodów i skwerów publicznych, przyczem pozwolimy sobie zwrócić jego uwagę, że urzędowa nazwa Wysokiego Zamku

(„Góra Franciszka Józefa I.“) datuje się nie od 1885 roku, lecz od dnia 19 października 1851 r., kiedy to panujący monarcha zwiedził po raz pierwszy owe plantacje. Niedokładną również wydaje się nam data, dotycząca zasklepienia Pełtwi (w ustępie: Kanalizacya i przesklepienie Pełtwi), gdyż roboty odnośne rozpoczęto nie w latach 1884—1886, ale jeszcze w roku 1839. Toż samo przy wzmiance o tramwaju konnym nie od rzeczy może byłoby nadmienić, że projekta, dotyczące jego budowy były już w latach 1868—1871 przedmiotem dyskusyi publicznej we Lwowie.

Pracowitością w zebraniu potrzebnego materiału i dokładnością w przedstawieniu przedmiotu odznaczają się relacye pp. Karola Jakubowskiego (Fundacye, pozostające pod zarządem gminy), tudzież F. Hobgarskiego (Podatki stałe w mieście Lwowie), zaś na szczere uznanie zasłużył również „Pogląd na rozwój szkół ludowych“, skreślony przez dyrektora, Mieczysława Baranowskiego (rozdział dziewiąty). P. Baranowski, korzystając w swej pracy z urzędowych szematyzmów, uwzględniających w dziedzinie szkolnictwa fakta już dokonane, popełnił mimo wolnie pewne nieznaczne omyłki co do daty powstawania poszczególnych zakładów naukowych. I tak, szkołka trywialna u PP. Benedyktynek łacińskich otwartą została już dnia 3 listopada 1784 r., nie zaś w roku 1795, a nadany przez cesarza Józefa II. w roku 1783 Siostrom Miłosierdzia klasztor wraz z kościołkiem św. Kazimierza, nie był własnością Trynitarzy, jeno Reformatów, przeniesionych czasowo przed ostateczną kasatą ich zgromadzenia, do dzisiejszego klasztoru karmelitańskiego. Toż samo pensjonat naukowy PP. Sakramentek rozpoczął swą działalność już w dniu 1 sierpnia 1785 r., nie zaś w roku następnym. Drobne te usterki nie obniżają oczywiście wartości pracy p. Baranowskiego, tworzącej cenny przyczynek do dziejów naszego szkolnictwa.

Dla szerszego koła czytelników, żadnych obeznania się choćby z ogólnym tylko zarysem dziejowym najbliższych okolic Lwowa, pożądanem zjawiskiem będzie nader zajmująco napisana rozprawa Leona Dziubińskiego p. t. „Okolice i dobra miasta Lwowa“ (rozdział dwunasty). Autor nie po raz pierwszy przystępuje do opracowania tego tematu, gdy rodzajem przygotowawczego w tym kierunku studyum była jego publikacya: „Dobra gminy król. stoł. m. Lwowa“, ogłoszona jeszcze w roku 1894, obecnie przerobiona w znacznie większych rozmiarach. Autor, opierając się na dokumentach, zachowanych w archiwach: miejskiem i grodzkiem oraz na cennej a nieprzyswojonej dotychczas na

szemu piśmiennictwu rozprawie byłego archiwisty miejskiego (*Beiträge zur Geschichte der Stadt Lemberg*), przedstawił źródłowo tytuły prawne do poszczególnych własności ziemskich, tworzących obecnie majątek gminy lwowskiej a zarazem opisał koleje, jakim w ciągu wieku, miejscowości te ulegały oraz stan ich obecny pod względem ekonomiczno-etnograficznym. W tym ostatnim kierunku praca p. Dziubińskiego zawiera wiele cennych, po raz pierwszy ogłoszonych drukiem wskazówek, opartych na sumiennej obserwacji. Prawdziwa swada i temperament pisarski cechują to opracowanie p. Dziubińskiego, z pod którego pióra wyszły również rozdziały: trzynasty („Magistrat m. Lwowa“), napisany wspólnie z radcą Edmundem Lukaszem, tudzież szesnasty („Poczet prezydentów i obywateli honorowych m. Lwowa“). Ten ostatni ustęp zawiera daty biograficzne, dotyczące odnośnych osobistości, podczas gdy w rozdziale p. t. „Magistrat m. Lwowa“, zaznaczają autorowie dodatni wielce objaw harmonii, istniejącej w ciągu całego ćwierćwiecza gospodarki autonomicznej między radą miejską, jako ciałem uchwalającym, a magistratem, jej organem wykonawczym.

Mniej odpowiednim wydał się nam sposób traktowania przedmiotu, obrany przez p. Bronisława Komorowskiego, w przedstawieniu „Rozwoju ruchu umysłowego i towarzyskiego we Lwowie“. Sympatyczny poeta miasto zebrania i zszeregowania odnośnego materiału, z nadto dał folgę ściśle osobistym reminiscencyom i refleksyom, których ton, niekiedy jowialny, nie raziłby bynajmniej w pamiętniku autora, lecz do uplastycznienia omawianego tematu nie przyczynił się wcale...

Wielce odpowiednie zakończenie pamiątkowej książki tworzy rozdział p. t.: „Lwów jako stolica kraju“, napisany wspólnie przez byłego prezydenta Mochnackiego oraz przez radcę Romanowicza. Zaznaczywszy ważniejsze zadania spełnione przez gminę miasta Lwowa w dziedzinie oświaty, życia społecznego i ekonomicznego, podnosi ów artykuł fakt wielce znamienity, iż Lwów pierwszy krok uczynił na drodze polityki, dążącej do praktycznego urzeczywistnienia zgodności naszych interesów narodowych z interesami ogólnopaństwowymi, wprowadzając w roku 1865 Agenora hr. Gołuchowskiego do sejmu krajowego. Wspominają następnie autorowie artykułu, iż Lwów zawsze przestrzegał polityki w kierunku rozszerzenia i utrwalenia samorządu, biorąc żywy udział w walce o język polski, o pomnożenie liczby posłów z miast, a zarazem dał pierwsze hasło społecznej pracy za pomocą stowarzyszeń. Wzmianki o wiecach miast, o wystawach krajowych z lat 1877 i 1894, wreszcie o udziale gminy m. Lwowa we wszystkich ważniej-

szych zadaniach życia narodowego, kończą ów rozdział, zamykający zarazem księgę pamiątkową.

Tekst dzieła zdobią liczne, bardzo starannie wykonane ryciny, przedstawiające cenniejsze budynki, plany i portrety osób około dobra miasta zasłużonych, a i typograficzna strona publikacji odpowiada godnie jej zadaniu, natomiast brak skorowidza utrudnia wielce korzystanie z książki, która zarówno dla praktycznego użytku mężów zajmujących się sprawami miejskimi, jak dla badacza dziejów tego grodu niepospolitą przedstawia wartość.

Stanisław Schnür-Pełowski.

Filozofia nicości. Rzecz w istocie Buddyzmu. Przez *ks. Władysława Michała Dębickiego*. Warszawa 1896. Nakładem Gebethnera i Wolffa. (W 8-ce, str. 108).

Kiedy przeminęła gorączka pozytywizmu, zostawiając w umysłach zawód, poczęto się znowu zwracać do porzuconych ideałów a wraz z niemi do porzuconego również Boga, duszy niematerjalnej, życia pozagrobowego. Zamiast jednak stanowczego zwrotu w tę stronę, w której znajduje się prawda, wolna od jakiejkolwiek przymieszki błędu, za trzymano się w połowie drogi i chwycono się doktryn bałamutnych, o których mniemano, że będą w stanie sercu i rozumowi zastąpić jakokolwiek stare i odwieczne prawdy religii chrześcijańskiej. Jedną z najmodniejszych stała się religia, tak zwanych neo-buddystów, pragnących na łono naszej cywilizacji przeszczepić wierzenia i przesady buddystów azyatyckich. Książka ks. Dębickiego poucza właśnie, na czym polega istota buddyzmu i jego filozofii. Niech nie zraża czytelnika temat abstrakcyjny; ks. Dębicki należy do pisarzy, którzy o rzeczach filozoficznych umieją pisać jasno i zajmująco.

Ażeby tem dokładniej i gruntowniej zdać sprawę z nauki buddystów, kreśli on przedewszystkiem postać samego Buddy¹, jego życie, jakoteż tło historyczne i geograficzne, na którym powstał jego religijno-filozoficzny system. Jest zdania, że pierwotnie doktryna Buddy była właściwie nie religią, ale teorią filozoficzną; dopiero z biegiem czasu system filozoficzny począł się przekształcać w religijny, tworząc swój

¹ Niektórzy indyologowie podają w wątpliwość istnienie Buddy, a wszystkie szczegóły, jakie się przechowały o jego życiu uważają za fikcję mitologiczną. Jednak poważna większość uczonych jest przeciwnego zdania i utrzymuje, że Budda istniał rzeczywiście, że nauczał przebiegając Indyę środkową i licznych miał już za życia zwolenników.

Olimp, swoją hierarchię, obrzędy i praktyki, amulety i fetysze, swoje wreszcie odcienie i sekty. Zasadniczo jednak buddyzm był, i w znacznej mierze jest jeszcze obecnie filozofią, nie zaś religią. Buddyzm z zasady przeciwny jest wszelkim dogmatom, (a więc i wszelkiej religii); dosadny tego wyraz mamy w ulubionej jego formule: Budda ma słuszość — Budda nie ma słuszości — Budda ma i nie ma słuszości. Niektórzy uczeni (Wuttke, Köppen) dają buddyzmowi miano „religii nicości“; autor sądzi, że raczej zwać go należy „filozofią nicości“.

Jako system filozoficzny, buddyzm mało jest oryginalny. Całą jego oryginalnością jest ogłoszenie braterstwa wszystkich ludzi, bez różnicy pochodzenia i kasty i przyznanie wszystkim bez wyjątku prawa do nirwany. Naczelną zasadą filozofii w ogóle indyjskiej jest ten absurd, że treścią świata jest nicość i próżnia, przyczyną zaś różnorodnych rzeczy w naturze jest powszechne złudzenie. Buddyści pochwycili tę doktrynę, dodając od siebie sofistyczne jej uzasadnienie i wyprowadzenie ostatecznych wniosków. Budda miał zawrzeć swoją naukę wyzwolenia w czterech następujących „prawdach wyborych“: 1) cierpienie; 2) jego przyczyna; 3) pokonanie; 4) droga do pokonania cierpienia. Tą drogą a zarazem najwyższym dążeniem prawowiernego buddysty jest zniweczenie w sobie wszelkich pragnień, zabicie żądzы istnienia, a przez to dostąpienie unicestwienia zupełnego — nirwany. Nirwana, ów najwyższy ideał buddystów, polega, jak wykazuje ks. Dębicki, na nicości zupełnej i absolutnej. Stąd słusznie filozofię buddyjską można nazwać filozofią nicości.

Taką jest metafizyka filozofii buddyjskiego nihilizmu, która pociąga ku sobie pewne umysły, chore na ultra-sceptycyzm.

Etyka buddyzmu jest czystą niekonsekwencją tego systemu ateistyczno-nihilistycznego; w buddyzmie o moralności mowy na seryo być nie powinno. W rzeczywistości jednak (choć niekonsekwentnie), system ten o moralności traktuje; owszem, głosi bardzo wiele zdrowych a nawet wzniosłych zasad moralnych. Fakt ten stanowi tylko potwierdzenie słów Apostoła, że prawo (przyrodzone) zapisane jest u pogan na tablicach serca.

Oprócz tego ogólnoludzkiego, niema żadnego innego pokrewieństwa między filozofią Buddy a chrześcijańskim Objawieniem. Wszelkie porównywania buddyzmu z religią chrześcijańską, podejmowane w celu wyrugowania chrześcijaństwa i zastąpienia go czemkolwiek innem, choćby wstrętnym nihilizmem Buddy, dowodzą tylko złą wiary. Bezstronne jednak i przedmiotowe zestawienie z sobą tych dwu systemów

wykazuje pod każdym względem nieskończoną wyższość religii chrześcijańskiej.

Tak na przykład — żeby potracić o niektóre tylko szczegóły, bijące w oczy — buddyzm zatamował naturalny rozwój cywilizacyjny wielu narodów: chrystyanizm postawił swych wyznawców na czele ludzkości. Buddyści są zażartymi przeciwnikami wszelkiej nauki: chrześcijanie pod wpływem swej wiary w możliwość poznania prawdy, w rzeczywistość świata i istnienie Boga osobowego, wydarli naturze tysiące najskrytszych jej tajemnic.

Między ascezą chrześcijańską a ascezą buddyjską jest taka różnica. jak między niebem a ziemią. „Doktryna filozofa z Kopilawartu, podobnie jak Chrystyanizm, wypowiada walkę namiętnościom, lecz praktykami swemi usiłuje zniweczyć je tylko. Chrystyanizm przeciwnie przyjmuje człowieka z całą jego skażoną naturą i kunsztem iście cudownym z najgorszych nawet skłonności wytwarza arcydzieła zasługi i cnoty. Z tego właśnie powodu jest Chrystyanizm religią prawdziwie humanitarną i najżywotniejszą dźwignią postępu“.

Ks. Stanisław Kobyłecki.

Na kresach cywilizacji. Listy z podróży po Ameryce południowej, odbytej w r. 1892. Przez *dr. Józefa Siemiradzkiego*. Lwów 1896. (w 8 ce, str. 263).

Ciekawa ta i niezwykle pouczająca książka jest zbiorem listów, drukowanych przed trzema laty w odcinkach gazet. Uczony autor poświęciwszy kilka miesięcy zwiedzaniu kolonii rolniczych w Brazylii, 30 sierpnia 1891 r. rozpoczął bogatą w przygody i zdobycze naukowe podróż, wpływając parowcem „Desterro“ na wody La Platy. Zwiedził nasamprzód Montevideo, następnie Buenos-Aires, poznał ludność tych miast, zwłaszcza drugiego, stosunki jego towarzyskie i przemysłowe, wreszcie polską jego kolonię, a potem po krótkiej wycieczce do pobliskiej, niegdyś sławnej z przepychu, dziś zrujnowanej La Platy, puścił się z szczupłą swą karawaną w kraj nęcący umysł badacza, ale zarazem groźny i tajemniczy; kraj rozległych stepów, nieznanych pasm górskich i bezwodnych pustyń.

Rzadko napotyając na odcięte od świata ludzkie siedziby, wśród wielu trudów nieraz i niebezpieczeństw, przebył dr. Siemiradzki setki mil nietkniętych dotąd stopą uczonych europejskich; przeszedł przez niezmierzone obszary słonej pustyni patagońskiej i wiecznie zielonej Araukanii, badając wszędzie ziemię z jej skarbami i płodami i jej

mieszkańców wraz z stosunkami, bardzo nieraz pierwotnymi i różnymi od naszych, jakie się wytworzyły na tych ostatnich kresach cywilizacji, gdzie strzępy kultury dziwną tworzą mieszaninę z grubą dzikością i barbarzyństwem.

Podróż ta przedewszystkiem obfitą była w ciekawe odkrycia naukowe, zwłaszcza geograficzne. Polski uczony pierwszy z geografów napotkał i oznaczył kilka nieznanych dotąd a potężnych pasm górskich, kilka jezior i rzek. *Geographische Mittheilungen* Petermann'a umieściły dokładny szkic całej tej naukowej podróży, a głośny Elizeusz Reclus w pomnikowym swem dziele *La Terre* opis okolic przez d-ra Siemiradzkiego zwiedzonych ułożył wedle jego notatek i spostrzeżeń.

Zasługują też na uwagę interesujące etnograficzne szczegóły zwłaszcza o Araukanach, o plemionach indyjskich szczepu *Guarani*, o trybie ich życia, o zwyczajach, o pięknych wyrobach, nieznanych dotąd etnografom, wreszcie o języku, zdolnym bardzo różnorodnych modyfikacji, czego (jak na książkę popularną) wcale liczne przykłady przytacza autor.

Oprócz wiadomości ściśle naukowych, zawiera książka p. Siemiradzkiego niezliczoną prawie ilość ciekawych, gruntownych a przytem bardzo różnorodnych informacji, które pozwalają wyrobić sobie nader plastyczny obraz stosunków panujących w państwach i państewkach południowej Ameryki.

Autor na wszystko, co po drodze spotyka, patrzy nie przez szkiełka „amatora-turysty“, który zamierza kreślić „przelotne wrażenia“, ale okiem sumiennego badacza, który stara się z każdej rzeczy zdać sobie dokładną sprawę, a rzecz poznaną i zbadaną potrafi opisać nietylko ściśle, ale i zajmująco. Interesuje się on bardzo wieloma rzeczami: a więc kulturą i jej postępem, rozwojem przemysłu i handlu, życiem towarzyskiem i umysłowym, dziejami Indian, schodzących coraz bardziej z widowni i polityką (bardzo nieraz czerwoną i awanturniczą) południowo-amerykańskich państewek. Szczególniej jednak zajmuje go rolnictwo i gospodarstwo; dokładnie bada stan jego w różnych okolicach i osadach, studjuje chów bydła, podaje wykazy odmian inwentarza żywego, rynki zbytu, jakoteż ceny panujące w handlu południowo-amerykańskim.

Z osobnem uczuciem i zainteresowaniem szuka wszędzie po swej drodze polskich nazwisk i polskich kolonii i odnajduje ich wiele, poczynawszy od polskiej gromadki w Buenos-Aires, aż po St. Jago w Chile, gdzie odwiedza p. Kazimierza Domeykę, który objął katedrę po ojcu

i polskie po nim pamiątki starannie przechowuje w swym domu — ale po polsku już nie mówi.

O kolonizacyi żydowskiej w Argentynie wyraża się dr. Siemiradzki dość cierpko i posępnie: „Żydzi polscy — powiada — stanowią dla Hirsch'owskiej administracyi ciężką plagę. Ci z nich, którzy się osiedlili w Buenos Aires, po odrzuceniu szczupłej garstki inteligencyi i nie wielkiej liczby rzemieślników, zajmują się wyłącznie handlem żywym towarem, należąc do wstrętnej szajki, której pojedynczych agentów niekiedy, choć niestety zbyt rzadko, w kraju u nas łapie policya“.

W przedmowie żali się dr. Siemiradzki, że zawód doznany ze strony jednej z wielkich naszych firm wydawniczych jest powodem, iż z wielką szkodą dla książki nie mógł zużytkować obfitego materiału ilustracyjnego, znajdującego się w jego posiadaniu. Dziwne to doprawdy, a kto zna ruchliwość i przedsiębiorczość tylu firm zagranicznych na polu wydawnictw ilustrowanych, mających nieraz bez porównania mniejszą wartość niż książka p. Siemiradzkiego, powiedzieć sobie musi, że tego rodzaju zawody chyba tylko w Galicyi są możliwe.

Leszek Dziama.



Z piśmiennictwa zagranicznego.

Praelectiones dogmaticae, quas in collegio Ditton-Hall habebat *Christianus Pesch S. I.* Tom. I. p. XIV, 414; tom. II. p. XIV, 369; tom. III. p. XII, 370; tom. IV, p. XII, 350. Friburgi, Herder 1896 (w 8-ce).

Cała teologia tworzy jeden wielki system rozwijający się wprawdzie ciągle, ale różniący się tem od wszelkich innych systemów naukowych, że zawiera dużo prawd najwyższą sankcją potwierdzonych, a więc niezmiennych. Stąd wynika konieczna prawie potrzeba podręcznika i wielkie jego dla teologa znaczenie w pierwszych przynajmniej latach jego studyów.

Największe dzieło św. Tomasza, Suma teologiczna, jest właśnie takim podręcznikiem dla początkujących, jak św. Doktor sam w przedmowie się wyraża. Nielatwo ktoś genialnego Świętego prześcignie, ale dzięki się należą każdemu, który w ślad św. Tomasza stara się dać uczniom sumę teologicznych wiadomości dla naszych czasów. Dzieło wielkiego Doktora dla niezrównanej głębokości myśli i poglądów, której

towarzyszy rzadka jasność, powinno być w rękach każdego teologa, ale właściwym podręcznikiem na teraz być nie może. Teologia się ciągle rozwija. Sobory powszechne w najskuteczniejszy sposób temu rozwojowi dopomagają. Powagą swą nieomylną uświęcają prawdy przez szkoły naukowo zbadane a skutkiem ułomności umysłu ludzkiego od jednej szkoły bronione od drugiej odrzucane; uchwałami swojemi wskazują też kierunek, w którym teologowie dalej pracować mają, by coraz więcej prawd się wyłoniło z powierzonego Kościołowi Objawienia. Takich soborów od czasów św. Tomasza było 6, a między nimi Trydencki i Watykański. Wiadomo o ile nauka o usprawiedliwieniu, o sakramentach, o Kościele, o stosunku rozumu do wiary przez ten czas postąpiła. Ale jeszcze ważniejszą przyczyną, wymagającą nowych podręczników, są zarzuty nowoczesnej nauki; po części stworzyła ona zupełnie nowe, po części stare w inne szaty odziała, więcej pozorów prawdy im dodała. Słychać czasem od zbyt zapalonych wielbicieli św. Tomasza, że wszystkie trudności nowoczesne przeciw wierze Anielski Doktor już rozwiązał. Jest to o tyle słusznem, że głębokie poznanie prawdy, samo przez się uzdatnia do łatwiejszego zbijania błędów, i że zarzuty w rozmaitych wiekach powstające wiele między sobą mają podobieństwa skutkiem niezmienności nauki, przeciw której się zwracają. Ale zapomnieć nie trzeba, że tylko nadzwyczaj bystry i głęboki umysł w poznanej prawdzie równocześnie widzi i matactwo fałszu. Św. Tomasz na każdym kroku uwzględnia, rachuje się, prostuje i zbija nie tylko zdania wielkich myślicieli przeszłości, ale też zdania współczesnych sobie uczonych katolickich czy niekatolickich.

Za jego przykładem ks. Pesch przedstawia nam całość teologii w świetle najnowszych wyroków Kościoła i badań teologów, w walce zawsze zwycięskiej przeciw teraźniejszym błędom. Nie pomija on milczeniem żadnej z ważniejszych trudności naszych czasów, z którego-kolwiekby obozu i dziedziny nauk pochodziła. Nie zbywa ich tylko mimochodem, ale jasno a stosunkowo do szczupłej objętości tomów nawet obszernie je przedkłada, by uczeń dobrze zrozumiał całą ich doniosłość i siłę. Zawsze źródła zbijanych zdań przytacza, zwykle krótkie cytaty z tychże źródeł czerpane podaje. Przez to jednak teologia ks. Pescha nie traci charakteru tetycznego, odpowiadającego bardziej naturze podręcznika aniżeli duch czysto apologetyczny, który się przebija w wykładach i teologii wydanej w ostatnich latach przez wybitnego profesora niemieckiego ks. d-ra Schella. Forma, jaką ks. Pesch nowsze trudności uczniom przedkłada, nie wzywa wprost do walki

z nieprzyjacielem, do obrony wiary, ale zachęca w pierwszej linii do zgłębiania dogmatu w tym kierunku, w którym go przeciwnicy zaczepiają. Niezmiernie to przedewszystkiem w gorączkowym ruchu naszych czasów ważną rzeczą; brak tego fundamentu zwykle powoduje subiektywność w obronie dogmatu, oddalenie się w walce od prawdy to przez zbytnią surowość, to przez fałszem nacechowaną pobłażliwość.

Obok tej wielkiej zalety aktualności książki ks. Pescha, podnieść wypada jednolite, bo samodzielne i gruntowne opracowanie całego przedmiotu. Metodą syntetyczną każdy traktat na tezy podzielił, nie spuszczając z oka organicznego, wewnętrznego związku, tak ścisłego między prawdami wiary, że o głębszem zrozumieniu jednej bez drugich mowy być nie może. Uwydatnia autor ten związek nie tylko między traktatami, ale i między tezami tak, że teologia uczniowi się przedstawia jako wielki gmach nadzwyczajnej piękności, w którym każda najprostsza nawet linia się przyczynia do uroku całości, nie jako sztuczny zbiór prawd bez związku i życia. Przez to też z góry jednej trudności zapobiega, mianowicie w I-szym tomie, zawierającym tak ważną teologię fundamentalną, i szkodliwych w podręczniku powtórzeń unika. Wszystkie ważniejsze kwestye teologiczne znalazły w tych traktatach swe odpowiednie miejsce. Przedstawia je autor w krótkich, jędrnych rysach, opierając się na źródłach bardzo dokładnie podanych; przedewszystkiem tak zwany *status quaestionis* oznacza się wielką jasnością i precyzją. Dekreta soborów cytuje o ile można według Denzinger'a, Ojców św. według najnowszych krytycznych wydań. Długich cytatów spotykamy bardzo mało; powiększają one tylko objętość książki, zmniejszają pogładowość, a prawie nigdy czytelnikowi nie dają tyle światła, co bezpośrednie zagłębienie do źródeł. Natomiast spotykamy często trafnie umieszczone odsyłacze do obszerniejszych monografij. Nauka wszędzie zdrowa, zgodna z duchem Kościoła, bez wszelkiej skrajności. W wyborze dowodów autor jest ostrożny, nie przypisując im większej siły aniżeli w rzeczywistości mają; stąd niejeden dowód z Pisma świętego opuszcza, jeżeli albo teksty nie są krytycznie pewne, jak tekst listu św. Jana (I. Jo. 5, 7) o Trójcy św., albo prawda tezy w nich z ewidencją nie jest zawarta. W polemice, choć swego zdania czasem stanowczo broni, jest zawsze spokojny, nigdy miary nie traci.

Skutkiem wielkiej jędrności teologia ta mniej może się nadaje do prywatnego studyum bez wykładów — nie była też na to napisana. Jako podręcznik zaś poleca ją jeszcze ta okoliczność, że autor swego zdania nie narzuca i sposobem pisania ucznia do własnego badania za-

chęca, prawie zmusza, różne podając poglądy, zostawiając kwestye sporne często nierozwiązane, wskazując zawsze czytelnikowi, czy to w tezach nieulegających wątpliwości, czy w spornych, że w podręczniku tylko istotne, zasadnicze prawdy, wyniki własnych swych badań, przedłożył, kwestyi jednak nie wyczerpał. Uczniowi pozostawia, by według sił i zamiłowania szerokie pole, każdej ważniejszej kwestyi z osobna wziętej sam uprawiał. Uderzyła mnie ta właściwość podręcznika ks. Pescha we wszystkich aż dotąd wydanych traktatach. Niektóre podręczniki teologiczne są krótkim streszczeniem całej teologii, jak dzieło ks. Schouppé'go; mają one swe zalety, ale dla ucznia są one tylko martwym szkieletem niepociągającym ku sobie, niedającym pojęcia o piękności i głębokości przedmiotu. Inne przeznaczone i umyślnie dla naszych seminariów ułożone, jak cenne *Enchiridion* ks. d-ra Eggera, ze względu na szczupłą liczbę godzin przeznaczonych dla teologii dogmatycznej, niejednej ważnej kwestyi głębiej poruszać nie mogą. Inne zaś obszernie omawiają każdą część teologii, jak dzieła ks. Palmiiego, kard. Franzelina i t. d., ale już z tego powodu nie są stosownymi podręcznikami, że zbyt determinują umysł czytającego. Przede wszystkim takie prace, jakimi są traktaty teologiczne kard. Franzelina, łatwo w uczeniu wytworzyć mogą to przekonanie, że poza sposobem zapatrywania znakomitego autora prawdy niema, co mimo wybitności dzieła ujemnie wpłynąć musi na ogólne wykształcenie teologiczne. Dzieło ks. Pescha, o wielkości i piękności przedmiotu jasne pojęcie daje, wszystkie ważne kwestye jędrnie i głęboko przedstawia, wszechstronne zaś ich rozwinięcie zostawia profesorowi i uczniowi. Przyznaję więc zupełnie, że ks. Pesch nam nie dał podręcznika, na którymby uczeń mógł poprzestawać, mając w nim nagromadzoną całą jemu potrzebną wiedzę; bo też nauka teologii nie powinna polegać tylko na przyswajaniu sobie, ale koniecznie wymaga badania i samodzielnego zgłębiania. Bez wątpienia, że tak pojęta nauka dogmatu, dużo czasu i pracy wymaga, jak zresztą każda inna nauka. Ks. Pesch przeznaczył swą teologię dla tych, co uczęszczają przez 4 lata na dogmat, mając dziennie po 2 godziny wykładu. Dlatego jego książka dla tutejszych seminariów jako podręcznik odpowiedniaby nie była, tem bardziej, że autor dużo kwestyj niezbędnie do zrozumienia całego systemu teologicznego potrzebnych opuszcza w myśli, że uczniowie w 3-letnim przygotowawczym do teologii kursie filozofii z niemi dostatecznie się już obznajomili. Profesorom jednak i wszystkim pragnącym głębszego poznania naukowego dogmatu katolickiego, dzieło ks. Pescha bez wąt-

pienia wielkie usługi wyświadczy. Z wyszłych aż dotąd tomów najbardziej udatnemi są, jeśli się nie mylę, tom I.: 1) *De Christo legato divino*, 2) *De Ecclesia Christi*, 3) *De locis theologicis* i tom IV.: 1) *De Verbo Incarnato*, 2) *De Beata Virgine*, 3) *De cultu Sanctorum*. Uderza jednak w tym tomie zbyt krótkie tłumaczenie trudnej kwestyi na czem istotnie unia hypostatyczna polega. Umieszcza ją autor tylko jako *Corollarium* po tezach, w których wytknął słabe strony innych tłumaczeń, co w tak trudnej kwestyi zbyt łatwą jest rzeczą. W drugim tomie traktat o Trójcy św. najslabiej jest opracowany. Sądzę, że tezy o relacjach, będące podwaliną wszelkich teologicznych dyskusyj o tym dogmacie, powinny koniecznie być rozszerzone. Szkoda, że autor nie uwzględnił dzieła księdza Billota, które szczególnie w kwestyi o Trójcy odznacza się teologiczno-scholastycznym zgłębianiem dogmatu. W trzecim tomie znajdujemy 16 tez *De actibus humanis*, dodanych do traktatu *De Deo fine ultimo*, o wiele głębiej opracowane aniżeli to zwykle bywa, jeśli się te kwestye nie w tem miejscu, ale tylko w teologii moralnej uwzględnia. Z szczególnem widać zamiłowaniem autor obrobił tezy o Niepokalanem Poczęciu; wypadły, zdaje się, znakomicie, tylko w stosunku do całości zanadto są długie. Wchodzić w bliższe szczegóły nie byłoby tutaj na miejscu. Obszerne spisy alfabetyczne materyi i autorów przy każdym tomie, powiększają praktyczność podręcznika.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Geschichte Liv-, Est- und Kurlands von der Aufsegelung des Landes bis zur Einverleibung in das russische Reich. Eine populäre Darstellung. Mit 7 Bildern, 1 Karte und einem Personen- und Sachregister. I. Band: Die Zeit bis zum Untergange livländischer Selbstständigkeit. Reval 1895 (8-vo). II. Band: 1. Abtheilung. Die Provinzialgeschichte bis zur Unterwerfung unter Russland. Von Ernst Seraphim. 2. Abtheilung. Kurland unter den Herzögen. Von Dr. August Seraphim. Reval 1896 (8-vo). Verlag von Franz Kluge.

Nieustannie akcentowanie zbawiennego wpływu reformacyi luterskiej jest świadomym środkiem pedagogów i pedagogii protestanckiej. Nic więc dziwnego, że starszy nauczyciel gimnazjum felińskiego (w Inflantach szwedzkich czyli gubernii ryskiej), pan E. Seraphim, zajmujący od lat kilku dochodną posadę redaktora ryskiego dziennika *Düna-Zeitung*, nie gardzi bynajmniej tym środkiem, lubo co chwila powołuje

się do swej bezstronności historycznej, rozprawia o obiektywnem przedstawianiu faktów i t. p., co jego szowinizm lokalny i niezwykłą, nader zuchwałą stronniczość tem drastyczniej uwydatnia.

Już w samej przedmowie do tomu I., w którym o Polsce i Polakach niewiele jest mowy, spotykamy się z wyrażeniem *polnische Tücke* (*sic!*), na jaką gorzko utyskuje szanowny autor, zaznaczając tem samem już z góry stanowisko nieprzyjemne, które za chwalebnym przykładem swojego poprzednika w temże gimnazyum felińskim, a dzisiejszego profesora berlińskiego, pana Teodora Schiemanna, zamierza zająć, oczywiście w tym celu, ażeby w kołach polonofobów jak największą uzyskać popularność.

Pomimo, iż szanowny autor niektóre kwestye zbywa z gorączkowym pośpiechem, a inne traktuje rozwlekłe, wyciąg i ugrupowanie wiadomości z dziejów krajowych (rozrzuconych tu i owdzie po licznych dziełkach i monografiach inflanckich najrozmaitszego autoramentu) zasługuje na pochwałę. Ale chwala pana Seraphima i zasługa byłyby większe, gdyby był udowodnił, że wszyscy przytaczani przez niego autorowie godni są takiego zaufania, jakim ich pan Seraphim darzy. Nie przeprowadziwszy takiej krytyki, osłabił szanowny autor do wysokiego stopnia znaczenie i wiarygodność swej nader spiesznie, wśród bezustannej pracy dziennikarskiej, kreślonej historii Inflant, Estonii i Kurlandyi, z której, jak się zdaje, historyk fachowy żadnej korzyści odnieść nie zdoła, a ogół czytelników, dla jakich przedewszystkiem ta popularna historia jest przeznaczoną, częstokroć całkiem błędne pojęcia będzie musiał zapatrywania na dzieje krajów tutejszych.

Dla uzasadnienia powyższego, nieco ciężkiego zarzutu, wystarczy odesłać czytelnika naszego chociażby tylko do stronic 53—185 drugiego tomu tej pracy popularnej, a zwłaszcza do ustępów: *Kriegsfrohe Politik Stephan Bathory's* (rok 1579), *Polnische Erfolge in Livland* (rok 1581), jako też do rozdziałów: IV., *Der Beginn der Polennoth* (str. 61—98); V., *Polnische Willkürherrschaft* (str. 99—113); VI. i VII., *Kalenderunruhen in Riga* (str. 114—160) oraz do rozdziału IX., *Der Höhepunkt der Vergewaltigung* (str. 166—184), które szanowny autor, jako doświadczony redaktor miejscowego dziennika *Düna-Zeitung*, nie bez zręczności kompiluje z najciemniejszych obrazów, dostarczanych mu hojnie przez liczne monografijki inflanckie w rodzaju słynnej *Polnische Wirtschaft in Livland*, kreślonej przez rewelskiego rajcę miejskiego, Greiffenhagena, o którym to arcydziele w swoim czasie podawał

Kwartalnik historyczny aż nazbyt wyczerpujące sprawozdania i recenzje¹.

Obok powyższej uczonym polskim historykom dostatecznie znanej rozprawki rajcy Greiffenhagena, odwołuje się szanowny autor co chwila do broszurek, kreślonych w gwałtownym tonie polemicznym, wywołanym od czasu do czasu przez palące kwestye, będące właśnie na porządku dziennym, a więc do prac dorywczych, które w swoim czasie służyły lub miały służyć wyłącznie ku poparciu zapatrywań jakichś partyj czyli raczej koteryjek krajowych².

Przy cytowaniu faktów dziejowych odgrywa niepomierłą rolę pan Juliusz Eckhardt, znany ze zręcznych a pustych frazesów publicysta niemiecki, dziwnie lekkomyślny, znający tak dobrze historję, iż o królu polskim, Zygmuncie III., pouczał swoich cierpliwych czytelników: „że król ten, lubo całkiem jest obcy dynastji Jagiellonów, wszelako spowinowacony był z nią przez jedną z żon swoich, która była Jagiellonką“³ (*sic!*). Główną zaś podstawą obszernych rozdziałów, traktujących o ryskich zaburzeniach kalendarzowych (str. 114—160), jest u p. Seraphima nieudolna rozprawka luterskiego predykanta, niejakiego pastora Dsirne, mieszkającego stale w Saratowie i rozprawiającego w ciągu trzeciej ćwierci XIX. stulecia z głębi Rosyi o ryskich wypadkach z wieku XVI., lubo w przedmowie sam p. Dsirne wyrażał, że źródła archiwalne do tej pracy nieodbitcie potrzebne, są mu całkiem nieprzystępnymi na jego oddalonem wygnaniu.

Ma więc oczywiście p. Seraphim sobie tylko właściwe pojęcie o źródłoznawstwie dziejowem i zużytkowywaniu materiału drukowanego.

Cóż tedy dziwnego, iż przy owej całkiem nowej metodzie opisywania dziejów miejscowych, jaką sobie bez zbytecznych wysiłków utwo-

¹ Porównaj *Kwartalnik historyczny* z r. 1889, rocznik III oraz z r. 1891 rocznik V, str. 146 i 147.

² O. Müller, *Die livl. Landesprivilegien u. deren Konfirmationen*, Lipsk 1870; Hollmann, *Die Gegenreformation und die Rigasche Domschule*, liczne tendencyjne artykułiki ogłaszane w ryskim Almanachu; Teodora Schiemana, *Ein livländischer Gedenktag*; H. Bruiningka, *Livländische Rundschau*; Kupfera, *Das unbewegliche Vermögen der lutherischen Landeskirche Livlands*; Daltona, *Evangelisch-lutherische Kirche in Russland*; Greiffenhagena, *Konfirmationsverhandlungen*; Christianiego, *Bischof Rudbeckins* i t. p., pomiędzy niemi także liczne swoje artykułiki dziennikarskie okolicznościowe, na które obecnie odwołuje się jako na pierwszorzędną źródła dziejowe.

³ Porównaj Julius Eckhardt, *Livland im XVIII. Jahrhundert*. Einleitung.

rzył ten historyk-dziennikarz, mogą się także wytworzyć poglądy całkiem nowe i nieoczekiwane¹.

Jak widzimy z niżej podanych cytatów, szan. autor-dziennikarz lubuje się w ostatecznościach; zależność od Polski przedstawia jako *summum malum*, zależność od Szwecyi jako *summum bonum*. Zapatrywania te szan. autora konstatujemy tutaj po prostu, uważając wszelkie komentarze za zbyteczne.

Po wszystkim, cośmy dotąd z popularnej historii inflanckiej p. Seraphima dosłownie przytoczyli, domyśli się czytelnik, jak skwapliwie wyzyskuje w niej szanowny autor wszelkie czarne obrazy o rzekomym fanatyzmie religijnym Polaków, podane przez stronniczego Teodora Schiemana, w pracy jego nieco powierzchownej: *Livland, Russland und Polen bis in das XVII. Jahrhundert* (w Onckena *Allgemeine Ge-*

¹ Jako przykład niech służy następujący ustęp:

„Unser Bild polnischen Regiments weist bisher nur eine Farbe auf, noch manchen anderen dunklen Ton zeigt die Palette.

„Wie man die Gewissen geknechtet hat, so auch das Recht. Was hatte alles das Privilegium Sigismundi Augusti versprochen, wie wenig hatten schon die livländischen Konstitutionen übrig gelassen und doch bildeten sie nur den Anfang weiterer und schändlicherer (*sic!*) Rechtsverletzungen... ja das Furchtbare ist wahr, König Stephan Bathory hat allen Ernstes dem König Johann von Schweden den Plan unterbreitet, ‚in einer livländischen Bartholomäusnacht alle Deutschen in Livland, seine eigenen friedlichen Unterthanen, auszurotten‘. Dieser Plan des ‚guten Königs Stephan‘ ist nun freilich nicht ausgeführt worden, aber sein Nachfolger, Sigismund Wasa, hat eifrig das Seine dazu gethan, um das Oberste zu unterst zu kehren, Verfassung und Recht zu beugen und polnischer Wirschaft Thür und Thor zu öffnen“ (str. 178).

Wart również dosłownego przytoczenia piękny zwrot retoryczny dziennikarza Seraphima, umieszczony w końcu rozdziału IX. na str. 185, dla wywołania tem większej sensacji u porwanych tą cudną narracją czytelniczek:

„In den Herzen aller wahren Anhänger unserer Heimath befestigte sich aber mehr und mehr der Gedanke, dass ein Ende ohne Schrecken besser sei, als ein Schrecken ohne Ende. Ihre Blicke richteten sich wie von selbst auf Schweden, die werdende protestantische Grossmacht des Nordens!... Und die Stunde, da Polen Livland verlieren sollte, war nahe! Nicht freilich in kurzem Siegeslauf, sondern in einem langen, wechselvollen Kriege gewann Schweden die ‚vielumtanzte Braut‘, nicht leicht wurde der Wechsel der Herrschaft unserer Heimath gemacht, in der beim zeitweiligen Obsiegen der polnischen Waffen der Druck fanatischen Regiments sich centnerschwer auf alle legte, bis Gustav Adolph endlich der sich verzweifelt wehrenden Polen Herr wurde. Auch für Livland wurde also das Wort zur Wahrheit ‚Durch Nacht zum Licht!‘“.

schichte in Einzeldarstellungen) oraz *Die Katholisirung Livlands* (Mita-
tawa 1877 r.) i wielu innych, jako to: *Charakterköpfe* i t. p.

Całkiem fałszywe i lekkomyślnie wypowiedane przez p. Schiemana sądy w pierwszej z tych prac jego, wykazał i potępił słusznie prof. Wincenty Zakrzewski, w recenzji umieszczonej w *Kwartalniku historycznym* (rocznik IV, str. 580—583), z którą oczywiście nie zdołał zapoznać się p. Seraphim, gdyż powtórzył dosłownie owe niczem nieuzasadnione jeremiady Schiemana.

Co do drugiej przytoczonej przez nas pracy tegoż p. Schiemana, niemniej sumiennie wypisuje z niej autor wszelkie wzmianki o rzekomym fanatyzmie religijnym Polaków. Wzmianki te dają się także napotkać w wielu innych stronniczych pismach protestancko-niemieckich. Wyznać atoli należy, że napróżno szukalibyśmy autentycznych dowodów na to, iż Polacy, wiedzeni ślepym fanatyzmem, rozciągali nad mieszkańcami dawnych Inflant religijne prześladowanie.

Owi niezmordowani głosiciele polskiego fanatyzmu mają oczywiście na myśli głównie Batorego, który okazywał się nierównie surowszym w tej mierze niż Zygmunt III. Niepodobna zaś znaleźć owych dowodów ani w Theinerze, ani w Turgeniewie (*Historica Russiae monumenta*), ani w Kojalowicza Dyaryuszu, ani w innych źródłach współczesnych. Nawet w ogłoszonej przez Teodora Schiemana rozprawie: *Die Katholisirung Livlands*, na którą co chwila powołuje się p. E. Seraphim, same fakta nie odpowiadają bynajmniej namiętnym frazesom i gorzkim skargom autora, który swych ziomeków pragnąłby koniecznie wykierować na nieszczęśliwe ofiary srogiej zaciekłości religijnej Polaków. Szczupłe cytaty źródeł w pracy p. Schiemana nie osiągają pożądanego skutku.

Za dowód np. nadzwyczajnej gorliwości Zamoyskiego w dziele przeciągnięcia Inflant na katolicyzm, przytacza Schieman następny okres z listu jego do Possewina (z d. 19 stycznia 1582 r.), którego zresztą serdecznie nie lubił: „Niech Wasza Wielebność nie wątpi, że starań dołożę, aby przy uporządkowaniu stosunków prowincyi inflanckiej, Jego Królewska Mość przedewszystkiem się starał o służbę Bożą“.

Sam ten Possewin, tak groźny z dala, jakżeż inaczej przedstawia się, gdy mu czytelnik przyjrzy się nieco bliżej! List jego z d. 28 kwietnia 1582 r. sprawia wrażenie wprost przeciwne zamierzonemu przez p. Schiemana. Widzimy, że Inflantczycy sami garnęli się do Possewina, że w Dynaburgu szlachcic luterski i pastor ofiarowali się z gotowością

powierzenia mu swych synów, za co przecież nie należy winić sławnego Jezuity.

Rewindykowanie dla katolików dwóch kościołów w Rydze, jednego w Dorpacie, nie powinno być przez p. Seraphima poczytywane za zbrodnię Stefanowi Batoremu, zwłaszcza w czasie powszechnego religijnego prześladowania, niemniej jak oddziaływanie na lud wiejski, któremu sfanatyzowani Niemcy inflanccy wpierw byli narzucili gwałtem swój luteranizm.

Równie nieudatnie wypadły rozdziały traktujące aż nazbyt obszernie o sprawach awanturnika-zdrajcy, powszechnie znanego Jana Rainolda Patkula (str. 299—377).

Z tego politycznego awanturnika, wierutnego łotra i haniebnego zdrajcy, usiłuje szan. autor wytworzyć postać prawdziwie bohaterską zapożnanego patrioty inflanckiego (*sic!*). Więc stosownie do całkiem nowego stanowiska, jakie mu w dziejach gotuje p. E. Seraphim, uznał ten szanowny dziennikarz ryski za odpowiednie podać jako tytułową rycinę do tomu II-go swej popularnej historyi inflanckiej, wierną podobiznę tego człeka bez czci i wiary, brudnego samolubsko-kosmopolity, którego tyle właśnie obchodzić mogły kraje inflanckie i ich dobro, ile p. Seraphima obchodzą dziś Polacy i przeszłość ich dziejowa.

Dodajmy nawiasem, że u dołu ryciny wytwornie wykonanej, umieścił szanowny autor podpis nieco błędny: czytamy tam bowiem najwyraźniej: Johanu Heinrich Patkul zamiast Johanu Reinhold Patkul.

W jak pocieszne sprzeczności z sobą samym wpada szan. autor, promując ni stąd ni zowąd Jana Rainolda Patkula na bohatera wolności inflanckiej, a siebie samego na otwartego lecz nieco zuchwałego szermierza zbyt jawnych fałszów historycznych, na to, zdaniem naszym, wystarczy uważnie zajrzeć naprzód do stronic 301, 374, 375 i 377 tomu drugiego, a następnie do str. 185 tegoż tomu oraz rozdziałów ją poprzedzających¹.

¹ Czytamy o Patkulu na str. 301: „Wohl war er ein hochbedeutender, kraftvoller Mann, dessen politischer Sinn ihm zum Vorkämpfer Livlands, wie er es verstand, erhob“, a także na str. 374: „Offen lag vor seiner Seele der Plan, im Kampfe für sein zertretenes Vaterland den verhassten schwedischen Staat zu vernichten“, i na str. 375: „Livlands Befreiung, Schwedens Demüthigung — das waren die Ziele, denen Patkul sein Leben geweiht!“

I dokądże to miał prowadzić Inflanty szwedzkie ów przez trzykro-

To też metoda tworzenia historii popularnej, jaką sobie wytworzył redaktor *Düna-Zeitung*, p. Seraphim, i przystosowywanie onej bądź do Polaków, których maluje łotrami, bądź do łotra Patkula, którego całkiem odwrotnie usiłuje przedstawić w świetle bohaterskiego i szlachetnego miłośnika ojczyzny, wywołały w tych dniach u jednego z poważnie myślących Niemców nadbałtyckich tę oto uwagę nader trafną: „Wogóle poznawszy się bliżej z wynikami sposobu pisania p. Seraphima, musimy przyznać, że tym razem przeholował w chytrości i we własne wpadł sidła“.

Nieco delikatniej uczyniony został szan. autorowi zarzut powyższy przez d-ra Fryderyka Biepmiana w rozbiorze tejże pracy, ogłoszonym w n-rze 51 dziennika *Rigaer Tageblatt* ¹.

Przedewszystkiem wykazał p. Seraphim tą dwutomową pracą swoją, że jak zwykle, tak zwłaszcza na polu badań dziejów miejscowych nie wystarcza, aby napisać gruntowną rzecz, znajomość choćby największa literatury drukowanej, że trzeba koniecznie sięgać co chwila po materyał do miejscowych archiwów, inaczej bowiem zbyt łatwo można się minąć z prawdą.

Pan E. Seraphim jest niewątpliwie pisarzem wcale zdolnym, ale,

tnego zdrajcę Patkula w r. 1699 wypracowany projekt utworzenia w nich oligarchii szlacheckiej, o którym szan. autor wspomina z uznaniem na str. 377? Wprost pod berło Augusta II. i rządy Rzpltej polskiej. Te zaś rządy scharakteryzował nieco nieopatrnie sam szanowny autor jako *summum malum* na str. 185 tomu II-go, rządy zaś szwedzkie jako *summum bonum*!

¹ Czytamy tam pomiędzy innemi:

„Es tritt eben überall das Bestreben des Verfassers hervor, Patkul zum vaterländischen Helden zu machen, eine Anschauung“ i. t. d. „Nicht erst 1709, wie der Verfasser (Seite 404) andeutet, sondern schon sehr viel früher tritt beim Zaren die deutliche Absicht hervor Livland, wenn es irgend angeht, dauernd zu behalten. Wenn der Verfasser nun aber sagt, ob Patkul nach wie vor der Heimath Wohl bei Polen sah, ob er sie zu Russland hinüberführen wollte, in jedem Falle trifft ihn kein Vorwurf, dass er seiner Vergangenheit untreu geworden sei“ und dann (S. 396), von dem von Patkul Anfang 1705 betriebenen Separatfrieden zwischen dem Zaren und Karl XII., erzählend, eingesteht, dass darin „wohl ein entschiedener Bruch mit dem bisher verfolgten Ziel gelegen habe“, endlich aber (Seite 299) wieder betont, dass Patkul „sich treu geblieben war bis zuletzt“, so weiss man doch nicht recht, woran man sich hier zu halten habe. Der Verfasser ist augenscheinlich bemüht, den Vorwurf abzuwehren, dass Patkul „öfters im Lichte eines politischen Abenteuerers erscheine“; er thut es voller Wärme und Liebe, aber seine Darstellung bewirkt eben keinen festen Glauben daran, weil ihr die Begründung abgeht“.

jak większość dziennikarzy, nieco powierzchownym, a co gorzej, bardzo często nietylko uprzedzonym, ale nawet stronnictwym. Burmistrza ryskiego, Mikołaja Ecke, jako wierne go stronni ka władzy uznanej — Polski — przedstawia w świetle najobrzydliwszego chciwca, bo widocznie nie zaglądał do archiwów miejskich, z którychby się przekonał niezawodnie o licznych fundacyach tego zacnego męża, z których jedna, *Der Eck'sche Convent*, daje i obecnie przytułek kilkudziesięciu biednym wdowom mieszczan ryskich.

Pośpiech iście dziennikarski szanownego autora jest widoczny nietylko w nierównomiernem opracowaniu równowartościowego materiału i w uchylaniu się od rozwią zania niektórych zagadnień (np. w rozdziałach IX, XII i XIII tomu II.), ale także w niedbałej w niektórych miejscach korekcie, i to tak dalece, iż przeciętnemu czytelnikowi trudno domyślić się, co też właściwie autor pragnął wyrazić? Jako przykład bijący niech nam będzie wolno przytoczyć 2 wiersz u góry na str. 322, gdzie mowa o katastroz e, mającym skutecznie zastąpić cła ochronne (*Schutzzölle!*)

Ale takie usterki można znaleźć w każdej pracy pospiesznej. Autora trzeba owszem podziwiać, że mimo dziennikarskiego pospiechu i zużytkowywania *in extenso* sążnistych felietonów redagowanej przez niego *Düna-Zeitung* (porównaj str. 323—368 tomu II.), potrafił wywiązać się z zadania tak z ręcznie. To też wielu mieszkańców prowincyj nadbałtyckich (w tej liczbie przeważają przedewszystkiem żony i córki licznych miejscowych predykantów, dziennikarzy i urzędników miejskich) wertuje z przyjemnością tę miejscową popularną historię i znajduje ją nader zajmującą, zwłaszcza ilekroć szanowny autor rozprawia z namaszczeniem o *Polennoth*, o *Jesuitische Propaganda*, o *Polnische Wirtschaft und deutsche Rechtstreue*, o *Polnisch-katholische Nacht und deutsch-protestantisches Licht*, o nikczemności (*Niederträchtigkeit*) Stefana Batorego, o wielkości i wzniosłości ducha Karola Sudermańczyka, w którym szanowny autor upatruje wszelkie możliwe i niemożliwe zalety, a nawet zachwyca się jego urodą, a przynajmniej jego powierzchownością, pomimo iż słynął on, jak powszechnie wiadomo, z odrażającej szpetoty, w której odzwierciedlała się żywo jego niepomier na pycha, a zwłaszcza jego pyszałkowatość ¹.

¹ Tymczasem tak go maluje p. Seraphim:

„Wo er erschien, richteten sich aller Blicke auf ihn: das spärliche Haupthaar pflegte er über die hohe Stirn in drei Streifen so zu käm men, dass sie eine kreuzähnliche Figur bildeten, scharf blickten seine blauen

Ale że p. Seraphim najzupełniej trafił do przekonania i gustu wielkiej części czytelników, a zwłaszcza czytelniczek swoich, tego niewątpliwym dowodem wykrzyki ich niemal jednogłośnie: „O rzeczywiście nic nie przewyższa żywego sposobu opisywania p. redaktora Seraphima w jego dziele historycznem. Język jest lekki i potoczysty, a czasem staje się tak przeźroczysto ciepłym (*durchsichtig warm*), (np. na str. 94, 97, 98, 101, 110, 177, 181, 185, 367 i t. d.) że dłużej czytać nie można bez wielkiej przyjemności i napięcia“. O to zaś, a nie o prawdę dziejową, chodziło przedewszystkiem szanownemu autorowi; cel więc jego właściwy w zupełności został osiągnięty, czego mu na prawdę powinszować można.

Mniej szczęśliwym od pana E. Seraphima był pod tym względem brat jego, adwokat mitawski, dr. August Seraphim, który do tegoż popularnego dzieła opracował w tonie nierównie poważniejszym część drugą tomu drugiego, opisującą rządy książęce w Kurlandyi. Lubo nie podaje on żadnych nowych faktów, któreby nie dały się odszukać z łatwością w dotychczasowych pracach o dziejach Kurlandyi (a mianowicie: Cruse, *Kurland unter den Herzögen*; Gebhardi, *Geschichte Kurlands*; Ziegenhorn, Kallmayer, Tetsch, O. Schmidt, H. Diderichs, L. Arbusow i t. d.), wszakże wielką położył zasługę w tem, że opierając się stale na źródłach archiwalnych, przeprowadził krytykę wiadomości przez poprzedników podanych i nie zbyt często odwołując się do T. Schiemana i autorów jemu podobnych, z rzadka tylko wydaje się z niechęcią nadbałtyckiego Niemca protestanta do wszystkiego, co polskie i katolickie, która to niechęć zawsze i wszędzie góruje ponad wszystkim u jego brata, jako miejscowego dziennikarza.

Wyznać więc trzeba, że księgi i rozdziały, opracowane przez adwokata A. Seraphima, lubo u czytelników nie wywołują zbyt wielkiej sensacji, niemniej jednak należą do najbardziej udatnych w tej najnowszej miejscowej historii popularnej.

Augen in die Welt, während die energisch geschnittene Nase und der wider die Mode getragene Lippen- und Kinnbart ihm ein gebietendes Äussere gaben. Um ihn schart sich alles, was national und lutherisch in Schweden dachte. Durch Schärfe des Verstandes und imponirendes Wesen war er den meisten seiner Zeitgenossen überlegen“, bo oczywiście nie zajął autor do słynnej *Epistola Kokenhusiensis* wystosowanej do Karola Sodermańskiego przez hetmana Jana Zamoyskiego, a także całkiem chciał zapomnieć o niechwalebnem zemknięciu jego z pola bitwy pod Kirchholmem w r. 1605.

Ogólny sąd o tej popularnej historii w ten sposób streścić należy, iż tom drugi dla czytelnika polskiego nie ma wartości, a razić go musi bardzo niemile, czytelnikowi zaś niemieckiemu (zwłaszcza w księgach, traktujących o księstwie kurlandzkim) może dać niejednokrotnie wiadomości lepsze i dokładniejsze, niż prace dawniejsze mu dostępne, lecz w księgach o Inflantach i Estonii może i musi go niejednokrotnie bałamucić. Co do pierwszych ksiąg tomu pierwszego, w których dziennikarz E. Seraphim opiera się wyłącznie na kronice Henryka Łotysza, kronice rymowanej i innych źródłach niewątpliwych, ogłoszonych oddawna w wybornych przekładach, z których szanowny autor całe ustępy przepisuje dosłownie, grupując je nader zręcznie, zasługują one przeważnie na bezwarunkowe uznanie, jakoteż liczne ustępy, wyjęte z wykładów dzielnego prof. Karola Schiwena, na które szanowny autor uczęszczał niegdyś osobiście w uniwersytecie dorpachkim i rzeczywiście nie mało z nich skorzystał.

Na uznanie też zasługuje załączona przy tomie drugim mapa związkowego państwa inflanckiego w wiekach średnich (należąca właściwie do tomu I.), którą rewelski nakładca, Franz Kluge, wzbogacił to dziełko popularne, a na której tylko całkiem zbytecznie dodano herb Krzyżaków inflanckich, gdyż ten oczywiście tylko w takim razie miałby rację bytu na tej mapie, jeśliby obok niego podane były także herby arcybiskupstwa ryskiego, biskupstw: kurońskiego i piltyńskiego, dorpachkiego, rewelskiego, ozylijskiego i t. d., słowem wszystkich ziem, wchodzących w skład ówczesnego związkowego państwa inflanckiego, z których każda osobną barwą ściśle jest oznaczoną.

Gustaw Manteuffel.

Tempeste. Ada Negri. Milano, Fratelli Treves. 1896.

Dobrze, iż nas p. profesor Morawski ¹ ostrzegł, że pierwsza serya poezyj sławionej włoskiej poetki przewyższa o wiele drugą, zatytułowaną *Tempeste*, którą obecnie mamy przed oczyma. Inaczej powiedzieliśmy, że w kadzidle na jej cześć spalonym było trochę przesady ². Talent bez wątpienia ogromny, polot silny choć nieco poziomy, nie wzbija się nigdzie ponad sferę nędz ludzkich, bardziej materyalnych

¹ Por. *Przegląd Polski*, lipiec 1896, str. 1.

² Pierwsza serya poezyj Ady Negri, p. t. *Fatalità*, zamieszczona została na indeksie dekretem z dn. 14 lipca 1893 r. *Przyp. Red.*

niż moralnych. Dotyka nieraz zagadnień, które rozwiązać można tylko na polu ekonomicznem lub administracyjnem, a nieraz też i takich, które do końca świata muszą nierozwiązane pozostać. Jest to obecnie moda: powieść zmieniała się w studjum filozoficzne albo fizyologiczne, poezya roztrząsa sprawy społeczne, staje się nieraz bezwiednie przegrywką do parlamentarnych i klubowych oracyj socyalistów. Można bardzo łatwo z cierpień ludzkich zrobić sobie instrument i wygrywać na nim elegie i ballady. Wsławia one poetę, ale... nie pocieszą cierpiących, jeżeli oprócz biadania nad nimi nie przyniosą im słowa pociechy, słowa podnoszącego ducha i rozgrzewającego serce. U Ady Negri, choć niektóre jej utwory socyalistom przydać się mogą, niema właściwej socyalistom złości: ona nikogo nie nienawidzi, nikogo nie obwinia, lituje się tylko bez wyboru nad każdym cierpieniem, staje zawsze po stronie słabszego, nie pytając czy ten słabszy nie pierwszy mocniejszego zaczął, gotowaby zapłakać nad pijakiem, prowadzonym do kozy. Nie może pogodzić się z myślą, że cierpienie jest rzeczą ludzką i nieuniknioną, dziwi mu się, oburza gdy dotyka innych, wyzywa je gdy do niej samej się zbliży. Lekarstwa na nie, krom dumy, wynaleść nie może. Chwilami usiłuje zapomnieć, pisze lekkie wierszyki o wiosnie i słońcu, o uczuciach młodzieńczych... Widocznie jednak wtedy sili się i wnet powraca do zwykłego tonu; opowiada dzieje biednego dzieciaka żyjącego i umierającego na suchoty wśród huku maszyn fabrycznych, własną swoją pielgrzymkę do szpitalnego łóżka, na którym skonał jej ojciec, rozpacz odpychanego zewsząd robotnika goniącego za pracą. Ten ostatni utwór: *Disoccupato*, przypomina nieco „Wolnego najmitę“ Konopnickiej i przyznać trzeba, że nas mniej od „Wolnego najmity“ rozrzewnia, może dlatego, iż w naszych stosunkach, gdzie brak rąk do pracy ciągle czuć się daje, mniej dla nas jest zrozumiałym. Podajemy w pospiesznem tłumaczeniu dwa kawałki, nie wybierane, ale na los szczęścia zaczerpnięte z całego zbioru:

Urodziny (Natività).

Otworzył swoje modre oczęta niewinne
 Tu, w szpitalu więziennym. Ściany tego gmachu
 Pełnego wstydu, zbrodni, cierpienia i strachu
 Słyszały jego pierwsze kwilenia dziecinne.

Jak się rzuca! Jak członki znużone rozpiera,
 Biedne dzieciátko! Rzekłbyś, lęka się czy wstydzi:
 Może rozumie — któż wie? Może drżące widzi,
 Jak ponury cień hańby nad nim się roztwiera.

Lecz ot! matka go w chciwe objęcia porywa,
 Usta do ust i łono przycisła do łona
 I tak noc czarna, zimna, milcząca upływa.
 A gdy dzień wreszcie świta, na jej bladej twarzy,
 Co nad śpiącą dzieciną czuwała schylona,
 Widnieje uśmiech świętych, nie rozpacz zbrodniarzy!

Sonet ten (nie przetłumaczony według reguł) jest jednym z wyjątkowo pocieszających utworów; słuchajmy za to drugiego.

Zapiska z kroniki (Nota di cronica).

Przeczytałam: „Lud cały miota się i burzy,
 Dziki tłum wre po rynkach i ulicach miasta,
 Okrzyk: pracy i chleba! — za miecze mu służy;
 Z tysiąca ludzkich piersi barykada wzrasta“.

Dalej: „Z okien pałaców zbite szkło szeleści,
 Każda brama zamknięta i balkon zaparty.
 W pośród miasta w milczeniu zbrojne krążą warty,
 W powietrzu czuć żalobę, łzy i żal niewieści.

Oddział wojska przystanął; żołnierze wybladli —
 O biada!... Ognia dali na tłum zbuntowany,
 A oni groźni jeszcze i piękni upadli
 Twarzą w proch, a nikt krwi ich nie pomścił przelanej.

Byli głodni i mieli dzieci; utajony
 Instykt sprawiedliwości pchnął ich do wybuchu;
 Padli...“

Wstałam do głębi wstrząśnięta na duchu,
 Z sercem zgrozą skostniałem wśród piersi wzburzonej.

Czyjaż wina?... Krzyknęłam i jęłam w imieniu
 Obojga — tak powstańców jak i zaprzędanych,
 W imieniu bratobójców jak i pokonanych,
 Miotać przekleństwa na coś ukrytego w cieniu.

T. W.

Z literatury historycznej rosyjskiej.

II.

„Dzieje Rosyi od czasów najdawniejszych“ (862—1362) przez N. M. Pawłowa. — „Z dziejów Moskwy“. — Z przeszłości Niżnego-Nowogrodu. — Z życia Czaadajewa. — Korespondencya Iwana Aksakowa. — Hr. A. Błudowa. — Tom I. „Rosyjskiego słownika biograficznego“. — Literatura historyczna rosyjska w r. 1895.

Rosyjska literatura historyczna wzbogaciła się w roku bieżącym ukazaniem się pierwszego tomu „Dziejów Rosyi od czasów najdawniej-

szych". N. M. Pawłowa. Tom I. obejmuje tylko pierwsze pięć wieków przeszłości rosyjskiej (od r. 862—1362), do której oczywiście autor wlicza i historię W. Ks. Kijowskiego. Praca p. Pawłowa zajmuje stanowisko pośrednie pomiędzy obszernymi dziełami historycznymi takich autorów, jak Karamzin, Solowiew, Bestużew-Riumin, Kostomarów lub Zabelin, a zwykłymi podręcznikami szkolnymi. Z prac wyżej wymienionych autorów, obejmujących całość dziejów, mogli korzystać tylko specjaliści, a z podręczników korzysta głównie młodzież szkolna. Szeroki ogół inteligentny, pragnący obznajomić się z całokształtem dziejów swej ojczyzny, nie znajdował dotąd w literaturze rosyjskiej odpowiedniej pracy, będącej syntezą dokonanych w ostatnich dziesięcioleciach zdobyczy w tej dziedzinie wiedzy. „Dzieje Rosyi od czasów najdawniejszych“ p. Pawłowa czynią tej potrzebie zadość, dają bowiem człowiekowi wykształconemu możliwość uzupełnienia samoistnie wiedzy historycznej. Nie obarczając czytelnika zbyt znaczną ilością faktów i dat, dają mu przecież całkowity, skończony obraz przeszłości rosyjskiej. Tom pierwszy jego pracy kończy się na śmierci Andrzeja Boholubskiego, zdobywcy i niszczyciela Kijowa, tej „macierzy grodów ruskich“. Z tego powodu możnaby go właściwie nazwać wstępem do dziejów Moskwy czyli późniejszej Rosyi, bo dopiero od Jerzego Dołhorukiego i jego następcy Andrzeja Boholubskiego zaczynają się właściwe dzieje państwa moskiewskiego. Autor zamierza opowiadanie dziejów rosyjskich doprowadzić w dalszych tomach do czasów najnowszych.

Najdawniejsze dzieje Rusi i Rosyi przedstawiają nader wdzięczne pole dla stawiania hipotez, dla popisywania się zmysłem krytycznym. P. Pawłow nie tylko nowych hipotez nie stawia i wszelkiej krytyki unika, ale nawet nie rejestruje różnorodnych opinii w poszukiwaniach początków Rusi. Do swego opowiadania wciąga np. wiadomość kronikarską o powołaniu Warego-Rusów. Czyni to w sposób pełen prostoty i głębokiej wiary w prawdziwość tej opowieści latopisca kijowskiego: „Nowogrodzianie — powiada — porozumiawszy się z innemi plemionami słowiańskimi, wezwali z za morza Waregskiego sławnych książąt ruskich — Ruryka z braćmi; od nich to i pochodzi imię Rusi“. W ten sposób rozstrzygnął zawikłaną kwestyę pochodzenia Warego-Rusów, która tak żywo zajmowała uczonych rosyjskich w siódmym dziesięcioleciu i wywoływała tyle namiętnych sporów (Pogodin i Kostomarov). P. Pawłow uzupełnia w tym względzie własnymi kombinacyami opowieść Nestora. Jego zdaniem, zresztą słabo uzasadnionem, sami Nowogrodzianie przybyli z za morza Waregskiego czyli Bałtyku. Nazwa

Nowogrodu nad jeziorem Ilmeń przypominała im starą siedzibę z tamtej strony morza. „Nowogród wzbogacił się, stał się wielkim i sławnym i nie chciał już więcej posyłać daniny Waregom za morze, do Starego-grodu“.

Sposób opowiadania p. Pawłowa nader żywy i jasny. Najniewdzięczniejszy dla historyków Rusi okres wiecowy i dzielnicowych walk książęcych występuje w jego pracy przezroczyście i nawet obrazowo. W całym tym labiryncie faktów i imion ani na chwilę nie traci się z oka wątku opowiadania. Wskutek tego obraz tej epoki pozostaje w pamięci czytelnika nawet słabo przygotowanego do korzystania z poważniejszych prac historycznych. Dla nadania swemu opowiadaniu cechy właściwej wiekowi, autor nie tylko dosyć często używa zwrotów archaicznych, ale wplata doń dawniejsze ustępy z latopisców.

„Białokamienna“ Moskwa, zwana w języku ludowym „matką-Moskwą“, nie może się pochlubić zbyt obfitą literaturą historyczno-archeologiczną, mającą za przedmiot jej przeszłość i jej mnogie zabytki sztuki. Istnieją wprawdzie liczne monografie treści historycznej, ale żaden z nich nie obejmuje całości dziejów tej starodawnej stolicy państwa. Autor pracy pod tytułem: „Z dziejów Moskwy“, podpisany inicjałami W. N., częściowo wywiązał się z zadania, przedstawivszy dzieje Moskwy w pierwszych pięciu wiekach jej istnienia (1147—1703). to jest od założenia miasta aż do zbudowania Petersburga i przeniesienia tamże stolicy państwa i rezydencji carskiej.

Autor tej monografii, pan W. N., nowego materiału nie odszukał, ani też nie nowego nie dodał do dziejów Moskwy. Z tego tytułu pracą ściśle naukową jego „Z historii Moskwy“ nazwać nie można. Jest to kompilacja z różnych dzieł historycznych i archeologicznych, ale kompilacja bardzo sumienna i zręczna. Nie-specjaliści, dla których ogrom materiału do dziejów dawnej stolicy byłby niedostępnym, a więc martwym kapitałem, mogą zeń teraz korzystać, dzięki jasności i popularności opowiadania. Autor — jak sam powiada — materiał zbierał, grupował i podał go czytającej publiczności w oświeceniu — samoistnem. Nie znajdujemy jednak w jego pracy skończonego obrazu przeszłości staro-moskiewskiej. Wielu stron życia i rozwoju wewnętrznego Moskwy nie dotknęto tam wcale. Jest to raczej jej historia zewnętrzna i historia sztuki moskiewskiej. Autor pracę swą podzielił na panowania, a pod każdym z nich umieścił opis pomników sztuki lub gmachów wówczas powstałych. Dla pełności obrazu powinien był — naszym zdaniem — podać opis takich skarbów sztuki i zabytków kultury staro-moskiewskiej, jakie

się znajdują w szatni patryarszej (*Riznica*) i w zbrojowni (*Oručejnaja palata*) w Moskwie.

Wielkiej wartości dodaje tej pracy mnóstwo rysunków — wcale niekiedy udatnych — ilustrujących historyczną część dzieła. Na 272 stronach samego tekstu znajduje się 212 rysunków, będących kopiami pomników lub zabytków do dziś dnia istniejących: architektonicznych, ikonograficznych, numizmatycznych, paleograficznych i t. d. Do tego dodano mnóstwo planów, portretów, reprodukcji artystycznych, z jakimi częstokroć nie spotykamy się nawet w specjalnych wydawnictwach, poświęconych jednemu z działów wyżej wyszczególnionych. Tak na przykład fortyfikacye Kremlina znajdujemy w planach lub rysunkach z czasów Berysa Godunowa, Michała Romanowa, Aleksego Michajłowicza i Piotra Wielkiego, co pozwala czytelnikowi poznać, jakim przeobrażeniom ulegał w ciągu wieków Kremlin, zanim nie przybrał swej dzisiejszej postaci.

Z powodu tegorocznej wystawy niżnie-nowogrodzkiej pojawiły się w osobnych wydaniach i w czasopismach liczne monografie, poświęcone dziejom Niżniego-Nowogrodu i słynnych jarmarków tego miasta (Najlepsza z nich: „Niżnij-Nowogród i gubernia niżnie-nowogrodzka“ przez A. P. Mielnikowa). Zajmować się każdą z nich poszczególnie nie uważam za potrzebne lub zbyt interesujące czytelników polskich, zwłaszcza że ich autorowie mieli na względzie raczej potrzeby chwili bieżącej, jak poważniejsze cele naukowe. Ponieważ w ciągu roku bieżącego ściągał Niżnij-Nowogród uwagę całej Europy, sędzę, iż przytoczenie niektórych szczegółów ciekawszych z jego przeszłości będzie może na dobie. Niżnij-Nowogród — jak twierdzą kronikarze — założono w r. 1221. Założycielem jego był wielki książę suzdalski Jerzy, syn Wszewołoda. Jest jedno nader charakterystyczne podanie, odnoszące się do czasów założenia tego miasta. Rdzeń właściwa państwa moskiewskiego leży — jak wiadomo — poza etnograficznymi granicami plemienia słowiańskiego. Nietylko obszar, na którym stanęła dzisiejsza stolica, ta „Palmira północy“, wydarto „morzu i Czuchoncom“, ale również na ziemi wydartej plemieniu fińskiemu Muromie stanęła i starodawna stolica państwa, jego kolebka, Moskwa. Gdzie zaś popisuje się współczesna Rosya swą produkcją z zakresu kultury materyjalnej i intelektualnej i ściąga wielu ciekawych nawet z dalekiego Zachodu, mieszkąło niegdyś plemię fińskie Mordwa i zajmowało się pasterstwem. Według podania, obszar miejski dzisiejszego Niżniego-Nowogrodu należał do niejakiogoś Skworca, pochodzącego z plemienia Mordwy, który miał 70 synów. W pobliżu tej

osady mieszkań wróżbita Diateł. Razu pewnego Skworec chciał się coś dowiedzieć o przyszłości swej rozrośniętej rodziny. „Jeżeli dzieci twe żyć będą w zgodzie ze sobą — odrzekł wróżbita — pozostaną na długo w posiadaniu tego kraju; jeżeli zaś będą waśnić się ze sobą, Ruś ich pokona i wystawi tutaj przy ujściu Oki gród murowany, niezwykle mocny, a siły wraże go nie zmożą“. Umierając polecił Skworec swym synom, aby korzystali z rad wróżbity, żyli w zgodzie i jedności ze sobą. Lecz oni rady tej nie usłuchali. To też Andrzej Boholubski, książę suzdalski, wyparł ich z nad ujścia Oki, a jego brataniec, Jerzy Wszewołodowicz, zbudował Niżnij-Nowogród. Ziemie plemion fińskich nad Oką i Wołgą, wskutek ich ciągłych walk i niezgód, przeszły w ten sam niehumanitarny i bezwzględny sposób w posiadanie Moskwy, jak Słowian połabskich w ręce Niemców. Książę suzdalski, Konstanty Wasylewicz, około połowy XIV. w., przeniósł swą stolicę do Niżniego-Nowogrodu, wypierał zewsząd Mordwinów, ścigał osadników ze wszystkich księstw ruskich, pozwalając im według upodobania zabierać dawniejszym posiadaczom najlepsze grunta. Był on — rzec można — dla plemion fińskich tem, czem Albert Niedźwiedź dla Słowian połabskich. Dziś w najbliższych okolicach Niżniego Nowogrodu Finów nie ma już ani śladu, a przeciwnie miasto to dostarczało Moskwie walecznych obrońców. Z niego to wyszedł ruch państwotwórczo-narodowy w r. 1612 pod przewodnictwem Kuźmy Minina, skierowany przeciwko Polakom, a pięć sztandarów, znajdujących się w tamecznym soborze Przemienienia Pańskiego (*Preobrażenia*), zdobytych przez pospolite ruszenie niżnie-nowogrodzkie na Francuzach, świadczą wymownie, że i w roku 1812 nie zbywało temu miastu na mężnych obrońcach całości państwa.

Dla wzrostu Niżniego-Nowogrodu najwięcej zrobiła dynastia Romanowów. Za pierwszego z nich, Michała Romanowa, powstały w pobliżu miasta, pod murami klasztoru Makariewskiego, słynne na całą Rosyę jarmarki, stanowiące główne źródła bogactwa Niżniego-Nowogrodu. Choć w roku 1817 jarmarki te przeniesiono z pod monasteru Makariewskiego do samego Niżniego Nowogrodu, to jednak noszą one po dziś dzień nazwę „makariewskich“. Niżnij-Nowogród liczy do 30 cerkwi, mogących się pochlubić wielowiekową przeszłością. Do najstarszych, założonych równocześnie prawie z samem miastem, należą sobory: *Preobrażeńskij* (Przemienienia Pańskiego) i św. Michała Archanioła. W grobach obu tych cerkwi spoczywają zwłoki dawnych książąt niżnie-nowogrodzkich. W soborze *Preobrażeńskim*, obok grobowców książczych, znajduje się także grobowiec Kuźmy Minina, oswobodziciela Mo-

skwy „z pod jarzma polskiego“. Grobowiec jego mieści się w ścianie, a na tem miejscu, gdzie spoczywają zwłoki, umieszczono w roku 1815 trzy tablice metalowe z nadpisami, przypominającemi zasługi Minina i mieszkańców Niżniego-Nowogrodu w pamiętnym roku 1612. Do najbogatszych należy sobór Michała Archanioła, a do najpiękniejszych pod względem architektonicznym i wewnętrznej ornamentyki — sobór Bogarodzicy czyli Strogonowskij. Ten ostatni, na pierwsze wejrzenie, przypomina znaną całemu światu ze swej oryginalności cerkiew św. *Wasyla Błażennaho* w Moskwie. Do rzędu osobliwości cerkwi Bogarodzicy w Niżnim-Nowogrodzie należy wspaniały ikonostas o pięciu kondygnacjach, cały rzeźbiony. Jak wiele miast staro-moskiewskich, tak i Niżnij-Nowogród posiada swój Kremlin czyli zamek warowny z basztami, strzelnicami i blankami. Zbudował go Wenecyanin, Piotr Frasini, na rozkaz cara Wasyla III. Iwanowicza. Mury dawniejsze Kremlinu miały przeszło 2 wiorsty obwodu, a każda z 13 baszt dochodziła 15 sążni wysokości. Za czasów Katarzyny II. odrestaurowano Kremlin niżnie-nowogrodzki, ale bardzo niefortunnie, oczywiście w jej „klasycznym stylu“.

Takimi są historyczne pamiątki i taką przeszłość miasta, o którym w roku bieżącym mówiono i pisano bardzo wiele w całej Europie.

Literat G. A. Kirpicznikow umieścił w czasopiśmie *Russkoje Słowo* artykuł o myślicielu rosyjskim Czaadajewie, autorze „Listu filozoficznego“, za który car Mikołaj I. kazał uznać go waryatem i oddać pod opiekę lekarzy. G. A. Kirpicznikow, na podstawie nowych dokumentów (zresztą niezbyt wielu), stara się scharakteryzować działalność tego oryginalnego myśliciela, który miał odwagę cywilną wypowiedzieć gorzkie prawdy swemu narodowi: zarzucał mu bowiem niski stopień kultury, obojętność dla wyższych zadań i pragnień ducha ludzkiego, brak tolerancyi w sprawach religijnych i t. p. Człowiek, co w końcu piętego dziesięciolecia, mógł w Moskwie występować z sympatjami katolickimi, zwalczać prawo poddaństwa ludu, jako niedorzeczne i sprzeczne z moralnością chrześcijańską; Rosyanin, który w chwili najgorętszego okresu wojny krymskiej mógł zachęcać swój rząd do zawarcia rychłego pokoju i poczynienia ustępstw na rzecz mocarstw zachodnich — był zaprawdę człowiekiem niepospolitym.

Typ podobnego człowieka wprowadza komedyopisarz Gribojedow w swej głośniejszej komedyi *Gorie od uma* (Biada od rozumu) w postaci głównego bohatera tejsze, Czackiego. Według powszechnego przekonania

ówczesnej inteligencji rosyjskiej, Czaadajew miał być pierwowzorem Czackiego.

Czaadajew pracował wiele, wiele czytał i myślał, ale owoców swej długiej pracy umysłowej zrealizować nie był w stanie. Po wydrukowaniu pierwszego „Listu filozoficznego“, wnet drugi i trzeci list był w rękach cenzury, kiedy w sposób brutalny, iście barbarzyński, położono kres dalszej jego działalności literackiej. Pierwszy „List filozoficzny“ Czaadajewa wywołał burzę niezadowolenia w kołach literackich i wśród szerszych warstw inteligencji rosyjskiej. Znany słowia nowil Chomiakow przygotowywał piorunującą odpowiedź; Puszkina już był napisał gorący, ale pełen rozumnych uwag i zdań list do Czaadajewa, w którym, wśród objawów życzliwości dla swego starszego przyjaciela i uznania dla jego wiedzy, oświadczał z całą stanowczością, iż zgodzić się na jego poglądy nie może; wielu z pośród inteligencji moskiewskiej czuło się osobiście dotkniętymi pewną apodyktycznością, z jaką Czaadajew wypowiadał swe opinie. Lecz rozchodzi się wieść, że Czaadajewa uznano za chorego na umyśle. Wnet się zmienia stosunek ku niemu sfer literackich: Puszkina chowa swój list do teki, Chomiakow mniema, iż już bez niego „dano Czaadajewowi dosyć niedelikatną odpowiedź“, a przedstawiciele inteligencji moskiewskiej, zaczynając od byłego ministra oświaty, J. J. Dmitriewa, tłumnem składaniem wizyt wyrażali cześć i poważanie dla myśliciela, skazanego drogą „ukazu“ na pozbawienie zdrowia umysłowego. W ten sposób inteligentne warstwy społeczeństwa moskiewskiego, po raz pierwszy może w historii, zaprotestowały przeciwko przemocy siły brutalnej nad swobodą myśli.

W piątym dziesięcioleciu naszego wieku słowianofile toczą z Czaadajewem zaciętą polemikę, lecz rozumniejsi z pośród nich mają zupełną świadomość tego, jak wiele mu zawdzięczają i jak szlachetnego mają w nim przeciwnika. Ci, co się godzą z jego poglądami, mają Czaadajewa za istotę wyższą. Teki w muzeum Rumiancewa w Moskwie (z którego p. Kirpicznikow czerpał materiał do charakterystyki Czaadajewa) przepełnione są listami, których autorowie zwracają się do Czaadajewa, skazanego przez cara Mikołaja na banicję z towarzystwa zdrowych na umyśle, ze słowami: *cher et bon maitre*, a podpisują się zwykle *disciple*. Chociaż Czaadajew, pozbawiony rangi jeneralskiej, nie miał żadnych urzędowych obowiązków, to jednak jego korespondentki i korespondenci przepraszają, iż zabierają mu czas drogi, iż odrywają go od ważnych obowiązków, czem składają dowód poważania i uznania dla jego pracy umysłowej

Do nader zajmujących wydawnictw roku 1896 zaliczyć należy tom czwarty listów Iwana Aksakowa, znanego przewodcy słowianofilów, wydany przez cesarską publiczną bibliotekę w Petersburgu pod tytułem: „I. S. Aksakow w swych listach“. Obejmują one okres czasu od roku 1858—1886. W skład tego tomu weszły listy, pisywane do osób, zajmujących w społeczeństwie rosyjskiem, a przynajmniej w obozie panslawistycznym wybitne stanowisko, jako to: do M. Rajewskiego, hr. A. Błudowej, N. Kostomarowa, A. Tiutczewej i N. Gilarowa-Platonowa. Pierwsze trzy tomy listów I. Aksakowa wydała wdowa po nim, Anna Aksakowa. W nich zawiera się korespondencya z rodziną, charakteryzująca może wybornie I. Aksakowa jako człowieka, ale nie przedstawiająca szerszego interesu, zwłaszcza dla nierosyjskich czytelników. Wydawanie dalszej korespondencji i prawo własności do prac literackich I. Aksakowa przeszło następnie na cesarską bibliotekę w Petersburgu, która właśnie wydała tom czwarty tych listów w dwóch częściach.

Pop M. T. Rajewskij był przełożonym rosyjskiej cerkwi poselskiej w Wiedniu w ciągu przeszło lat 40, od roku 1842—1884. W dziejach propagandy panrosyjskiej wśród Słowian austriackich ma Rajewskij bardzo wybitne stanowisko. Szczególniejszą opieką otaczał on w Wiedniu agitatorów moskalofilstwa galicyjskiego i hojnie zasilał ich stypendyami i zapomogami, Z tego względu korespondencya I. Aksakowa z popem Rajewskim jest nader ważnym przyczynkiem do poznania pewnych faz w rozwoju kwestyi ruskiej w Galicyi. Wydawca panslawistycznych organów, jak *Parusa* („Żagle“), *Dień i Ruś*, miał w osobie Rajewskiego swego dyplomatycznego i finansowego przedstawiciela w stosunkach ze Słowianami austriackimi i bałkańskimi. Z przykrością też wyznaczyć należy, iż w korespondencji z Rajewskim sprawy natury finansowej zajmują bardzo wiele miejsca, a „rubel w podróży“ okazał się bardzo żarliwym agitorem wśród niektórych narodowości słowiańskich. W listach do Rajewskiego znaleźć także można wiele szczegółów z działalności wydawniczej I. Aksakowa i jego walki z cenzurą. Kiedy mu zakazano wydawać *Parusa*, zamierzał utworzyć rubrykę „spraw słowiańskich“ w *Pietiers. Wiedomostiach*, redagowanych wówczas przez Krajewskiego, późniejszego wydawcy liberalnego *Gołosa*.

Listy I. Aksakowa do narzeczonej, Anny Tiutczewej, a późniejszej swej małżonki, wydrukowane w tym tomie, mają znaczenie tylko familijne. Najwłaściwszem dla nich miejscem byłby jeden z trzech pierw-

szych tomów jego korespondencji. Ponieważ wydawczynią tychże była sama pani Aksakowa, przeto wydanie listów, pisanych do siebie, wolała pozostawić komu innemu.

Listy I. Aksakowa do hr. A. Błudowej są zajmującym przyczynkiem do historyi cenzury w Rosyi, przedmiotu niewyczerpanego, a powtarzającego się w ten lub ów sposób w życiu każdego autora rosyjskiego. Hr. Antonina Błudowa, córka hr. D. N. Błudowa, prezesa rady państwa i petersburskiej akademii nauk, mieszała się niejednokrotnie w sprawy religijno-polityczne, bądź to kopiąc dolki pod margrabią A. Wielopolskim, bądź to propagując prawosławie na Wołyniu przez założenie bractwa śś. Cyryla i Metodego w Ostrogu. I. Aksakow, w swych zatargach i walkach z komitetami cenzurnymi, znajdował u hr. A. Błudowej, mającej wielkie wpływy na dworze petersburskim, silne poparcie. Każdy prawie list do niej zawierał jakąś skargę na cenzurę, dokonywającą na jego czasopiśmie *Dień* częstokroć niemilościwych operacyj. Listy te odczytuje się jeszcze i teraz z wielkiem zajęciem, a co dziś jest już niemożliwem w Petersburgu lub Moskwie, praktykuje się w najlepsze w Warszawie. Zarzucano I. Aksakowowi zajmowanie się w swych czasopismach aż do zbytku sprawami słowiańskimi, a pewne wskutek tego zaniedbanie spraw wewnętrznych rosyjskich. Z jednego listu do hr. Błudowej można się przekonać, że w teoryi przynajmniej I. Aksakow był innego zdania. „Dokąd tylko istnieje *Dień* — pisał Aksakow — będzie się on zajmował przedewszystkiem rosyjskimi sprawami wewnętrznymi, wobec których słowiańskie mają znaczenie drugorzędne, a miejsca poczesnego — *premier Moscou* — tym ostatnim nie ustąpię“.

W liście do N. J. Kostomarowa wypowiada I. Aksakow swe poglądy na ukrainofilstwo i ukrainofilów. Jest on odpowiedzią na gwałtowny, a nawet grubiański list historyka małoruskiego. List N. Kostomarowa wydawcy również załączyli do tego wydawnictwa, aby czytelnik mógł, *en regard*, zestawzić i skontrolować opinie obu autorów. Z listu Aksakowa mogliby narodowcy ruscy w Galicyi przekonać się, jakimi uczuciami przejętą jest przeważna część inteligencji rosyjskiej względem kwestyi małoruskiej. Przedstawiciele kolonii małoruskiej w Petersburgu smaga I. Aksakow w swej odpowiedzi nieublaganie.

Skoro, omawiając korespondencję I. Aksakowa, przewodcy stronnictwa słowianofilskiego, potrąciliśmy o postać hr. Błudowej, wypada zwrócić uwagę na „Wspomnienia“ kniazia Mieszczerskiego, drukowane w *Graźdaninie*, z których daleko lepiej ocenić można znaczenie tej

kobiety, odgrywającej niepoślednią rolę w skierowaniu polityki wewnętrznej rosyjskiej na tory antypolskie i antykatolickie.

Po śmierci swego ojca, hr. Antonina Błudowa otrzymała pozwolenie zamieszkania w carskim Dworcu Zimowym, w którym przebywała przez lat prawie trzydzieści, aż do śmierci. Przez cały ten czas była głową widomą wszelkich ultra-narodowych i schyzmatycko-prześladowczych aspiracyj, rozbudzonych sztucznie w następstwie ostatniego naszego powstania. W tonie dworacko-panegirycznym opowiada książ Mieszczerskij w swych „Wspomnieniach“ o wrażeniach, wyniesionych z salonów hrabianki Błudowej. Od rana do wieczora — pisze książ Mieszczerskij — salon jej był otwarty dla każdego, kto pragnął podzielić się z innymi swemi uczuciami rosyjskimi. Wszystkich przypominam sobie z tego salonu, a tylko nie mogę sobie przypomnieć spotkania się tam z dyplomatami, z Polakami i Niemcami... Pamiętam spotkania z rozumnymi gośćmi z Moskwy, ze słowianofilami i profesorami; przypominam sobie stamtąd wszystkich Słowian, przypominam spotkania z mirowymi pośrednikami, z rosyjskimi działaczami z „kraju Zachodniego“, z oficerami i jenerałami; pomnę popów, pomnę zwłaszcza tę żywą i nigdy niewyczerpaną dysputę o kwestyach wówczas piekących, gdzie każdy mówił z głębi duszy, co mu leżało na sercu; pamiętam szczery uśmiech milej gospodyni-hrabianki, na której odbijała się radość, kiedy ona, jako Rosyanka, z czegoś się cieszyła, z czegoś była dumną; pamiętam i te cudne łzy, które niekiedy toczyły się po jej licach, wskutek współczucia dla czyjogoś nieszczęścia, wskutek bólu nad krzywdą rosyjską; pamiętam, jak zabawiwszy w tym salonie, wynosiłem stamtąd wrażenia doznanej otuchy i zaczerpniętego natchnienia na dalsze życie... Tak — pisze książ dalej — była to znakomita Rosyanka w świecie petersburskim. Ona żyła tylko miłością ku Rosyi. W taki to sposób głosi książ hymny pochwalne dla hrabianki Błudowej, „znakomitej Rosyanki“, „żyjącej tylko miłością ku Rosyi“. Przy tej sposobności godzi się przypomnieć, z jakich to powodów „toczyły się łzy po jej licach“. Otóż hr. Błudowa wraz ze swą przyjaciółką, carową Maryą Aleksandrowną, rzewnie płakały, dowiedziawszy się, iż popi prawosławni na Litwie odprawiali modły w starych i wytartych ornatach (*rizach*), ale z obojętnością przyjmowały niewątpliwie wiadomości o wyrokach śmierci, wydawanych przez hr. Murawiewa, o rabunkach, łupieżach, mordach, wywożeniu masami na Sybir, kasowaniu kościołów i klasztorów katolickich i tym podobnych

następstwach wielkiej akcyi patryotycznej, jakiej sprężyną były obie te kobiety.

Car Aleksander II. cenił bardzo hr. Błudowę i chętnie z nią obcował. Jedną z takich rozmów przytacza książ Mieszczerskij w swych „Wspomnieniach“. Hr. Błudowa tylko co była wróciła ze swych dóbr w gubernii smoleńskiej i przepełnioną była wrażeniami, odniesionemi z życia włościańskiego. Siedziała ona przy stole herbatnim, w pobliżu carowej, a wkrótce siadł przy niej i car Aleksander II. Car zaczął się rozpytywać o szczegóły jej pobytu na wsi i ja widzę — pisze książ — jak podczas tej rozmowy twarz hrabianki ożywia się jakimś natchnieniem z serca płynącym, poczem przesunęły się po twarzy dwie — trzy łezki zachwyty; była to chwila, kiedy ona mówiła carowi o wdzięczności ludu dla niego. Car słuchał jej uważnie, a potem spostrzegam, jak „jego jasne i dobre oblicze“ wnet się zasepiło i ze smutkiem w oczach i na twarzy, który zastąpił miejsce uśmiechu, rzekł do hr. Błudowej.

— *Ah chère comtesse, c'est de l'idylle...* Hrabianka tych słów się przestraszyła.

— *Comment de l'idylle? c'est la pure vérité, pouvez vous douter de la reconnaissance du peuple russe?*

— *Hélas* — z tymże wyrazem smutku odpowiada car — *je ne crois plus à la reconnaissance humaine.*

Biedna hrabianka — pisze książ M. dalej — pragnąca cara wzruszyć, uciechy po smutkach roku bieżącego (1863), była słowami jego przybita moralnie. „Dręczyła ją myśl, ile ten car musiał doznać cierpień, kiedy tak rychło doszedł do podobnego rozczarowania“. Książ Mieszczerskij przypomina przy tej sposobności słowa carskie, wyrzeczone do Anny Tiutcziewej (później małżonki J. Aksakowa) na dwa lata przed tą rozmową, w chwili ogłoszenia manifestu emancypacyjnego z dnia 19 lutego 1861 roku: *Aujourd'hui c'est le plus beau jour de ma vie.*

Na początku roku bieżącego pojawił się tom pierwszy „Rosyjskiego słownika biograficznego“, wychodzącego w Petersburgu pod kontrolą, a właściwie naczelną redakcją A. A. Połowcowa, prezesa cesar. rosyjskiego Towarzystwa historycznego. W tomie tym znajduje się kilka życiorysów, zaczynając od „Aaron“ do „Aleksander II.“. Dla naszych czytelników mają wartość głównie życiorysy dwóch monarchów rosyjskich: Aleksandra I. i Aleksandra II., z których każdy tak doniosły, a tak różny wpływ wywarł na bieg naszych dziejów poro-

biorowych. Dwie te biografie są przytem najlepiej napisane, a inne — jak biografie Konstantego i Iwana Aksakowów — nie przekraczają swą wartością artykułów z nieco obszerniejszych encyklopedyj.

Myśl wydawnictwa tego rodzaju poddał, jak powiadają, car Aleksander III. Rezultatem pierwszej próby w tym kierunku był *Zbornik* w dwóch tomach, zawierający 60.000 życiorysów osób, zasłużonych na różnych polach działalności publicznej. Krótkie notatki biograficzne miały tylko informacyjne znaczenie, jak w pierwszej lepszej encyklopedyi. Postanowiono zatem rozmiary każdej z tych biografij rozszerzyć, aby z nich płynąć mogła nauka dla społeczeństwa; aby można było należycie uwydatnić doniosłość pracy osobistej, osobistej energii, zasług położonych dla kościoła, państwa, nauki, literatury, sztuki i w zakresie kultury materialnej. Ze *Zbornika* powstał wskutek tego „Rosyjski słownik biograficzny“.

Zadaniu powyższemu odpowiadają najzupełniej dwie biografie w tomie pierwszym: Aleksandra I. i Aleksandra II., zarówno rozmiarami, jak i treścią. Autorem pierwszej jest p. Schilder, a drugiej — Tatiszczew, obaj znani już w rosyjskiej literaturze historycznej. Biografia Aleksandra I. zajmuje 486 wielkich kolumn („Słownik biograficzny“ drukuje się na dwóch kolumnach, każda po 55 wierszy), co równa się objętości 30 arkuszy druku. Biografia zaś Aleksandra II. jest dwa razy obszerniejszą. Panowanie Aleksandra II. jest za blizkiem nas, zanedto jeszcze żywo odczuwamy wszyscy wpływy pewnych wydarzeń tej epoki, aby poważny historyk mógł się podjąć napisania wyczerpujących jego dziejów. Braknie nam jeszcze dla nich poważniejszego materiału historycznego, braknie donioślejszych aktów i dokumentów, a najciekawsze pamiętniki spoczywają gdzieś w archiwach prywatnych. To też autor biografii Aleksandra II., p. Tatiszczew, jest w niej więcej publicystą, jak historykiem. Przeczytał dużo dokumentów niedrukowanych, rozpatrzył się w tem wszystkim, co pisano w Rosyi i za granicą o tym carze, i na podstawie tego nakreślił żywo i barwnie opowieść o życiu i czynach Aleksandra II. Jest to w literaturze rosyjskiej pierwsza o tem panowaniu praca tak obszerna i tak dokładna, zawierająca mnóstwo nowych, nieznanym społeczeństwu rosyjskiemu szczegółów, a przynajmniej po raz pierwszy drukiem ogłoszonych. Aby to był jednak ścisły i bezstronny obraz panowania Aleksandra II., tego oczywiście nikt przypuszczać nie będzie. P. Tatiszczew nie powiedział wszystkiego, co wiedział, ani też tego, co powinien był powiedzieć.

W daleko lepszym położeniu był p. Schilder, autor życiorysu Aleksandra I. Rządy tego monarchy rosyjskiego są już przeszłością. P. Schilder korzystał nie tylko z materiału drukowanego, ale badał archiwa i miał w swych rękach pamiętniki, dotąd nie ogłoszone drukiem. Strawił nad studjami przygotowawczemi szereg lat sumiennej pracy. Owocem jej jest rzeczona biografia, skreślona z całą znajomością przedmiotu a z wielką wytwornością formy. Autor odstąpił znacznie od dotychczasowych, tradycyjnych poglądów na działalność Aleksandra I., przekazanych przez urzędową historyografię z czasów cara Mikołaja I., w której znowu odbijały się prądy reakcyjne, będące następstwem rewolucyi grudniowej w Petersburgu. Ponieważ p. Schilder miał zbyt mało miejsca w „Rosyjskim słowniku biograficznym“, aby mógł zużytkować cały odnośny materiał przezeń nagromadzony, przeto postanowił wydać biografię Aleksandra I. osobno, znacznie rozszerzoną, a ozdobioną licznemi ilustracyami.

Aby dać wyobrażenie, ile ciekawych szczegółów znajduje się w obu wyżej wspomnianych pracach, przytoczę z biografii Aleksandra II. jeden ciekawy epizod, charakteryzujący wybornie ten wpływ wyjątkowy, jaki był sobie zdobył w Rosyi znany publicysta Katkow, redaktor *Moskowskich Wiedomosti*, jeden z twórców i koryfeuszów ruchu ultra-narodowego w r. 1863. Katkow po roku 1863 znacznie przekroczył miarę przyzwoitości i poszanowania, jakie w państwie rządzonym absolutnie, jak Rosya, winien był okazywać wszelkim władzom i jej przedstawicielom. Katkow sądził, iż jemu, jako żarliwemu obrońcy jednności i potęgi państwa przeciwko rzeczywistemu lub urojonemu separatyzmowi polityczno-narodowemu, wszystko ujdzie bezkarnie. Zaczął więc w r. 1867 szafować gwałtownie insynuacyami natury politycznej na prawo i lewo, a w końcu uderzył i na ministeryum oświaty. Wówczas minister spraw wewnętrznych przesłał ostrzeżenie redakcyi *Moskowskich Wiedomosti*, którego Katkow nie wydrukował, oświadczając, iż gotów jest raczej zawiesić wydawnictwo dziennika. Popłoch z tego powodu w obozie ultranarodowców moskiewskich był ogromny. Korzystając z przyjazdu cara do Moskwy, Katkow napisał list do niego, a oddając go hr. Adlerbergowi, ministrowi dworu, zapewniał, iż „na nikogo się nie żali i o nic nie prosi“. List kończył się prośbą, aby car uznał za swoich ludzi wydawców *Moskowskich Wiedomosti* (Katkowa i Leontjewa). Następstwem tego listu była audyencya, udzielona przez cara Katkowowi w zamku Piotrowskim, dnia 20 czerwca 1867 r. Car przyjął go w gabinecie, na osobnem posłuchaniu. „Ja cię znam —

rzekł do Katkowa — ufam tobie, uważam cię za swego“. Aleksander II. zdawał się być wzruszonym, a łzy płynęły z oczu Katkowa. „Zachowaj ten święty ogień — ciągnął car dalej — który tkwi w tobie. Podaję rękę tym, których znam i szanuję. Bądź spokojnym. Uważnie śledzę za *Moskiewskimi Wiadomościami* i ciągle je czytuję. Do ciebie mam zupełne zaufanie. Czy pojmujesz znaczenie tego, co mówię do ciebie? Czy nie leży ci co na sercu, z czem chciałbyś się zwierzyć przedemną?“ Wzruszony Katkow, odpowiedział w kilku słowach bez związku, wyrażając wdzięczność carowi. Przechodząc do kwestyi separatyzmu, zarzucanego w *Moskowskich Wiadomościach* niektórym figurom rządowym, rzekł car: „Nie należy kłóć kogoś i drażnić, przypominając mu ciągle jego pochodzenie; wszyscy mogą być wiernymi poddanymi i dobrymi obywatelami. Należy o tem mówić, lecz zachować miarę. Usiłowania w tym kierunku istnieją, wiem o tem i w tem z tobą się zgadzam. Wielkość i jedność państwa cenię, naturalnie, niemniej od ciebie... Ja się na ciebie pogniewałem. Ostrzeżenie w każdym razie trzeba było wydrukować“. Przy pożegnaniu car ponownie mocno ścisnął rękę Katkowa i dodał: „Pamiętaj: wierzę ci najzupełniej“. Po tej audyencji ministrowi spraw wewnętrznych zakomunikowano najwyższe życzenie, aby redakcyę *Moskowskich Wiadomości* zwolniono od kary na nie nałożonej.

Nie mogąc mówić obszerniej o innych wydawnictwach i pracach historycznych rosyjskich z r. 1895, ograniczę się tylko na krótkich notatkach bibliograficznych. Do rzędu poważniejszych prac w tej gałęzi wiedzy zaliczyć należy „Historyę ziemi smoleńskiej do początków wieku XV.“ przez P. W. Gołubowskiego, który z wielką erudycyą i niepoślednim talentem przedstawia udział księstwa smoleńskiego w ogólnym toku dziejów Rusi. „Zbornik aktów, zebranych z archiwów i bibliotek“ N. P. Lichaczewa, podaje różnorodny, a wielce zajmujący materyał do dziejów ekonomicznego rozwoju społeczeństwa rosyjskiego w XVI. i XVII. wieku. O wiele więcej obchodzić może badaczy dziejów polskich „Zbornik materyałów do dziejów Rosyi w początkach wieku XVII.“, wydany przez hr. Szeremietiewa, a zawierający cenne dokumenta do czasów panowania cara Borysa Godunowa, po których nastąpił okres samozwańców. W roku minionym wyszedł także tom dziewiąty „Archiwum południowo-zachodniej Rosyi“, w którym wydrukowano tak zwany *Litos*, jeden z najwybitniejszych pomników ruskiej literatury polemicznej wieku XVII. *Litos* ułożono z polecenia Piotra Mohyły, metropolity kijowskiego, a w nim znajduje się niemало

materyału, rzucającego jaskrawe światło na stan oświaty, moralności i byt materyalny kleru dyzunickiego na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. „Senat za rządów najwyższej Rady tajnej“ przez A. Filippowa jest cennym przyczynkiem do dziejów senatu rosyjskiego, utworzonego za rządów Piotra Wielkiego. Za panowania Katarzyny I. utworzono najwyższą Radę tajną, pod której władzę poddano senat. Te lat kilka (1726—1730) istnienia Rady tajnej uchodzą za okres największego poniżenia senatu; ich to dzieje opowiedział p. A. Filippow. Piąty tom „Archiwum kniazia T. A. Kurakina“, zawiera cenne notatki do układów pokojowych w Utrechcie z r. 1713, w których Rosya brała również udział, chociaż nieurzędowy. W tomie tym wydrukowano także korespondencję Aleksandra Kurakina, jednego z najwybitniejszych rosyjskich mężów stanu swego czasu.

W „Rosyjskiej księdze genealogicznej“ (*Russkaja rodostownaja kniga*) księcia A. B. Łobanowa-Rostowskiego, niedawno zmarłego ministra spraw zagranicznych, znajdujemy genealogię 248 rosyjskich szlacheckich i kniaziowskich rodzin. Przy tej sposobności godzi się wspomnieć, iż zmarły minister spraw zagranicznych zostawił w rękopisie niezmiernie ciekawy „Dziennik“ panowania cara Pawła I., w którym dzień za dniem opowiedziano dzieje panowania tego monarchy, bogate w szczegóły, a czerpane z archiwów i tradycji rodzinnych autora. Monografia Witewskiego: „J. N. Nieplujew i kraj orenburski do roku 1758“ przedstawia obraz rozwoju handlu i przemysłu tego kraju za rządów Nieplujewa, niepospolitego administratora. W siódmym i ósmym tomie „Materyałów do historii cesarskiej akademii nauk“ znajdujemy mnóstwo ważnych dokumentów, odtwarzających stan wewnętrzny tej instytucji naukowej w latach od 1744—1747, a więc za panowania carowej Elżbiety. Instytucya, powołana do życia przez Piotra Wielkiego, była wówczas ogniskiem wiedzy, ale bynajmniej nierosyjskiej. Czysto rosyjski charakter tej instytucji datuje się dopiero od Aleksandra III. Do siódmego zeszytu „Zbornika materyałów z archiwum własnej jego cesarskiej mości kancelaryi“ weszły rozporządzenia, reskrypta, i ukazy cara Mikołaja I. z lat 1826—1831, odnoszące się do wewnętrznego stanu państwa, a głównie do kwestyi włościańskiej. Z tomu dziewiątego gruntownej pracy N. P. Barsukowa: „Życie i prace M. P. Pogodina“ występuje w całej grozie reakcya i opieka rządowa nad literaturą rosyjską w latach 1847 i 1848, które sprowadziły w niej na czas pewien zastój widoczny. „Zapiski S. N. Glinki“ dają wiele bardzo cen-

nego materiału do poznania rosyjskich stosunków towarzyskich i społecznych za panowania Katarzyny II. i Aleksandra I.

Nie możemy także w naszym sprawozdaniu pominąć najpoważniejszych artykułów historycznych, porozrzucanych po rozmaitych miesięcznikach. „Listy W. A. Żukowskiego do A. J. Turgieniewa“ (*Russkij Archiw*) obejmują czterdziestoletni okres czasu (1805—1844), a mają niewątpliwe znaczenie dla historii literatury rosyjskiej. Ciąg dalszy „Zapisków N. N. Murawiewa-Karskiego“ (*Russkij Archiw*) są wybornym obrazem dostojnika rosyjskiego, dotkniętego niełaską cara Mikołaja I. w latach 1838—1848, a śledzącego w swem wiejskiem osamotnieniu za wszystkimi wypadkami w wewnętrznem życiu państwowem i dworskiem, mogącemu mu przywrócić łaskę carską i powrót do władzy. W dalszym ciągu „Zapisków W. A. Insarskiego“ (*Russkaja Starina*) roi się po prostu od mnóstwa ciekawych szczegółów z życia wyższych sfer petersburskich w piątym i szóstym dziesięcioleciu naszego wieku. Artykuł N. T. Dubrowina pod tytułem: „Nasi mistycy-sektanci“ (*Russkaja Starina*) dotyka wielu charakterystycznych objawów z życia intelektualno-moralnego narodu rosyjskiego w końcu przeszłego i na początku naszego wieku. „Zapiski senatora N. P. Sinielnikowa“ (*Istoriczeskij Wiestnik*) obejmują czasy panowania Mikołaja I. i Aleksandra II., a są jaskrawym, aczkolwiek całkiem bezstronnym, obrazem wewnętrznego życia Rosyi, a zwłaszcza ówczesnych porządków administracyjnych. „Wspomnienia W. A. Połtorackiego“ (*Istoriczeskij Wiestnik*) zawierają opis rosyjskiej wyprawy na Chiwę w roku 1872, aż nazbyt może schlebający dumie i próżności narodowej.

A. Szarlowski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Myśl o zjednoczeniu kościelnem na Wschodzie. — Ksiądz Maksymilian, książę saski. — Cuda wolnomyślności węgierskiej. — Katolickie wykłady przy angielskich wszechnicach. — Międzynarodowy urząd rozjemczy papieża.

MYŚL O ZJEDNO-
CZENIU KOŚCIEL-
NEM NA WSCHO-
DZIE.

Myśl o zjednoczeniu kościelnem, powzięta przez Leona XIII., nie napotkała w greckim Kościele odszczepionym tyłu życzliwych zwolenników, ilu ich możnaby życzyć dla własnego dobra tej części chrześcijaństwa, ale zajęła ich uwagę w stopniu, który znaczy niemało wobec zwykle ospałego ruchu umysłowego na Wschodzie. Ten objaw przynajmniej świadczy, że tam duch niezupełnie zamarł, tylko podobnie do córki Jaira śpi: *dormit, non mortua est*. Na pierwszy list okólny Leona XIII. odpowiedział carogrodzki patriarcha listem, który treścią i stylem zupełnie przypominał znane zasady, na Zachodzie głoszone w duchu związku ewangelickiego. Po drugim liście *Satis cognitum* patriarcha w urzędowym piśmie swojem udziela światu nowiny, że powziął zamiar nową odpowiedzią odeprzeć wnioski papieskie. *Phanar* zapowiada, że „oczekiwana encyklika patriarsza więcej, niż poprzednia, zejdzie do szczegółów i słowo za słowem zbije wywody „napastniczego” pisma papieskiego, aby tym sposobem raz skończyć z jałową

rozprawą, która trwa już od wieków. Przekłady tej encykliki Kościoła carogrodzkiego wyjdą w różnych językach“.

Każdy z tych słów widzi, że urzędowa zapowiedź pisma patryarszego teźnie duchem, który stoi w bardzo smutnem przeciwieństwie do odezwy Ojca świętego, natchnionej prawdziwą miłością ojcowską, i można już teraz przewidywać, co za poglądy wypełnią pismo zapowiedziane.

Co do samego Watykanu, to nie powinien patryarcha carogrodzki tuszyć sobie, że jego pismo wiele wrzawy wywoła na dworze papieskim. Choćby inne, ważniejsze względy nie przemawiały, to samo już wystarczy, że w Rzymie wiedzą, jak mało dziś znaczy Carogród na całym Wschodzie. Może patryarcha podnieść głos, ale jego słowa brzmieć będą bez dźwięku, jak słowa każdego pyszałka, nadętego dostojenstwem urojonem. Dlatego odpowiedź patryarsza znaczyć będzie nie wiele więcej od jednodniowej rozprawy dziennikarskiej. Wypadek już niejeden świadczył, że wschodni biskupi nie oglądają się na patryarchę carogrodzkiego, kiedy myślą o powrocie do owczarni Piotrowej. Tak świeżo donosi ks. Barnier francuskim misyom katolickim, że syryjski biskup odszczepionego Kościoła w Djarbekir w Małej Azji, Grzegorz Abdalah usłuchał głosu Leona XIII. i choć wiedział, jak dotychczasowi jego współwyznawcy przepadają za nim i w nim upatrują przyszłego patryarchę, jednak uroczyście wobec tłumów zgromadzonych opuścił swoją katedrę biskupią i w kościele katolickim złożył hołd rzymskim następcom św. Piotra, których władzę nad sobą uznał najuleglej. Ten wypadek nie stanowi dopiero pierwszego dowodu, że mimo gnuśnego ospalstwa Wschód żyje, i do objawów ducha chrześcijańskiego nie używa pomocy, ani nie żąda wskazówek od carogrodzkiego biskupa.

Inny także objaw uderza, a ten, chociaż dotąd cichy, przecie potęgę jakąś zaczyna stanowić. Powstaje szmer pośród kół coraz szerszych w Kościele wschodnim i nawet w greckiem duchowieństwie, i nawet w prawosławnem, przebiega po duchowieństwie jakby odgłos słów nie na Wschodzie tylko szeptanych, także na Zachodzie powtarzanych wcale wyraźnie między inno-

wiercami chrześcijańskimi, szczególnie w Anglii i Ameryce, że papież wprowadzie „przesadził“ w ostatniej encyklice, przecie, mimo „przesady“, w istocie wypowiada zupełnie słuszną zasadę. „Przesada“ w tem, że „rości sobie prawo do samowolnych rządów nad całem chrześcijaństwem, jako niezawisły od nikogo na ziemi duchowny władca“, ale bardzo słusznie postąpił, że dopomina się dla połączonych Kościołów Wschodu i Zachodu naczelnej Głowy. Te Kościoły chętnie przystałyby na związek, na którego czele stanąłby jako prezydent honorowy, biskup rzymski. Gdyby takiego stanowiska zażądał, za powszechną zgodą chrześcijaństwa postąpiłby na nie bez przeszkód poważnych.

Oczywiście następcy św. Piotra nie mogą zrzec się prymatu, aby poprzestać na krześle prezydenta „rzeszy“ Kościołów chrześcijańskich, ale widać, jak już daleko zaszła myśl zgody Kościołów, jeżeli zamiast klątw i przezwisk Antychrystem i t. d., papież słyszy z różnych stron świata jakby zaprosiny na honorowego przewodcę wszystkich wyznawców Chrystusa.

Książdz Maksymilian, książę saski, świeżo wyświęcony synowiec królewski, dostarczył pismom wolnomysłnym bogatej osnowy do plotek i domysłów. Umysły, niezdolne przeniknąć pobudki czynów chrześcijańskich, wysilały myśl, aby odgadnąć, co skłoniło serce nowego kapłana do stanu duchownego. Krok, zrozumiały dla każdego chrześcijanina, przeszedł pojęcia mądrych postępów; nie mogli w nim upatrzeć zaspokojonego samolubstwa, a bez tej podniety do czynu nie rozumieją, jak można postawić krok w życiu, szczególnie krok, bądź co bądź niełatwy. Więc chyba książę Maksymilian został kozłem ofiarnym polityki niemieckiej, chyba ma osiąść na stolicy biskupiej w kraju, zdobytym na Francuzach, a zarazem sprawować urząd namiestnika nad tym krajem w rodzaju księcia udzielnego. Po bezpotomnym zgonie mógłby zapisać swoją dzielnicę dobrowolnie choćby narodowi francuskiemu; tym sposobem Niemcy zaszczytnie poświęciłyby swoją zdobycz dla dobra pokoju i za pośrednika swojej zgody z zadowolnioną Francją użyłyby księcia saskiego.

Ta pogłoska, jakkolwiek całkiem bezpodstawna, jeszcze względnie ze wszystkich najmniej ubliża księciu Maksymilianowi; inne do wcale niskich pobudek uciekają, aby po ludzku zdać sprawę z postępu, który nie okazuje w sobie nic samolubnego ani ludzkiego, tylko nosi na sobie nadprzyrodzone piętno posłuszeństwa na głos boży. Od początku pobytu w seminaryum aż do ostatnich tygodni, ksiądz Maksymilian tak samo postępuje, jak każdy powinien, kogo Duch Boży powoła do służby ołtarza. W seminaryum z wdzięcznym uśmiechem przyjmował od przełożonych albo starszych towarzyszy każdą przestrożę, kiedy sam nie od razu spostrzegł, że jakimś ruchem albo słowem więcej przypomina królewski dwór, niż skromnego lewite; szczególnie do serca brał każdą uwagę lub zarzut co do sposobu kaznodziejstwa. Zaraz po prymicyach prosił biskupa o jaką posadę pracowitą ale najmniej pokąsną. Aby zadośćuczynić prośbie, biskup wysłał księcia Maksymiliana do Londynu na kapłańską posługę dla tamtejszej osady niemieckiej. Przed odjazdem jeszcze przyjął gorliwy kapłan niedzielne kazanie w katedrze. Ledwo o tem nowina obleciała Drezno, tłumy ciekawych pospieszyły słuchać, jak przemówi kaznodzieja królewski. Ewangelia o głuchoniemym, uzdrowionym słowami *Effeta*, dostarczyła treści kazania, wyrobionego podług wszelkich przepisów, a wygłoszonego żywo i z sercem gorącym. Z szczególną mocą uderzały słowa prawdy, nieraz gorzkiej, ale stosownie powiedzianej do słuchaczy z najwyższych warstw społecznych; może rzadko kiedy padały z kazalnicy równie śmiałe słowa, a obrazić już nie mogły dumy niczyjej. Zbudowani słuchacze odeszli z jednym na ustach wyrazem wdzięcznej pochwały dla kaznodziei.

Po jego przyjeździe do kościoła św. Bonifacego w Londynie najpierw najubożsi jego rodacy zaczęli sobie winszować, że znaleźli ojca i utarli dla niego właśnie ten tytuł serdeczny „ojca Maksa“. Uwiadomiony o tem książę saski, uradowany prosił usilnie, żeby mógł już tylko słyszeć nazwę „Ojca Maksa“, a nie dostawać od nikogo więcej żadnych tytułów książęcych, czy królewskich. Zaraz zaprzężnięty do pracy znalazł dopiero po pewnym czasie wolną chwilę, aby przyjąć zaprosiny do bie-

dnych Niemców, którzy w niedzielę po nabożeństwie w ciasnych pokoikach przy kościele urządzają sobie wspólną rozrywkę. Przybył do nich ks. Maksymilian w towarzystwie współpracownika swojego, księdza Sandera. Mimo wszelkich próśb poprzednich, nie mógł uniknąć owacyj, więc przestał nalegać i przyjęty został uroczystie, ale serdecznie. Męski chór odśpiewał silnym głosem pieśń powitalną, potem ks. Sander przedstawił nowego pasterza jego owczarni i wezwał obecnych, żeby wzniesli jego królewskiej wysokości trzykrotne *Hoch*. Nagły okrzyk zagrział tak potężnie, jakby wypłynął z piersi cyklopów, aż książę z uśmiechem powiedział, że przecie raz w życiu pojął, jak to prawi Teutoni wołali *Hoch*; potem dziękował zebrany za gościnne serce, ale znowu powtórzył prośbę, żeby widzieli w nim tylko księdza, a nie księcia, bo sam nie widzi nic dostojniejszego na świecie, jak stan takiego sługi ubogich, jakim powinien być ksiądz za wzorem Jezusa Chrystusa: więc chce żyć na tem stanowisku najdostojniejszym i wejść w służbę u ubogich robotników. Zgromadzeni odpowiedzieli okrzykiem serdecznym i spędzili z księdzem Maksymilianem wieczór, urozmaicony śpiewem i muzyką.

Tak sobie poczyną i tak wyraża, czego pragnie potomek w prostej linii naszych dawnych królów, nowo wyświęcony na sługę ubogich. Jednak jego postęпки i słowa nie stanowią nie dla wrogów Kościoła; ci wołają w jego czynie upatrywać samolubną gonitwę za jakimś doczesnym pożytkiem, niż rozumieć głos Ducha, który powołuje sługi ołtarza i z pod strzechy słomianej i z zamków królewskich, jak uważa i chce.

CUDA WOLNO-
MYŚLNOŚCI
WĘGIECKIEJ.

Uszczęśliwiony ród ludzki, wyzwolony z pod ucisku myśli, którą jarzmi Kościół, zaznaje na Węgrzech owej swobody, o którą przeciw Inkwizycyi toczyły bój zastępy wolnomyślnie. Z nadzieją tej swobody myśli i słowa idą katolicyści członkowie węgierskiego Związku ludowego na wiece, aby odbywać wstępne narady przed wyborami. Nie czeka ich tam kat z mieczem ani zapalone stosy nie grożą śmiercią w mękach za słowo wolnie wypowiedziane albo za myśl niepodle-

głą. Dla porządku posyła tam wprawdzie rząd stróżów bezpieczeństwa, ale to rząd wolnomyślny, więc myśli wolnej nie skępuje ani nie użyje swoich pachołków na ciemniźcicieli swobody.

Węc najprzód w Felegyhaza zbitymi rzędami stali związkowi katolicy naokoło mównicy, kiedy „niezawisły“ Geza Polonyi postanowił światu okazać, jakiej to swobody używać można, odkąd na czele kraju stoją przedstawiciele tolerancyi postępowej. Węc zbiera magnat węgierski, Geza Polonyi, gromadkę niedorosłych żydków i każe im wpaść na wiec z ulicznym wrzaskiem i piskiem. Żandarmerya przepuszcza ich między spokojny tłum, który zdumiony rozstępuje się w pierwszej chwili przed nawałą napastników, ale potem oburzony, okazuje, że takiego zuchwalstwa nie ścierpi. Żydki spostrzegają niebezpieczeństwo i już nie za pieniądze Polony'ego, ale z trwogi wrzeszczą w niebogłosy o pomoc. Na ich głos żandarmerya konna rusza z kopyta i wpada na głowy zbitym w tłumie Związkowym. Oczywiście zgromadzenie zostało rozwiązane z powodu nieporządku, a na domiar poszanowania myśli, posłowie na jawnem posiedzeniu Izby śmiechem przyjęli zabawną przygodę, kiedy Polonyi chełpił się, jak ją urządził.

W komitacie Ajzenburskim, w Vasvár, naczelnik wyższego sądu, ile mógł, tyle sposobów wymyślił, aby przeszkodzić do wiecu katolikom: mimo to ich tysiące ruszyły w drogę. Tedy pisma wolnomyślne straciły wszelką miarę i zmysł polityczny; wprost zapowiedziały nieporządek, który zaburzy wiec tak, że władze rozpędzą zgromadzonych. Dzierżawca, Żyd, nie odmówił pomocy do szlachetnego dzieła i wysłał parobków folwarcznych do Vasvar. Ci, za uchwałą stróżów bezpieczeństwa, dostali miejsce w pobliżu mowcy, i kiedy ten podniósł głos, odpowiedzieli nieludzkimi krzykami: co do jednego byli spici. Zgromadzeni spoglądają na przewodniczącego hrabiego Mikołaja Maurycego Esterhazego, ten spogląda na obecnego naczelnika sądu, który zawiaduje żandarmeryą. Żandarmerya dostaje rozkaz usunąć burzycieli pokoju: więc rozpędza Związkowych i zgromadzenie zostaje rozwiązane.

W Nowogradzkim komitacie, w Szczenzenach, Związkowi długo

śluchali rad, namów, gróźb, zakazów, aby wiecu nie odbywali: mimo wszystko, znienacka, różnemi drogami, wraz z okolicznem włościanstwem, zeszli na umówione miejsce obrad. Wystąpili mowcy, ale po chwili do nich drogę już utorowali sobie przez tłum żandarmni, otoczyli mowców na piętnaście kroków dokoła i za sobą wprowadzili paręset włóczęgów, wprost pościąganych z poza stołów karczemnych i dopiero dalej musieli stać Związkowi. Przewodniczący, Geza hr. Apponyi, podniósł głos, zaraz zakrzyczany przez pijaną hałastę. Z powodu zakłóconego porządku władze kazały zgromadzonym spokojnie wracać do domów.

W komitacie Veszprimskim, w Lovasz-Potona, Związkowi postanowili uniknąć wszelkich burd, możliwych na miejscu publicznem: więc urządzili wiec na dziedzińcu w zamku hrabiego Wallisa. Nie można było zabronić wstępu policyi, a ta nieznacznie wprowadziła ze sobą około stu pięćdziesięciu spojonych drabów. Nim jeszcze pierwszy mowca wystąpił, na zgromadzony tłum, w oczach żandarmeryi, zaczęły spadać kamienie coraz gęstszym gradem. Część napastników mierzyła pociskami wprost w głowę Ferdynanda hr. Zichego: byli to właśnie przebrani oficyaliści Jego Ekscelencyi, nadżupana, tajnego radcy Maurycego hr. Esterhazego, który tym niecnym sposobem okazywał wdzięczne serce swojemu dawnemu opiekunowi, hrabiemu Zichemu, obecnie rycerzowi złotego runa. Gdyby któryś z duchowieństwa nie był szybko zastawił kapelusza przed głową czcigodnego magnata, byłby ten padł ugodzony razem kamienia jakby z ręki swojego wychowawcy. Inny z duchowieństwa obecnego, proboszcz z zakonu Cystersów, ledwo że nie padł na miejscu zakamienowany. Uwiadomiony o wypadku Nadżupan, wzorowy wykonawca ustaw wolnomyślnych, zaraz telegraficznie odpowiedział, aby wiuszować pomyślnie rozwiązanego zgromadzenia!

W Guens zapowiedzieli Związkowi zjazd; przez dziewięć dni między zwolennikami rządu trwała narada, co możnaby zjazdowi zarzucić, aby do niego nie dopuścić. Nakoniec któryś obrońca swobody myśli, wynalazł powody najbliższe w świecie: w braku lepszych i te wystarczyły, i zjazd został odwołany.

W Garam-Szent-Miklosz zabrakło wszelkich możliwych po-

zorów, aby móżdż przeszkodzić wiecowi: więc najwyższy naczelnik sądu, rad nie rad, na wiec przystał: jednak nie dał za wygraną i w ostatniej prawie chwili wynalazł radę. Spostrzegł, że ustawa nie pozwala rozpoczynać żadnych wieców znacznie później, niż było pierwotnie ułożone i zatwierdzone przez władze. Umyślił skorzystać z ustawy i stworzyć przeszkodę, któraby opóźniła początek wiecu. Wiedział, że Ferdynand hr. Zichy, przewodniczący wiecu, miał koleją przyjechać o godzinie trzeciej: otóż zarząd kolei dostał wskazówkę, aby naumyślnie spóźnić ruchy pociągów i dostawił hrabiego dopiero o trzy kwadranse na czwartą; taka zwłoka wystarczyłaby, żeby zastosować ustawę i rozwiązać wiec. Ale tego zamysłu nie można było tak zręcznie przeprowadzić, żeby nie nie wpadało w oczy i hrabia Zichy spostrzegł w drodze, co się święci: na czas zsiadł w Nowym Zolu z wagonu i końmi tak spiesźnie przyćwalał, że do miasta wjeżdżał, kiedy biła trzecia godzina. Zawiedziony w nadziei przedstawiciel rządu jeszcze usiłował dopiąć innym sposobem zamiaru. Znalazł na ulicy żydków, nakupił zgniłych jaj; po przywitalnej mowie, hrabia miał służyć żydkom za cel trafnych pocisków. Ale pociski nie trafiły do celu: hrabiego chybiły a spadły rzęsiście na wice-naczelnika sądu. Hrabia Zichy nie odgadł pomyłki od razu, więc jako przewodniczący, powstał oburzony przeciw obeldze, wyrządzonej przedstawicielowi władzy; dopiero po chwili wyszło na jaw, że pod hrabią władza kopła dołek, w który wpadła sama.

W Mezo-Kovaeshaza władze pozwoliły na wiec, ale zastrzegły sobie, że same wyznaczą miejsce do obrad, i wyznaczyły oczywiście najstosowniejsze, pod samą szkołą, do której spędziły żydków z całego miasta. Więc ledwo Mikołaj Maurycy hr. Esterhazy zagaił wiec, nagle powstała w szkole wrzawa i zgiełk niesłychany, przy którym nikt nie mógł mówić na wiecu. Przedstawiciel rządu, jakby zaniepokojony wypadkiem, z najgrzeczniejszym ukłonem podszedł do hrabiego z prośbą, żeby pozwolił przedsięwziąć środki potrzebne do obrony zgromadzonych przed możebnymi obelgami ze strony żydowskich uliczników. Oczywiście hrabia odgadł te środki, które miały rozbić

wiec: więc także najuprzejmiej podziękował za troskę o dobro wiecu, ale zapowiedział, że sam nieporządkom zapobiegnie. Niezwłocznie przeszedł do uchwał, załatwił sprawy najpilniejsze i ogłosił wiec skończonym. Potem już, nie jako przewodniczący w imieniu Komitetu, ale sam we własnym imieniu zwrócił uwagę, że przy ślicznej pogodzie możnaby w gronie znajomych i przyjaciół spędzić wieczór w którymś ogrodzie publicznym. Zrozumieli uczestnicy wiecu, że ich wszystkich hrabia mianuje przyjaciółmi: w godzinę potem używali świeżego powietrza przy ślicznej pogodzie wieczornej, a że przy tem słuchali czyjejś mowy albo odczytu, opuszczonego podczas wiecu, tego im nie mógł nikt bronić w publicznym ogrodzie.

W Mattusdorf wiec do skutku doszedł pomyślnie, mimo tego, że do wszystkich księży całego okręgu przychodziły listy, które odwoływały wiec na nieoznaczony czas z powodu nagłej a ciężkiej choroby przewodniczącego, Aladora hr. Zichego. Listy te swoją wiadomość kończyły słowami: „W braterskim uścisku zostaje opat Molnar“. Te słowa o braterskim uścisku zdradziły tajemnicę, że listów nie pisał opat Molnar, przywódca Związku ludowego, tylko podrabiali je bracia masoni. Więc członkowie zjechali na wiec i radosnemi okrzykami witali hr. Zichy'ego, najzdrowszego w świecie.

W komitacie Szatmarskim, w Erdoed, rządowy kasjer z pięćdziesięciu wolnomysłnymi towarzyszami stanęli pod bokiem mowy, i rozgrzani jego słowami, uczuli w sobie nagle tyle zapалу patryotycznego, że niczem nie mogli powstrzymać gorących uczuć, i gromkimi głosami zaśpiewali pieśń Kossutha. Żandarmerya uważała sobie za ścisły obowiązek rozpedzić Związkowych, którzy pobudzają do pieśni rewolucyjnych. Przez trzy kwadransy rozpraszali uczestników wiecu, a nie przeszkadzali śpiewakom, którzy nakoniec na ramionach obnieśli po zdobytym polu samego naczelnika sądu i winszowali sobie chlubnego zwycięstwa.

Któżby im nie winszował i nie bił oklasków? Chybaby średniowieczny wstecznik komu innemu bił oklaski i tym dzielnym katolikom winszował, którzy tak przeciw sobie rozsrożyli gniew wolnomysłnego rządu!

KATOLICKIE
WYKŁADY PRZY
ANGIELSKICH
WSZECHNICACH.

Raz po raz zachodzą w ostatnich czasach wypadki, które wymownie świadczą, że Kościół powszechny odzyskuje wśród społeczeństwa wpływ, że zwycięsko zdobywa dawne stanowisko i odnawia czasy, kiedy spokojnie panował nad umysłami, nie zbłąkanemi żadną ewangeliją luterską ani filozofią wolteryjańską. Do tych oznak doby pomyślniejszej dla Kościoła należy widok jego zdobyczy, odnoszonych na polu pracy wychowawczej. Jeszcze wiele zapór na tem polu tamuje drogę w zwycięskim pochodzie Kościoła, ale z tego pola coraz skuteczniej spychani wolni myśliciele, szemrzą coraz głośniej i utyskują, że Kościół odzyskuje stanowisko, na którym w średnich wiekach panował nad zakładami wychowawczemi dla młodzieży; stąd pobudka do skarg, iż jeden po drugim filar w budowie bezwyznaniowego szkolnictwa pęka i grozi upadkiem; stąd osnowa do rozpraw nad niebezpieczeństwem ciemnoty, która coraz szerzej ogarnia ród ludzki i cofa wstecz całe dzieło oświaty wyzwolonej; stąd hasło do zaciętszej walki przeciw Kościołowi, który wraca do średniowiecznej potęgi nad umysłami.

Mylą się: za mało widzą. Kościół w średnich wiekach poprzedzał na przewodnictwie, średniowiecznej oświacie; w nowożytnych czasach zdobywa sobie przewodnictwo w nowoczesnym postępie oświaty. Nie pozwala we Włoszech dawnym wszechnicom swoim stać niżej od poziomu wiedzy, której wymagają najnowsze zdobycze prac umysłowych. Pilnuje, aby kwitły nowo założone wyższe zakłady katolickie we Francyi, w Belgii i Szwajcaryi. Natchnął Austryę duchem, który nie dla zabawki na ostatnim wiecu katolickim rozbierał już ostatnie szczegóły planu wszechnicy, spodziewanej w Salzburgu, może już tylko za rok, za dwa. Węgry, draśnięte do żywego prześladowczym uciskiem wolnomyślnego rządu, wypowiadają bezwyznaniowcom posłuszeństwo, i raz uniesione ogniem walki, nie myślą o spoczynku na drodze zwycięstw, aż nie odzyskają dla Kościoła jego praw dawnych, z jego nadzorem nad szkołami, z jego starą wszechnicą katolicką w Budapeszcie. Na nowym świecie Irlandczycy i Polacy twardo stoją przy swoich szkołach wyznaniowych

i śmiało budują coraz nowe, a Anglicy nie szczędzą złota na zakłady, w których wychowują po katolicku całą młodzież, od drobiazgu po ochronkach, do dojrzałych słuchaczy uniwersytetu.

Na oxfordzką wszechnicę i na cambridge'ską katolicy nie pragnęli posyłać swoich synów, aby nie narażać ich na wpływ protestancki: mimo to nie wszyscy Anglicy oczywiście posiadali środki, żeby z Anglii posyłać synów albo do Ameryki albo na europejski ład stały do wszechnic katolickich. Stąd powstawał niepokój w sumieniach; ale ani rodzice, ani duchowieństwo nie ustawało w pracy, żeby zmienić stan rzeczy. Nie tak obojętnie spoglądali na potrzebę katolickich wykładów, jak ozięble gdzieś indziej spoglądają rodzice na dzieci w złych szkołach wychowywane. Nakoniec, dwa lata temu, powstała nadzieja, że możnaby u władz uniwersyteckich wyrobić znośne ustępstwo dla katolickiej młodzieży. Zaraz biskupi licznym zastępem stanęli na naradę, aby skorzystać z chwili pomyślnej; badali sprawę troskliwie i w styczniu roku przeszłego przygotowali do Stolicy Apostolskiej list z prośbą, aby osądziła, czy środki przez nich obmyślane zabezpieczą młodzież katolicką od złego wpływu nauki, wykładanej przez protestantów. Uwiadomieni o ich zamiarach wybitni katolicy, zasilali ich uwagami, które razem z listem biskupów poszły do Rzymu i zadowolniły Kongregację Propagandy o tyle, że ta orzekła, żeby biskupi poprzestali na ustępstwach, obecnie możliwych, i zaprowadzili środki w liście przedstawione: w takim razie pobyt młodzieży katolickiej na wszechnicach protestanckich w Oxfordzie i Cambridge może być cierpiany (*potest tolerari*). Tę odpowiedź kongregacji zatwierdził Papież i podpisał w kwietniu przeszłego roku.

Do środków, obmyślanych przez biskupów, sama Stolica święta dodała jeszcze przepis, żeby dla katolickich słuchaczy obu wszechnic wymienionych, profesorowie katolicycy zaprowadzili osobne wykłady filozofii, historii i religii; ci profesorowie mają zależeć od wydziału, z ramienia biskupów wysłanego z władzą nadzorczą nad obu wszechnicami, w zakresie potrzeb katolickiej młodzieży.

W kwietniu bieżącego roku biskupi mianowali wydział

z członków następnych: biskupi z Newport i Clifton, kanonik Moyes, Benedyktyn Gasquet, Jezuici: Gerard i Purbvieck, Filipin Norvis, Redemptorysta Bridgett, książę Norfolk, margrabia Bute, lord Braye, baron Huegel, panowie Devas, Hope i Ward. Przez cały rok przeszły członkowie odbywali narady, i doprowadzili sprawę do tego stanu, że już biskupi, listem z 1 sierpnia b. r., wzywają młodzież katolicką do pracy naukowej w warunkach, które jako tako zastępują im uniwersytet katolicki.

Jeden szczególnie przepis biskupów zasługuje jeszcze na uwagę: pozwolili rodzicom na katolickie wykłady zapisywać synów tylko wtedy, jeżeli ci na ścisłym egzaminie okażą gruntowną znajomość religii, a przedewszystkiem powinni rozumieć jasno, czego uczy dogmat katolicki o Bogu, o Wcieleniu, o Wierze i porządku nadprzyrodzonym, o Kościele i Biblii. Kto tych pojęć nie wyłoży jasno albo gruntownie, o ile do tego służy obszerny katechizm, tego nie można puszczać na wszechnicę. Prócz tego rodzice powinni wykazać, że ich syn pobożnie uczęszczał do Sakramentów, że żadnym czynem nagannym nie ściągnął na siebie poważnych zarzutów, ani nie zdradził charakteru słabego, że na koniec nie zawiązywał poufałych stosunków z żadnem towarzystwem mniej odpowiedniem dla katolickiego młodzieńca.

W takim duchu prowadzona młodzież i taką opieką otoczona, może mniej budzić obaw, żeby na wszechnicy nie poniosła uszczerbku w wierze albo nie uległa łatwo wpływowi złego przykładu.

MIEDZY-
NARODOWY
URZĄD ROZJEMCZY
PAPIEŻA.

Międzynarodowy urząd rozjemczy papieża stanowił treść uchwały powziętej na ostatnim wiecu katolickim we Fiezoie pod Florenją. Najprzód ta uchwała podnosi najwybitniejsze stanowisko, ponad wszelkimi dostojnikami, zajmowane przez papieża, a uznane przez cały świat oświecony i najstosowniejsze na urząd rozjemczy w sprawie pokoju ludów. Dalej mówi ta uchwała: „Ze względu na okoliczność, że międzynarodowy urząd rozjemczy stanowi potrzebę społeczeństwa, aby zapobiedz, o ile możebna, klęskom tak wojny jak „zbrojnego pokoju“, wyrażamy nadzieję, że międzynarodowy urząd rozjemczy

papieży, ze współudziałem mocarzy i narodów stanowić będzie składową część ustroju społecznego, aby jedynie według sprawiedliwości rozstrzygać międzynarodowe waśnie, bez niebezpieczeństw orężnej rozprawy, która wprawdzie zdoła zaprowadzić pokój oparty na przewadze sił, ale nie zawsze zdoła zaprowadzić słusność i sprawiedliwość.

„Dalej ze względu, iż pośrednictwo i rozjemczy urząd papieży od Leona I. Wielkiego aż do Leona XIII. zachowywał społeczeństwo w najcięższych przygodach i okazywał najcenniejsze dobrodziejstwa, za obowiązek sprawiedliwości i wdzięczności poczytujemy rozszerzać myśl takiego urzędu rozjemczego i przedłożyć środki następujące:

„Trzeba we Włoszech i w innych krajach chrześcijańskich przystępnie rozszerzać myśl o papieskim urzędzie rozjemczym przez książki, dzienniki i wiece, przedstawiać jego potrzebę społeczną i stosowną porę, a zbijać przesady ze stanowiska dziejowego i prawnego. Trzeba skłonić katolickich posłów do rad państwowych, aby, gdzie mogą, wzywali rządy do wspólnej pracy, któraby oddała papieżowi sąd rozjemczy w sprawach spornych. Ustawiczny wydział włoskich wiecew katolickich powinien prosić naczelne rady związków katolickich w innych krajach o pomoc, żeby doprowadzić do skutku dzieło papieskiego sądu rozjemczego“.

Zwolennicy wiecznego pokoju odbyli z początkiem jesieni wiec w Budapeszcie, na którym, między innymi, francuski jeden ksiądz podniósł głos, aby zwrócić uwagę na papieństwo, jako potężny czynnik, którego pomocy powinnyby pragnąć uczestnicy wiecu. Niestety, między zebranymi zasiadali w znacznej liczbie masoni; więc powstał szmer bardzo wrogi wnioskowi ultramontanina. Ale drudzy uczestnicy zabierali także głosy za tym wnioskiem i żywa rozprawa doprowadziła w końcu do wyniku pomyslnego; wniosek przeszedł i wiec postanowił także Stolicy świętej zwrócić prośbę, aby Głowa Kościoła przystąpiła do dzieła wiecznego pokoju.

Ks. Konstanty Czapkowski.

Z ruchu katolickiego na polu dobroczynności w Niemczech.

Charitas. Zeitschrift für die Werke der Nächstenliebe im katholischen Deutschland. Herausgegeben vom Charitas-Comité zu Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. I. Jahrgang. Nr. 1—8.

Z początkiem bieżącego roku poczęło wychodzić w księgarni Herdera we Fryburgu nowe czasopismo, poświęcone dobroczynności chrześcijańskiej. Już w roku 1895 monachijskie walne zebranie katolików niemieckich, uznając potrzebę ściślejszej organizacyi katolickich instytucyj i publikacyj dobroczynnych, witało ze szczerą radością podówczas dopiero pojawić się mający miesięcznik. Do chóru głosów życzliwych przyłączyły się kolejno liczne stowarzyszenia a cały episkopat w obrębie Niemiec, skoro tylko wydawnictwo przyszło do skutku, udzielił mu swego błogosławieństwa; co więcej, wielu z biskupów naznaczyło nawet w swoich dyecezyach stałych referentów, którzyby sprawozdaniami z dziedziny miłosierdzia w poszczególnych dyecezyach czasopismo to zasilali.

Program, jaki wytknęła sobie redakcyja, jest nader obszerny i rozległy. Obejmuje on wszystko, co obejmuje miłość chrześcijańska w cierpiącej ludzkości, wszystko, co się łączy i wiąże z dobroczynnością chrześcijańską, tak pod względem teoretycznym, jak praktycznym. W szczególności było zamiarem wydawców zaznajamiać regularnie szerszą publiczność z działalnością miłosierdzia w katolickich Niemczech, nie pomijając przy tem działalności protestantów i dobroczynności publicznej; nadto zcentralizować wszystkie prace i usiłowania na polu dobroczynności chrześcijańskiej, a tem samem spowodować ściślejszą organizacyę, a przez uwidocznienie skutków i dawanie praktycznych wskazówek wywołać ruch żywotniejszy w dziedzinie miłosierdzia.

Oto najgłówniejsze punkta z programu, czyniące zadość naglącej istotnie potrzebie, głośniejszej bowiem popularności i ściślejszej organizacyi na polu miłosierdzia potrzeba było katolikom niemieckim. Nie idzie tu oczywiście o jakąś chępliwą popularność, która tylko szuka rozgłosu i rozplywa się w woniach kadzideł, ale o rzetelną i prawdziwą popularność, co oparta na istotnych zasługach, toruje drogę do dalszych ulepszeń i skuteczniejszej pracy. A na tej właśnie popularności w porównaniu z protestantami zbywało dotąd katolikom w Niemczech.

Rozpatrując się w leżących przed nami zeszytach, widzimy, że redakcyja program swój przeprowadza z wielką starannością. Wiele

miejsca zajmują przeglądy i spisy katolickich instytucyj dobroczynnych w poszczególnych dyecezyach i większych miastach. Wyszczególnia się pod tym względem archidyecezya kolońska, która liczy katolickich instytucyj i dobroczynnych stowarzyszeń aż 1184; wszystkie powstały przeważnie w ostatnich 50 latach. Z miast stosunkowo najwięcej instytucyj dobroczynnych liczy Monachium, bo aż 323; z tych 187 wyłącznie katolickich. Cenny ten materyał statystyczny bardzo się kiedyś przyda przyszłemu historykowi miłosierdzia chrześcijańskiego w Niemczech, a i dziś już pożytek z niego nie mały, choćby tylko dlatego, że czytająca publiczność informuje się, gdzie można korzystnie umieścić opuszczonych i cierpiących. Z pośród instytucyj katolickich zasługuje na uwagę związek świeżo założony przez kanonika Wörnhör'a w Monachium. Stowarzyszenie to, z pań przedewszystkiem złożone, a na szerokie pomyslane rozmiary, zamierza rozciągnąć swą opiekę na dziewczęta, rzucone w świat i pozbawione chwilowo miejsca. Posiada ono tę cechę charakterystyczną, że, podczas kiedy inne podobne związki opiekują się głównie sługami i swój zakres działania ograniczają przeważnie do stałych miejscowości, związek wspomniany zajmuje się wszystkimi dziewczętami, poczynawszy od sług aż do guwernantek i artystek i to nie tylko w kraju, ale o ile możliwości i poza granicami Niemiec.

Krom materyałów statystycznych zasługują na uwagę w każdym prawie numerze pisma napotykanе wspomnienia biograficzne o głośniejszych na polu miłosierdzia chrześcijańskiego osobistościach pod napisem *Männer und Frauen der Charitas*, oraz krótkie wspomnienia historyczne z dziejów zakonów, poświęconych pracy około cierpiącej ludzkości. Są to jakby wiązanki wonnych kwiatów z dziedziny miłosierdzia chrześcijańskiego, które dodają piśmu dużo nie tylko różnaitości, ale też głębszego uroku i wdzięku. Bardzo piękne są między innemi wspomnienia pewnego kapłana z czasów pamiętnej cholery w Hamburgu. Wspomnienia pełne ponurej grozy i dramatyczności, a na tle tem ponurem odbijają promiennie prace pełne ofiarności i heroicznego poświęcenia Sióstr Miłosierdzia, do których senat miasta w nagrodę zasług i poświęcenia uroczyste wystosował podziękowanie.

Ala przejdźmy już do drugiego punktu programu. Jak już powyżej wspomniałem, *Charitas* postawiła sobie nadto za zadanie umieszczać w swoich łamach prace, odnoszące się do teoretycznej strony dobroczynności, aby przez to wlać nowy strumień życia w stygnącą może już działalność niejednego stowarzyszenia, nieliczącego się dosyć z potrzebami czasu i postępami nauki, i w tem jest może największa do-

niosłość i zasługa tego czasopisma. Mnóstwo tu cennych i gruntownych prac o tak zwanych kwestyach piekących z dziedziny dobroczynności, wielkie bogactwo praktycznych rad i wskazówek, które już przeszły niejedną próbę ogniową. Wszystkie te prace i rady i wskazówki pochodzą od mężów na polu dobroczynności chlubnie znanych z wyrobionego pióra, gruntownej nauki i niemniejszego doświadczenia. Na wyszczególnienie zasługują prace prof. dr a Hitzego, jak np. artykuł pod napisem *Organisation der cath. Charitas*, w którym zaszczytnie znany socyolog, uznając konieczną potrzebę pewnej organizacyi w dziedzinie dobroczynności chrześcijańskiej, roztacza przed czytelnikiem szeroko pomyślany i gruntownie z praktyczną drobiazgowością opracowany plan, jak należy uregulować i w pewne prawidłowe karby ująć działalność dobroczynności katolickiej, aby jałmużna chrześcijańska i katolickie zakłady dobroczynne, nie rozpraszając nadaremnie swoich sił i środków, zwracały się wyłącznie tylko ku prawdziwie potrzebującym i rzeczywistą a nie urojoną tylko pomoc przynosiły nędzy społecznej. Ogniskiem centralnem do którego, zdaniem d-ra Hitze'go, winien się odnosić wszelki ruch dobroczynny w pewnej okolicy, ma być biuro dyecyzyalne, duszą zaś biura mianowany w tym celu komisarz biskupi. Komisarz ten powinien zwoływać wspólne zebrania, złożone z reprezentantów poszczególnych zakładów, wizytować zakłady, przyjmować do wiadomości roczne ich sprawozdania oraz reprezentować dobroczynność katolicką na zewnątrz. Jednem słowem, prof. Hitze domaga się ścisłej centralizacyi, spoczywającej w rękach biskupa; myśl, którą zresztą wielu innych na polu dobroczynności zaszczytnie znanych autorów popiera.

Niemalęj praktycznej doniosłości są uwagi Brandts'a i d-ra Marxa dotyczące mieszkań robotniczych. W pierwszej pracy pod tytułem *Wohnungsnot u. Vincentiusvereine* uczony autor, wskazując na opłakany stan mieszkań roboczej ludności miast, zwraca się przedewszystkiem do towarzystwa św. Wincentego, aby zebrało statystyczny materyał w tym kierunku, celem przedłożenia go odnośnym władzom i szerszej publiczności. W tym celu podaje praktyczny kwestyonarz, który badania na tem polu znacznie ułatwi; trzeba go tylko wypełnić. W drugiej pracy pod tytułem *Kleine Mittel zur Verbesserung der Armenwohnungen* praktyczny lekarz z zawodu udziela praktycznych wskazówek, jakby można tanim kosztem niejedną uciążliwą dla zdrowotności niedogodność usunąć z mieszkań robotników lub ją poprawić. W sprawie opieki nad dziećmi moralnie zaniedbanemi i opuszczonemi oraz o pracy ręcznej

chłopców w zakładach poprawczych podaje cenne uwagi radzca Schmedling. Z pod pióra tegoż autora wyszedł inny artykuł, bardzo praktyczny pod napisem: *Wie kann das Vermögen von Wohltätigkeitsanstalten am besten sicher gestellt werden*. Szkoda tylko, że obie prace są oparte wyłącznie tylko na ustawach, obowiązujących Rzeszę niemiecką, przeto dla innych państw mniejsze tylko mogą mieć znaczenie.

Każdy zeszyt dopełniają luźne wiadomości z dziedziny dobroczynności oraz kwestyonaryusz, w którym na każde ważniejsze pytanie czy wątpliwość znajdzie czytelnik fachową i wyczerpującą odpowiedź. Po tem, cośmy dotąd powiedzieli, dodawać nie potrzeba, że *Charitas* świetnie się wywiązuje z swego zadania.

Ruch, zmierzający ku naprawie bied i stosunków społecznych—choć w stosunku do potrzeb nieznaczny jeszcze i praktycznych swych zadań nie całkiem dotąd świadomy — istnieje już jednak u nas, w ostatnich nawet czasach wznaga się nieco; ludzie, na jego czele stojący, widzą coraz wyraźniej, że ruch ten trzeba ciągle rozbudzać i ożywiać, kierować nim umiejętnie a przedewszystkiem zwracać ku praktycznym i łatwo pochwytym celom. Takie pisma jak *Charitas* niezmiernie mogą być pomocne w tego rodzaju usiłowaniach.

L. L.



IDEA NIEŚMIERTELNOŚCI

NA ŁOŻU PROKRUSTA.

W ostatnich latach za Francją także i Europa obchodziła stuletnią rocznicę wielkiej rewolucyi, kolejnem odgrzebywaniem wspomnień z tej wielkiej doby dziejowej. W porządku chronologicznym odświeżano w pamięci dzisiejszego pokolenia ważniejsze epizody i zawsze pamiętano o tem, aby te reminiscen-cye w świetle krytycznem schyłkowej fazy bieżącego stulecia nie stanowiły tylko suchej rekapitulacyi wypadków historycznych, obliczonej na proste zaspokojenie ciekawości czytelnika, lecz służyły w jakiej takiej mierze tym wielkim celom pouczającym, jakie sobie historia jako *magistra vitae* zakresła.

W tych jubileuszowych wspomnieniach główną rolę odgrywały oczywiście wypadki najważniejsze, które w swoim czasie wstrząsały do głębi społeczeństwem francuskim a potężnym odgłosem poruszały także i całą Europę. Godne odświeżenia w pamięci dzisiejszego pokolenia są jednak także i epizody, które wobec pierwszych wydawać się mogą mniej ważnemi, ale mimo to w charakterystyce czasów i prądów ówczesnych stanowią szczegóły wybitne a o ile potracając o kwestye ogólnego znaczenia w sferze życia duchowego zasługują nawet na trwałe zapisanie w historii rozwoju i postępu cywilizacyjnego. Jeden z takich epizodów przypomina się obecnie. Sto lat bowiem upływa od pamiętnej na wniosek Robespierre'a powziętej uchwały

konwentu francuskiego, którą uroczyście i po wszelkiej formie uznano potrzebę kultu „najwyższej istoty“ i nieśmiertelności duszy. Była to uchwała powzięta nie w sposób akademicki, w rodzaju tych t. zw. monologów ustawodawczych, któremi przepełniona jest francuska deklaracya o prawach człowieka, które powtarzają się także i w nowoczesnych zasadniczych ustawach konstytucyjnych, lecz dla celów praktycznych i ze szczegółami praktycznego wykonania. Zaraz bowiem po powzięciu tej uchwały urządzono według przepisanej ceremoniału uroczystą adoracyę tej „najwyższej istoty“, a w obchodzie sam Robespierre przybrał pozę, którą dziś możnaby nazwać pajacką, która jednak wówczas sprawiała sensacyę i posłużyła skrytym przeciwnikom dyktatora za silny pretekst do zarzutu, że przywłaszcza sobie jakąś rolę arcykapłańską i dąży do przywrócenia na pozór już zupełnie zniszczonej powagi Kościoła katolickiego.

Dziwaczną, nawet wprost niepojętą wydać się dziś musi na pierwszy rzut oka uchwała podobna, powzięta w ciele reprezentacyjnem, które z prawdziwą furją rewolucyjną przystąpiło od razu do zagłady wszystkich urządzeń istniejących a przede-wszystkiem Kościoła i sług jego, jakby wyprzedzając dzisiejszych anarchistów francuskich działało pod ich hasłem: *le bon Dieu a fait son temps, en voilà assez!* Mogło to hasło powstać już w czasie wielkiej rewolucyi, ale nie na tle takim, jak za naszych czasów. Dzisiejsza bowiem detronizacya Boga, a właściwie wyparcie się Boga w hasle powyższem, stanowi zimny postulat tego brutalnego materyalizmu, który chciałby przykuć człowieka do ziemi i oślepić wobec wszelkich promieni ideałów, a właściwie zamknąć go w ciemnej norze swojej nauki i wmówić w niego, że zgasło już raz na zawsze to słońce wiary, które go dotąd oblewało promieniami ideałów. Inaczej wygląda ateizm Francyi przedrewolucyjnej i rewolucyjnej. Jeżeli w okresie przedrewolucyjnym był on, jak twierdzi Taine, więcej dziełem mody, niż wyrazem panujących poglądów i przekonań, to o ateizmie owych czasów, kiedy wydana została powyżej wspomniana deklaracya konwentu, możnaby powiedzieć, że był więcej dziełem szalu, ekstazy rewolucyjnej, aniżeli wyrafinowaną tezę tego po-

ziomego materyalizmu, który w strukturze masy mózgowej i tkalinie nerwowej znajduje objaśnienie całego życia psychicznego, o nieśmiertelnej duszy jako naiwnej fikcyi dawnych czasów i słyszeć nie chce, a człowiekowi każe pogodzić się raz na zawsze z rolą — mówiąc słowem jednego z jego propagatorów — „atomu nieskończenie drobnego w oceanie wszechżycia“. Jakżeż bowiem inaczej możnaby zrozumieć i wytłumaczyć to lekceważenie życia w rewolucyjnem społeczeństwie francuskiem, lekceważenie niebywale, dla dzisiejszego pokolenia wprost niepojęte. W tych licznych szeregach, które kładły głowy pod nóż gilotyny, groza śmierci w końcu już prawie nie wywierała wrażenia, którego nie zdołałby zażegnać nawet szal rewolucyjny, jeżeliby wszystkie ofiary gilotyny przejęte były przekonaniem, że śmierć znaczy zupełne unicestwienie człowieka, że z chwilą stoczenia się głowy odciętej do kosza człowiek-atom zgubił się już zupełnie w oceanie wszechżycia. Kiedy się zaś czyta szczegóły głośniejszych egzekucyj rewolucyjnych np. Żyryndystów, niepodobna nawet oprzeć się przekonaniu, że uroczysta deklaracya konwentu w sprawie nieśmiertelności duszy była tylko wyrazem tego, w co po sprofanowaniu Kościoła a raczej mimo tego sprofanowania społeczeństwo niejako instynktownie wierzyć nie przedstawiało. W szale rewolucyjnym mniemało ono, że sprowadziło swojemi deklaracyami praw ludzkich królestwo Boże na ziemię i już więcej Boga w kościele szukać nie potrzebuje. Ale dostojęstwa duchowego w człowieku szal rewolucyjny wcale nie poniżył. Koryfeusze rewolucyjni działali owszem w tem przekonaniu, że burząc dawny porządek wyzwalają tylko człowieka z więzów i przesądów poniżających go dotąd, że stawiają go teraz wobec całego świata na wyższym piedestalu. Nigdy nie dokazałoby było społeczeństwo francuskie tego, co z wielkiej zawieruchy rewolucyjnej pozostało trwale w rachunku cywilizacyjnym ludzkości, jeżeliby ludzie ówczesni, tak kierujący losami społeczeństwa jak i ogół współdziałający, przykładali byli do swoich planów i aspiracyj miarę czysto materyalistyczną.

Jeżeli z tego stanowiska zapatrywać się będziemy na przytoczoną na wstępie uchwałę konwentu francuskiego, to nie zdziwi

nas to wcale, że przeszła ona gładko, nawet bez opozycji. Pozostała zatem wiara w nieśmiertelność duszy nawet wśród tak wyjątkowych stosunków i dla społeczeństwa tak wyjątkowo wzburzonego przeciw dotychczasowemu porządkowi rzeczy tem, czem była dla ludzkości po wszystkie czasy, potrzebą duchową, o której zapomnieć niepodobna.

* * *

Mimo to jednak próby zaścianienia idei nieśmiertelności powtarzają się ustawicznie, odkąd duch ludzki zaczął dociekać tajników życia i świata. Jakby siłą demoniczną party odwraca się od wieczystego źródła tej idei, wiary, i bez jej światła rzuca się w niezmierzoną otechłań tych tajników. Tak samo godzi człowiek i w swoje życie fizyczne, chociaż wzrósł w świadomości, że jest to najwyższe dobro ziemskie a sam instynkt na każdym kroku strzedz mu każe tego dobra. Samobójstwo fizyczne i unicestwienie duchowe przez wmawianie w siebie, że się jest tylko „atomem nieskończenie drobnym w oceanie wszechżycia“, stanowią pokrewne sobie dzieła tej siły demonicznej.

Według pierwotnej przechwałki pozytywizmu mielibyśmy dziś znajdować się w trzeciej, najwyższej fazie cywilizacyjnej, w fazie promiennego rozjaśnienia przez wiedzę wszystkich tych zagadnień najwyższych, które ludzkości wrzekomo nierozwiązanymi przekazały obie poprzednie fazy cywilizacyjne: teologiczna i metafizyczna. Jak wygląda to rozjaśnienie, na to odpowiedź daje — żeby poprzestać tutaj na jak najzwężlejszem przedstawieniu rzeczy — ów tak liczny dziś a nadto z każdym dniem wzrastający odłam tych wiernych do niedawna adherentów panującego prądu, który ogląda się za wyjściem z sytuacji nieznosnej, zwraca się ku wzgardzonym ideałom, szuka niejako drogi honorowego odwrotu na silny grunt wiary. Jeden z pierwszych propagatorów tego zwrotu M. E. Vogüé najlepiej scharakteryzował (w rozprawie: *Les Vicognes*) jego pobudki. Duch ludzki w więzach pozytywizmu uczuł „niemoc niewypowiedzianą“ (*malaise indicible*) i „próżnię nieskończoną“ (*vide immense*). „Człowiek — oto główne zdanie tej charakterystyki — zmniejszył się

w własnych oczach. Nasza choroba polega na tem, że się dziś mniej czujemy ludźmi, aniżeli przed sześćdziesięciu laty. W owej wszechmocy a zarazem i niemocy wiedzy cały świat rozkłada się dokoła. Jest to jawny protest ducha nieśmiertelnego, który rwać się do Boga nigdy nie przestanie a człowiekowi, chociażby sam chciał się zdegradować na „atom nieskończenie drobny w oceanie wszechżycia“ nie pozwoli wyzuć się z tego dostojęstwa wbrew przeznaczeniu z woli boskiej otrzymanemu.

Jeden z tych tak dziś już licznych a ciągle mnożących się zwrotów ku zamglonym ideałom i wieczystym prawdom zasługuje na podniesienie jako uwagi godny nietyle dla doniosłości naukowej, gdyż rozprawa trzymana jest w tonie prawie popularnym, jak raczej ze względu na swoje znaczenie symptomatyczne i na stanowisko, z którego autor, O. Hartwich, traktuje ideę nieśmiertelności. Stawia on ją już w samym tytule „w świetle nowoczesnej umiejętności“ (*Die Unsterblichkeit im Lichte der modernen Wissenschaft*), więc na tym samym gruncie, z którego paść miały na nią ciosy wrzekomo zabójcze, a mimo to dochodzi do afirmacyi otwartej. Czy ta afirmacya jest wystarczającą, czy to „światło nowoczesnej umiejętności“ zastąpiło autorowi inne światło, w którego blasku nieśmiertelność duszy jaśnieje i jaśnieć nie przestanie jak gwiazda przewodnia ludzkości w całym jej pochodzie cywilizacyjnym, to inna kwestya, to się pokaże dopiero po poznaniu argumentów naszego autora. Mimoходом zaznaczamy tutaj ten szczegół, że autor, jako pastor w Bremen-Walle, już ze swojego stanowiska publicznego bliższym był tego drugiego światła, ale snąć przejęty jest do głębi tą misją rozjemczą, jaką protestantyzm zawsze sobie rościł i rości w rozterce między wiarą a dalekiemi aspiracyami wiedzy. I z tego więc jeszcze powodu ciekawym a w każdym razie, charakterystycznym jest ten głos, że stanowi niejako próbkę tej pastorsko-filozoficznej literatury, która w ostatnich czasach wydała wiele ciekawych utworów, nieraz tak odbiegających od ducha pierwotnego protestantyzmu na tem polu, że jego koryfeusze dawni możeby nie poznali już swoich epigonów.

*

*

*

Na wstępie charakteryzuje O. Hartwich bliżej owo światło, w którym czytelnikowi ideę nieśmiertelności przedstawić zamierza. Nowoczesny kierunek umiejętności polega na tem, aby rzeczy i zdarzenia brane były w rachubę tylko w ten sposób, jak one się przedstawiają. Świat i życie ziemskie mogą być badane tylko za pomocą analizy i doświadczenia. Wprawdzie analityczne i doświadczalne obserwacye mają kres a o tem, co leży poza tym obszarem poznania, można tylko wnioski wysnuwać, ale wnioski te muszą z jednej strony zostawać bezwarunkowo w zgodności z podstawą w drodze doświadczalnej zdobytą, a z drugiej strony nie powinny być przedstawiane jako prawdy niewzruszone, lecz jako prawdopodobieństwa, umiejętnie sformułowane. Kierunek ten jest dziś na każdym polu zwycięski, dzięki zasobowi technicznych środków pomocniczych, któremi metoda analityczno-empiryczna rozporządzać może. Mimo to autor nasz nie dziwi się temu, że szerokie koła zachowują się sceptycznie wobec nowoczesnej umiejętności. Ludzkość bowiem od tysięcy lat przywykła patrzeć na świat i życie w świetle teologicznej i filoficznej spekulacyi. W poglądach swoich na powstanie, istotę i cel wszechświata polegano na religijnej lub filozoficznej powadze i poprzestawano na tem, jeżeli zdarzenia codziennego życia dały się pomieścić w ramach uznawanego poglądu. Rzecz naturalna, że przytem marzycielstwo miało szerokie pole. Człowiek, mówi Hartwich, mógł się uważać za koronę stworzenia całego, a jako władca ziemi za punkt środkowy całego wszechświata. Słońce, księżyc i gwiazdy zdawały się istnieć tylko dla człowieka a nawet bóstwo nie mogło być wyższe, aniżeli je sobie człowiek przedstawić zdołał. Pełen dumy mienił się on nietylko obrazem Boga, lecz wprost ubóstwiał siebie. Wśród takich wyobrażeń jawi się nowoczesny kierunek umiejętności i obudza człowieka z tych pięknych snów, przedstawiając mu, że właściwie jest tylko pasożytem ziemskim, że jego ziemia jest tylko pyłkiem w wielkim wszechświecie i że bóstwo, którego istotę wrzekomo już znał dokładnie, z każdym dniem staje przed jego duchem z majestatem coraz wyższym i coraz trudniejszym do poznania. Dzięki nowoczesnej umiejętności człowiek spada z wyżyn nie-

bieskich i nagle zadowolić się musi skromną rolą, należącą mu się w niezmierzonym i niezbadanym wszechświecie. Trudno mu pogodzić się z tą rolą.

Szanownemu autorowi-pastorowi śnać także trudno pogodzić się z tą konsekwencją nowoczesnej umiejętności, gdyż zaraz potem mówi: Ponieważ jednak nie chodzi tutaj ostatecznie o zmianę w ludzkiej świadomości, a nie o zmianę w ludzkim bycie, przeto człowiek może i rychło pogodziłby się ze swoją nową rolą, gdyby nie obawiał się tego, że nowoczesna umiejętność rzuca go bezwarunkowo w objęcia materyalizmu, zmienia go całkowicie w pasożyta ziemi i niszczy jego nierozzerwalną łączność ze światem, leżącym poza sferą ziemskiego bytu. Innemi słowy wyraża autor skrupuł powyższy w sposób następujący: Jak wielka chrześcijańska idea nieśmiertelności duszy i wieczności czyni człowieka zdolnym do cierpliwego dźwigania w życiu ciężaru zadań i obowiązków, trudów i rozczarowań, tak znowu na ową myśl, że może jest tylko drobnym pyłkiem w podściółce cywilizacyjnej ludzkości, wzdryga się i zasłania sobie oczy i uszy, aby nie zachwiać w sobie nadziei nadziemskiego życia. Z tego powodu w oczach autora kwestya, czy nowoczesna umiejętność może dowieść nieśmiertelności duszy ludzkiej, jest nietylko zajmującą ze stanowiska naukowego, lecz nadto doniosłą pod względem historyczno-cywilizacyjnym.

Więc nie chodzi autorowi o stanowisko religijne i wszystkie te najwyższe wzgledy, które się z niem łączą. Żeby w tej mierze nie było już najmniejszej wątpliwości, nasz autor-pastor imieniem „wykształconego“ czytelnika zadaje sobie pytanie, w jakim sensie jest tutaj mowa o nieśmiertelności, skoro teologiczne i filozoficzne spekulacye nie zgodziły się dotąd na jedno jej pojęcie? Na pytanie to autor „musi — tak sam zapewnia — odpowiedzieć w myśl zasady nowoczesnej umiejętności przede wszystkim wzruszeniem ramion“. Ponieważ w ten sposób odpowiada się tylko na pytanie niedorzeczne lub co najmniej naiwne, więc owemu „wykształconemu“ czytelnikowi dostał się — mówiąc mimochodem — komplement, zniechęcający do nagabywania autora dalszemi pytaniami. Zresztą „wykształcony“ czytelnik nie po-

trzeba nawet dalej pytań stawiać, zwłaszcza co do owego wzruszenia ramion, gdyż bez pytania otrzymuje od autora objaśnienie, wykazujące mu *ad oculos* jego naiwność. Ścisła, tj. nowoczesna umiejętność — tak opiewa to objaśnienie — nie stawia najpierw rezultatu, do którego rachunek miałby być dopiero dorobiony, nie zaczyna od rezultatu, lecz zamyka zwykle nim swoją pracę. Szuka ona prawdy, a do jakiej prawdy dotrze przy końcu swoich badań, tego naprzód nie wie. Wobec niejednolitego sformułowania pojęcia nieśmiertelności przez teologów i filozofów autor widzi się zniewolonym zakreslić swojemu tematowi ścisłejsze ramy, zamykając go w pytaniu: Do jakiego stopnia jest nowoczesna umiejętność w stanie dowieść nieśmiertelności człowieka?

Właściwie już nietylko „wykształcony“, jak przedtem, lecz wogóle każdy ciekawy czytelnik mógłby zapytać teraz autora, dlaczego aż zniewolonym się widzi do takiego ścieśnienia swojego tematu, dlaczego mianowicie samą nieśmiertelność wogóle przyjmuje bez względu na różnorodność pojęć, w tej mierze istniejących, za kwestyę już rozstrzygniętą, niewymagającą dalszego rozbioru, lecz tylko dowodów? Ale po tym fatalnym komplemencie, który dostał się poprzednio „wykształconemu“ czytelnikowi za pytanie daleko więcej uzasadnione, niż to ostatnie, nie trzeba już narażać się na ponowne „wzruszenie ramion w myśl zasady nowoczesnej umiejętności“. Dajmy więc autorowi głos i nie przerywajmy jego wywodów żadnemi pytaniami, ale zastrzeżmy się przytem, że potem, gdy on sam skończy, wolno nam będzie już nietylko stawiać pytania, lecz nawet wystąpić z pewnemi uwagami.

Żeby w szukaniu dowodów nieśmiertelności duszy oprzeć się na realnej podstawie, autor obiera sobie za punkt wyjścia nie zawiłe pytanie, co to jest dusza, lecz bliższe duchowi jego wywodów i prędzej do celu wiodące pytanie, co to jest ciało, albo raczej, jakie funkcyje według empirycznie zebranych dowodów pochodzą z ustroju ciała. Wskutek tego od razu można się rozprawić z głównem zagadnieniem materjalizmu co do traktowania psychicznych objawów jako funkcyi samego tylko

mózgu. Od ścisłej odpowiedzi na powyższe pytanie zależy objaśnienie stosunku duszy do ciała, a w dalszej konsekwencji także i objaśnienie kwestyi nieśmiertelności duszy.

Nowoczesna umiejętność utrzymuje, że ciało ludzkie odpowiada zupełnie zwierzęcemu w najwyższym stopniu jego organizacyi. Powstaje zatem ta alternatywa, że różnica między człowiekiem a zwierzęciem polega na wyższym rozwoju organizmu zwierzęcego, albo na istnieniu odrębnego życia duchowego, które w takim razie musi być wykazane jako samodzielne i odmienne widocznie od najwyżej zorganizowanego życia cielesnego. Ponieważ tak pierwsza ewentualność, która wiedzie do zrównania człowieka z małpą, jak i druga wydaje się autorowi jednakową dowolnością, przeto wybiera inną drogę, aby, jak mówi, dojść na niej do samodzielnych rezultatów.

Funkcye systemu nerwowego w organizmie zwierzęcym, tak świadome jak i nieświadome, służą dwom celom, w których zamyka się niejako sfera życia zwierzęcego, mianowicie celowi samozachowawczemu i rozmnażaniu się. Świadome czynności zwierzęcia, nazywane instynktownemi, stanowią najwyższy szczebel, na który wznosić się może działanie jego systemu nerwowego. W obrębie świadomych funkcyj systemu nerwowego zwierzę spostrzega, co się w otaczającym je świecie zewnętrznym dzieje i działa za swojemi popędami. Funkcye instynktu występują tedy w kierunku recepcyjnym, czyli spostrzegawczym, i czynnym, czyli niejako twórczym. W jakim stopniu zwierzę posiada świadomość tego podwójnego celu instynktu? Że do świadomości zwierzęcia dochodzą jego spostrzeżenia, to wykazuje obserwacya, gdyż zwierzę zawsze zachowaniem swoim okazuje, jakie wrażenie wywołało na niem pewne spostrzeżenie, przyjemne lub nieprzyjemne. Zmysły są w tej mierze dla niego przewodnikiem tak samo, jak u człowieka. Podobnie rzecz się ma ze świadomością zwierzęcia wobec czynnych funkcyj instynktu. W razie natrafienia na przeszkody w zaspokojeniu popędów, zwierzę objawia swoje niezadowolenie na zewnątrz w sposób widoczny, a tak samo także daje wyraz swojemu zadowoleniu, gdy po usunięciu tych przeszkód nastąpiło zaspokojenie popędów.

Zmysłowe uczucie stanowi dyrektywę dla funkcji zwierzęcego systemu nerwowego, w niem wyczerpuje się cała świadomość. Nawet w wypadkach tak słusznie podziwianej zmyślności i zręczności, jaką w pewnych działaniach zwierzęcych widzimy, np. przy budowie siedlisk, gniazd i t. d., przez bobry, bociany, lisy i t. d. nie wchodzi w grę zastanawianie się i obmyślanie a następnie świadome wyrażanie woli w pewnym kierunku. I w takich razach zwierzę postępuje w sposób wiadomy dlatego, że tak postępować musi, że je prze do tego naturalna konieczność. Ta niezdolność indywiduum ze świata zwierzęcego do wyjścia poza ramy, określone działaniu całego rodzaju, doprowadza bezwarunkowo do wniosku, że w instynkcie poza zmysłowym uczuciem niema wyższej świadomości. Pokazuje się to także i na działaniu ludzi, którzy w zaspakajaniu popędów idą niewolniczo za wskazówkami zmysłowych uczuć i zasługują przez to na nazwę „ludzi instynktowych“.

Że zwierzęta okazują pamięć i z niej czerpią wskazówki, to nie wchodzi w kolizję z powyższem określeniem istoty instynktu. W objaśnieniu tego szczegółu idzie Hartwich za fizyologiczno-psychologicznemi wskazówkami Wundta. Jakkolwiek każdy akt zmysłowego uczucia jest przemijający, to jednak zostawia on w mózgu ślad po sobie, przemianę mechanicznych własności substancji nerwowej, która trwa tem dłużej, im silniejsze było podrażnienie. Im częściej zachodzą takie podrażnienia i im dłużej one trwają, tem łatwiej wywołane zostaje uczucie, które pierwotnie wywiązywało się tylko z bardzo silnego podrażnienia. Wtedy wystarcza już mały powód zewnętrzny niejako do odświeżenia pamięci. Na tem polega siła przyzwyczajenia i tresura; stąd wynika, że zwierzę z czasem nabywa w zakresie zmysłowym zdolności do wyobrażeń i pożądań. To też już na sam widok przedmiotu, który przedtem sprawiał jakieś uczucie nieprzyjemne, zwierzę postępuje tak, jak w chwili, gdy uczucia takiego przedtem rzeczywiście doznało. I ta jednak zdolność zwierzęcia nie sięga poza ramy, w których zamknięta jest cała sfera jego uczuć zmysłowych. W tym zakresie można jeszcze mówić i o zdolności zwierzęcia do pewnego wniosko-

wania. Jeżeli np. pies widzi, że pan jego sięga ręką tam, gdzie zawsze stoi laska, której razy nieraz boleśnie dały mu się we znaki, to na sam widok tego ruchu ręki głosem i całą postawą objawia taki lęk, jak gdyby już padały nań ciosy bolesne. Jest to wnioskowanie czysto instynktowe, kierowane nie kombinacją zachodzących okoliczności w myśli, lecz tylko czysto zmysłowem uczuciem i dlatego tak często fałszywe, a mimo to zawsze w danych warunkach się powtarzające. Podobnie postępuje także człowiek w dzieciństwie, gdy tylko sam instynkt kieruje funkcjami jego systemu nerwowego. Dopiero w miarę rozbudzania się umysłowej zdolności dziecko umie poznawać warunki, pod jakimi wniosek, samym instynktem dyktowany, jest trafny.

Ponieważ uczucie zmysłowe wywiera w zwierzęciu odpowiedni wpływ na nerwy ruchu, a wrażenie doznane objawia się jednostajnie na zewnątrz w ruchach, głosie i t. p., przeto indywidua, należące do jednego rodzaju, z tych oznak zewnętrznych mogą poznawać swój stan nawzajem, niejako porozumiewać się między sobą mową instynktową. Oczywiście chodzi tutaj nie o porozumiewanie się z zamiarem, lecz tylko o stan faktyczny. Także i na człowieku spostrzegać można istnienie takiej mowy instynktowej i to nie na samem tylko niemowlęciu. Weźmy np. te wszystkie jednakowo powtarzające się gestykulacye i okrzyki, w których instynktownie wyraża się ból, zdziwienie, ubolewanie, wstręt, przerażenie i t. d. Okrzyki te wydawane są wprawdzie bez zamiaru porozumiewania się z innemi osobami, ale faktycznie umożliwiają takie porozumienie się na tle zmysłowego uczucia.

Po tem określeniu istoty instynktu na tle jednakowych w zwierzęcym i ludzkim organizmie funkcyj systemu nerwowego i po zaznaczeniu, że zmysłowe uczucia, wyobrażenia i pożądanja oraz ich konsekwencye nie stanowią najniższego szczebla ludzkiego życia duchowego, lecz są w organizmie ludzkim tak samo, jak w zwierzęcym, czysto cielesnemi, prawu śmiertelności podlegającymi funkcjami mózgu z celami wspólnymi obu organizmom, stawia Hartwich pytanie: czy materializm ma rację, przedstawiając także i duchowe funkcye człowieka jedynie jako funkcye mózgu? Już sam fakt, że instynkt w chwili przyjścia

człowieka na świat objawia się jako własność względnie skończona. Kiedy tymczasem duch wówczas jeszcze zupełnie uspioły rozwija się dopiero powoli w ciągu długich lat, rzuca cię na prawdopodobieństwo powyższego twierdzenia materyalistów. Wprawdzie duch w powolnem rozbudzaniu szuka najpierw oparcia na instynktownych spostrzeżeniach i popędach, jak dziecko, chwytające rękę matki w pierwszych krokach swoich, ale gdyby już z tego powodu ducha uważać należało tylko za instynkt udoskonalony, to takim samem prawem możnaby powój, wspinający się po dębie, nazwać pniem dębowym lub dziecię, stawiające pierwsze kroki u boku matki i trzymające się jej ręki, nazwać matką. Materyalizm mógłby utrzymać się ze swoim twierdzeniem dopiero wtedy, gdyby mógł dowieść, że między instynktem a duchem nie zachodzi żadna różnica pod względem własności istotnych. Zdawałoby się, że za tem przemawia ta okoliczność, iż zbożenia mózgowe odbijają się na duchowych funkcjach, a zatem zachodzi ścisły związek między mózgiem a duchem. Jak jednak ze związku tego możnaby wnosić, że duchowa akcja stanowi tylko funkcję mózgu, tak samo uzasadnionym byłby i wniosek odwrotny, że mózg jako źródło instynktu stanowi tylko organ dla funkcji ducha. Ponieważ jedno i drugie zdanie jest dowolne, przeto Hartwich zamierza kwestyę, które z nich jest trafne, rozwiązać „jedynie na podstawie wyższego, pod względem doświadczalnym uzasadnionego, rezultatu“.

Do tego zagadkowo określonego rezultatu zdąża autor w następujący sposób. W dziecku zaczyna się rozwój życia duchowego w chwili, gdy może poznawać i niejako krytyce poddawać warunki, pod jakimi wniosek instynktem dyktowany jest trafny. W tem stadyum rozwoju człowiek wychodzi już w spostrzeżeniach swoich poza ramy uczuć zmysłowych i zaczyna pojmować, jakie znaczenie mają dlań fakta i zdarzenia w świecie zewnętrznym spostrzegane. Jest to pierwszy jego krok w stopniowem wznoszeniu się ponad poziom zwierzęcy, pierwszy okres rozwojowy inteligencji. W drugim okresie człowiek już zdaje sobie sprawę ze swoich popędów i dąży do zastąpienia nieświadomie używanych oznak instynktowych przez świadome wyra-

żenia za pomocą gestów lub mowy. Wprawdzie te pierwsze oznaki, któreby nazwać można mową instynktową, nie zostają nigdy zupełnie wyrugowane, ale przewagę uzyskuje już mowa w znaczeniu duchowem. W tem drugim stadyum rozwojowem inteligencyi, gdy dziecko zdaje już sobie sprawę z popędów instynktowych i sposobu ich zaspokojenia, gdy mówiąc o głodzie, pragnieniu i t. d., żąda pokarmu lub wody, objawia się rozwój ustroju duchowego w drugim kierunku, mianowicie w kierunku woli. Drugie stadyum rozwojowe inteligencyi zbiega się zatem z pierwszym stadyum rozwojowem energii, która zupełnie jest odmienną od pożądania instynktowego. Jest to już wola inteligentna, więc własność, której żadne zwierzę nie posiada.

Mniej więcej w szóstym roku życia inteligencya dziecka rozwija się do tego stopnia, że nie potrzebuje już, jak przedtem impulsu instynktowego do dalszego rozwoju. Przy pomocy zmysłów może ona pojmować myśli obce np. nauczyciela w szkole. W tem stadyum inteligencya jest już zdolną do właściwych wniosków, rozumem kierowanych i tem się różniących od wniosków instynktowych, że stanowią niejako akta samodzielne, w celach swoich naprzód sięgające, a nie jak ostatnie, oparte na kombinacyi wstecz idącej. W wnioskach pierwszego rodzaju inteligencya okazuje siłę twórczą, gdyż dochodzi w nich od znanych prawdziwych założeń do nowych, nieznanых przedtem wyników (np. w nauce rachunków). W tem trzecim stadyum inteligencya zaczyna już rozumieć pojęcie przyszłości i w obrazach na tem tle kreślonych posiada niewyczerpany temat do wniosków w powyższem znaczeniu. Równocześnie wola, wstępując w nowy okres rozwoju, wypełnia te wnioski celami. Na pierwszym stopniu swojego rozwoju ograniczała się ona do żądania rzeczy istniejących, teraz zaś dąży do celów nowych, do rzeczy jeszcze nieistniejących, formułując z wniosków postanowienia. Ponieważ przytem nasuwają się różne drogi i środki, przeto człowiek wchodzi w to położenie, że musi powziąć decyzję. W ten sposób wola otrzymuje pewien kierunek, a ponieważ inteligencya za jej wpływem także w tym kierunku wnioski snuje, przeto powstają skłonności i afekta, a człowiek

w tej fazie życia psychicznego dąży do wyzwolenia się z pod władzy instynktu na rzecz świadomej dyrektywy umysłowej.

Wstępując potem w czwarty i ostatni okres rozwojowy, inteligencya ogarnia już wszystko, co się w sferze życia duchowego dzieje, w sposób badawczy i samodzielnie cele zakreślający. Człowiek słyszy wtedy jej upomnienie, aby poznawał siebie samego, zastanawiał się nad swoją istotą i swojemi celami. Wtedy także i wola wchodzi w ostatnią fazę rozwoju, a jej energia udoskonalona łączy się harmonijnie z inteligentną samowiedzą. Kiedy przedtem konstelacya stosunków wywierała nacisk przeważający przy powzięciu decyzji, to teraz rozum stawia idealne cele, a wola jest w stanie przewyciężyć tę konstelacyę. Za etycznymi wnioskami inteligencyi wola wznosi się na wyżynę etycznych postanowień, opanowuje niejako sytuacyę i w ten sposób otwiera człowiekowi pole, na którem on w swoim działaniu sam sobą dysponuje. Jest to okres, w którym rozwija się moralny charakter i obudza sumienie, stojące na straży moralnego działania w całym życiu.

Instynkt może być harmonii z duchowem życiem i wtedy zostaje nie tylko uszlachetniony w swoich funkcyjach, lecz nadto zyskuje na sile w tym uszlachetnionym kierunku, dzięki środkom, które rozum obmyśli, a wola wprowadzi w grę tak, aby służyły celom z góry ułożonym. Ale instynkt popaść może w rozterkę z duchem i wtedy najlepiej uwydatnia się różnica, zachodząca co do ich istoty. Taka rozterka zachodzi wtedy, gdy człowiek wyposażony wyższą siłą moralną bierze w karby swój charakter instynktowy w poszczególnych wypadkach zapanowania nad popędami. Widzimy to najlepiej na ludziach, którzy zatopieni w pracy umysłowej często zapominają nawet o jedzeniu, wogóle o najpilniejszych potrzebach, zresztą instynktownie się przypominających. Przewaga ducha w tej rozterce posuwa się aż do zanegowania głównych celów instynktu, do zupełnego stłumienia ich w abnegacyi, do zupełnego nawet zniszczenia w samobójstwie. Tak wysoko nie wznosi się pod tym względem żadne zwierzę, gdyż wrzekome samobójstwa zwierząt nie stanowią takiej świadomej negacyi instynktu, lecz są tylko skutkiem

jego zboczenia, złudzeń zmysłowych i t. p. Tak się rzecz ma np. z owym, tak często przytaczanym, przykładem wiernych psów, ginących z głodu na grobie pana. Jest to właśnie dobry przykład podobnego zboczenia. Nie każdy bowiem wierny pies ginie w ten sposób, lecz tylko taki, który w całym życiu tresurą przyzwyczajony został do tego wniosku instynktowego, iż tylko od swojego pana, a od kogo innego tylko za jego zezwoleniem oczekiwać powinien zaspokojenia głodu, pragnienia i t. p. Jeżeli ten pan umiera, to z nim ginie dla psa wiernego cały jego świat, a ponieważ nie jest w stanie poznać warunków, pod którymi wniosek instynktowy jest trafny lub błędny, przeto szuka tylko swojego pana i ginie nie mogąc go znaleźć.

Jeżeli więc duch stanowi taką siłę, że może zniweczyć instynkt wraz z jego tak potężnie działającymi celami naturalnymi, to w logicznym myśleniu nie może się ostać twierdzenie, jakoby duch był tylko udoskonalonym instynktem. W takim razie bowiem niweczyłby on sam siebie, a wtedy byłby to jedyny w świecie przykład, żeby siła jaka sama siebie niweczyła. Stoimy zatem wobec faktu, że życie duchowe istnieje odrębnie obok instynktowego. Łącznikiem między obiema sferami jest mózg ludzki, ale stosunek ducha i instynktu do tego łącznika jest zupełnie odmienny. Instynkt stanowi tylko funkcję mózgu, jest niejako jego sługą, kiedy natomiast duch jest panem mózgu, panem mogącym każdej chwili wydać nań wyrok zagłady. Dla ducha mózg jest tylko organem, narzędziem, za którego pomocą na zewnątrz działa. Im zdrowszy i szlachetniejszy jest ten organ, tem doskonalej może duch na zewnątrz się objawić. Tak samo i muzyk zawisłym jest w objawieniu swojego artyzmu od doskonałości instrumentu, którym się posługuje. W tem absolutnem panowaniu nad instynktem objawia się odrębna, istotna własność ducha, a w zdolności dowolnego zniweczenia instynktu jego nieśmiertelność. Z faktu samobójstwa wypływa, że w chwili, gdy ciało ginie, duch ginąć nie potrzebuje, a nawet nie może być zniweczony, jeżeli tego nie zdziała wyższa od niego siła. W każdym razie śmierć cielesna nie dotyka egzystencji ducha. „Oto jest granica — kończy Hartwich — do której nowoczesna umie-

jętność faktycznie dowodzić może nieśmiertelności ducha. Co poza tę granicę sięga, należy do sfery prawdopodobieństw, a czy tutaj przyłączyć się wypadnie do pojęć teologicznych, greckorzymskich, idealistycznych, pojęć Leibniza lub Spinozy o nieśmiertelności, to już każdemu do woli musi być pozostawione. Z punktu widzenia nowoczesnej umiejętności stanowczo tylko to stwierdzić można, że materyalizm zajął w kwestyi nieśmiertelności ducha stanowisko, które utrzymać się nie da. Jeżeli byśmy chcieli jeszcze postawić pytanie, jaką formę nieśmiertelności nowoczesna umiejętność uważa za prawdopodobną, to odpowiedź tak opiewałaby: Całe życie duchowe stanowi w oczach naszych potężny rozwój. Działanie ducha w granicach przestrzeni i czasu kończy się niewątpliwie, skoro zniszczony zostanie organ ducha, istniejący w granicach przestrzeni i czasu. Ale żeby na tem kończył się rozwój ducha, tego nie można przypuścić. Poza zmysłowo dostrzegalnym światem następuje według prawa prawdopodobieństwa logicznego drugi, na innych warunkach bytu oparty, osobisto-duchowy stopień rozwojowy, o którym skromny człowiek zapewne nie odważy się wydawać sądu, czy jest to już ostatni stopień rozwoju“.

* *

Wcale niespodziewanie odezwała się dopiero w ostatnim ustępie „skromność“, której śladu nawet nie spostrzegł czytelnik w całym ciągu rozprawy Hartwicha. Jej początek trzymany jest owszem w takim tonie, iż autor mógłby być raczej posądzony o rozmyślne wejście w kolizyę ze skromnością. Zapowiadał bowiem a przynajmniej tak wnosić można było ze słów jego, iż nowoczesna umiejętność może już uszczęśliwić ludzkość takim objaśnieniem kwestyi nieśmiertelności duszy, aby wreszcie znikły te wszystkie niepewności i domysły, które służą za wątek różnym poglądom filozoficznym. Brak skromności a przytem i nieogłędność przebijają już w tej zapowiedzi autora, że szlakiem empirycznym wyprowadzi czytelnika z mglistych poglądów filozoficznych na bity gościniec jasnych rezultatów. Dobrze to powiedział jeden z głębokich myślicieli, że kto w kwestyach tak

nieuchwytnych puszcza się na drogę empiryi, podobny jest do człowieka, który zapowiada, że idąc prostą drogą, dokąd go oczy wiodą, dotrze w końcu do punktu, w którym niebo styka się z ziemią. Hartwich nie szedł długo tą drogą i nie zmęczył czytelnika, który się puścił z nim na tę płonną wyprawę. Po bardzo krótkim bowiem pochodzie zatrzymał się i zostawił towarzysza swojego w niepewności dalszej drogi, co gorsza nad ciemną przepaścią, do której nie radzi mu się zapuszczać pod karą -- nieskromności. A przecież autorowi, jako pastrowi, tak łatwo było przeprowadzić czytelnika bez żadnego szwanku koło tej przepaści, gdyby się był sam nie odwrócił od tak mu blizkiej drogi, po której dotrzeć mógł do pojęcia idei nieśmiertelności, w tej olśniewającej aureoli, w jakiej ją prawda objawiona ludzkości na jej wieczyste uspokojenie i uszczęśliwienie postawiła.

W rozprawie Hartwicha widzimy ideę nieśmiertelności skurczoną i wtłoczoną w łożo Prokrusta, gdyż cały wywód dowodowy wyczerpuje się w samem zestawieniu ducha z instynktem i jedynie w wyniesieniu go ponad instynkt, jako wyższej władzy człowieka. Ton, w jakim autor na wstępie przemawiać zaczął, mógł wzbudzić mniemanie, że ludzkość odniesie korzyść przyjmując za pewnik ideę nieśmiertelności w świetle nowoczesnej umiejętności, gdyż światło to wprawdzie nie będzie tak olśniewające, w jakim ją przedstawia prawda objawiona, ale za to rezultat osiągnięty może być już uważany za niewzruszony i nie wystawiony na żadne dalsze ataki ze strony tej umiejętności. Tak początkowo brzmiała zapowiedź Hartwicha, jakgdyby otrzymał od nowoczesnej umiejętności mandat do wypowiedzenia ostatniego słowa o idei nieśmiertelności i postawienia czytelnika przed dylematem: *c'est à prendre ou à laisser!* Albo taka nieśmiertelność, albo żadna!

Przedewszystkiem wypada sprawdzić mandat Hartwicha do tej roli. Rezultat tego sprawdzenia nie może wypaść pomyślnie. Jakkolwiek bowiem we wstępnych wywodach a raczej aforyzmach swoich idzie w kierunku pozytywnym, a w przedstawieniu istoty i funkcji instynktu, zwłaszcza w określeniu roli, jaką w tym zakresie odgrywa ustrój nerwowy, obiera sobie za prze-

wodnika Wundta, to jednak w punkcie krytycznym wykonuje zwrot czy skok, w którym gaśnie owo światło nowoczesnej umiejętności, mające od początku do końca oblewać drogę do wytkniętego celu. Punkt krytyczny stanowi owa trudna do przebycia granica, czy, mówiąc słowami jednego z badaczy na tem polu (Joly'ego), przepaść, która oddziela funkcyje spełniane pod panowaniem i za rozkazem samego instynktu, wspólnego zwierzęciu i człowiekowi, od inteligencji, która działaniu ludzkiemu nadaje charakter rozumnego, do celów moralnych zastosowanego postępowania. O przepaści tej mówi Joly wprost, że „bezpośrednio nie może być wypełniona pozytywnymi badaniami ani w zakresie nauk przyrodniczych, ani w sferze psychologii“. Wundt także zatrzymuje się w swoim dziele o duszy ludzkiej i zwierzęcej z wielką rezerwą przed tą nieprzebytą granicą, którą stanowi różnica między mechanicznem kojarzeniem wyobrażeń u zwierzęcia a inteligencją ludzką. Skrajny materyalizm oczywiście nie podziela takiej rezerwy. Uważając duszę ludzką tylko za sumę fizyologicznych funkcyj, których organami są komórki mózgowe a podziwu godną budowę mózgu ludzkiego tylko za dokonane w ciągu nieskończonego szeregu wieków udoskonalenie budowy mózgu zwierzęcego, wielka współczesna powaga na tem polu (Haeckel w rozprawie o monizmie) przekazuje XX. stuleciu ostateczne rozjaśnienie wszystkich zagadek, które dziś jeszcze nie pozwalają objąć myślą całkowicie „Boga-przyrody“, lub, żeby użyć wyrażenia innego gorącego adepta materyalizmu w zakresie etyki (Koernera) „obejść się bez wszelkiej pomocy tak zwanych bogów“.

Jest to tylko dorywcze zaznaczenie tych wielkich zasadniczych różnic, jakie dotąd zachodzą w ścierających się ze sobą poglądach na stosunek zwierzęcia do człowieka w gradacyi stworzeń. Piszący to miał sposobność obszerniejszego omówienia tej sprawy w innej pracy („Prawo zwierząt“, Lwów 1895), więc poprzestać może tutaj na powyższych uwagach, tem więcej, że one wystarczają zupełnie na objaśnienie najsłabszej strony podjętej przez Hartwicha próby wrzekomego ustalenia idei nieśmiertelności „w świetle nowoczesnej umiejętności“. Nie wchodzi

bowiem nasz autor wcale na to pole, które niezawodnie najwięcej wymagałoby takiego oświecenia; nie chce tego przyznać, żeby owo światło miało okazać się złudnem lub przynajmniej niedostatecznem, lecz wprowadza w rozprawę rozum i wolę, jako widome znaki graniczne między instynktem zwierzęcym a inteligencją ludzką a raczej jako pomost, po którym przeprowadzić chce czytelnika z jednej dziedziny do drugiej. Jak *deus ex machina* staje więc przed czytelnikiem rozum a po nim wola, wcale nieoświecona promieniami nowoczesnej umiejętności, która przecież miałaby tutaj tak wiele do powiedzenia, zwłaszcza na drażliwy temat determinizmu. Może to tylko dowód nieznamomości rzeczy? Tego powiedzieć nie można o rozprawie Hartwicha, bo jakkolwiek autor traktuje rzecz w zwiezłych aforyzmach bez balastu cytatów, to zawsze rozprawa jego posiada wszelkie znamiona pracy pisarza, który temat swój przestudyował i chce go rozwinąć w sposób przystępny dla każdego tak, jak gdyby chodziło nie o dalsze badania i dociekania, lecz o treściwe przedstawienie już gotowych i sprawdzonych rezultatów, jak gdyby zamierzał w najlepszej wierze przekonać czytelnika swojego, że w myśl powyższej *sommacy* naukowej, powinien pożegnać się raz na zawsze z ponętniejszą wprawdzie w innem idealnem oświeceniu, ale za to nieustannie na ataki sceptycyzmu wystawioną nieśmiertelnością duszy, a przyjąć natomiast jako cenną rekompensatę taką skureczoną wprawdzie i zamgloną, ale za to już na silnej, pozytywnej podstawie raz na zawsze opartą ideę nieśmiertelności, jaką przedstawia omówiona rozprawa.

Po tem, cośmy powyżej powiedzieli o krzyżujących się poglądach dzisiejszych na stosunek człowieka do zwierzęcia, chyba już dodawać niepotrzeba, że Hartwich z tem swoim rozjemstwem w kwestyi nieśmiertelności duszy nie znajdzie uznania u tych przedstawicieli „nowoczesnej umiejętności“, którzy oczekują od niej już w XX. stuleciu takiego rozwiązania wieczystych zagadnień bytu, że wobec osiągniętego rezultatu raz na zawsze zamilknąć będą musiały wszelkie poglądy, potrzebujące „pomocy tak zwanych bogów“. A może autorowi-pastorowi przyklasną przynajmniej ci, którzy chcieliby na dwóch stołkach sie-

dzieć, przedewszystkiem zaś nie oddalać się zbyt daleko od promieni tego wielkiego światła prawd objawionych, w których obrębie oglądali dotąd tak jasno ideę nieśmiertelności duszy, a przytem kokietować także z „nowoczesną umiejętnością“, o której choć jej dobrze nie poznali a raczej właśnie dlatego, że jej dobrze nie poznali, mają to wyobrażenie, iż jest niepołączalna z wiarą i z tego powodu od swoich zwolenników absolutnie tego wymagać musi, aby z wiarą zerwali? Być może, że w tym obozie taka idea nieśmiertelności, rozciągnięta na łożu Prokrusta, znajdzie zrezygnowanych adherentów, ale w takim razie będzie ona musiała się zadowolić dziś już nielicznym a w dodatku za wpływem potęgującej się reakcyi przeciw pozytywizmowi coraz więcej przerzedzającym się orszakiem. Przerzedzać się on będzie jeszcze szybciej, jeżeli do tej reakcyi wypływającej z uczucia „niewymownej choroby“ i „niezmiernej próżni“ przyłączą się spory w samej głównej kwaterze Darwinizmu, rzucające cię nawet na niewzruszalność podstaw niektórych rezultatów w zakresie biologii, dotąd już za pewniki uznawanych (ob. np. rozprawę Gustawa Wolffa: *Der gegenwärtige Stand des Darwinismus*).

Jeżeli zaś Hartwich miał na myśli tylko uspokojenie mało-dusznych, popadających w zwątpienie, czy możliwem będzie nadal zachowanie w całości wszystkich tych skarbów duchowych, któremi wiara w prawdach objawionych ludzkość obdarzyła, bez walki z wzrastającą tak potężnie wiedzą i bez antagonizmu wobec jej usiłowań około dalszego wzbogacania swej skarbnicy, już dziś tak bogatej, że niedawne najśmielsze oczekiwania zostały prześcignione, to wybrał do tego celu drogę niewłaściwą. Skądinąd wydane zostało hasło nie do takiego kompromisu, jaki tak obfita w ostatnich czasach, szczególnie w zakresie etyki, pastorsko-filozoficzna literatura bieżąca usiłuje sprowadzić między „nowoczesną umiejętnością“ a owemi skarbami duchowemi wiary osłabiając zbyt śmiało hipotezy pierwszej a kureząc lub rozcieńczając pojęcia przez drugą ludzkości wszczepione, lecz do takiej umiejętnej syntezy, w której wiedza i wiara łączą się w dziele podniesienia i uszczęśliwienia ludzkości. Ze Stolicy Apo-

stolskiej, na której z zrządzenia boskiego właśnie w czasach tak trudnych zasiadł wielki mędrzec i filozof z powagą dziś już tak powszechnie uznaną nawet poza kołami katolickimi, wydane zostało takie hasło w jednej z tych licznych encyklik, które w historii papieństwa zapisane zostaną złotymi głoskami. Hasło to zachęca nie do odwracania się od zdumiewających zdobyczy wiedzy w zakresie nauk przyrodniczych, lecz owszem do wyzyskania ich w tym celu, aby złożyły się na wypełnienie wielkiego obrazu dzieła boskiego i na podniesienie jego blasku w oczach ludzkich, zachęca, krótko mówiąc, do przetapiania i oczyszczania w ogniu chrześcijańskiej filozofii tego szlachetnego kruszcu, który wiedza nowoczesna nieustannie wydobywa z głębi swoich badań i dociekań. Za tem hasłem poszedł już cały szereg pisarzy, którzy (żeby tutaj tylko jeden przykład podać, wskazujemy na filozofię i psychologię napisaną w duchu pism św. Tomasza z Akwinu przez d-ra M. Schneida) nie wahali się wejść do samego wnętrza przybytku „nowoczesnej umiejętności“ i wynieśli stamtąd obfity materyał nie dla kompromisu naukowego, lecz tylko dla pogłębienia i bliższego rozwinięcia poglądów filozoficznych swojego mistrza. Tam niema takiego *deus ex machina*, jakim jest rozum ludzki w rozprawie Hartwicha, bo tam niema, jak to już powiedzieliśmy na innem miejscu, takiej niewypełnionej, ciemnej, odgadywanej tylko na rozmaite sposoby przepaści między zwierzęciem a człowiekiem, bo tam człowiek, chociaż jemu jedynie jako istocie duchowej rozum został przyznany, nie jest wyrwany z harmonijnej całości wszechświata, lecz w umiejętności gradacyi stworzeń wznosi się na ich szczyt, jako stworzony na obraz i podobieństwo boskie a z tego tytułu powołany po ziemskim życiu do olśniewającej światłości nie zaś do takiej ciemnicy, do jakiej dotarł Hartwich mimo swojego „światła nowoczesnej umiejętności“, pozostawiając czytelnika w niepewności zarówno przygnębiającej jak materyalistyczna negacya ducha. Bez takiego związku z Bogiem a więc bez takiego oświecenia promieniami prawdy objawionej, nieśmiertelność, skurczona na łożu Prokrusta w ten sposób, jak to widzieliśmy w kompromisowej próbie Hartwicha, zniknie bez śladu, albo

raczej jak przemijający ślad powolnego cofania się ku niewzruszonej opoce Piotrowej, tak samo jak znikła nieśmiertelność duszy zadekretowana przed stu laty przez wszechwładny konwent francuski wraz z ową najwyższą istotą, która miała zastąpić chrześcijańskiego Boga. Bez stanowczego wejścia w obręb promieni tego światła prawdy objawionej, także i dzisiejszy tak wielomowny, ale mimo to jeszcze ciągle chwiejący się w decyzji, neochryścjanizm francuski w zakresie ideałów, literatury i sztuki, nie znajdzie spokojnej przystani, tak samo jak ten neochryścjanizm filozoficzny, targujący się z nowoczesną umiejętnością o nową formę nieśmiertelności duszy. I pod pierwszym względem także katolicycy pisarze torujący pod powyżej wspomnianem hasłem Leona XIII. drogę z błędnych kierunków ku spokojnej przystani (że znowu poprzestaniemy tylko na jednym przykładzie, przytaczając pisma zamordowanego przed rokiem w Paryżu księdza Broglie, mianowicie dzieło ostatnie: *La reaction contre le positivisme*) wskazują na promienie światła boskiego, bez których blask wszystkich ideałów jak cały majestat ducha niknie w pomroce niepewności i zwątpienia albo, mówiąc słowami samych apostołów neochryścjanizmu, ginie wśród „choroby niewymownej“ i gubi się w „próżni niezmiernej“.

Dr. Bronisław Łoziński.

KARTKA Z DZIEJÓW RUSYFIKACYI ŻMUDZI.

(Dokończenie).

III.

W rozdziałach poprzednich, w zarysach ogólnych skreśliłem cały szereg środków przedsięwziętych przez rząd w celu zgnięcia polskości, tudzież uniemożliwienia rozwoju litewskości, ale nie poprzestano na tem, ponieważ ani w Petersburgu, ani w Wilnie nie wierzono w możność dobrowolnego rozszerzania się kultury rosyjskiej w Litwie i na Żmudzi; pozostawało zatem szukać środków przymusowych. Wiara w wszechmoc inicjatywy państwowej, tak charakterystyczna dla Rosyan, kazała mniemać, iż to zadanie będzie łatwem: ówczesna prasa rosyjska głosiła, że nie minie ćwierć wieku, a matka polka na Żmudzi będzie tuliła do snu swe dziecię kołysanką w języku Iwanów Groźnych! Podawano nawet na seryo projekty w rodzaju sprowadzania na Litwę nianiek z Rosyi! Rozumie się, wszystko to okazało się złudzeniem: kultura rosyjska jak była obcą, tak i pozostała, acz kraj, zwłaszcza w miastach, dzięki przepisom administracyjnym, przybrał pozory rosyjskie, ale tylko pozory, bo w gruncie rzeczy przepaść nas dzieląca jest dziś głębszą, niż przed powstaniem. Środki, przedsięwzięte przez rząd, sprowadzały się głównie do zaszczepienia u nas średniej i drobnej własności ziemskiej rosyjskiej, wychowania podрастаjących pokoleń w duchu ściśle rosyjskim oraz szerzenia wszelkimi możliwymi sposobami prawosławia. Wypadki ówczesne

dały poniekąd rządowi zupełną możność nasadzania u nas własności ziemskiej rosyjskiej; mówię tu o majątnościach skonfiskowanych, na mocy osobnego prawa dla 9 zachodnich gubernij, bo ogólne prawodawstwo rosyjskie nie zna konfiskaty. Obszar ziem skonfiskowanych nie jest mi dokładnie znany; wedle Jansona wynosił on około 31.000 dies. Majątki sprzedawano za bezcen, ale kupujących było bardzo mało, zwłaszcza Rosyan prawdziwych; faktycznie znacznie większa połowa ziemi skonfiskowanej, zwłaszcza w powiatach: poniewiezkim i szawelskim, przeszła w ręce Niemców kurlandzkich. Część majątków zabranych rozdano wyższym urzędnikom rosyjskim; największa darowizna tego rodzaju — to Kiejdany, które otrzymał prawem lennem głośny generał Todtleben. Rozumie się ułatwiano wszelkimi środkami Rosyanom nabywanie ziemi: w tym celu uchwalono 5-milionowy kredyt¹, z którego mogli korzystać nabywcy uprzywilejowani: zniżono opłaty stemplowe, ułatwiono formalności prawne, słowem, zrobiono wszelkie ulgi możliwe... Ale skorzystali z nich przeważnie Niemcy, powtarzam jeszcze raz. Uprzywilejowane stanowisko własności ziemskiej niepolskiej postarano się niebawem wzmocnić: ustawa Banku szlacheckiego wzbrania korzystać z pożyczek, udzielanych na warunkach niezmiernie dogodnych, właścicielom ziemskim Polakom, lubo z tego kredytu mogą korzystać wszyscy uprzywilejowani, nie zaś wyłącznie Rosyanie, a jest to kredyt o wiele tańszy i dogodniejszy, niż udzielany przez Bank ziemski wileński. Niedawno, bo przed kilku miesiącami, zapadła uchwała Rady Państwa, pozwalająca Bankowi szlacheckiemu wydawać Rosyanom pożyczki aż do 75⁰/₁₀₀ wysokości szacunku na zakupno dóbr w kraju Zachodnim; dotąd nikt nie skorzystał z tej ulgi. Faktycznie, można nabywać majątki ziemskie z niewielką nadpłatą nad sumę zastawu na licytacyach bankowych, ale wogóle ochotników do tego brakuje: warunki gospodarowania oraz życie na wsi wśród ludu są tak ciężkie i nienormalne, że Rosyanie wcale nie kwapią się do nabywania dóbr: trzeba tu zaznaczyć, że ostatnie

¹ Z tych 5 mil. 3¹/₂ mil. ukradł i przegrał na gieldzie Juchancew.

prawne i administracyjne rozporządzenia, tak krępujące nabywców ulgowych, wywarły wpływ ujemny. Warto tu zauważyć, że właściciele ziemscy uprzywilejowani opłacają podatki znacznie mniejsze niż nieuprzywilejowani, albowiem wolni są od opłaty 5% podatku od dochodu, pobieranego z właścicieli ziemskich pochodzenia polskiego; różnica ta wynosi przecięciowo na jedną diesiatnę 14 kop. w powiecie szawelskim, 16 kop. w kowieńskim, 14 kop. w rosieńskim, 10 kop. w nowoaleksandrowskim, 15 kop. w wilkomierskim, 15 kop. w telszewskim i 16 kop. w poniewiezkim. Rozumie się, korzystają też oni ze wszelkich możliwych ulg, udzielanych w drodze administracyjnej. Pomimo to własność ziemska rosyjska nie zaszczepiła się wcale: są powiaty, w których właściciele ziemskich Rosyan, wedle urzędowych „Pamiętników gub. kowieńskiej“, można zliczyć na palcach jednej ręki, np. poniewiezki. Gospodarstwo rosyjskie w majątkach nadanych lub nabytych za bezcen, zostało złośliwie a słusznie scharakteryzowanem przez zmarłego Szczedryna: *abrusił imienje i ujechał*; znaczy to: wyrąbał i wyprzedał las, wyjałowił ziemię posiewami lnu, opuścił i zrujnował zabudowania gospodarskie i wyjechał, oddając ziemię w dzierżawę Żydowi, zamaskowawszy przepis prawny, zakazujący tego czynić. Zdarzało się, że tą drogą nabywano dobra w celu odprzedania, po rozparcelowaniu, włościanom; w ten sposób sporo ziemi z rąk uprzywilejowanych przeszło w ręce chłopskie.

W ogólności próba zaszczepienia własności ziemskiej rosyjskiej nie doprowadziła do rezultatów oczekiwanych; w gub. kowieńskiej od chwili wprowadzenia praw wyjątkowych aż do 1 (13) stycznia 1889 r. własność polska szlachecka straciła tylko 60.683 dies., gdy w gub. wileńskiej za ten okres czasu strata wynosi 1,026.467 dies., w grodzieńskiej zaś 1,349.064 dies.¹ Rozumie się, cyfra strat poniesionych przez własność szlachecką polską nie określa jeszcze obszaru własności uprzywilejowanej, albowiem znaczne obszary ziemi już przed powstaniem 1863 r.

¹ *Kraj* 1889 r. nr. 45, artykuł: „Własność ziemska w gub. wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej“. Przedruk z oficjalnego *Więstnika Wileńskiego*.

należały do Rosyan: Katarzyna darowała hr. Zubowowi Ekonomię Szawelską. Mikołaj I. Taurogi i Jurbork ks. Wasilczykowowi i t. d. Wogóle własność ziemska uprzywilejowana tj. nie-polska wynosi około 25% obszaru ziemi, stanowiącej własność prywatną; jaki procent z tego obszaru należy do Rosyan prawdziwych, nie można ściśle określić z powodu braku wszelkich danych, tylko coś niecoś da się powiedzieć o powiatach poszczególnych: w kowieńskim własność nie-polska wynosi przeszło 37 tysięcy dies., z których przeszło 20 tys. należy do hr. Todtlebenowej; w poniewieżkim około 0,9 własności nie-polskiej należy do szlachty kurlandzkiej, osiadłej od dawna: najwięcej ziemi w rękę rosyjskim znajduje się w powiatach: szawelskim i rosińskim. Trzeba też nie zapominać, że sporo ziemi, należącej do własności uprzywilejowanej, stanowi własność rodzin pochodzenia niemieckiego, ale już dawno spolszczonych.

Nie o wiele lepsze rezultaty dała kolonizacya... Już nawet w czasie trwania powstania zbrojnego, Murawiew zamyslił kolonizować Litwę i Żmudź; *dla usilenja ruskiej narodności w Litwie*, zaczęto sprowadzać włościan rosyjskich, którym darmo rozdawano ziemie konfiskowane. Kolonizacye prowadzono o tyle energicznie, że od drugiej połowy 1864 r., jej początek, do stycznia roku następnego rozkolonizowano 1.206 rodzin w 165 wsiach; nadano im 13.738 dies. gruntów użytkowych. Na tę kolonizacyę wydano 33.741 rub. z dochodów dóbr zasekwestrowanych, 12.027 rub. z kasy Urzędu dóbr państwa oraz 64.057 rub. z Kancelaryi głównego naczelnika kraju. Przytaczam tu przykład zakładania wsi rosyjskich: wieś szlachecka Pėpie, około Krakiuowa, z rozkazu Murawiewa została zrównana z ziemią, jej mieszkańców zaś wysłano na Sybir; na ich miejsce sprowadzono kolonistów rosyjskich, rozkoleńników, nadano im grunta, kazano chłopom miejscowym zbudować domy, zaopatrzone w zboże z magazynu zapasowego gminy krakinowskiej, oraz nowej wsi nadano nazwę Murawiewka, która jest znaną tylko urzędowo. Naturalnie, podobne sposoby kolonizowania musiały ustać rychło, ale w każdym razie rozmaite krzywdy ludności miejscowej trwały jeszcze dość długo, do objęcia rządów przez Potapowa. Ten ostatni

wystarał się o zakaz osiedlania kolonistów rosyjskich na ziemiach i w lasach skarbowych (26 czerwca 1871 r.) ale już r. 1876 zakaz ów został zniesiony i kolonizacya rozpoczęła się na nowo. Postarano się o rozmaite ulgi dla kolonistów, nietylko podatkowe ale kredytowe i szkolne; prócz tego generał-gubernator ma prawo i wydaje im corocznie zapomogi pieniężne w razie wypadków nieszczęśliwych; tak w 1894 r. 16 rodzin, osiedleńców ruskich otrzymało 420 rub. wsparcia. Ulgi kredytowe sprowadzają się do faktu następnego: w r. 1884 Główny naczelnik kraju wyasygnował 10.591 rub. na założenie dla nich wyłącznie 11 Towarzystw wkładowo-zaliczkowych; rzeczywiście otwarto je w Nowo-Aleksandrowsku, Rosieniach i Telszach, przy zjazdach komisarzy dla spraw włościańskich, w Oniksztach, Uszpolu, Rogowie, Brasławiu, Rakiszkach, Pompianach, Chwałojniach (urzędowo: Błagowieszczeńskaja Słoboda) i w Wiekszniach, przy urzędach gminnych; z nich 5 już nie istnieje; pompiańskie, onikszyńskie i uszpolskie stały się dostępnymi dla wszystkich, wskutek czego zarząd znalazł się w rękach swojskich. Rozumie się, rząd wyteża wszystkie usiłowania, by ochronić narodowość i wiarę kolonistów; w tym celu postarano się wzniesć parę cerkiewek oraz założono 7 burs dla uczniów, dzieci kolonistów. Bursy te istnieją przy szkołach ludowych w Telszach, Rosieniach, Oniksztach, Birżach, Wiekszniach, Chwałojniach i Szkudach; dają one przytułek 130 chłopcom; koszta ich utrzymania wynoszą 4.500 rub. Oprócz tego z opłat ziemskich gubernieńskiej utrzymuje się 5 stypendystów, dzieci kolonistów rosyjskich, w Szkole rolnictwa i chmielarstwa w Piotrowiczach. Wogóle do roku 1895 osiedlono 2.100 rodzin, którym nadano 33.720 des. ziemi. Mogę tu przytoczyć nieco danych, pochodzących z bardzo blizkich okresów czasu o rozsiedleniu się kolonistów rosyjskich w powiatach niektórych. W szawelskim „ruskich osiedleńców“ narachowano 467 dymów czyli przeszło 2.500 osób, do których należy 6.616 des. ziemi; w nowo-aleksandrowskim 500 dymów czyli 3.600 osób, posiadających 8.214 des. ziemi; w kowieńskim 400 dymów, przeszło 3.000 osób, posiadających 5.822 des. gruntu. W tym powiecie koloniści rosyjsey

mieszkają rozsypani we wszystkich gminach oprócz średnickiej, wielońskiej, jeleonorowskiej i surwiliskiej; najwięcej ich posiadają gminy: aleksandrowska 1.500 osób, betygolska i jaswojska po 300 osób, inne zaś tylko po kilka; w pow. telszewskim narachowano „ruskich osiedleńców“ 448 mężczyzn i 439 kobiet, posiadających 3.494 dies. ziemi; w rosieńskim istnieje 145 dymów kolonistów czyli 1.000 osób, posiadających 3.425 dies. ziemi; są oni rozrzućeni we wszystkich gminach, ale najwięcej ich jest w szydlowskiej 106, krożańskiej 94, pojurskiej 91 i t. d. W pow. wiłkomierskim „ruskich osiedleńców“ narachowano 2.403 osoby, zamieszkujących w 397 dymach i posiadających 6.277 dies. ziemi; najwięcej ich liczą w gminach uszpołskiej 800 osób, onykszyńskiej 480 osób, rogowskiej 270 i t. d.

Na zakończenie tego ustępu przytoczę nieco urzędowych danych o własności uprzywilejowanej i nieuprzywilejowanej; będę nawet cytował w przekładzie polskim odnośne ustępy urzędowych „Pamiętników gub. kowieńskiej“: „Własność rosyjska obywatelska w powiecie nowo-aleksandrowskim („Pam.“ 1895 r., str. 216) jest niezmiernie szczupła: na 605 właścicieli pochodzenia polskiego, niewłościan, liczy się 112 właścicieli pochodzenia niepolskiego (a rzeczywistych Rosyan można na palcach przelicyzyć), do których należy w 110 dobrach 46.443 dies. ziemi, co stanowi 21% ogólnego obszaru własności ziemskiej szlacheckiej“; „rosyjska własność ziemska w pow. wiłkomierskim, mówi „Pamiętnik“ z r. 1890 na str. 418, jest bardzo ograniczona. Rosyan właścicieli jest bardzo niewielu; ilu mianowicie, ściśle niewiadomo; wiadomo tylko, że z 1.097 właścicieli tylko 99 nie należy do narodowości polskiej, zatem Rosyan jeszcze mniej; do właścicieli ziemskich nie Polaków należy 30.578 dies. czyli 12% ogółu własności szlacheckiej. „Rosyjska własność ziemska w pow. rosieńskim („Pamiętnik“ 1893 r. str. 182) bardzo drobna: na 956 właścicieli Polaków niewłościan, narachowano 60 właścicieli pochodzenia obcego, do których należy w 164 dobrach 82.445 dies. czyli 26% obszaru własności prywatnej¹. „Własność ziemska rosyjska w powiecie

¹ W tym powiecie leżą Taurogi. część olbrzymiej ordynacyi książąt Wasilezykowów.

kowieńskim („Pamiętnik“ 1892 r. str. 159) jest bardzo szczupłą: na 1691 właścicieli Polaków, niewłościan, wypada 129 właścicieli pochodzenia niepolskiego, do których w 165 dobrach należy 37.300 dies., co stanowi 16,7% ogółu własności ziemskiej szlacheckiej“. Na zakończenie tego ustępu przytaczam nieco dłuższy kawałek, w którym p. Gukowski, sekretarz Komitetu statystycznego, gorliwy rusyfikator, charakteryzuje kolonizację rosyjską:

Własność rosyjska ziemska wśród Litwinów rozwinęła się bardzo słabo; tak w pow. telszewskim istnieje tylko 58 właścicieli (a Rosyan jeszcze mniej), posiadających w 13 dobrach 42.829 dies. ziemi, ale za to 862 majątki, o 161.652 dies. obszaru, należą do 973 właścicieli Polaków, niewłościan... Ulgowe rozdawanie ziem skarbowych (czytaj: skonfiskowanych) nie osiągnęło celu pożądanego, albowiem rzadko który urzędnik, obdarzony majątnością ulgową, sam w niej gospodarzył, zwykle zaś wydzierżawiał ją przeważnie osobom pochodzenia polskiego, nim to nie zostało wzbronionem. Rozrzucone małemi oazami osady „ruskich osiedleńców“ mogłyby drogą wpływów pokojowych wywierać upragnione wpływy kulturalno-rosyjskie, ale w porównaniu z ogółem ludności takich osiedleńców jest bardzo mało; zresztą okazali się oni czynnikiem mało energicznym i mało odpowiednim dla celu założonego, albowiem większość ich pochodzi nie z centralnych gubernij wielkorosyjskich, w których ludność włościańska wyróżnia się sprytem i ruchliwością, ale z pobliskich. Wolnych ziem dla rozdania nowym osiedleńcom jest bardzo mało, zresztą zdarza się często, że sami osiedleńcy zrzekają się nadawanych gruntów z powodu ich nieurodzajności“. Tyle mówi w stylu urzędowym urzędnik rosyjski. Wogóle kolonizacja rosyjska stanowczo nie powiodła się; noszą się wprowadzić z planami urządzenia czegoś podobnego do Bismarkowskiej Komisji kolonizacyjnej, ale my na to zapatrujemy się spokojnie, albowiem z góry jesteśmy przekonani o niepowodzeniu niechybnem: jeżeli Komisji pruskiej, posiadającej doskonałych i uczciwych urzędników, nie wiedzie się dobrze, to cóż będzie z rosyjską, która nigdy nie może mieć takich wykonawców? Odpowiedź jasna: niepowodzenie zupełne. Drugim bardzo ważnym

czynnikiem kultury rosyjskiej uznano rozpowszechnienie prawosławia i języka urzędowego. Przed rokiem pisałem o tem w łamach *Przeglądu Powszechnego*; dziś powtarzam te same słowa: „zadanie było bardzo trudne i złożone: łatwo złamano zewnętrzne formy potęgi katolicyzmu, bo tu dość było nakazów prawnych i administracyjnych, ale potęga wewnętrzna pozostała czas niejaki nietkniętą... Wogóle atoli silne ciosy, zadane katolicyzmowi, wyszły nie na korzyść prawosławia, ale wolnomyślności, która wśród wyższych klas społecznych rozpowszechniała się bardzo szeroko. Prawosławie zaś nie posiadało żadnej siły wewnętrznej. Ze względów politycznych nie można było uciec się do nawracania przymusowych, a zresztą nie było do tego ani najmniejszych pozorów: lud litewski wyznawał zawsze katolicyzm lub kalwinizm. Pozostało więc tylko nadawać zewnętrzne cechy prawosławne krajowi katolickiemu, troszczyć się o wiarę kolonistów, sprowadzonych dla *usilenja ruskiej narodowosci w Litwie*, usilnie propagować prawosławie wśród filiponów i ludu litewskiego... Rzeczywiście cerkwi namnożyło się, otoczono prawosławie potęgą zewnętrzną, blaskiem i bardzo gorliwą opieką policyi i żandarmerji, oraz nawrócono kilkaset filiponów na t. zw. *jedynowierje*, ale na tem się skończyło...” Wogóle prawosławie przyjęło około paruset katolików i jeden kalwin, nauczyciel publiczny. Propaganda religii urzędowej odbywa się wszelkiemi środkami możliwemi, nawet nie licującemi z prawem obowiązującym: np. dzieci w ochronkach są systematycznie nawracane na prawosławie... Wogóle cała filantropia urzędowa, a innej my nie znamy, jest niemal wyłącznie ściśle rosyjsko-prawowierną. Niemniej też gorliwie szerzy prawosławie szkoła, nie tylko cerkiewno-parafialna, ale nawet świecka, ludowa i średnia, albowiem pedagogzy nigdy nie zaniechają żadnej sposobności, by w oczach uczących się zohydzić katolicyzm, wywyższyć natomiast kościół wschodni; pomijam już obowiązkowe pędzenie uczących się w szkołach średnich do cerkwi w dni galowe, rozdawanie im odpowiednich książeczek, obrazków i t. d. Pomijam też aż nadto dobrze znane prawa, tak krzywdzące wyznania inne a skierowane wyłącznie ku wzmożeniu i spotęgowaniu ko-

ściola urzędowego, pomijam to wszystko, ale muszę zaznaczyć, że niektórzy pionierowie i pionierki Kościoła wschodniego nie gardzą żadnymi środkami, by liczbę jego wyznawców zwiększyć; opowiadają takie fakty, którym — zdawałoby się — nie można wierzyć, mimo to jednak są one prawdziwe¹: nie chodzi im o jakość, tylko o ilość. Warto jednak zaznaczyć jeszcze jedną próbę: oto z rozkazu p. Pobiedonoscewa, p. Wolter, docent języka litewskiego na Wszechnicy w Petersburgu, znany etnograf, przetłumaczył na język litewski liturgię prawosławną; przekład wydrukowano i rozesłano duchownym, nakazując im nauczyć się po litewsku, by potem w tym języku odprawiać nabożeństwo. Rzeczywiście niektórzy zaczęli je w nim odprawiać, ale włościanie nie poszli... Wkrótce zaniechano... Działo się to wszystko w r. 1889—1890. Była to pierwsza próba i jedyna zwabienia ludu do świątyni prawosławnej drogą jednania umysłów i serc. Wogóle jednak duchowieństwo wschodnie, krom nielicznych wyjątków, jak osławieni Batalin i Jaruszewicz, zachowuje choć pozory przyzwoitości w stosunku do innych wyznań. W r. 1863 było cerkwi: parafialnych 12, filialnych 4 oraz 2 klasztorne, obecnie zaś mamy 32 parafialne, 16 filialnych i 3 klasztorne, oprócz cerkwi wojskowych, szpitalnych więziennych i domowych. Przy gimnazyach męskich w Kownie i Szawlach oraz żeńskim w Kownie istnieją cerkwie, a przy seminarjum nauczycielskiem w Poniewieżu kaplica. Nowo założony klasztor w Antoleptach nie cieszy się uznaniem ludu, który opowiada bardzo złośliwe anegdotki o pannach zakonnych. Z nowo wzniesionych cerkwi kilka przerobiono z kościołów katolickich. W kwestyi jednak rozpowszechnienia prawosławia odsyłam czytelników do artykułu: „Postępy prawosławia w gub. kowieńskiej“, umieszczonego w czerwcowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* z r. 1895.

¹ Śród t. zw. strażników ziemskich (*urjadników*) w niektórych powiatach znalazło się kilku czy kilkunastu Łotyszów protestantów, b. żołnierzy; otóż niektórzy sprawnicy nakazali im przyjąć prawosławie pod groźbą wydalenia ze służby; wiadomo też, że niektóre panie rozdają zapomogi matkom dzieci nieślubnych, ale pod warunkiem, by się zgodziły ochrzcić je w cerkwi...

Trzeciem, nader ważnem narzędziem rusyfikacji kraju uznano szkołę, zwłaszcza niższą, ludową. O usunięciu wykładow języka polskiego i nauczycieli Polaków, tudzież wprowadzeniu wykładow religii w języku urzędowym pisałem już był w rozdziale uprzednim; w nim też w kilku słowach skreśliłem system szkolny, którego celem było i jest gnębienie i demoralizowanie dziatwy polskiej, by ją, o ile można, usunąć od oświaty. Wiemy już, że z 4 gimnazyów i 1 progimnazyum pozostały tylko 2: w Kownie i Szawlach. Niebawem rozpoczęło się w nich wyłączne protegowanie uczniów prawosławnych z krzywdą innych. Pomijam środki i środeczki miejscowe, ale już 23 (11) października 1865 roku, z rozkazu N. Pana rozkazano corocznie asygnować ze skarbu państwa 5.000 rubli na zapomogi uczącym się prawosławnym; 11 lutego 1867 r. rozkaz N. Pana zwolnił wszystkich uczniów Rosyan od opłaty czesnego. Oprócz tego kurator wileńskiego okręgu naukowego z sum specjalnych na ten cel udzielał i udzielał sute zapomogi. Wogóle, od r. 1863 uczniowie Rosyanie stanowią w naszych szkołach średnich element uprzywilejowany... pod każdym względem. Pomimo tego liczba uczniów nie Rosyan zaczęła stopniowo wzrastać, co zmusiło zakładać równoległe oddziały. W roku 1875 istniały już one przy klasach wstępnych i 4 niższych obu gimnazyów. Z biegiem czasu złagodził sam system szkolny, zszarzał, stał się czemś formalnem. Nawet same stosunki zmieniły się nieco na lepsze. W tym to czasie gimnazya liczyły najwięcej uczniów: w Szawlach nawet znalazło się sporo t. zw. szwedów, tj. uczących się dzieci chłopów żmudzkich, nieprzyjętych do gimnazyum lub przygotowujących się doń. Trwało to jednak bardzo niedługo; już w r. 1882 władza szkolna postanowiła ograniczyć komplet uczniów klasy wstępnej gimnazyum w Kownie do 90. W r. 1887 sławny okólnik Delanowa, oparty na uchwale komitetu ministrów z dnia 26 czerwca 1887 roku, ograniczył liczbę uczących się Żydów do 10%, oraz zabronił wstępu do gimnazyów dzieciom włościan i wogóle osób niezamożnych. Ostatni ten przepis nie został u nas ściśle wykonany... z pobudek politycznych, ale ilość uczących się ogromnie zmalała. Nie zwiększyło ich liczby nawet prawo z 1888 r. naka-

zujące przy gimnazyach w okolicach nierosyjskich ponownie otworzyć klasy wstępne, zwinięte w r. 1886. Liczba uczniów ciągle malała; zwinięto nawet oddziały równoległe, tem bardziej, że rada miejska kowieńska oraz kahał miejscowy zaprzestały wypłacać zapomogi na ich utrzymanie.

W każdym razie cel rządu został poniekąd osiągnięty. W r. 1861 było 1730 uczniów, w 34 zaś lata potem tylko 804, ale w gimnazjum kowieńskim na 154 prawosławnych było tylko 126 katolików! W liczbę uczących się w szkołach średnich zaliczyłem też 187 uczniów szkoły realnej w Poniewieżu, otwartej w r. 1882, zatem w rzeczywistości ilość gimnazjalistów wynosi tylko 617! Mamy też gimnazjum żeńskie w Kownie; liczy ono 345 uczenic, w liczbie których znajduje się 200 Żydówek. Szkoła ta nigdy nie wywierała wpływów szerszych, albowiem ludność miejscowa unikała jej i unika jak zarazy. Nigdy nie liczyła ona więcej nad 40 uczenie katoliczek, przeważnie córek drobnego proletaryatu urzędniczego lub Polaków „zwodniałych“.

Rozumie się — nie miejsce tu charakteryzować średnie szkoły rosyjskie, bo aż nadto dobrze wiemy, iż są one najgorsze w całej Europie, ale u nas są one o wiele gorsze, niż w Rosyi... z powodów nader licznych. Nie mamy w naszych szkołach nauczycieli, lecz jeno tylko policyantów, spełniających ten obowiązek; naturalnie cele wychowania moralnego i wykształcenia umysłowego zastępują im zupełnie inne, cele przekształcenia uczącej się młodzieży na wiernych poddanych, prawdziwych Rosyan, pozbawionych wszelkich podnioślejszych zalet umysłu i charakteru. By ten cel osiągnąć, wszelkie środki są godziwe; prawda dawno została usunięta ze szkolnych podręczników i nauczania. „Gdyby twierdzenie Pytagorasa — zażartował niegdyś nauczyciel matematyki — pozostawałoby w związku z polityką, to je usunięto by lub nakazano wykładać wbrew prawdzie!“ Żart ten bardzo dosadnie a sprawiedliwie charakteryzuje system szkolny, kierowany przez ministerstwo oświaty publicznej, czyli — wedle Szczedryna — „ministerstwo ogłupienia publicznego!“ W dodatku nasze władze szkolne bardzo troskliwie dbają, by uczniowie nieprawosławni ściśle przestrzegali przepisy Kościoła urzędo-

wego, np. karząc surowo za niezjawienie się do cerkwi w dzień galowy. Ów przepis ostatni zobowiązywał nawet dziatwę, uczącą się w szkołach niższych, ale z pobudek politycznych w r. 1890 nakaz ów uchylono, „nim ludność gub. kowieńskiej pozbędzie się swych uprzedzeń i ucywilizuje się“, jak głosiło rozporządzenie urzędowe.

Upřednio nadmienilem, że w szkole ludowej rząd pokładał wielkie nadzieje; po r. 1863 wszystkie szkoły, jakie istniały, upadły, krom parafialnych, posiadających fundusze własne. Kwestya języka wykładowego została ostatecznie rozstrzygnięta: polski język bezwarunkowo usunięto, litewski postawiono jako pomocniczy, nim dziatwa nie posiędzie dostatecznie języka urzędowego. W tym też języku prowadzone są początkowe wykłady religii. By zbliżyć Litwinów z Rosyanami — na wniosek niecnej pamięci Mikuckiego — zakazano druków litewskich czcionkami łacińskimi, wprowadzając natomiast grażdankę. Murawiew uznał, że chłopci żmudzey są bogaci, przeto nakazał szkoły ludowe zakładać na ich koszt. Sprawa poszła rażno; gromada milczała, a w jej imieniu pisano uchwały o założeniu szkoły, uznając milczenie za przyzwolenie. Ponieważ pomimo całej grozy ówczesnej, gminy bardzo niechętnie wznosiły budynki szkolne, przeto 17 stycznia 1866 r. zapadła uchwała, na mocy której wydawano bezpłatnie budulec z lasów skarbowych, zmuszając gminy tylko do robocizny. W tych warunkach zakładanie szkół szło rażno: od r. 1864—1868 założono 119 szkół; w roku 1868, roku ciężkiego nieurodządu, niemal głodu, otwarto 3 szkoły. Niebawem jednak gorączka szkolna zaczęła obniżać się: od r. 1868—1872 otwarto 12 szkół, od 1872—1882 już tylko 5; od tej chwili nie założono już ani jednej szkoły ściśle ludowej. Nauczycieli, przeważnie seminarzystów prawosławnych, sprowadzono z Rosyi. Postarano się wszelkimi możliwymi środkami zabezpieczyć im *maximum* dobrobytu, ale to nie udało się, dzięki oporności gmin. Okazała się jednak konieczność posiadania nauczycieli, choć nieco obeznanych z językiem litewskim, zaradzono jej, otwierając w Poniewieżu 14 listopada 1872 r. seminarjum nauczycielskie, w którym język litewski wykłada się obowiązkowo. Jest to roz-

sadnik „kultury rosyjskiej“, którą nieść mają nauczyciele ludowi „ciemnym, sfanatyzowanym masom ludu żmudzkiego!“ Rozumie się, postarano się o założenie małych biblioteczek szkolnych, które już istniały w r. 1865, ale potem znikły doszczętnie. Założono też 17 składów książek rosyjskich i podręczników, ale oto, co o sprzedaży ich mówi sprawozdanie oficjalne za r. 1886: „Sprzedaż książek ze składów odbywa się niesłychanie powoli; nikt ich nie chce kupować. Nawet rodzice, przekonywani przez nauczycieli, by kupowali dzieciom książki stosowne, odmawiali. Zarządy gminne jak najobojętniej patrzyły na zupełny brak książek i podręczników w szkołach ludowych, chociaż były i takie, co nie posiadały ani jednego elementarza“. Starano się zachęcić lud do posyłania dzieci do szkół, zakładając przy nich ogrody owocowe i warzywne, w których uczniów praktycznie uczą sadownictwa i ogrodnictwa; w tym celu kosztem rządu corocznie posyła się kilku nauczycieli latem do szkoły rolniczej w Piotrowiczach, a seminaryum nauczycielskie w Poniewieżu darmo rozdaje szczepy owocowe. Zawiódł jednak i ten środek, acz kilkanaście sadków założono przy szkołach. Starano się zaprowadzić naukę zręczności, ale te usiłowania speliły na niczem z powodu braku środków: ani gminy, ani miasta nie dały pieniędzy. Nie udało się też zaprowadzić nauki rzemiosł, bo nikt na to nie dał ani grosza złamanego; tylko w 2 szkołach ludowych uczą stolarstwa i tokarstwa.

Tak zwane „ogólne stancye uczniowskie“, założone z rozporządzenia jenerał-gubernatora w r. 1872, istnieją dziś przeważnie na papierze, acz przed laty liczono ich około 60. Uczniowie w nich otrzymują tylko pomieszczenie; wikt i odzież winni zaś mieć własne.

Szkoła ludowa spotyka wśród ludu taki opór, że dotąd nie uznano za możliwe zakładanie osobnych szkółek dla dziewcząt; istnieje ich 7 tylko, ale wyłącznie dla córek „ruskich osiedleńców“. Zresztą w zasadzie szkoła ludowa jest dostępną dla dzieci obojga płci, ale dziewczynkę uczy się w nich niezmiernie mało. W r. 1892 w całym powiecie poniewiezkim było tylko 16 uczennic katoliczek! Inaczej natomiast dzieje się w szkołach miejskich;

tam uczenie znajdujemy sporo, ale niemal wyłącznie Żydówek. Wogóle liczba uczących się Żydów wzrastała ciągle aż do 1894 r., dziś zaś spada gwałtownie. Warto nadmienić, że do t. zw. cerkiewno-parafialnych szkół Żydzi nie są przyjmowani; wielka szkoda, że ten zakaz nie rozciąga się na uczniów wyznań innych. Ilość szkół cerkiewnych wzrasta, ale dotąd ani jedna gmina nie daje im zapomogi żadnej, natomiast miasta stanowią wyjątek luboznaczają sumy śmiesznie małe. Wogóle wszelkie organa samozarządu miejscowego tylko zmuszone koniecznością, asygnują minimalne sumy na cele rosyjskiej oświaty ludowej, za co ulegają insynuacyom i oskarżeniom prasy rosyjskiej. Wogóle szkolnictwo miejscowe, zwłaszcza ludowe niższe natrafia na zacięty opór wśród ludu, spotyka się z namiętną antypatyą i skutecznem przeciwdziałaniem prasy ludowej litewskiej i warstw wyższych. Mamy też szkoły prywatne rosyjskie, przeważnie żeńskie i niższe; są one wspierane przez rząd, bo bardzo gorliwie szerzą rusyfikację... To samo można powiedzieć i o żydowskich szkołach prywatnych, dziś prawie wyłącznie żeńskich. Uczą one gorliwie języka urzędowego, pomijając zupełnie niemal wychowanie etyczne. Wogóle ten zarzut śmiało można zastosować do całego szkolnictwa rosyjskiego, zwłaszcza u nas.

Ujemne rezultaty nauczania oraz fakt recydywy bezpieczeństwa w języku urzędowym, stwierdzony dostatecznie, spowodował założenie w 1893 r. 61 bibliotek ludowych przy szkołach główniejszych. Kurator zatwierdził ich regulamin; wedle niego biblioteki ludowe zakładają się „w celu rozpowszechnienia wśród ludności miejskiej umiejętności czytania po rosyjsku“, tudzież wiadomości pożytecznych i „pojęć prawidłowych“. Biblioteki założono, ale lud z nich nie korzysta; prawdopodobnie spotka ich ten sam los, który spotkał biblioteki, założone zaraz po powstaniu: znikną w sposób nieznany. Nie pomogło też i prawo z dnia 15 (3) kwietnia 1892 r., przekazujące administracyi sprawy o utrzymywaniu szkół potajemnych, albowiem sądy zapatrywały się na nie bardzo pobłażliwie, skazując winnych na śmiesznie małe kary; szkoły potajemne, jak istniały, tak i istnieją, tylko ukryły się bardzo głęboko... Policya w nich widzi nowe źródło dochodu;

straszna zemsta chłopska, której kilka przykładów mieliśmy, trzyma denuncyantów na wodzy... Lud nasz nie umie ani zapominać, ani przebaczać; słusznie powiedział Pol:

Ale gdy go kto zahaczy,
To i w grobie nie przebaczy!

Uwzględniając położenie nauczycieli ludowych oraz duchownych prawosławnych, wykładających w szkołach niższych, wyżsi przedstawiciele władzy szkolnej z p. Klingenbergiem na czele, zawiazali w styczniu r. b. osobne towarzystwo, którego celem jest niesienie pomocy materyalnej i moralnej uczącym w szkołach ludowych gub. kowieńskiej. W lutym miało ono dzięki poparciu administracyi, przeszło 500 rubli dochodu. Rozumie się — nie upadnie ono, ale będzie wegetowało, gdy gorączka ostygnie, i celów swych nie urzeczywistni, a w poczet ich wchodzi „ochrona nauczycieli ludowych od upadku moralnego“.

IV.

Pozostaje mi teraz w zarysach ogólnych skreślić rezultaty, które zostały osiągnięte przez rząd. Przepraszam czytelników, jeżeli w tym rozdziale powołam się na fakty, przytoczone uprzednio; konieczność zmusza mię do tego, by pełnia obrazu była jaskrawszą. W czasach ostatnich sama prasa rosyjska np. *Nowoje Wremia* przyszła do wniosku, że kwestya rusyfikacyi nie o wiele co posunęła się od wypadków 1863 r. Pogląd ten podziela większość organów niezależnych, lubo mało obeznanych z rzeczywistym stanem rzeczy, co wskazują środki rusyfikacyjne, proponowane przez nich. Nie zgadzają się z tem zdaniem pisma urzędowe, zwłaszcza miejscowe, patrzące na stan rzeczy oficjalnie. Rzeczywiście, na pozór kraj został zupełnie rosyjskim: na drogach żelaznych wszędzie napisy w języku urzędowym, w tym języku przemawia służba kolejowa, ten język słychać wokoło. W miastach niemal nie widać napisów w językach innych, w hotelach, aptekach, magazynach i t. d. podają rachunki po rosyjsku. Ten język słychać wszędzie, zwłaszcza dzwięcznie brzmiący w ustach żydowskich... W tym języku przemawiają z estrady teatralnej lub koncertowej, na zabawach publicznych, w kasy-

nach i t. d... Wszystko, co nosi mundur urzędowy, przemawia po rosyjsku... Warstwa urzędnicza składa się niemal wyłącznie z Rosyan; stworzyła już ona swoje ogniska życia towarzyskiego, t. zw. kluby, w których wiszą ogłoszenia: „wzbrania się mówić po polsku“. Ten sam zakaz stosuje się nawet do innych instytucyj prywatnych, założonych przez Rosyan. Słowem język rosyjski na pozór panuje w miastach wszechwładnie, tem bardziej, że chętnie, lubo bardzo źle, mówią nim Żydzi cywilizowani i pólecywilizowani... Ale to wszystko są pozory, zachowywane na mocy przepisów administracyjnych, albowiem treść wewnętrzna zupełnie jest odmienna. Żywiół rosyjski jest niemal wyłącznie urzędniczy, napływowy; stale osiadłych Rosyan, posiadających nieruchomości lub jakiegobądź procedery handlowe czy przemysłowe, prawie niema. Niema też wśród nich osób, należących do profesyj wyzwolonych, krom 2 adwokatów w Kownie... Wśród Rosyan niema ani jednego lekarza, któryby nie zajmował posady urzędowej. Nie spotyka się też prawie kupców i rzemieślników Rosyan prawosławnych... Słowem, klasa wyższa składa się z urzędników lepiej płatnych, niższa zaś żołnierze dymisjonowani, policyanci, żandarmi, oficyaliści biurowi, pisarkowie, ludzie bez zajęcia określonego... dostarcza mnóstwo osobników, których zaliczyć należy do przedstawicieli *classes dangereuses*... Mowa tu o miastach, bo na wsi spotykamy „osiedleńców ruskich“, uprawiających ziemię, a niecierpiących się — nawet w oczach sądów rosyjskich — opinią dobrą. Wogóle występność wśród żywiółu rosyjskiego znacznie przewyższa inne, zwłaszcza wyróżniają się w tym zakresie filiponi.

Podaję tu wiązanke statystycznych danych, zaczerpniętych ze źródeł urzędowych. W r. 1895 w styczniu było Rosyan prawosławnych w Kownie 14157 (21·6%), w Szawlach 2576 (11·4%), w Wilkomierzu 2186 (12·9%), w Poniewieżu 1619 (8·8%), w Rosieniach 777 (4·3%), w Telszach 279 (2·3%), w Widzach 225 (3·7%) i w Szadowie 72 (1·7%), czyli razem 22312 osób (13·6% ogółu ludności). Godnym uwagi jest nienormalny stosunek płci: na 100 mężczyzn wypada 22·7 kobiety. Ta okoliczność dobitnie wskazuje napływowy charakter tej grupy etnicznej, zwłaszcza

w Kownie, w którym ów stosunek wynosi 6:1. Ludność prawosławna zamieszkuje w powiatach w ilości następnej: Rosieńskim 5.230 (2·15%), szawelskim 3.525 (1·54%), nowo-aleksandrowskim 2.672 (1·3%), telszewskim 2.365 (1·23%), wilkomierskim 2.252 (0·97%), kowieńskim 2.186 (1·22%) i poniewieskim 1.683 (0·48%), co stanowi razem 21.994 osoby czyli 1·3% ogółu ludności. Stosunek pomiędzy płciami jest normalniejszy: kobiety stanowią 61·2% ogółu. Widzimy więc, że znacznie większa połowa ludności rosyjskiej zamieszkuje miasta, przeważnie Kowno i Szawle, w powiatach najliczniej jest ona reprezentowaną w rosieńskim, ale jej część znaczna składa się ze strażników pogranicznych i ich rodzin. Wogóle żywioł rosyjski przedstawia bardzo nieznaczną mniejszość liczebną, zwłaszcza na wsi; w miastach tylko daje się jego obecność odczuwać, a przeważnie w Kownie. Do ludności rosyjsko-uprzywilejowanej trzeba zaliczyć t. zw. jednowierców. Spotykamy ich tylko w Kownie, Wilkomierzu i Nowo-Aleksandrowsku, ale ich liczba wynosi w miastach tylko 270 osób; w powiatach: wilkomierskim narachowano 270 jednowierców, w nowo-aleksandrowskim zaś 208 i kilku w Kowieńskim. Korzystają oni ze wszystkich praw i przywilejów na równi z prawosławnymi.

Pozostaje mi jeszcze skreślić słów kilka o t. zw. filiponach, wyróżniających się niepospolitą opornością etniczną, albowiem dotąd zachowali w czystości wiarę, język i obyczaj starodawny, lubo mieszkają u nas już przeszło 200 lat. Są to emigranci rosyjscy, którzy z powodu prześladowań religijnych opuścili swój kraj za czasów cara Aleksego. Są to odszczepieńcy (roskolnicy) Kościoła wschodniego, przeważnie należący do grupy t. zw. bezpopowców odcienienia pomorskiego, tj. nieuznających kapłaństwa, zgodnie ze zdaniem mnicha Filipa; stąd pochodzi ich nazwa. Śród nich w czasach ostatnich dużo zwolenników znajduje anabaptyzm, który dostał się z Kurlandyi, oraz inne sekty racjonalistyczne. Nie cieszą się oni łaską rządu, który dotąd wzbrania im publiczności nabożeństwa, a od niedawna zakazuje wznosić nowe domy modlitwy lub nawet zamyka istniejące. Rozumie się, prawa ich są ograniczone, ale do niedawna mogli nabywać

ziemię; dziś w drodze administracyjnej to zakazano. Nasi filiponi należą wyłącznie do stanu mieszczańskiego, lubo w miastach mieszka ich tylko 2.200 osób, po wsiach zaś 26.742. Najlichniesza ich kolonia, bo licząca prawie 800 osób, osiadła w Wilkomierzu; małe spotykamy i w innych miastach oprócz Szawel, Telsz, Rosień i Szadowa. Z powiatów najlichniej zamieszkują oni w Nowo-Aleksandrowskiem bo 12.070 osób, kowieńskim zaś 4947 a wilkomierskim 4.850; w innych liczba ich nie przenosi kilkuset osób. Jest to żywioł niezupełnie pewny; w każdym razie rząd nie może bezwarunkowo rachować nań, lubo pod względem etnicznym przenosi on kolonistów rosyjskich. Trzeba jednak zaznaczyć, że wszyscy filiponi w stosunkach z ludnością miejscową posługują się językami miejscowemi, znanemi im dobrze.

Wogóle żywioł rosyjski stanowi 43% ogółu ludności, odsetek mały, niezagrażający nam. Jest to żywioł niemal wyłącznie urzędniczy, napływowy, nieposiadający poza sferą urzędniczą żadnych wpływów intelektualno-moralnych lub ekonomicznych. Nie mamy prawie właścicieli ziemskich Rosyan stale osiadłych, nie mamy prawie inteligencji rosyjskiej lub osób, należących do klasy handlowo-przemysłowej. Słowem, poza sferą stosunków urzędowych wpływy rosyjskie są równe niemal zeru. Stosunków towarzyskich z Rosyanami nasze społeczeństwo nie utrzymuje. Spotykają się pewne wyjątki, ale nader nieliczne i potępiane przez ogół. W żadnych stowarzyszeniach rosyjskich nikt z ludzi szanujących się nie uczestniczy; nikt też z osób przyzwoitych nie chodzi ani do teatru rosyjskiego, ani na koncerty, ani do klubów.

Można śmiało twierdzić, że cała prawie inteligencja żydowska, lubo pogardzana i oplwana przez Rosyan, lgnie do nich, acz jest brutalnie odpychaną. Nasi zwykli Żydzi, którzy nie zerwali zupełnie z tradycją, pomimo wszystkich swych wad i błędów są o wiele sympatyczniejsi, o wiele życzliwsi dla nas. Niewątpliwie, wyższe warstwy żydowskie są żywiołem, rozpowszechniającym język urzędowy. Do grupy takich ludzi należy zaliczyć t. zw. litwomianów różnego gatunku; w swej ślepej a stroniczej zaciekłości wyzwalają się z pod kulturalnych wpływów

polskich, ulegają oni świadomie rosyjskim, albowiem własnej, litewskiej nie mają. Wprawdzie nasi litwomani nie są stronnikami rusyfikacyi, owszem, pragną możliwego rozwoju plemienia litewskiego, ale rozwoju zupełnie samodzielnego, a zupełnie obcego kulturalnym dziejom Litwy. Sądzą oni, iż potrafią „ostać się“, jednocząc się kulturalnie z Rosyą, a zrywając zupełnie wszelkie związki kulturalne z narodem polskim. Rosya ma ich wyzwolić z „jarzma polskiego“!... W pewnem piśmie urzędowem generał-gubernator wileński pisał: „choć t. zw. litwomani nie zasługują ani na sympatyę, ani na opiekę rządu, w charakterze jednak czynnika, rozkładającego polonizm, winni cieszyć się niejaką ochroną“. I cieszyli się, nim w czasach ostatnich nie przebrała się miarka cierpliwości, gdy wkroczyli na drogę agitacyi politycznej! W tych słowach generał-gubernatora zawartą jest nader trafna i słuszna ocena tej grupy. Rozumie się, jest ona bardzo słabą i nie posiada żadnych wpływów poza kołem, raczej kółkiem uczącej się młodzieży, albowiem olbrzymia większość inteligencyi litewskiej, o ile ona istnieje, trzyma stale z nami i w związku tym upatruje możność rozwoju swego plemienia, które już raz Polska ochroniła od zniszczenia i zbiatoruszczenia.

Wogóle do czynników rozpowszechniających język rosyjski, zaliczyć trzeba też nasze przysłowiowe niedołęstwo i bierność; jesteśmy niezmiernie uprzejmi i grzeczni: gdy do nas Żyd przemówi po rosyjsku, większość gotowa mu odpowiedzieć w języku Iwana Groźnego... Trzeba przyznać, że aż do czasów ostatnich mało dbano o czystość języka polskiego; mówiono po polsku, ale to językiem żmudzko-polskim, jak go trafnie przezwano; faktem jest, iż pokolenie młodsze mówi lepiej, niżli starsze, lepiej zna też naszą mowę i przeszłość i szczerzej poczuwa się do polskości, albowiem patryotyzm miejscowy, litewski w przeciwstawieniu do koronnego, znikł po wypadkach 1863 r.

Pomimo tych wszystkich warunków przyjaznych w masach ludowych język urzędowy rozpowszechnił się bardzo słabo, acz uczą go i w wojsku i w szkole i we wszelakich stosunkach z władzami... Oto są dane urzędowe, zatem przesadzające liczbę

osób, posiadających język rosyjski: wedle książki jubileuszowej w ciągu 30 lat uczyło się w szkole ludowej około 75.000 dzieci; ukończyło zaś ją 19.000 chłopców i 1.500 dziewczynek. Otóż z 10.654 popisowych, wziętych do wojska w latach 1885—1887—1888, tylko 333 ukończyło szkołę ludową, co stanowi zaledwo 3.12% liczby ogólnej, chociaż procent umiających czytać (po polsku lub po rosyjsku) wynosił odpowiednio 18.6—20—20, a w r. 1889 nawet 26; umiejętność czytania druków litewskich w rachubę się nie bierze. O zebranych w Telszach na ćwiczenia wojskowe członkach pospolitego ruszenia (*opołczenja*) z całego powiatu, pisano: „Komendant opowiedziawszy o cudownym wypadku z dnia 29 października n. st. 1888 r. rozkazał przetłumaczyć to po żmudzku, ponieważ wśród pospolitego ruszenia nie więcej jak 25 ludzi posiadało język rosyjski“. W pow. wilkomierskim okazało się, że wśród włościan tylko 6.659 osób tj. 4% umie czytać po rosyjsku, a 18.130 osób czyli 13% włada (rozumie) językiem państwowym. W pow. kowieńskim umiało czytać po 5.5% ogółu ludności, gdy — dodaje źródło oficjalne — umiających czytać po polsku w gminie średnickiej było aż 35% ogółu włościan. „Pamiętnik gub. kowieńskiej na rok 1893“ mówi, że w pow. telszewskim umiało czytać po rosyjsku około 5.000 osób tj. 3.5% ogółu ludności włościańskiej; rozumiało zaś język urzędowy prawie 19.000 osób czyli około 13%. „Oczywiście że wiele osób, które nauczyły się po rosyjsku, wskutek różnych przyczyn wpada w recydywę niepiśmienności po rosyjsku“ — dodaje wspomniany „Pamiętnik“ na str. 110. Podobną skargę, dotyczącą pow. szawelskiego, spotykamy w „Pamiętniku“ na r. 1896 str. 142: wedle niego w całym powiecie w r. 1894 umiało czytać po rosyjsku około 5.5% ogółu ludności wiejskiej, rozumiało zaś ten język tylko 11%. Nawet w powiecie nowo-aleksandrowskim, najbardziej zrusyfikowanym, bo posiadającym około 23.000 Białorusinów katolików, urzędowo utożsamianych z Rosyanami, okazało się, że tylko 4% ogółu ludności wiejskiej umie czytać po rosyjsku, natomiast w 4 gminach białoruskich 4.894 włościan umiało czytać po polsku, po rosyjsku zaś tylko 807! W tym powiecie stwierdzono, że zaledwie od 4—5% dzieci wieku szkol-

nego uczęszcza do szkół rosyjskich; stwierdzono też recydywę niepiśmienności w języku urzędowym. Szereg tych faktów można przedłużyć, ale dość przytoczonych, by oświetlić jaskrawo rezultaty osiągnięte w tym kierunku. Na Żmudzi mamy przeważający żywioł litewski, którego świadomość narodowościowa dziś utożsamia się niemal jeszcze z religią, żywioł ten jest bezwarunkowym wrogiem rusyfikacyi; jeżeli zbudzi się, jak to można przypuszczać, to w interesie zachowania swej odrębności etnicznej musi iść razem z nami ręką w rękę pod grozą zagłady zupełnej... Jak przed laty tak i dziś, żywioł polski, stanowiący 10—12% ogółu jest przodującym, albowiem w jego ręku znajduje się $\frac{3}{4}$ ogółu własności ziemskiej prywatnej, przeszło połowa nieruchomości miejskich, znaczna część zakładów przemysłowych i rzemieślniczych i t. d.; należy doń niemal cała inteligencya, albowiem nawet jednostki wyszłe z łona ludu litewskiego, a szczerze pracujące nad jego rozwojem, zaliczają siebie zwykle do naszej narodowości. W grze politycznej, którą prowadzimy, mamy na Litwie i Żmudzi po swojej stronie całą ludność miejscową jak polską tak i litewską, przeciwko zaś — tylko Rosyan, popieranych przez rząd, albowiem Żydzi oraz garstka Niemców i Łotyszów są żywiołami biernymi; w pewnych warunkach nawet możliwem jest ich przechylenie się na naszą stronę, zwłaszcza Żydów. Zdaje mi się, położenie nasze acz ciężkie, nie jest rozpaczliwem: jeżeli przeszło stuletnie usiłowania rządu rosyjskiego dały takie marne rezultaty, to śmiało możemy mniemać, że przy rozbudzającej się świadomości narodowościowej a wysiłkach wspólnych potrafimy odeprzeć wszelkie usiłowania i obronić swoją indywidualność narodowościową. „Ziemia i niebo przeminą a Zemajtis (Żmudzin) zostanie“, powiada nasz lud: dzielimy i my tę wiarę a zwiększy ona nasze siły!

Jan Witort.

KOŚCIÓŁ ZAMKOWY W BRZEŻANACH I JEGO POMNIKI.

Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy!
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona;
Nad bramą klasztor, w murach zakonniczy,
Dalej — kaplica blachą powleczonea.
W komnatkach żadnej nie ujrzyś różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze:
Co ma król polski, i szlachcie mieć może.

Zwiedzającemu Brzeżany natrętnie cisną się na myśl powyższe słowa poety, bo dziwnie jeszcze dziś zgadzają się z rzeczywistością. Pan Brzeżan istotnie w cudnej mieszkał okolicy; gdzie rzucił okiem, prześliczny roztaczał się przed nim widok: od południa i północy pieściły jego wzrok wyniosłe wzgórza, pokryte odwiecznym lasem, poprzerzynane malowniczymi parowami i dolinami; ku południowi ciągnie się wśród żyznych pól kwiecista dolina, przecięta srebrzystą rzeką, ginącą gdzieś w dali w zagięciach wzgórz, zamykających widnokrąg; od północy przegląda się jego zamek w zwierciadle olbrzymiego stawu blisko kilometr szerokiego, a ciągnącego się wzdłuż pomiędzy zginającymi się wzgórzami, jakby w fantastycznych ramach, niemal na milę. Lecz nie tylko sama okolica przedstawia widzowi ten sam obraz dzisiaj, co i niegdyś... i sędziwe mury potężnego zamku sterczą wśród tego otoczenia do dziś dnia poważnie i dumnie, i dach wyniosłej kaplicy błyszczy wśród nich; domyślasz się łatwo, że do jej obsługi i zakonniczy, o których wspomina

poeta, mieszkali gdzieś koło niej nad bramą. Słowem, gdy zdala się przypatrujesz, zdaje ci się, że tu wszystko „tak, jak było“, ale dopiero, gdy się do tych murów zbliżysz, przekonywasz się, „jak się ku starości bardzo pochyliło!“

I dzisiaj jeszcze „rzeka obejmuje zamek w dwa ramiona“, ale na miejscu dawnych wałów i murów obronnych rozciąga się częścią miejski ogród do przechadzek, część pokryta nowszymi zabudowaniami, a od wschodu i południa rozlega się bagnista łąka. Wśród tego otoczenia wznoszą się na przestrzeni niewiele mniejszej od tej, jaką zajmuje zamek królewski na Wawelu, gmachy jedno i dwupiętrowe, świadczące dotąd, że rzeczywiście

Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze:

Co ma król polski, i szlachciec mieć może.

Co więcej, rozglądając się w tych gmachach bliżej, znajdziesz tu niejedno, co ci nasz zamek królewski przypomni. Oprócz rozkładu zabudowań w formie czworoboku i śladów krużganków, biegnących niegdyś wokoło podwórza, znajdziesz tu jeszcze podobne archiwolty bram, cięte w kasetony i przyozdobione rzeźbionymi różami; podobne kamienne obramowania okien, pokryte rzeźbą, przypominającą bardzo często linearne ornamenta kaplicy Zygmuntońskiej; tu ciągnie się po ramie jakby kamienna plecionka (wiele jest takich plecionek, a każda inna), indziej przybiera ornament kierunku spiralnej linii, to znowu tworzy jakby falę, która się skręca i rozkręca, często rzeźba na ramie ma postać kraty skośnej, której pola wypełniają rozetki. Widocznie pan Brzeżan nie tylko zapragnął podobnego dworu, jak królewski, ale zapragnął go wcześniej niż którykolwiek inny magnat polski, jak tego dowodzi wczesny, zygmuntoński renesans zdobień, a podobieństwo motywów ornamentacyjnych upoważnia do przypuszczenia, że wznosił go mistrz, który się kształcił przy budowie zamku królewskiego i stamtąd w swej wyobraźni wzory tu przyniósł. Bogactwo motywów dekoracyjnych, niegdyś znaczne, dziś zmniejsza się z dniem każdym. Czego nie zniszczył czas, to uszkodziła i uszkadza nieustannie dłoń mieszkańców, którzy w bieżącym czasie zamek zajmują (część zamku wydzierżawiono wojsku na koszary, część zamieniono na browar).

Zagłębmy też i do wnętrza tych komnat, o których dawnej świetności słusznie mógł poeta powiedzieć, że w nich „żadnej nie ujrzysz różnicy od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona“. Dzisiaj nie spodziewamy się już znaleźć tych licznych dzieł sztuki, w których się tutaj odzwierciadlała każda epoka dziejów naszych od XVI. wieku począwszy; wiemy naprzód, że nie znajdziemy tu ani w sali królewskiej portretów naszych królów, ani w sali wiedeńskiej plafonu, przedstawiającego nasze pod Wiedniem zwycięstwo, ani bitwy żurawińskiej na suficie wielkiej sali dolnej, ani bitwy chocimskiej w innej sali, ani licznych portretów rodzinnych, ani portretów innych znakomitych osób, rozmieszczonych w innych komnatach: ale może też przecie przechował się choć jeden z owych bogatych rzniętych sufitów, może też choć jeden fragment z kominów i supraportów, pokrytych artystyczną rzeźbą. Niestety! nietylko niema ani śladu dawnych dzieł sztuki, ale co więcej, wskutek różnych przebudowań zaledwie można się doszukać tych sal, o których czytamy w dawnych opisaeh.

Ze wszystkich budowli, wchodzących w skład zamku brzeżańskiego, przechowała się w dobrym stanie do naszych czasów jedynie kaplica zamkowa, a raczej kościół, gdyż z powodu swoich znacznych rozmiarów stanowczo na tę nazwę zasługuje, chociaż i on różne przechodził koleje, choć i w nim barbarzyńskie ręce wyrządziły niejedną niepowetowaną szkodę. Jest to jeden z najpiękniejszych w naszym kraju zabytków budownictwa w czystym renesansie z pierwszej połowy lub co najpóźniej początku drugiej połowy XVI. wieku, aczkolwiek i późniejsze epoki pozostawiły w nim ślady swego artystycznego smaku w dodatkach nielicznych i łatwo dających się odróżnić. Z budowli kościelnych w stylu odrodzenia wyprzedzają go u nas pod względem czasu powstania, delikatności i szlachetności wykonania, jedynie niektóre kaplice w Krakowie, np. Zygmuntowska na Wawelu i św. Jacka u Dominikanów, lecz z kościołów samoistnych nie znam u nas w stylu odrodzenia równie wczesnego i stylowo czystego.

Zewnątrz przedstawia się on jako budowa jednonawowa, ciągnąca się w kierunku od półnoocy ku południowi, z prezbiterjum nieco węższem, lecz tej samej co nawa wysokości; na obu stronach nawy od wschodu i zachodu wznoszą się kwadratowe kaplice; kościół pokrywa dach szczytowy, kaplice zaś kopuły półkoliste bez bębnow, lecz z latarniami.

Imponujące wrażenie wywiera fasada z ciosowego kamienia, pilastrami, gzymsami, nyzami nader harmonijnie podzielona. Dolna część ściany frontowej, gładka i nieco wysunięta (cokół), tworzy jakby podstawę około 2 metry wysoką, na której wspierają się architektoniczne linie budowy. Z tej podstawy biegną w górę cztery gładkie pilastry, dwa skrajne i dwa środkowe, nakryte korynckimi kapitelami. Na nich wspiera się belkowanie z trzech części: z podłużnej belki kamiennej, sprawiającej wrażenie trzech płyt ciosowych, spoczywających na sobie (architrav); szereg kutyh w kamieniu paciorków oddziela tę część belkowania od następującej, którą jest gładka płaszczyzna, nieco wstecz cofnięta (fryz), pokryta rzeźbą z czerwonego marmuru, przedstawiającą zwoje roślinne, wśród których ukazują się w miejscach ponad pilastrami popiersia aniołków; trzecią część belkowania stanowi silnie występujący gzyms, którego pochyłość zdobi szereg kutyh w kamieniu wolicz oczu (*Eierstab*), dalej szereg kostek sześciennych (*Zahnschnitt*), i znowu szereg wolicz oczu. Taki sam gzyms otacza krańce lekko spadzistego dachu, tworząc trójkątne pole wewnętrzne (tympanon), które wypełnia rzeźba z czerwonego marmuru, przedstawiająca wśród obłoków oko Opatrzności ze złocistym hebrajskim napisem: „Jehowa“. — Lecz wymienione pilastry, gzymsy, rzeźby nie są jedynymi środkami, któremi mistrz dał wyraz swego poczucia piękna w architekturze: drzwi, okna, nyzę i ich obramienia dopełniają bogactwa linii, zdobiących tę wysoce artystyczną fasadę. Między środkowymi pilastrami umieścił prostokątne drzwi, które otaczają obecnie kamienne, skromnie profilowane odrzwia, uwieńczone u góry łukowym wyciętym daszkiem barokowym. Po obu stronach drzwi dwa kwadratowe okratowane okna, umieszczone nisko w cokole, oświecają przestrzeń kościoła pod chórem muzycznym

i pozwalają przechodniowi zajrzeć do jego wnętrza. Ponad temi oknami, w przestrzeniach między pilastrami skrajnymi a środkowymi wciskają się w fasadę kościoła nyże, konchowato u góry sklepione, z kamiennymi, dobrego dłuta posagami: z jednej strony św. Stanisława, z drugiej św. Mikołaja. Okna w cokole i nyże tworzą szereg otworów symetrycznie po obu stronach portalu rozmieszczonych i stanowiących razem z nim jedną grupę motywów architektonicznych, urozmaicających dolną część fasady. W górnej części, ponad portalem i nyżami, umieścił architekt trzy podłużne okna w gładkich kamiennych oprawach, silnie występujących z tła fasady, uwieńczonych u góry trójkątami prostolinijnymi szczytami. Pola tych trójkątów wypełniają uskrzydłone główki aniołków z czerwonego marmuru¹. Te trzy okna rzucają obfite światło ponad chór muzyczny do wnętrza świątyni.

Tak przedstawia się fasada kościoła, która ze względu na swą wysoką wartość artystyczną wymagała szczegółowego opisu. Wnijdźmy teraz do wnętrza świątyni.

Pomimo niewielkich rozmiarów i pomimo zupełnego braku wewnętrznego urządzenia, które czasy niedbalstwa i wandalizmu do szczytu poniszczyły, uroczyste na widzu wywiera ona wrażenie. Prostokątną nawę główną, mniej więcej dwa razy tak długą jak szeroką, nakrywają dwa pola półkolistych sklepień krzyżowych, a w części nad chórem muzycznym sklepienie beczkowe. Jej przedłużenie stanowi krótkie presbiterium nieco od niej węższe, oświetlone dwoma z każdej strony wązkimi wysokimi oknami, zamkniętymi wprawdzie u góry łukiem okrągłym, ale mimo to robiącymi wrażenie okien gotyckich. Oko, zaniepokojone tą niespodzianką w renesansowej świątyni, szuka mimowoli innych jeszcze cech gotyckiego stylu. Trójścienna absyda, zamykająca presbiterium, ostrołukowe krzyżowe sklepienie chociaż bez żeber, bo je wyrabano, przekonują ją coraz bardziej, że się nie ludzi. Mały prostokątny kamienny portal, umieszczony w ścianie po

¹ Wszystkie rzeźby z czerwonego marmuru na froncie kościoła, tudzież główny portal są dodatkiem o jakie 50 lat późniejszym, tak kaže sądzić ich barokowa stylizacja.

prawej ręce, z supraportą, pokrytą prześlicznym drobniutkim renesansowym ornamentem, zaprasza nas do wejścia do zakrystyi: może tam jeszcze znajdziemy jaki szczegół, który nam stanowczo rozwiąże tę architektoniczną zagadkę. Rzeczywiście małą, niską zakrystyjkę nakrywa krzyżowe gotyckie żebrowane sklepienie. Tu już nie można oprzeć się przypuszczeniu, że presbiterium wraz z zakrystyą wyprzedziły na jakiś czas budowę nawy i zamku, i że presbiterium jest prawdopodobnie pierwotną kaplicą zamkową z czasów, kiedy mieszkanie panów na Brzeżanach stanowił jeszcze dwór drewniany, obwarowany położeniem i wałami usypanemi z ziemi.

W opustoszałej świątyni nie nas dłużej nie zatrzymuje; natomiast spieszo nam zobaczyć słynne na całą Polskę pomniki Sieniawskich, stojące w bocznych kaplicach.

Wejście do kaplic prowadzi przez okazałe portale, zamknięte u góry półkołem. Ciosowe odrzwia zdobi od strony otworu od dołu aż do początku archiwolty ornament linearny, kuty w kamieniu, w kształcie jakby wstęg wyginanych, lub raczej zdobnych okuć ślusarskich; sklepienie zaś łuku zdobią kasetony z rozetami. Od lica ścian nawy otacza portale późniejsza barokowa ornamentyka z gipsu, składająca się z pilastrów, nakrytych jońskimi kapitelami, i z belkowań, tudzież z aniołków, unoszących się wśród belkowania ponad łukami portali.

Wstępujemy do kaplicy po lewej stronie kościoła, zwróconej w stronę wschodnią. Jest to budowa o podstawie kwadratowej, kształtu i wielkości kaplicy Myszkowskich u Dominikanów w Krakowie, nakryta kopułą półkulistą, wspierającą się za pośrednictwem klinów (*pendentifs*) bezpośrednio na ścianach kaplicy. Obszernym kolistym otworem w środku kopuły wpada wzrok do wielkiej latarni, rozlewającej obficie światło po wnętrzu kaplicy. Oprócz tego oświetlają kaplicę dwa duże okna prawie prostokątne w południowej i północnej ścianie. Bogaty portal kazał nam spodziewać się, że jej wnętrze znajdziemy, jeżeli nie bogaciej od niego, to przynajmniej równie bogato rzeźbą przyozdobione. Doznajemy jednak pod tym względem zupełnego zawodu: gładkie jej ściany pokryte tynkiem sprawiają

wrażenie dzieła niedokończonego; czuje się, że to dopiero grunt, przygotowany pod przyjęcie artystycznej dekoracji. Ten zawód wynagradzają nam sownie bardzo ciekawe pomniki i trumny, które tu przedewszystkiem zwracają na siebie uwagę.

O ścianę wschodnią naprzeciwko wejścia do kaplicy opiera się okazały pomnik renesansowy w kształcie ołtarza o dwóch kondygnacjach z ciemnego alabastru z posągami wykutymi z czerwonego marmuru.

Na piedestale z ciemno-zielonego alabastru, jakby na wąskiej a długiej mniejszej ołtarza, stoi po obu stronach po dwie kolumny, mające trzony z tego samego materiału, zaś podstawy i głowice z alabastru białego. Podstawy (bazy) składają się z kwadratowej płyty i okrągłego kręgu; trzony kolumn gładkie pokryte od dołu do wysokości $\frac{2}{3}$ ornamentem, matowo na politurowanej powierzchni kutym w kształcie skośnej kraty, której pola wypełniają po cztery czworolistne rozetki; biały kapitel składa się z płyty okrągłej, przyozdobionej na krawędzi wolemi oczyma, i z płyty kwadratowej. Na tych kolumnach wspiera się belkowanie, stanowiące zarazem podstawę drugiej wyższej kondygnacji, zbudowanej w ten sam sposób, co dolna, z tą jedyną różnicą, że kolumny mają bazy i kapitele jońskie, tudzież że na belkowaniu wspiera się szczyt w kształcie daszku, na którego skrzydłach usiadło po dwóch pełnych wdzięku aniołków. Każda para kolumn mieści między sobą nyzę o półkolistej podstawie, konchowato sklepioną, przyozdobioną do połowy wysokości ornamentem w kształcie wstęg, łamiących się w geometryczne figury. Podobny ornament widzimy też na fryzie belkowania niższej kondygnacji; fryz kondygnacji górnej zdobi ornament w kształcie nieprzerwanej linii, skręcającej się i rozkręcającej naprzemian. Te wszystkie ozdoby, kute matowo na ciemnej politurowanej powierzchni alabastru, mają odcień popielaty, prawie biały.

W prostokątnych przestrzeniach pomiędzy obu parami kolumn spoczywają na sofach wykute z czerwonego marmuru posagi brodatych zbrojnych rycerzy. Boki sof zdobią miniaturowe płaskorzeźby z białego alabastru, przedstawiające tryumfalne

pochody. Na przodzie jadą konno trębacze, za nimi chorągry z rozwiniętym standarem, dalej hetman z buławą w ręce, a za nim parami rycerstwo; za każdą parą idzie pieszo po dwóch skrzepowanych Tatarów. Rycerze na lewych rękach wsparli głowy, w prawicach dzierżą brązowe buławy, miecze przy boku, przyłbice złożyli u stóp.

Rycerz w wyższej kondygnacyi to Mikołaj Sieniawski, wojewoda ruski, hetman w. k., założyciel Brzeżan, niestrudzony obrońca Rusi, który dwanaście napadów tatarskich rozgromił i niezliczone tłumy ludności, w jasyr prowadzonej, uwolnił. Na jego dworze, tudzież w warowniach, których wiele na obronę kraju na szerokich przestrzeniach Rusi powznosił, stały zbrojne chorągwie, gotowe w każdej chwili rzucić się na wroga, gdziekolwiekby się pokazał. Stąd też pod opieką jego dzielnej prawicy zakwitły dawno niewidzianym dobrobytem okolice wsi i miasta. Rolnik spokojnie uprawiał rolę, Ormianin bezpiecznie wioził towary z dalekiego Wschodu, mieszczanin bez troski o życie i mienie oddawał się rzemiosłu, a wszyscy z radością przypatrywali się tłumom jeńców tatarskich, budującym grody i sypiącym szańce na obronę tego ruchu i życia, które się tak pięknie rozpoczęło rozwijać. Nie było też serca, któreby za te zasługi nie było przepełnione wdzięcznością dla Sieniawskiego: czcili go i cenili zarówno wieśniacy i mieszczanie, jak szlachta i król, i czem kto mógł, tem mu cześć i uznanie objawiał. Kiedy w 1569 r., przeżywszy lat 80, na sejmie w Lublinie zakończył pełen zasług żywot, wyprowadzenie zwłok jego uczcił sam król, postępując z całym senatem za trumną. Szlachta zaś w parę lat później przy nadarzonej sposobności uczciła jego zasługi, odznaczając w niezwykle sposób jego syna Hieronima, uczestnika i towarzysza wszystkich prac i zasług ojcowskich: podczas bezkrólewia wybrała go wojewodą ruskim, wdzierając się w ten sposób w prawa królewskie. Wybór był jednak tak trafny i słuszny, iż król Stefan, zasiadłszy na tronie, nie wahał się go zatwierdzić.

Wspólne zasługi ojca i syna wspólny przypomina grobowiec: rycerz bowiem, spoczywający w dolnej kondygnacyi tego samego pomnika, to właśnie Hieronim Sieniawski, syn Mikołaja,

kasztelan kamieniecki, starosta halicki i kołomyjski, wojewoda ruski, zmarły w r. 1583 a 63 roku życia.

Pomnik ten bardzo piękny i pod względem architektury, i rzeźby, wystawiła ku uczczeniu pamięci męża i teścia Jadwiga z Tarłów, czwarta żona Hieronima Sieniawskiego. Kto jest jego twórcą, niewiadomo; może kiedyś monogram, jaki się na nim znajduje, wskaże drogę do złączenia tego cennego dzieła z nazwiskiem, które zajmie w dziejach sztuki polskiej niepoślednie stanowisko. Przy bliższem rozpatrzeniu się w szczegółach tego pomnika, nasuwa się przypuszczenie, że nie jest on dziełem jednej ręki: marmurowe posągi spoczywających rycerzy innego, zdaje się, są dłuta, niż część architektoniczna i rzeźby, wykonane w białym alabastrze. Za tem przypuszczeniem przemawia i technika i materyał. Mistrz, który wykonał część architektoniczną, nie bardzo był biegłym w rzeźbieniu postaci ludzkich; widoczne to i na opisanym powyżej pomniku i jeszcze więcej na dwóch innych pomnikach, stojących w tej samej kaplicy, które mu w całości należy przypisać: na pomnikach Anny z Maciejowskich, poprzedniej żony Hieronima Sieniawskiego, i Jana Sieniawskiego, najmłodszego z synów Mikołaja. Przypatrzmy im się bliżej.

Pomnik Anny z Maciejowskich stoi pod oknem przy ścianie północnej kaplicy. Ma kształt niskiej i płytkiej nyży, w której tuż nad posadzką spoczywa postać kobiety. Posąg, wykonany z alabastru białego, nyża z ciemnego. Boki nyży mają kształt wsporników (konsoli) renesansowych, esowato wyciętych, przyozdobionych na krawędzi liściem akantu, stojących podstawą na niskim postumencie, zaledwie się wznoszących ponad posadzkę kaplicy, a wierzecholkiem podtrzymujących górne uwieńczenie nyży, które tworzą dwie płyty z ciemnego alabastru, u góry esowato wycięte i na krawędziach akantem przyozdobione, oddzielone od siebie umieszczoną między niemi owalną tarczą z białego alabastru bez herbu. Matrona, spoczywająca w nyży, jest ubrana w długą po kostki gładką szatę, spiętą pod szyją bogato fałdowaną kryzą: z szyi spada jej na piersi podwójny łańcuch z krzyżem; lewą dłonią podparła głowę, upiętą welonem,

prawą trzyma zamkniętą książkę. Nad nią na ciemnem tle niży umieszczona z białego marmuru płaskorzeźba przedstawia dziecinę, leżącą na wznak, z nóżkami zarzuconemi jedna przez drugą. Z napisów na pomniku dowiadujemy się, że owa matrona to Anna z Maciejowskich, żona Hieronima Sieniawskiego, zmarła 1574 r. dnia 18 czerwca; a owa dziecina, to jej synek Jerzy, w dniu jej śmierci zrodzony, a zmarły pięć dni później.

Niży grobowca jest bardzo ładna, lecz posąg Sieniawskiej i płaskorzeźba, przedstawiająca dziecinę, bardzo wadliwe. Czuć u rzeźbiarza zupełny brak szkoły; zdaje się, że w rzeźbieniu posągów był samoukiem; że jednak miał wiele wrodzonego poczucia natury i piękna w niej rozlanego, świadczy nader wdzięczna poza dzieciny, a zwłaszcza pełna ruchu swoboda zarzuconych jedna na drugą nóżek.

O przeciwległą ścianę opiera się pomnik Jana Sieniawskiego, sędziego ziemskiego halickiego, najmłodszego z braci Hieronima, a synów Mikołaja, założyciela Brzeżan. Pomnik ma kształt ołtarza, a więc należy do tego samego typu pomników, co np. pomnik biskupa Tomickiego na Wawelu, aczkolwiek znacznie od niego odmienny. Część architektoniczna wykonana jest z ciemnego alabastru, posąg z białego. Na długiej a wąskiej mensie stoi po obu stronach po jednej kolumnie renesansowej doryckiej z bazami i kapitelami z alabastru białego, takimi samemi, jakie widzieliśmy w dolnej kondygnacyi pomnika Mikołaja i Hieronima Sieniawskich. Na kolumnach wspiera się architrav w kształcie dwóch płyt kamiennych, wysuniętych jedna nad drugą, oddzielonych od siebie cienką listwą i takąż listwą z góry nakrytych. Na gładkim powyżej fryzie widnieje napis: *Anno Domini 1584*. ponad fryzem występuje wydatny gzyms, przyozdobiony jońskim ząbkowaniem (*Zahnschnitt*) i jajownicą (*Eierstab*). Uwieńczenie pomnika stanowią dwie płyty esowato profilowane, przyozdobione na brzegach akantem, szerszemi końcami ku sobie zbliżone, aby niemi ująć tarczę z białego alabastru, bez herbu, uwieńczoną pióropuszem. W niży pomiędzy kolumnami spoczywa rycerz, wykuty niewprawną ręką z białego alabastru;

głowę sparł na szyszaku, w prawej ręce trzyma buławę, lewa opadła mu na głownię długiego miecza.

Na posadzce tej kaplicy stoją cztery cynowe trumny ze zwłokami Sieniawskich, wydobyte przed kilkunastu laty z podziemi kościoła i tutaj umieszczone. Boki ich zdobią wieńce i festony; na wiekach spoczywają na wznak postacie rycerskie w pełnej zbroi, odlane w wysokiej wypukłorzeźbie. Tablice, umieszczone w głowach trumien na wiekach, pouczają niegdyś, czyje w każdej z nich mieszczą się zwłoki; obecnie tylko jeden sarkofag Adama Hieronima Sieniawskiego, zachował taką tablicę, inne poodrywała świętokradzka ręka. Aby się dowiedzieć, kto w nich spoczywa, na to jedyny pozostaje sposób, szukać na posągach pomników tych samych twarzy, jakie mają postacie na trumnach spoczywające. Zbyteczna bawić dłużej w tej samej kaplicy, bo tu na to pytanie nie znajdujemy odpowiedzi; udajemy się więc do kaplicy drugiej, położonej po prawej stronie nawy.

Tu olśniewa, przygniata nas bogactwo rzeźb, marmurów, ozdób, pomników: oko nie wie, na czym pierwszej spocząć, co pierwszej oglądać. Trzeba przeczekać pierwsze wrażenie, aby być w stanie oderwać wzrok od całości, a przypatrzeć się z osobna każdemu cennemu szczegółowi i zdać sobie z niego sprawę.

Kaplica ma ten sam kształt i wielkość, co i poprzednia, ale niemal całe jej ściany zakrywają dwa ogromne pomniki i ołtarz; ile zaś ścian z pod nich wystaje, prawie wszystko pokryte rzeźbami i gipsaturami. Oświeca ją tylko jedno duże, okrągłe okno, umieszczone w górnej części ściany północnej, dostarczające jej wraz z oknami latarni podostatkiem światła. Półkolistą kopułę dzieli promienie, biegnące od jej środkowego obszernego otworu ku jej krawędziom, na ośm pól, wypełnionych płaskorzeźbionymi postaciami świętych, otoczonych bogatymi ramami. Są to wszystko białe barokkowe gipsatury, podobne do tych, które zdobią absydę kościoła św. Piotra w Krakowie ponad wielkim ołtarzem. Przez wielki kolisty w środku kopuły otwór wpada wzrok do obszernej wysokiej latarni, prawie całej szklanej, bo tylko wąskie słupki oddzielają od siebie ośm łukiem u góry zakończonych okien. Ponad oknami wieńczy la-

tarnię ośm herbów rodzin z Sieniawskimi skoligaconych. Na sklepieniu latarni na wypukłej tarczy błyszczy złożony herb Sieniawskich Leliwa, otoczony złocistymi literami: A. H. S. Po. (Adamus Hieronymus Sieniawski Pocillator).

W każdej ścianie kaplicy mieści się płytka nyzła, zamknięta archiwoltą, odpowiadająca rozmiarami portalowi kaplicy. Obramowania tych nyzł zdobią piękne renesansowe ornamenta, kute w kamieniu, lecz tak przysłonięte pomnikami i ołtarzem, iż ledwie można je dostrzedz; natomiast ołtarz, a przede wszystkim olbrzymie pomniki cisną się w oko i nieproporcjonalną do rozmiarów kaplicy wielkością sprawiają wrażenie natłoku i wzajemnego przeszkadzania sobie.

Naprzeciwko portalu występuje daleko ku środkowi kaplicy z nyzły przeciwległej ściany potężny i oryginalny swym kształtem pomnik Adama Hieronima Sieniawskiego, syna Hieronima, zrodzonego z Tarłówny, a wnuka założyciela Brzeżan. Wykuty jest z marmuru czarnego, części zaś dekoracyjne jak bary, kapitele, figury z marmuru czerwonego. Ma ogólny kształt sarkofagu, stojącego pod baldachimem na dwóch marmurowych stopniach; lecz jakżeż jest odmienny od tego typu pomników, częstych w epoce gotycyzmu, a wyjątkowych w stylu odrodzenia. Baldachim nie podpierają, jak to zwykle bywa, ze wszystkich stron kolumny, ale tylko z przodu wspiera się na trzech kolumnach, z tyłu zaś podporę stanowi ściana marmurowa, znacznie od długości baldachimu szersza i po obu stronach ograniczona kolumnami, mającymi czysto dekoracyjne znaczenie. Stanowi ona niejako zaplecze właściwego pomnika, a wznosząc się znacznie od niego wyżej, tworzy szczytowe zakończenie, uwieńczone figurą, która na niej stoi. Baldachim ma kształt baniastego dachu wydętego, podobnego do późniejszych dachów mansardowskich, wznoszącego się nad belkowaniem, wspartem na kolumnach, pokrytego liśćmi, kutymi w marmurze, różnego kształtu, przeważnie lancetowatemi. Grube ciężkie kolumny, dźwigające ten potężny baldachim, mają trzony gładkie, okrągłe, z marmuru czarnego, spoczywające na bazach z czerwonego marmuru, a uwieńczone są również czerwonymi korynckimi kapitelami. Na nich

wspiera się z czarnego marmuru architrav, wyżej czerwony, gładki fryz, a nad nim wydatny czarny gzyms o zwykłych w renesansie okrojach bez jakichkolwiek rzeźbionych ozdób. Z tego dopiero belkowania wyrasta wyżej opisany dach. Płaskie podniebie baldachimu zdobią rozety. Na środku dachu dwa potężne lwy trzymają w łapach tarczę herbową z Leliwą, uwieńczoną pióropuszem, na którym powtarza się ten sam herb. Na narożnikach baldachimu stoją cztery alegoryczne figury z czerwonego marmuru, wyobrażające cnoty zmarłego, a w środku na szczycie tylnej ściany piąta. Pod baldachimem na postumencie w kształcie skrzyni stoi potężna, wydęta trumna, a na niej spoczywa postać rycerza w zbroi. Boki trumny podpierają plecami trzy lwy z czerwonego marmuru, z których dwa skrajne trzymają w szponach zbroje, środkowy zaś tarczę herbową. Rycerz na trumnie spoczywa w pozie pełnej swobody i ruchu: głowę złożył na wezgłowiu, ozdobionem kutasami, pod którem położył szyszak, prawą ręką skroń podpira, lewą spuścił na rękojeść miecza, żelazne rękawice rycerskie złożył u nóg. Z napisu, umieszczonego na boku postumentu, na którym trumna spoczywa, dowiadujemy się, że Adam Hieronim Sieniawski, podczaszy wielki koronny, zmarł w r. 1619, w 43 roku życia¹.

Pamięci trzech jego synów: Mikołaja, Aleksandra i Prokopa jest poświęcony drugi w tej kaplicy pomnik, stojący przy ścianie północnej po prawej stronie od wejścia. Ogólny jego kształt zupełnie odmienny od pomnika ich ojca, a niemniej oryginalny. Należy do typu pomników ołtarzowych, lecz odbiega od tego typu, rzec można, tyle, ile pomnik ich ojca od typu sarkofagów pod baldachimem. Materiałem jego części konstrukcyjnej jest marmur czarny; posagi i figury wykute z czerwonego marmuru.

Na stopniach, stanowiących piedestał budowy, spoczywa jakby przy antypedyum ołtarza na trumnach dwóch rycerzy w zbroi, głowami zwróconych ku sobie. Położyli się na bok, aby się twarzą zwrócić do widza; każdy z nich jedną ręką, wspartą

¹ Napisy, znajdujące się na pomnikach Sieniawskich, podaje dokładnie broszura d-ra Maciszewskiego. p. t. „Pomniki Sieniawskich w Brzeżanach. Lwów, 1882”: opisy w niej zawarte są bardzo często błędne.

na poduszce, podparł głowę, w drugiej dzierży złocistą buławę; nogi poprzerzucali swobodnie jedna przez drugą. To nie wieczny sen, ale chwilowy po trudach wojennych wypoczynek w obozie. Snać wyszli z boju zwycięsko, bo wesołość maluje się w ich pięknych, młodych obliczach, usta złożone jakby do uśmiechu, a czoła zamysłone, czy też miłemi wspomnieniami rozmarzone. Twarz jednego młodzieńca, na której dopiero miękki wąż się puścił: to Aleksander, zmarły w latach młodzieńczych, bo w 22 roku życia w 1622 r.; drugi mąż w sile wieku to Prokop, chorąży koronny, zawołany wojownik w licznych bitwach z Tatarami, nie-mało zasłużony około chocimskiego zwycięstwa (1621), gdzie wraz z bratem Mikołajem na czele własnego pułku stawał; skończył żywot w r. 1626, mając lat 41. Powyżej nich na wysokim postumencie, jakby na mensie ołtarza, położył się w taki sam sposób Mikołaj, najstarszy z braci, ale najpóźniej z nich zmarły († 1636). Większa w jego twarzy maluje się powaga, bo więcej doświadczył w życiu, które w całości poświęcił na usługi Rzeczypospolitej. Aż do ukończenia wojny chocimskiej widzimy go prawie we wszystkich wyprawach przeciw Turkom i Tatarom: kiedy z tej strony ucichło niebezpieczeństwo, grożące ojczyźnie, spieszy bronić jej granic, zagrożonych najazdem szwedzkim.

Odrębność pomnika, o którym mówimy, od innych ołtarzowych pomników z epoki renesansu i baroko polega głównie na tem, że mistrz, co go wznosił, nie tworzy niży między kolumnami, aby w niej umieścić trumnę z leżącą na niej postacią zmarłego, lecz zostawiając wyżej opisane ugrupowanie posągów zupełnie wolne od otoczenia z boków, w tyle poza nimi wznosi czarną ścianę marmurową na szerokość kaplicy, jakby tło, na którem mają się grupować leżące przed nią z czerwonego marmuru posągi. Przy niej z jednej i z drugiej strony stawia po jednej kolumnie, na których wspiera się barokkowy, w środku wycięty szczyt w kształcie niedokończonego daszku. Kolumny nakrywają pseudokorynckie barokowe kapitele, przyozdobione festonami, zwisającemi z ich naroży, takie same, jaki widzimy np. w ołtarzu św. Katarzyny Syenneńskiej, w kaplicy Zbaraskich u OO. Dominikanów w Krakowie. Na skrzydłach daszku spo-

czywają z czerwonego marmuru alegoryczne postacie, trzymające umieszczoną między niemi, girlandami i symbolicznemi figurami przyozdobioną tarczę herbową, podzieloną na cztery pola, w których widnieje: Leliwa, Strzemię, Topór i Odrowąż. Z tarczy wystrzelił pióropusz z Leliwą, nad którym wystaje jeszcze zbroja z hełmem. W środku ściany między kolumnami, wśród bogatej armatury, utworzonej ze skrzyżowanych dział, proporców, zbroi, tarcz, kopij i t. d., jest umieszczona tablica z długim panegirycznym napisem.

W twarzach Mikołaja, Aleksandra i Prokopa Sieniawskich widzimy na posągach pomnika te same rysy, jakie widzieliśmy w twarzach postaci, spoczywających na trumnach w lewej kaplicy: nie trudno nam więc teraz odpowiedzieć na pytanie, czyje zwłoki mieści każda z tych trumien. Co więcej, w układzie postaci, w wyrazie twarzy, w traktowaniu niektórych szczegółów w posągach na pomnikach a odlewach na trumnach zachodzi tyle podobieństwa, iż nasuwa się przypuszczenie, że dla odlew-nika modelował z gliny postacie ten sam mistrz, który je później rzeźbił z marmuru.

Któż był tym mistrzem?

(Dok. nast.).

Jan Bryl.



NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

II.

Okres Jagielloński ¹.

Mając przejść do sprawy Unii z Litwą, zastanówmy się nad przeszłością tego kraju; a właśnie pojawiły się prace, które na te czasy rzucają nowe światło; co do niedawna pogrążonem było w mroku ciemności, jest teraz jasnem.

Na Litwie rządzili w XI. wieku i w pierwszej połowie XII. drobni książęta-dynastowie. Do życia politycznego powołały Litwę najazdy ruskie, a mianowicie Wielkich Książąt kijowskich i książąt czarnoruskich. Do obrony przed Rusią trzeba

¹ W przeszłym numerze *Przeglądu Powszechnego* zakończono początek niniejszego artykułu wiadomością o sceptycznym poglądzie A. Małeckiego na nomenklaturę „Lech, Lechia, Lechici“, na podstawie wzmianki uczynionej w tej sprawie w pracy poświęconej kronice Baszka. W kilka dni po wydrukowaniu numeru wyszło dzieło A. Małeckiego: „Lechici w świetle historycznej krytyki“. Autor uznaje, że Polaków zwano od najdawniejszych czasów także Lechami, a druga ta nazwa dotyczyła specjalnie Polaków nad górną Wisłą, podobnie jak „Polanie“ odnosiło się szczególnie do dorzecza Warty; potem oba wyrażenia stały się synonimami na oznaczenie całego narodu polskiego. Nazwa „Lechów“ znana jest nawet źródłom byzantyńskim. Serbowie nazywali Polaków Ledjaninami, z czego też madiarskie Lendiel; ruskie „ladski“, urobione jest z „Ladjanin“, co skraca się na: „Lach“. Rodzima nazwa „Lechów“ niema jednak związku z „Lechitami“ Kadłubka, wymyślonymi przez kronikarza-erudyta, dzięki szeregowi pomyłek; potem dorobiono „Lecha“, jako praojca Lechitów, a samą nazwę poj-

się było skupić pod wodzą jednego naczelnika; ten wybrany z pośród dynastów stawał się z czasem dziedzicznym. W ten sposób powstałi Wielcy Książęta, których było z początkiem XIII. wieku na Litwie pięciu, na Żmudzi dwóch; natenczas też Litwa zamienia walki z Rusią z odpornych na zaczepne. Grodno jeszcze w r. 1182 było pod panowaniem ruskim; pod litewską władzę przeszło przed r. 1209, w którym to roku Litwini, napadli po raz pierwszy na Wołyń; w r. 1219 pozyskali zachodnią część Czarnej Rusi, wschodnią część podbił dopiero Mendog po r. 1224.

Mendog był jednym z Wielkich Książąt już w roku 1219. Było ich natenczas siedmiu, zupełnie sobie równorzędnych, a mieli pod sobą drobnych książąt-dynastów. Imiona ich: Żywinbud, Dowiat i Wilikail bracia, Dowsprunk i Mendog bracia, na Żmudzi Erdywil i Wykint. Mendog posiadał południową część Litwy właściwej i Ruś Czarną; shładował on sobie całą Litwę w ciągu dziesięciolecia 1226—1236. Innych książąt starał się usunąć z Litwy, wskazując im zdobycze na Rusi; już w r. 1239 zajęli książęta litewscy chwilowo Smoleńsk, a około r. 1242 Połock. Na Inflanty wyprawia się Litwa po raz pierwszy w r. 1219, w r. 1236 zadaje Mendog Krzyżakom inflanckim wielką klęskę, ponownie wyprawia się tam w r. 1244 w 30.000 wojska.

W r. 1248 wypędza Mendog książąt litewskich, a swych krewniaków: Wykinta, Towtywiła i Erdywiła z Połocka; zbiegli

mować zaczęto mylnie, jako oznaczenie całej północno-zachodniej Słowiańszczyzny. Około r. 1700 niemiecki uczony Marcin Hancke, pragnący wykazać, że pierwotna ludność Ślązka była niemiecką, sfalszował tekst wrocławskiego rękopisu Kroniki Baszka w ten sposób, żeby Lechici przeciwstawieni byli ludności rodzimej (w ustępie o wyborze Piasta). Stąd geneza „kwestyi lechickiej“, i dociekania, kim byli owi Lechici i skąd przybyli.

Małecki ma niewątpliwie słusność, że „Lechitae“ są późnym wymysłem: przypuszczenia o szczepie lechickim w Słowiańszczyźnie mrzonką, a „kwestya lechicka“ w historyografii naszej smutną ofiarą potwornej mistyfikacji. Skoro Małecki przyznaje obok tego uprawnienie nazwie „Lechy-Lechowie“, może być na jego zapatrywania zupełna zgoda. Dodajmy, że dzieło to podaje przebieg całej „kwestyi lechickiej“ od Kadłubka do najnowszych czasów w sposób tak przejrzysty, że nawet niehistoryk z przyjemnością książkę odczyta.

oni do Daniela Halickiego, swego dziewierza. Daniel zawarł właśnie unię z Rzymem, a papież mianował legatem swym na Rusi arcybiskupa ryskiego; przez to Ruś włodziemiersko-halicka zbliżyła się do Inflant. Romanowicze zawierają z Rzeszą inflancką przymierze przeciw Mendogowi; przyłącza się do koalicji południowo-zachodnia Żmudź, skąd pochodzili wygnani z Połocka książęta, tudzież Jadźwingowie. Daniel wyprawił się na Ruś Czarną, mistrz inflancki Andrzej na Litwę. Jeden z owych książąt połockich, Towtywił, przyjmuje chrzest w Rydze i przez to staje się kandydatem koalicji do tronu litewskiego. Natenczas Mendog chrzci się także w zimie z r. 1250 na 1251, z poręki Zakonu i zyskuje przez to pomoc Krzyżaków przeciw Rusi. Poselstwo inflancko-litewskie jedzie do papieża, papież uznaje w lipcu 1251 Mendoga królem; szczęście mu sprzyja, Wykint poległ, Towtywił musi uciekać do Daniela, sam Daniel wojnę przerywa. W pierwszej połowie lipca 1253 odbyła się koronacja Mendoga; wtenczas darował on Zakonowi księstwo Wykinta, tj. południowo-zachodnią Żmudź. Zorganizowano kościół litewski. Arcybiskup ryski chciał mieć Litwę przyłączoną do swej metropolii, ale równocześnie występuje arcybiskup gnieźnieński Pełka z pretensjami swej metropolii do Litwy i mianuje biskupem litewskim Dominikanina Wita; był w tem czynny biskup chełmiński, który z polecenia papieskiego miał konsekrować biskupa litewskiego. Z zabiegów tych skorzystał Mendog, żeby zapewnić biskupstwu niezależność zupełną od jakiegokolwiek metropolii. Biskupem został kapłan krzyżacki, Chrystyan. Nowej stolicy biskupiej darował Mendog trzy klucze dóbr na Żmudzi, w sąsiedztwie krainy darowanej Zakonowi.

W następnym roku, 1254, wybucha znowu wojna z Danielem, gdy jednak poczęło grozić niebezpieczeństwo od Tatarów, obaj zapaśnicy zawierają z sobą przymierze. Roman Daniłowicz otrzymuje wtenczas zachodnią część Czarnej Rusi jako lenno litewskie. Mendog rozszerzył równocześnie panowanie swe na Rusi, czy to odzyskawszy Połock, czy też zajmawszy Czernichowszczyznę. W marcu bowiem 1255 zatwierdził mu papież Aleksander IV. zdobycze poczynione na Rusi. W drugiej zaś

bulli zezwala tenże papież na koronację jednego z synów Mendoga. Tymczasem Daniel rozpoczyna zaczepną walkę z Tatarami. Mendog posyła mu posiłki, ale podczas wojny nastają nieporozumienia między królami Litwy a Rusi. W r. 1258 Tatarzy wyprowadzają się już na Litwę pod wodzą Burondaja, który zmusił Romanowiczów do udziału w tej wyprawie. Mendog zajął lenno Romana, z Tatarami zaś uporał się w bitwie pod Mogilną.

Część Żmudzi, подарowana Zakonowi, nie chciała się jednak poddać krzyżackiemu panowaniu, ani też przyjąć chrześcijaństwa. Już w r. 1254 rozpoczęła się tam walka i trwała do r. 1257; po dwuletnim rozejmie wybuchnęła na nowo w r. 1259. Kurowie i Semigalowie łączą się ze Żmudzią, a po pewnym czasie stanął na czele całej akcyi przeciw Zakonowi syn Erdywiła, książę północno-wschodniej Żmudzi, Trojnat. Mendog trwa w przymierzu z Zakonem, jakkolwiek sprowadza to na niego niebezpieczeństwa, bo w całym państwie powstaje przeciw niemu stronnictwo pogańskie, mające na swem czele księcia holszańskiego, Dowmonta. Gdy Zakon poniósł walną klęskę nad jeziorem Durben w r. 1259 lub 1260, stronnictwo przeciwne Mendogowi wzięło stanowczo górę. Mendog musiał zmienić politykę i związać się z Trojnatem. Zwrócił się przeciw Krzyżakom, a zawierawszy przymierze z Nowogrodem, ułożył wyprawę na Kieś, stolicę mistrza inflanckiego. Wyprawa nie powiodła się, bo Nowogrodzianie nie dopisali, a Mendog zerwał z Trojnatem. Odtąd zaczyna się akcja Trojnata i Dowmonta przeciw Mendogowi; ułożyli oni spisek podczas wyprawy na Brjańsk, gdy król nie miał przy sobie wojska, i zamordowali go w jesieni 1263 wraz z dwoma jego synami Rublem i Repekiem. Partya pogańska była odtąd u steru, chrześcijaństwo zupełnie upadło. Mendog jednakże apostatą weale nie był, owszem, do końca wytrwał w chrześcijaństwie. Aleksander IV. wyraża się o nim w bulli ze stycznia 1260 jako o królu chrześcijańskim, a Klemens IV., w pięć lat po śmierci Mendoga, w r. 1268 daje mu chlubne świadectwo, chwalcąc go, jako monarchę chrześcijańskiego. Rzekoma apostazya, podobnież jak rzekoma donacya całej Litwy i Żmu-

dzi na rzecz Zakonu, są późniejszymi wymysłami (Juliusz Latkowski, „Mendog“).

Odtąd do początku XIV. wieku w historii Litwy dawniejszy panuje mrok. Około r. 1300 jest władcą Litwy Witenes, o którym wiadomo, że miał zamiar przyjęcia chrztu św., ale ostatecznie w pogaństwie pozostał. W r. 1315 następuje brat Witenesa, Gedymin. Franciszkanie i Dominikanie mieli na Litwie zupełną wolność głoszenia słowa Bożego; w Wilnie i w Nowogródku były katolickie kościołki. Chcąc raz na zawsze mieć spokój od Krzyżaków, a bardzo prawdopodobnie przejęty też zapałem szczerym do wiary św., postanawia Gedymin przyjąć chrzest, lecz nie z ramienia Zakonu, ale bezpośrednio z ramienia Stolicy Apostolskiej. W roku 1322 pisze tedy do Awinionu do Jana XXI., skarży się na niegodziwe postępowanie Krzyżaków względem Litwy, oświadcza gotowość przyjęcia chrztu, byle tylko od Zakonu był niezawisłym, prosi też o przysłanie legatów. Jednego z posłów wiozących ten list pojмали Krzyżacy i do więzienia wtrącili. Gedymin rozpisał wtenczas listy do miast nadbałtyckich Hanzy, do Minorytów i Dominikanów w Saksonii, w których przedstawił swoje położenie, a wzywał do zawarcia z sobą przymierza i traktatów handlowych, zaprasza do osiedlania się na Litwie, powołując się na gotowość przyjęcia chrztu. Do papieża wysłał drugie pismo za pośrednictwem Ryżan. Sprawą jego zajął się bawiący w Kuryi arcybiskup ryski, Fryderyk, od lat 12 przez Krzyżaków wygnany z kraju. W r. 1323 odbył się w Wilnie zjazd; przybyli na zaproszenie Gedymina posłowie miast inflanckich, Estonii, a także Zakonu, zawierać z Litwą pokój wieczysty; na zjeździe tym Gedymin poświadczył, że jest autorem porozsyłanych na wszystkie strony owych listów. Zawarto tedy pokój, a do dokumentu przywiesili pieczęcie także pełnomocnicy Zakonu. Było to atoli tylko łudzeniem Gedymina i opinii; chrzest Litwy nie był Krzyżakom na rękę, boby im odjął rację bytu.

W dwa miesiące po pokoju wileńskim zawiera Zakon przymierze z Nowogrodem przeciw Gedyminowi; zamykają szczelnie granice litewskie, tak, że Gedymin był zupełnie odgradzony od

świata i ustal zupełnie wszelki ruch handlowy. Przygotował też Zakon dwie wyprawy wojenne, jedną na Żmudź, drugą na Psków, dokąd Gedymin wysłał swego wodza Dawida. W maju 1324 napadli Krzyżacy na Wilno i spalili przedmieścia. Stany inflanckie, tak duchowne, jakoteż świeckie, zmuszał Zakon groźbami do zerwania pokoju wileńskiego i do wypowiedzenia wojny Litwie. Co zaś najgorsza, Zakon porozumiał się ze stronnictwem pogańskim, tudzież z podległą Gedyminowi Rusią. Żmudzini zagrozili wprost nie tylko powstaniem, ale nawet śmiercią w. księcia i zagładą całej jego rodziny, a Rusini wypowiadali posłuszeństwo. Gedymin musiał zaniechać swego zamiaru, jeżeli nie chciał narazić się na utratę tronu, a państwa litewskiego na zupełne rozbiecie. To też gdy w r. 1324 przybyli zapowiedziani papiescy legaci, Gedymin wyparł się zupełnie, jakoby był miał zamiar przyjęcia chrześcijaństwa i oświadczył, że piszący owe listy sekretarz, Franciszkanin, przekroczył instrukcję, że on oświadczał się tylko z uległością dla papieża, ale przez tę uległość nie rozumiał bynajmniej, że się ochrzci. Legaci papiescy zrozumieli jednak widać sytuację, skoro nie okazali wcale oburzenia. Pozostali jeszcze przez ośm miesięcy w Rydze, skąd porozumiewali się z Litwą, wstawiali się za posłami litewskimi uwięzionymi przez Krzyżaków, a nawet kazali ich wypuścić z więzienia; co więcej, przed odjazdem polecieli Zakonowi i Stanom inflanckim, żeby przez cztery lata pozostawić Litwę w spokoju i dotrzymać przymierza wileńskiego. Natomiast na Zakon spada równocześnie r. 1325 klątwa. — Gedymin wydała wprawdzie ze swego dworu Franciszkanów, ale pozostaje w jego otoczeniu Dominikanin, ojciec Mikołaj. Dochowała się do naszych czasów wiadomość o jednej rozmowie ojca Mikołaja z Gedyminem. Dominikanin zwraca uwagę księcia, że chcąc doprowadzić swój zamiar do skutku, powinienby oprzeć się o króla węgierskiego lub czeskiego, bo „Ojciec św. tak jest daleko, że zanimby odeń pomoc przybyła, nieprzyjaciół tymczasem doszczętnie was, królu, zrujnuje“. (Antoni Prochaska, „O prawdziwości listów Gedymina“).

Taka była na Litwie sytuacja w r. 1325. Nie wiemy, czy

Gedymin próbował „wybrać sobie króla Czech lub Węgier za ojca“ — ale tego samego roku wydawał swą córkę Aldonę za polskiego królewicza Kazimierza, a na wiano dał jej wszystkich jeńców chrześcijańskich.

Po śmierci Gedymina (1339) nastał na Litwie system wspólnych rządów, wykonywanych przez dwóch wielkich książąt równocześnie: Olgerda i Kiejstuta. Był to podział pracy niejako; Olgierd pilnował Rusi, a Kiejstut Krzyżaków. System ten nie był wynikiem jakiegoś planu z góry ułożonego; jakoż bywali już przedtem na Litwie równorzędni sobie wielcy książęta; wyrobił się ten system siłą faktów, skoro zaś okazał się praktycznym, postanowiono przedłużyć go na następne pokolenie. Po śmierci Olgerda na czele państwa staje Kiejstut wraz z Jagiellą. Jagiello ma zająć się sprawami ruskimi, a stary zaś Kiejstut będzie doglądać starolitewskiego Znicza. Ale Jagiello nie wierzył już w długowieczność znicza i przechylał się jawnie ku chrześcijaństwu, a mianowicie ku cerkwi wschodniej. Stąd wygnanie Jagielly, następnie powrót jego i zamordowanie Kiejstuta w r. 1382. Sprawy postępowały takim torem, że zanosilo się na powstanie jakiegoś wielkiego ruskiego państwa, obejmującego Ruś litewską i suzdalsko-zaleską, podczas gdy właściwa Litwa byłaby padła ofiarą Krzyżaków. (St. Smolka, „Kiejstut i Jagiello“).

Nie chciał Jagiello władzy dzielić z Kiejstutem, pragnąc sam być jedynym wielkim księciem litewskim na całym rozległym obszarze państwa Gedyminowiców. Litwa wychodziła z razu dobrze na podziale pracy w sprawowaniu rządów; rozszerzała się jej potęga na Rusi i z walki z Zakonem przez długie lata obroną wychodzono ręką. W ostatnich atoli latach przyćmiała gwiazda wojennego szczęścia Kiejstuta; położenie stawało się rozpaczliwem tak dalece, że tradycya przechowała nam podanie, jakoby Litwini mieli już zamiar wyemigrować i nowych siedzib sobie szukać. Jagiello uznawał prawdopodobnie z konieczności potrzebę porzucenia pogaństwa, podczas gdy Kiejstut pozostał bezwzględny jego obrońcą — może w tem tkwi przyczyna

upadku Kiejstuta przez szereg zrad, zakończonych uwięzieniem go w Krewie wraz z Witoldem w r. 1382.

Zbiegłszy z więzienia udał się Witold wraz z bratem Towciwillem do Janusza mazowieckiego; tam ochrzcił się Towciwillem pod imieniem Konrada. Witold po krótkim czasie przeszedł do Krzyżaków i ofiarował ochrzcić się u nich, jeżeli mu Zakon pomoże do odzyskania ojcowizny, tj. Wielkiego Księstwa Trockiego z prawami wielkiego księcia litewskiego. Jagiello zniósł zupełnie to wielkie księstwo, a Troki otrzymał Skirgiello, jako zwykły udział zawisły od Wilna. Nieco przedtem zawarł Jagiello z Zakonem traktat na ostrowie Dubissy 1 listopada 1382, mocą którego odstąpił Krzyżakom połowę Żmudzi; przez cztery lata zobowiązał się dawać posiłki wojenne Zakonowi, a po upływie tego czasu ochrzcić się w obrządku rzymskim. Warunki te równały się już niemal uznaniu lennego zwierzchnictwa; należało tylko próbować wyrzucić jeszcze większy nacisk. Wogóle wśród tych okoliczności korzystniej byłoby dla Zakonu ochrzcić Jagiellę, władającego obecnie na całej Litwie, niż Witolda, niemającego nic. To też zastanawiano się, czy Witolda wogóle ochrzcić i sprawa ta przeciągnęła się jeszcze cały rok. Zdecydowano się ochrzcić Witolda dopiero, gdy doznano niepowodzenia w wojnie wszczętej umyślnie z Jagiellą. Chrzest nastąpił w Tapławie 21 października 1383 roku; nadano Witoldowi imię Wiganda; wkrótce potem przybył do Prus najmłodszy Kiejstutowicz, ochrzcił się także i otrzymał imię Zygmunta. Witold wzbraniał się atoli zapisać swą ojcowiznę na lenno Zakonowi: to też na „rejzie“ 1384 trzymano go bezczynnie w obozie i to pod dozorem. Wyprawa była niepomyślna; postanowiono wymusić u Witolda zapis. Witold wydał wprawdzie dokument lenny, ale równocześnie już się znosił z Jagiellą, który sam pierwszy doń się zwrócił. Witold miał otrzymać zaraz Podlasie i okręg grodzieński, Troki zaś, gdy dla Skirgielly zdobędzie się Połock na Andrzeju (przyrodnim bracie Jagielly); podano jednak Witoldowi warunek, że musi przejść na schyzmę wschodnią; ten warunek nie sprawiał mu zapewne trudności. We wrześniu 1384

zdradził Krzyżaków i przeszedł do Jagielly. Już wówczas Jagiello myślał o tronie polskim.

W marcu 1385 polskie i litewskie poselstwo bawi na Węgrzech i układa preliminarja ślubu z Jadwigą przy udziale arcybiskupa ostrzyhomskiego, kardynała Dymitra, legata papieskiego na Węgry i Polskę. Litwę wcielano do korony polskiej bez jakichkolwiek zastrzeżeń; przystał na to Witold, że król polski będzie zarazem wielkim księciem litewskim i uznał się lennikiem Jagielly, jako króla polskiego. W dwa dni po podpisaniu traktatu o unię w Krewie, wyruszyła z Królewca wyprawa krzyżacka na Litwę. Andrzej Połocki zaś uznał się lennikiem landmistrza inflanckiego w październiku 1385. W sam dzień Nowego Roku 1386 próbowali Krzyżacy przeciągnąć jeszcze raz Witolda na swoją stronę, lecz bezskutecznie. W Krakowie czekał na Jagiellę legat Urbana VI., kardynał Maffiola; w jego obecności odbył się chrzest i ślub z Jadwigą, dnia 15 i 17 lutego 1386. Stał polski maszt dziejowy, około którego dano grupować się wiekom narodowego życia w doli i niedoli.

Spieszono się nadzwyczaj z uroczystościami krakowskimi, bo na Litwie równocześnie wojna. Zakon, Andrzej Połocki i Światosław Smoleński rzucili się na Litwę. Ażeby Jagiellę powstrzymać od podróży do Krakowa, uprzedzono go o zamierzonej wyprawie; Jagiello mimo to pojechał, starając się tylko w Krakowie o rychłe wysłanie odsieczy. Andrzej Połocki pragnął zdobyć Witebsk: gdyby się ten plan był powiódł, Litwa byłaby od północy zamknięta szczelnie nieprzerwaną linią wrogów; ale takie powiększenie posiadłości Andrzeja wyszłoby na korzyść nie tyle Zakonu, ile raczej Moskwy. Skoro zaś nie udało się Jagielly na Litwie zatrzymać, Zakon nie przywiązywał już wielkiej wagi do tej wojny. Ostatecznie wojna białoruska 1386 r. skończyła się dla Jagielly pomyślnie, a związek Andrzeja z Zakonem zerwał się po pewnym czasie. Nawracanie Litwy, wymagające pokoju, tudzież wojna nowogrodzko-moskiewska powstrzymały zaczepną walkę z Andrzejem; w marcu jednakże 1387 r. Skirgiello zdobył ostatecznie Połock.

Zakon był z początku bezradny wobec unii. Proces Wil-

helma o Jadwigę nie miał zasadniczego znaczenia wobec tego, że na ślubie był legat papieski. Przez pewien czas obawiano się w Rzymie, czy Jagiello nie zwrócił się niespodzianie do antypapy, posła bowiem polskiego uwieziono w drodze. Gdy jednak rzecz się wyjaśniła, Rzym uznał Jagiellę oficjalnie. Połączono jednak zarazem zawrzeć pokój z Zakonem.

Jagiello bardzo sobie pokoju życzył, ażeby tymczasem zdobyć Psków, a Nowogród poddać pod swój wpływ. Misję tę powierzył bratu swemu Lingwenowi. Zakon jednak także od dawna już myślał o zdobyciu Pskowa. Landmistrz Robin von Elzen zdobywa się w r. 1388 na konkretny program wobec unii; za oś polityki uważa sprawę żmudzką i pskowską. Wtenczas to sfalszowano rzekome zapisy Mendoga i zaczęto się na nie odtąd powoływać. Zasadniczym punktem polityki krzyżackiej stało się też odtąd, żeby na trwałe pokój z Litwą nie przystawać inaczej jak tylko pod warunkiem, że Litwa nie będzie czynić na Rusi dalszych zdobyczy: chodziło o Psków. Wobec tego pokój był niemożliwy.

Tymczasem zaczynają się mącić stosunki z Witoldem. Wywołał on niechęć Jagielly już w Krakowie 1386 r. przez to, że powrócił do katolicyzmu, jakkolwiek traktat krewski od niego tego nie wymagał. Na Litwie właściwej schyzma była wzbronioną, Witold schyzmatyk byłby tedy musiał usunąć się na Ruś i Jagiello dał mu rzeczywiście Wołyn. Witold jednak pragnął powrócić do Trok. Oddał Jagielle usługi na wyprawie halickiej, a wróciwszy z niej, dowiedział się, że Jagiello nadał teraz Skirgielle Troki dziedzicznie. Rozpoczyna tedy opozycję; dopuścił się dwóch nielegalnych kroków: zaręcza swą córkę Zofię z w. kniazem moskiewskim, Wasylem Dmitryjewiczem, bez wiedzy Jagielly, i samowolnie też zaczepia Krzyżaków, zajmując zastawioną im Wiznę. Doszedłszy wreszcie do przekonania, że od Jagielly nie doczeka się zwrotu ojcowizny, postanawia sam zostać wielkim księciem, a przez to zwraca się przeciw traktatowi krewskiemu, który Litwę do Polski wcielił. Opozycja prowadzi go ostatecznie powtórnie do Krzyżaków.

Skutkiem tego musi Jagiello zaniechać swych planów wscho-

dnich i zdecydować się na wojnę z Zakonem. Plan wojny rozpoczętej w r. 1390 nie doszedł do skutku; przeciwnie, trzeba było na Litwie prowadzić wojnę obronną. Tymczasem powstaje w Polsce stronnictwo niechętne litewskiemu wpływowi na politykę polską, dążące do pokoju z Zakonem, obecnie już wbrew Litwie. Od r. 1386 miała Polska cztery wojny z powodu Litwy a żadnej z nich korzyści; stronnictwo to pragnęło oddzielić politykę polską od litewskiej. Stanowisko takie odpowiadało zupełnie planom w. mistrza Wallenroda, pragnącego gorąco pokoju z Polską, aby mieć tem większą swobodę na Litwie. Po pewnem ścieraniu się stronnictw stanęło wreszcie na tem, że wojnę z Zakonem należy wprawdzie prowadzić, ale też zarazem przywrócić godność osobnego w. księcia na Litwie. Kandydatem był Wigunt, ale Jagiełło sprzeciwił się mianowaniu w. księcia.

Dopiero, gdy przez zastaw ziemi Dobrzyńskiej wojna rozpoczęta stała się w r. 1391 również niemożliwą, a w wojnie odpornej poniesiono stanowcze klęski, przystał Jagiełło na mianowanie odrębnego w. księcia i (po śmierci Wigunta), zrywając nagle ze Skirgiellą, przyzwał Witolda, z którym stanęła uгода w Ostrowie.

Miejsce unii krewskiej zajęła ostrowska. Litwa nie jest już wcielona do Polski; stanowi odrębne państwo z swym własnym monarchą, ale monarcha ten jest lennikiem Korony polskiej, i to nie dziedzicznym, lecz tylko dożywotnim. W ten sposób ocalono zasadniczą myśl unii krewskiej, a chciano uniknąć złych jej skutków, wynikających z tego, że niemożliwem było, ażeby jeden panujący rządził na przestrzeni od Ślązka do Nowogrodu, a nie zaniedbał ani tu, ani tam sprawy państwowej (F. Koneczny: „Jagiełło i Witold podczas unii krewskiej 1382—1392“, tudzież: „Polityka Zakonu Niemieckiego w latach 1389 i 1390“).

Jest spór o to, czy Witold został już w 1392 r. formalnie wielkim księciem, czy też tylko generalnym starostą Jagielly? Z tem drugim zdaniem wystąpił A. Lewicki w rozprawie: „Kiedy Witold został wielkim księciem Litwy?“ (*Kwartalnik historyczny*, VIII, 3), gdzie stara się wykazać, że godność wielkksiążęca dostała się Witoldowi dopiero w latach 1399—1401.

F. Koneczny trwa jednak przy oznaczonej przez siebie dacie 1392. (z czem i A. Lewicki zgadzał się pierwotnie, we wstępie do swego dzieła „Powstanie Świdrygiełły“), bo z przebiegu faktów tego już roku wynika, że Witold posiadał zaraz wówczas zwierzchniczą władzę nad Kijowem, tudzież, że Nowogrodzianie za pana Litwy go uważali; wypadki zaś następnego roku 1393 świadczą niewątpliwie, że Witold miał pełną władzę na Litwie. Spór ten wtenczas dopiero rozstrzygniętym być może, gdy będą opracowane monograficznie, szczegółowo lata 1392—1401. Przedwczesne wysnuwanie wniosków z kilku zaledwie luźnych faktów na nie się nie zda.

Kto był duszą tej wielkiej polityki, która z czasów Jagiełły czyni takie wspaniałe epos historyczne, czy Jagiello, czy Witold? A. Lewicki mniema, że Witold był tylko wykonawcą pomysłów Jagiełły. F. Koneczny sądzi, że — o tem jeszcze pisać nie można, że do ustalonego sądu o obydwóch tych postaciach jeszcze daleko, bo trzeba przedtem zbadać szczegółowo, z wszelkimi drobiazgami, wszystkie wypadki z panowania Jagiełły. Dotychczas zna się jako tako to i owo, ale niczego gruntownie: wyjątek stanowią tylko pierwsze i ostatnie lata tego długiego panowania.

Nie posiadamy też żadnego nowego przyczynku do spraw husyckich i unijaekich z czasów Jagiełły i Witolda: ani też stosunki z Zakonem nie doczekały się wyświeatlenia i Grunwald czeka jeszcze na autora. Mamy jednak ciekawą wielce, bo całkiem niespodzianą nowinę, że omal Brandenburgia nie utonęła w Polsce, omal Hohenzollernowie nie stali się narodową polską dynastją. Rzecz jest najzupełniej sprawdzona, a miała się tak:

Król Jagiello kończył już siódmy krzyżyk, a nie miał męskiego potomka. Dziedziczką korony, uznaną za takową formalnie przez panów polskich, była jedynaczka jego, królowna Jadwiga. Rządy najrozleglejszego państwa w Europie należeć miały do przyszłego jej męża. Kandydował do jej ręki i miał popleczników w tej sprawie Bogusław ks. Słupski z Pomorza, którego brat stryjeczny, Eryk, władał w zjednoczonych trzech państwach skandynawskich. Pod jego egidą możnaby wziąć Krzyżaków

we dwa ognie, od lądu i morza, od Polski i Skandynawii; odzyskałoby się Pomorze gdańskie i jeszcze zyskałoby się Pomorze szczecińskie — na które spoglądała od dawien zazdrosnem okiem także Brandenburgia. W r. 1420 Polska posłała posiłki wojenne książętom szczecińskim przeciw Fryderykowi, elektorowi brandenburskiemu, założycielowi dynastji Hohenzollernów. W następnym roku sytuacya nagle się zmienia; siedmioletni syn elektora, margrabia Fryderyk, zostaje narzeczonym dwunastoletniej królowny Jadwigi i uznanym następcą tronu w Polsce. Równocześnie zawiera Polska z Brandenburgią tajne zaczepne przy mierze przeciw Krzyżakom. Brandenburskie pachołę przyjeżdża w r. 1422 do Polski i już stałe tu przebywa, wychowując się na Polaka. Tegoż roku ożenił się wprawdzie Jagiełło poraz czwarty, ale miał lat 70, a zatem Hohenzollernowie nie uważali tego małżeństwa za groźne.

Elektor brandenburski pozostawał w ściłym sojuszu z największym wrogiem Polski, z cesarzem Zygmuntem Luksemburskim; od tych zaręczyn jednak poróżnili się dawni przyjaciele, a elektor dawał się cesarzowi potężnie we znaki. W r. 1424 odbył się w Krakowie liczny zjazd książąt na koronaację królowej Zofii. Na zjeździe tym był też cesarz, i Eryk duński i książę bawarski Ludwik, największy wróg elektora; ci wraz z książętami mazowieckimi i ślązkimi nalegają na Jagiełłę, żeby wydał córkę za księcia Słupskiego. Równocześnie jednak papież Marcin V. i kolegium elektorów Rzeszy wstawia się za margrabią brandenburskim. „Oddano sprawę do decyzji Witolda. Posłowie obydwóch królów udali się z panami polskimi do Grodna, aby z ust jego usłyszeć słowo rozstrzygające. Witold dał wymijającą odpowiedź, Jagielle jednak poradził poufnie, żeby nie rozwiązywał układów z elektorem. Na to wpłynęła może okoliczność, o której zapewne mało kto wiedział w czasie pobytu posłów na dworze Witolda: królowa Zofia była od kilku tygodni w ciąży. Dnia 30 października 1424 r. urodził się Jagielle syn, późniejszy Władysław Warneńczyk; 16 maja 1426 drugi, który umarł po kilku miesiącach; 29 listopada 1427 trzeci (Kazimierz Jagiellończyk). Według układu w r. 1421 wobec synów Jagielly gasły prawa

jego uznanej dziedziczki. Ale prawa te odżyłyby na nowo w razie bezpotomnej śmierci królewiczów. Zresztą w Polsce prawa sukcesyi królewiczów nie były jeszcze uznane; król rozpoczął dopiero targi z panami, które ciągnęły się do 1430 r. W tem położeniu elektor nie odwołał syna z Polski; młody Fryderyk wychowywał się na dworze Jagielly do 18 roku życia. Powrócił na dwór brandenburski dopiero w r. 1431, po śmierci swej narzeczonej, którą podejrzliwa opinia współczesna przypisywała truciźnie królowej Zofii“. Tenże Fryderyk kandydował potem jeszcze na tron polski w r. 1446, gdy wątpliwem się stało, czy Kazimierz Jagiellończyk królem zostanie.

Myśl połączenia Brandenburgii z Polską wyszła najpierw od Ludwika węgierskiego; w myśl pierwotnych jego planów królową polską miała zostać Marya, zaręczona z Zygmuntem Luksemburskim, wówczas margrabią brandenburskim. Związek ten miał doprowadzić Polskę do wybrzeży Bałtyku, bo Brandenburgia miała pretensye do Pomorza. Dlatego też Wielkopolska broniła tak gorąco praw Maryi do tronu; dodajmy, że ówczesna Brandenburgia była jeszcze krainą w znacznej mierze polską, nie zupełnie zniemczoną. Po czterdziestu latach znowu Wielkopolska podjęła myśl wprowadzenia na tron polski władcy Brandenburgii, z nowej brandenburskiej dynastyi Hohenzollernów. Elektor wiedział oczywiście, że w takim razie nie wejdzie Polska wraz z Litwą w Brandenburgię, ale Brandenburgia w Polskę. Liezni historycy niemieccy „w każdym kroku tego księcia wykrywają znamiona niemieckiego patriotyzmu“; owóż ten książę, protoplasta Hohenzollernów, wychowywał syna na Polaka! (St. Smolka: „Sukcesya brandenburska w Polsce“).

Dokładną znajomość końca rządów Jagielly zawdzięczamy znakomitej monografii A. Lewickiego: „Powstanie Świdrygielly“. Sprawa koronacyi Witolda 1429—1430 r., omówiona na podstawie obfitych źródeł. Zygmunt Luksemburski wyzyskał osobistą ambicję Witolda, ażeby z Litwy zrobić niezawisłe odrębne królestwo, któreby pozostawało w stałym sojuszu z cesarstwem, Węgrami, Czechami i Zakonem Niemieckim; w ten sposób Polska otoczona byłaby rzędem państw sprzymierzonych w da-

nym razie — przeciw niej. Nawiasem mówiąc, plan na dłuższy czas absolutnie niewykonalny!

Myśl oderwania Litwy od Polski podejmuje Świdrygiełło. W myśl traktatów, Litwa miała tworzyć po śmierci Witolda (1430) prostą prowincję Korony polskiej; przeciw temu występuje najmłodszy z braci Jagiełły, któremu jednakże nie o zasadę chodzi, ale o swoje wyniesienie. Pięć razy już się buntował przed r. 1430; w latach zwłaszcza 1401—1404 wszczął znaczniejszą zawieruchę polityczną w spółce z Zakonem, odwołując się już wtenczas do żywiołów schyzmatyckich, jakkolwiek sam oficjalnie był katolikiem. Po śmierci Witolda panowie litewscy, pragnący odrębności litewskiego państwa, mieli w nim gotowego kandydata; nie dlatego, żeby Świdrygiełło był reprezentował jaką ideę, lecz po prostu dlatego, że był zawsze wrogiem Jagiełły. Ogłoszono tedy Świdrygiełłę wielkim księciem. Król niespodzianie tem zaskoczony, gotów był przystać, byle zachowano warunki uznane przez Witolda: dożywotność, a nie dziedzicność władzy, tudzież lenny stosunek do Korony. Świdrygiełło jednak żądał więcej i posunął się do tego, że pojął Jagiełłę.

Wszczęto jawny bunt. Świdrygiełło (katolik) już za dawniejszych lat znanym był jako poplecznik schyzmatyków. Teraz narzuca się na opiekuna schyzmie, a Ruś schyzmatycka, upośledzona wobec katolików ustawami z r. 1387, garnie się do niego tak gorąco, tak liczenie, że po krótkim czasie sprawa prawno-państwowego stosunku Litwy do Korony schodzi w powstaniu na drugi plan, a cała sprawa nabiera cechy schyzmatycko-ruskiego buntu; litewskie żywioły nikną w przewodze pierwiastku ruskiego. Wojna nabiera przez to z polskiej strony znaczenia wojny o katolicyzm i cywilizację zachodnią. Świdrygiełło zawiera sojusz ze schyzmatyckim wojewodą wołoskim. Próbuje też układów z Husytami, ale nie mógł się jeszcze zdecydować ze względu na Zygmunta Luksemburczyka, który sam był w walce z Husytami. Cesarz jednakże nie wahał stanąć po jego stronie i skłonił nawet Krzyżaków do przymierza z Świdrygiełłą. Straszny najazd Zakonu odbył się wprost pod hasłem wytopienia narodu polskiego. Dnia 1 września 1431 zawarto dwuletni rozejm, obej-

mujący Świdrygiellę, Wołoszę i Zakon. Próbowano zgody ze Świdrygiellą, lecz napróżno, bo niechciał porzucić sojuszu z Krzyżakami. Natenczas zdecydowano się ogłosić „wojnę z całą nacyą niemiecką“. Rozumieć przez to należy wojnę z ówczesnym europejskim systemem, reprezentowanym przez Niemcy, jako państwem przodującym cesarską koroną; wojnę z imperyalizmem, wojnę z polityką opartą na interesach dynastycznych, na podbojach i uciemężaniach; zwrócono się radykalnie przeciw uznawanej powszechnie teorii, jakoby cesarz był panem chrześcijańskich krajów, a przeciwstawiono jej teorię unii, zgodnego pożycia narodów, które same mają stanowić o swoim losie, nie dążąc bynajmniej do panowania jednego narodu nad drugim. W tem przeciwieństwie tkwi europejska doniosłość tej wojny.

Przeciw imperyalizmowi zwrócono się radykalnie. Zawarto przymierze nawet z Husytami, bo skoro rządy wszystkich państw ościennych zwróciły się przeciw Polsce, nie było innej rady, jak odwołać się do ludów; przyświecała zawsze jednak z daleka myśl, że wyzyska się tylko narodowy pierwiastek husyckiego ruchu, a gdy mu się uczyni zadość, Czesi powrócą na łono Kościoła. Nie wahano się poruszyć przeciw Zygmuntowi, królowi Węgier, stanów węgierskich, a stanów pruskich przeciw panom kraju, Krzyżakom. Ale najradykalniejszym środkiem, przeciwnym wszelkim ówczesnym pojęciom politycznym w Europie, było ogłoszenie r. 1432 równouprawnienia schyzmatyków z katolikami. Równocześnie wyniesiono na wielkie księstwo Zygmunta Kiejstutowicza znowu tylko dożywotnio, lecz już przewidując, że monarsza ta godność będzie odtąd stała, że po śmierci Zygmunta wyznaczy się znowu nowego w. księcia.

Skutki tej polityki szybko się okazały. Cesarz (jako król węgierski) i Zakon mieli do czynienia z oporem własnych poddanych, którzy nie chcieli walczyć przeciw polskiemu hasłu unii; Litwa opuściła Świdrygiellę. Przeciw Zakonowi użyto Husytów, Ruś nie miała przyczyny do walki, (Łuck dobrowolnie się poddaje), a na Litwie nowy w. książę dobrze sobie radził.

Niemniej przeto walka trwała jeszcze dalej. Zakon najechał na Polskę. Tatarzy i Wołosza na Podole, a sam Świdrygiello

z inflanckimi Krzyżakami na Litwę. Jesienią 1432 poniósł Świdrygiello klęskę pod Oszmianą, a w r. 1433 spotkał go już zawód ze strony najszczerzego sojusznika, Zakonu. W. mistrz, Paweł Russdorf obrał już był politykę wyczekiwania, kto będzie górą; próbował mieć w różny sposób, ale nie udało mu się omamić Polaków; nie udało się również wyzyskać przeciwko Polsce soboru bazylejskiego.

W lecie 1433 r. nastąpił odwet na Krzyżakach, dokonany w przymierzu z Sierotkami husyckimi. Zakon prosił o rozejm. Równocześnie wrzała walka na Wołyniu i Podolu, a ta miała rezultat pomyślny dla Świdrygielly; to też Polska przystała na rozejm z Zakonem na trzy miesiące. Do rozejmu przyjęto też Świdrygiellę, ale nie zgodził się na to w. książę Zygmunt Kiejstutowicz, prowadził wojnę dalej i odzyskał wszystkie ziemie, zdobyte przez Świdrygiellę.

Rozejm z Zakonem miał posłużyć za podstawę do zawarcia stałego pokoju. Ze strony polskiej podano między innemi dwa warunki: ani cesarz, ani papież nie mają odtąd mieć wpływu na sprawy pomiędzy Polską a Zakonem¹, pokój zaś mają zagwarantować stany obydwóch państw. Warunki te wywołały zdziwienie w Europie i były przedmiotem dyskusyi na soborze bazylejskim; cesarz, Zakon i Świdrygiello domagali się od soboru, żeby Jagielle wytoczyć o to proces. Zakon odrzucił ten warunek i chciał się na nowo zabrać do wojny; ale wtenczas stany oświadczyły, że pragną pokoju z Polską, a gdy Zakon na to nie przystanie, poszukają sobie pana, który im pokój zabezpieczy. Russdorf musiał tedy zawrzeć 12letni rozejm w Łęczycy (1433) zmuszony do tego przez własnych poddanych. W następnym roku umarł Jagiello; Zygmunt Kiejstutowicz uznał swym zwierzchnikiem królewicza Władysława, a panowie polscy osłabili wroga postawę cesarza Zygmunta tem, że zaczęli z nim układy o małżeństwo młodziutkiego swego króla z jedną z jego wnuczek.

¹ Wiadomo, że Zakon przeciw orzeczeniom papieskim powoływał się na cesarza, a od cesarza odwoływał się do papieża.

Zakon nie miał zamiaru dotrzymać warunków łączyckiego rozejmu, ale stany pruskie stały na straży pokoju; były nawet o to zaburzenia w Prusiech. W. mistrz Russdorf wyręczał się tymczasem w wojnie inflanckim oddziałem Zakonu, podczas gdy z Polską traktował o stały pokój. Rokowania rozbiły się o owe dwa zasadnicze warunki. Z wiosną 1435 r. decydował się Russdorf na nową wojnę, ale wnet się przekonał, że sympatye ludności Prus są po stronie polskiej.

Równocześnie Świdrygiello chce ratować swą sytuację staraniami o unię kościelną; nawiązał rokowania z papieżem Eugeniuszem, podczas gdy Polska stała wówczas po stronie soboru. Tem się tłumaczy, że Świdrygiello i Zakon popierali wówczas tę sprawę, podczas gdy rząd polski zachowuje się wobec niej obojętnie. Metropolita Herasym nie ufał religijności Świdrygielly, że zaś szczerze unii pragnął, więc sam stanął po stronie Polaków, od których się spodziewał, że przeprowadzą unię szczerze i na pewno. Świdrygiello spalił Herasyma na stosie, zgniótł sprzysiężenie, wymierzone przeciw swej osobie, ale nie zapobiegł utracie Wołynia.

W r. 1435 rozstrzygnęły się losy wojny. Zakon pospieszył z Inflant na pomoc Świdrygielle; sam w. mistrz radby też z Prus wkroczyć do Polski, ale obawiał się oporu Stanów. Sądził, że powaga cesarskiego imienia przełamanie niechęć Prus i prosząc cesarza o wydanie mandatu w tym względzie, stanął z wojskiem na samej granicy. Polacy zdolali jednak tym razem usidlić Luksemburczyka dyplomacją, a wojsko mogło z Korony pospieszyć na Litwę. Żeby temu zapobiedz, wysłał Russdorf do Polaków *ultimatum*, z którego się zdawało, że jednak przekroczy granicę, pomimo, iż obowiązywał go jeszcze przez dziesięć lat rozejm łączycki. Udało mu się; wojsko polskie pozostało pilnować pruskiej granicy. Celu jednakże nie osiągnął, bo Świdrygiello i landmistrz inflancki ponieśli pomimo to straszną klęskę pod Wilkomierzem nad rzeką Świętą, dnia 1 września 1435 r. Bitwę tę porównywali już współcześni z pogromem grunwaldzkim.

Teraz musiał Zakon przystąpić do zawarcia stałego pokoju; stanął pokój brzeski dnia 31 grudnia 1435. Świdrygiello

trzymał się jeszcze przez jakiś czas, walecząc z posiłkami tatarskimi; odnosił nawet jeszcze zwycięstwa, gdy jednakże opuściła go Białoruś, zawarł rozejm w listopadzie 1436. Zygmunt Kiejstutowicz, obawiając się, żeby Świdrygielle nie przyznano w pokoju zbyt łatwych warunków, żeby go nie użyto za rodzaj przeciwwagi przeciw niemu, ruszył na resztę posiadłości Świdrygielly, na Kijów i Łuck. Natenczas zawarł Świdrygiello układ z panami Czerwonej Rusi we Lwowie, mocą którego oddawał Polsce Łuck, a w zamian za to zapewnił sobie poparcie tych panów przeciw Kiejstutowiczowi. Ale zjazd generalny w Sieradzu unieważnił umowę lwowską. Opinia polska była tedy podzielona: panowie czerwonoruscy chcieli Litwę podzielić pomiędzy Zygmunta a Świdrygiellę, podczas gdy rząd chciał Świdrygiellę zniszczyć doszczętnie. Moźnowładztwo Czerwonej Rusi miało tu rację: Zygmunt Kiejstutowicz bowiem także nie był zupełnie pewnym i gdy mu owi panowie czerwonoruscy Łucka wydać nie chcieli, począł się i on także zmawiać z Zakonem, i zawarł przymierze z następcą Zygmunta Luksemburczyka, Albrechtem II. Przeważała jednak opinia, żeby się Świdrygielly pozbyć raz na zawsze, odebrano mu tedy wszystko. Dopiero po śmierci Zygmunta Kiejstutowicza, zamordowanego 10 marca 1440, pozwolono mu osiąść na Łucku.

Z długiej tej, a tak niebezpiecznej wojny wyszła Polska nietylko obronną ręką, lecz wzmocniona. Zakon był podcięty, a co najważniejsza, „nacya niemiecka“ odcięta już od wpływu na losy państwa polskiego. Nie troszcząc się o uroszczenia imperyalizmu niesiono coraz wyżej sztandar unii, braterstwa ludów. Unii dokonano wkrótce na szerszej widowni, na soborze florenckim; niemniej przeto potwierdzono w r. 1443 przywilej zabezpieczający schyzmatykom równość polityczną z katolikami. (A. Lewicki: „Powstanie Świdrygielly“).

Do spraw węgiersko-polskich za Warneńczyka nie mamy nic nowego; wyprawy jego tureckie czekają jeszcze na historyka. Wiadomo, że współcześni przypuszczali z razu, że król ocalał w bitwie pod Warną i że gdzieś na obczyźnie przebywa. W r. 1452 udawał Warneńczyka Jan z Wilczyńy koło Ryczy-

wolu, który zrobił sobie zawód życia z tego, żeby udawać po kolei różnych książąt. Ciekawszem jest, że w r. 1466 magnat czeski Leon z Rožmitalu, podróżując po Hiszpanii, spotkał się tam z pustelnikiem, którego miano za króla polskiego, pokutującego za złamanie przysięgi; pustelnik ten wypierał się, ale jakiś Polak, towarzysz Leona, sądził, że to na pewno król, bo go poznaje po — sześciu palcach na nodze. Jak na legitymację, dowód oczywiście niewystarczający i blahy; tem bardziej tedy stwierdzić trzeba, jak długo i uporeczywie utrzymywało się przekonanie, że młody król nie poległ pod Warną. (A. Lewicki, „Pseudo-Warneńczyk“).

Kazimierz Jagiellończyk nie kwapił się z przyjęciem korony polskiej. W r. 1446 pojawiła się nawet kandydatura Fryderyka brandenburskiego. Chodziło o punkta sporne pomiędzy Litwą a Koroną, a zwłaszcza o przynależność Wołynia i Podola. Sprawa jest dosyć zawiła. Zanotujmy w tem miejscu, że zagadnieniem o państwową przynależność Podola zajął się specjalnie A. Prochaska w pracy: „Podole lennem Korony w latach 1352—1430“, w której wywodzi, że aż do śmierci Witolda Podole było polskiem, a nie litewskiem lennem. Kazimierz Wielki wykonywał tu już prawa zwierzchnicze, potem przez pewien czas Korona węgierska, poczem znów kraina ta wraca do Polski; ziemianie podolscy byli, zdaniem autora, nawet za Witolda wasalami nie Litwy, lecz Polski.

Do całego panowania Kazimierza Jagiellończyka znamy zresztą jeden tylko przyczynek, któryby mógł zainteresować ogół czytającej publiczności. Turcy zajęli w r. 1484 ujście Dunaju i Dniestru, Kilię i Białogród. Następnego roku ruszył Kazimierz Jagiellończyk osobiście na południowo-wschodnią granicę we 20.000 wojska. W Kołomyi odebrał hołd i przysięgę od wojewody mołdawskiego Stefana. Wielka armia nie ruszyła jednak dalej; tylko trzy tysiące pancernych przydzielono gospodarowi. Turcy nie posunęli się na razie dalej, ale Kilii nie można było odzyskać, a nastała obawa o odwet Turcyi za owych pancernych. W r. 1487 uchwalono znaczny podatek na zbrojenia. Bajazet puścił na Polskę horde nadwołżańską. Wyprawiono przeciw nim z wojskiem królewicza Jana Olbrahta, który pokonał

ich 8 września 1487 w świetnem zwycięstwie pod Kopystrzynem nad Murachwą. (Datę bitwy, którą jeszcze Szujski w swych „Dwunastu księgach“ odnosi do r. 1489, oznaczają akty w trzecim tomie *Codicis epistolaris saeculi XV. ed. A. Lewicki*; ineydentalnie i krótko, lecz źródłowo dotyka tej sprawy Fr. Papée w rozprawie: „Zatarg podatkowy Kazimierza Jagiellończyka z miastem Krakowem 1487“).

Po śmierci tego króla w r. 1492 ubiegali się o tron polski synowie jego: Władysław, król czeski i węgierski, Jan Olbracht, i Zygmunt ks. głogowski, a podobno także Aleksander. Arcybiskup gnieźnieński z częścią senatu chciał osadzić na tronie Władysława; głosy szlachty były podzielone; mieszczkańscy posłowie byli za Olbrachtem. Zwyciężył Olbracht, używszy zbrojnej pomocy. (Ferdynand Bostel i A. Brückner: „Do elekeyi Jana Olbrachta“. *Kwart. hist.* IX., 3).

W nowem zupełnie świetle przedstawia się sprawa wyprawy wołoskiej Olbrachta, zakończonej klęską bukowińską. Dotychczas sądzono, że wyprawa 1497 r. była tylko pozornie skierowaną na Turka, a w rzeczywistości, że chodziło o zdobycie Wołoszy dla królewicza Zygmunta. Okazuje się, że był to dalszy ciąg akcyi o odzyskanie Kili i Białogrodu. Warownie te postanowili Jagiellonowie zdobyć dla hospodara Stefana i umówili się o to na zjazdach w Lewoczy i Parczowie. W wyprawie nie wziął udziału Władysław węgierski, zawarłszy tymczasem rozejm z Turcyą; brał jednak udział w. książę litewski Aleksander. Hospodar Stefan zdradził i gdy wojska polskie się zbliżały, napadł wspólnie z Turkami Halez i Kołomyję, a wreszcie oświadczył wręcz, że uważa się za poddanego sultana, a wroga króla polskiego. Wobec tego Olbracht wkroczył nieprzyjaźnie do Mołdawy. Natenczas rozeszła się wieść, że chce Mołdawę zdobyć dla Zygmunta, a wyprawa turecka posłużyła mu tylko za pozór; wieścią tą zaniepokojony król węgierski grozi wojną, jeżeli Polacy nie opuszczą Mołdawy. Olbracht ustąpił i zawarł z posłami węgierskimi jakiś układ, do którego i Stefan przystąpił. W odwrocie jednak wbrew układowi został napadnięty przez Stefana, Turków i Węgrów i poniósł ową straszną klęskę w bukowiń-

skich lasach (A. Lewicki, „Król Jan Olbracht o klęsce bukowskińskiej“. *Kwart. hist.* VII, 1).

Tymczasem na Litwie w. książę Aleksander, zajęty sprawami wschodnimi, zawarł sojusz — z Zakonem niemieckim w Inflantach. Stosunki się zmieniły: inflancki oddział Krzyżaków bał się już Moskwy i musiał w Litwie upatrywać ewentualną ochronę. Landmistrz Plettenberg już w r. 1494 pragnął sojuszu z Litwą, ale Aleksander przystał nań dopiero w r. 1500, podczas wojny moskiewskiej. Stanął tedy dziesięcioletni sojusz zaczepno-odporny, mający trwać bezwarunkowo aż do r. 1511, choćby nawet w tym czasie zmarł Aleksander lub Plettenberg, bo tak wyraźnie zastrzeżono. Landmistrz pragnął zagarnąć z pomocą litewską Psków, od wieków upragnioną dla Zakonu zdobycz; Aleksander niechętny był temu zamiarowi, ale potrzebując sam tego sojuszu, przyrzekł poparcie. Właśnie, gdy się umawiano o wyprawę pskowską, umarł Jan Olbracht. Aleksander, zajęty kandydaturą na tron polski, cofnął się zaraz na stanowisko obronne, a Plettenbergowi zmniejszył ilość posiłków, w końcu wcale ich nawet nie posłał. Skutkiem tego Plettenberg zmarnował zupełnie kampanię 1501 roku. Pragnąc wyprowadzić się na Psków w styczniu 1502 r., zapytywał o to Aleksandra; nie otrzymawszy odpowiedzi odłożył wyprawę do czerwca, następnie aż do sierpnia 1502. Wtenczas już sam bez litewskich posiłków wyruszył na Psków, ale wyprawa całkiem się nie powiodła.

Iwan III. namawiał do separatystycznego pokoju. Bardzo gorąco pragnął też pokoju Władysław czesko-węgierski, któremu pacyfikacya wschodu potrzebną była ze względu na sprawę turecką. Posel jego, Santaj, pośredniczył w Moskwie i skłonił wreszcie Iwana, że zgodził się na rozejm z obydwoma sprzymierzeńcami choć nie wspólny, to jednak równocześnie zawarty. Stanął rozejm do r. 1509, a ponieważ sojusz litewsko-inflancki miał trwać do r. 1511, więc w razie jakiegokolwiek zawikłań przed r. 1511 należało znowu wspólnie działać.

Wielki mistrz Zakonu był przeciwny temu sojuszowi z Litwą i wogóle wojnom z Moskwą, bo wolałby użyć Inflant do osłabienia jagiellońskiego państwa ze względu na sprawę hołdu

pruskiego, którego odmawianie groziło ciągle wojną. Plettenberg, zniechęcony nieuczciwem bądź co bądź postępowaniem Aleksandra, wyrzekł się już w r. 1505 zamiaru prowadzenia wojny z Moskwą. Gdy właśnie w tym roku umarł Iwan III., a Aleksander pragnął wypowiedzieć wojnę jego następcy, landmistrz wręcz odmówił udziału. W następnym roku, 1506, umarł Aleksander, a następca jego na W. Księstwie Litewskim, Zygmunt, z nim jeszcze pozyskał tron polski, zwrócił się od razu przeciw Moskwie. Inflanty nie brały udziału w tej wojnie. W marcu 1507 r., stanął bowiem układ na zjeździe w Kłajpedzie między w. mistrzem a landmistrzem, że Inflanty nie zawrą żadnego układu przeciw Moskwie ani z Polską ani z Litwą. Plettenberg w różny sposób łudził Zygmunta, aż wreszcie wymówił się mandatem cesarskim, zakazującym mu walki z Moskwą. Nie dostarczywszy posiłków, uwalniał Plettenberg tem samem Zygmunta od obowiązku zawierania pokoju wspólnie. Król zawarł stały pokój w r. 1508, podczas gdy Inflanty miały już tylko jeden rok rozejmu. Udało się jednakże Infantom zawrzeć w r. 1509 rozejm czternastoletni, przedłużony następnie w r. 1521 na dalszych lat 20, podczas gdy pokój z Polską i Litwą Wasyl zerwał już w r. 1512.

Z tej nowej wojny moskiewskiej pragnął skorzystać nowy wielki mistrz, wybrany rok przedtem, Albrecht Brandenburski. Plettenberg oręźnie przeciw Zygmunтови nie wystąpił, ale przystąpił do koalicji, zawiązanej przeciw Polsce przez cesarza Maksymiliana. Na kongresie wiedeńskim 1515 r. koalicja ta rozerwała się; skoro Zygmunt abdykował na rzecz Habsburgów w polityce czeskiej i węgierskiej, Maksymilian pogodził się z Jagiellonami. Natenczas Albrecht Brandenburski zawarł na własną rękę sojusz z Moskwą przeciw Zygmunтови. Z Plettenbergiem umówił się, że w r. 1516 ruszą razem na Żmudź. Landmistrz wszystko na wojnę przygotował, ale ostatecznie pozostał tylko biernym świadkiem pochodu Albrechta na żmudzkie granice. Nie występował jednak ze sojuszu z Prusami; nadzieja Zygmunta, że go na nowo dla Litwy pozyska, okazała się płonną. W r. 1519 król wypowiedział wojnę w. mistrzowi; Plettenberg wspierał wprawdzie

swego lennego zwierzchnika, ale bardzo drobnemi posiłkami. Już w kwietniu 1520 doradzał zawarcie pokoju, w lipcu odmówił dalszej pomocy, a następnie przyrzekł ją na nowo tylko pod warunkiem zwolnienia inflanckiego Zakonu i rządzonej przezeń Estonii od zwierzchnictwa wielkich mistrzów. Albrecht nie miał do tego ochoty, ale łudził landmistrza i wyludzał w ten sposób coraz to nowe zasilki, a rzekł się zwierzchnictwa dopiero w r. 1525, gdy sekularyzacya już była postanowioną.

Sekularyzacya Prus sprawiła, że w Inflanciech nastąpiła zupełna prostracya wobec Moskwy; nie chciano już ani słyszeć o wojnie z Moskwą, odkąd miano wroga w sekularyzowanych Prusiech i obawiać się musiano zamachów Albrechta na Inflanty; oczywiście bowiem sekularyzowany książę pruski stał się największym wrogiem Zakonu, który miał pod boki, w Inflanciech. (F. Koneczny: „Walter von Plettenberg, landmistrz inflancki, wobec Zakonu, Moskwy i Litwy 1500—1525”).

Polityczna historia XVI. w. jest nader ubogą w nowiny: Mamy ciekawą i piękną pracę A. Pawińskiego: „Młode lata Zygmunta Starego“, tudzież studyum „Ostatnia księżna Mazowiecka“ uzupełnione nadto drugą pracą pod tym samym tytułem przez Ferdynanda Bostla. Monografie te nie tłumaczą nam jednak żadnej ważniejszej sprawy politycznej z XVI. wieku.

Natomiast do historii wewnętrznej mamy „nowin“ sporo i to nowin pierwszorzędnej wagi. O nich jednak pomówimy w przyszłym zeszycie *Przeglądu*.

(C. d. n.)

Dr. Feliks Koneczny.

OBRAZKI Z KRAKOWSKIEJ NĘDZY.

IV.

Pańskie dziady.

Już zwykły dziad, zgarbiony, pokorny, gdy przed kościołem, na ulicy, na odpuscie rękę wyciąga, nieraz gdzieindziej i kiedyindziej, lub gdy wywnioskuje, że niczego się nie ma spodziewać, prostuje się, przybiera maniere pańsko-oficerskie, niezmiernie łatwo się uraża, i gdyby to u dziadów było w zwyczaju, wysyłałby niechybnie kilka razy na tydzień swych sekundantów na wszystkie cztery strony świata. To zwykłe dziady, a cóż dopiero dziady inteligentniki, dziady karmazynowe, dziady pańskie? Osobny to, wcale nierzadki typ, wzbudzający czasem serdeczną litość, czasem — aby nie powiedzieć: częściej — nie mniej serdeczną antypatyę.

Charakterystyczną cechą „pańskich dziadów“ jest głęboko wkorzenione przekonanie, że nie społeczeństwo im, ale oni społeczeństwu wyrządzają łaskę, kiedy raczą być na jego koszt ubierani, pojeni i karmieni. Kiedyś mieli swój dom, domek, folwarczek, kiedyś na porcelanie jadali; Żydzi zabrali po kolei dom, domek, folwarczek, porcelanę; wyborowe wina zastąpić trzeba było cienkuszem, piwem, wódką; nowomodne kapelusze kapeluszami zeszłorocznymi. Oczywista to wina społeczeństwa, niechże przynajmniej społeczeństwo się stara, aby nie zabrakło nędznego cienkusza, modnej parasolki, nie zbyt przestarzałego kapelusza.

Lub znowu nigdy nie było własnego domu, własnej porcelany; nie było — ale być mogło, a przeszkodził temu jedynie los zawistny, ale było kiedyś u rodziców, u dziadków, u pradziadków. Niechże społeczeństwo winy losu naprawia!

„Ja miałabym iść na guwernantkę? — dziwi się *notabene* po francusku młoda pauna bez grosza — Ależ moi przodkowie przewróciliby się w grobie na taką propozycję!”

„Co, jakto? — irytuje się dość młody chłopak, którego z czystego miłosierdzia przyjęto na praktykę do sklepu — Ja miałbym się zniżyć do takiej podłej roboty?! Przecież my nie byle jacy; my znamy panią Kociułowską!...”

Siostrę owego chłopca wprowadzono po długich staraniach za nauczycielkę gry na fortepianie do z gruntu chrześcijańskiego bardzo porządnego domu. Cóż, kiedy nieszczęsna znajomość z „wysoko urodzoną” panią Kociułowską również panience przewróciła w głowie. Wolą do zebranimy wrócić, niż uczeiwie na chleb zarabiać, bo jak żaliła się i tłumaczyła: „Traktują mię, jak byle co, a my przecież znamy panią Kociułowską...”

Stary polski wiarus, nie przebierając bardzo w wyrazach opowiada z humorem, silną dozą usprawiedliwionej goryczy zaprawnym:

„Przechodzi do mnie facet, chłop jak dąb i dęby mu rąbać. Pytam: „Czego Wasan chcesz?” A on bez ogródki, ani się zachłysnął: „Proszę o wsparcie, bo jestem szlachcie polski”. Dyabła z taką szlachtą, i potem ludzie się dziwią, że połowę polskiej szlachty dyabli wzięli. Każdy bestya szlachcie chce panem być, każdy szelma adwokat chce być jasnym panem, na meble wydaje, na żonę wydaje, na jej małpiarskie zachcianki: szale, wody zagraniczne... Dwa lata nie minie, braciszek kochany przysyła do arcybractwa prośbę o zapomogę. Dałbym ja panu i pani zapomogę, żeby popamiętali ruski miesiąc!...”

Pani, bardzo przyzwoicie ubrana, zgłasza się do osoby zupełnie sobie nieznaney i prosi o reńskiego na bilet do teatru, bo, jak się tłumaczy: „ładną dziś sztukę grają i chciałabym ją pokazać córce”. „Jestem dziedziczka — przedkłada inna — ale nagłą biedą przyciśnięta i szóstkę wezmę”.

Wchodzi pan, kłania się uprzejmie i prezentuje się po formie najpiękniejszym historycznym nazwiskiem. Któż wiedzieć może, któż odrazu śledztwo poprowadzi, czy stale i urzędowo noszonym, czy zapożyczonym na chwilę, dla chwilowej potrzeby:

„Jestem hrabia Kochanowski“.

„Jestem hrabia Potocki“.

Naturalnie gospodarz zrywa się z krzesła, podsuwa fotel i w głowę zachodzi, jaki interes sprowadza mu tak niespodziany zaszczyt. Ale już pierwsze, przytłumionym głosem wymówione słowa pana hrabiego, który w dodatku z pewnem wahaniem zajął miejsce na kraju fotelu, budzić w nim zaczynają pewne podejrzenie:

„Mam bardzo ważny, ale ściśle osobisty interes“.

„Jak tak się zacznie — mówi z uśmiechem jeden ze starszych krakowskich proboszczów — wiem z góry, czem to pachnie. Dowiem się niechybnie, pod pieczęcią najściślejszej dyskrecyi, że Jaśnie Pan Hrabia znajduje się chwilowo w niesłychanie krytycznem położeniu. Lada dzień, lada godzina pieniędzy się spodziewa i nie rozumie, czemu z poczty nie przychodzą; fakt, że nie przychodzą. Więc tymczasem w pełnem zaufaniu udaje się z prośbą o drobną pożyczkę, którą z wdzięcznością zwróci jak najprędzej. Oh! o niewiele chodzi, o jakich głupich kilkanaście, choćby kilka reńskich. Nie można kilka reńskich, niema pod ręką, w biurku? Ależ to niemożliwe! A tyle o uczynności, o zaćności księdza proboszcza mi opowiadano! Ha! cóż robić — niechże będzie choć reński, niech będzie korona! I korony nie? Strach, jak świat się psuje, ludzkie serca twardnieją. Dawniej księża inni byli! Więc daj ksiądz choć 20 centów, daj choć 10 centów!...“

„Wbiega służący i przynosi bilet wizytowy, ładny, pachnący. Za biletem wsuwa się dama, wyperfumowana, wystrojona; modny kapelusik, futerko mięciuchne, bućki na skrzypcach grają za nią. I znowu ta sama komedia. W pierwszej scenie prośba o pożyczanie pięciu florenów; w ostatniej schowanie 10 centów do aksamitnej kieszonki. Czasem dla odmiany w środkowej scenie następują fochy, gniewy, próby omdlenia, krzyki: „Cóż ksiądz

mię masz za prostą żebraczkę?! Zdarza się, że dziesięciocentówkę rzuca z patosem na ziemię i wylatuje z furją! Koronyby nie rzuciła, ale nadaśać się, takżeby się pewnie porządnie nadaśała“.

„Pański dziad“, dziadówka, którzy umieją sprytnie a systematycznie chodzić koło swego procederu, mają z niego wcale nie najgorsze utrzymanie, a nieraz mogą sobie nawet pozwolić na pewne wygody, na zbytki. Tak np. do pewnego przemysłowca krakowskiego zgłosił się kilkakrotnie jakiś bardzo porządnie ubrany pan z prośbą o wsparcie. Pierwszy raz dostał reńskiego, drugi raz koronę, następnie dostawał stale po 10 ct. Pewnego wieczora nasz przemysławiec, wszedłszy do bardzo porządnej miodosytńi i tu spotkał się ze znajomym paneń-dziadem przy jednym stoliku: obaj kazali sobie miodu podać, ale wspierający przemysławiec pił miód po 15 ct., wspierany żebrak po 25 ct.

Inny, podobno ukończony technik, gdy mu ktoś cztery centy do ręki wsuwał, odparł z godnością:

„Przepraszam, cztery centy to za mało, bo od pewnego czasu nie piję wódki, ale tylko wino“.

Jeszcze inny, utrzymujący się ze żebrów, zwykł jadać regularnie obiad za 60 ct., popija go szklanką wina i zapala cygaro za 8 ct. Nic dziwnego, że irytuje się, kiedy mu kto daje 10 ct. Wszak trzeba od czasu do czasu wydać herbatkę dla kółka znajomych; trzeba jaki taki salonik utrzymać, mebelki posprawić; trzeba się w lecie przejechać. A te dające „dziady“ myślą, że za marnych 10 centów opędzi się wszystkie potrzeby!

Nieliczne takie egzemplarze pańskich żebraków, mających swe przyzwoite mebelki, swe saloniki, spraszających na herbatki, nieliczne, ale istnieją, a przynajmniej istniały; utworzyła się o nich cała legenda i nie przestaje najbardziej szkodzić tym, którzy stali na wyższym szczeblu społecznej drabiny, a później na sam dół rzuceni, bez środków do życia, bez możności i umiejętności zarobienia sobie na życie, godni są istotnie największego politowania. Nie wszyscy z nich mieli w swych koronach dziewięć lub pięć pałek; niektórzy służyli państwu, inni uczciwie na chleb zarabiali; coraz szło gorzej, gorzej, aż przyszedł dzień, w którym już i Żydzi powiedzieli: „Z panem nie ma interesu,

my panu dalej nie będziemy pożyczać". Biedni to ludzie, bez porównania biedniejsi od tych, co stoją po ulicach i wyciągają rękę, co ciągną z odpustu na odpust i przynoszą do domu pełne sakwy miedziaków. Niektórzy z własnej winy wpadli w nędzę; innych smutne koleje życia zwołały pchały coraz niżej do coraz ciasniejszych izdebek, do coraz dotkliwszego głodu; innych poświęcenie dla drugich, czasem heroiczne, szczytne, czasem trochę nieopatrzone, lekkomyślne, doprowadziło do żebraczego kija. Trudno im rękę wyciągać, ciężko pisać prośby o parę grajcarów; ale konieczność, głód zmusza, a głód przemożny pan i despota.

Zacytujmy sucho parę lakonicznych biografij, wyjętych z najściślej sprawdzonych urzędowych aktów jednego z krakowskich stowarzyszeń miłosiernych z ostatnich lat kilkunastu. Zmieniamy jedynie, z łatwych do zrozumienia względów delikatności prawdziwe imiona i nazwiska na fikcyjne:

Helena Kijańska, wdowa po doktorze medycyny. Córka niegdyś zamożnego obywatela. Dwanaścioro dzieci umarło. Miewa epileptyczne napady. Cała rodzina w ciężkiej biedzie.

Zofia Gryniecka, liczy lat 76, wdowa po urzędniku manipulacyjnym. Była dozorczynią w jednej z krakowskich ochronek i z tego źródła ma miesięczną emeryturę: 10 złr. To jej jedyny dochód, a wychować i wyżywić musi pięcioro żyjących dzieci (czworo umarło) i dwoje wnucząt.

Józefa Kalikowa, lat 74, córka doktora medycyny, wnuczka profesora uniwersyteckiego. Miewa napady epileptyczne. Zarabiać nie może.

Józefa Warszezykiewicz, wdowa po diurniście sądowym. Połowę czasu leżeć musi w łóżku; z domu nie może wychodzić. Dzieci ma pięcioro: córka 24-letnia chodzi do szycia, 22-letnia chora obsługuje w domu, 19-letnia uczęszcza do seminarium, 16-letnia do szkoły, syn 15-letni chodzi do gimnazjum. Trudno domysleć się, z czego żyją.

Franciszka Kociarska, wdowa po szewcu. Mieszkała z dziewięciu innymi osobami w izdebce bez okna, oświetlonej przez szybkę umieszczoną we drzwiach. Ma ośmioro dzieci małoletnich.

Michalina Pirlińska, wdowa po dzierżawcy zrujnowanym w r. 1846. Ośmioro dzieci zmarło. Była nauczycielką prywatną i rządową, ale wychodząc dla wieku podeszłego ze służby, nie doszła do wyznaczonych do emerytury lat urzędowania i dlatego dostała tylko jednorazową zapomogę.

Michalina Małkiewicz, wdowa po adwokacie z Królestwa Polskiego, zrujnowanym wskutek powstania 1863 r. Jeden syn umarł na Syberyi, drugi drzeworytnikiem w Peszcie, ale złe mu się powodzi i matki nie może wspierać.

Marya Gudzińska, córka oficera wojsk polskich z roku 1831. Była prywatną nauczycielką, ale zaszła na oczy i od 16 lat nie jest w stanie uczyć. Ma trzech biednych braci.

Wiktorya Kazikiewicz, wdowa po nauczycielu. Córka dorosła utrzymywała ją ze szycia, ale sama od lat 12 straciła władzę w ręku.

Marya Badzicka, wdowa po prywatnym oficjaliście. Po śmierci córki nauczycielki żyła pewien czas ze sprzedaży pozostałych rzeczy. Ale niema już co sprzedawać. Nie może chodzić bez pomocy.

Marcelina Bilska, wdowa po obywatelu i wyższym urzędniku rosyjskim. Majątek straciła w r. 1863. Córka wykształcona umarła przed kilku latami z przeciążenia pracą i wycieńczenia. Syn 37-letni zupełnie niedołężny. Sama jest zgrzybiałą staruszką...

Biedni nauczyciele, biedne nauczycielki, guwernantki, które póki sił i zdrowia starczyło, wpychały w młode głowy przeróżne nauki, przymuszały niesforne paluszki do przebierania po klawiszach; a gdy zabrakło sił, gdy nagle rzucić przyszło rodzinną prowincję, znane domy; gdy nagle tak nudnych, ciężkich, a tak teraz upragnionych lekcyj zabrakło, znalazły się wprost na bruku.

„Nie dalej jak wczoraj — opowiada poważna pani niemal ze łzami w oczach — zgłosiła się do mnie 50-letnia nauczycielka, Polka, z Petersburga. Wypędzili ją nie żandarmi, nie policya, ale niegodziwi pasierbowie, którzy ze wszystkiego ją ograbili. Obiecywano jej opiekę i protekcję, ale pod warunkiem, że przejdzie na prawosławie. Przyjechała do Krakowa, przekonana

święcie, że tu wszyscy przyjmą ją z otwartymi rękami; że potrzebuje tylko z wagonu wysiąść i wybrać sobie, od kogo przyjmą zechce mieszkanie, potrzebne wygody, później odpowiednie zatrudnienie. Zajeżdżając na kolejowy dworzec miała 10 reńskich w kieszeni; wynajęła jakiś kącik, zostało po paru dniach dwa reńskie. Gra dobrze, mówi nieźle po francusku i po niemiecku. Ale gdzie ją rzucić wobec potopu nauczycielek, guwernantek młodszych, energiczniejszych, będących w stanie opłacić i biuro i anonse, znających stosunki a mimo to drepczących bezskutecznie przez całe tygodnie od domu do domu?“

Inna nauczycielka muzyki, już nie przybyła gdzieś z krańców świata, ale stale mieszkająca w Krakowie, rozchorowała się po dwóch miesiącach głodzenia się. Choroba swoją drogą, a lekye swoją drogą, bo zaprzestanie lekcyj doprowadzićby musiało do śmierci głodowej. Więc nie zważając na chorobę, trzeba było przyjmować uczennice, jakie raczyły się zgłosić i za jaką cenę zgłosić się raczyły; trzeba było cały dzień z niemi na fortepianie brzdąkać. Zostało jedyne bogactwo — fortepian, i znalazły się osoby, które radziły biedaczce: Sprzedaj fortepian a na pewien czas ci wystarczy! — Tak, ale sprzedać fortepian, to znaczyło, odciąć sobie raz na zawsze źródło możliwego zarobku, a tem samem zdecydować się na zejście, w najbliższej przyszłości, do rzędu żebraków. Słuszne skrupuły; kto wie, czy ich później głód nie zwyciężył.

Chudy, w najściślejszem tego słowa znaczeniu, chudy profesor-literat śmieje się z kolegów, którzy żalą się na zbyt znaczną liczbę godzin szkolnych; raczej nietyło się śmieje, co serdecznie im zazdrości. Ba! gdyby to módz na szkołę pracę ograniczyć, gdyby módz ze szkoły wyżyć! Ale dzieci gromada, dzieci rosną, a każde chce jeść; co smutniejsza każde chce bucików... Więc ledwie panie ojcze ze szkoły przyjdiesz, chwytaj za papier, pisz dla redakcyj, tłumacz dla wydawców, nastrajaj fantazyę do nowelki, bo ze Lwowa ci napisali: „Potrzebujemy nowelki na ten tydzień“; pisz, tłumacz, choć ci ręka cierpnie, rachuj wiele centów ci od stronicy porachują... i czekaj na te centy, które nie nadchodzą, i nie nadechodzą...

To literat z talentem, z pozycją, ze stosunkami. A cóż gdy niewielki talent, stosunków brakuje; gdy nie chcąc z głodu na ulicy paść, trzeba się zaprządz w służbę Żydów-antykwarzy, lichwiarzy? Cięższa, straszniejsza to służba niż służba żydowskich parobków, o włos nie napisałem: żydowskich koni.

Przed paru latami wpadł mi w ręce list, w którym „były kierownik szkoły, literat“, w niewyszukanych, ale bolesną swą treścią uderzających wyrazach kreślił swe *curriculum vitae* i prosił o pomoc. Był klerykiem, potem nauczycielem, kierownikiem szkoły; choroba wygnała go z seminarium, potem wygnała ze szkoły, zanim jeszcze emeryturę mógł sobie wysłużyć. Od lat kilkunastu wyłącznie z pióra się utrzymuje; napisał około 200 książek i — niema co jeść. A na domiar złego doktor pisać mu teraz bezwarunkowo nie pozwala.

List tchnął szczerością i prawdą, ale imponująca cyfra 200 książek nasuwała pewne podejrzenia: „Czy to być może, czy to nie humbug?“ Adres pod podpisem podany najdokładniej; idźmy sprawdzić. Drabinowate schodki, kryjące się w jakimś kącie dziedzińca prowadzą do małej izdebki, służącej za kuchnię, sypialnię i literacką pracownię. Przekroczwszy jej próg, rozumiemy się słowa listu: „Bez pensyi, krewnych i środków do życia, bez pomocy lekarskiej, życzliwej ręki, usycham literalnie samotny w czterech ścianach mej biednej izdebki“. Pusto, aż przykro; łóżko zasługuje raczej na nazwę barłogu, na kuchennym piecu stoją dwa garnuszki; z kąta wychyla się, pajęczyną przykryta butelka z madery, którą kiedyś litościwa jakaś ręka choremu przyniosła; jedynie rozrzucone na stoliku, na ziemi książki wskazują, że tu mieszka istotnie literat. Dla gościa znajduje się krzeselko: gospodarz na łóżku siada i powoli roztacza obraz swej niedoli — niewoli.

„Ja nie literat, nie uczony; ja umysłowy robotnik i ciężko chory. Piszę, tłómaczę, układam, o czem myślę, że księgarz lub antykwarz kupi, co u mnie zamówią. Pracowałem i dla niemieckich księgarzów brixenских, padernborskich. Lepiej oni płacą i niektóre rzeczy wydali, np. *Życie św. Augustyna*. Zachęcony tem wygotowałem kolejno aż 12 rękopisów; lecz nie

chcą już ich kupić. U nas bardzo mało płacą; żydzi najmniej, ale przynajmniej czasem wezmą i zapłacą, inni nie odpisują nawet na listy. Za grube dzieło, oryginalne, mające do 20 arkuszy druku, dostawałem 50 lub 60 reńskich. Jak dobrze szło, jak Himmelblau z Krakowa, Rosenheim z Brodów, Feitzinger z Cieszyna, Zuckerkandel ze Złoczowa, Menkes z Tarnowa dali lepsze zamówienia, dochodziłem do 200 najwyżej 250 reńskich rocznie. Raz dostałem z Poznania za powieść 100 fl.; pamiętna to dla mnie data. „Najnowszy sekretarz krakowski” przyniósł mi 50 złr.; teraz dla innego księgarza układam „Najnowszy sekretarz polski”. Z Cieszyna przysłali mi za „Pedagogikę” 60 fl. Bonde we Wiedniu za tłumaczenie powieści: „Romans biednego młodzieńca” dał 50 fl. „Nowa Genowefa” przyniosła tylko 6 fl., przekład „Róży z Tannenberga” 6 fl., przekład „Jaskini Beatusa” 10 fl. Jedno z poznańskich pism za trytomową oryginalną powieść nadesłało 25 marek. W jednej z krakowskich antykwarni mam rękopis trytomowej oryginalnej powieści. Mówilem antykwarzowi, że o życie mi chodzi, żeby mi co zapłacił. On zwłóczy, mówi, że musi jakimś panu pokazać, a tego pana teraz w Krakowie niema. Zwłóczy, bo wie z doświadczenia, że jak mię głód bardzo przycisnie, zgodzę się na każdą cenę...”

„Wiem, że talentu nie mam, ale chciałem pracować, jak się dało, dla siebie, dla kraju. Choć co mnie takiej biednej istocie o pracy dla kraju mówić?! Gdybym miał jaki cent, gdybym mógł siły podreperować, może mógłbym jeszcze co pożytecznego zrobić”.

To parę obrazków, parę treściwych biografij; ileż w każdej z nich kryje się bólu, wstydu, nędzy! Podobnemi i smutniejszymi moglibyśmy całe, długie arkusze zapisać; lecz po co? Wkoło toczy się ta sama monotonna piosnka: Dawniej było, dziś niema; nie było do syta nigdy i dziś nie ma, a jeść się chce, żyć trzeba, zarobić niema ni sił, ni możliwości.

Ta sama piosnka i w listach pisanych do różnych znanych i nieznanym dobrodziejów, do publicznych instytucyj miłosiernych. Różne te listy i na niejednakową zasługują wiare, ale z niektórych przebija szczerość, której niepodobnaby w wątpli-

wość podawać, choćby wiele z podanych szczegółów nie było skądinąd autentycznie stwierdzonych.

Stary, 72-letni, byłoby obywatel z Królestwa tak swe losy kreśli:

„Jestem rodem z Warszawy. W r. 1863 wywieziony zostałem w głąb Rosyi na mieszkanie i tamże przebyłem lat ośm. Po uwolnieniu nie dozwolono mi wrócić do kraju, tylko wskazany mi został pobyt w Odessie pod srogim nadzorem policyi; przez lat trzy tam mieszkalem, poczem wyjechałem bez wiadomości rządu do Paryża z żoną. Na majątek mój nałożony został sekwester. Wskutek śmierci żony wyjechałem z Paryża; tutaj przybyłem, wyczerpane zostały wszystkie moje fundusze. W grudniu zeszłego roku zachorowałem obłożnie i przeleżałem w szpitalu cztery miesiące. Po wyjściu zostałem bez żadnych środków do utrzymania“.

Prywatna nauczycielka o pomoc błaga:

„Na kolanach proszę o ratunek dla biednej, bardzo biednej i nieszczęśliwej naszej rodziny: jak nieszczęśliwej — Bóg jeden wie. Mam siostrę bardzo nieszczęśliwą, bo obłąkaną już od 20 lat; ojca staruszką 90-letniego; ja pracuję jako nauczycielka, lecz rok temu przechodziłam bardzo ciężką operację, na kosztą którejłożyli ci państwo, u których mam miejsce, za co muszę trzy lata pracować, a ciągle chora jestem“.

Były nauczyciel datuje swój list „ze suteryn u stróża“: prosi o jałmużnę, bo ma lat 76, kaleką jest na oczy, brak życia, okrycia i niema czem mieszkania opłacić. Wdowa po kasyerze teatru, żołnierzu z r. 1831, skarży się, że nie może zarobić, żyć nie może jak dawniej, bo oczy nie pozwalają, a niema żadnej pensyi, ani znikąd pomocy. Inny list z prośbą o jałmużnę, dobrze znanem, książęcem nazwiskiem podpisany. W innym, były urzędnik terespolskiej kolei przytacza na dowód swej biedy, że od trzech tygodni nie zmienił koszuli. Petersburski doktor praw poprostu uwiadamia: „Jestem bez kawałka chleba“. A oto znowu w dalszym, niekończącym się szeregu tych smutnych pism, obszerniejsze, za tło do ciekawej powieści mogące posłużyć opowiadanie:

„Jestem z familii dosyć znacznej, która słynęła tak z fortuny majątkowej, jako też z poświęcenia dla ojczyzny. Odebrałem majątek ziemski po rodzicach... poręczenia za przyjaciół doprowadziły mię do utraty ojcowizny. Będąc lubownikiem pracy, bez straty czasu przyjąłem zarząd dwóch największych kluczy w Przebyłem na tem stanowisku lat dziewięć; kwestya polityczna zmusiła mię do emigracyi. Wyjechałem do Brazylii z żoną i pięciorgiem drobnych dzieci. Przybywszy do Rio de Janeiro zaraz dostałem zajęcie w biurze emigracyjnem; wkrótce zostałem posunięty w urzędowaniu na wysokie stanowisko: to jest oddano mi polskich emigrantów, ich lokowanie; wysłano mnie do prowincyi Rio Grande do Sul, obrawszy punkt na biuro, w tysiącu mil lasu, i tam nas osadzono. Pod względem materialnego bytu miałem bardzo dobrze, bo pobierałem 250 zlr. miesięcznej pensyi, lecz śmierci można się było spodziewać każdej chwili, z rozszarpania przez drapieżne zwierzęta lub wymordowania przez Bugrów. W tej obawie przetrwaliśmy lat parę: lecz to było trudne do przezwyciężenia. Przeto zaoszczędziwszy trochę grosza, postanowiliśmy powrócić do Europy; a największą pobudką do powrotu: była na uwadze przyszłość dzieci: żeby im dać jakie takie wykształcenie, aby były umocnione w wierze katolickiej, przez odbycie spowiedzi, i wiedziały, że są Polakami. Nie mogąc powrócić do Królestwa w rodzinne strony, postanowiliśmy osiedlić się w Paryżu, gdzie jest wszelka łatwość kształcenia dzieci. Zamiarem naszym było coś założyć, z pozostałego fundusiku, po opłaceniu podróży, a przytem żeby dzieci się kształciły. Tymczasem Pan Bóg inaczej zarządził, po szczęśliwem przybyciu do Paryża, zesłał na nas wszystkich paromiesięczną chorobę (powodem była zmiana klimatu), ta nie tylko zrujnowała nas na siłach fizycznych, lecz wyczerpała cały fundusik, jaki po opłaceniu podróży nam się pozostał.

„Dowiedziawszy się o nas Polacy tam zamieszkali, że znajdujemy się w krytycznem położeniu, postanowili zająć się nami: udecydowali wysłać nas do Krakowa, że pomiędzy swemi łatwiej nam będzie dostać jakie zajęcie. Zebraniem funduszu na podróż, zajęła się panna S....; w parę dni wywiązała się ze

swego zobowiązania... Po przybyciu do Krakowa, nieznając nikogo, chodziłem po agentach, prosząc, aby mi wyszukali pracę, nie pragnąc wielkości, lecz za nędzne wynagrodzenie chciałem pracować, aby można dać jakie takie utrzymanie dzieciom; mimo najusilniejszych starań, nie dostać nie mogłem.

„Poradzono mi zgłosić się do księdza X.; naturalnie natychmiast udałem się do niego; ten szczerze się nami zajął, wyszukaniem jakiego zajęcia; chodził po urzędach, robił ogłoszenia; praca ta stała się bezowocną, a ja bez jutra. Wszędzie obiecywano, kazano czekać, wkońcu powiedziano: Pan nietutejszy, urzędowania panu dać nie możemy.

„Straciwszy nadzieję dostania pracy, mając jeszcze 100 zhr. postanowiłem coś tem zacząć. Lecz co, aby można dać utrzymanie sześciu osobom? Założyłem sklep wiktualowy. Z tego żadną miarą utrzymać się nie mogliśmy.

„Ponieważ czas nauki dla dzieci nadszedł, trzeba było pomyśleć o nich, aby je umieścić i postarać się o dostanie książek dla nich, bo nie było za co kupić. Poradzono nam udać się do Siostry M., która słynie ze swych szlachetnych miłosiernych czynów. Ta odczuła nasze krytyczne położenie: udzieliła dzieciom trochę odzieży i kazała się zgłosić z dziewczętami do matki przełożonej pensyi, prosić o przyjęcie córeczek. Jej propozycja odniosła pożądany skutek; nadto zapisała nas na obiady i przedstawiła nasze położenie Szanownemu Komitetowi Pań, te po wysłuchaniu naszych przeżyć, zaopiekowały się nami bardzo, i obiecały postarać się o jakie zajęcie; to oczekiwanie trwało parę miesięcy, i także nie się nie trafiło. Sklepić po trochu upadał, tak że 1 grudnia odstąpić takowy musiałem dla braku towaru; za urządzenie dostałem kilka rehskich, która to kwota wystarczyła nam na nędzne miesięczne życie, ciesząc się tą nadzieją, że od Nowego Roku może się co trafi. Tymczasem Nowy Rok przeszedł, a my znowu pozostaliśmy bez funduszu i posady; wtenczas ratując się od głodowej śmierci, zaczęliśmy sprzedawać garderobę, której zabytki mieliśmy z lepszych czasów; lecz i to się skończyło, wtenczas straciłem głowę, co robić będziemy. Wypadkowo była do sprzedania kawiarnia na bardzo

korzystnych warunkach. Poszedłem do profesora d-ra X. prosząc go o pożyczanie 100 złr. Powiedziałem mu na jaki cel i takowe dostałem, zaraz też całe urządzenie kawiarni kupiłem, które wartujące jest parę stówek. Po wejściu w posiadanie kawiarni, gospodarz zażądał komornego, a tu nie było, przeto żona pobiegła do Siostry M., prosząc ją o pomoc. Ta i tu nas nie opuściła: przyczyniła się za nami swą prośbą do Szanownego Komitetu, i takowy udzielił nam potrzebnej kwoty na zaspokojenie gospodarza — i uczynił nas od razu bogaczami, bo nam dał możność utrzymania się.

„Mamy urządzenie, mamy komorne zapłacone, lecz nie mamy funduszu na kupienie trafiki. Przeto w tej potrzebie udajemy się błagając pomocy dla biednej emigranckiej szlacheckiej familii, aby sobie mogła zarobić na kawałek chleba“...

V.

Listowe dziady.

Niektórzy równie z „pańskich“ jak ze zwykłych, podążających wszakże za postępem dziadów, uprawiają listową żebranię razem z ustną, uliczną, odpustową, bez jasno określonego systemu; inni, których nazwaćby można dziadami „listowymi“, wysuwają pisanie żebraczych listów na pierwszy plan w swym zawodzie, wysyłają je i roznoszą, wedle ułożonego umiejętnie z góry programu. Tu nie jeden już list idzie do jednego księdza, jednego pana, jednej pani, ale od razu kilka lub kilkanaście ułożonych dla zaoszczędzenia czasu w identycznie tych samych wyrazach. Pisząc do tych niewielu co prawda, za to tem lepiej znanych w dziadowskich kołach, tem wyżej cenionych, którzy na każdy list odpowiadają pewną, mniej więcej stałą jałmużną, niema racji wysuszać umysłu na wynajdywanie nadzwyczajnych przygód; malowanie w czułych wyrazach bolesnej swej doli. Zupełnie wystarcza stała, powiedziećby można kancelaryjna formułka:

„Niżej podpisany (podpisana) udaje się z głęboką pokorą do Jaśnie Wielmożnego Pana Hrabiego, (Jaśnie Wielmożnej Pani

Hrabiny, Jaśnie Wielmożnego Księdza Przełożonego i t. d. i t. d.), z prośbą, aby był tak dobry i litościwy, a raczył nas jakim datkiem opatrzyć. Poratujcie mię biedną, choć jednorazowo, bo ginę pod ciężarem trosk, biedy i choroby, a Bóg stokrotnie wynagrodzi. Błagam po raz pierwszy, gdyż słyszałam od wielu osób, że JWielmożny Pan Hrabia (Pani Hrabina, Ojciec Przełożony i t. d.) jest godnym dobrodziejem i że nikogo nie opuści, kto się do niego uda. Za jałmużnę, którą otrzymamy, dzieci nie zapomną błagać Najwyższego o zdrowie i długie życie dla naszego dobrodzieja...”

Przytoczmy jeszcze inną, podobną, raz po raz wracającą formułkę:

„Niżej podpisana wdowa, jestem w krytycznem położeniu. Znikąd nie mam pomocy, bo nie mam dzieci przy sobie i dzieciom muszę pomagać. Proszę W. Księdza Dobrodzieja (Przewielebną Pannę Ksienię, J. W. Panią Hrabinię i t. d.), proszę i błagam na klęczkach o łaskawe udzielenie wsparcia dla biednej wdowy. Za co będę gorące modły zanosić do Stwórcy o czerstwe zdrowie i wszelką pomyślność dla Przew. Księdza Dobrodzieja (Przew. Panny Ksieni i t. d.) i całej rodziny“.

Pokątny pisarz, młody student, uczęszczająca do szkoły panienka, wyrobi raz na zawsze, darmo lub za drobną zapłatą, taką lub podobną formułkę, a odpisujący petent albo petentka uważają jedynie, aby nie zmylić się w odpowiednich tytułach i prośby przeznaczonej dla Przewiełbnej Panny Ksieni nie posłać pod adresem Jaśnie Pana Hrabiego. Kto sam pisać nie umie, albo swych koszczaków się wstydzi, ten musi w dodatku zapłacić za przepisywanie do 10 ct. za egzemplarz. Gdy świta nadzieja otrzymania większej jałmużny, gdy rozejdzie się wieść o świeżo przybyłej pani, która wzruszona nędzą jakiegoś biedaka, od razu kilka, ba! kilkanaście reńskich mu sypnęła, zwykłą bezbarwną formułkę zastępuje starannie, w czarniejszych kolorach wystylizowana ekstra-prośba. Drożej ona „w biurze“ kosztuje, nie zawsze ściśle z rzeczywistością się zgadza; ale na to już niema sposobu! Pewien ocyztany i dość wykształcony Krakowianin,

który tego rodzaju prośby, zupełnie zresztą bezinteresownie, układa różnym petentom, opowiada mi z całą szczerością:

„Przychodzą i proszą: „Mój panie złoty, napisz-że mi list!“ — „Mój panie srebrzysty, napisz, ale gorąco!“ Jednych znam, innych zupełnie nie znam; nie znam lecz proszą, to cóż mam robić? — piszę. Piszę o ojczyźnie, o powstaniu, o przodkach Pana Hrabiego, co to wsławili się pod Grunwaldem i pod Ostrołęką, o polskich powstaniach i polskich Świętych. Napisałem jeden list do hrabiego T... o ojczyźnie, o powstaniu. Dostała baba 10 reńskich. Dostała, musiał list do serca przemówić. Powtarzam go do hr. P...; i naprawdę już nie wiem, czy co baba oberwała. — Ale baba nie głupia, pewnie list na paru ćwiartkach odpisała, porozsyłała. Nie dał hr. P., musiał dać hr. W., nie dał hr. W., rękę w ogień kładź, że dał hr. Z. — Wodziccy, Tarnowscy, Zamojscy poczeiwi hrabiowie!...”

„Różni prośby piszą. Jeden za kieliszek wódki, drugi za papieros, trzeci za procent pewien od uzyskanej jałmużny. Oczywiście, im list maśniesz, im więcej w nim podanych pobudzających do litości szczegółów, tem więcej trzeba zapłacić!”

Swoją drogą, komu przeszło przez ręce więcej tego rodzaju petycji, temu niezbyt trudno rozpoznać, czy i który list w „biurze“ pisany. Szumne frazesy, stereotypowe zaklęcia, zbyt umiejętnie zestawione tytuły, ostrzegają o „biurowem“ pochodzeniu; ostrzega szablonowy sposób przedstawienia swych potrzeb, brak fantazyi i pewnego rodzaju zacięcia, z którem spotkać się nieraz można w oryginalnych listach, skomponowanych przez samychże żebrzących.

Jakie tu tytuły różnorodne, fantazyjne! Jeden list zaadresowany do „Jego Świętobliwej Ekscellencyi Księdza Z.; drugi do „Ekscellencyi Ksieni Zakonnej“; inny do „świętobliwej“, do „świętej mateczki“.

Jakże śmiałe, dytyrambiczne porównania!

„Jako Bóg miłosierny miliony gwiazd przeznaczył wśród nocy na niebie, tak też Bóg miłosierny wybrał Jaśnie Wielmożną Panią Hrabinę, jakoby tę gwiazdę przyświecającą wszystkim biednym na tym świecie. Po wszystkich miastach i miasteczkach,

gdziekolwiek J. W. Pani Hrabiny lub tylko cień się przewinie, wszędzie biedni i ubodzy widzą to miłosierdzie J. W. Pani Hrabiny nad nimi, jakoby prawdziwie ta ręka nie tak ludzka, ale boska była prawdziwie nad nami!...“

Młody, zdaje się, petent poetyzuje: „Przepaść wzywa przepaści. Osoba, znajdująca się w przepaści rozpaczy, wzywa na pomoc przepaści miłosierdzia i szlachetnych serc“.

W innym tonie, przypominającym to przedburzową atmosferę, to wprost burzę i pioruny, parę następnych listów; jeden z nich opatrzony herbową pieczęcią, wyciśniętą na czerwonym laku, a w dodatku rekomendowany. Prywatny nauczyciel, uważający się za pokrzywdzonego, pisze:

„Rozsądnie postępują tylko ludzie rozumni, którzy mają olej w lampie żywota, na wzór owych panien ewangelicznych, na to, aby przyświecać drugim enotami, i którzy mają od Boga majątek nie na to, aby bliźnich krzywdzić, lecz na to, aby szafarzami być rzetelnymi dóbr pańskich... Jest panek, co ma dobra, ma wsie, lasy, młyny, ma pałace, a wszystko to bez pracy i bez zasług jak manna mu spadło —, ma więcej, niż potrzebuje, a przecież pomimo tego nadmiaru mamony, mnie biedakowi, niemożącemu nawet najkonieczniejszych potrzeb zaspokoić, nawet tę krwawą pracę, ów ciężki warunek mego utrzymania, jak wilk wydiera. Ludzie, czy szakale? Co to za srogi dramat socyalny w całej swej grozie tragicznej... Ma rację Sienkiewicz, kiedy w „Potopie“ (III, str. 201) woła: „Jeno szaleni, źli, swawolni i przedajni tę polską ziemię zamieszkują... Słusznie kazał ksiądz Kalinka: „Bóg odbiera to, czego nie dajemy dobrowolnie, a co dać możemy i powinniśmy“. Przez ośm lat krzywdę mi wyrządzać; to na to ma ten katolik i wytrwałość i cierpliwość i siłę; lecz w dobrym uczynku, choćby tylko przez część tego ośmioletniego czasu po chrześcijańsku się manifestować i biedaka ratować i wspierać, to poczuwanie się do takich wzniosłych obowiązków ani mu się śni“...

Chora wdowa, mająca dość słabe pojęcie o ortografii i kaligrafii, przemawia do swej dobrodziejki tak, jakby dobrodziejstwa nie odbierała, lecz sama świadczyła:

„Pisałam prośbę do J. Wielmożnej Pani Hrabiny, 5 Listopada, ale do tego czasu nicem nie dostała. Prosiłam Dobrodziejki Szarytki, żem pisała prośbę do JW. Pani Hrabiny, a Dobrodziejka odpowiedziała, że się panowie tem zajmują. Ach! mój Boże, Kraków jest tak duży, a dobrodziejstwa niema dla nieszczęśliwego. Choćbym była tak nieszczęśliwą między gdzieś poganami, toby prędzej nademną litość była... Tylko tyle mam wsparcia od Dobrodziejki Szarytki, co mną zawiaduje, ale to wszystko jest mało“.

„Upraszam — zarządza inna — miłosierne wsparcie przesłać przez pocztę. Gdyż pisałam już trzy prośby, lecz na żadną nie nie otrzymałam. Wielmożny Pan Wizytator X. przyjdzie, zobaczy i idzie i nigdy nie da, dlatego może, że nago mnie nie widzi“.

Straszne, przysłowiowe są języki przekupek, ale i przekupki braćby mogły lekeye od niektórych żebraczek, gdy w zirytowaniu język lub pióro popuszczają. Oto jak „dystyngowana“ od książąt wywodząca swych protoplastów żebraczka odzywa się do dobrodziejki, od której niejednokrotnie otrzymała wsparcie, w długim memoryale, z którego najdrastyczniejsze ustępy musieliśmy wyrzucić:

„Jaśnie Wielmożna Pani mi wymawia, co dobrego mi zrobiła. Jak się komu dobrze robi, to nie potrzeba trąbić po rogach ulic, jak to mi pani zrobiła, wymawiając przed Ulinowską: umieszczenie, pranie i tę kapustę, com zjadła dwa razy, która mi bardzo smakowała. Ale to taki uczynek zasługi przed Bogiem nie ma. Jak ten skąpiec, co ubogiemu grosz wymawiał: „Dałem ci dziadku grosz!“ „Dałeś panie, a kiedy wymawiasz, naści panie“. To ja za pranie chętnie oddaję i za kapustę. Ale za umieszczenie to nie oddam, bo z tego umieszczenia nic nie miałam... Wy, moje Panie święte pod płaszczykiem pobożności z czyjejs kieszeni robiłyście ofiarę... Dziwna to pobożność tych Jasnych Pań!... Jednem słowem: podłe brudy!... Gdzie większe brudy, herezye się dzieją, jak nie między Jasnymi i Jaśnie Oświeconymi Pannami!... J. Wielmożna Pani też nie mówi prawdy. Jednem słowem, wszyscy kłamiecie, kręcicie! Nie darmo jest

przysłowie, że zyz, łys, kuternoga, jeżeli co z tego będzie dobrego, to wielka łaska Pana Boga“...

Z okazji Nowego Roku, Bożego Narodzenia, Wielkanocy, imienin znaczniejszych dobrodziejów, sypią się ułożone wierszem i prozą, odnoszone zazwyczaj własnoręcznie, rzadziej przez posłańców, listy z powinszowaniami:

„Podpisany kaleka, czołgający się jak robak po ziemi, trzy razy dałem się nieść na trzecie piętro, powinszować Nowego Roku, a nigdy nie zastałem, a mnie o zacnem, litościwem sercu J. Wielmożnego Pana Dobrodzieja powiedział i doradził jeden pan z tej kamienicy, litując się nad mojem kalectwem. Przeto racz J. W. Pan przyjąć niniejsze, piśmienne powinszowanie... A nie mogąc dla zimna już się dać nosić, bo i drogo żądają, i ja nie mam się w co ciepłego ubrać, a jestem chory z przeziębienia, ośmieliłem się wnieść do J. W. Pana Dobroczyńcy błagalną prośbę, a licząc na życzliwość J. W. Pana Dobroczyńcy, pozostaję w błogiej nadziei, że J. W. Pan raczy kalekę wesprzeć“...

Następne powinszowanie, przepisane wiernie, litera za literą, w treść niebogate, dobrze jednak swemu celowi odpowiada:

„Wiwat! Wiwat! Niech Jaśnie Wielmożna Pani Hrabina żyje, dokąd komar z moża wody nie wypije! A ja jako biedna z dziećmi wdowa będę prosić Pana Boga o zdrowie dla J. Wielmożnej Pani Hrabiny!“

Ściśle, w szczegółach praktyczne, aredyplomatycznie skombinowane są prośby, opisy swej biedy i życzenia, wysłane przez podeszłą, trochę rozkapryszoną, biedną staruszkę pod adresem „wielebnej i kochanej w Bogu Matki Dobrodziejki“:

„Pragnąc być policzoną pomiędzy szczerzo-życzliwych i serdeczno-wdzięcznych, którzy będą winszować w dniu dzisiejszym, pospieszam i ja za nimi, choć tylko kulawemi rękami pisząc, bo nogi okropnie spuchnięte i nie doszłabym tam niemi wcale, a oddechu niema prawie zupełnie w piersiach... Dzięki nieograniczone i nieskończone tak Najprzewielebniejszej, w Bogu Matce Przełożonej, za której dyspozycją i wiedzą są mi obiady dawane, jako też i wam, drogie moje, kochane Matusie Dobrodziejki, od samego początku Patronki i Promotorki... Nietylko

za ciągle, od początku aż dotąd obiady, składam podziękowanie, ale i za te święta każdorazowe, za Zapusty, i czwartkowe „złote jabłuszko“ na spodzie koszyczka będące i za wyborny piątkowy bez octu, uzdrawiający mię burakowy barszczyk, za rybkę, leguminki, dobre pieczonki, wyśmienity teraz wypieczony chlebuś, pierniczki, jabłuszka, kompozycje i t. d., co to ich posmakowawszy przecie człowiek sobie przypomina swoje młode latka, szczęśliwe, obfite we wszelkie łakocie, kiedy nigdzie niczego nie brakowało, co tylko dusza i oko zażądało! A teraz, mój Boże! wyznam że nieraz tylko ślinkę się połyka, gdy gust do czegoś podobnego przyjdzie, szczególnie w chorobie; nawet łza w oku się zakręci“.

I znowu inne, inne listy, tak różne, jak różna ludzka bieda, ludzkie potrzeby i usposobienia. Emigrant z Królestwa prosi o buciki dla pięciorga dzieci; wdowa z Królestwa o pieniądze na stemple, „bo bez stempli nie przyjmą chłopaka do zakładu“; inna wdowa „o kapelusz i jakie ubranie, czyli zarzutkę, albo bluzkę i o koszulę“, bo, jak zaręcza: „nie mam nic dobrego, same gałgany“; jeszcze inna, bez służby od kilku miesięcy, grozi że życie sobie odbierze, bo tak nie wytrzyma na czystym polu wraz z dzieckiem“. „To tak ładnie napisane — chwali się sama petentka, prośbę swą wręczając — że muszę coś dostać“. „Proszę tylko — przestrzega inna — dobrze list z odpowiedzią zapieczętować, a jałmużnę do listu schować, bo nie chcę, żeby portyer wiedział, z jakim interesem przyszłam“. „Proszę o pożyczanie paru szóstek — zgłasza się młody chłopak do „Najszlachetniejszej Pani Hrabiny“ — na zreperowanie kamaszków i na drogę do Kalwaryi, a mam nadzieję, że uproszę w Kalwaryi, abym wygrał na loteryi“. Ekskleryk usiłuje zaimponować Felicyance ciceroniańską łaciną i nie wątpi, że *Reverenda Domina* wesprze go w naglącej potrzebie. Ukończony akademik z Królestwa, student na ukończeniu, student z VI. klasy, żona młodszego nauczyciela, córka nauczyciela — wszyscy skarżą się: „Jestem w krytycznem położeniu, ani lekeyi, ani żadnej innej pracy znaleźć nie można — a jeść się chce, w piecu niema czem palić, niema się w co ubrać. Najpokorniej, najuniżeniej błagam o pracę, o wspomóżenie!...“

To bieda, że tak nieraz trudno przekonać się, domacać

co w tych listach, ściskających za serce, jest ścisłą prawdą, co fantazją, co po prostu oszustwem. Zdarzają się oszustwa; petenci nie otrzymawszy do ręki spodziewanego datku, znikają jak kamfora, a następnie pokazuje się, że adres w liście przez nich podany był najzupełniej fikcyjnym. Ale z tego rodzaju wypadków nie można reguły układać; częściej bywa, że podane szczegóły w połowie są prawdziwe, w połowie wymyślone dla wzbudzenia żywszej litości. Na 25 próśb, pochodzących od bardzo różnych osób, z różnych ulic i przedmieść Krakowa, pokazało się po przeprowadzeniu ścisłego śledztwa, że czternaście było zupełnie usprawiedliwionych; osoby proszące były do pracy niezdadne i nie miały żadnego utrzymania. Paru próśb nie było możliwem sprawdzić; umieszczone pod nimi adresy były niedokładne, lub wręcz z umysłu fałszywe. Kilka wreszcie sprawozdań, nie poleconych do uwzględnienia próśb przepisujemy tu, bo rzucają one pewne światło na całą, tak bardzo w Krakowie rozpowszechnioną, żebraninę listową.

Piotr Szybki¹, lat 60, rodem z Krakowa, weale nie jest chorym, ani kaleką, jak w prośbie podawał. Żyje po części z żebraniny, a po części z roboty jako ślusarz. Z żoną swoją nie mieszka. Do pracy jeszcze jest zdolny.

Marya Krykiewicz, żona czeladnika stolarskiego ma sześcioro dzieci: ale prowadzi kram, a mąż w tym samym domu zarabia 6 złr. tygodniowo.

Edmund Gaczeński, agent fabryczny, pobiera miesięczną pensję 40 złr. Miał już kilka interesów, lecz przy żadnym się nie mógł utrzymać.

Marya Bićko, żona czeladnika stolarskiego. Jest biedną, lecz nie tak, jak w prośbie podała, ponieważ mąż jej zarabia 4—5 złr. tygodniowo; ona zaś sama chodzi na obsługi i także coś zarobi.

Marya Paćkarzowa jest nie wdową, lecz rozwódką:

¹ Oczywiście i tym razem prawdziwe imiona i nazwiska zmienić musieliśmy na fikcyjne.

prowadziła życie niemoralne. Obecnie jest służącą. Notoryczna włóczęga.

Katarzyna Mierzycka trudni się obsługą. Jest tercyarką, Żydom wodę nosi i w szabas w piecach pali. Zupełnie zdrowa, jest w stanie pracować.

(C. d. n.)

Ks. Jan Badeni.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Żywot i dzieła Ernesta Renana. Ks. dr. Stefan Pawlicki. Wydanie nowe powiększone. W Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska. 1896. (W 8-ce str. IX, 479)

Jedna z najciekawszych książek, jaką czytać można, bo napisana i gruntownie i wytwornie i (co najtrudniej może było) spokojnie i bezstronnie. Autor na samym początku dzieła zaznacza wprawdzie, że w naszych czasach nikt więcej od Renana nie zasłużył na gniewy dobrych i na sympatyje przewrotnych; nikt podobnej nie wzniecił burzy, czy zaprzeczeń namiętnych, czy radosnych oklasków; że z przeszłych jeden Voltaire może z nim się równać, z teraźniejszych nikt mu nie dotrzymuje placu..., że wreszcie wyjątkowe takie położenie Renana stanowi przeszkodę prawie niepokonaną, by można mówić o nim spokojnie *sine ira et studio*; — sam jednakowoż świetnie tę przeszkodę pokonać potrafił. A choć dodaje skromnie, że dopiero później „biograf jaki biegleszy i bezstronniejszy, oceni wszystkie przymioty i braki, wszystkie zasługi i błędy tego niezwykłego pisarza, wpływ jego na współczesnych, a znaczenie dla potomnych...” my jednak nie wahamy się już dzisiaj w ks. Pawlickim takiego właśnie biografa Renana uznać, który spokojnie i chłodno odważył się ocenić strony jego ujemne i dodatnie i poddać analizie jego literacką działalność z wielkim zasobem ostrej i bardzo subtelnej krytyki. Nie zapominając nigdy, że Renan „obraził zbyt święte uczucia, poniewierał zbyt żywotne interesa, zbyt drogie prawdy podeptał, aby już dzisiaj nietylko katolik, lecz poganin szlachetny, mógł mówić bez żalu i żółci o jego działaniu litera-

kiem i naukowym...“ umie przytem ks. Pawlicki pisać o nim z miarą klasyczną i wytwornym stylem, co właśnie najbardziej wzmaga skuteczność i powagę jego polemiki jako uczonego kapłana, występującego w tej książce z kapłańskim namaszczeniem i ze spokojem olimpijskim.

Chociaż na wstępie obiecuje nam ks. Pawlicki ograniczyć się tylko do „teologii i filozofii oraz do historii biblijnej i kościelnej“, o ile uprawiane były przez Renana, jednakowoż z wielką radością naszą obietnicy tej nie dotrzymuje i daje nam poznać Renana ze wszystkich stron, nie tylko jako uczonego semitologa, historyka i literata o nadobnym stylu, ale i jako człowieka w rodzinie jego i w społeczeństwie, w jakim się obracał a nawet jako „swawolnego i krewkiego gamina“, jakim nieraz, zwłaszcza pod koniec żywota, w pismach swoich być lubił. Naturalnie, że główną część książki ks. Pawlickiego zajmuje sprawozdanie bardzo dokładne i bardzo pouczające z „Początków chrześcijaństwa“ i z „Historii żydowskiej“, co razem stanowi kilkanaście tomów spuścizny po Renanie. Autor nasz rozwinął przytem wielką erudycję i wielką znajomość współczesnej Renanowi niemieckiej protestanckiej egzegezy biblijnej, jakoteż filozofii niemieckiej od Kanta do Schopenhauera, na którą się Renan często powołuje, chociaż, jak to nasz autor wykazał, ani jednej ani drugiej nie rozumiał.

Oczywista rzecz, że ani myśleć nie możemy o streszczeniu wywodów i wyników uczonego profesora przeciw poglądom Renana na historię Izraela, życie Jezusa i początki chrystyanizmu. Takiej książki nie streszcza się w recenzji, tylko recenzent nawoływać może do jej czytania.

Jeżeli co ks. Pawlicki zostawił do uwzględnienia zapowiedzianemu na przyszłość biografowi Renana, to chyba tylko to jedno, co jest wprawdzie w książce naszego autora kilkakrotnie wspomniane i zaznaczone zaraz na pierwszej stronie, co jednakże wyzyskanem nie jest jakby należało; i czego nam w całej tej ocenie żywota i dzieł Renana trochę brakuje. Na początku swej książki, z okazji konduktu pogrzebowego Renana z *Collège de France*, zaznacza słusznie ks. Pawlicki: „W liczbie wieńców niesionych za trumną zwracał na siebie uwagę przysyłany od Wielkiego Wschodu Francyi. Wszak nie na żarty nazywano nieboszczyka teologiem sekty“. Zapewne nie miał jeszcze nasz autor dostatecznego materiału źródłowego do biografii Renana, „skoro, jak sam to zaznacza (str. 2), spuścizna jego literacka nie została w całości ogłoszoną“, aby nam powiedzieć, kiedy to Renan stał się adeptem sekty masońskiej, której teologiem później słusznie

go nazwano. Nie dowiadujemy się zatem czy zaraz po wystąpieniu ze seminaryum, czy z przyjacielem swoim Berthelot'em, chemikiem, który dotąd jest masonem, czyli też później w r. 1848, podczas pamiętnej a powszechnej w Europie zamieszki, Renan zrzucając klerykę sułtanę jał się masonskiej kielni i fartucha. To pewna, że działalność jego pisarska cieszyła się, przynajmniej od r. 1863, wysoką protekcją Łoży. Gdy się okazało „Życie Jezusa“, tak prędko i tak hałaśliwie wszystkie gazety liberalne po całej Europie zaczęły wynosić tę książkę pod niebiosą, że widocznem było, iż to jest umiejętnie i kosztownie zorganizowana klaka. Później opublikowana została suma, jaką łoże na to zawotowały. Uderza też, że cała spuścizna pisarska po Renanie, wyjąwszy chyba prace czysto naukowe z epigrafiki semickiej, zawarte w jego *Corpus inscriptionum semiticarum*, wydawaną była przez cały ciąg żywota Renana przez jedną masonską firmę nakładców Calman-Levy. I nosi też ta spuścizna zawsze to samo piętno znanych już dzisiaj tendencji masonskich tak, że nawet jego „Wspomnienia z lat dziecińczych“, wydane dopiero w r. 1883 nie są całkiem szczerze. Dwoistość swojej natury sprowadzał Renan w tych wspomnieniach na odziedziczenie jakby dwóch odrębnych natur po ojcu Gaskończyku i matce Bretonce, czy przeciwnie; w istocie zaś dziwna ta dwoistość płynęła po prostu z tego, że wychowany był od dzieciństwa w zasadach chrześcijańskich, kościelnych i seminaryjskich, a później nałożoną miał na siebie masonską obrozę, więc nigdy nie był i nie mógł być zupełnie szczerym, ani z tymi, dla których pisał, ani nawet sam ze sobą. Zapewne dopiero bliżki już wiek XX. pozna i wyświeci należycie wszystkie prądy nurtujące w naszym biednym wieku i da nam zupełnie ścisłą genezę i definicyę także i tak zwanego dzisiaj Renanizmu.

Dr. Ignacy Skrochowski.

Karol Prozor, obożny w W. Ks. Litewskiem. Przyczynek do dziejów powstania kościuszkowskiego. Monografia, opracowana na podstawie nowych źródeł archiwalnych przez *Maryana Dubieckiego*. W Krakowie, 1897. (W 8ce, str. 335).

Cały wiek upłynął od dni ostatnich mocowań się upadającej Rzeczypospolitej. Z tej odległości trudno już nieraz dopatrzeć właściwej fizyognomii moralnej wielu główniejszych nawet działaczy, zwłaszcza, iż materyałów, źródeł piśmiennych a wiarygodnych niewiele po nich pozostało, czy ocalało wśród kataklizmów, wstrząsających peryodycznie ujarzmonem społeczeństwem. Również i tradycya o tych czasach i lu-

dziach albo się już zatarła, albo coraz bardziej zaciera; czas więc i pora najwyższa, aby badania naukowe zabrały się do odtworzenia wiernego obrazu najtragiczniejszej chwili naszego narodu. Do tego potrzeba oczywiście całego szeregu monografij źródłowych, zwłaszcza biografij bohaterów głównych i drugorzędnych tego krwawego dramatu. Ostatnie lata przyniosły nam 2 takie prace: biografię Kościuszki i Karola Prozora. Jestto ten Prozor, którego chciano, wobec początkowego wahania się Kościuszki, zrobić naczelnikiem powstania, który głównie skłonił Kościuszkę do objęcia naczelnictwa w wybuchającym już powstaniu w r. 1794, który wreszcie sprzedawszy swą ojcowiznę, złożył milion złotych polskich na ołtarzu ojczyzny.

Biografia takiej postaci jest cennym oczywiście przyczynkiem do dziejów powstania kościuszkowskiego, tem cenniejszym, że jest skreślona przeważnie na źródłach archiwalnych rodziny Prozorów, dotąd nieznanych i, jak przypuszczano, zniszczonych przed rewizyami rządu rosyjskiego w r. 1864. Przypadkowo odkryte resztki tego archiwum, przepisane przez p. Kleczyńskiego, dostały się w kopii urzędowej do rąk J. I. Kraszewskiego, a po tegoż śmierci przeszły w posiadanie autora, który na podstawie tak cennego źródła, nadto i innych publikacyj odnośnych odtworzył nie tylko bardzo zajmujący obraz jednej z najsłabszych postaci z czasów rozbiorów, ale też przedstawił nam ją na tle wiernem rodzinnych stosunków, wśród których urósł, i stosunków litewsko-poleskich, wśród których się obracał, żył i działał.

W naszym społeczeństwie szlachecko-arystokratycznym w końcu XVIII. w. tak zdemoralizowanem pod względem politycznem, czy nawet moralnem, postać taka, jak Karol Prozor, taka rozumna i trzeźwa, taka niezawisła, tak lojalna wobec króla, taka patriotyczna i ofiarna w chwili potrzeby ojczyzny, tak nieugięta i dumna w chwili ogólnego płaszczenia się dziwnie doprawdy odbija i nasuwa historykowi pytanie: skąd się te przymioty wzięły w człowieku z zapadłych kresów między Prypecią a Dnieprem, wśród otoczenia tak odmiennego. Na Karolu Prozorze możemy namacalnie przekonać się o dobroczynnym wpływie wychowawczym na Polaków króla wygnańca i filozofa, St. Leszczyńskiego. W Luneville wychował się ojciec Karola, wojewoda witebski, Józef Prozor. Zasady wyniesione z Lotaryngii przyszczerpił w swe dzieci. W najstarszym Karolu wydały one piękny plon. Co za przepyszny typ szlachcica i ojca w najlepszym znaczeniu jest ten stary wojewoda witebski, który, bez względu na wysokie dostojństwo syna, karci go, strofuje i ostrzega przed pochlebcami! Dla niego, chwalony wszędzie

dla swej niezawisłości i sprawiedliwości marszałek trybunału litewskiego a następnie oboźny litewski, jest zawsze tylko synem, nad którego krokami czuwać jest ojcowskim jego obowiązkiem. Albo ta młodziutka żona oboźnego, z domu księżna Szujńska, która w 13 roku życia wychodzi za Prozora, jaki to piękny przykład przywiązania małżeńskiego, jak ona dostrojona do wzniosłego, umięającego poświęcać siebie i mienie charakteru męża. Przechodząc później najcięższe doświadczenia z powodu udziału męża w powstaniu, nie sarka na los, na utratę mienia, na chorobę, ani na chwilową utratę dziecka, które się dostało do rąk moskiewskich, ani na oddalenie męża, który tułać się musi na emigracji. Testament w tych czasach przez p. Prozorową skreślony daje najlepszy wyraz tego bohaterskiego poświęcenia się prawdziwej matki i żony Polki.

Wiele interesujących a chlubnych szczegółów znajdujemy również o ostatnim pośle Rzeczypospolitej przy dworze angielskim, Bukatym, znanym powierniku króla Stanisława Augusta, a szwagrze Karola Prozora. Jest to wśród całej ciżby przedstawianych nam przez autora osobistości polesko litewskich postać politycznie najwięcej dojrzała, najbardziej grozę położenia pojmująca — a jednak taka swobodna, na pozór taka wesoła, taka pogodna, choć tragiczna, jak wogóle ci ludzie z epoki stanisławowskiej. „Dzieci to są naprawdę — jak mówił Stackelberg — które się cieszą teraz, niebaczone, że przyjdzie potem płacz i żal“. Jakiś dziwny urok otacza tych ludzi; różowemi barwami kreśli ich autor, a jednak błędny byłoby twierdzić, że nie prawdziwemi. Przeciwnie, życie drga z tych postaci i nie może być inaczej, wszak autor przedstawia je ich własnymi wynurzeniami; słowa żywe, wyrwane z listów poufnych, najpoufniejszych, służą autorowi do kreślenia sylwetek, portretów, niewątpliwie prawdziwych. Taki strażnik litewski Oskierko, namiętny myśliwy, który całemi tygodniami bawi w puszczy, ten trybunał litewski ze swemi assablami, taki proces ks. Radziwiłła-Panie Kochanku, takie intrygi Szawelskiego lub zajazd na Chojniki, wiano żony oboźnego, wszystko to wydaje się nam jakby znanem, czytelnik mimowoli zapytuje się, gdzie podobne obrazy widział. I nie dziw, toć to to samo społeczeństwo, które geniusz Adama tak wiernie i tak pięknie przedstawił w „Panu Tadeuszu“. Realizm obrazu poetycznego potwierdzają badania historyczne p. Dubieckiego, a jednak mniemamy, że właśnie u niego to społeczeństwo litewskie jest zbyt wyidealizowane, kto wie, czy właśnie nie pod wpływem poezji. Wprawdzie nie brak i cieniów w tym obrazie, nie brak i postaci nikiemnych i podłych, jak Kossakowscy, Szczukowie, Zawiszowie; autor nie zacier a chwil

upadku u swego bohatera, przedstawiając jego przystąpienie do Targowicy, a jednak te cienie tylko sporadycznie występują, usunięte są w głąb, kryją się jakby trwożliwie za świetlanymi przeważnie barwami ideałów. Przyznajemy, że archiwum rodzinne ma zawsze coś panegirycznego w sobie; przyznajemy, że rodzina Prozorów i ich otoczenie to jednostki wyjątkowo szlachetne, a jednak dostrzegamy brak pewnego krytycyzmu w szkicowaniu tych postaci.

Pokazuje się to zwłaszcza w drugiej części pracy, właśnie w owym przyczynku do dziejów powstania kościuszkowskiego. Widzimy tworzenie się spisku, ale prowadzonego nieudolnie, widzimy Prozora, poświęcającego wprawdzie całe swe mienie, ściganego przez Moskali po puszczech poleskich i t. d. i t. d., lecz kiedy mianowany najwyższym pełnomocnikiem na Litwie, jest właściwym naczelnikiem powstania na Litwie, czynów jego nie widzimy wcale, albo bezskuteczne (str. 258 i 266). Być może, że brak źródeł stanął autorowi na przeszkodzie, by ocenić działalność Prozora. Przyznajemy, że w „wyziębionych duszach, jałowych umysłach szlacheckiej rzeszy niepodobna było wykrzesać iskry uczucia narodowego“, że „społeczeństwo ówczesne nie dorastało jeszcze do zadań, które im wybitniejsi dawali do rozstrzygnięcia“; zawsze jednak pozostaje pytanie, czy ci wybitniejsi umieli się zabrać do dzieła tak, jak groza położenia wymagała. Nam zdaje się, że nie. Szkoda, że autor nad tą sprawą się nie zastanowił, nie wydał sądu historycznego o Prozorze, jako o osobie historycznej. Stąd też zarzut pewnego panegiryzmu u autora wydaje się być uzasadnionym.

Z tem wszystkim za to, co nam dał autor, powinniśmy mu być wdzięczni. Przedstawienie jest tak piękne, przedmiot tak wzniosły i tak szlachetny, że czytelnik z żalem rozstaje się z tą książką, a dewiza życia Karola Prozora: *ut sit bene patriae* głęboko się w sercu zapisuje.

Dr. Kazimierz Krotoski.

Wespazyna Kochowskiego „Psalmodya polska“. *L. M. Dziama.* Kraków 1896. (W 8-ce, str. 25).

Historia literatury polskiej XVII. wieku, dzięki może badaniom i materyałom historycznym, które na sprawy nasze polityczne i społeczne tego wieku rzuciły dużo światła, poczyną żywiej interesować ogół czytający. W niedługim czasie, bo w przeciągu paru lat ostatnich, przybyły nam studia o Morsztynie E. Porębowicza, R. Zawilińskiego i Deichesa, o W. Potockim J. Czubka, o Józefie Bartłomieju Zimorowiczu K. Hecka, o Sarbiewskim d-ra St. Windakiewicza i ks. W. Piąt-

kiewicza, świeżo wreszcie o Młodzianowskim ks. J. Sasa, a oto i szósty wybitny pisarz tego wieku ma się doczekać wszechstronnej oceny w pracy p. Dziamy. Jeden z gotowych już ustępów tej pracy daje nam poznać broszura, której tytuł wypisaliśmy powyżej. Prof. Dziama pisał już o religijnych zapatrywaniach Kochowskiego, obecnie zajmuje się jego najznakomitszym utworem — „Psalmodyą“. W rozprawce swej rozpatruje głównie dwie kwestye: jak powstała „Psalmodya“ i jakie jej znaczenie w dziejach piśmiennictwa. Dowiadujemy się zatem — co zresztą było już znane z poprzednich studyów o Kochowskim — że „Psalmodya“ nie napisana jednym ciągiem, że poeta pisał psalmy tak, jak mu wewnętrzna potrzeba duszy nakazywała, że w r. 1693 wygotował ją do druku, a w 1695 wydał. Jednakże pilne wczytywanie się w psalmy, zestawienie osnowy ich z dziejowemi wypadkami, jakoteż ze wzmiankami o innych dziełach poety — dozwoliło autorowi ścieśnić okres powstawania „Psalmodyi“ pomiędzy lata 1681—1691 lub 1692. Bardzo sumiennie i skrzętnie zebrane są także po raz pierwszy w tej pracy wskazówki, dotyczące psychologicznej genezy poematu. Największy wpływ na „Psalmodyę“ wywarły psalmy Dawida i Pismo św., ale znajdują się też ślady oddziaływania „Lamentu“ Starowolskiego i Kazań sejmowych Skargi. Z drugiej znów strony widoczna jest większa zależność Kochowskiego od tych dzieł w psalmach, opowiadających dzieje życia lub uczuć poety; natomiast w psalmach patryotycznych natchnienie jego potężniejsze, nie dąży już za pierwowzorem, lecz głosem pewnym i silnym przemawia do swych rodaków. Ostatnia część pracy udowadnia, że wiek XVIII. zachował się obojętnie względem tego dzieła, którego wartość i piękność oceniono należycie dopiero w ostatniej ćwierci bieżącego wieku.

Autorowi uczyniono z pewnej strony zarzut, że nie roztacza tła szerokiego. Zdaje mi się, że zarzut nie był słusznym, choćby dlatego, że autor wyraźnie się zastrzega, iż od dłuższego czasu pracując nad Kochowskim, ogłasza jeno część wyników swej pracy. W badaniu jest sumienny, w formułowaniu wniosków oględny, może nazbyt oględny, ale kto wie, czy tak postępując nie czyni roztropnie w przekonaniu, że fantazya i pohopność do odkryć wnosi do uczonych badań zamieszanie i mnoży ilość bałamuctw. Zarzuciłbym rozprawce brak estetycznego rozbioru „Psalmodyi“, jednakże plan jej na wstępie podany wyraźnie mówi, że celem autora jest geneza i znaczenie poematu, a zatem i z tym zarzutem należy się wstrzymać do ogłoszenia całego dzieła o Kochowskim. Na razie trzeba tylko zaznaczyć, że rozprawka p. Dziamy

stanowi niewątpliwie cenny przyczynek do badań nad dziejami piśmiennictwa XVII. wieku.

Antoni Mazanowski.

Trzy nagrobki w Gnieźnie, fundacyi prymasa Łaskiego. Napisał *dr. Jerzy Mycielski*. W Krakowie, 1896. (W 8ce, str. 15).

Ksiądz biskup Korytkowski w dziele o „Arcybiskupach gnieźnieńskich“ opowiada, że prymas Jan Łaski, wracając przez Węgry z soboru lateraneńskiego późną jesienią 1515 roku, zatrzymał się w Ostrzyhomiu u kardynała Tomasza Bakacza i zamówił siedm nagrobków z czerwonego marmuru, jeden dla siebie, sześć zaś dla innych dostojników kościelnych.

Cztery z tych nagrobków przechowały się dotąd w Gnieźnie; jeden z nich jednak (kustosza gnieźnieńskiego, Andrzeja Łaskiego, brata prymasa) umieszczony w posadzce katedry tak jest zniszczony i starty przez stopy ludzkie, że nie może już obudzić głębszego interesu; trzy inne, dobrze przechowane, są przedmiotem krótkiej ale sumiennie i ze znajomością sztuki napisanej rozprawy d-ra Mycielskiego.

Stwierdza on, że nagrobki te są dziełem wybitnem i niepospolitą pod względem sztuki. Wykonane z wielką szlachetnością i wdziękiem w stylu wczesnego odrodzenia, mają wszystkie jeden typ. Są to płyty podłużne, wykute z czerwonego marmuru, z rzeźbą wyłącznie ornamentacyjną, okalającą godła herbowe zmarłych. Jedną trzecią każdej płyty zajmuje stosowny napis łaciński, dwie trzecie pokrywa ornamentacja, składająca się z tarczy herbowej, umieszczonej w pośrodku; tarczę okala wieniec z owoców i liści, albo owoców, liści i kłosów; narożne pola płyt wypełniają festony z wstęg, wreszcie z pod ornamentacyi wychyla swe ramiona biskupi krzyż, podłożony pod tarcze herbowe.

Pierwszą z tych tablic, umieszczoną w ścianie nawy północnej katedry gnieźnieńskiej, położył Łaski prymasowi Gruszczyńskiemu, głośnemu z epoki zatargów Kazimierza Jagiellończyka z kapitułą krakowską i Stolicą Apostolską; drugą poświęcił tenże Łaski pamięci poprzednika swego, Andrzeja Boryszewskiego, który Łaskiego przybrał sobie niegdyś za koadjutora¹; umieścił ją również w katedrze gnieźnieńskiej w ścianie południowej nawy bocznej.

¹ Wdzięczność swą wyraził Łaski w napisie nagrobkowym w słowach nie najlepiej może dobranych: *Antecessori suo adoptionis memor*.

Trzecia najpiękniejsza ze wszystkich i najszlachetniejsza w stylu i wykonaniu, uwiecznia pamięć samego prymasa Łaskiego: pierwotnie umieszczoną była w kościółku św. Stanisława, dziś wmurowana jest w podstawę piramidy, na miejscu kościółka wzniesionej.

Czyjego dłuta są te pomniki? Nie ulega wątpliwości, że pomnik ostatni z omówionych powyżej, tj. prymasa Łaskiego wykonał Jan z Florencyi, mistrz włoski, który pracował na Węgrzech. Dowodzi tego wyraźnie zachowany na pomniku napis: *Ioannes Florentinus me fecit a. 15...* Zdaje się jednak całkiem pewnem, że i dwa inne pomniki zachowane w katedrze gnieźnieńskiej, wyszły z pracowni tego samego artysty; że wszystkie wogóle nagrobki zamówione przez Łaskiego na Węgrzech, nie u kogo innego tylko u Jana z Florencyi zamówione zostały. Pisał już o tem dr. Herman Ehrenberg, autor ceniony przez historyków sztuki, a dr. Mycielski wywody jego nie tylko uwzględnia, ale też rozbiera krytycznie, samodzielnie uzupełnia i nowemi wzbogaca szczegółami. Trzy doskonale wykonane cynkotypy ilustrują interesującą broszurkę, a były tem potrzebniejsze, że pierwsza ich reprodukcya umieszczona wraz z rozprawą Ehrenberga w węgierskiem czasopiśmie *Archaeologiai Ertésítő* (z 15 czerwca 1893) wypadła nader niedokładnie.

Prof. Łuszczkiewicz w rozprawie swej o Bartłomeju Berecci'm zwrócił kiedyś w formie przypuszczenia uwagę, że oprócz głównego koryta, którym renesans bezpośrednio płynął do Polski za królową Boną i Polakami z podróży do Włoch powracającymi, było jeszcze inne koryto, mniejsze, wiodące przez Węgry. Praca p. Mycielskiego myśl tę uzasadnia i rzuca na nią nowy promyk światła, a zarazem dowodzi, jak wcześniej i prędko artystyczne prądy Zachodu przyjmowały się na naszym gruncie.

Kazimierz Bronikowski.

Czarne błoto (Pajaki wiejskie). Przez *Klemensa Junoszę*. Warszawa 1895. Nakładem Gebethnera i Wolffa. (W 8-ce, str. 393).

„Czarne błoto“, to właściwie nie powieść, tylko studyum społeczno-obyczajowe w formę powieści przybrane. „Pajaki wiejskie“, to oczywiście Żydzi — nazwa, która dziś, dzięki panu Junoszy, zyskała już do pewnego stopnia prawo obywatelstwa. Z miasteczka „Czarnem błotem“ nazwanego a zamieszkałego nieomal wyłącznie przez synów Izraela, rozchodzą się dokoła po okolicy w kilkumilowym promieniu drobne na pozór, ale systematycznie i wszechstronnie rozprowadzone nici intryg i spekulacyj, których celem omotać i uwikłać, niby muchy

w pajęczą sieć, ciemne a biedne chłopstwo i drobną szlachtę na kilku zagonach lub na dzierżawach osiadłą. Autor nie wdaje się w morały i poglądy, nie występuje też w roli sędziego: sędzią ma być czytelnik, przed którego oczyma przesuwały się ponure, fotograficzne prawie zdjęcia codziennych niemal scen z życia naszych wiosek i miasteczek. Uszer Engelmann, Jankiel Bas, Jukiel Katz, Mojsie Fisch i jego żona Małka, nie wymieniając już innych drugorzędnych, to typy żydowskie, związane z sobą wspólnością celów i potężną solidarnością, która ich siłę stanowi. Siła ta tem niebezpieczniejsza, że jej istnienia ofiary wyzyskiwane początkowo się nawet nie domyślają, panuje nad całą okolicą do tego stopnia, że żaden worek zboża, żadna krowa, lub choćby kura nie może ujsć przed argusowem okiem „delikatnych kupców“ z „Czarnego błota“, którzy oczywiście kupują wszystko za bezcen, jeśli wogóle kupują, często bowiem taki Żyd czarnobłocki produkta gospodarskie przez szereg lat ściąga od chłopów bez żadnej zapłaty, tytułem procentu za drobną sumę pożyczoną biedakowi w czarną godzinę.

Uosobieniem tego biednego tłumu wyzyskiwanych włościan to Michał Rokita, któremu ostatni zagon wraz z chatą zabiera Żyd za dług niewielu rubli przez szereg lat wzrastający; tysiące jemu podobnych, dzięki solidarności Żydów i ciemnocie chłopów, w podobnych sieciach znajduje śmierć powolną ale nieubłaganą. Inne ofiary tego zorganizowanego i systematycznego wyzysku, to znowu Wasążek, szlachcic zagonowy, zjadły pieniacz, i lekkomyślny, płochy Rożański, młody dzierżawca Zatraceńca, który żyje nad stan, a magnetyzowany pewnym rodzajem „flirtu handlarskiego“ przez Małkę, brnie finansowo coraz głębiej, aż wreszcie traci dzierżawę, a ruchomy jego majątek w sposób brutalny drogą licytacyi rozdrapują Żydzi.

Co na to powie Uszer Engelman, małomiasteczkowy filozof żydowski, który lubi rezonować nad wypadkami, fakta sprowadzać do ich przyczyn, a rzemiosło wyzysku ujmować w pewien system filozoficzny; co powie Engelman przedstawiający do pewnego stopnia zakonną mądrość Izraela a może i jego sumienie? Pogląd, na jaki Uszer Engelman się zdobywa, jest ten jedynie, że śruby wyzysku Żyd nie powinien naciskać do ostateczności, ale robić interes z umiarkowaniem. Kiedy bowiem chłop Rokita długo cierpliwy i wytrzymały, wreszcie w przystępie rozpaczony zabił Żyda Chaskla, który był przez długie lata jego pajakiem, Engelman wyrzekł sentencyjonalnie: „Zguba Żydów od Żydów idzie. Chaskiel jest zabity, bo ciągnął z tego chłopów za

dużo — nie dał mu żyć... Chaskiel był zanadto chciwy“. „Chłop jest grubian, ale z niego można mieć dużo. On pozwoli brać, ale jeżeli się bierze zanadto to on krzyczy, jeżeli jeszcze więcej, to bije“.

Szczery i cięty humor satyryczny p. Junoszy, wywołujący w innych jego pracach śmiech i wesołość, w „Czarnem błocie“ podszyty jest jakimś tłem ponurem, — śmiać się też nieraz trudno. Za to jak jasna smuga na posępnem nieba widnokręgu mile odbija od materyalnych i moralnych brudów „Czarnego błota“ wieś Brzozówka, w niej dwór dzierżawcy pana Boreckiego i sympatyczne postaci naprzód samego gospodarza, dalej siostry jego sędziwej panny Gertrudy, oraz dwóch dorastających córek, równie jak nieopodal leżąca leśniczówka Majdanem zwana, z sympatyczną również postacią p. Stanisława Zawadzkiego i jego matki. I w Brzozówce i na Majdanie widzimy pracę sumienną, życie pocziwe a skromne, do stanu i funduszów przystosowane, wreszcie unikanie Żydów (może to asemityzm?) — za tem zaś idzie względny dobrobyt, pomyślność i szczęście.

Z punktu widzenia artystycznego najbardziej wyraziście naszkicowaną, prawie tragiczną jest ponura postać zrujnowanego przez Żydów chłopca, Michała Rokity — najgłębsze też ona wywołuje wrażenie. Bardzo też jest ładną ciotką Gertruda. Żydzi nie mogli oczywiście wypaść słabo — wszak opisuje ich Junosza, dowcipnie przez któregoś z recenzentów „specjalistą od Żydów“ nazwany — czy jednak specjalista nie popełnił przesady w kreśleniu takiej postaci jak Uszer Engelman, a przynajmniej w niektórych jej rysach? czy dość liczne wyrazy i zwroty całkiem poprawne, nawet książkowe i literackie, nieraz filozoficzne, jakimi każe przemawiać temu małomiasteczkowemu filozofowi i jego niektórym towarzyszom, nie odbiegają zbyt daleko od owego charakterystycznego, świetnie wystudowanego języka Żydów, do którego nas przyzwyczaił w swych utworach p. Junosza, którego zresztą pyszne próbki i w „Czarnem błocie“ raz po raz napotyamy?

Ks. Alfred Wróblewski.



Z piśmiennictwa zagranicznego.

Kalendarium manuale utriusque Ecclesiae orientalis et occidentalis.

Edidit *N. Nilles S. I.* Tomus I. Oeniponte, F. Rauch (K. Pustet). 1896. (Str. LXIX, 536, w 8 ce).

Zamierzamy dziś mówić o dziele, które nietylko samo w sobie doniosłe posiada znaczenie, ale także w naszym kraju na szczególną zasługuje uwagę. Stosownie do życzenia Najprzewielebniejszego ks. arcybiskupa Stadler'a z Serajewa, komisarza papieskiego w sprawie zjednoczenia kościołów, *Kalendarium* wyszło obecnie w drugim, poprawionem i pomnożonem wydaniu. Pierwszy tom, który właśnie mamy przed sobą, zawiera święta nieruchome.

Jednym z najważniejszych i najlepszych środków zjednoczenia rozdzielonych Kościołów, zachodniego i wschodniego, jest poznanie się ich nawzajem. Bezwątpienia Kościół rzymski zna dokładnie obrządki wschodnie ze wszystkimi ich zwyczajami, lecz czy znajomość ta nie ogranicza się wyłącznie do tych, którzy z powołania lub zamiłowania zajmowali się tą kwestyą? A chociaż w naszym kraju żyjemy obok, a nawet po części wśród wschodniego Kościoła, czy przynajmniej księża łacińscy znają wszystkie obyczaje i zwyczaje związanych z nami w jednym Kościele Rusinów, którzy teraz właśnie obchodzili uroczyste trzechsetletnią pamiątkę Unii? Ponieważ zaś obrządek stanowi jedyną pomiędzy nami różnicę, jakże więc łatwo możemy obrazić ich przez nieznaną tego, co dla nich słusznie cennem jest i drogiem, bo potwierdzonem przez Kościół? Z pewnością nawet dla ruskich naszych braci nieco obcym musi być każdy, kto ich zwyczajów, odrębnych od naszych, nie zna i nie szanuje. Bo przez to ich obrządek jest dla nas niezrozumiałym i łatwo nawet mimowoli powstać mogą nieporozumienia. Również i dla wiernych wschodniego obrządku wielce jest pożądanem przekonać się o tem, jak dalece zgadzamy się z nimi we wszystkich kwestyach istotne posiadających znaczenie, nawet pod względem kalendarza i liturgii. Ważną także jest rzeczą okazać tym, którzy od nas są odosobnieni, w czem od nich się różnimy i obznajomić wszystkich z dziejami rozwoju obu obrządków. Właśnie to studium dziejów liturgii zachęcać może Unitów do jak najściślejszego połączenia się z Rzymem; schyzmatykom zaś okaże, e

Rzym uczy tylko tego, w co oni sami podług świadectwa własnych swych ksiąg, wierzyć powinni.

Nazwa wschodniego i zachodniego Kościoła, jak słusznie twierdzi Papp-Szilágyi, pochodzi od podziału dawnego państwa rzymskiego. Zaznaczyć wszakże należy, że Kościół konstantynopolitański nazywał sam siebie Kościołem Rzymian, Patriarcha zaś jego przybierał tytuł arcybiskupa Konstantynopola czyli nowego Rzymu. Dlatego też na Wschodzie wszyscy chrześcijanie wschodniego obrządku, noszą nazwę Rzymian.

Wyraz *Kalendarium* pochodzi od wyrazu *Kalendae*, utworzonego z greckiego słowa *καλέω*. Kalendarzem kościelnym jest księga, zawierająca daty kościelnych uroczystości. Ponieważ zaś w Kościele każdy dzień jest poświęcony na pamiątkę jakiegoś świętego, przeto i święci mają swe miejsce w kalendarzu. Niektórzy sądzą, że greckie *Menaea* są tem samem co łacińskie *Kalendaria*; mylnie to jest zdanie, albowiem *Menaea* nie ograniczają się wcale na zestawieniu dni i imion, lecz zawierają także żywoty świętych i wiele innych rzeczy. Czemś zupełnie odrębnem są tak zwane *Synaxaria* czyli streszczenia żywotów świętych zwykle z *Menaców* wyjęte. Tem, czem u nas *Ordo divini officii*, jest u Greków *Typikon* (*Typik*). W ściślejszem znaczeniu *Typikon* jest także księgą zawierającą wyjątki z Psalmów, jak również dwie części *Trochionu* (Officium od niedzieli Starozapustnej [*Septuagesima*] aż do soboty Wielkiego Tygodnia) i *Pentecostarionu* (Officium od Wielkiejnocy do Zielonych Świąt). Dodajmy nadto *Horologion*, zawierający Godzinki i Officium jak również *Menologium* na główne uroczystości.

Na wzmiankę zasługują także następujące księgi: *Octoichos*, w którym się mieści ośm tonów ułożonych przez świętego Jana Damasceńskiego, tudzież Tropary i Kanony, śpiewane od pierwszych nieszpórów (każda uroczystość rozpoczyna się nieszporem), aż do końca Mszy świętej. Każdy ton ma trzy kanony, a mianowicie kanon niedzieli Wielkanocnej, Krzyża wielkanocnego i Najświętszej Panny. Wreszcie wymienić należy Psalterz, w którym psalmy, chociaż umieszczone w takim samym jak w Biblii porządku, podzielone są jednak na pewne klasy, zwane *Kathismatami*. Każde *Kathisma* dzieli się na trzy części zwane *staseis* i dopiero po każdej takiej części następuje *Gloria Patri*, nie tak jak w łacińskim Kościele, gdzie każdy psalm się kończy doxologią.

Chcąc zrozumieć liturgię grecką, potrzeba poznać również kilka innych jeszcze nazw i ich znaczenie. *Akoluthia* oznacza Officium według porządku rozłożone, albo też sam tylko porządek, w jakim nastę-

pują składowe jego części lub wreszcie jakikolwiek wogóle sposób uwielbienia Boga. *Kanon* jest liturgiczną pieśnią, śpiewaną w pewnych oznaczonych dniach podług stale ustanowionych przepisów. *Odą* zowie się śpiew bez muzyki. Każdy Kanon zawiera dziewięć Od, o czym nawet świadczy ich nazwa; w rzeczywistości jednak zwykle po pierwszej Odzie od razu następuje trzecia. Melodya śpiewu zowie się *Hirmon* (*irmos*), strofy zaś śpiewane podług pewnej melodyi noszą nazwę *Troparion* (*tropar*). Ewentualnie *Troparion* oznacza również każdą krótką pieśń wogóle. *Prosomeia* są to strofy, posiadające takież sam rytm, jak *Hirmos*. Nazwa *Diomelon* (*samoglasnyi*) oznacza, że jakaś pieśń ma być śpiewaną na pewną właściwą sobie nutę. *Kontakionem* zowie się krótki hymn. *Oikos* (*ikos*) jest to pieśń na cześć Pana Boga lub jakiegokolwiek świętego. Wiersz z Pisma św. nosi nazwę *Stichos*. Powtórzenie jednego i tego samego zdania na początku każdego *stichos*, stanowi tak zwany *Antiphonon*. Podobną do naszych litanij jest modlitwa *Ektene* (*Jektenija*). *Prokeimenonem* (*Prokimen*) są dwa wiersze z Psalmów, zawierające treść ustępu z Pisma świętego, który się po nich odczytuje. Wreszcie nazwa *Metanoia* (*poklon*) służy do oznaczenia pokutnych ćwiczeń, polegających na składaniu niskich ukłonów.

Obrządki podaje autor w następującym układzie:

1. Obrządek grecki.

Czysto-grecki, grecko-melchicki, grecko-słowiański, grecko-rumuński
grecko-ruski, grecko-bułgarski.

2. Obrządek syryjski.

Czysto-syryjski, syryjsko-chaldejski, syryjsko-maronicki
właściwy syryjsko-chaldejski, malabarski.

3. Obrządek koptyjski.

Egipsko-koptyjski, abisyńsko-koptyjski.

4. Obrządek ormiański.

W pierwszym tomie *Kalendarium* podaje O. Nilles rok kościelny greckiego, czysto syryjskiego i syryjsko-maronickiego Kościoła. Że autor jak najumiejtniej wyzyskał całą literaturę, rozumie się samo przez się. Podnieść jednak wypada zdumiewającą dokładność w obrabianiu najmniejszych nawet szczegółów. Tak znakomite dzieło musiało zarówno na Zachodzie jak i na Wschodzie zwrócić na siebie uwagę. Wielu grecko-unickich biskupów nie znajduje dla niego słów pochwały i uzna-

nia. Również i Jego Eminencya ks. kardynał Sembratowicz polecił je gorać i kazał ogłosić to polecenie na dekanalnych zebraniach duchowieństwa i zaopatrzyć w to dzieło bibliotekę każdego dekanatu.

Na początku niniejszej oceny zaznaczyliśmy ważność i doniosłe znaczenie pracy O. Nilles'a; jesteśmy przekonani, że odda ona Unii ogromne usługi. Jeżeli zaś nie zdola jeszcze przynieść pożytku odłączonym naszym braciom, to tem pożyteczniejszą może być dla nas, dopóki nie wybije godzina zjednoczenia. Do przyspieszenia tej godziny czcigodny autor niemało się przyczynił.

Ks. Augustyn Arndt.

Die Seelenkunde des Menschen als reine Erfahrungswissenschaft.

Dr. Moriz Benedikt. Leipzig 1895. (W 8ce, str. 372).

Z wielką ciekawością wziąłem tę książkę do ręki, wyczytawszy w jednym z naszych dzienników (który zazwyczaj mało zajmuje się psychologią), uderzające pochwały na cześć jej autora, jednego z najbardziej cenionych obecnie psychiatrów i sędziwego profesora wszechnicy wiedeńskiej. Niestety doznałem bardzo niemiłego rozczarowania, poznawszy w autorze jednego z najpłytszych materyalistów, jacy kiedykolwiek rozprawiali o duszy. Pomimo tego jednak sądzę, że warto zwrócić uwagę na tę książkę; zawiera ona bowiem niejedną myśl bardzo trafną i porusza mnóstwo pytań żywotnych, przez co uwydatnia znaczenie psychologii dla wszystkich studyów, odnoszących się do życia społecznego. Nie można np. odmówić słuszności autorowi, kiedy potępia samolubstwo bogaczy (str. 92), albo kiedy przestrzega przed rozwiołnością (str. 100), albo gdy przypomina tę wielką prawdę, że „wykształcenie“ nie daje jeszcze rozumu, że raczej człowiek, który wiele się uczył, nie czerpiąc wiadomości swoich ze źródła pracą samodzielną i gruntowną, posiada pod pewnym względem bez porównania mniejszą zdolność do prawidłowego myślenia od ludzi „nie wykształconych“, bo jego mózg zapełniają całe szeregi rzekomych pewników, nigdy krytycznie przez niego nie rozebranych (str. 71 i nast.). Do rzeczy, najniekorzystniej przez autora ocenionych, należy obecny system szkolny; i w tym punkcie ma on poniekąd rację, chociaż wychodzi z założeń, na które nie mogę się zgodzić. Oświadcza się on przeciw studyom klasycznym z powodu, że one tworzą pożałowania godny przedział pomiędzy stanami „uczonymi“ a mieszczaństwem i ludem, że przysposabiają w sposób niedostateczny albo całkiem chybiony do szkół

wyższych, że nie rozwijają umysłu, że niepotrzebnie zajmują młodzież gramatyką, że od pisarzy starożytnych nie można się wiele nauczyć (!), że daleko więcej korzyści przyniosłoby głębsze studjum dziejów i piśmiennictwa ojczystego, nauk przyrodniczych, matematyki i logiki (por. VIII Anhang: *Erziehungsfragen* str. 273—289). Nie mogę w tem miejscu wdawać się w obszerną obronę nauk klasycznych (o których niedawno napisał dużo wybornych uwag prof. Struve w swoim „Wstępie krytycznym do filozofii“. Warszawa 1896, (str. 654 i nast.); przypominam więc tylko, że one faktycznie (jak stwierdza doświadczenie), lepiej przygotowują do uniwersytetów, niż nauki przyrodnicze, że uczniowie szkół gimnazjalnych przewyższają pod każdym względem realistów (nawet w matematyce, którą znacznie mniej się zajmują) i że do najsmutniejszych wyników doprowadziła próba, uczyniona we Francji po wielkiej rewolucyi, kiedy zastąpiono filologię klasyczną realiami i matematyką w szkołach średnich. Całkiem niesłusznie posądza autor sfery rządzące, że za pomocą tego systemu chcą umyślnie dać młodzieży wykształcenie złe i opaczne¹. Że jednak gimnazya dzisiejsze potrzebują reformy, to rzecz aż nadto widoczna; że młodzież nie wynosi z nich prawdziwego zamiłowania do literatury klasycznej, o tem przekonywa codzienne doświadczenie (str. 275); że powtarzane często (nawet przez ministrów oświecenia publicznego), sentencye o szczytnym „idealizmie“, wpajany przez filologię klasyczną, nie zupełnie dadzą się pogodzić z rzeczywistością, tego dowodzi niestety cały kierunek umysłowy ogromnego zastępu naszej młodzieży wykształconej, a bardziej jeszcze młodzieży pruskiej, która powinna być raczej tego szlachetnego „idealizmu“ wynosić z gimnazjum daleko więcej, niż nasza, skoro przecież poświęca autorom starożytnym znacznie więcej czasu!

Że autor kładzie nacisk na potrzebę lepszego wykształcenia logicznego (str. 280), to zapisuję z przyjemnością, bo istotnie „difficile est satiram non scribere“, kiedy jest mowa o nauce logiki w gimnazyach dzisiejszych, która niejednokrotnie odstrasza na zawsze młodzież od tej umiejętności i wywołuje nawet w kołach nauczycielskich wnioski

¹ „Verbildet soll die Jugend werden, aus der Beamte und Richter, aus der Aerzte und Lehrer hervorgehen; man ist sich nur dessen nicht so klar bewusst, wie der genannte russische Minister“ (tu mowa o Tołstoju, por. str. 277), „man folgt viel mehr einem Instincte und scheut die Klarheit“ (str. 278).

zmierzające do zupełnego usunięcia jej (i całej propedentyki) z planu naukowego. Jednakowoż sam autor dowodzi własnym przykładem, że nigdy nie zagłębiał się w logice, ani też w innych umiejętnościach filozoficznych. Gdyby to był uczynił, nie pisałby z pewnością takich rzeczy, jak następujące zdania: wrażenia i uczucia są według niego „formami ruchu“ (str. 27, w. 87 z g.) — że ta naiwna identyfikacja zjawisk duchowych z ruchem cząstek materialnych nie da się logicznie uzasadnić, to nie przyszło nawet na myśl autorowi; — pojęcia dobrego i złego, słuszności i niesłuszności wynikają po prostu z naszego stosunku do przedmiotów nas otaczających (str. 28 na dole). Powstawanie pojęć tłumaczy sobie autor w sposób zdumiewająco naiwny: ponieważ komórki mózgowe są ze sobą połączone, więc jest rzeczą całkiem naturalną, że ze spostrzeżeń dokonywających się w różnych miejscach powierzchni mózgowej tworzy się pojęcie¹. Ruchy, wywołane w mózgowiu, kombinują się i krzyżują, a skutkiem tego powstają z niższych tworów duchowych coraz wyższe (str. 34); najrozmaitsze rzeczy mogą wywoływać przebiegi podobne w mózgu, a pojęcie polega właśnie na tem, że wspólne znamiona tych przebiegów wyróżniają się w świadomości naszej od innych (str. 41)! Zaiste wierzyć się nie chce, że coś podobnego mógł napisać profesor największego uniwersytetu wielkiej monarchii europejskiej! Przecież i Du-Bois-Reymond jest zdeklarowanym materialistą, a jednak zrozumiał dobrze, że co innego ruch, a co innego myśl i że nigdy nie potrafimy wytłumaczyć, jak z przebiegów fizyologicznych mogą się wytwarzać zjawiska duchowe (*ignorabimus*)! Także od Wundt'a, który nie jest wcale zwolennikiem spirytualizmu, mógł się p. B. nauczyć, że jego przypuszczenie nie zgadza się z wymaganiem logiki umiejętniej².

¹ „Durch diese Verknüpfung der verschiedenen Zellen und Zellengebiete ist es ja überhaupt möglich, dass sich aus Wahrnehmungen, die an verschiedenen Stellen der Gehirnoberfläche zu Stande kommen, ein Begriff bilde“ (str. 32).

² „Indem man aber dergestalt — pisze Wundt w swoich *Vorlesungen über die Menschen- und Thierseele* (2te umgearbeitete Auflage. Leipzig, 1892. str. 6) — seelisches Geschehen und Hirnverrichtung einander gleichsetzte, um die Psychologie in der Gehirnphysiologie und mit dieser in einer allgemeinen Mechanik der Atome aufgehen zu lassen, fehlte man selbst gegen die erste Regel naturwissenschaftlicher Logik, welche aussagt, dass nur ein solcher Zusammenhang von Thatsachen als ein ursächlicher betrachtet werden darf, der zwischen gleichartigen Erscheinungen stattfindet“ (por. str. 7).

Poznawszy zdanie p. B. o tworzeniu się pojęć, widzi już jasno czytelnik, że logika jest słabą stroną autora, więc inne tegoż eksplicacye nie wywołują już tak wielkiego zdziwienia: wniosek ma być wyobrażeniem, które powstało z dwóch „wrażeń czyli wyobrażeń“ (str. 45). „Konsekwencya logiczna“ jest tylko koniecznym wynikiem asocjacyi wyobrażeń (!), która w pewnych mózgach odbywa się jakoś pomyślniej i zgodniej z naturą rzeczy, niż w innych (str. 48). Medykom poleca p. B. jakiś rozum „instynktowy“ (str. 70), jak gdyby ta rada jego mogła przydać się ludziom, nie posiadającym z natury tego wrodzonego „instynktu“. Poglądy autora na warunki i wpływy, od których zawisło nasze poznanie i cały nasz rozwój duchowy są w najwyższym stopniu bałamutne i pełne sprzeczności: z jednej strony szukamy tu napróżno jakiegoś probierza, z którego pomocą moglibyśmy rozróżnić prawdę od błędu; czytamy tylko, że nasze pojęcia i wnioski, a więc i sądy prawdziwe, powstają wskutek jakichś zagadkowych a w sposób dla nas pożyteczny kombinujących się ruchów materji mózgowej; — czytamy także dalej, że człowiek nie posiada wcale wolnej woli (str. 70, 155—158), z czego naturalnie wynika, że ta wola nie może wywierać żadnego wpływu na nasze myślenie i że wogóle nikt nie jest odpowiedzialny za swoje słowa lub czyny (por. str. 105, 156 i inne); a przecież z drugiej strony autor narzuca swoje poglądy z niezachwianą pewnością całemu społeczeństwu ludzkiemu, a przeciwnikom czyni zarzut bardzo krzywdzący, że powodują się złą wolą i jakimiś widokami osobistymi, kiedy przemawiają w obronie wolnej woli¹! Ale czyż godzi się kogoś posądzać, że umyślnie, z całą świadomością odrzuca prawdę i głosi zasady fałszywe, jeżeli ten człowiek nie może uczynić wolnego wyboru pomiędzy jedną opinią a drugą, je-

¹ „Die Gründe, warum dieser Standpunkt — jest tu mowa o prawnikach, zaprzeczających wolnej woli — noch bekämpft wird, sind mannigfache. Vor Allem die Unfähigkeit einseitiger ‚Geisteswissenschaftler‘, ihre Anschauungen zu ändern, weil sie entweder nicht die geistige Kraft oder wenigstens nicht den guten Willen haben, in die Denkweise der Naturforschung einzugehen... Eine weitere Ursache ist die Streberei vieler Rechtslehrer... Es ist vortheilhafter für das eigene Interesse, den Vorurtheilen der Einflussreichen zu fröhnen, als im Dienste der Wahrheit und des Rechtes thätig zu sein. Zu entschuldigen sind nur Jene, welche im Alter zu weit fortgeschritten sind, um den Hahn im Kopfe umzudrehen“ (str. 107, nast. Uwaga).

żeli w jego mózgu musiały powstać takie zapatrywania dzięki władającej w całym wszechświecie konieczności fizycznej? — Nie można zresztą powiedzieć, że poglądy autora na istotę występku i ustawodawstwo karne sprzyjają owym „nieszczęśliwym“ ludziom, którzy „rodzą się zbrodniarzami“, albo nimi się stają wskutek nieprawidłowego wychowania i pod wpływem okoliczności, bo p. B. nie jest wcale sentymentalny i nie ulega uczuciu litości, kiedy chodzi o dobro publiczne, o bezpieczeństwo obywateli, zagrożonych szkodliwą działalnością owych „niepoczytalnych“ biedaków: jeżeli zbrodniarz okazuje się niepoprawnym, trzeba go uczynić nieszkodliwym przez zgładzenie go ze świata (str. 106). Nie jest to, jak wiadomo, pogląd oryginalny, bo także inni pisarze, zaprzeczający wolnej woli (Lombroso, Ferri etc.), przemawiają za zachowaniem kary śmierci chociaż znoszą wszelką poczytalność.

Więcej zbliżone do prawdy (albo i zgodne z nią zupełnie) są inne myśli autora. W dodatku 5-tym, traktującym o „kwestyi niewieściej“ (*Die Frauenfrage*, str. 181—188), przyznaje on wyższość umysłową rodzajowi męskiemu i dlatego oświadcza się przeciw zupełnemu równoprawnieniu płci, zgadzając się jednak na to, żeby niewiastom umożliwiono przystęp do pewnych urzędów, a więc także do szkół średnich i uniwersytetów¹. Nie mogę tu jednak wdawać się w obszerny rozbiór jego zapatrywań, więc tylko nadmieniam, że według niego pod względem moralnym stoi niewiasta wyżej od mężczyzny i że dlatego jej

¹ Por. w tym względzie cenne dzieło H. A. Rösler'a: *Die Frauenfrage vom Standpunkte der Natur, der Geschichte und der Offenbarung*. (Wien 1893, str. 297). Wiadomo, że i u nas powstało w tym roku (w Krakowie) pierwsze gimnazjum żeńskie. Jaki będzie rezultat tej próby, nie można naturalnie z góry przewidzieć; ale przyznam się, że z największym zdumieniem czytałem plan naukowy tego zakładu: cały prawie ogromny materiał, któremu uczniowie gimnazyalni w 8-iu latach podolać nie mogą (z wyjątkiem niewielu najzdolniejszych), mają dziewczęta przyswoić sobie w czterech latach nauki i mają zapoznać się z tymi samymi autorami klasycznymi; na rok więc 4-ty przypadają: Tacyt, Horacy, Platon, Demostenes, Sofokles. Otóż nie mam nadziei, żeby uczennice zakładu mogły w jednym roku jako tako pokonać trudności, które nastroczą lektura tych autorów. Dzisiaj czytają uczniowie po 4-ech latach nauki języka greckiego przez całe jedno półrocze Demostenesa, a po 5½ latach poświęca się 4 miesiące Sofoklesowi, a przecież dochodzimy do wyników tak nie zadowalających, że najpoważniejsi pedagogzy żądają zmniejszenia liczby czytanych autorów.

uczestnictwo w życiu publicznem przyczyni się do uszlachetnienia rodu ludzkiego (str. 184).

P. B. zajmuje się także z wielkiem zamiłowaniem poezją; uważa on nawet poetów za najlepszych nauczycieli psychologii i nie bez słuszności; ale sądy, jakie o nich wydaje, nie są najczęściej trafne. Przecenia on bardzo Grillparzer'a (któremu poświęcił rozprawkę dołączoną jako dodatek 9-ty, str. 319—349) i Ibsen'a, w którym upatruje on szczególnie głębokiego znawcę serc ludzkich, a którego krótko a doskonale zcharakteryzował St. Tarnowski (w recenzji rozprawy d-ra German'a p. t. „Henryk Ibsen“, patrz *Przegląd Polski*, listopad, 1896) w słowach: „Ci ludzie, których on tworzy, to z nader małemi wyjątkami nie psychologiczne, ale patologiczne egzemplarze, nie dusze ludzkie, ale organizmy pod pewnemi danemi warunkami newrozy, histeryi, morfiny i magnetyzmu. Jego teorye i doktryny to dobre chęci umysłu i serca pierwotnie szlachetnego, ale tak zabląkanego i opłatanego w paradoks, że jak sam nie widzi wyjścia i ratunku dla świata, tak i dla niego dojrzeć go nie można. Chorobliwy jest on sam i chorobliwe, estetycznie jak moralnie, to co tworzy; w chorobliwie tylko usposobionych społeczeństwach mógł znaleźć wielbicieli i naśladowców“¹. Mówiąc (wogóle wcale dobrze) o malarstwie, czyni p. B. bardzo pochlebną wzmiankę o Matejce².

Na zakończenie warto jeszcze zanotować jeden szczegół ciekawy: na czele książki uderza nas nazwisko kapłana katolickiego d-ra

¹ Za to umieścił w tym samym *Przegl. Pol.* p. J. W., w r. 1894, w „Kronice teatralnej“ wielką pochwałę Ibsena i nazwał go „idealistą w najwznioślejszym znaczeniu“! (str. 633, zeszyt czerwcowy).

² „Je mehr die Ereignisse Ergebnisse des geistigen, sittlichen und staatlichen Ringens des Volkes und ihrer (*sic!* — zam. seiner) Vertreter sind, desto eindringlicher wird die Kunst werden und wirken... Darum hat Matejko so Grosses geschaffen. Die Gegenstände der Darstellung drängten sich seinem Gefühle auf. Er kannte die Menschen und Menschenarten, die dabei thätig waren. Er kannte das Volk und seine Tracht, seine Bewegungs- und Ausdrucksweise: er kannte die Orte und Gegenden des Geschehens und er kannte und fühlte dies Alles nicht bloss als begeisterter Pole, sondern er sah, fühlte und arbeitete als geborener Künstler“ (str. 126 i nast.).

W powyższym ustępie wytknęliśmy autorowi jeden błąd gramatyczny. Wogóle pod tym względem można uczynić autorowi niejeden zarzut; pisze on np. na str. 90: „Das Streben der Aufklärung; na str. 185: „leichter wie der Mann“.

Wawrzyńca Müllner'a, prof. filozofii na wydziale „teologicznym“ (dziś już na filozoficznym) uniwersytetu wiedeńskiego; jemu poświęcone jest to dzieło zdeklarowanego materyalisty. Co mogło skłonić autora do tej dedykacji (pełnej pochwał dytyrambicznych), to pozostaje dla mnie nierozwiązaną zagadką.

Ks. dr. A. Pechnik.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Po liście papieskim o święceniach anglikańskich. — Stolica święta i Francya. — Memorandum włoskich katolików. — Napaść na ks. arcybiskupa Stablewskiego. — Liberalizm zwycięzca.

PO LIŚCIE PA-
PIESKIM O ŚWIE-
CENIACH ANGLI-
KAŃSKICH.

O sprawie święceń anglikańskich pisaliśmy w *Przegłędzie* już kilka razy, i jakeśmy przewidywali, wypadł wyrok Stolicy św., że te święcenia są nieważne.

Wyrok ten wypadł niepomysłnie dla najzacniejszych ludzi, jak lord Halifax, którzy chcieli zbliżyć anglikanów do Kościoła i przypuszczali, że ułatwiłby drogę do powrotu Leon XIII, gdyby uznał święcenia anglikańskie za ważne.

Ale wyrok nie mógł wypaść inaczej i faktycznie uchronił wiele pobożnych dusz od iluzyj teraźniejszych i niebezpieczeństw przyszłych. Błąd w poglądzie na święcenia anglikańskie mógł sprawić, żeby bardzo wielu anglikanów wystawiało sobie, że są katolikami, a nie mieliby dostępu do źródeł łaski sakramentalnej.

Na takie niebezpieczeństwo narażali anglikanów stronnicy lorda Halifaxa, którzy w anglikanizmie widzieli tylko odszczepioną gałąź Kościoła powszechnego, ale nie pamiętali, że ta gałąź, z początku istotnie tylko odszczepiona, nie długo trwała we wierze zgodnej z nauką powszechną: utworzyła u siebie nową wiarę i przestała w kapłaństwie uznawać sakrament przez

Chrystusa ustanowiony; widziała w nim tylko coś, jakby urząd nauczycielski, bez żadnej władzy sakramentalnej. Jeszcze za Maryi Stuart anglikański Kościół, choć odszczepiony, jednak z rzymskim biskupem zgodnie uczył, że Chrystus ustanowił sakrament kapłaństwa, którego udzielają tak samo biskupi zjednoczeni ze Stolicą apostolską, jak i biskupi w Anglii, od rzymskiego biskupa niezależni. Wskutek tej wiary, jeszcze szczerze wyznawanej, za królowej Maryi wystarczało wrócić anglikanom, duchownym i świeckim, pod posłuszeństwo względem Stolicy apostolskiej, i kapłani anglikańscy zająć zaraz mogli stanowisko równe z kapłanami całego chrześcijaństwa.

Ale po męczeńskiej śmierci królowej Maryi, Elżbieta i jej następca, Edward VI., napowrót oderwali Anglię od biskupa rzymskiego, a w obawie, aby nowa Marya nie zniszczyła ich dzieła, postanowili wykopać przepaść głębszą, niż poprzednia, między Rzymem a sobą. Więc nie poprzestali już na uroszczonej władzy papieskiej, jak Henryk VIII.; niezadowolnieni odszczepieństwem wprowadzili różnicę wiary, któraby utrudniła zgodę z rzymskim biskupem. Za Edwarda Niemieccy innowiercy wciśkali swoje zasady do składu wiary anglikańskiej. Między innemi nowinami przyjęła Anglia luterską naukę o sakramentach i w kapłaństwie nie więcej nie widziała, niż głosił odstępcą augsburski. W kapłaństwie, udzielonem przez biskupa rzymskiego, widzieli tylko wymysł ludzki, którego nie przyjęli, a swoim duchownym kazali poprzestać na takim urzędzie, w jakim występują pastory luterscy. Stąd biskupi, zjednani dla tej nauki nowej, przestali święcić swoich duchownych na takich kapłanów, jakich święcił rzymski biskup, i w samym rytuale umyślnie zmienili słowa, które wyrażały sakrament kapłaństwa, a ułożyli obojętną formułkę, która duchownym angielskim nie udzielała innego stanowiska, niż pastorów niemieckich. Słowem, ani nie mieli zamiaru, ani stosownemi słowy nie mogli udzielać sakramentu kapłaństwa, kiedy takiego sakramentu nie uznawali, ani nie wyrażali, że udzielają władzy, której udziela Rzym.

Tym sposobem anglikański Kościół przestał być odszcze-

pioną tylko gałęzią Kościoła powszechnego, jaką są wschodnie Kościoły dotychczas, a spadł tak nisko, jak innowiercy niemieccy.

Ale i w Niemczech i w Anglii, czy łaska boska, czy tylko bieg czasu zaczął studzić nienawiść innowierców ku Kościołowi powszechnemu. Dzisiaj tylko niektórzy innowiercy, wierni jeszcze pierwotnym zasadom, oburzeni wołają na swych współwyznawców, że katolicyzują. W Anglii więcej, niż w Niemczech, innowiercy zacierali różnice między sobą a „papistami“ i na zewnątrz przywdziewali strój katolicki i w duszy przestawali wątpić o wielu prawdach katolickich; spora ich część już tylko jedną widziała zaporę między Kościołem powszechnym a sobą: prymat biskupa rzymskiego. Tę chcieli usunąć; i Halifaxyści marzyli o gromadnym powrocie pod pasterską łaskę Leona XIII., jak przed wiekami ich przodkowie wrócili za królowej Maryi.

Ale Leon XIII. nie mógł od dzisiejszego duchowieństwa anglikańskiego przyjąć tylko tych wyrazów poddaństwa, jakie dawniej wystarczały dla kapłanów i biskupów zbuntowanych, ale rzeczywistych. Zamknąć oczy na ich stanowisko kościelne, znaczyłoby im, świeckim ludziom bez sakramentalnego kapłaństwa, powierzyć wiernych na duszpasterstwo bez najistotniejszej władzy: bez ofiary i sakramentów. Więc Leon XIII. odpowiedział: wracajcie do owczarni Piotrowej, ale w równym rzędzie ze świeckimi, póki nie wyświęcą was rzeczywisci biskupi na prawdziwych biskupów i księży.

W Hanley kardynał Vaughan wobec poważnego grona oświadczył, że anglikanie przed latami przedstawiali sprawę swoich święceń greckiemu duchowieństwu; niedawno poddali tę sprawę pod sąd jansenistów w Holandyi: za każdym razem dostali tę samą odpowiedź, co teraz od papieża.

Wielu katolików zadaje sobie teraz pytanie, jakżeż Halifaxyści przyjęli głos papieża, który ich duchowieństwu przyznaje tylko to stanowisko, na jakim ich chce mieć rytuał Ryszarda Hookera? Czy to ich nie odstręczy od Kościoła powszechnego? Czy krok Leona XIII., zamiast zjednoczyć Kościoły, nie wywoła niechęci i nie wykopie między Kościołami przepaści większej, niż była dotychczas?

Na to pytanie zwracają uwagę także pisma anglikańskie *Times* pisze o Halifaxystach: „Kiedy już raz powiedzieli sobie że im nie wystarcza urząd pastorów, jakiego jedynie żądał Ryszard Hooker i dla siebie i dla swojego duchowieństwa, i kiedy już raz uczuli, że przykro im wątpić o swoim stanowisku kapłańskim, wyższem od urzędu pastorskiego, tedy niema dla nich rady żadnej, jak tylko ta, którą papież im przedkłada, żeby wrócili pod posłuszeństwo względem Kościoła rzymskiego i jego głowy widzialnej“.

Podobnie pisze *The Rock*: „Całkowicie przystajemy na papieski sąd w tej sprawie i możemy zgodnie z nim powtórzyć większą część jego dowodów. Papież twierdzi zupełnie to samo, co właśnie zawsze utrzymywaliśmy, że za czasów Reformacyi dostojnicy Kościoła anglikańskiego rozmyślnie i stanowczo zerwali z Kościołem rzymskim, odrzucili jego naukę o kapłaństwie i władzy biskupiej; więc nie mieli najmniejszego zamiaru przy święceniach udzielać takiego kapłaństwa, w jakim upatrywali spaczoną myśl Chrystusową o Jego kapłaństwie, ani niezem nie popartą w Piśmie i nawet wprost sprzeczną z zasadniczemi naukami ewangelii. Dla biednego lorda Halifaxa, który usilnie, najpoważniej i szczerze pracował nad tą sprawą, bardzo smutno wypada wyrok, w którym papież najwyraźniejszymi słowami odmawia wszelkiego cienia kapłaństwa anglikańskiemu duchowieństwu, nazywa jego przedstawicieli ludźmi świeckimi, którzy nie posiadają, ani mieć nie mogą żadnej władzy, żeby Chrystusa piastować na ołtarzu: w co wszystko z naszej strony wierzymy najuroczyściej. Najprzykrszejszem dla nich będzie, że... nie mogą już prowadzić rozpraw, przy których anglikanom włosy na głowie stawały, kiedy słyszeli sofizmaty na dowód, że u nas Reformacya nie zburzyła hierarchicznego kapłaństwa katolickiego“.

The Methodist Times z gniewem powtarzają, że duchowieństwo rzymskie okazuje w sobie mniej ducha kapłańskiego, niż anglikańskie duchowieństwo, stąd wnosi, że „z niedorzecznym sądem występuje, kto ministrów anglikańskiego Kościoła nie uważa za kapłanów. Zarazem — ciągną dalej — zupełnie przyznajemy, że wystarczy raz przyjąć niebiblijny wymysł o apostołskiej hierar-

chii, a dobrowolnie odrzucać duchowy wpływ boski, żeby najsluszniej wyciągnąć wniosek papieski. Papież najsluszniej twierdzi, że poprawiony rytuał anglikańskiego Kościoła naumyślnie opuszcza wszystko, co stanowi istotę kapłaństwa, pojętego na sposób rzymski. Jeżeli Halifaxyści pragną czegoś w tym rodzaju, nie im nie zostaje, jak iść po to do papieża“.

W podobnym duchu przemawiają *The Record*, *The Review of Reviews*, *The English Churchman*, *The Speaker*, *Liverpool Courier*, *The New Age* i inne pisma. Sam lord Halifax dotychczas okazuje jakąś urazę na papieską bullę. Zarzuca, że według tej bulli chyba zły duch sprawia te zbawienne skutki, których doznają anglikanie, kiedy przystępują do sakramentów, według bulli nieważnych. Podejrzewa papieża, że nie w dobrej wierze działał, tylko politykował, bo nie śmiał wydać wyroku sprzecznego z Listem z roku 1704, w którym święte Officium nie uznało w duchowieństwie angielskiem władzy kapłańskiej. Mimo to nie stracił nadziei, że Kościół rzymski przyjdzie z anglikańskim do zgody. Na zjeździe swoich stronników w Shrewsbury wyraził te swoje poglądy i pocieszał obecnych uwagą, że im większego dzieła pragniemy dla Boga, tem większych przeszkód musimy oczekiwać: podział chrześcijaństwa daje złemu duchowi najdzielniejszą broń na zgubę dusz: „więc ktokolwiek pragnie widzieć znów zjednoczone Kościoły, ten musi doznać najzaciętszego oporu ze strony piekielnych duchów. Ale ten opór zrażać nas nie ma, przeciwnie, powinien zachęcać“.

Niemniej od lorda Halifaxa okazują głęboką urazę biskupi anglikańscy za bullę Leona XIII. Zebrani w Shrewsbury pod przewodnictwem arcybiskupa z Yorku, rzucali słowa, które świadczą, że upornie trwają w rokoszu przeciw Stolicy Apostolskiej. W tym samym duchu przemawiał biskup z Lincoln na zjeździe duchowieństwa swojej dyecezyi, i biskup z Stepney w kościele św. Pawła.

STOLICA ŚWIĘTA
I FRANCYA. Postawa Stolicy świętej względem republikańskiego
rządu francuskiego nie przestaje ciężać monarchistom.
Nowym objawem ich uporu przeciw wskazówkom papieskim był
zupełny brak ich na wiecu katolickim w Reims, gdzie najwaź-

niejszym może przedmiotem obrad miały być właśnie wnioski, żeby praktycznie przeprowadzić we Francyi katolicką politykę wobec rządu podług myśli Leona XIII. Zamiast spostrzedz monarchistów w swoim gronie, uczestnicy wiecu usłyszeli pogłoskę, że już ustała potrzeba takich obrad, bo sam Watykan opuszcza nakoniec swoje stanowisko pojednawcze względem Rzeczypospolitej, i że z tego powodu odwołuje mgra Ferratę z nuncyatury i następcy jego, mgrowi Claremu powierza nowy tor polityki bardziej monarchicznej, niż poprzednia. Wiele o tem pisały dzienniki, a między niemi wodziła rej wiedeńska *Pol. Corr.* Tymczasem zaszedł wypadek, że dwa poważne pisma: *Monde* i *Univers* spłynęły w jeden dziennik, którego redakeya doniosła do Watykanu o zaszłej zmianie i załączyła przytem wyrazy uległego posłuszeństwa dla Stolicy świętej w jej politycznych wskazówkach dla Francyi. Na ten list odpowiedział kardynał Rampolla i za wolą papieża z naciskiem powtarza, że nieustanną troską napelnia papieża myśl, kiedy nastanie zgoda między katolikami we Francyi. Wyraża, jak stanowczo Leon XIII. życzy sobie widzieć usunięte z pośród katolików różnice poglądów i slyszec ich jednozgodne hasło o obronie wolności Kościoła i jego praw na drodze legalnej. Dalej pisze te słowa: „Dlatego nie wolno przypuszczać, że możnaby zejść z takiego stanowiska. Ojcu świętemu taką radę natchnęły najważniejsze względy na dobro wiary, i miłość ku katolickiej Francyi. Redakeya Wasza stale trwa przy uległem i wiernem posłuszeństwie dla Stolicy świętej i nie zwracała uwagi na rozpuszczone pogłoski, jakoby miała nastać zmiana polityki, na te pogłoski rozsiewane, aby zaniepokoić dusze: dlatego bądźcie pewni, że nic nie zmienimy w stanowisku, które dobrze rozumiecie. Tego stanowiska od was ściśle wymaga rozwój Kościoła i dobro ojczyzny“.

MEMORANDUM
WŁOSKICH
KATOLIKÓW.

Uderzać musiała nowina, którą dzienniki podały niedawno, że włoscy katolicy postavili krok na drodze zupełnie nowej. Dotychczas stali daleko od rządu i nie przyjmowali krzesel poselskich, więc nie podnosili głosu wobec rządu w sprawach, nad którymi o nich samowolnie ra-

dzili wrogowie Kościoła. Taki stan narażał katolików na dotkliwie ciosy z rąk wolnomularskich; niejednen polityk włoski doradzał im, żeby doświadczyli sił swoich, porzucili stan biernego oporu i na arenie parlamentarnej dochodzili praw naruszonych. Ale przyjąć wybór na posła znaczyłoby uznać prawomocnem bezprawie i przystać na zjednoczone Włochy pod berłem piemonekiem. Więc katolicy, posłuszni Watykanowi, nie korzystali z praw obywatelskich i nie zabierali głosu, aby nie wchodzić w żadną ugodę z najeźdźcami.

W ostatnich tygodniach zaszła zmiana: nie przestali sobie katolicy odmawiać wstępu do izby poselskiej rządu zaboreczego, ale wystosowali do jego naczelnika, margrabiego di Rudini, swoje *memorandum*, w którym wyrażają główne swoje potrzeby. Spodziewać się było można, że margrabia w kroku katolickim upatrzy początek jakiegoś wstępu do zgody i przyjmie ich *memorandum* ze słowami życzliwemi. W samej rzeczy odpowiedział na *memorandum* życzliwą obietnicą, że chętnie rozpatrzy przedłożone w niem wnioski. Z drugiej strony zachodziła obawa, czy Stolica święta przychylnem okiem spoglądać zechce na ten krok katolików, choć jeszcze nie pojednawczy, ale w każdym razie dla zaborców mniej nieprzychylny niż dotychczasowy opór bierny. I tę obawę rozwiła *Civiltà Cattolica*, niezawodnie nie skłonna do sądów odmiennych od zdania papieskiego; to pismo także życzliwie wita nowy krok włoskich katolików.

Memorandum z powagą na wstępie przypomina, że dotychczas najważniejsze prawa narodu włoskiego nie znajdowały żadnych względów u najwyższych przedstawicieli władzy państwa. Stąd dzieje kraj i już młodzież szkolna budzi groźne obawy w sercu katolickich rodziców. Dalej ciągnie *memorandum*:

„Dlatego wytrwale żądamy, Ekscellenco, wolności wychowania na wszystkich uczelniach. Niech prawda swobodnie rzuca światło na umysły: tego nie mogą obrońcy i krzewiciele wolności uważać za coś sprzecznego z rozumem i prawem, przeciwnie, powinni poczytywać to za rzecz zupełnie zgodną z prawami rozumu, za słuszną i sprawiedliwą. Żądamy wolności nauczania, bo usilnie potrzebuje tego naród włoski i chce katolic-

kiego wychowania i katolickiej nauki. Od dawna Kościół nie wykonuje swobodnie swoich obowiązków wychowawczych i nauczycielskich, a nie może spełnić tego, czego życzą i usilnie wymagają ojcowie rodzin, ponieważ Kościół w osobie swoich sług stracił dostęp do uczelni wyższych i średnich, do zakładów, które wychowują nauczycieli, i na wielu miejscach nawet do szkół elementarnych“.

Memorandum wymienia następnie ministerjalne przepisy, sprzeczne z prawem, uchwalonem na dniu 13-ym grudnia 1859 r. Mianowicie wbrew temu prawu minister zniósł teologiczny wydział na wszechnicach, usunął duchowieństwo z posady dyrektorów gimnazjalnych, realnych i po seminariach nauczycielskich, wytworzył nowe przeszkody, aby nie obsadzać katechetów i nie dopuszczać duchowieństwa do nadzoru nad młodzieżą szkolną, odebrał biskupom głos w sprawie, czy kandydat na posadę katechety posiada dostateczną naukę i t. d.

Dalej wchodzi *memorandum* w różne szczegóły gospodarki społecznej, prowadzonej za obecnego rządu z oczywistą szkodą dla narodu; żąda zmian w zakresie ustawodawstwa, które źle przeciwdziała socjalizmowi, nierozsądnie obarcza podatkami, gubi rolnictwo, zaprowadza niemożliwe stosunki z urzędami, wiąże ręce władzom gminnym i krajowym.

Potem *memorandum* nalega na rząd, żeby ustała praca w dzień święte. „Odpoczynku w dzień święty — dodaje *memorandum* — chrześcijanin pragnie z obowiązku, członek rodziny wymaga zmuszony konieczną potrzebą, robotnik żąda z prawa ciężko nabytego... Aby święcić dzień święty, trzeba nieodzownie zaprzestać robót służebnych: niech rząd da początek w urzędach i państwowych zakładach. Niech idzie w ślady narodów cywilizowanych!“

Nakoniec *memorandum* pisze:

„Większa część narodu włoskiego, prawie cały naród wyznaje wiarę katolicką; przez nas podnosi ten głos: zwróć na to, Ekscellencyo, uwagę, a państwo wyjdzie na tem dobrze“.

Co minister Rudini na to odpowie, dotąd nie wiadomo.

NAPASĆ NA
KS. ARCYBISKUPA
STABLEWSKIEGO.

Wściekłość przeciw Kościołowi i Polakom, która panuje w Poznańskim, którą rozdmuchuje antypolskie Towarzystwo Hakatystów, wystąpiła w całej brzydocie w Opalenicy. Ale ta brzydota miała tę dobrą stronę, że wystąpiła na jaw wobec całego świata i przed wszystkimi wystawiła Hakatystów na pogarde, tak dalece, że nieszczęsnego von Carnapa musiał napiętnować rząd sam, daleki od bezstronności dla Polaków. Powszechny okrzyk zgrozy w różnych krajach odpowiedział beczelnemu urzędnikowi, który w niesłychany sposób ubliżył arcybiskupowi gnieźnieńsko-poznańskiemu. Z wielką ulgą cały świat katolicki czytał nakoniec wyrok sprawiedliwych sędziów, kiedy ci, choć obcoplemienni i nie ultramontanie, jednak ocenili słusznie sprawę i potępił zniwagę, którą z godnym podziwu spokojem przeniósł zasłużony wobec Kościoła i kraju, następca Karnkowskich i Ledóchowskich.

LIBERALIZM
ZWYCIĘZCA.

Liberalizm na Węgrzech, jako wróg Kościoła, stanął do wyborczej walki przeciw klerykałom ze stronnictwa ludowego. Po krótkich zapasach, odniósł Bánffy zwycięstwo... Walka, której nie podolał Tisza, w której ustał Wekerle, czekała na Bánffyego, i wypadła tak świetnie, że na całym świecie nie śmie wzdychać do tego żaden rząd wolnomysłny, czemu sprostał zwycięski rząd na Węgrzech. Z Bánffym na czele, liberalizm odniósł nad Kościołem katolickim jedno z takich zwycięstw, od jakich księga dziejów zaczyna nowy rozdział i do nowej doby przechodzi. Aż do czasów Bánffyego liberalizm postępował z Kościołem oględnie: zważał na ludzkie sądy, liczył się ze środkami, szanował pozory, słowem, przybierał postawę układową i postać obrońcy praw ludzkich. Od czasu, kiedy w Bánffyego ręce liberalizm złożył buławę naczelnego wodza, już śmiało zaniedbał pozory, przestał zważać na względy ludzkie, otrząsł ze siebie postawę przybraną i nie występuje wcale jako obrońca praw ludzkich: więc ustał czas wybiegów i wojny ukrytej, wybuchła walka zacięta, spadła szata owieczki i wystąpił na jaw wilk w wilejzej skórze.

W taką dobę jawnej i zaciętej walki z Kościołem wkro-

czył chlubnie liberalizm: prowadzi już ją otwarcie, jak na szlachetnego zapaśnika przystało, który gardzi obłudnym podstępem i okazuje, kim jest. I ta podniesiona przyłbica przynosi liberalizmowi zaszczyt i szczęśliwie przypadła na te same chwile, w których uroczyste obchodzone „Millenium“, tysiąclecie dziejów magyarskich, dowodziło Europie, że do poziomu jej oświaty dorównał postęp w kraju Arpadów.

Na wiecu, w Budapeszcie odbytym przez zwolenników wieczystego pokoju, wystąpił niejeden wymowny przedstawiciel liberalnego narodu i usiłował zadać klam złośliwej pogłosce, jakoby Magyarzy od Europy nie wzięli, prócz żydowstwa; niejeden krasomówca wielbił swoich ziomków za to, że przyjęli od Europy pojęcia „wolności“ i „liberalizmu“. Nie umieli jednak nikogo mocno przekonać o swoich nabytkach oświaty i postępie nowoczesnym. Nawet sędziwy Gladstone w znanej mowie wyznał świeżo, że za Litawę nie dotarła Europa. Wielu w wystawie peszteńskiej dopatrzyć nie umiało nic więcej od pałaców Potemkinowskich i pola popisu dla wymowy Aponych i towarzyszków. Dopiero teraz Bánffy może zawstydzonej Europie pokazać pole walki wyborczej, pokryte setkami rannych i kilkudziesięciu trupami katolików, i powiedzieć liberalom całego świata: jacy wy jeszcze słabi i niewyrobieni, w porównaniu z nami! Z Kościołem musicie jeszcze oględnie poczynać, w targi wchodzić z wyborcami, obietnicami wzajemnych ustępstw wyludzać w Izbach zgodę posłów na śluby cywilne, na szkołę bezwyznaniową, na tysiące innych potrzeb wolnomysłnego ducha! Wam jeszcze trzeba zachowywać pozory: nam tu na ziemi węgierskiej nie trzeba krępować ruchów i wchodzić w ugodę z katolikami: bez długich korowodów dławimy przeciwników i depczemy pole ich krwią obryzgane.

I cóż w tej postawie szlachetnej, którą zajął Bánffy względem Kościoła, w tej wojnie otwartej i nie splamionej żadną obłudą, co mogło razić liberalne pismo krakowskie (*Nouva Reforma*, nr. 253), iż mniema, że „środki takie“, jak pogotowie wojskowe i nadużycia wyborcze, „kompromitują zasady“ liberalne! Przecież zasad swoich nie kompromituje wróg Kościoła, jeśli nie udaje zwolennika

równych praw dla wszystkich, gardzi obłudą i odrzuca broń potwarzy albo nóż skrytobójczy, a w jasne południe spotyka wojowniczego katolika i bez ogródek mówi: jeden z nas musi zginąć, nie chcę paść z twojej ręki, broń się, bo zabijam! i słabszego kładzie trupem. Tak na Węgrzech liberalizm spotyka stronnictwo ludowe, które wojowniczo idzie do Izby tworzyć stosunki belgijskie i obalać ustawy, najdroższe dla wolnych myślicieli. Więc rząd liberalny w duchu swoich zasad działa, kiedy burzycieli wolnomysłnych ustaw nie puszcza do Izby i natrętnych odpędza z bronią w rękę; czemuż ci natręci naruszają pokój?

Np. w Tyrnawie zupełnie powinien był rząd bronić swojej powagi, kiedy w oczy jego przedstawicieli ktoś rzucił taką obelgę, jak okrzyk na cześć katolika: „Elien Zichy!“ Oczywiście policja powinna była zatrzymać takiego śmiałka, a kiedy odbić uwięzionego chcieli jego stronnicy, musiało wojsko wkroczyć. Więc wpadli cwałem huzarzy w zbity tłum, jednego na śmierć stratowali, jednego zostawili kaleką do śmierci, innych poranili, ale któż im winien? Czemu rządowym koniom nie ustąpili z drogi?

Albo w Waag-Bystrzycu usiłował rząd łagodną namową upamiętać fanatyków, którzy nie chcą rozvodu: więc chodził naczelnik sądu z żandarmami po domach, przedstawiał wyborcom, że wolnomysłne ustawy małżeńskie zabezpieczają im raj na ziemi: darmo! zacofana ciemnota zatyka uszy... Więc sędzia grozi wyższemi podatkami, wpuszcza Żydów, którzy obiecują po kilkadziesiąt koron za głos, czasem paręset: na upór nie było lekarstwa — więc żandarmi musieli na czas wyborów niebezpiecznych obywateli usunąć: kuli w kajdany i zamykali w kaźni.

Albo w Iglo sami rodzice sobie winni, iż nie chcieli dzieciom zabezpieczyć dobrych stopni z nauki i pomyślnego wyniku egzaminów: wszak nauczyciele dzieciom zapowiadali stopnie i nagrody, byle rodzice dali głos na rządowca...

Albo w okręgu Trenczyn-Boan, czemu żadna powaga rządu nie nie znaczyła u katolików? Poszli takim zastępem na wybory, że już zwyciężali, i wolnomysłni przeciwnicy nie mieli sposobu, tylko musieli podpalić miasto i wieś Mantofala, aby

odwieść dalszych wyborców od urny i wybawić rząd od porażki...

Także w Siedmiogrodzie nie powinno było stronnictwo ludowe oddawać katolikowi 550 głosów, kiedy zwolennik rządu, Szmul Popp, zebrał wszystkich głosów ledwo 150. Naczelnik sądu darmo ruszył do osad rumuńskich, aby groźbami zmusić ich do udziału w wyborach w myśl rządu: ci woleli pouciekać w las, niż głosować za panem Szmulem. Ale żandarmi posłani za zbiegami w pogoń, wyłowili ich, popętalili i dostawili na miejsce wyborów, gdzie policzyli ich głosy za Szmulem.

I w Lipnie powinien był przecie katolik, hrabia Zselenski ustąpić od razu woli rządu, a nie pragnąć krzesła w Izbie, nie zmuszać naczelnika, żeby zamykał trzystu wyborców ze stronnictwa ludowego, nie podtrzymywać swoich zwolenników w stanie nadziei, która wywołała rozruch i dopiero na widok krwi hrabia dał znak, że rządowcowi odstępuje krzesło poselskie zbroczone krwią katolicką.

Tego spisu nie mógłby skończyć, kto chciałby wymienić, gdzie i ile razy np. rząd widział, że jego poseł nie przejdzie, więc bez żadnych zachodów niszczył tyle głosów przeciwnych, ile wystarczyłoby, żeby przeszedł katolik. W samych Węgrzech północnych, w dwudziestu dwóch okręgach liczą tak zniszczonych głosów kilkanaście tysięcy; a jeszcze nie wszystkie sprawy rządu wyszły na jaw. Stronnictwo ludowe dopiero po zamęcie walki znajduje czas do obrachunków dokładnych i wzywa przyjaciół, żeby donosili o wszystkich szczegółach walki wyborczej; zamierza wydać ich opis w językach: włoskim, niemieckim i francuskim, aby na cały świat rozgłosić sławę Bánffyego. Przypuszczają, że taki opis wykaże, jak niezbędnie wymaga zmiany obecna ustawa wyborcza na Węgrzech.

Ale kto tę zmianę przeprowadzi i kiedy? W teraźniejszym składzie Izby wolnomyślnej rząd nie struchleje przed żadnym zamachem katolickim na obecną ustawę wyborczą: wszak na czterystu z górą posłów. liczy blisko trzystu swoich zwolenników. Ledwo nie trzy ćwierci Izby poselskiej odeprze każdą napastę katolicką na zdobycze liberalizmu, a poprze każdą myśl,

która zaświeci w postępowym umyśle naczelnika rządu. Więc każdy, czy Magyar, czy Żyd, czy ktobądź, komu wola, może przedkładać na obrady Izby posłów jakikolwiek wnioski wolnomysłny; każdy wróg Kościoła może nasuwać nowe środki ku walce z zacofanymi poglądami na Boga i obyczajność, może każdy wyznawca zasad wyzwolonych z pod powagi katolickiej przedstawiać, że jeszcze to i owo, dziesiąte i setne krępuje wolną myśl społeczeństwa i wstrzymuje jego postęp: każdy taki wniosek, przyjęty oklaskami, wejdzie do Izby i wyjdzie z niej poważnie w todze ustawy, otoczony liktorami, którzy nie pożałują różg i siekiery, aby zaślepionym otworzyć oczy na wspaniały widok uchwał liberalnych, zdolnych rozkuć myśl ludzką z pętów średniowiecznego przesądu i wzbić ją śmiałym polotem ku szczęściu i sławie.

I cóż pocznie teraz *Neue Freie Presse*? Czy nie zaprzestanie wywodzić skarg, z którymi jeszcze oplakuje upadek wolnomysłnego prądu w Austrii? Niedawno jeszcze w rozprawie o kościelno-politycznych walkach pisała: „o! jakże zdaje się nam, że daleko gdzieś za nami leżą czasy, kiedy to duch swobody po roku sześćdziesiątym wiał silnie i spoglądał z otuchą pewną zwycięstwa, ku państwu wolnomysłnemu, ku jego działalności nieskrępowanej, zawsze i we wszystkim roztropnej i dobroczynnej, ku jego żywotnym i szlachetnym pojęciom prawa!“ Niezawodnie, szlachetnie stoczona walka i rycerski ucisk ludowego Związku katolickiego w magyarskiem państwie wolnomyslnem oddaje świadectwo, jak szczerze liberalne pismo każde pragnie tylko szczęścia dla ludów monarchii, kiedy wzywa dla nich nieskrępowanej, rozropnej, dobroczynnej, żywotnej i szlachetnej działalności rządów na wzór Bánffyego! Zwycięstwo stronnictwa liberalnego powinno zachwycać i przekonywać najupartszych, że rząd wolnomysłny przynosi każdemu obywatelowi żywot w takiej swobodzie, w jakiej pędzą dnie i błogosławią berło sultana Kreteńczycy i Ormianie. Wybory na Węgrzech świadczą, że tam błogi liberalizm kwitnie i panuje nietylko tak rozkosznie, jak nigdzie w Europie, ale zarazem tak potężnie włada, jak w silnej prawicy dzierży berło samowolny satrapa azyatycki.

I cóż pocnie teraz katolickie stronnictwo ludowe na Węgrzech? Rok jeden i drugi zapasów z przewagą rządu bezwyznaniowego czy nie rozwał nadziei świetnych, z jakimi stronnictwo ludowe wystąpiło, aby rozbić i w rozsypkę obrócić obóz liberalny?

Pomiędzy setkami i tysiącami uczestników walki niepomysłuy jej obrót może wywołać tu i owdzie głosy zwątpiałe i zaprawione goryczą; mogą nawet dziesiątki małodusznych nawoływać do zmiany taktyki, do biernej opozycyi. Nie dziw nawet że jeden z najwybitniejszych pisarzy węgierskich, Iwor br. Kaas tak wyraża swój pogląd na wynik walki wyborczej: „Bánffy i Fr. Kossuth radzi już mogą spoglądać na koniec wyborów. Szkoda, że ich wynik nie wygląda jeszcze świetniej, że np. nowa izba nie liczy samych Bánffystów i jakich jeszcze pięćdziesięciu uprzywilejowanych Kossuthystów. Ale jeszcze naród magyarski nie wygląda, jakby zupełnie dojrzał do liberalizmu. Bywają tu i ówdzie okręgi, które o... obywatelskich prawach marzą i mniemają, że Magyarország istnieje dla obrony ustaw i wolności, że obywatel powinien używać praw politycznych i wybierać posłów. Takie mrzonki, to jakiś szczątek podań z wieku dawno zamierzchłego, który zniknie, nim dożyjemy nowych wyborów, bo wszelki opór musi przecie za konieczną uznać opozycję bierną. Musi przed rządowymi rozpędami ustępować z drogi, z huzarami nie wdawać się w niemile rozprawy, a dla obrony praw i dla dobra przyszłych pokoleń węgierskich poprzestać na biernej opozycyi”.

Temi słowami znakomity pisarz wyraża pogląd może niejednego z tych wyborców, upadłych na duchu albo nawet na ciele poranionych, którzy spoglądają na wybory jako na dnie klęski stronnictwa. Ale tego poglądu nie podziela ogół. Niektóre pisma, jak *Budapeszteński dziennik*, każą stronnictwu ludowemu z otuchą spoglądać na tę dzielnie stoczoną walkę i zakończoną zwycięstwem Bánffyego, ale zwycięstwem dla niego haniebnem. Tak wilk zwycięża i dławi owcę, jak Bánffy pokonał przeciwników i zdławił swobodę na Węgrzech. Za przykład może służyć najspokojniejszy z okręgów wyborczych: ziemia Abauj-Tornajska.

Tu wysłał rząd: do Nagyidy oddział piechoty z kilkudziesięciu ludzi, tyleż do Szikszó, do Szepsi dwa oddziały piechoty i tyluż huzarów, do Goenez i do Garboecz-Boydány po dwa oddziały piechoty, po jednym do Goergoe i do Szinu. Cóż dziwnego, że po innych okręgach, burzliwszych, nagromadzone wojska nawet Żydom dodały odwagi, że nawet tchórze, oparci o taką siłę wojenną za plecami, odnosili łatwe zwycięstwo, ale nie dla nich zaszczytne, tylko dla stronnictwa ludowego. Ten młody związek, ledwo paroletni, już tworzy taką potęgę, że przeciw niej musiały wojska ruszyć w pochód, jakby przeciw wrogiemu najazdowi mocarstwa postronnego.

Wiedeńska *Reichswehr* nie chlubniej dla Bánffyego opisuje jego zwycięstwo: „Węgierska walka wyboreza już stoczona. Rząd zdobył większość stanowczą. Ostatecznie bywało tak zawsze od roku 1874 i podobno tak samo zostanie, póki nie ulegną zmianie obecne ustawy, szczególnie wyborcze. Te ustawy, szczególnie za pomocą podstępów i nadużyć, dzisiaj popełnianych zupełnie jawnie przy wyborach, dają z góry w ręce ministrów wynik wyborów, tak że równie dobrze mówimy dziś o wybieranych posłach, jak możnaby mówić o posłach, mianowanych przez rząd. Wybory przeszły po większej części stosunkowo dość spokojnie i bez rozruchów. Padło wszakże w przebiegu walki kilkudziesięciu zabitych i wiele set rannych. Zawezwano żandarmeryi i całej siły zbrojnej węgierskiej, nadto pułków ze wszystkich krajów pogranicznych. Można obliczyć, że z ośmiuset tysięcy wyborców nie oddała głosu połowa, ledwo trzy kroć sto tysięcy, stąd wypada prawie, że w wyborach na Węgrzech wzięło udział ledwo nie tylu żołnierzy, ilu głosowało wyborców.

W wielu okolicach, szczególnie tam, dokąd stronnictwo ludowe przerzuciło główną potęgę swoją, między Słowakami na północy i między Chorwatami na zachodzie czuć było już nie w powietrzu, ale w sercach taką burzę, że, gdyby nie wojsko, nastąpiłyby ogólne rzeznie, bitki i pożary“.

Słowem, liberalne pisma w obu stolicach monarchii wyrażają ten sam sąd o zwycięstwie Bánffyego nad stronnictwem ludowym, powtarzają te same wyrazy, że zwyciężył wilk owcę.

Także praska *Politik*, nie podejrzana wcale o ultramontański zapal dla katolickiego stronnictwa, pisze o jego pogromcach: „Tyle brudu i zgnilizny, tyle dzikiej bezwzględności i zwierzęcości jeszcze żadna w Europie walka wyboreza nie wydała na jaw, co ta wyprawa wojenna w tysięcznym roku sławnego bytu i niezależnego państwa magyarskiego. Ani Crispi, najmniej skrupulatny ze wszystkich filutów, którzy podrabiają wybory, nawet ten mistrz schodzi na partacza wobec Bánffyego, sławnego dziś jako „zwycięzca“ przez liberałów. W którym to kraju oświeconym, aby przytoczyć tylko jeden przykład, mógłby zająć wypadek, żeby minister sprawiedliwości, we własnej osobie stróża ustaw i prawa, z naładowaną kieszenią wyruszył do okręgu wyborczego na walkę przeciw najulubieńszemu w tamtej okolicy kandydatowi, a walkę toczył najjawniejszym przekupstwem wyborców, już nie pojedynczych, ale całemi gromadami! Sądzimy, że żaden kraj nie zcierpiałby nawet podrzędnego urzędnika, któryby pozwolił sobie na takie bezprawie, tem bardziej ministra sprawiedliwości. A na Węgrzech, takie pomysły Bánffy'ch i Erdely'ch jako „zwyczaj krajowy“ nie dziwią nikogo, tem mniej nie oburzają“. Mógłby Bánffy, gdyby chciał, wprowadzić jako posłów do izby nie tylko Żydów, ale także ludożerców z Oceanii, a choćby samego cara, jak uważa dziennik Apponyjego, *Nemzeti Ujsag*, a nikt już nie okazałby zdziwienia.

Wawrzyny, któremi woluomyślny rząd magyarski uwięczył swoje zwycięstwo, nie tylko w granicach monarchii budzą odrazę. Także w cesarstwie niemieckiem przyjaciele Magyarów, dotychczas najwierniejsi, podnoszą głos oburzony. Nie dość tego, że *Kreuz-Zeitung* i *Germania* zimną wodę leją na głowę dawniejszym zwolennikom Węgier; prawdę rządowi budapeszteńskiemu zaczynają mówić także *M. Allg. Zeitung*, *Koeln. Zeitung*, nawet *Frankf. Ztg.* Ostatni dziennik napisał liberałom magyarskim otwarty list z cierpkimi wyrzutami, pod ostrym nagłówkiem: „Zostańcie pierwszej Europejczykami!“ A najmniej w smak musiały pójść Bánffyemu gorzkie słowa nagany, unieszczone w *National-Ztg.*, piśmie, z którego dotąd szczerze płynęły potoki słów miłosnych dla liberalnych przyjaciół w Budapeszcie. Szczególniej na uwagę

zasługuje ustęp z *Koelnische Zeitung*, który głównie przedstawia stanowisko katolików w stronnictwie ludowem. Między innemi ten dziennik pisze:

„W całej sprawie nabiera wielkiej wagi i doniosłości występ najmłodszego obozu węgierskiego, przed którym truchleje obóz liberalny, mianowicie stronnictwa ludowego. To stronnictwo katolickie wystąpiło po pierwszy raz do walki wyborezej i złać musiało, prócz zwykłych przy każdym początku przeciwnieństw, także długi rząd przeszkód wprost niezwyćzonych. Nie mogło iść w ogień z taką otuchą, z jaką idzie zastęp obyty z walką, a na domiar złego, tylko część Słowaków i Niemców użyczyła czynnej pomocy stonniectwu, a inni razem z pozostałemi narodowościami nie chcieli wyjść z biernego upadku ducha i dopiero na przyszłe wybory obiecali swoją pomoc, jeżeli obecny wybór okaże, że stronnictwo ludowe dostarcza im szczerych obrońców w sobie. A właśnie na tych narodowościach najwięcej zależy stronnictwu i w nich musi znaleźć najwięcej członków: tym razem znalazło tylko zastrzeżone obietnice... A przytem jakiego nie doznało ucisku przy wyborach! Odkąd narodowości przestały stawać do walki wyborezej, otdąd nie pamięta nikt, żeby rząd pracował tak zawzięcie przeciw jakiemu stronnictwu węgierskiemu. I tego stronnictwa przewodzcy zdawali sobie jasno sprawę z tysięcznych przeszkód; dlatego zacieśnili sobie pole walki i podjęli ją z wielkim wysiłkiem tylko w czterdziestu okręgach, w innych trzydziestu wystawili kandydatów tylko na próbę, a wszędzie popierali kandydatów konserwatywnych bez różnicy, pod jakąby chorągwią ci nie walczyli. Dokazali tego, że nawet do rządowego stronnictwa przemycili konserwatystów, a narodowemu stronnictwu Apponyego dopomogli tak skutecznie, że Apponyi im zawdzięcza połowę posłów swojego koła. Mimo to sami poprzestać muszą na dwudziestu i jednym pośle, i tych głównie zdobytych w okolicach czysto magyarskich. Ale co najważniejsze, katolickie stronnictwo ludowe dowiodło, że za puściło już silne korzenie we wszystkich okolicach, i pomiędzy Magyarami, i pośród innych narodowości. Gdzie wystąpiło, wszędzie wywołało walki, z olbrzymiemi wysiłkami prowadzone za-

pasy, jakich jeszcze nie dożył na Węgrzech nikt. Najwięcej chluby widzieć dla siebie może w wyniku wyborów w Keeske-met; to miasto nawskróś magyarskie, typowe gniazdo magyaryzmu, przedstawiało w sobie obraz zamętu największego. kiedy w niem wszystkie stronnictwa węgierskie do upadłego walczyły, aby zdobyć posła: wtedy największą liczbę głosów zyskał dowódzca stronnictwa ludowego. I znów inne miasto, ognisko oświaty i nauki magyarskiej, historyczny Stuhlweissenburg, swymi głosami rozstrzygnął wybór katolika ze stronnictwa ludowego. Takie stanowiska, zdobyte dzisiaj, obiecują wiele na przyszłe wybory“.

Temi i podobnemi słowami liberalne pisma niemieckie opisują zwycięstwo Bánffyego, weale przychylnie dla pokonanych katolików. Tak to między ludźmi bywa... przyjaciele zdradzają i ze względów ludzkich opuszczają przyjaciół w niebezpieczeństwie. Wolnomyślni Niemcy z obawą spoglądają na śmiałe kroki rycerstwa, które z Bánffym rozwinęło chorągiew liberalizmu... z obawy nie śmieją bić oklasków zwycięzcy... sprzyjają zwyciężonym... Skądżeż ta obawa? Wszak Bánffy zwyciężył... czyż ta garstka zwyciężonych na razie katolików przedstawia jakąś potęgę, przed którą liberalizm truchleje, nawet kiedy ją zgniótł na chwilę? Czyż liberalizm czuje, że choćby posiadał władzę Cezarów, i katolików mógł lwom rzucać na pastwę, nietylko prześladować, jeszcze nie odniósłby zwycięstwa nad potęgą Kościoła? Jeżeli tego nie przypuszcza, niech wije wawrzyny na czoło Bánffyego... a jeżeli nie śmie otwarcie walczyć z Kościołem, ani sławić Nerona i jego naśladowców aż do Bánffyego, niech roztrząśnie sumienie i przyzna, że nigdy nie wolno z góry zapowiadać: Nie pójdziemy do Kanossy!

Kurs socyalny w Schwaebisch-Gmünd.

Prawie w środku lata, w parę tygodni po lwowskim wiecu katolickim, nasunęła mi się pod oczy dwuwierszowa notatka, umieszczona w berlińskiej *Germanii*:

„Tegoroczny praktyczno socyalny kurs odbędzie się, jak możemy już zupełnie stanowczo zapewnić, w Schwaebisch-Gmünd; najznakomitsi niemieccy katolicycy socyolodzy przyobiecali wystąpić na nim z wykładami“.

Lwowski wiec tak gorąco i przekonywująco polecał socyalne kursa, tak zachęcał, aby i u nas pomyśleć o wprowadzeniu ich w życie; ci, z Polaków — co prawda bardzo nieliczni — którzy brali udział w tych kursach, bądź w Niemczech, bądź w Austrii, tak się unosili nad płynącymi z nich korzyściami, że choć zajrzeć dopiero trzeba było do geografii, gdzie właściwie owe Gmünd leży, choć z Krakowa do Wirtembergii kawał świata a zatem droga i długa i droga; przecież wszystkie te i mnogie inne względy musiały na bok się usunąć i wczesnym, niedzielnym porankiem, 11 października, pociąg pędzący całą siłą pary od Noerdlingen i Aalen ku Stuttgartowi wyrzucił nas w szwabskim Gmündzie. Wyrzucił nas — bo dwóch nas, towarzyszków tej samej broni, walczących w tym samym pułku, lub mówiąc dokładniej, piszących przy tym samym redaktorskim stoliku, do Gmünd się wybrało. Jednemu chodziło przedewszystkiem o socyalno-filozoficzne teorye, o ogólne poglądy, ściśle rozgatkowania na systematyczne działy i poddziały zdrowych socyalnych zasad, krążących po świecie socyalnych mrzonek. Drugi (oczywiście nie mój towarzysz, ale piszący te słowa), który nigdy namówić się nie dał do zawarcia ściślejszego sojuszu z oderwaną filozofią, pragnął na pierwszym miejscu poznać się z doświadczonymi wodzami katolicko-socyalnego ruchu w Niemczech, wyrozumieć z ich rozmów i wykładów, jak w praktycznem życiu przeprowadzają swe teorye, jakiego oręża i jakiej wojennej taktyki używają w wzbudzających podziw zapasach z socyalistyczną armią. I jeden i drugi znalazł w Gmünd czego szukał. Oczywiście pierwszy pytał czasem z żalem, czemu profesorzy chełpiący się z tego, że należą do narodu myślicieli, nie zawiodą łodzi na głębsze filozoficzne wody; drugiemu zdawało się nieraz, że i tak za wiele czasu idzie na teorye, które możnaby spokojniej i wygodniej w domu z książek przestudyować. Ostatecznie wyjechali obydwaj z Gmünd bardzo zadowoleni; na szkolnem, teoretycznem tle wystąpiły ściśle praktyczne zagadnienia z całą pożądaną wy-

razistością. Jeden był żal i szkoda, że praktyczne te zastosowania miały głównie, często wyłącznie na oku niemieckie stosunki, zwyczaje, prawodawstwo. Cóż robić — dla dwóch przybyłych z Austrii słuchaczy, nie można było mówić o rzeczach, które dla siedmiuset, ośmiuset Wirtemberczyków, Hessów, Bawarczyków, Prusaków byłyby bez interesu.

Gmünd, mała miejscina, nie większa np. od Tarnowa, ale co w niej za czystość, co za porządek, jak wszystko obmyślane dla zapewnienia gościom możliwych wygód, a nawet przyjemności! Stare, spiczaste dachy, modne dachy hotelowe, wspaniałe kościelne wieże; okna, słupy, balkony przybrane w chorągwie miasta i państwa, czarno-czerwone i czerwono-biało-czarne. Na dworcu kolejowym oczekują przyjezdnych członkowie komitetu, złożonego z najpoważniejszych obywateli miasta i prowadzą do wyznaczonych z góry kwater. A na tych kwaterach jaka gościnność rozumna, delikatna, bezinteresowna; już nietylko mowy niema o płaceniu gospodarza, ale służba wzdryga się przed przyjęciem pożegnального drobnego datku. Pierwsze słowa mego gospodarza, szanowanego powszechnie w całym mieście aptekarza Rathgeba, były: „Proszę uważać nasz dom za swój“; myślałem w pierwszej chwili, że to zwykły grzeczny frazes, po paru godzinach przekonałem się, że słowa te nie dawały nawet jeszcze dostatecznego wyobrażenia o możliwie najszerszych granicach tak serdecznej a tak jednocześnie prostej gościnności dla pierwszy i prawdopodobnie ostatni raz w życiu widzianych cudzoziemców.

Na powitanie wręczają nam w urzędowym biurze „kursu“ cały stos broszur, programów, uwiadomień, krótkich streszczeń najważniejszych lub najzawilszych referatów. Wszystkie te druki — a powtarzam, był ich cały stos — kosztują razem jedną markę. Osobna drukowana karta uwiadamia przybyłych księży, że w Gmünd znajduje się jedenaście kościołów i kaplic; wylicza ile w każdym z nich ołtarzów i wskazuje, od której godziny, od piątej czy dopiero od szóstej, można przy nich Mszę św. odprawiać. Inna karta wylicza jedenaście głównych restauracji, w których członkowie kursu dostawać mogą obiady za markę 30 fen., lub — w trzech pierwszych, najgłówniejszych hotelach, — za półtorej marki. Kupony na obiady brało się i płaciło każdego dnia w biurze kursu, najpóźniej do pół do dziesiątej rano; około pierwszej rozdzielaly się uczące się rzesze po wybranych z góry restauracjach i zastawały już obiad gotowy, przygotowany na odnośną liczbę biesiadników. Za obiady te i mięsne i bardziej jeszcze postne, nie po-

trzebowałby się z pewnością powstydzić ani np. Turliński, ani nawet Grand-Hôtel; kto wie, czy krakowskie, o ile wiem nieco droższe obiady, nie musiałyby przed taniemi gmündowskiemi na drugi plan ustąpić. A czyżby i czemużby — zapytajmy na zakończenie tego materyalnym kwestyom poświęconego ustępu — nie dało się tego przeprowadzić na galicyjskich wiecach i kongresach, co w szwabskiej mieścinie tak praktycznie i dla czasu i dla kieszeni było obmyślane i przeprowadzone? Niby to rzecz drobna, obmyśleć dla wiecowników sposobność do pożywienia się we właściwym czasie, taniego a przyzwoitego; niby rzecz drobna pomyśleć o przyległym do wykładowej sali bufecie, w którym dostałby można szklanek piwa lub wina i kawałek chleba z serem lub z szynką. Kto dużo po różnych kongresach się kręcił, wie jak to wpływa na liczbę wiecowników, na ich humor, na to, aby przed czasem z tysięcy nie rozplynęli się w setki i dziesiątki.

W niedzielę wieczorem odbyło się w wielkiej sali katolickich związków uroczyste powitanie gości. Witął miejscowy proboszcz, a jednocześnie jeden z najenergiczniejszych członków przygotowawczego komitetu, ks. Saile; witali delegaci przysłani przez sąsiednich biskupów; witał burmistrz Moehler imieniem całego miasta, słusznie cieszącego się, że tylu zacnych gości doń się zjechało, że z niego popłynąć mają ożywcze promienie społecznej wiedzy na całe Niemcy. Nazajutrz rano uroczysta Msza św., na którą zebrało się przeszło tysiąc uczestników kursu i związanych z nim katolickich kongresów; a potem szybko do domu katolickich związków, do wielkiej sali, w której wczoraj przy piwie, śpiewie, kielbaskach, licznych mowach, witano przybyłych, a w której dziś od dziewiątej zaczną się wykłady. Trzeba się spieszyć, bo choć sala wielka i bez trudności zmieścić się może 700 do 800 osób; ale starać się trzeba o zajęcie lepiej położonego stolika, niedaleko trybuny, skądby można i dobrze słyszeć i widzieć mowcę i bez wyteżenia robić notatki w osobno w tym celu przygotowanych, w dowolnej liczbie *gratis* rozdawanych kajetach...

Wykłady, praca nie na żarty. Rano punkt o dziewiątej wstępuje na katedrę pierwszy mówca i mówi okrągłą godzinę; potem drugi mówca i znów upływa druga godzina; po dwóch godzinach pięciminutowa przerwa, z której trzy czwarte uczestników gorliwie korzysta, aby w przyległym bufecie zdobyć sobie parę kielbasek i przełknąć kufel piwa; zdobywa, połyka i pędem wraca na salę, gdzie tymczasem trzeci mówca skonstatował, że pięć minut już upłynęło i rozpoczął trzeci wykład. Około pół do pierwszej rozchodzą się wszyscy na obiad;

o pół do czwartej znów w sali zebrani i z zajęciem notują czwarty z rzędu wykład. O siódmej zbiera się zwyczajnie na walne zebranie wielkie jakieś katolickie stowarzyszenie, które skorzystało z socyalnego kursu, aby przy tym samym ogniu i swą pieczeń upiec. Chyba na brak narad, wykładów, dyskusyj, na niedostateczne zajęcie i wyzyskanie czasu nikt się nie może skarżyć. Raczej możnaby się poskarżyć, że uszy od słuchania puchną; że ręce mdleją od ciągłego notowania i wreszcie pod wieczór ołówka nie mogą utrzymać.

Uszy puchną, ręce mdleją, ale swoją drogą przyznać trzeba, że jest co słuchać, jest co notować. Wykłady, rozebrane przez najznakomitszych katolickich socyologów niemieckich zaznajamiają systematycznie z kwestyą społeczną; nie mogą oczywiście w zbyt krótkim przeciągu czasu zmierzyć całej jej długości, całej szerokości, a tembardziej do dna ją zgłębić; ale wskazują przynajmniej, jakie i w jakich kierunkach wody te płyną, z jakich wypływają źródła; uczą w jaki sposób, jakich pomocniczych narzędzi używając, dokładniej bieg ich śledzić; uczą zwłaszcza, które z tych strumieni i jaką drogą sprowadzić można w regularne koryta, będące już nie kłeską, lecz zbawieniem dla pojedynczych krajów i całego chrześcijańskiego społeczeństwa.

Kwestya socyalna rozpada się jak u nas, tak w Niemczech, tak w całym świecie na trzy wysunięte dziś przynajmniej do pierwszego rzędu a najściślej ze sobą związane kwestye: robotniczą, rzemieślniczą, ludowo-rolniczą. Trzy te kwestye stanowiły też główne tło gmündowskich wykładów. W robotniczej i rzemieślniczej grał na pierwszych skrzypcach, uznany w całym świecie za jedną z największych powag na polu socyalnem, słynny członek berlińskiego *Centrum*, prof. Hitze, i generalny sekretarz potężnego katolickiego „Związku ludowego“, dr. Pieper z M. Gladbach; w trzeciej również bardzo szeroko znany, poseł do parlamentu berlińskiego i do monachijskiego sejmu, dr. Pichler. Obok tych Jankielów nie brakło oczywiście innych muzykantów, niemniej czasem znanych uczonych, którzy na innych zjazdach, jak np. na odbytym w ostatnim lecie socyalnym kursie w Zurychu sami orkiestrą kierowali; tu wtórowali kolegom, rzucali jaśniejsze światło na pewne, zbyt lakonicznie rzucone przez nich punkta, w krótkich jednogodzinnych prelekcjach.

Dr. Hitze, dość wysoki, smukły ksiądz, bardzo nerwowy, raz po raz na pół dobroduszenie, na pół ironicznie uśmiechnięty, przyjął na siebie aż pięć wykładów: cztery o kwestyi robotniczej, ostatni o rzemieślniczej. Bardzo ważne, z głęboką znajomością rzeczy przeprowa-

dzzone te wykłady; nieliczni słuchacze nie mający szczęścia być poddanymi jednego z królestw lub księstw wchodzących w skład niemieckiej rzeszy, żałują trochę, że mówca wyłącznie stosuje swe słowa do niemieckich stosunków, niemieckiego prawodawstwa, przeprowadzonych i zamierzonych w Niemczech reform socyalnych, — ale śmiesznem byłoby mieć za to do prelegenta pretensyę. Wiele z tych reform, z tych praw, to własne jego dzieci, na jego wniosek, po długich mowach w parlamencie do życia powołanych; cały szereg innych reform, uznanych przez *Centrum* za niezbędne, znowu w znacznej części przez prelegenta zainicjowane, wypracowane w najdrobniejszych szczegółach, czeka tylko sposobnej chwili, aby przecisnąć się przez parlamentarne wrota i wejść w krainę życia. Nie abstrakcyjny Niemiec-profesor abstrakcyjne teorye wyklada, ale jednocześnie profesor i najrealniejszy w świecie polityk przedkłada jasno i dla profanów nawet zrozumiałe sprawy, kwestye, reformy, w których był i jest *magna*, a w niejednej *maxima pars*.

Dwadzieścia lat temu¹ stawiało *Centrum* po raz pierwszy wniosek socyalnej reformy. Wyśmiano ich wtedy; dziś prawie wszystkie ówczesne żądania weszły w życie i dziwnie prędko i łatwo się zaaklimatyzowały. Trudności, z któremi pesymiści występowali, na szczęście nie ziściły się ani w najdrobniejszej części; nikt nie zbankrutował, żadna gałąź przemysłu z widowni nie ustąpiła; dziś nikt z pewnością na seryo nie proponowałby powrotu do dawniejszego stanu rzeczy w prawodawstwie o niedzielnym spoczynku; o zabezpieczeniu robotników na starość, na wypadek choroby lub kalectwa, o opiece nad robotnikami, ich życiem, zdrowiem, moralnością; o szczególnej opiece nad robotnicami i robotniczą młodzieżą. Prawodawca ma tu wszędzie bardzo jeszcze wielkie przed sobą zadanie; pracodawca ma nie mniejsze zadanie; ksiądz a tembardziej ksiądz będący prezesem katolickiego związku robotniczego znać powinien na palcach nowe prawa wydane na korzyść robotników i czuwać nad ich wykonaniem; samiż katolicy robotnicy bronić winni fabrykę przed rozpustą, nie dozwałać na zaczepianie dziewcząt lub swawolne rozmowy.

Nam katolikom nie idzie o popularność, o demonstracye, ale

¹ Por. dwie ważne i bardzo ciekawe broszury d-ra Hitzego (drukowane jako manuskrypt), z których autor-prelegent wielką część swych wywodów czerpał: *Die Arbeiterfrage und die Bestrebungen zu ihrer Loesung* i *Stand und weitere Reform-Ziele der Arbeiterschutz- und Arbeiterversicherungs-Gesetzgebung*.

o praktyczne zyski dla robotników; dlatego nie drażnimy, jak socjaliści, ale postawiwszy z góry cały program, oznaczamy z niego pewne najgwałtowniejsze a praktyczne sprawy, które chcemy przeprowadzić i pchamy je z całych sił, spokojnie, lecz bez przerwy. Im bardziej w samym parlamencie krzyczymy, im głośniej się gniewamy, tem wyraźniejszy znak, że na razie nie liczymy na powodzenie i przygotowujemy tylko teren do przyszłych kampanij.

Skarżą się niektórzy, że obecnie czuć się daje w Niemczech pewne ostudzenie w dążeniu do socjalnej reformy. Jest w tem coś prawdy. Wiosenny zapal pierwszej młodości przeminał; konserwatyści stracili ducha, widząc, że nie idzie tak prędko i gładko jak to sobie wyobrażali. My katolicy, centrowcy, ducha nie tracimy, my się bądź co bądź nie cofniemy. Nam tu nie o politykę idzie, ale o sprawiedliwość; idzie nam też o prawdziwą miłość bliźniego, bo sprawę socjalną, sprawę ciężko pracujących na chleb dzieci, kobiet, starców, mierzyć trzeba nie samym wyłącznie rozumem, ale i chrześcijańskim sercem; idzie nam wreszcie i o obronę przed wciąż wzrastającym socyalizmem. Jedni socyalizm za mało, drudzy za nadto ważą. Socyalizm nas jeszcze nie zalał i nie zaleje, ale przedewszystkiem usunąć trzeba rzeczywiste zło; wlać trzeba w robotników wiarę, że i bez socyalizmu dojdą do koniecznych reform.

A rzemieślnicy, jaka ich przyszłość; czy rzemiosło jako takie skazane na wolną ale niechybną śmierć? Ani słowa, rzemiosło ma dwóch bardzo potężnych wrogów; z jednej strony fuszerka ciągle obniża ceny, z drugiej strony wielki przemysł zagarnia z nieprzepartą siłą coraz nowe dziedziny. Walka ciężka i rzemiosło wtedy jedynie i w dodatku nie we wszystkich swych gałęziach wyjść z niej może zwycięsko, jeśli coraz bardziej się będzie udoskonalać i wydawać wyroby stanowczo lepsze od fabrycznych; jeśli nadto zorganizuje się w cechy, stowarzyszenia, wydziały, które dostarczając kosztownych a potrzebnych maszyn, sprowadzając surowy materiał w wielkiej ilości, zakładając składy i sklepy, starając się o tani kredyt, zapewnią rzemiosłu równy teren z wielkim przemysłem. Jedyńy to sposób, aby warsztat nie musiał się na całej linii cofnąć przed fabryką.

Ks. Hitze kładł w swych wykładach, jak przystało na starego parlamentarza, główną wagę na prawodawstwo. Ale samo prawo — zauważył słusznie dr. Pieper na wstępie do swej prelekcyi — nie może wystarczyć. Na pracodawcy ciąży pewnego rodzaju moralny obowiązek uzupełniania luk istniejących w prawodawstwie przez zakładanie i pod-

trzymywanie dobroczynnych instytucyj robotniczych, które należycie pokierowane stanowią złoty most między pracodawcą a robotnikami. Nie mają to być z góry oktrojowane dobrodziejstwa, co zawsze nieco podejrzliwego robotnika razi i odstręcza, lecz jeśli cel swój mają w pełni osiągnąć, wypływać winny ze wspólnej inicjatywy pracodawcy i robotników, zostawać pod wspólnym ich zarządem.

Co się da w tym kierunku zrobić, jak szerokie pole zostawione tu mądrej, chrześcijańskiej filantropii, to na namacalnym przykładzie wykazuje fabryka sukna jednego z profesorów socjalnego kursu, praktycznego w najlepszym tego słowa znaczeniu katolickiego socjologa, F. Brandtsa w M. Gladbach. Osobny „wydział robotniczy“, wybrany przez robotników lub robotnice jest w stosunku do fabrykanta mniej więcej tem, czem jest parlament w stosunku do króla¹; wydział proponuje i ułatwia pożądane zmiany w fabrycznym regulaminie, załatwia spory, stara się o usunięcie nasuwających się trudności, zawiaduje powstałymi wskutek inicjatywy bądź własnej, bądź pracodawcy, kasami robotniczymi. Kas tych jest kilka: kasa chorych, rodzinna kasa chorych, ogólna kasa robotnicza, fabryczna kasa oszczędności, kasa oszczędności dla żonatych robotników. Nadto w fabryce p. Brandtsa istnieje zarządzana przez zakonnice ochronka dla dzieci robotników, szkoła szycia dla dziewcząt, kąpiele, sale do przebierania się, osobna dla mężczyzn, a osobna dla kobiet, biblioteka, tania fabryczna kuchnia, sale i ogród, w którym robotnicy mogą dowolnie przebywać razem ze swymi rodzinami. Z wszystkich tych instytucyj korzystają robotnicy zupełnie bezpłatnie, lub wpłacają tak śmiesznie drobne wkładki, że widocznie mają one tylko pewnego rodzaju zasłonę na wspałałomyślność swego założyciela.

„Czy podobna — pytam jednego z profesorów kursu, serdecznie zaprzyjaźnionego ze szlachetnym fabrykantem — aby p. Brandts wychodził na swoim?“

„Tracić, nie traci. Ale z drugiej strony, gdyby Brandts nie był równie bogatym, jak jest, i gdyby mu naprawdę o zyski chodziło, nie mógłby niejednego robić, co obecnie robi. W dzisiejszych stosunkach fabryka jego pozostać musi wspałałym ideałem, do którego inne powinny się starać wedle możliwości zbliżyć. W każdym razie dobrze, że

¹ Por. *Auszug aus der Arbeitsordnung, den Statuten und Reglements der Fabrik der Firma F. Brandts zu M. Gladbach. Als Manuscript gedruckt.* Sam ten niezmiernie ciekawy „wyciąg“ zasługiwałby właściwie na omówienie w osobnym, obszerniejszym artykule.

taki ideał istnieje nie tylko na papierze, ale w rzeczywistości. To chluba dla naszego Kościoła, którego Brandts jest najlepszym synem“.

Mamy w Galicyi kwestyę robotniczą i groźniejszą od niej kwestyę ludową; mają Niemcy kwestyę robotniczą, a obok niej wzbudzającą bardzo poważne obawy w coraz szerszych kołach, zajmującą nie od dziś uczonych i polityków, ministrów i tłumy ludności, kwestyę agrarną. I u nas ona istnieje, i to w podobnem znaczeniu, co w Niemczech, i u nas wartoby jej poświęcić baczną uwagę, ale na razie ludowa agitacja, ludowa polityka tak wszystkie drogi i ścieżki załazała, że niema sposobu dotrzeć do właściwych, pozytywnych interesów ludności rolniczej. Niemcy mniej się bawią polityką; z tem większą za to obawą patrzą na ekonomiczną kryzys, jaką obecnie lud wiejski przechodzi na całym świecie. Bardzo ceniony specjalista w sprawie agrarnej, dr. Pichler, nie myślał w swych wykładach tać grozy położenia. Przyczyny tej grozy są liczne i niełatwe do usunięcia. Pierwszą przyczyną nadzwyczajne obniżenie cen najważniejszych produktów: zboża i bydła; obniżenie, spowodowane konkurencją krajów zagranicznych, jak Stanów Zjednoczonych, Argentyny, Rosyi; hiperprodukcją, wywołaną kilkuletniemi pomyślnymi zbiorami i giełdowemi szacherkami. Obok idą: nadużywanie kredytu, zbyt liberalne, szkodliwe dla chłopa prawa, wzrost publicznych ciężarów, nakładanych przez państwo i gminę. Olbrzymie długi przygniatają w polskich, wschodnich prowincjach Niemiec głównie wielką posiadłość, w zachodnich i południowych mniejszą posiadłość i wciąż rosną z zatrważającą szybkością. Bardzo ciężka to choroba. Uniwersalnym lekarstwem na nią nie jest wyłącznie podwyższenie cen, które chorobę mogłoby zapewne przewlec, ale uzdrowić z niej nie potrafi; potrzeba użyć licznych a różnorodnych środków; potrzeba utworzenia całego kompleksu nowych praw agrarnych. Uregulowałyby one miały zaciąganie i spłacanie długów, kredyt, licytacje; zmienić obowiązujące dziś przepisy o dziedziczeniu, cłach, giełdzie; stawić pewne granice dowolnemu dzieleniu gruntów; ułatwić pomnożenie i zbyt rolnych produktów; pomnożyć komunikacyjne środki: zaprowadzić różnorodne asekuracje. Dopiero przy takim energicznem, roztropnem, a pojętem na szerokie rozmiary współdziałaniu państwa, stowarzyszeń i pojedynczych jednostek myśleć można o skutecznem zażegnaniu złego.

Niemniej ważne i ciekawe inne, dopełniające całości obrazu prelekcye, ważne i ciekawe i ze względu na swą treść, i na osobę prelegentów. Znany nam już dr. Pieper wystąpił z jędrnym komentarzem encykliki Ojca św. o sprawie robotniczej; rzecz prosta — takiego ko-

mentarza na żadnym kursie socyalnem nie może zabraknąć. Encyklika — jak prelegent na wstępie słusznie zauważył — tem co najmniej jest i powinna być dla nas, czem są dla socyalistów marksowe, lassalowe manifesty i programy. Ks. Henryk Pesch, profesor, filozof zasłużony, wykladał z niezrównaną ścisłością a jednocześnie jasnością, do jakiej zapłaty robotnik ma prawo; kiedy i w jakich granicach może państwo wdawać się w oznaczenie tej zapłaty; czy, kiedy i jakie kroki wolno przedsiębrać samemu robotnikowi dla wywalczenia sobie płacy odpowiadającej wartości podjętej pracy. Baron Dael von Koeth, prezes hesskich związków chłopskich i zapalony propagator kas reiffeisenowskich nie wygląda na profesora, a raczej na dobrodusznego, dobrze odżywionego polskiego szlachcica; z humorem zwalcza zasady, przyjęte w kasach Schulze-Delitzszowskich i wykazuje na mnogich, z życia zaczerpniętych przykładach, że kasy te mogą wprawdzie liczyć na pewne powodzenie w miastach, ale dla ludności wiejskiej stanowczo są nieodpowiednie. Młody, ale bardzo już zasłużony dla sprawy socyalnej, znany ze swej energii i rzutkości, szuttgarski redaktor, ks. Eckard, dawał, na własnem oparty doświadczeniu, wyborne, praktyczne wskazówki o zawierzaniu się, rozwijaniu, zadaniu katolickich związków robotniczych. Wartoby te wskazówki obszerniej wyłuszczyć i da Bóg, przyjdzie może na to właściwy czas i miejsce. Obecnie, choć z żalem zadowolić się trzeba podaniem suchych nagłówek, a i tak pytanie, czy te nagłówki w tym numerze *Przeglądu* i w tym jego dziale nie za wiele miejsca zajmują.

Cały dzień ciągnie się pouczająca, ale i znojna praca; nawet krótkie godziny popołudniowej przerwy wypełnione zwiedzaniem fabryk, zwłaszcza fabryk złotych i srebrnych wyrobów, z których Gmünd słynie w Niemczech od wielu wieków. Wieczorem czas na wytchnienie; obszerna sala, rozbrzmiewająca dzień cały filozoficznemi, ekonomicznemi wywodami, zmienia się to w salę koncertową, to w salę teatralną. Uczestnicy kursu, mieszkancy Gmündu cisną się do olbrzymich stołów, szczęśliwi, jeśli jaki kącik przy nich znajdują, jeśli szklenicę piwa zdobyć sobie potrafią i przysłuchają się z uwagą to komedyjce, przedstawionej przez amatorskie siły ze związku katolickich rzemieślników, to śpiewom, to muzyce, o którą się postarał związek katolickich robotników. Małe miasteczko, a jednak oba związki bardzo liczne, dość bogate, wyborne zorganizowane; oba prześcigają się, aby miłym gościom z dalekich stron uprzyjemnić pobyt w pięknym Gmündzie. I te związki nowym dowo-

dem, jak katolicy Niemcy biorą na seryo pracę na socyalmem polu i jakie na niem zrobiono postępy.

Żegnamy gościnny Gmünd, a przy pożegnaniu opędzić się nie sposób natrętnej myśli: Kiedyż spełni się i u nas życzenie, wyrażone przez lwowski wiec katolicki; kiedy zjedziemy się w Krakowie, czy we Lwowie, w Tarnowie, Przemyślu, czy w Sączu na pierwszy kurs socyalny? Jak taki kurs byłby dziś potrzebny i niezbędny, dowodzić chyba zbytecznie. Uczestników równieżby nie zabrakło; nie zjechałoby się ich zapewne ani tysiąc, ani nawet pół tysiąca, ale przecież Galicya dostarczyłaby przynajmniej ze stu, a Śląsk, Poznańskie równieżby nie jednego gościa dostarczyła. Trudniejby było o profesorów; nie byłoby ich tylu i takich, jak w Gmünd, ale prawdopodobnie i Niemcy na pierwszym swym kursie socyalnym nie mogli się poszczycić tyloma i takimi. O to chodzi, aby ktoś na seryo, nie odkładając rzeczy do późniejszych lat i miesięcy, zajął się zwołaniem i zorganizowaniem kursu. Czy ktoś takiby się nie znalazł, czy nie mamy komisarzy wiecu lwowskiego, których głównem zadaniem wprowadzać w życie uchwalone rezolucye; a oni znowu, czy nie mogliby się zwrócić z pełną nadzieją powodzenia do tego samego który referował o potrzebie kursów socyalnych w naszym kraju i który już praktycznie okazał, że bardzo nawet liczne, do zebrania i zorganizowania wcale niełatwe wiece, zebrania umie i zorganizować i prowadzić?

Ks. Jan Badeni.



SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronica
OBRAZKI Z KRAKOWSKIEJ NĘDZY. Przez <i>ks. Jana Bade- niego T. J.</i>	1 191 411
LUDY TURAJSKIE I ICH POJĘCIA RELIGIJNE. Przez <i>ks. Wła- dysława Zaborskiego T. J.</i>	22
WRAŻENIA Z NAD MALARU. Przez <i>T. W.</i>	52
KSIĄDZ TOMASZ MŁODZIANOWSKI I JEGO KAZANIA. Przez <i>ks. Józefa Sasa T. J.</i>	78 212
O OSCYLACYACH KLIMATU. Przez <i>M. P. R.</i>	95
NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ. Przez <i>d-ra Feliksa Konecznego</i>	169 387
SPRAWA KS. BOGUŃSKIEGO. Przez <i>Kazimierza Bartosze- wicza.</i>	235
KARTKA Z DZIEJÓW RUSYFIKACYI ŻMUDZI. Przez <i>Jana Witorta</i>	247 351
IDEA NIEŚMIERTELNOŚCI NA ŁOŻU PROKRUSTA. Przez <i>d-ra Bronisława Łozińskiego</i>	329
KOŚCIÓŁ ZAMKOWY W BRZEŻANACH I JEGO POMNIKI. Przez <i>Jana Bryła</i>	372

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

- UNIA BRZESKA (r. 1596). Opowiedziana przez ks. biskupa Edwarda Likowskiego, sufragana poznańskiego. (*Ks. Stanisław Zaleski T. J.*). 108
- EPISKOPAT UND PRESBYTERAT IN DEN ERSTEN CHRISTLICHEN JAHRHUNDERTEN. Von Dr. theol. Ludwig Sobkowski, Priester der Erzdiözesen Gnesen und Posen. (*Ks. Augustyn Arndt T. J.*). 117
- PAMIĘTNIKI NIEDOLI ANTONIEGO LANGIEGO z lat 1849—1857. (*Leszek Dziama*). 119
- LYSISTRATA czyli Wojna i Pokój. Komedya w 4 aktach, podług Arystofanesa. Ułożył dla sceny krakowskiej St. Koźmian. 120
- MIASTO LWÓW W OKRESIE SAMORZĄDU 1870—1895. (*Stanisław Schnür-Pełowski*) 270
- FILIZOFIA NICOŚCI. Rzecz o istocie Buddyzmu. Przez ks. Władysława Michała Dębickiego. (*Ks. Stanisław Kobyłecki T. J.*). 277
- NA KRESACH CYWILIZACYI. Listy z podróży po Ameryce południowej, odbytej w r. 1892. Przez d-ra Józefa Siemiradzkiego. (*Leszek Dziama*). 279
- ŻYWIOT I DZIELA ERNESTA RENANA. Ks. dr. Stefan Pawlicki. Wydanie nowe powiększone. (*Dr. Ignacy Skrochowski*). 432
- KAROL PROZOR, OBOŻNY W W. KS. LITEWSKIM. Przyczynek do dziejów powstania kościuszkowskiego. Monografia, opracowana na podstawie nowych źródeł archiwalnych przez Maryana Dąbickiego. (*Dr. Kazimierz Krotoski*) 434
- WESPASYANA KOCHOWSKIEGO „PSALMODYA POLSKA“. L. M. Dziama. (*Antoni Mazanowski*) 437
- TRZY NAGROBKI W GNIEŹNIE, fundacyi prymasa Łaskiego. Napisał dr. Jerzy Mycielski. (*Kazimierz Bronikowski*) 439
- CZARNE BŁOTO. (Pajaki wiejskie). Przez Klemensa Junoszę. (*Ks. Alfred Wróblewski T. J.*) 440

Z piśmiennictwa zagranicznego:

- BIBLISCHE STUDIEN. Herausgegeben von Prof. Dr. O. Bardenhewer in München. Erster Band. (*Ks. Włodzimierz Ledóchowski T. J.*). 121
- PODRÓŻ NAKOŁO ŚWIATA. Skreślił Józef Kofensky. Część I. Ameryka i wyspy Hawajskie. (Cesta kolem světa. Díl I. Amerika a Hawaji). (*Sopodźko*). 124
- Z LITERATURY HISTORYCZNEJ ROSYJSKIEJ. (*Aloizy Szarłowski*). 126 296
- PRAELECTIONES DOGMATICAE, quas in collegio Ditton-Hall habebat Christianus Pesch S. J. Tom I, II, III, IV. (*Ks. Wł. Ledóchowski T. J.*). 281
- GESCHICHTE LIV-, EST- UND KURLANDS von der Aufsege lung des Landes bis zur Einverleibung in das russische Reich. Eine populäre Darstellung. Mit 7 Bildern, 1 Karte und einem

Personen- und Sachregister. I. Band: Die Zeit bis zum Untergange livländischer Selbstständigkeit. II. Band: 1. Abtheilung. Die Provinzialgeschichte bis zur Unterwerfung unter Russland. Von Ernst Seraphim. 2. Abtheilung. Kurland unter den Herzögen. Von Dr. August Seraphim. (<i>Gustaw Manteuffel</i>)	285
TEMPESTE. Ada Negri. (<i>T. W.</i>).. . . .	294
KALENDARIUM MANUALE UTRISQUE ECCLESIAE ORIENTALIS ET OCCIDENTALIS. Edidit N. Nilles S. I. Tomus I. (<i>Ks. Augustyn Arndt T. J.</i>)	443
DIE SEELENKUNDE DES MENSCHEN ALS REINE ERFAHRUNGSWISSENSCHAFT. Dr. Moriz Benedikt. (<i>Ks. dr. A. Pechnik</i>). . .	446

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Uchwały na wiecach i zjazdach katolickich. — Kościół pod zaborem rosyjskim. — Walka o pojedynek. Przez <i>ks. Konstantego Czapkowskiego T. J.</i>	137
WIECE I WIECYKI. Socjalistyczne zebranie we Lwowie. — Jasielski występ <i>ks. Stojałowskiego</i> . — Haczowski wiec stronnictwa ludowego. — Początki narodowo-katolickiej reakcyi. Przez <i>ks. Jana Badeniego T. J.</i>	145
KRONIKA ANGIELSKA. Przez <i>Edmunda S. Naganowskiego</i>	155

LISTOPAD.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Myśl o zjednoczeniu kościelnem na Wschodzie. — Ksiądz Maksymilian, książę saski. — Cuda wolności węgierskiej. — Katolickie wykłady przy angielskich wszechnicach. — Międzynarodowy urząd rozjemczy papieża. Przez <i>ks. Konstantego Czapkowskiego T. J.</i>	312
Z RUCHU KATOLICKIEGO NA POLU DOBROCZYNNOSCI W NIEMCZECH. Przez <i>L. L.</i>	325

GRUDZIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Po liście papieskim o święceniach anglikanów. — Stolica święta i Francya. — Memorandum włoskich katolików. — Napaść na <i>ks. arcybiskupa Stablewskiego</i> . — Liberalizm zwycięzca	453
KURS SOCYALNY W SCHWAEBISCH-GMÜND. Przez <i>ks. Jana Badeniego T. J.</i>	471